JEFFREY ARCHER

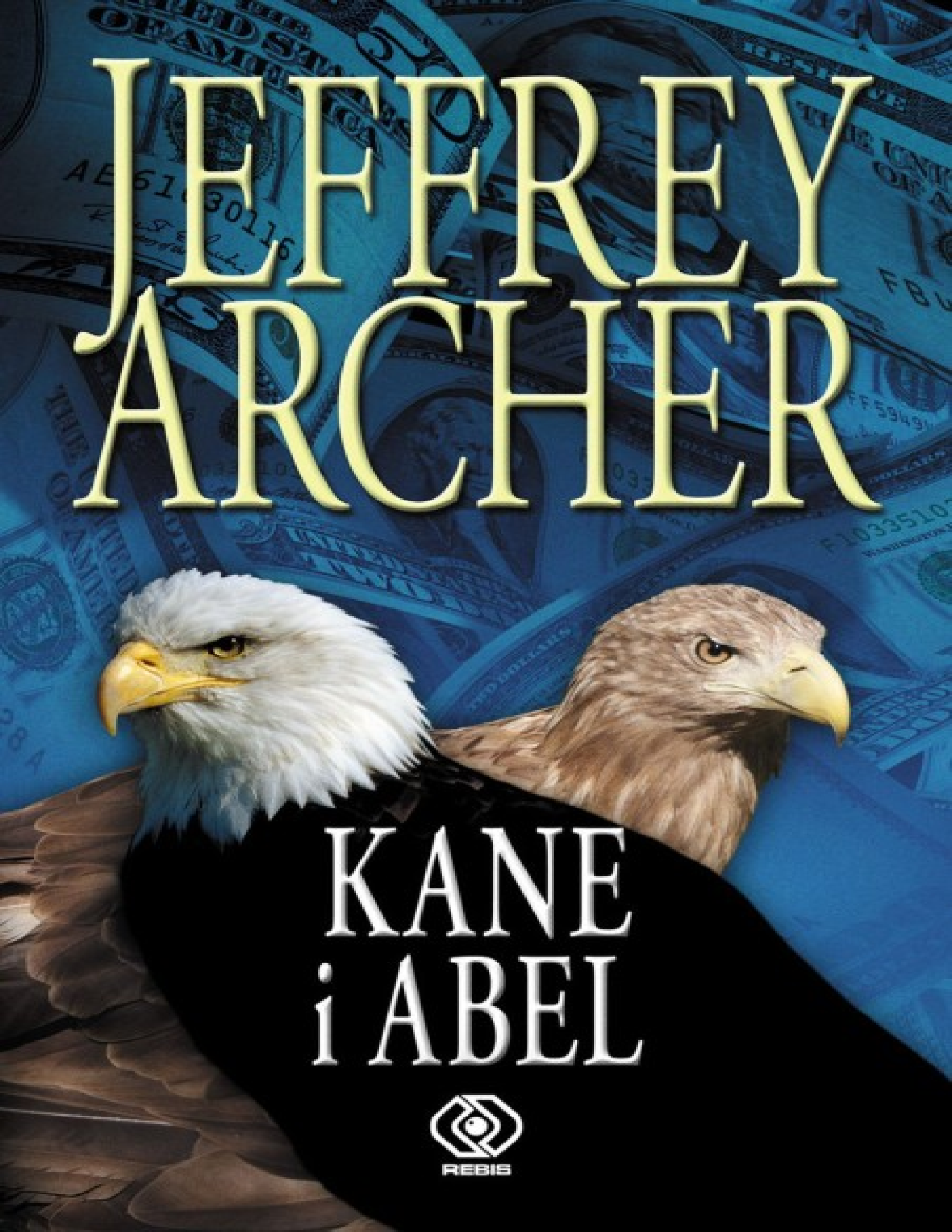

KANE i ABEL

REBIS

JEFFREY ARCHER

KANE i ABEL

Przełożyli
Danuta Sękalska i Wiesław Mleczko

DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2008

Michaelowi i Jane poświęcam

Autor pragnie podziękować dwu mężczyznom, dzięki którym powstała ta książka. Obaj chcą pozostać anonimowi; pierwszy, ponieważ pracuje nad swoją autobiografią, drugi, gdyż jest znaną postacią, wciąż jeszcze czynną w życiu publicznym Stanów Zjednoczonych.

Księga pierwsza

1

18 kwietnia 1906 roku
Słonim, Polska

Ucichła dopiero, gdy skonała. Wówczas zaczął krzyczeć on.

Mały chłopiec, który polował w lesie na dzikie króliki, nie wiedział, czy to ostatni krzyk kobiety czy pierwszy krzyk dziecka obudził jego czujność. Raptownie się odwrócił, wietrząc niebezpieczeństwo, natężył wzrok, wypatrując zwierzęcia, które wydało skargę bólu. Nigdy przedtem nie słyszał takiego głosu. Ostrożnie zaczął się skradać w stronę, z której dochodził dźwięk; krzyk przeszedł teraz w kwilenie, ale nadal nie przypominało mu to głosu żadnego stworzenia, jakie znał. Chciał tylko, żeby było nieduże i żeby mógł je zabić; choć raz nie musieliby jeść królika na kolację.

Przemykał się ku rzece, skąd dobiegał dziwny dźwięk, przeskakując od drzewa do drzewa. Czuł się bezpiecznie z dotykiem kory na plecach. Nigdy nie stój nieosłonięty, mawiał ojciec. Chłopiec dotarł na skraj lasu, skąd mógł swobodnie objąć wzrokiem całą dolinę aż do rzeki, ale dopiero po chwili pojął, że to nie zwierzę tak dziwnie płacze. Nadal skradał się do celu, teraz już bez żadnej osłony, zdany tylko na siebie. Nagle zobaczył leżącą kobietę ze spódnicą zadartą powyżej pasa i szeroko rozrzuconymi nogami. Nigdy nie

widział tak leżącej kobiety. Prędko podbiegł do niej i z przestrachem spojrzał na jej nagi brzuch. Między nogami kobiety leżało malutkie, mokre, różowe stworzenie, przyczepione czymś w rodzaju linki. Mały myśliwy upuścił na ziemię świeżo obdartego ze skóry królika i ukląkł przy maleństwie.

Oszołomiony długo mu się przyglądał, po czym spojrzał na kobietę, lecz natychmiast odwrócił oczy. Już zsiniała: jej umęczona, dwudziestotrzyletnia twarz wydała mu się stara. Od razu poznał, że kobieta jest martwa. Podniósł oślizłe małe ciałko – gdyby go ktoś zapytał dlaczego, a nikt nigdy tego nie zrobił, odparłby, że trapiły go maleńkie paznokietki drapiące pomarszczoną twarzyczkę – i wówczas odkrył, że dziecko z matką łączy śliski sznur.

Parę dni wcześniej widział narodziny jagnięcia i teraz próbował to sobie przypomnieć. Tak, właśnie tak zrobił pastuch, ale czy można tak postąpić z dzieckiem? Kwilenie ustało i chłopiec pojął, że nie ma czasu do stracenia. Wyjął z pochwy nóż, ten sam, którym oskórował królika, wytarł go o rękaw koszuli i po chwili wahania przeciął pępowinę tuż przy ciałku dziecka. Z obu końców trysnęła krew. Co następnie zrobił pastuch? Zawiązał węzeł, żeby zatrzymać upływ krwi. Tak, tak! Chłopiec wyrwał z ziemi trochę trawy i niezdarnie obwiązał pępowinę. Potem wziął dziecko na ręce. Podniósł się wolno z klęczek, zostawiwszy trzy nieżywe króliki i martwą kobietę, która wydała dziecko na świat. Nim się od niej ostatecznie odwrócił, ułożył jej nogi razem i obciągnął sukienkę. Czuł, że tak należy postąpić.

– Święty Boże – powiedział na głos, jak zawsze, gdy zrobił coś bardzo dobrze albo bardzo źle. Wcale jednak nie był pewien, czy to, co robi, jest dobre czy złe.

Mały myśliwy ruszył biegiem do chaty, gdzie matka, jak wiedział, krząta się przy kolacji i czeka tylko na króliki; poza tym wszystko będzie już gotowe. Myśli pewno teraz, ile sztuk dzisiaj upolował; dla ośmioosobowej rodziny potrzeba co najmniej trzech. Czasami chłopcu udawało się złapać kaczkę, gęś, a kiedyś nawet bażanta, który wywędrował z posiadłości barona, gdzie zatrudniony był ojciec. Dziś młody myśliwy upolował innego rodzaju stworzenie i kiedy już stanął przed chatą, nie śmiał puścić swej zdobyczy choćby jedną ręką, kopnął więc bosą stopą drzwi i czekał, aż matka mu otworzy. Bez słowa wyciągnął do niej ręce z maleństwem. Nie poruszyła się nawet, żeby je wziąć, lecz milcząc, z ręką na piersi, stała i patrzyła na niebożątko.

– Święty Boże – rzekła wreszcie i przeżegnała się.

Chłopiec spojrzał na matkę, szukając w jej twarzy oznak gniewu lub zadowolenia. W jej oczach dostrzegł czułość, jakiej nigdy jeszcze nie widział. To znaczy, że postąpił dobrze.

– To dzieciątko, matko?

– To mały chłopaczek – odrzekła, kiwnąwszy głową w strapieniu. – Gdzie go znalazłeś?

– Nad rzeką, matko.

– A jego mamusia?

– Umarła.

Drugi raz się przeżegnała.

– Leć prędko i opowiedz ojcu o tym, co się zdarzyło. Niech znajdzie w majątku Urszulę Wojnak. Zaprowadź ich oboje do matki maleństwa, a potem dopilnuj, żeby tutaj przyszli.

Mały myśliwy podał dziecko swojej rodzicielce, szczęśliwy, że nie upuścił śliskiego ciałka. Pozbywszy się zdobyczy, wytarł ręce o

spodnie i popędził do ojca.

Matka zamknęła drzwi ramieniem i zawołała do dziewczynki, najstarszej z rodzeństwa, żeby postawiła sagan na piecu. Potem usiadła na drewnianym zydlu, rozpięła kaftanik i wsunęła obolały sutek w maleńkie, pomarszczone usteczka. Zosia, najmłodsze dziecko, zaledwie sześciomiesięczne, będzie się musiała dziś wieczór obejść bez kolacji, jak zresztą cała rodzina.

– I na co to się zda? – powiedziała na głos kobieta, otulając chustką siebie i dziecko. – I tak, biedna mała kruszynko, nie dożyjesz rana.

Nie wspomniała jednak o swoich przeczuciach starej akuszerce, Urszuli Wojnak, kiedy ta myła małe ciałko i do późna opatrywała skręcony kikucik pępowiny. Mąż kobiety w milczeniu przyglądał się scenie.

– Gość w dom, Bóg w dom – oświadczyła kobieta, przywołując stare polskie przysłowie.

– Do cholery z nim – splunął wieśniak. – Mamy dość własnych dzieci.

Udała, że nie słyszy i dalej gładziła główkę noworodka porośniętą ciemnymi, rzadkimi włoskami.

– Jak mu damy na imię? – spytała, podnosząc wzrok na męża.

– Nie ma co zawracać sobie głowy – wzruszył ramionami. – Do grobu nie potrzebuje imienia.

2

18 kwietnia 1906 roku
Boston, stan Massachusetts

Lekarz schwycił noworodka za nóżki i plasnął w pośladki. Dziecko zaniosło się krzykiem.

W Bostonie, w stanie Massachusetts, jest pewien szpital, który dba głównie o pacjentów cierpiących na przypadłości bogaczy, i czasami, w wyjątkowych okazjach, pozwala sobie na luksus przysparzania światu nowych nababów. W tym szpitalu rodzące kobiety nie krzyczą, a już z pewnością nie odbywają połogu w ubraniu. Nie byłoby to w dobrym tonie.

Przed drzwiami sali porodowej chodził tam i z powrotem młody mężczyzna, w środku zaś czuwało dwóch położników oraz lekarz rodziny. Ten ojciec nie dopuściłby do najmniejszego ryzyka przy narodzinach pierworodnego. Obaj położnicy otrzymają wysokie honoraria tylko za to, że byli w pogotowiu i znajdowali się na miejscu. Jeden z nich, który pod długim białym fartuchem miał na sobie smoking, wybierał się później na przyjęcie. Nie mógł sobie jednak pozwolić na nieobecność przy tym szczególnym porodzie. Wszyscy trzej ciągnęli wcześniej losy, który ma odebrać dziecko. Wypadło na doktora MacKenziego, lekarza rodziny. Solidna, pewna firma, myślał mężczyzna, przemierzając korytarz tam i z powrotem.

Nie, żeby miał jakieś powody do niepokoju. Roberts zawiózł Anne, jego żonę, kabrioletem do szpitala tego ranka, kiedy to według jej obliczeń przypadał dwudziesty ósmy dzień dziewiątego miesiąca. Bóle porodowe zaczęły się wkrótce po śniadaniu, ale, jak go zapewniono, poród miał się odbyć dopiero po godzinach urzędowania jego banku. Przyszły ojciec był człowiekiem zdyscyplinowanym i nie widział powodu, aby narodziny potomka miały zakłócić tok jego uporządkowanego życia. Mimo to nadal krążył po korytarzu wielkimi krokami. Przebiegali koło niego młodzi lekarze i pielęgniarki, świadomi jego obecności, ściszając głosy w jego pobliżu i podnosząc je znów, gdy się oddalili. Nie zwracał na to uwagi, zawsze bowiem tak go traktowano. Większość z nich nigdy nie widziała go przedtem na oczy; ale wszyscy wiedzieli, kim jest.

Jeśli urodzi mu się syn, to prawdopodobnie zafunduje nowe skrzydło dla oddziału dziecięcego, bardzo potrzebne szpitalowi. Sfinansował już przecież budowę szkoły i biblioteki. Próbował czytać popołudniową gazetę, lecz nie chwytał sensu słów, po których prześlizgiwał się wzrokiem. Był zatroskany, a nawet trochę rozdrażniony. Czyż oni doprawdy nie potrafią zrozumieć (prawie cały świat poza własną osobą kwitował słówkiem „oni”), że to musi być chłopiec? Chłopiec, który pewnego dnia zostanie po nim dyrektorem generalnym banku? Przekartkował „Evening Transcript”. Bostoński zespół Red Sox zwyciężył New York Highlanders – inni będą świętować. Potem przypomniał sobie tytuł na pierwszej stronie i wrócił do niej. Największe trzęsienie ziemi w historii Ameryki. Katastrofalne zniszczenia w San Francisco, co najmniej czterysta osób zabitych – inni przywdzieją żałobę. Był wzburzony. Wszak to odwróci uwagę od narodzin jego syna. W pamięci ludzi utkwi inne

wydarzenie, które miało miejsce tego dnia. Nigdy, ani przez moment, nie przyszło mu do głowy, że może się urodzić córka. Przewertował gazetę i otworzył ją na kolumnach finansowych: sprawdził notowania giełdowe – gwałtowna zniżka. To przeklęte trzęsienie ziemi spowodowało spadek wartości portfela akcji, który ma w banku, o sto tysięcy dolarów, ale jego majątek osobisty pozostał nienaruszony i wynosi dobrze ponad szesnaście milionów dolarów. Trzeba by gorszej katastrofy niż trzęsienie ziemi w Kalifornii, żeby mu zagrozić. Mógłby żyć spokojnie z procentów od procentów od kapitału i szesnastomilionowy majątek zostawić nietknięty, czekając na syna, wciąż jeszcze nienarodzonego. Dalej spacerował, udając, że czyta „Evening Transcript".

Z wahadłowych drzwi sali porodowej wyłonił się lekarz w smokingu, spieszący z nowiną. Czuł, że wypada coś zrobić w zamian za olbrzymie, niezasłużone honorarium, ponadto był najstosowniej ubrany, aby ją obwieścić. Obaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Doktor też był trochę stremowany, lecz nie zamierzał się z tym zdradzić przed świeżo upieczonym ojcem.

– Gratuluję panu. Ma pan syna, ładnego małego chłopaczka. Jakże głupie uwagi robią ludzie, kiedy rodzi się dziecko, pomyślał ojciec. Przecież wiadomo, że noworodek musi być mały. Nowina jeszcze do niego w pełni nie dotarła. Urodził się syn! Niewiele brakowało, a podziękowałby Bogu. Położnik zdobył się na odwagę i zapytał, żeby przerwać milczenie:

– Czy już wybrał mu pan imię?

– William Lowell Kane – padła odpowiedź bez chwili wahania.

3

W wieśniaczej chatce dawno już przeminęło poruszenie wywołane pojawieniem się małego znajdy i cała rodzina ułożyła się do snu, tylko matka czuwała z dzieckiem w ramionach. Helena Koskiewicz mocno wierzyła w życie i żeby tego dowieść, wydała na świat dziewięcioro dzieci. Wprawdzie troje straciła w niemowlęctwie, ale do ostatka o nie walczyła.

Teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, wiedziała już, że niegdyś pełen wigoru Jasio nie da jej więcej synów ani córek. Bóg dał jej to maleństwo, czyli że przeznaczone mu jest żyć. Wiara Heleny była prosta jak życie, którym obdarzył ją los. Była blada i chuda z powodu niedojadania, ciężkiej pracy i biedy. Nie skarżyła się nigdy, chociaż jej pobrużdżona twarz przywodziłaby na myśl raczej babkę niż matkę. Nigdy nie miała na grzbiecie nowego odzienia.

Helena ścisnęła obolałe piersi tak mocno, że wokół brodawek wystąpiły nikłe czerwone plamy i wypłynęło z nich parę kropel mleka. W wieku trzydziestu pięciu lat, na półmetku życia, wszyscy mamy jakieś pożyteczne doświadczenia, a doświadczenie Heleny Koskiewicz okazało się akurat nadzwyczaj przydatne.

– Matczyna kruszynko – szepnęła czule i musnęła napęczniałą mlekiem brodawką zaciśnięte usteczka dziecka. Otworzyły się niebieskie oczka i na nosku usiłującego ssać niemowlęcia pojawiły się drobne perełki potu. W końcu matka, nawet nie wiedząc kiedy, zapadła w głęboki sen.

Jasio Koskiewicz, przysadzisty, powolny chłop, którego sumiasty wąs stanowił jedyny rys buntowniczości w skądinąd niewolniczym żywocie, wstał o piątej rano i spostrzegł swoją żonę śpiącą z dzieckiem w ramionach na krześle na biegunach. Nie zauważył w nocy jej nieobecności w łóżku. Rzucił okiem na bękarta, który dzięki Bogu przynajmniej zamilkł. Może już umarł? Jasio wykoncypował, że najlepszym rozwiązaniem problemu będzie wyjście do pracy i omijanie z daleka nieproszonego gościa; niech kobieta martwi się sprawami życia i śmierci, on musi o świtaniu stawić się w majątku barona. Pociągnął kilka dużych łyków koziego mleka, otarł bujny wąs rękawem koszuli, jedną ręką schwycił kawał chleba, drugą sidła i bezszelestnie wymknął się z chaty, nie chcąc budzić kobiety i wdawać się w tę sprawę. Pomaszerował żwawo do lasu, nie zawracając sobie więcej głowy znajdą. Pomyślał tylko, że może już go więcej nie zobaczy.

Tuż przed szóstą, jak wskazywał stary zegar, który od lat chodził wedle własnego czasu, weszła do kuchni najstarsza córka, Florentyna. Zegar pełnił tylko pomocniczą rolę, wskazując przybliżoną godzinę tym, którzy chcieli wiedzieć, czy pora wstać czy kłaść się spać. Do codziennych obowiązków Florentyny należało przygotowanie śniadania, co było nieskomplikowanym zadaniem polegającym na obdzieleniu bochenkiem żytniego chleba i skopkiem koziego mleka ośmioosobowej rodziny. Jednak trzeba było to uczynić tak, żeby nikt nie czuł się pokrzywdzony, co zaiste wymagało mądrości Salomona.

Na każdym, kto widział ją pierwszy raz, Florentyna robiła wrażenie ładnego, kruchego, nędznie odzianego dziewczątka. Było doprawdy niesprawiedliwością, że od trzech lat musiała chodzić

wciąż w tej samej sukienczynie, jednak ci, którzy umieli spojrzeć na dziewczynkę, wyodrębniając ją z ubogiego tła, rozumieli, dlaczego Jasio zakochał się w jej matce. Florentyna miała lśniące, lniane, długie włosy, a orzechowe oczy rzucały skry jakby na przekór jej urodzeniu i odżywianiu.

Na paluszkach podeszła do krzesła na biegunach i obrzuciła spojrzeniem matkę i małego chłopaczka, którego pokochała od pierwszej chwili. Nigdy w swoim ośmioletnim życiu nie miała lalki. Raz tylko widziała jedną, kiedy na Świętego Mikołaja rodzina została zaproszona do zamku barona. Wtedy nawet nie dotknęła owego pięknego przedmiotu, a teraz poczuła niewytłumaczalne pragnienie przytulenia maleństwa. Pochyliła się, wzięła dziecko z objęć matki, i wpatrując się w maleńkie błękitne oczka – jakież błękitne! – zaczęła nucić. Wyrwane z ciepła matczynej piersi, pod dotykiem chłodnych rączek dziewczynki, niemowlę natychmiast zaprotestowało. Jego płacz obudził matkę, a ta poczuła się winna, że zapadła w sen.

– Święty Boże, to on jeszcze żyje! – rzekła do Florentyny. – Zrób śniadanie chłopcom, a ja spróbuję go nakarmić.

Florentyna z ociąganiem oddała małego i stała, patrząc, jak matka znów ugniata bolące piersi. Wprost nie mogła oderwać wzroku.

– Pospiesz się, Florcia – ofuknęła ją matka. – Reszta rodziny też musi coś zjeść.

Florentyna posłusznie spełniła polecenie, a kiedy jej bracia zeszli ze stryszku, gdzie spali, ucałowali ręce matce i stanęli urzeczeni, przyglądając się maleństwu. Tylko tyle wiedzieli, że to nie ich matka wydała je na świat. Florentyna z nadmiaru emocji nie tknęła tego ranka śniadania i chłopcy bez namysłu podzielili się jej porcją, zostawiając na stole tylko trochę jedzenia dla matki. Potem rozeszli

się do swoich codziennych zajęć i żaden nie zauważył, że matka nic nie wzięła do ust od chwili, gdy przyniesiono dziecko.

Helena Koskiewicz była zadowolona, że dzieci od małego potrafią sobie radzić. Umiały nakarmić zwierzęta, doić kozy i krowy, uprawiać warzywa w ogrodzie i spełniać codzienne powinności bez jej pomocy i popędzania. Kiedy Jasio wrócił wieczorem do domu, nagle uświadomiła sobie, że nie zrobiła mu kolacji, ale na szczęście Florentyna zabrała się już do przyrządzania królików, które wręczył jej Franek, mały myśliwy. Florentyna nie posiadała się z dumy, że samodzielnie gotuje kolację; zadanie to powierzano jej tylko w razie choroby matki, a Helena Koskiewicz rzadko kiedy pozwalała sobie na taki luksus. Franek przyniósł z lasu cztery króliki, a ojciec sześć grzybów i trzy kartofle; dziś wieczór będzie prawdziwa uczta.

Po kolacji Jasio Koskiewicz usiadł na swoim krześle przy piecu i po raz pierwszy dokładnie przyjrzał się dziecku. Schwycił je pod paszki, pod wiotką szyjkę podłożył kciuki i przeegzaminował malca bystrym okiem łowcy. Brzydotę pomarszczonej, bezzębnej twarzyczki rekompensowały tylko chwytające za serce niebieskie oczki o rozmytym spojrzeniu. Jasio przeniósł wzrok na wątłe ciałko i natychmiast coś przykuło jego uwagę. Nachmurzył się i potarł palcami delikatną pierś niemowlęcia.

– Widziałaś, Helena? – zapytał, postukując palcem o żebra małego. – Ta szkarada ma tylko jedną brodawkę.

Kobieta zmarszczyła brwi, trąc palcem pierś chłopaczka, jakby ta czynność mogła przywrócić brakujący organ. Mąż miał rację; z lewej strony widniała maleńka, blada brodawka, natomiast z prawej, gdzie powinna znajdować się druga, płaska pierś była zupełnie gładka i jednakowo różowa.

W kobiecie natychmiast odezwał się przesąd.

– Bóg mi go zesłał! – wykrzyknęła. – To jego znak.

Mężczyzna z gniewem oddał jej dziecko.

– Głupiaś – powiedział. – To dziecko spłodził człowiek o zepsutej krwi. – Splunął w ogień, aby tym dobitniej podkreślić swoją opinię o pochodzeniu dziecka. – Zresztą nie założyłbym się nawet o kartofel, że ten bękart przeżyje.

Dla Jasia życie dziecka warte było nawet mniej. Nie miał serca z kamienia, ale to nie był jego syn, co więcej, przybywała jeszcze jedna gęba do wyżywienia. Jeśli jednak już tak miało się stać, nie jemu podważać wyroki boskie. Nie myśląc o tym więcej, Jasio smacznie zasnął w cieple pieca.

Dni płynęły i nawet Jasio Koskiewicz zaczął wierzyć, że dziecko będzie żyć, a gdyby miał żyłkę hazardzisty, przegrałby kartofel. Najstarszy syn, myśliwy, z pomocą młodszych braci zmajstrował kołyskę z drewna uzbieranego w lesie barona. Florentyna uszyła chłopaczkowi ubranko ze skrawków. Mogliby nazwać go arlekinem, gdyby wiedzieli, co to znaczy. Prawdę mówiąc, wybór imienia spowodował w chacie więcej sprzeczek, niż zdarzyło się w ciągu wielu miesięcy. Tylko ojciec nie wystąpił z żadnym pomysłem. Wreszcie postanowili nazwać chłopca Władkiem i najbliższej niedzieli, w kaplicy znajdującej się w posiadłości barona, dziecko zostało ochrzczone jako Władysław Koskiewicz. Matka dziękowała Bogu, że zachował dziecko przy życiu, ojciec zaś pogodził się z losem.

Wieczorem odbyły się skromne chrzciny; na stole królowała gęś podarowana przez barona. Wszyscy zajadali z wielkim apetytem.

Od tego dnia Florentyna nauczyła się dzielić między dziewięcioro.

4

Anne Kane spała spokojnie tej nocy. Kiedy po śniadaniu do pokoju weszła pielęgniarka z jej synem Williamem na ręku, Anne wprost nie mogła się doczekać, kiedy go weźmie w ramiona.

– A teraz, pani Kane – żywo powiedziała ubrana na biało pielęgniarka – może i małemu damy śniadanie?

Pomogła usiąść Anne, która nagle poczuła obrzmiałość piersi, i wtajemniczyła dwoje nowicjuszy, matkę i dziecko, w sztukę karmienia. Żeby nie okazać zażenowania, co mogłoby wyglądać nie po macierzyńsku, Anne patrzyła cały czas w niebieskie oczy Williama, jeszcze intensywniej niebieskie niż oczy jego ojca, i wchodziła w nową rolę, która zgodnie z logiką powinna jej sprawiać wyłącznie przyjemność. Anne miała dwadzieścia jeden lat i doskonale zdawała sobie sprawę, że niczego jej nie brakuje. Urodzona w rodzinie Cabotów, przez męża spowinowacona z rodem Lowellów, wydała oto na świat pierworodnego, który podtrzyma tradycje zwięźle ujęte na kartce, jaką jej przysłała szkolna koleżanka:

Wiwat miasto Boston,
Kraina mlekiem i miodem płynąca,
Gdzie Cabotowie rozmawiają tylko z Lowellami,
A ci tylko z Panem Bogiem.

Anne całe pół godziny przemawiała do Williama, jednak bez specjalnego oddźwięku. Zabrano go tak samo, jak wcześniej

przyniesiono. Anne z godnością oparła się pokusie sięgnięcia po owoce i słodycze piętrzące się przy łóżku. Powzięła mocne postanowienie, że do lata będzie mogła znów włożyć wszystkie swoje suknie i ponownie zajmie należne sobie miejsce we wszystkich wytwornych ilustrowanych magazynach. Czyż książę de Garonne nie powiedział, że jest jedynym obiektem godnym zachwytu w całym Bostonie? Jej długie złote włosy, subtelne rysy i smukła figura budziły podziw i zachwyt w miastach, w których nawet nie postała jej noga. Spojrzała w lusterko: nie dostrzegła na twarzy żadnych śladów po przebytym połogu; ludziom trudno będzie uwierzyć, że właśnie wydała na świat krzepkiego chłopaka. Dzięki ci, Boże, że to chłopak, pomyślała.

Z przyjemnością spożyła lekki lunch i jęła się przygotowywać na przyjęcie gości, którzy zaczną się schodzić po południu, według planu ustalonego przez jej osobistą sekretarkę. W pierwszych dniach przyjdzie tylko bliska rodzina bądź przedstawiciele najlepszych sfer; innym się powie, że nie może jeszcze ich przyjąć. Ponieważ jednak Boston to ostatnie miasto w Ameryce, w którym jeszcze każdy zna dokładnie swoje miejsce w hierarchii społecznej, było mało prawdopodobne, aby usiłował tu wtargnąć jakiś niespodziewany intruz.

Pokój, który zajmowała sama, pomieściłby jeszcze z pięć łóżek, gdyby nie był tak wypełniony kwiatami. Ktoś niezorientowany mógłby pomyśleć, że zabłądził na jakąś pomniejszą wystawę ogrodniczą, gdyby nie obecność młodej matki siedzącej prosto w łóżku. Anne włączyła światło. Elektryczność ciągle jeszcze była dla niej nowością. Czekali z Richardem, dopóki Cabotowie nie

zainstalowali jej u siebie, co cały Boston uznał za niechybny znak, iż indukcja elektromagnetyczna jest w owym momencie *comme il faut*.

Pierwsza przyszła z wizytą teściowa Anne, pani Tomaszowa z Lowellów Kane, która po śmierci męża w zeszłym roku została głową rodziny. Ta dostojna dama w późnym wieku średnim do perfekcji opanowała technikę nagłego wpływania do pokoju ku własnej wielkiej uciesze i niewątpliwej konsternacji osób tam się znajdujących. Nosiła długą, luźną suknię dokładnie osłaniającą kostki; jedyny mężczyzna, który je oglądał, już nie żył. Zawsze była szczupła. Jej zdaniem otyłość kobiety świadczyła o złej kuchni i jeszcze gorszym wychowaniu. Była teraz najstarszą przedstawicielką klanu Lowellów; najstarszą wśród Kane'ów, jeśli już o to chodzi. Oczekiwała zatem i po niej oczekiwano, że pierwsza przyjdzie z wizytą, aby zobaczyć nowo narodzonego wnuka. Czyż to w końcu nie ona zaaranżowała pierwsze spotkanie Anne i Richarda? Do miłości pani Kane nie przywiązywała zbytniego znaczenia. Majątek, pozycja, prestiż – owszem, to ceniła wysoko. Miłość jest piękną rzeczą, ale to nietrwały towar w odróżnieniu od tamtych trzech. Z aprobatą ucałowała czoło synowej. Anne dotknęła guzika na ścianie i rozległ się cichy głos dzwonka. Dźwięk zaskoczył panią Kane, która nigdy nie przypuszczała, że elektryczność kiedykolwiek wejdzie w modę. W drzwiach stanęła pielęgniarka z dziedzicem rodu. Pani Kane przeprowadziła dokładne oględziny, chrząknęła z uznaniem i odesłała wnuka kiwnięciem dłoni.

– Brawo, Anne – powiedziała takim tonem, jakby synowa zdobyła drugorzędną nagrodę w pokazach hippicznych. – Wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Matka Anne, pani Edwardowa Cabot, przybyła kilka minut później. Podobnie jak pani Kane owdowiała przed paru laty i tak niewiele różniła się od niej wyglądem, że ci, którzy widywali je z daleka, zazwyczaj mylili je ze sobą. Należy jednak przyznać, że potraktowała wnuka i córkę z dużo większym niż tamta zainteresowaniem. Po obejrzeniu dziecka damy zwróciły uwagę na kwiaty.

– To miło ze strony Jacksonów, że pamiętali – oświadczyła pani Cabot.

Pani Kane wykazała bardziej powierzchowne podejście. Prześliznęła się wzrokiem po delikatnych pączkach i skupiła na wizytówkach ofiarodawców. Odczytywała szeptem pochlebiające jej nazwiska: Adamsowie, Lawrence'owie, Lodge'owie, Higginsonowie. Żadna z babek nie komentowała natomiast nazwisk, które nic im nie mówiły; obie przekroczyły już wiek, w którym chciałoby się dowiedzieć o czymś lub o kimś nowym. Wyszły razem, wielce zadowolone: potomek przyszedł na świat i na pierwszy rzut oka wydawał się bez zarzutu. Obie uznały, że ich ostatni obowiązek rodzinny został pomyślnie, aczkolwiek zastępczo spełniony i że będą mogły ograniczyć się do roli chóru.

Obydwie się myliły.

Przez całe popołudnie napływali bliscy przyjaciele Anne i Richarda, ofiarowując złote lub srebrne podarunki i składając życzenia afektowanym tonem „bostońskich braminów".

Anne była już nieco zmęczona, gdy po zamknięciu banku przybył jej mąż. Pierwszy raz w życiu Richard pił podczas lunchu szampana – stary Amos Kerbes bardzo nalegał, a wszyscy w klubie Somerset na

niego patrzyli, tak że nie sposób było odmówić. Anne odniosła wrażenie, że mąż jest nieco mniej sztywny niż zazwyczaj. Budził zaufanie w swoim czarnym surducie i sztuczkowych spodniach. Miał dobre metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a jego ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku błyszczały w świetle dużej elektrycznej lampy. Mało kto by odgadł, że liczy sobie zaledwie trzydzieści trzy lata: dla niego młodość nigdy nie była ważna, jedynie majątek. Jeszcze raz wezwano Williama Lowella Kane'a i poddano go inspekcji, co wyglądało, jakby ojciec sprawdzał saldo przed zamknięciem banku. Wszystko wydawało się w porządku. Chłopiec miał dwie nogi, dwie ręce, po dziesięć palców u rąk i nóg i Richard nie dostrzegł niczego, co go zbulwersowało, więc William został odesłany.

– Zadepeszowałem wieczorem do dyrektora Gimnazjum św. Pawła. Zapisał Williama na wrzesień tysiąc dziewięćset osiemnastego roku.

Anne nie odezwała się. A więc Richard, pomyślała, już zaplanował synowi karierę.

– A ty, kochanie, czy już całkiem przyszłaś do siebie? – zagadnął. W ciągu swego trzydziestotrzyletniego życia nie spędził ani jednego dnia w szpitalu.

– Tak… nie… chyba tak – wybąkała Anne trwożnie, hamując łzy cisnące się do oczu, gdyż wiedziała, że płacz zirytuje męża.

Takich odpowiedzi trzeźwy umysł Richarda po prostu nie rejestrował. Pocałował więc żonę w policzek i odjechał swoim powozem na Louisburg Square do Czerwonego Domu, rodowej siedziby. Wraz z pracownikami, służbą, dzieckiem i nianią będzie

miał do wykarmienia dziewięć osób. Ale takimi drobnostkami Richard nie zaprzątał sobie głowy.

Chrzest Williama Lowella Kane'a – błogosławieństwo i nadanie imion, które ojciec wyznaczył chłopcu jeszcze przed urodzeniem – odbył się w protestanckim kościele episkopalnym św. Pawła w obecności wszystkich tych, którzy się w Bostonie liczyli, i niewielu takich, co nie mieli żadnego znaczenia. Nabożeństwo odprawiał sędziwy biskup Lawrence, rodzicami chrzestnymi byli J. P. Morgan i Alan Lloyd, bankierzy o nieskazitelnej reputacji, oraz Milly Preston, najbliższa przyjaciółka Anne. Jego Ekscelencja pokropił wodą święconą czoło Williama; chłopiec ani pisnął. Już się uczył podejścia do życia charakterystycznego dla „bostońskich braminów". Anne dziękowała Bogu za szczęśliwe urodzenie syna, Richard zaś, dla którego Bóg był kimś w rodzaju niebiańskiego buchaltera rejestrującego czyny rodu Kane'ów z pokolenia na pokolenie, za to, że obdarzył go potomkiem, któremu może zostawić fortunę. Przyszło mu jednak do głowy, że roztropnie byłoby spłodzić drugiego syna. Klęcząc, zerknął z zadowoleniem na żonę.

Księga druga

5

Władek Koskiewicz rósł powoli. Dla przybranej matki stało się jasne, że chłopiec zawsze będzie chorowity. Łapał wszelkie możliwe choroby, jakie zazwyczaj przechodzą dzieci, oraz wiele innych, i zarażał nimi całą rodzinę bez wyboru. Helena traktowała go jak rodzonego syna i zawsze broniła zawzięcie, kiedy Jasio zaczynał przypisywać diabłu, a nie Bogu obecność chłopca w ich ciasnej chałupce. Florentyna opiekowała się nim jak własnym dzieckiem. Pokochała go od pierwszego wejrzenia gorącą miłością, której źródłem był lęk, że nikt nigdy nie zechce pojąć za żonę takiej nędzarki jak ona, a więc nie będzie miała własnych dzieci. Władek był jej dzieckiem.

Najstarszy brat, myśliwy, ten, który znalazł Władka nad rzeką, traktował go jak bawidełko, ale zbyt bał się ojca, by przyznać, że polubił wątlutkie niemowlę, które wyrastało na żywego berbecia. Tak czy owak, mały myśliwy w styczniu następnego roku miał zakończyć szkolną edukację i rozpocząć pracę w majątku barona, a dzieci, jak mówił mu ojciec, to babski kłopot. Trzech młodszych braci, Stefana, Józefa i Jana, Władek niewiele obchodził, a najmłodszej z rodziny, malutkiej Zosi, wystarczyło zupełnie, jeśli się do niego czasem przytuliła.

Co najbardziej zaskoczyło oboje rodziców, to charakter i umysłowość Władka, inne niż ich własnych dzieci. Każdemu rzucał się w oczy jego odmienny wygląd i odrębność intelektualna. Koskiewicze jeden w drugiego byli wysocy, grubokościści, szaroocy i

jasnowłosi, natomiast Władek był mały i krągły, ciemnowłosy, o intensywnie niebieskich oczach. Koskiewicze nie mieli zacięcia do nauki i chętnie pozbywano się ich z wiejskiej szkółki, gdy tylko osiągnęli odpowiedni wiek lub z lada jakiego powodu. Władek przeciwnie; wprawdzie zaczął późno chodzić, ale mówił, mając osiemnaście miesięcy, w wieku trzech lat czytał, ale nie potrafił sam się ubrać, pisał, mając pięć lat, ale się moczył. Był utrapieniem ojca i chlubą matki. Pierwsze cztery lata życia Władka upamiętniły się tylko ze względu na jego ustawiczne próby rozstania się z tym światem przez niekończące się choroby, i na nieustępliwe wysiłki Heleny i Florentyny, aby mu na to nie pozwolić. Biegał na bosaka koło małej, drewnianej chatynki w swoim stroju arlekina, nie odstępując matki ani na krok. Kiedy Florentyna wracała ze szkoły, dreptał znowu za nią, dopóki nie położyła go spać. Dzieląc pożywienie między dziewięć osób, Florentyna często oddawała mu pół swojej porcji, a kiedy był chory – całą. Nosił ubranka szyte jej rękoma, śpiewał piosenki, których go uczyła, i dzielił z nią te nieliczne zabawki i podarunki, które dostawała.

Ponieważ Florentyna większość dnia przebywała w szkole, Władek od maleńkiego pragnął tam chodzić. Gdy tylko mu pozwolono, powędrował osiemnaście wiorst (cały czas trzymając mocno rękę Florentyny) przez lasy porośniętych mchem brzóz i sosen i przez wiśniowe i śliwkowe sady do Słonimia, aby rozpocząć naukę.

Polubił szkołę od pierwszego dnia; była ucieczką od małej chatynki, która do tej pory stanowiła cały jego świat. W szkole zetknął się pierwszy raz w życiu z barbarzyńskimi następstwami zaboru tej części Polski przez Rosję. Dowiedział się, że językiem

ojczystym wolno mu się posługiwać tylko w czterech ścianach chaty, natomiast w szkole może mówić tylko po rosyjsku. U innych dzieci odkrył żarliwą dumę z tępionego polskiego języka i kultury. On sam również czuł tę dumę. Ku swojemu zdumieniu Władek zauważył, że nauczyciel, pan Kotowski, nie traktuje go tak lekceważąco jak ojciec. Chociaż i tu był najmłodszy, nie minęło dużo czasu, a przewyższył wszystkich kolegów pod każdym względem prócz wzrostu. Myliła ich jego maleńka figurka; wciąż nie doceniali jego prawdziwych zdolności. Dzieci zawsze sobie wyobrażają, że większe jest lepsze. Przed ukończeniem piątego roku życia Władek był pierwszy w klasie w każdym przedmiocie oprócz kowalstwa.

Pod wieczór, po powrocie do chaty, kiedy inne dzieci pielęgnowały fiołki i konwalie, tak bujnie się pleniące i upojnie pachnące w wiosennym ogródku, zrywały jagody, rąbały drzewo, łapały króliki lub szyły odzienie, Władek czytał i czytał, póki nie pochłonął wszystkich nieotwieranych dotąd książek najstarszego brata, a potem starszej siostry. Z czasem Helena Koskiewicz uprzytomniła sobie, że została obdarowana sowiciej niż przypuszczała, gdy jej syn, myśliwy, przyniósł do domu małego stworka zamiast trzech królików; już teraz Władek zadawał pytania, na które nie umiała odpowiedzieć. Wkrótce zrozumiała, że nie poradzi sobie sama, i nie wiedziała, co robić. Niezachwianie jednak wierzyła w przeznaczenie i wcale się nie zdziwiła, kiedy los sam za nią zadecydował.

Pewnego jesiennego wieczoru w 1911 roku w życiu Władka nastąpił pierwszy zwrot. Cała rodzina właśnie skończyła jeść niewyszukaną kolację składającą się z barszczu i siekanych kotletów i Jasio chrapał już w najlepsze przy piecu, Helena zajęła się szyciem, a

dzieci się bawiły. Władek siedział zaczytany u stóp matki, gdy wtem, wśród gwaru sprzeczki Stefana i Józefa o świeżo pomalowane sosnowe szyszki, rozległo się mocne stukanie do drzwi. Wszyscy umilkli. Stukanie do drzwi zawsze było zaskoczeniem dla rodziny Koskiewiczów, ich chatynkę bowiem dzieliło osiemnaście wiorst od Słonimia i ponad sześć od majątku barona. Właciwie nikt ich nie odwiedzał, a zabłąkany gość mógł co najwyżej liczyć na poczęstowanie sokiem z jagód i hałaśliwe towarzystwo dzieci. Wszyscy z niepokojem spojrzeli na drzwi. Czekali na powtórne stuknięcie, jakby pierwszego nie było. Powtórzyło się, tym razem nieco głośniej. Jasio podniósł się ospale z krzesła, podszedł do drzwi i nieufnie je otworzył. Na widok mężczyzny stojącego w progu wszyscy skłonili głowy oprócz Władka, który wlepił wzrok w szeroką, postawną, arystokratyczną postać w ciężkiej niedźwiedziej szubie, postać, która przytłoczyła małą izdebkę i wzbudziła lęk w oczach ojca. Kordialny uśmiech rozproszył ten lęk i wieśniak zaprosił barona Rosnowskiego do środka. Nikt się nie odezwał. Nigdy dotychczas baron nie odwiedzał chaty i żadne z nich nie wiedziało, co należy powiedzieć.

Władek odłożył książkę, wstał, podszedł do przybysza i wyciągnął rękę, zanim ojciec zdołał mu przeszkodzić.

– Dobry wieczór panu – powiedział.

Baron ujął podaną rękę i obaj spojrzeli sobie w oczy. Kiedy baron puścił jego dłoń, Władek dostrzegł na jego przegubie wspaniałą srebrną bransoletę z wyrytym na niej napisem, którego nie umiał odczytać.

– To pewno ty jesteś Władek.

– Tak, proszę pana – rzekł Władek, ani głosem, ani miną nie okazując zdziwienia, że baron zna jego imię.

– Właśnie w twojej sprawie przyszedłem się zobaczyć z twoim ojcem – powiedział baron.

Władek pozostał tam, gdzie był, wpatrzony w barona. Wieśniak ruchem ręki nakazał dzieciom, żeby zostawiły go sam na sam z chlebodawcą, więc dwie dziewczynki dygnęły, czterej chłopcy zgięli się w ukłonie i cała szóstka w milczeniu wycofała się na stryszek. Władek został na swoim miejscu i nikt nie polecił mu odejść.

– Koskiewicz – zaczął baron, nadal stojąc, ponieważ nikt go nie poprosił, by usiadł. Wieśniak nie uczynił tego z dwu powodów: po pierwsze, był zbyt onieśmielony, a po drugie, sądził, że baron przyszedł zmyć mu głowę. – Chciałem was prosić o przysługę.

– Wszystko, co pan każe, jaśnie panie – odparł wieśniak, dziwiąc się w duchu, co też takiego mógłby dać baronowi, czego ten by nie miał po stokroć więcej.

– Mój syn Leon – ciągnął baron – ma teraz sześć lat i uczą go dwaj mieszkający w zamku guwernerzy, Polak i Niemiec. Mówią, że jest uzdolniony, ale brak mu zachęty do nauki, gdyż jest sam i nie ma rywala. Pan Kotowski, nauczyciel ze szkół w Słonimiu, powiedział mi, że tylko Władek byłby rywalem stosownym dla Leona. Chciałbym więc zapytać, czybyście nie zezwolili synowi opuścić wiejskiej szkoły i przenieść się do zamku, aby uczył się wraz z Leonem pod okiem guwernerów?

Władek nadal stał wpatrzony w barona, a oczyma wyobraźni oglądał już cudowną wizję dobrego jedzenia i picia oraz książek i nauczycieli o wiele mądrzejszych od pana Kotowskiego. Zerknął na matkę. I ona wpatrywała się w barona, a jej twarz wyrażała

zdumienie i smutek. Ojciec Władka odwrócił się ku żonie i ta chwila milczącego porozumienia zdała się dziecku wiecznością.

– To zaszczyt dla nas, jaśnie panie – wieśniak skłonił się do stóp baronowi.

Baron spojrzał pytająco na Helenę Koskiewiczową.

– Święta Panienka nie dopuści, żebym miała kiedyś stanąć na drodze mojego dziecka – powiedziała cicho kobieta – chociaż tylko Ona jedna wie, ile będzie mnie kosztowało to rozstanie.

– Ależ, moja Koskiewiczowo, syn będzie mógł was regularnie odwiedzać.

– Tak, jaśnie panie. Na pewno będzie to robił z początku. – Chciała jeszcze o coś poprosić, lecz zmilczała.

– Doskonale – uśmiechnął się baron – więc postanowione. Przyprowadźcie chłopca jutro przed siódmą rano do zamku.

Podczas trymestru szkolnego Władek będzie mieszkał z nami, a przed Bożym Narodzeniem do was wróci.

Władek wybuchnął płaczem.

– Cicho bądź! – ofuknął go wieśniak.

– Ja nie pójdę – stanowczo oświadczył Władek, który tylko o tym marzył.

– Cicho bądź – powtórzył wieśniak trochę głośniej.

– Ale dlaczego? – spytał baron ze współczuciem.

– Nigdy nie zostawię Florci. Nigdy.

– Florci? – zdziwił się baron. – A któż to taki?

– Moja najstarsza córka – wtrącił wieśniak. – Proszę się o nią nie turbować, jaśnie panie. Chłopiec zrobi, co mu się każe.

Zapadła cisza. Baron coś rozważał. Władek nadal ronił wymuszone łzy.

– Ile dziewczynka ma lat? – spytał wreszcie baron.

– Czternaście – powiedział wieśniak.

– Czy nadawałaby się do pomocy w kuchni? – dowiadywał się baron, stwierdzając z ulgą, iż Helena Koskiewicz nie wtóruje synowi płaczem.

– O tak, jaśnie panie – rzekła Helena. – Florcia umie gotować, szyć i...

– Dobrze, dobrze, niech więc też przyjdzie. Będę na nich czekał jutro o siódmej.

Baron odwrócił się do wyjścia, obejrzał się i uśmiechnął do Władka, a ten odwzajemnił uśmiech. Władek dobił pierwszego w życiu targu. Zapatrzony w zamknięte drzwi poczuł mocny uścisk matki i usłyszał jej szept:

– Oj, matczyna kruszynko, co też teraz z tobą będzie?

Władek był ciekaw jeszcze bardziej. Helena Koskiewicz pakowała w nocy rzeczy Władka i Florentyny, co wcale nie znaczyło, że mieli ich dużo; nawet spakowanie dobytku całej rodziny nie zajęłoby wiele czasu. Rankiem wszyscy ustawili się przed chatą i odprowadzali spojrzeniami dwoje dzieci wyruszających do zamku, każde z owiniętą w papier paczką pod pachą. Florentyna, wysoka i poruszająca się z wdziękiem, co chwilę odwracała się z płaczem i machała ręką, ale mały i niezgrabny Władek ani razu nie obejrzał się za siebie. Florentyna trzymała mocno rękę Władka cały czas, aż do zamku barona. Role się odwróciły; od tego dnia on stał się jej opiekunem.

W zamku barona najwyraźniej ich oczekiwano, bowiem na nieśmiałe pukanie do wielkich dębowych drzwi wyjrzał zaraz

człowiek odziany w zieloną, zdobną haftem liberię. Dzieci nieraz w mieście przyglądały się z podziwem szarym mundurom żołnierzy pilnujących pobliskiej granicy, ale nigdy w życiu nie oglądały tak olśniewającej postaci jak ów wystrojony sługa, patrzący na nich z wysoka i na pewno bardzo ważny. Główna sala zamkowa wyłożona była grubym dywanem i Władek jak urzeczony wpatrywał się w piękne zielono-czerwone wzory, niepewny, czy nie powinien zdjąć butów, i zdumiony, że nie słyszy własnych kroków. Olśniewająca postać zaprowadziła dzieci do przeznaczonych dla nich sypialni w zachodnim skrzydle zamku. Oddzielne sypialnie! Czy potrafią w nich kiedykolwiek zasnąć? Łączyły je na szczęście drzwi, więc nigdy nie byli zbyt daleko od siebie, zresztą przez wiele nocy spali razem w jednym łóżku.

Kiedy się rozpakowali, Florentynę zaprowadzono do kuchni, a Władka do dziecinnej bawialni w południowym skrzydle zamku, gdzie czekał Leon, syn barona. Był to wysoki, ładny chłopiec, który tak miło i bezpośrednio przywitał Władka, iż ten z ulgą i zdziwieniem od razu wyzbył się przybranej na wszelki wypadek zaczepnej postawy. Leon był osamotniony i nie miał nikogo do zabawy prócz swej niani, przywiązanej do niego Litwinki, która wykarmiła go piersią i opiekowała się nim od czasu przedwczesnej śmierci matki. Krępy chłopaczek z lasu będzie jego upragnionym towarzyszem zabaw. Obaj wiedzieli, że przynajmniej pod jednym względem zostali uznani za równych. Leon z miejsca zaproponował, że oprowadzi Władka po zamku, i wyprawa ta zajęła im cały ranek. Władek oszołomiony był ogromem budowli, przepychem umeblowania i tkanin, a zwłaszcza kobiercami wyścielającymi wszystkie komnaty. Nie okazywał jednak Leonowi przepełniającego go zachwytu; w

końcu wezwano go tutaj, gdyż sobie na to zasłużył. Główna część zamku to wczesny gotyk, objaśnił syn barona, jakby Władkowi cokolwiek to mówiło. Władek z mądrą miną kiwnął głową. Następnie Leon zaprowadził Władka do ogromnych piwnic, gdzie ujrzał niekończące się rzędy butelek z winem, okrytych kurzem i pajęczyną. Najbardziej spodobała się Władkowi olbrzymia sala jadalna o potężnym sklepieniu wspartym na filarach i posadzce z kamiennych płyt. Na ścianach rozwieszono wypchane głowy zwierząt. Leon powiedział mu, że to żubry, niedźwiedzie, łosie, dziki i żbiki. W głębi sali, pod rogami jelenia, widniał przepyszny herb barona. Dewiza rodu Rosnowskich brzmiała: „Odważnym fortuna sprzyja". Po obiedzie, którego Władek prawie nie tknął, ponieważ nie umiał posługiwać się nożem i widelcem, poznał obu guwernerów, którzy nie przywitali go równie serdecznie jak Leon; wieczorem wgramolił się do najdłuższego łóżka, jakie w życiu widział, i opowiedział Florentynie o swoich przygodach. Słuchała go przejęta, z otwartą buzią, ani na chwilę nie odrywając od niego błyszczących ciekawością oczu, a jej zdumienie dosięgło szczytu, kiedy wspomniał o nożu i widelcu, ilustrując opowieść złączonymi palcami prawej ręki i rozczapierzonymi lewej.

Nauka rozpoczęła się punktualnie o siódmej, jeszcze przed śniadaniem, i trwała przez cały dzień z krótkimi przerwami na posiłki. Leon wyraźnie wyprzedzał Władka, ale ten tak zawzięcie zmagał się z podręcznikiem, że po kilku tygodniach zaczął go doganiać, tymczasem zaś rozkwitała przyjaźń i rywalizacja między obu chłopcami. Ani polskiemu, ani niemieckiemu guwernerowi nie przychodziło łatwo traktowanie na równi syna barona i wieśniaka, jednakże zapytani przez barona niechętnie przyznawali, iż wybór

pana Kotkowskiego był trafny. Władek nie przejmował się zbytnio zachowaniem guwernerów, gdyż Leon zawsze go traktował jak równego sobie.

Baron okazywał zadowolenie z postępów obu chłopców i od czasu do czasu obdarowywał Władka ubraniem i zabawkami. Władek, który początkowo z rezerwą i chłodem podziwiał barona, z czasem zaczął go darzyć szacunkiem, a kiedy nadszedł czas powrotu do chatynki w lesie, do ojca i matki, na święta Bożego Narodzenia, chłopcu wcale nie uśmiechało się rozstanie z Leonem.

Z niechęcią opuszczał zamek i wkrótce się przekonał, że przeczucia go nie myliły. Wprawdzie bardzo się ucieszył na widok matki, ale trzymiesięczny pobyt w zamku barona unaocznił mu niedostatki własnego domu, z których przedtem nie zdawał sobie sprawy. Wakacje wlokły się niemiłosiernie. Władek wprost dusił się w małej chatynce z jedną izbą i stryszkiem, nie odpowiadały mu także posiłki podawane w znikomych ilościach i spożywane rękoma; w zamku nikomu nie wydzielano jedzenia. Po dwóch tygodniach Władek już tęsknie wyglądał powrotu do Leona. Każdego popołudnia przemierzał sześć wiorst, siadał i wpatrywał się w mur okalający posiadłość. Florentyna, która przebywała jedynie wśród służby kuchennej, łatwiej zniosła powrót i nie mogła zrozumieć, że dla Władka wiejska chatka nigdy nie będzie już domem. Ojciec nie wiedział, jak odnosić się do Władka, który teraz był dobrze ubrany, wyrażał się po pańsku i, mając sześć lat, mówił o takich rzeczach, których on ani nie rozumiał, ani nie chciał rozumieć. Chłopak nic zupełnie nie robił, cały dzień marnował na czytanie. Co z niego wyrośnie, martwił się ojciec. Jak uczciwie zarobi na życie, skoro nie

umie utrzymać siekiery ani złapać w sidła zająca? On też nie mógł się doczekać końca wakacji.

Helena była z Władka dumna i początkowo nie chciała się przyznać nawet przed sobą, że między Władka i jej własne dzieci wkradła się obcość. W końcu i tak nie dało się tego zataić. Któregoś wieczoru, przy zabawie w wojsko, zarówno Stefan, jak Franek, generałowie przeciwnych stron, odmówili przyjęcia Władka do swoich szeregów.

– Dlaczego nikt nigdy nie chce się ze mną bawić? – rozpłakał się Władek. – Ja też chcę się nauczyć bić.

– Bo ty nie jesteś nasz – oznajmił Stefan. – Nie jesteś naszym prawdziwym bratem.

Zapadła cisza, którą po długiej chwili przerwał Franek.

– Ojciec wcale ciebie nie chciał, tylko matka była za tobą.

Władek stał, jakby wrósł w ziemię, i tylko wodził oczyma po dzieciach, wypatrując Florentyny.

– Dlaczego Stefan powiedział, że nie jestem waszym prawdziwym bratem? – zapytał.

I tak Władek dowiedział się, jak przyszedł na świat, i zrozumiał, dlaczego zawsze odróżniał się od swoich braci i sióstr. Chociaż żal mu było matki, która bolała nad jego zamknięciem się w sobie, cieszył się skrycie, że pochodzi z nieznanego pnia, nie skażonego nikczemną krwią wieśniaka, i że nosi w sobie zalążek ducha, który sprawi, że wszystko teraz stanie się możliwe.

Nieszczęsne wakacje dobiegły końca i Władek z radością powrócił do zamku. Leon powitał go z otwartymi ramionami; dla niego, równie odizolowanego od świata bogactwem barona, jak Władek nędzą swego ojca, wakacje także nie były pasmem szczęścia. Od tego

czasu chłopcy jeszcze bardziej się zbliżyli i wkrótce stali się nierozłączni. Gdy nadeszły letnie wakacje, Leon uprosił ojca, żeby pozwolił Władkowi pozostać w zamku. Baron chętnie się zgodził, bo on również pokochał Władka. Władek nie posiadał się ze szczęścia. Do leśnej chaty zawitał jeszcze tylko raz w życiu.

Po lekcjach Leon z Władkiem resztę dnia spędzali na zabawach. Bardzo lubili bawić się w chowanego; zamek miał siedemdziesiąt dwa pokoje, więc zakamarków było bez liku. Ulubioną kryjówką Władka były podziemia. Tylko słabe światło padające przez wykute w kamieniu okienko mogło zdradzić czyjąś obecność, zresztą i tak nie można się było tam poruszać bez świecy. Władek nie wiedział, jakiemu celowi służyły lochy, żaden ze służących nigdy o tym nie mówił, gdyż za ich pamięci nikt ich nie używał.

Władek dobrze wiedział, że dorównuje Leonowi jedynie w nauce, ale że w żadnej grze z wyjątkiem szachów nie dorasta przyjacielowi do pięt. Graniczącą z posiadłością barona rzeka Szczara była jeszcze jednym miejscem zabaw. Wiosną łowili w niej ryby, latem pływali, zimą zaś, gdy zamarzła, przypinali drewniane łyżwy i ścigali się, a siedząca na brzegu Florentyna ostrzegała ich krzykiem, kiedy zapędzali się na cienki lód. Władek nigdy jej nie słuchał i zawsze to on się zapadał. Leon wyrastał na dużego i silnego chłopca; szybko biegał, dobrze pływał i nigdy się nie męczył ani nie chorował. Patrząc na niego, Władek mógł się przekonać, co to znaczy prezencja i mocna budowa, a kiedy pływał, biegał i ślizgał się na łyżwach, zdawał sobie sprawę, że nigdy nie dorówna Leonowi. Najgorsze jednak, że pępek, który u Leona był niemal niewidoczny, u Władka wyglądał jak obrzydliwy kikucik i ordynarnie sterczał ze środka pulchnego brzucha. Władek nieraz spędzał długie godziny w ciszy własnego

pokoju, studiując w lustrze swój wygląd i wciąż zapytując, dlaczego; zwłaszcza dlaczego ma na piersi tylko jedną brodawkę, kiedy wszyscy chłopcy, których widział z nagim torsem, mieli zawsze dwie, jak tego wymaga symetria ludzkiego ciała. Czasami, gdy bezsennie leżał w łóżku, dotykał palcami swojej klatki piersiowej i ronił łzy żałości na poduszkę. Zasypiając wreszcie, modlił się gorąco, żeby rankiem mógł się zbudzić odmieniony. Jego modlitwy nie zostały jednak wysłuchane.

Co wieczór Władek rezerwował sobie czas na ćwiczenia fizyczne, których nikt nie mógł widzieć, nawet Florentyna. Tylko dzięki swemu uporowi nauczył się tak trzymać, że robił wrażenie wyższego. Wzmacniał mięśnie rąk i nóg, a także wisiał zaczepiony koniuszkami palców na belce w sypialni, licząc, że w ten sposób się wydłuży, ale Leon i tak rósł szybciej, nawet we śnie. Władek musiał w końcu pogodzić się z faktem, że zawsze będzie o głowę niższy od Leona i że nic, nic na świecie, nigdy nie przywróci mu brakującej brodawki. Awersja Władka do własnego ciała wynikała z jego własnych odczuć, Leon bowiem nigdy nie ganił wyglądu przyjaciela; nie znał innych dzieci oprócz Władka, którego bezkrytycznie kochał.

Baron Rosnowski również coraz bardziej przywiązywał się do hardego, ciemnowłosego chłopca, który zastąpił Leonowi młodszego brata, tragicznie utraconego, gdy baronowa umarła w połogu.

Wieczorem obaj chłopcy siadali wraz z nim do kolacji w wielkiej sali zamkowej o posadzce z kamiennych płyt, gdzie migotliwe światło świec rzucało na ściany złowieszcze cienie głów zwierzęcych, a służba krzątała się bezszelestnie, obnosząc wielkie srebrne tace i złocone talerze, podając pieczone gęsi, szynki, raki, wyborne wina i owoce, czasem też mazurki, szczególnie ulubione ciasto Władka. Później, gdy

ciemność gęstniała jeszcze bardziej wokół stołu, baron odprawiał służbę i snuł opowieść o historii Polski, pozwalając chłopcom spróbować gdańskiej wódki, w której maleńkie złote płatki lśniły delikatnie w świetle świec. Władek najczęściej, jak mógł, prosił o opowieść o Tadeuszu Kościuszce.

– Ten wielki patriota i bohater – zwykł wówczas zaczynać baron – prawdziwy symbol naszej walki o niepodległość, kształcony we Francji…

– Którą podziwiamy i kochamy, tak jak nienawidzimy Rosji i Austrii – podchwytywał Władek, tym bardziej rozmiłowany w tej opowieści, że znał ją słowo w słowo.

– Kto komu opowiada, Władku? – pytał ze śmiechem baron. – …walczył następnie w Ameryce wraz z Jerzym Waszyngtonem o wolność i demokrację. W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym drugim roku poprowadził polskie wojsko pod Dubienką. Kiedy nieszczęsny król Stanisław August opuścił nas i przeszedł na stronę Rosjan, Kościuszko wrócił do ojczyzny, którą ukochał, aby uwolnić ją z jarzma caratu. Gdzie wygrał bitwę, Leonie?

– Pod Racławicami, ojcze, a potem odbił Warszawę z rąk wroga.

– Dobrze, moje dziecko. Niestety, później Rosjanie zgromadzili wielkie siły pod Maciejowicami i ostatecznie Kościuszko przegrał i dostał się do niewoli. Mój przodek bił się tego dnia pod Kościuszką, a potem w Legionach Dąbrowskiego u boku wielkiego cesarza Napoleona Bonaparte.

– I za zasługi dla Polski otrzymał tytuł i nazwisko barona Rosnowskiego, nadanie, które pański ród po wsze czasy zachowa dla upamiętnienia tych wielkich dni – wyrecytował Władek z takim przejęciem, jakby kiedyś miał ów tytuł odziedziczyć.

– Dni chwały powrócą – powiedział cicho baron. – Modlę się, żebym tego dożył.

Przed Bożym Narodzeniem wieśniacy z majątku barona schodzili się z rodzinami do zamku, spędzając czas na czuwaniu i modlitwie. W Wigilię Bożego Narodzenia pościli, a dzieci wypatrywały pierwszej gwiazdki, żeby można było zasiąść do wieczerzy. Baron odmawiał modlitwę swoim pięknie brzmiącym, głębokim głosem: *Benedicte nobis, Domine Dens et hic donis quae ex liberalitate tua sumpturi sumus*, i kiedy już wszyscy usiedli, Władek rumienił się ze wstydu za Jasia Koskiewicza, który zmiatał doszczętnie każde z trzynastu dań od barszczu aż do ciasta i kompotu ze śliwek, aby potem, jak w ubiegłych latach, zwrócić wszystko w lesie, w drodze do domu.

Po wieczerzy zaczynała się ku radości Władka ceremonia rozdawania prezentów spod uginającej się od świeczek i owoców choinki osłupiałym z zachwytu wiejskim dzieciom – lalka dla Zosi, myśliwski nóż dla Józefa, nowa sukienka dla Florentyny, pierwszy podarunek, o jaki Władek poprosił barona.

– To prawda, że on nie jest naszym bratem? – spytał Józef matkę, gdy Władek wręczył mu podarek.

– Tak. – Odparła. – Ale zawsze będzie moim synem.

Przez zimę i wiosnę 1914 roku Władek wyrósł na silnego chłopca i poczynił duże postępy w nauce. Nagle w lipcu nauczyciel Niemiec opuścił zamek bez słowa pożegnania; żaden z chłopców nie rozumiał dlaczego. Nie przyszło im do głowy, że jego wyjazd mógł mieć związek z zabójstwem arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, dokonanym przez studenta anarchistę, o czym powiadomił ich drugi nauczyciel dziwnie poważnym tonem. Baron zamknął się w sobie;

żaden z chłopców nie wiedział dlaczego. Młodsi służący, ulubieńcy dzieci, zaczęli znikać jeden po drugim; żaden z chłopców nie miał pojęcia dlaczego. Gdy rok przeminął, Leon jeszcze wyrósł, Władek nabrał tężyzny, a obaj zmądrzeli.

Pewnego ranka latem 1915 roku, gdy nadeszły piękne, rozleniwiające dni, baron wyruszył w daleką podróż do Warszawy, żeby, jak to ujął, uporządkować swoje sprawy. Był nieobecny przez trzy i pół tygodnia, całe dwadzieścia pięć dni, które Władek odkreślał każdego ranka w kalendarzu wiszącym w jego pokoju; zdawało mu się, że to wieczność. W dniu wyznaczonego powrotu obaj chłopcy wyjechali na stację kolejową w Słonimiu, aby czekać na przybywający raz w tygodniu pociąg z jednym wagonem i powitać barona. Wszyscy trzej wracali w milczeniu do domu.

Władek odniósł wrażenie, że jego ideał postarzał się i wygląda na znużonego, co było czymś niezwykłym. W ciągu następnego tygodnia baron często prowadził z zarządzającymi służbą krótkie, trwożne narady, przerywane w momencie, gdy tylko Leon lub Władek wchodzili do pokoju; ta niezwykła tajemniczość napawała chłopców niepokojem i obawą, iż są nieświadomie jej powodem. Władek rozpaczał, że baron odeśle go z powrotem do leśnej chaty; cały czas pamiętał, że jest obcy w obcym domu.

Któregoś wieczoru, w kilka dni po powrocie, baron wezwał chłopców do wielkiej sali zamkowej. Weszli cichutko, obaj przestraszeni. Bez żadnych wstępów oznajmił im, że niedługo wyruszą w daleką drogę. Tę krótką rozmowę, mało ważną, jak wówczas sądził, Władek miał zapamiętać na całe życie.

– Kochane dzieci – zaczął baron cichym, drżącym głosem – najeźdźcze armie Niemiec i Austro-Węgier otoczyły Warszawę i

niedługo wtargną do nas.

Władkowi przemknęło przez głowę niezrozumiałe zdanie, które polski guwerner rzucił Niemcowi w ostatnich, pełnych napięcia dniach, kiedy jeszcze byli razem.

– Czy to znaczy, że nareszcie wybiła godzina wolności dla zniewolonych ludów Europy? – zapytał.

Baron z czułością spojrzał na niewinną twarz chłopca.

– Nasz narodowy duch nie upadł w ciągu stu pięćdziesięciu lat ucisku i prześladowań – odparł. – Może być, że ważą się losy tak Polski, jak i Serbii, ale jesteśmy bezsilni i nie mamy wpływu na historię. Zdani jesteśmy na łaskę trzech potężnych wrogów, którzy nas otaczają.

– Jesteśmy silni, umiemy się bić – odezwał się Leon. – Mamy drewniane miecze i tarcze. Nie boimy się Niemców ani Rosjan.

– Mój synku, ty tylko bawiłeś się w wojnę. Tej wojny nie rozstrzygną dzieci. Musimy teraz schronić się w spokojnym miejscu i przetrwać dopóty, dopóki historia nie zadecyduje o naszych losach. Musimy jak najszybciej stąd wyjechać. Mogę się tylko modlić, żeby to nie był koniec waszego dzieciństwa.

Słowa barona zarazem oszołomiły i rozdrażniły chłopców. Wojnę wyobrażali sobie jako emocjonującą przygodę, która ich na pewno ominie, jeśli wyjadą z zamku. Pakowanie zajęło służbie kilka dni, a Władkowi i Leonowi zapowiedziano, że w najbliższy poniedziałek wszyscy wyruszą do letniego domu na północ od Grodna. Obaj chłopcy, przeważnie zostawieni sami sobie, nadal uczyli się i bawili, a nikt w zamku nie miał czasu ani ochoty odpowiadać na ich niezliczone pytania.

W sobotę jak zwykle lekcje odbywały się tylko rano. Tłumaczyli właśnie *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza na łacinę, kiedy usłyszeli huk wystrzałów. Zrazu Władek myślał, że to jakiś myśliwy poluje w okolicy, i chłopcy wrócili do poezji. Następna seria strzałów dobiegła już z bliska i zaraz potem usłyszeli krzyki na dole. Spojrzeli po sobie z osłupieniem. Nie bali się, bowiem żaden z nich w swoim krótkim życiu nie doświadczył niczego, co przejęłoby go strachem. Nauczyciel uciekł, zostawiwszy ich samych, i niedługo usłyszeli strzał, tym razem na korytarzu, tuż za drzwiami. Zamarli z przerażenia i wstrzymali oddech.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i w progu stanął żołnierz w szarym mundurze i stalowym hełmie, nie starszy od ich guwernera. Leon przylgnął do Władka, a ten wbił wzrok w nieproszonego gościa. Żołnierz krzyknął do nich po niemiecku, pytając, kim są, żaden jednak mu nie odpowiedział, chociaż doskonale znali język i mogli się nim posługiwać równie biegle jak polskim. Następny żołnierz pojawił się za plecami pierwszego, ten zaś podszedł do chłopców, schwycił jednego i drugiego jak kurczęta i wywlókł na korytarz, schodami na dół i do ogrodu, gdzie ujrzeli histerycznie krzyczącą, wpatrującą się w trawnik Florentynę. Leon nie mógł znieść okropnego widoku i ukrył głowę na ramieniu Władka. Władek ze zdumieniem i zgrozą patrzył na leżące szeregiem martwe ciała, przeważnie służących, obrócone twarzami do dołu. Nagle spostrzegł wąsy moknące w kałuży krwi. To był jego przybrany ojciec. Władek nie czuł nic, słyszał tylko krzyk Florentyny.

– Czy papa tam jest? Czy papa tam jest? – dopytywał się Leon.

Władek raz jeszcze uważnie przebiegł wzrokiem szereg leżących ciał. Podziękował Bogu, że nie ma wśród nich barona Rosnowskiego i

już chciał obwieścić Leonowi dobrą wiadomość, gdy podszedł do nich żołnierz.

– *Wer hat gesprochen?* – zapytał z wściekłością.

– *Ich* – hardo odpowiedział Władek.

Żołnierz uniósł karabin i kolbą zdzielił go w głowę. Chłopiec upadł na ziemię z twarzą zalaną krwią. Gdzie jest baron, co się dzieje, dlaczego są tak traktowani we własnym domu? Leon błyskawicznie skoczył i zasłonił Władka własnym ciałem przed następnym ciosem. Żołnierz zamierzył się, celując w żołądek Władka, lecz kolba z całą siłą trafiła w tył głowy Leona.

Obaj chłopcy leżeli bez ruchu; Władek nie mógł się ruszyć, dlatego że ogłuszył go cios i przygniótł ciężar ciała Leona. Leon był martwy.

Władek usłyszał, jak drugi żołnierz złorzeczy oprawcy. Spróbowali podnieść Leona, ale Władek uczepił się go z całej siły. Dwaj żołnierze z trudem wyrwali zwłoki z jego rąk i cisnęli je bezceremonialnie na ziemię, twarzą do trawy. Władek stał jak skamieniały i wpatrywał się w nieruchome ciało najdroższego przyjaciela, póki nie zagoniono go na powrót do zamku i wraz z garstką oszołomionych niedobitków nie zaprowadzono do podziemi. Nikt nie odważył się odezwać ze strachu, że podzieli los zabitych na trawniku, aż drzwi zostały zaryglowane i ucichły głosy oddalających się żołnierzy. Wówczas Władek wykrzyknął: „Święty Boże!" – albowiem w kącie, pod murem, dostrzegł skuloną sylwetkę barona; nie był ranny, tylko ogłuszony i wpatrywał się w przestrzeń niewidzącymi oczyma. Ocalał wyłącznie dlatego, że zdobywcy potrzebowali kogoś do sprawowania pieczy nad resztą więźniów. Władek podszedł do niego, pozostali zaś usadowili się jak najdalej od swego pana. Obaj spojrzeli sobie w oczy, jak za pierwszym razem, kiedy się spotkali. Władek wyciągnął rękę i baron

ją ujął. Chłopiec patrzył na łzy spływające po dumnej twarzy barona. Żaden z nich nie przemówił. Stracili jedyną osobę, która była im droższa nad wszystko.

6

William Kane rósł bardzo szybko, a wszyscy, którzy się z nim stykali, uważali go za rozkosznego brzdąca; w jego wczesnym dzieciństwie byli to na ogół zaślepieni krewni i roztkliwiająca się służba.

Najwyższe piętro osiemnastowiecznego domu rodziny Kane'ów przy Louisburg Square w Beacon Hill przekształcono w dziecięce królestwo wypełnione zabawkami. Ponadto dla nowo zaangażowanej niani przeznaczono sypialnię i salonik. Piętro było na tyle oddalone od Richarda Kane'a, iż nie docierały do niego takie zagadnienia, jak ząbkowanie, moczenie pieluch oraz nieregularne, niezdyscyplinowane krzyki o pokarm. Pierwszy dźwięk, pierwszy ząb, pierwszy krok i pierwsze słowo zostały odnotowane w kronice rodzinnej przez matkę Williama, wraz z przyrostem jego wagi i wzrostu. Anne zaskoczyło odkrycie, że postępy Williama niespecjalnie się różnią od postępów innych dzieci z Beacon Hill.

Niania Williama, sprowadzona specjalnie z Anglii, chowała chłopca w takim drylu, że zaimponowałoby to nawet pruskiemu oficerowi kawalerii. Ojciec odwiedzał Williama co wieczór o szóstej. Ponieważ nie chciał przemawiać do syna dziecięcym szczebiotem, w rezultacie wcale się nie odzywał; obaj tylko patrzyli na siebie. William chwytał wskazujący palec ojca, ten, którym Richard wodził po papierze, sprawdzając zestawienia bilansowe, i mocno go ściskał. Richard pozwalał sobie wówczas na uśmiech. Gdy dziecko skończyło roczek, reżim został nieco złagodzony i Williamowi pozwolono odwiedzać ojca na dole. Richard zazwyczaj siedział w swoim obitym

wiśniową skórą fotelu z wysokim oparciem i obserwował pierworodnego raczkującego po podłodze i wyłaniającego się zza nóg kolejnego mebla w najbardziej nieoczekiwanych momentach, co skłoniło go do refleksji, że niechybnie mały zostanie kiedyś senatorem. William postawił pierwsze kroki, mając trzynaście miesięcy, schwyciwszy za poły ojcowskiej bonżurki. Pierwsze słowo, jakie wypowiedział, brzmiało „tata", co zadowoliło wszystkich, łącznie z babkami Kane i Cabot, które regularnie odwiedzały dom. Co prawda nie pchały wózka, w którym Williama obwożono po Bostonie, raczyły jednak postępować parę kroków za nianią w czwartkowe popołudnia w parku, patrząc z przyganą na dzieci, którym nie towarzyszyła równie szacowna świta. Gdy inne dzieci karmiły kaczki w publicznych parkach, William wabił z powodzeniem łabędzie w lagunie przy zbytkownym Pałacu Weneckim Jacka Gardnera.

Po upływie dwóch lat babki napomknieniami i aluzjami zaczęły dawać do zrozumienia, że pora na jeszcze jednego potomka, odpowiedniego towarzysza dla Williama. Zgodnie z ich życzeniem Anne zaszła w ciążę, jednakże z początkiem czwartego miesiąca z niepokojem stwierdziła, że czuje się coraz gorzej.

Doktor MacKenzie po zbadaniu Anne przestał się uśmiechać, kiedy zaś poroniła w szesnastym tygodniu ciąży, nie był wcale zaskoczony, lecz nie pozwolił jej pogrążyć się w rozpaczy. Zapisał w swoim notesie „stan przedrzucawkowy", a następnie powiedział:

– Anne, moja droga, powodem twoich dolegliwości było za wysokie ciśnienie krwi, które zapewne by rosło wraz z rozwojem ciąży. Niestety, medycyna nie zna na razie sposobu na obniżenie ciśnienia i wiemy na ten temat niewiele więcej poza tym, iż jest to stan groźny dla każdego, a zwłaszcza dla brzemiennej kobiety.

Anne powstrzymywała łzy napływające do oczu, próbując zarazem wyobrazić sobie przyszłość bez możliwości urodzenia więcej dzieci.

– Ale te objawy z pewnością nie wystąpią przy następnej ciąży? – zagadnęła, w taki sposób formułując pytanie, żeby nakłonić doktora do pomyślnej odpowiedzi.

– Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nie wystąpiły, moja droga. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale ja bym stanowczo odradzał ponowne zajście w ciążę.

– Ależ ja zniosę parę miesięcy złego samopoczucia, jeśli w rezultacie…

– Nie mówię o złym samopoczuciu, Anne, ale o zagrożeniu twojego życia.

Dla Anne i Richarda, którzy sami pozbawieni byli rodzeństwa wskutek przedwczesnej śmierci ojców, był to okrutny cios. Oboje pragnęli stworzyć rodzinę odpowiednią do imponujących rozmiarów ich domu i na miarę ich poczucia odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń.

– Czymże innym może się zająć młoda kobieta? – zagadnęła babka Cabot babkę Kane. Nikt nie powracał więcej do tego tematu i William stał się dla wszystkich oczkiem w głowie.

Richarda, który został dyrektorem generalnym Towarzystwa Bankowego i Powierniczego Kane’a i Cabota, jak brzmiała pełna nazwa owej instytucji, po śmierci ojca w 1904 roku, zawsze bez reszty pochłaniała praca. Bank znajdujący się przy State Street, bastion solidności architektonicznej i finansowej, miał swoje filie w Nowym Jorku, Londynie i San Francisco. Zaraz po narodzinach Williama ta ostatnia przysporzyła Richardowi poważnych kłopotów, kiedy podobnie jak Crocker National Bank, Wells Fargo i California Bank

została unicestwiona, nie w sensie finansowym, lecz dosłownie, w wielkim trzęsieniu ziemi 1906 roku. Richard, rozważny z natury, wysoko ubezpieczył swój bank u Lloyda w Londynie. Angielscy dżentelmeni wypłacili wszystko co do grosza, umożliwiając Richardowi jego odbudowę. Aby jej doglądać, przez cały rok musiał przemierzać tam i z powrotem Amerykę i trząść się w pociągach, które z Bostonu do San Francisco jechały cztery dni. W październiku 1907 roku dokonał otwarcia nowej filii na Union Square, w samą porę, żeby zdążyć zająć się kolejnymi kłopotami, tym razem na Wschodnim Wybrzeżu. Zaczął się niewielki run na banki nowojorskie i wiele drobnych placówek nie wytrzymywało naporu klientów i ogłaszało bankructwo. J. P. Morgan, owiany legendą prezes potężnego banku noszącego jego imię, zaproponował Richardowi przystąpienie do konsorcjum powołanego w celu wspólnego przezwyciężenia kryzysu. Richard przyjął ofertę, śmiała taktyka odniosła skutek i wszystko wróciło do normy, niemniej Richard przeżył kilka bezsennych nocy.

Za to William spał zdrowo, nieświadom trzęsienia ziemi i upadających banków. Wszak czekało go karmienie łabędzi i niekończące się wyprawy do Miltonu, Brooklynu i Beverly, gdzie prezentowano go dystyngowanym kuzynom.

Wczesną wiosną następnego roku Richard sprawił sobie nową zabawkę w efekcie rozważnej lokaty kapitału w przedsięwzięciu podjętym przez człowieka o nazwisku Henry Ford, który dowodził, że potrafi wyprodukować popularny samochód. Bank wydał obiad na cześć Forda, i Richard został nakłoniony do nabycia modelu T za bajońską sumę ośmiuset pięćdziesięciu dolarów. Henry Ford zapewnił Richarda, że jeśli bank udzieli mu finansowego poparcia, w

ciągu kilku lat obniży koszt do trzystu pięćdziesięciu dolarów i wszyscy będą kupowali jego samochody, co zapewni wysokie zyski bankowi. Richard przychylił się do jego prośby, po raz pierwszy stawiając na człowieka, któremu zależało na zmniejszeniu o połowę ceny swojego towaru.

Początkowo Richard się obawiał, iż jego wehikuł, aczkolwiek dostojnie czarny, nie będzie licował z powagą bankiera, jednakże pełne podziwu spojrzenia przechodniów rozproszyły jego wątpliwości. Pojazd, który rozwijał prędkość dziesięciu mil na godzinę, był wprawdzie o wiele bardziej hałaśliwy niż koń, ale miał tę przewagę, że nie paskudził na środku Mount Vernon Street. Richardowi nie podobało się tylko, iż Ford nie zaaprobował jego sugestii, aby model T produkowano w różnych kolorach. Ford upierał się, że wszystkie wozy winny być czarne, co obniży ich cenę. Anne, bardziej niż mąż licząca się z opinią wytwornego towarzystwa, nie wsiadła do samochodu, póki Cabotowie nie sprawili sobie podobnego.

Za to William uwielbiał „automobil", jak zwała go prasa, i z miejsca osądził, że pojazd kupiono specjalnie dla niego w miejsce zbytecznego już, niewyposażonego w silnik wózka. Wolał też od niani szofera w goglach i płaskiej czapce z daszkiem. Babka Kane i babka Cabot poprzysięgły, że nigdy nie będą podróżować tą piekielną machiną i przysięgi dotrzymały, choć należy tu wspomnieć, iż babka Kane jechała na własny pogrzeb samochodem, ale na szczęście o tym nie wiedziała.

W ciągu następnych dwóch lat bank rósł w siłę i powiększał swoje rozmiary, podobnie jak William. Amerykanie znowu postawili na ekspansję i do banku Kane'a i Cabota wpływały duże pieniądze, które

z kolei inwestowano w takie przedsięwzięcia, jak doskonale prosperująca garbarnia w Lowell, w stanie Massachusetts. Richard obserwował rozwój swego banku oraz syna ze zrozumiałą satysfakcją. Po ukończeniu przez Williama piątego roku życia zabrał chłopca z rąk kobiet i oddał pod opiekę zaangażowanemu za czterysta pięćdziesiąt dolarów rocznie prywatnemu nauczycielowi, panu Munro, osobiście wybranemu przez niego spośród ośmiu kandydatów, wyselekcjonowanych uprzednio przez jego osobistą sekretarkę. Panu Munro powierzono zadanie przygotowania Williama do Gimnazjum św. Pawła, do którego miał wstąpić w wieku dwunastu lat. William od razu go polubił, uznawszy za bardzo starego i mądrego. W rzeczywistości był to dwudziestotrzyletni młodzieniec, absolwent wydziału anglistyki Uniwersytetu Edynburskiego, posiadacz dyplomu z wyróżnieniem drugiej klasy.

William prędko nauczył się pisać i płynnie czytać, ale największe zamiłowanie miał do rachunków. Narzekał, że na osiem lekcji dziennie zaledwie jedna poświęcona jest arytmetyce. Nie wahał się wytknąć ojcu, iż jedna ósma dnia pracy to za skromny wkład czasu jak na kogoś, kto pewnego dnia pokieruje bankiem.

Żeby powetować sobie brak przezorności nauczyciela, William dręczył wszystkich, którzy mu się nawinęli, domagając się zadań, które mógłby rozwiązać w pamięci. Babkę Cabot, która nie była w stanie pojąć, że liczba całkowita podzielona przez cztery zawsze da ten sam wynik, co pomnożona przez jedną czwartą (zresztą wyniki, jakie otrzymywała, rzeczywiście często się różniły), wnuk prędko zdystansował, ale babka Kane, niepozbawiona pewnych zdolności, mężnie zmagała się z ułamkami zwykłymi, procentami składanymi oraz podziałem ośmiu ciastek między dziewięcioro dzieci.

– Babciu – zażądał William grzecznie, lecz stanowczo, kiedy nie udało się jej rozwiązać najnowszej łamigłówki – kup mi suwak logarytmiczny, to nie będę ci więcej zawracał głowy.

Babkę zaskoczyła prośba nad wiek rozwiniętego wnuka, mimo to podarowała mu suwak, powątpiewając w duchu, czy dziecko potrafi się nim posługiwać. Jak daleko sięgała pamięć rodziny, pierwszy raz się zdarzyło, że babka Kane wybrała łatwiejsze wyjście z kłopotu.

Tymczasem kłopoty Richarda przemieściły się na wschód. Prezes londyńskiej filii banku wyzionął ducha przy własnym biurku i Richard uznał, iż jego obecność na Lombard Street jest nieodzowna. Zaproponował Anne, żeby razem z Williamem towarzyszyła mu do Europy, bowiem podróż tylko wzbogaci edukację chłopca; zwiedzi te wszystkie miejsca, o których tak często opowiadał mu nauczyciel. Anne, która nigdy jeszcze nie była w Europie, przyjęła projekt z entuzjazmem. Wypełniła całe trzy kufry podróżne eleganckimi, kosztownymi nowymi strojami, żeby podbić w nich Stary Świat. Nie zgodziła się jednak, co William uznał za niesprawiedliwe, na zabranie roweru, jego zdaniem równie niezbędnego w podróży.

Państwo Kane pojechali pociągiem do Nowego Jorku, aby wsiąść na *Aquitanię* odpływającą do Southampton. Anne wprost przerażał widok ulicznych przekupniów imigrantów natrętnie oferujących swoje towary i odetchnęła, kiedy znalazła się w zaciszu swojej kabiny na statku. Williama, który zawsze do tej pory sobie wyobrażał, że bank ojca jest największym gmachem w Ameryce, jeżeli nie na świecie, olśnił ogrom Nowego Jorku. Koniecznie chciał kupić różowo-żółte lody od sprzedawcy ubranego na biało i noszącego słomkowy kapelusz, ale ojciec nawet nie chciał o tym słyszeć; zresztą Richard nigdy nie miał przy sobie drobnych.

William wpadł w zachwyt na widok olbrzymiego statku i prędko zaprzyjaźnił się z kapitanem, który zaznajomił go z wszystkimi tajnikami primadonny Towarzystwa Parowcowego Cunarda. Richard i Anne, którzy naturalnie zasiadali przy stole kapitańskim, zanim jeszcze statek odpłynął z Ameryki, uznali za stosowne przeprosić, że syn zajmuje tyle czasu załodze.

– Nic nie szkodzi – powiedział białobrody wilk morski. – Jesteśmy już z Williamem w dobrej komitywie. Chciałbym tylko umieć odpowiedzieć na jego wszystkie pytania dotyczące czasu, prędkości i odległości. Co wieczór muszę się podszkalać u pierwszego mechanika, żeby się przygotować na kolejne pytania i wyjść obronną ręką następnego dnia.

Aquitania po sześciodniowej podróży wpłynęła do cieśniny Solent i zawinęła do Southampton. William z żalem rozstawał się ze statkiem i na pewno nie obeszłoby się bez łez, gdyby nie widok wspaniałego automobilu rolls-royce silver ghost, który czekał na nadbrzeżu, aby lotem strzały przewieźć ich do Londynu. Richard bez namysłu postanowił, że pod koniec pobytu w Anglii każe przetransportować wóz do Ameryki, co było najbardziej niezwykłą decyzją, jaką podjął do końca życia. Wyjaśnił Anne, zresztą dość nieprzekonująco, iż chciałby zademonstrować samochód Henry'emu Fordowi.

W Londynie rodzina Kane'ów zawsze zatrzymywała się u Ritza na Piccadilly, skąd Richard miał niedaleko do swojego biura w City. Podczas gdy Richard zajęty był w banku, Anne spędzała czas, pokazując Williamowi londyńską Tower, Pałac Buckingham i zmianę warty. William wszystkim się entuzjazmował z wyjątkiem angielskiej wymowy, którą z trudnością rozumiał.

– Dlaczego oni nie mówią tak jak my, mamusiu? – zapytał i był zdziwiony, kiedy usłyszał, że pytanie należałoby odwrócić, gdyż to „oni” byli pierwsi.

Ulubionym zajęciem Williama było przyglądanie się żołnierzom w jaskrawoczerwonych mundurach z wielkimi, błyszczącymi mosiężnymi guzikami, którzy trzymali straż przed Pałacem Buckingham. Usiłował nawiązać z nimi rozmowę, ale spoglądali ponad nim w przestrzeń i nawet nie mrugnęli.

– Czy nie moglibyśmy wziąć takiego jednego ze sobą? – spytał matkę.

– Nie, kochanie, muszą tu stać i strzec króla.

– Ale on ma ich tylu, więc czy ja nie mógłbym mieć chociaż jednego?

Pragnąc „uraczyć”, jak to określiła Anne, żonę i syna, Richard wyjątkowo skończył pracę w banku wcześniej i zabrał ich do londyńskiego Hipodromu na przedstawienie oparte na znanej angielskiej *Baśni o Jasiu i Fasoli*. William zapałał miłością do Jasia i natychmiast zapragnął ścinać wszystkie drzewa po kolei, wyobrażając sobie, że w każdym skrywa się potwór. Po przedstawieniu poszli na herbatę do Fortnuma i Masona na Piccadilly, gdzie Anne zamówiła dla Williama dwa ciastka z kremem i pączka, ostatni przebój sezonu. Od tej chwili trzeba było codziennie przyprowadzać tam Williama na pączka.

Wakacje przeminęły za szybko dla Williama i jego matki, natomiast Richard, zadowolony z rezultatów swojej pracy na Lombard Street i nowo mianowanego dyrektora, zaczął już myśleć o powrocie. Napływające codziennie z Bostonu telegramy sprawiały, że bardzo pragnął się już znaleźć w sali posiedzeń rady nadzorczej

swego banku. Kiedy zaś w końcu nadeszła wiadomość, że dwadzieścia pięć tysięcy robotników przystąpiło do strajku w przędzalni bawełny w Lawrence w stanie Massachusetts, w której jego bank ulokował znaczne kapitały, cieszył się, że od wyjazdu dzielą go tylko trzy dni. William też tęsknił do domu i już sobie wyobrażał, jak opowie panu Munro o wszystkich tych ciekawych rzeczach, które robił w Anglii. Cieszył się również na spotkanie z babkami. Był pewien, że one nigdy nie doświadczyły czegoś tak ekscytującego jak przedstawienie w prawdziwym teatrze wypełnionym publicznością. Anne także z zadowoleniem myślała o powrocie do kraju, mimo że zamorska wyprawa dała jej prawie tyle radości co Williamowi, gdyż jej stroje i uroda wzbudziły zachwyt powściągliwych zazwyczaj wyspiarzy. W przeddzień wyjazdu, aby jeszcze na koniec sprawić przyjemność Williamowi, Anne zabrała go na Eaton Square na popołudniową herbatkę, wydaną przez żonę nowego dyrektora filii londyńskiej. Ona również miała syna, ośmioletniego Stuarta, którego William po dwu tygodniach wspólnych zabaw uważał za nieodłącznego starszego przyjaciela. Jednakże przyjęcie się nie udało, ponieważ Stuart czuł się niezdrów, a William, solidaryzując się z nowym kolegą, oznajmił matce, że chyba też się rozchoruje. Anne z Williamem wrócili więc do Ritza wcześniej, niż planowali. Anne bynajmniej nie żałowała, gdyż zyskała więcej czasu na dopilnowanie pakowania wielkich kufrów podróżnych, poza tym sądziła, że William tylko udawał złe samopoczucie, chcąc sprawić przyjemność Stuartowi. Kiedy jednak wieczorem kładła syna do łóżka, stwierdziła, że nie kłamał i ma lekko podwyższoną temperaturę. Wspomniała o tym przy kolacji Richardowi.

– To pewno dlatego, że jest podniecony czekającą go podróżą – zauważył beztrosko Richard.

– Mam nadzieję – powiedziała Anne. – Wolałabym, żeby nie chorował w trakcie sześciodniowego rejsu morskiego.

– Do jutra powinien być zdrów jak ryba – rzekł Richard, co zabrzmiało jak polecenie.

Kiedy jednak nazajutrz rano Anne poszła obudzić Williama, stwierdziła, że pokryty jest małymi czerwonymi plamkami i ma wysoką gorączkę. Lekarz hotelowy rozpoznał odrę i grzecznie, acz stanowczo zalecił, aby w żadnym wypadku nie zabierać Williama w podróż, nie tylko ze względu na jego dobro, ale i pasażerów. Nie było rady; należało zostawić chłopca w łóżku z kamionkową butlą napełnioną gorącą wodą i czekać na następny statek. Tymczasem Richard nie chciał nawet słyszeć o trzytygodniowej zwłoce i postanowił wyruszyć sam w zaplanowanym terminie. Anne z ciężkim sercem przystała na pospieszną zmianę rezerwacji. William próbował uprosić ojca, ażeby wziął go ze sobą; oczekiwanie dwadzieścia jeden dni na powrót *Aquitanii* do Southampton zdawało się dziecku wiecznością. Richard był jednak niewzruszony i wynajął pielęgniarkę do opieki nad synem, a także po to, aby go przekonać, że naprawdę jest chory.

Anne pojechała z Richardem do Southampton nowym rolls-royce'em.

– Będzie mi cię brakowało w Londynie, Richardzie – nieśmiało powiedziała mężowi w chwili rozstania, ryzykując opinię kobiety sentymentalnej.

– Cóż, moja droga, przypuszczam, że ja również będę się czuł trochę osamotniony w Bostonie – odrzekł, mając myśli zaprzątnięte

strajkiem.

Anne wróciła do Londynu pociągiem, zastanawiając się, jak wypełnić następne trzy tygodnie. William spał dobrze tej nocy i następnego dnia czerwone plamki wyglądały mniej groźnie. Jednak lekarz i pielęgniarka zgodnie orzekli, że chłopiec musi jeszcze leżeć w łóżku. Anne wykorzystała czas na pisanie długich listów do rodziny, a William, mimo protestów, został w łóżku, kiedy natomiast wcześnie rano w czwartek wstał i przyszedł do sypialni matki, wyglądał już prawie normalnie. Wgramolił się do łóżka obok Anne, a dotyk jego chłodnych rączek natychmiast ją zbudził. Ucieszyła się, widząc, że chłopiec najwyraźniej jest całkiem zdrów.

Zadzwoniła i poprosiła o podanie śniadania do łóżka; Richard z pewnością by nie zaaprobował takiego dogadzania sobie. Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju wszedł człowiek w złocistozielonej liberii z wielką srebrną tacą na ręku. Jajka, bekon, pomidory, grzanki i dżem – prawdziwa uczta! William patrzył na te smakołyki wygłodniałym wzrokiem, jakby nie jadł całe wieki. Anne od niechcenia przerzucała gazetę. Podczas pobytu w Londynie Richard zawsze czytywał „Timesa", więc i Anne również go przysłano.

– O, spójrz – odezwał się William, przyglądając się fotografii wewnątrz gazety – okręt taty. Mamusiu, co to znaczy KA-TA-STRO-FA?

Całą szerokość szpalty wypełniało zdjęcie *Titanica*.

Anne, niepomna, iż takie zachowanie nie przystoi córze Lowellów i Cabotów, wybuchnęła rozpaczliwym płaczem, chwytając w objęcia swego jedynego syna. Długo siedzieli na łóżku, tuląc się do siebie; William nie bardzo wiedział dlaczego. Anne uświadomiła sobie, że oboje stracili człowieka, którego kochali nad wszystko w świecie.

Sir Piers Campbell, ojciec małego Stuarta, przybył bezzwłocznie do apartamentu numer 107 u Ritza. Czekał w saloniku, podczas gdy wdowa wkładała kostium, jedyną ciemną rzecz, jaką tu miała. William także się ubierał, nadal niepewny, co to takiego „katastrofa". Anne zwróciła się do sir Piersa z prośbą, żeby objaśnił synowi, co oznacza ta wiadomość. William wysłuchał go i powiedział tylko tyle:

– Chciałem być z nim na statku, ale mi nie pozwolono. – Nie płakał, ponieważ nie wierzył, żeby jego ojcu mogło się przydarzyć coś złego. Był przekonany, że ocalał.

Nigdy w całej swojej karierze polityka, dyplomaty, a ostatnio dyrektora londyńskiej filii banku Kane'a i Cabota sir Piers nie spotkał kogoś, kto byłby równie opanowany w tak młodym wieku. Dystynkcja dana jest tylko nielicznym, miał podobno rzec parę lat później. Posiadał ją Richard Kane, a jego jedyny syn po nim ją odziedziczył.

Anne po wielekroć sprawdzała listy ocalonych, napływające nieregularnie z Ameryki. Za każdym razem wymieniano na nich nazwisko Richarda Lowella Kane'a jako zaginionego z dopiskiem, że prawdopodobnie utonął. Po upływie dalszego tygodnia nawet William zaczął tracić nadzieję.

Anne musiała się przemóc, by wstąpić na pokład *Aquitanii*, natomiast William, dziwnie rozgorączkowany, oczekiwał chwili, w której statek odbije od brzegu. Wysiadywał na górnym pokładzie, wpatrując się nieustannie w monotonny przestwór wody.

– Jutro go odnajdę – obiecywał matce, zrazu z pewnością siebie, potem już głosem, który zdradzał zwątpienie.

– Williamie, nikt nie mógłby przeżyć trzech tygodni w wodach Atlantyku.

– Nawet mój ojciec?

– Nawet on.

Kiedy Anne przybyła do Bostonu, w siedzibie rodzinnej zastała oczekujące ją obydwie babki, świadome obowiązków, jakie na nie spadły.

Przejęły całą odpowiedzialność, co Anne biernie zaakceptowała. Nie został jej w życiu żaden cel poza Williamem, babki zaś najwyraźniej chciały pokierować jego losem. William zachowywał się wobec nich grzecznie, lecz nie ulegle. Za dnia siedział przy lekcjach z panem Munro, nocami płakał w objęciach matki.

– Chłopiec potrzebuje towarzystwa innych dzieci – zawyrokowały babki. Odprawiły pana Munro i nianię, a następnie wysłały wnuka do Sayre Academy, licząc na to, że zmiana otoczenia i kontakt z rówieśnikami na powrót go odmienią.

Richard pozostawił Williamowi lwią część majątku w zarządzie powierniczym do chwili, gdy chłopiec ukończy dwadzieścia jeden lat. Do testamentu dołączono kodycyl. Wolą Richarda było, aby syn został dyrektorem generalnym banku pod warunkiem, że na to zasłuży. Tylko to jedno postanowienie testamentu mogło pobudzić Williama do czynu, bowiem wszystko inne należało mu się prawem urodzenia. Anne otrzymała jednorazowo pięćset tysięcy dolarów i dożywotnią roczną rentę w wysokości stu tysięcy dolarów po potrąceniu podatków, która ustawała w razie jej ponownego zamążpójścia. Dziedziczyła też dom w Beacon Hill, letnią rezydencję na Północnym Brzegu, dom w Maine i małą wysepkę na północ od Cape Cod; wszystko to miało przejść na Williama po jej śmierci. Obie babki dostały po dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów oraz listy, w których Richard bez cienia niedomówień określał ich obowiązki w razie swojej wcześniejszej śmierci. Majątek rodziny zostawał w

zarządzie banku, a na powierników wyznaczono rodziców chrzestnych Williama. Dochody miały być co roku lokowane w bezpiecznych przedsięwzięciach.

Babki zdjęły żałobę dopiero, gdy minął rok, a Anne, chociaż miała tylko dwadzieścia osiem lat, pierwszy raz w życiu wyglądała na swój wiek.

Babki, w przeciwieństwie do Anne, ukrywały przed Williamem swój ból, aż w końcu chłopiec nie wytrzymał i uczynił im wyrzut.

– Czy nie brakuje wam mojego ojca? – spytał, wlepiając w babkę Kane błękitne oczy, tak bardzo przypominające jej syna.

– Owszem, moje dziecko, ale on by sobie nie życzył, żebyśmy bezczynnie zapamiętywały się w cierpieniu.

– Ale ja chcę, abyśmy zawsze go pamiętali… zawsze – powiedział William łamiącym się głosem.

– Williamie, pierwszy raz porozmawiam z tobą tak, jakbyś był całkiem dorosły. Pamięć twojego ojca zawsze pozostanie dla nas święta, twoim zaś obowiązkiem jest sprostanie nadziejom, jakie pokładałby w tobie, gdyby żył. Jesteś teraz głową rodziny i dziedzicem wielkiej fortuny. Powinieneś pracą zasłużyć na swe dziedzictwo, tak jak pracą twój ojciec powiększał je dla ciebie.

William nic nie powiedział. Wskazano mu cel, którego przedtem nie miał, i odtąd postępował zgodnie z radą babki. Nauczył się żyć bez skargi ze swoim cierpieniem i przyłożył się ostro do nauki, a tylko wtedy był zadowolony, kiedy zyskiwał uznanie babki Kane. W żadnym przedmiocie nie pozwolił się prześcignąć, a w matematyce nie tylko był pierwszy w klasie, ale o całe lata wyprzedzał rówieśników. Wszystko, czego dokazał jego ojciec, chciał zrobić lepiej. Jeszcze bardziej zbliżył się do matki i nieufnie odnosił się do

każdego spoza rodziny, często więc uważano go za samotnika, odludka i, niesłusznie, snoba.

W dniu siódmych urodzin Williama babki doszły do wniosku, że już czas pouczyć chłopca o wartości pieniądza. Wyznaczyły mu kieszonkowe w wysokości jednego dolara tygodniowo, ale zażądały, żeby prowadził dokładny rejestr wpływów i wydatków, wyliczając się z każdego centa. W tym też celu podarowały mu oprawną w zieloną skórę księgę główną, której koszt, dziewięćdziesiąt pięć centów, potrąciły mu z pierwszego kieszonkowego. Od następnego tygodnia babki co sobotę rano wypłacały mu dolara. William na lokatę przeznaczał pięćdziesiąt centów, wydawał dwadzieścia, dziesięć ofiarowywał na cel dobroczynny podług swoich upodobań i dwadzieścia zachowywał w rezerwie. Pod koniec każdego kwartału babki kontrolowały księgę i pisemne sprawozdanie Williama z wszystkich jego operacji finansowych. Po trzech miesiącach chłopiec doskonale sam sobie radził. Jak się okazało, ofiarował dolara i dwadzieścia centów na rzecz nowo powstałej organizacji skautów amerykańskich i zaoszczędził cztery dolary, które na jego prośbę babka Kane ulokowała na koncie oszczędnościowym w banku jego ojca chrzestnego, J. P. Morgana. Wydatkował dalsze trzy dolary i sześć centów, z których nie miał obowiązku się wyliczać, i jednego dolara zatrzymał w rezerwie. Zielona księga przysparzała babkom wiele radości; bez wątpienia William był nieodrodnym synem Richarda Kane'a.

W szkole chłopiec nie miał wielu przyjaciół, przede wszystkim dlatego, że stronił od wszystkich poza Cabotami, Lowellami i od dzieci z rodzin bogatszych niż jego własna. Ograniczało to niepomiernie jego wybór i w rezultacie stał się dzieckiem cokolwiek

melancholijnym ku zmartwieniu matki, która by wolała, żeby syn prowadził normalne życie, i w głębi serca czuła awersję do ksiąg buchalteryjnych i planów lokat. Chciałaby, żeby miał mnóstwo młodych przyjaciół, a nie tylko dwie wiekowe mentorki, żeby wracał do domu brudny i posiniaczony, nie zaś nienagannie czysty, i kolekcjonował raczej żółwie i ropuchy niż akcje i raporty spółek handlowych; jednym słowem, żeby zachowywał się jak inni mali chłopcy. Nigdy jednak nie odważyła się powiedzieć babkom o swoich rozterkach, a zresztą cóż mogli obchodzić babki jacyś inni mali chłopcy.

W swe dziewiąte urodziny William przedłożył babkom księgę główną do drugiej dorocznej kontroli. Księga w zielonych okładkach wykazała, że w ciągu dwóch lat zaoszczędził ponad pięćdziesiąt dolarów. Ze szczególną dumą William zademonstrował babkom pozycję B6, z której wynikało, iż wycofał pieniądze z banku J. P. Morgana na pierwszą wieść o śmierci wielkiego finansisty, gdyż uprzednio odnotował spadek akcji banku ojca po ogłoszeniu o jego śmierci. Wpłacił ponownie tę kwotę w trzy miesiące później, nim inni zdążyli sobie uświadomić, że potęga firmy nie upadnie wraz ze śmiercią jednego człowieka, choćby to był sam J. P. Morgan.

Babki były wprost zachwycone i w nagrodę zezwoliły, aby William swój stary rower za dopłatą zamienił na nowy, po której to transakcji i tak Williamowi zostało jeszcze sto dolarów kapitału, jaki babka ulokowała mu w akcjach Standard Oil Company z New Jersey. Ceny ropy naftowej, orzekł William ze znajomością rzeczy, mogą tylko pójść w górę. Skrupulatnie prowadził swoją zieloną księgę aż do ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia. Gdyby babki jeszcze

wówczas żyły, nie posiadałyby się z dumy na widok ostatniego jego zapisu w prawej kolumnie opatrzonej nagłówkiem „aktywa”.

7

Z tych, którzy dobrze znali podziemia zamku, przeżył tylko Władek. W czasach zabaw w chowanego z Leonem spędził wiele szczęśliwych godzin w zaciszu kamiennych ścian, wiedząc, że kiedy tylko zechce, może wrócić na górę.

Lochy były cztery i znajdowały się na dwu poziomach. Dwa z nich, mniejszy i większy, zbudowano na poziomie ziemi. Mniejszy przylegał do ściany zamku, dzięki czemu przez wysoko osadzone, osłonięte wykutą w kamieniu kratą okienko sączyło się słabe światło. Pięć schodków wiodło w dół do położonych niżej dwu kamiennych cel, w których panował zaduch i wieczne ciemności. Władek zaprowadził barona do górnego małego lochu. Baron usiadł w kącie i tkwił tam, milczący i nieruchomy, uporczywie wpatrując się w przestrzeń. Władek przeznaczył mu Florentynę do posług osobistych.

Ponieważ jedynie Władek ważył się przebywać w tym samym pomieszczeniu z baronem, cała służba zamkowa bez szemrania podporządkowała się jego rozkazom. I tak dziewięcioletni Władek począł sprawować pieczę nad współwięźniami. Został w lochach ich zwierzchnikiem. Podzielił pozostałą przy życiu służbę, dwadzieścia cztery osoby, na trzy ośmioosobowe grupy, starając się, jeli to możliwe, zachować razem rodziny. Wdrożył ludzi w regularny system trzyzmianowy: osiem godzin przebywali w jaśniejszych, przewiewnych górnych pomieszczeniach, spożywając tam posiłki i wykonując ćwiczenia fizyczne, osiem godzin pracowali w zamku dla okupantów (ta zmiana cieszyła się największą popularnością) i osiem

godzin spali w jednym z niższych lochów. Nikt poza baronem i Florentyną nie miał pojęcia, kiedy sypia Władek, gdyż zawsze pod koniec każdej zmiany był obecny i nadzorował służących. Pożywienie wydzielano raz na dwanaście godzin. Wartownicy dostarczali skopek koziego mleka, żytni razowiec, jagły i czasami trochę orzechów. Władek dzielił wszystko na dwadzieścia osiem porcji, zawsze dwie podając baronowi, o czym ten się nigdy nie dowiedział. Uwięzieni, z natury łagodni, a w zamknięciu przybici i odrętwiali, bez zdziwienia przyjęli rządy dziewięciolatka, który teraz kierował ich losem.

Po dopilnowaniu każdej ze zmian Władek wracał do barona do mniejszej celi. Z początku oczekiwał od niego wskazówek, ale zastygłe spojrzenie barona było w pewien sposób równie nieubłagane i posępne jak wzrok stale się zmieniających niemieckich wartowników. Od chwili gdy baron został więźniem we własnym zamku, nie wypowiedział ani słowa. Zmierzwiona broda spływała mu na piersi, jego potężna postać skurczyła się i zmalała. Dumna niegdyś twarz przybrała wyraz rezygnacji. Władek prawie już zapomniał brzmienia drogiego głosu i pogodził się z myślą, że już go więcej nie usłyszy. Zastosował się do niemego życzenia barona i milczał w jego obecności.

Dawniej, gdy nic nie mąciło jego poczucia bezpieczeństwa, a każda godzina przynosiła coś nowego, Władek nigdy nie myślał o minionym dniu. Teraz nie był w stanie zapamiętać nawet minionej godziny, gdyż nigdy nic się nie działo. Beznadziejnie ciągnące się minuty przeistaczały się w godziny, godziny w dni i miesiące, które niebawem mu się poplątały. Tylko pora posiłku, ciemność lub światło wskazywały, że znowu upłynęło dwanaście godzin, podczas gdy jaskrawość światła, szybko zapadający zmrok w porze jesiennych

szarug, a wreszcie osadzający się na kamiennych ścianach lód, topniejący dopiero w cieple wiosennego słońca, zwiastowały każdą porę roku w sposób, jakiego Władek nigdy by nie poznał na lekcjach przyrody. W długie noce chłopiec dotkliwiej niż zazwyczaj odczuwał odór śmierci przenikający nawet najdalsze zakamarki lochów, łagodzony czasem światłem poranka, świeżym powiewem wiatru albo błogosławionym pluskiem deszczu.

Pewnego dnia po rzęsistej ulewie Władek i Florentyna postanowili skorzystać z dobrodziejstwa deszczu i umyć się w kałuży, jaka powstała na kamiennej posadzce w górnym lochu. Żadne z nich nie zwracało uwagi na barona, który z uwagą przyglądał się Władkowi, gdy ten zrzucił łachman koszuli i jak psiak wytarzał się w dość czystej wodzie, a potem zapamiętale się szorował, aż na jego ciele pojawiły się białe smugi. Nagle baron przemówił.

– Władku – powiedział ledwo słyszalnym, łamiącym się głosem – nie widzę cię wyraźnie, podejdź bliżej.

Władek tak osłupiał na dźwięk od dawna nie słyszanego głosu, że nawet się nie obejrzał, przeniknięty nagłą myślą, iż ogarnia go szaleństwo, które dotknęło już dwoje starszych służących.

– Podejdź bliżej, chłopcze.

Władek z lękiem spełnił polecenie i podszedł do barona, który mrużąc z natężeniem słabe oczy wyciągnął ku niemu rękę. Dotknął palcami piersi chłopca i spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Władku, skąd się wzięła u ciebie ta drobna ułomność? – zapytał.

– Nie wiem, proszę pana – odparł z zakłopotaniem Władek. – Taki się już urodziłem. Moja przybrana matka nieraz mówiła, że to znak od Boga Ojca.

– Głupia kobieta. Ten znak masz po swoim własnym ojcu – rzekł cicho baron i zamilkł na chwilę.

Władek stał przed nim nieporuszony.

– Siadaj, chłopcze – powiedział wreszcie baron. Teraz mówił żywszym głosem.

Władek natychmiast wykonał polecenie. Siadając, spojrzał mimochodem na ciężką srebrną bransoletę, zwisającą teraz luźno na wychudłym przegubie barona. W przebłysku światła przez szczelinę muru zalśnił w ciemności niezrównany wizerunek herbu Rosnowskich.

– Nie wiem, jak długo Niemcy zamierzają trzymać nas w zamknięciu. Zrazu sądziłem, że wojna skończy się po kilku tygodniach. Myliłem się, i teraz należy założyć, iż potrwa bardzo długo. Musimy zatem bardziej pożytecznie wykorzystać czas, gdyż wiem, że moje życie dobiega kresu.

– Nie, nie – zaczął protestować Władek, ale baron ciągnął dalej, jakby go nie słysząc.

– Twoje życie dopiero się zaczyna, moje dziecko. Dlatego zajmę się twoją edukacją.

Baron nie odezwał się więcej tego dnia. Wyglądało, jakby rozważał następstwa swego postanowienia. W ten sposób Władek zyskał nowego nauczyciela, ponieważ jednak nie mieli ani podręczników, ani zeszytów, Władek musiał powtarzać lekcje słowo w słowo za baronem. Wyuczył się długich fragmentów poezji Mickiewicza i Kochanowskiego i obszernych wyjątków z *Eneidy* Wergiliusza. W tej posępnej szkole pobierał lekcje geografii, matematyki i czterech języków: rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego i angielskiego. Ale najszczęśliwsze chwile przeżywał, jak

niegdyś, podczas nauki historii. Historii swojego narodu w okresie ponadwiekowej niewoli, niespełnionych nadziei na odzyskanie niepodległości, rozpaczy Polaków po druzgocącej przegranej Napoleona z Rosją w 1812 roku. Chłonął barwne opowieści o dawnych szczęśliwych czasach, lubił zwłaszcza tę o królu Kazimierzu, który po odparciu Szwedów spod murów Częstochowy powierzył Polskę opiece Najświętszej Panienki, i tę o pełnym przepychu życiu, jakie ze swym świetnym dworem wiódł w swym ogromnym pałacu potężny książę Radziwiłł, pan na wielkich włościach i miłośnik polowań. Ostatnia lekcja zawsze poświęcona była historii rodu Rosnowskich. Władek jednakowo chciwie słuchał o tym, jak znamienity przodek barona, który w roku 1794 służył pod generałem Dąbrowskim, a w 1809 pod samym Napoleonem, obdarzony został przez wielkiego cesarza włościami i tytułem. Dowiedział się również, że dziadek barona zasiadał w Radzie Stanu za czasów Księstwa Warszawskiego, a ojciec także brał udział w dziele odrodzenia kraju. Władek czuł się niezwykle uszczęśliwiony, kiedy ciasny kamienny loch przeistaczał się dzięki baronowi w szkolną klasę.

Wartownicy przy wejściu zmieniali się co cztery godziny i porozumiewanie się z nimi było *strengst verboten*. Z urywków zdań, jakie wymieniali, Władek dowiadywał się o przebiegu wojny, o działaniach Hindenburga i Ludendorffa, o wybuchu rewolucji w Rosji, a następnie o jej wycofaniu się z wojny przypieczętowanym traktatem brzeskim.

Władka coraz częściej dręczyła myśl, że jedynym wybawieniem dla więźniów będzie śmierć. Podczas następnych dwu lat drzwi do lochów otwarto wszystkiego dziewięć razy i Władek zaczął zadawać sobie pytanie, czy już do końca życia będzie tkwił w tej plugawej

norze, daremnie walcząc z rozpaczą i szpikując głowę bezużytecznymi wiadomościami, których nigdy nie wyniesie na wolność.

Baron nadal go uczył mimo ślepnących oczu i postępującej głuchoty. Co dzień Władek musiał siadać coraz bliżej niego.

Ze swej strony Florentyna – siostra, matka i najbliższy przyjaciel Władka w jednej osobie – również podjęła walkę z plugastwem lochów, angażując w tym celu zasoby raczej fizyczne niż duchowe. Od czasu do czasu strażnicy dostarczali jej kubeł piasku lub słomę do przyrzucenia zanieczyszczonej podłogi, i wówczas na parę dni fetor stawał się mniej dokuczliwy. Panoszące się w ciemnościach gryzonie, rzucające się na każdą upuszczoną kruszynkę chleba czy drobinę ziemniaka, przywlekały choroby i brud. Kwaśny odór rozkładającego się ludzkiego i zwierzęcego moczu i ekskrementów sprawiał, że Władkowi wciąż było mdło i zbierało mu się na wymioty. Nade wszystko pragnął znowu być czysty i potrafił siedzieć godzinami, wpatrując się w sufit i wspominając parującą balię z gorącą wodą i poczciwe, zwyczajne mydło, którym niania, tak blisko stąd, a w czasie tak daleko, zmywała z niego i z Leona nalot brudu po jednym tylko dniu zabaw, zżymając się i nie szczędząc napomnień z powodu ubłoconych kolan albo brudnych paznokci.

Do wiosny 1918 roku z dwudziestu sześciu osób zapędzonych wraz z Władkiem do podziemi przeżyło tylko piętnaście. Do barona wszyscy się odnosili zawsze jak do swego pana, Władka zaś uznawali za rządcę. Władek natomiast najbardziej cierpiał nad losem Florentyny, teraz dwudziestoletniej. Dziewczyna dawno już opłakała swoje życie i była przeświadczona, że do końca swych dni pozostanie w lochu. Władek nigdy się przy niej nie przyznawał, że traci nadzieję,

ale mimo że miał zaledwie dwanaście lat, sam zaczynał już wątpić w jakąkolwiek przyszłość.

Pewnego wczesnojesiennego wieczoru Florentyna przyszła do Władka, który znajdował się w większej celi.

– Baron cię wzywa – powiedziała.

Władek poderwał się i, powierzywszy wydawanie żywności jednemu ze starszych służących, poszedł do niego. Baron bardzo cierpiał i Władek z okrutną jasnością – i jakby pierwszy raz – zobaczył, jak bardzo choroba wyniszczyła jego ciało i twarz, wychudłą teraz i obciągniętą zielonkawą, pokrytą plamami skórą. Baron poprosił o wodę, którą Florentyna zaczerpnęła z wypełnionego w połowie garnuszka, zawieszonego na pręcie umieszczonym w okienku. Kiedy się napił, przemówił wolno i z widocznym trudem.

– Widziałeś tyle śmierci, że jedna więcej nie zrobi ci różnicy, Władku. Wyznaję, że przestałem się już bać rozstania z tym światem.

– Nie, nie, to nie może być! – wykrzyknął z rozpaczą chłopak i pierwszy raz w życiu przytulił się do starego człowieka. – Lada chwila będziemy świętować zwycięstwo. Nie poddawaj się, baronie. Strażnicy powiedzieli mi, że wojna się kończy i że wkrótce zostaniemy uwolnieni.

– Obiecują to nam od miesięcy, Władku. Nie możemy im dłużej wierzyć, a zresztą i tak nie chciałbym żyć w nowym świecie, jaki nam urządzają. – Urwał, słysząc płacz chłopca. Przyszło mu do głowy, że łzami można by ugasić pragnienie, ale przypomniał sobie, że są słone, i zaśmiał się sam do siebie.

– Wezwij mojego kamerdynera i pierwszego lokaja, Władku.

Władek natychmiast poszedł po nich, nie wiedząc, po co będą potrzebni.

Obaj służący, zbudzeni z głębokiego snu, stawili się przed obliczem barona. Po trzech latach spędzonych w lochach zamku sen był jedynym luksusem dostępnym dla uwięzionych. Służący nadal nosili liberie zdobne haftami, ale nikt by się już tam nie dopatrzył pysznych barw Rosnowskich, zieleni i złota. Stali w milczeniu i czekali na słowo swego pana.

– Czy już przyszli, Władku?

– Tak, stoją tu. Czy pan ich nie widzi? – Władek dopiero teraz uświadomił sobie, że baron kompletnie oślepł.

– Niech się zbliżą, abym mógł ich dotknąć.

Władek podprowadził służących do barona, ten zaś wyciągnął ręce i dotknął ich twarzy.

– Usiądźcie – polecił. – Czy słyszycie mnie, Ludwiku i Alfonsie?

– Tak, jaśnie panie.

– Nazywam się baron Rosnowski.

– Wiemy o tym, jaśnie panie – rzekł Ludwik w dobrej wierze.

– Nie przerywaj mi – skarcił go baron. – Ja umieram.

Śmierć była zjawiskiem tak powszednim, że obaj służący nawet nie zaprotestowali.

– Nie mogę sporządzić nowego testamentu, gdyż nie mam pióra, atramentu ani papieru. Zatem moją ostatnią wolę ogłaszam ustnie w waszej obecności jako dwóch świadków, wedle pradawnego prawa polskiego. Czy rozumiecie, co do was mówię?

– Tak, jaśnie panie – odparli równoczenie obaj służący.

– Mój pierworodny syn Leon nie żyje. – Baron na chwilę zamilkł. – Wobec czego całą moją posiadłość i moje mienie zostawiam chłopcu znanemu jako Władek Koskiewicz.

Władek od kilku lat nie słyszał swojego nazwiska i w pierwszej chwili nie zrozumiał doniosłości słów barona.

– Na dowód zaś mojego postanowienia – ciągnął baron – daję mu ten oto klejnot rodzinny.

Stary człowiek uniósł powoli prawą rękę, zdjął z przegubu srebrną bransoletę i wyciągnął ją ku oniemiałemu Władkowi, a następnie chwycił chłopca w objęcia i począł dotykać palcami jego piersi, jakby chciał się upewnić, czy to rzeczywiście on.

– Mój synu – powiedział, wkładając bransoletę na rękę chłopca.

Zapłakany Władek całą noc trwał przytulony do barona, póki nie ustało bicie jego serca i nie zesztywniały palce obejmujących go rąk. Rano ciało barona zabrali wartownicy i zezwolili Władkowi pochować go obok Leona na cmentarzu rodzinnym tuż przy kaplicy. Gdy opuszczano ciało do płytkiego grobu, wykopanego przez Władka gołymi rękami, zniszczona koszula barona rozchyliła się i chłopiec spojrzał na jego odsłoniętą pierś.

Baron miał tylko jeden sutek.

I tak dwunastoletni Władek Koskiewicz odziedziczył sześćdziesiąt tysięcy akrów ziemi, jeden zamek, dwa dwory, dwadzieścia siedem domów wiejskich, cenną kolekcję obrazów, meble i klejnoty, żyjąc tymczasem w małej kamiennej izdebce w podziemiach. Od tego dnia więźniowie traktowali go jako swego prawowitego pana, a cztery lochy były jego włościami, trzynastu ledwo żywych służących świtą i Florentyna jedyną miłością.

Wrócił do swych niekończących się, doskwierających mu teraz obowiązków i tak żył aż do późnej zimy 1918 roku. Któregoś suchego, ciepłego dnia uszu jeńców dobiegła ogłuszająca seria strzałów i

odgłos krótkiej walki. Władek pomyślał, że to z pewnością polskie wojsko przybywa na odsiecz i że teraz będzie mógł objąć swoją schedę. Gdy niemiecka straż opuściła żelazne drzwi podziemi, więźniowie, stłoczeni w dolnych lochach, zamarli w trwożnej ciszy. Jeden Władek stał u wejścia, obracając na ręce srebrną bransoletę, i z triumfalną miną czekał na zbawców. Wreszcie nadeszli pogromcy Niemców, którzy porozumiewali się między sobą znaną Władkowi z czasów szkolnych szorstką mową słowiańską, jakiej nauczył się bać jeszcze bardziej niż mowy niemieckiej. Władka i jego świtę bezceremonialnie wywleczono do sieni. Po dłuższym oczekiwaniu więźniów poddano pobieżnej inspekcji i na powrót wepchnięto do lochów. Nowi zwycięzcy nie mieli pojęcia, że ten dwunastolatek jest właścicielem wszystkiego, co obejmuje ich wzrok. Nie mówili jego językiem. Mieli jasne i wyraźne rozkazy: zabić wroga, jeśli będzie się przeciwstawiał postanowieniom traktatu brzeskiego, który oddawał w ich ręce tę część Polski, a tych, którzy opierać się nie będą, wysyłać do obozu numer 201 do końca ich dni. Niemcy potulnie wycofali się poza wytyczoną linię, Władek zaś i jego towarzysze czekali pełni nadziei, że zaczyna się nowe życie, nieświadomi, co gotuje im los.

Po dwóch kolejnych nocach w podziemiach Władek pogodził się z myślą, że potrwa to jeszcze długo. Nowi strażnicy w ogóle się do niego nie odzywali, co przypominało mu początki uwięzienia przed trzema laty; zdał sobie sprawę, iż pod koniec dyscyplina wśród Niemców mocno osłabła, teraz jednak znów panuje ścisły rygor.

Rankiem trzeciego dnia ku zdziwieniu Władka wypędzono wszystkich piętnaścioro więźniów, wychudłych i obrośniętych brudem, na gazon przed zamkiem. Dwoje służących, nie nawykłych do światła słonecznego, zasłabło. Władek też z trudem znosił

oślepiający blask słońca i musiał osłaniać oczy. Więźniowie stali na trawie w milczeniu, czekając, co uczynią żołnierze. Strażnicy kazali wszystkim się rozebrać i umyć w rzece. Władek ukrył swoją bransoletę w odzieniu i zbiegł na brzeg; zanim dosięgnął rzeki, nogi miał jak z waty. Wskoczył do wody i jej chłód zaparł mu dech, ale dla skóry kąpiel była błogosławieństwem. Reszta więźniów poszła w jego ślady, bezskutecznie usiłując zmyć brud nawarstwiony w ciągu trzech lat.

Gdy Władek wyczerpany wyszedł na brzeg, zauważył, że niektórzy wartownicy dziwnie przyglądają się Florentynie, która myła się w rzece. Śmiali się i wskazywali na nią. Pozostałe kobiety nie budziły jakoś ich zainteresowania. Jeden z nich, rosły i szpetny, który ani na chwilę nie spuszczał oczu z Florentyny, schwycił ją za rękę, gdy przechodziła obok niego po kąpieli, i przewrócił na ziemię. Zaczął szybko, gwałtownie zrzucać z siebie ubranie, które następnie starannie składał na trawie. Władek z osłupieniem ujrzał jego wzbierający w erekcji penis i skoczył na żołnierza, przytrzymującego właśnie Florentynę, uderzając go głową w żołądek z całą siłą, jaką był w stanie zmobilizować. Cios odrzucił żołnierza do tyłu, ale jego kompan rzucił się na Władka i unieruchomił mu ręce mocnym chwytem. Walka zwróciła uwagę pozostałych strażników; zaciekawieni podeszli bliżej. Pogromca Władka ryczał ze śmiechu, ale był to śmiech bez śladu rozbawienia. Udrękę chłopca jeszcze wzmagały drwiny żołnierzy.

– A to się znalazł obrońca – śmiał się jeden.

– Walczy o honor swojego narodu – wtórował mu drugi.

– Postarajmy się przynajmniej, żeby miał dobry widok – odezwał się ten, który trzymał Władka.

Wybuchy śmiechu towarzyszyły dalszym uwagom, których sens nie był dla Władka do końca zrozumiały. Widział, jak żołnierz zbliża powoli swe nagie, mocne, dobrze odżywione ciało do ciała Florentyny, która zaczęła krzyczeć. Znowu zaczął się rzucać, rozpaczliwie próbując się uwolnić z żelaznego chwytu, ale nie miał szans. Nagi żołnierz ciężko zwalił się na Florentynę i zaczął ją obcałowywać, policzkując, gdy próbowała go odepchnąć lub się obrócić; w końcu wdarł się w nią. Wydała krzyk, jakiego Władek nigdy przedtem nie słyszał. Strażnicy nadal rozmawiali i rechotali, niektórzy nawet nie patrząc.

– Przeklęta dziewica – zaklął nagi żołnierz, wstając.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Ułatwiłeś mi robotę – powiedział drugi strażnik.

Następny wybuch śmiechu. Gdy Florentyna spojrzała Władkowi w oczy, schwycił go spazm wymiotów. Żołnierz, który trzymał chłopca, nie zwrócił na to uwagi. Zważał tylko, żeby nie zabrudził mu munduru i butów. Pierwszy żołnierz, z penisem powalanym teraz krwią, zbiegł na brzeg i z wrzaskiem skoczył w wodę. Teraz drugi żołnierz zdejmował ubranie, jeszcze inny przytrzymywał Florentynę. Ten drugi zabawiał się dłużej i szczególną przyjemność zdawał się czerpać z zadawania bólu dziewczynie; gdy wreszcie ją posiadł, krzyknęła, ale już słabiej.

– Przestań, Wołodia, masz już dość.

Mężczyzna gwałtownie oderwał się od dziewczyny i dołączył do kąpiącego się towarzysza broni. Władek zmusił się, żeby spojrzeć na Florentynę.

Była posiniaczona, a po jej udach sączyła się krew. Żołnierz, który go trzymał, odezwał się znowu.

– Chodź tu, Borys, potrzymaj szczeniaka. Teraz moja kolej.

Pierwszy żołnierz, który wszedł do rzeki, mocno schwycił Władka. Chłopiec spróbował go uderzyć, co zostało przyjęte gromkim wybuchem śmiechu.

– Tośmy już poznali siłę polskiego wojska.

Urągliwy śmiech nie ustał także i wtedy, gdy kolejny ochotnik zaczął się rozbierać, aby pohulać z Florentyną, która nawet nie próbowała już się bronić. Gdy skończył, poszedł wypluskać się w rzece, tymczasem zaś wrócił drugi żołnierz.

– Myślę, że zaczyna jej to sprawiać przyjemność – powiedział, gdy skończył się ubierać i usadowił się w słońcu, aby pogapić się na swego towarzysza.

Do Florentyny zbliżał się właśnie czwarty żołnierz. Podszedł do niej, obrócił ją i rozrzucił szeroko jej nogi. Jego wielkie łapska szybko poruszały się po wątłym ciele dziewczyny. Gdy wniknął w nią, jej krzyk przeszedł w jęk.

Władek naliczył szesnastu żołnierzy, którzy zgwałcili jego siostrę. Ostatni z nich, wstając, zaklął i powiedział:

– Coś mi się widzi, że dosiadłem trupa. – I odwrócił się od Florentyny leżącej nieruchomo na trawie.

Słowa żołnierza, który zdegustowany zmierzał do rzeki, wywołały ogólny ryk śmiechu. Władek nareszcie został uwolniony. Pędem puścił się do Florentyny, podczas gdy rozwaleni na trawie żołnierze pili wino i wódkę z piwnic barona, zakąszając chlebem wyniesionym z kuchni.

Z pomocą dwóch służących Władek przeniósł lekkie ciało Florentyny nad rzekę i z płaczem usiłował obmyć ją z krwi. Daremny trud, gdyż dziewczyna cała była czarnosina, nieczuła na jego wysiłki i

niema. Władek zrobił, co mógł, a potem okrył ją swoją kurtką i przytulił. Ucałował delikatnie jej usta; pierwszy raz pocałował kobietę. Leżała w jego ramionach, ale wiedział, że go nie poznaje, i gdy łzy skapywały mu z twarzy na jej pokaleczone ciało, poczuł nagle, że wiotczeje mu w rękach. Szlochał, niosąc martwe ciało znad rzeki. Wartownicy zamilkli i odprowadzili go spojrzeniami, gdy szedł ku kaplicy. Złożył Florentynę na trawie obok grobu barona i gołymi rękami zaczął kopać ziemię. Skończył, kiedy słońce się zniżyło i na cmentarz padł długi cień zamku. Pochował Florentynę koło Leona i z dwu patyków zrobił mały krzyżyk, który umieścił nad jej głową. Upadł na ziemię między Leonem i Florentyną i zasnął, nie dbając o to, czy się kiedykolwiek obudzi.

8

William we wrześniu wrócił do Sayre Academy i natychmiast zaczął szukać dla siebie rywali wśród starszych uczniów. Do czegokolwiek się zabierał, nie ustawał, póki nie prześcignął wszystkich, a rówieśnicy z reguły okazywali się dla niego za słabi. Zaczął sobie zdawać sprawę, iż większości chłopców, równie jak on uprzywilejowanych z racji pochodzenia, brakowało bodźców do współzawodnictwa i że ostrą rywalizację może nawiązać tylko z tymi, którzy nie są aż tak bogaci.

W 1915 roku szkołę ogarnął szał zbierania etykietek zapałczanych. William przez tydzień obserwował zjawisko z ciekawością, ale sam się nie angażował. Już po kilku dniach pospolite etykietki osiągnęły cenę dziesięciu centów, rzadziej zaś spotykane dochodziły do pół dolara. William rozważył sytuację i postanowił zostać nie kolekcjonerem, lecz pośrednikiem.

Następnej soboty udał się do Leavitta i Pearce'a, największego sklepu z wyrobami tytoniowymi w Bostonie, i całe popołudnie spędził na spisywaniu adresów i nazwisk wszystkich większych producentów zapałek z całego świata, ze szczególnym uwzględnieniem tych krajów, które nie uczestniczyły w wojnie. Zainwestował pięć dolarów w kupno papieru, kopert i znaczków, a następnie wystosował list zaadresowany do prezesa bądź dyrektora każdej z firm ze swego wykazu. Treść była prosta, chociaż zmieniał ją siedmiokrotnie.

Szanowny Panie Prezesie (Dyrektorze),

Jestem zamiłowanym zbieraczem etykietek zapałczanych, ale nie mogę sobie pozwolić na kupowanie wszystkich odmian pudełek. Moje kieszonkowe wynosi tylko dolara tygodniowo, załączam jednak trzycentowy znaczek na list na dowód, że poważnie traktuję moje hobby. Proszę wybaczyć, że zwracam się osobiście do Pana, ale nie mogłem znaleźć innego nazwiska oprócz Pańskiego. Pański przyjaciel

William Kane (9 lat)

P.S. Pańskie etykietki należą do moich ulubionych.

W ciągu trzech tygodni William otrzymał odpowiedź od pięćdziesięciu procent adresatów oraz siedemdziesiąt osiem różnych etykietek. Prawie wszyscy korespondenci zwrócili też trzycentowe znaczki pocztowe, zgodnie zresztą z przewidywaniami Williama.

Podczas następnych siedmiu dni William zmonopolizował szkolny handel etykietkami, przy czym zanim cokolwiek kupił, zawsze sprawdzał, po ile będzie mógł to sprzedać. Zauważył, że niektórych chłopców nie interesuje, czy etykietki są rzadkimi okazami, lecz wyłącznie jak wyglądają, szybko więc dokonał z nimi wymiany, zdobywając co cenniejsze egzemplarze dla bardziej wyrafinowanych zbieraczy. Po dalszych dwu tygodniach transakcji William wyczuł, że popyt sięgnął szczytu i że musi coś zrobić, żeby zainteresowanie nie opadło, zwłaszcza że szybko zbliżały się wakacje. Roztrąbił więc za pośrednictwem ulotek reklamowych, które zamówił po pół centa za sztukę i umieścił na każdym pulpicie, że urządza aukcję wszystkich swoich etykietek w liczbie dwustu jedenastu.

Aukcja odbyła się w szkolnej ubikacji w przerwie na lunch i cieszyła się większą frekwencją niż większość szkolnych meczy hokejowych.

W rezultacie William zgarnął pięćdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści dwa centy, zarabiając na czysto, po odliczeniu początkowych wydatków, pięćdziesiąt dwa dolary i trzydzieści dwa centy. Ulokował w banku dwadzieścia pięć dolarów na dwa i pół procent, nabył aparat fotograficzny za jedenaście dolarów, pięć dolarów ofiarował Związkowi Młodzieży Chrześcijańskiej, który zajął się ostatnio udzielaniem pomocy rzeszom świeżo napływających imigrantów, matce kupił kwiaty i kilka dolarów zachował dla siebie. Rynek etykietek zapałczanych załamał się jeszcze przed końcem roku szkolnego. Miała to być pierwsza z tak licznych w późniejszym życiu Williama sytuacji, kiedy wycofywał się w okresie hossy. Babki mogły być z niego dumne; sposób, w jaki ich mężowie zbili fortuny, wykorzystując panikę w 1873 roku, nie różnił się wiele od jego metody.

Kiedy nadeszły wakacje, Williama podkusiło, żeby spróbować korzystniej ulokować kapitał niż na dwa i pół procent, jakie przynosił rachunek oszczędnościowy w banku. Przez trzy miesiące kupował akcje – znowu za pośrednictwem babki Kane – wielce polecane przez „Wall Street Journal". W ciągu następnego trymestru szkolnego stracił ponad połowę pieniędzy zarobionych na etykietkach. Nigdy więcej w życiu William nie skorzystał z rad „Wall Street Journal" ani z informacji będących tajemnicą poliszynela.

Tak go rozzłościła strata ponad dwudziestu dolarów, że postanowił ją sobie odbić w czasie ferii wielkanocnych. Po powrocie do domu wybadał, ile czasu zajmą mu przyjęcia i wizyty zalecane przez matkę, i obliczył, że zostanie mu tylko czternaście wolnych dni,

akurat tyle, aby zrealizować nowy plan. Wyzbył się reszty akcji, co mu przyniosło zaledwie dwanaście dolarów. Nabył kawałek deski, dwie pary kółek, ośki i linkę, za co zapłacił, po targach, pięć dolarów. Następnie wcisnął na głowę płaską sukienną czapkę, włożył stare, przykrótkie ubranko i powędrował na stację kolejową. Stanął koło wyjścia i, przybierając wygląd zabiedzonego chłopaczka, informował upatrzonych podróżnych, iż główne hotele Bostonu znajdują się parę kroków od dworca, nie ma więc potrzeby przywoływania taksówki lub sporadycznie pojawiającego się staroświeckiego kabrioletu; lepiej się przejść spacerkiem, co jest zresztą wskazane po podróży, on zaś przewiezie bagaż swoim wózkiem pięciokrotnie taniej, niż wziąłby za kurs taksówkarz. Jak William się przekonał, sześciogodzinny dzień pracy przynosił mu w przybliżeniu cztery dolary.

Na pięć dni przed powrotem do szkoły zdołał nie tylko odrobić swoje straty, ale wypracował jeszcze dziesięć dolarów nadwyżki. Napotkał jednak pewien problem, otóż taksówkarze mieli go już dość. Dziewięcioletni William oświadczył im, że wycofa się z interesu, jeżeli każdy z nich da mu pięćdziesiątaka na pokrycie kosztów własnoręcznie wykonanego wózka. Taksówkarze zgodzili się i William schował do kieszeni dodatkowo osiem dolarów i pięćdziesiąt centów. Po drodze do Beacon Hill William sprzedał wózek o dwa lata starszemu koledze szkolnemu, który wkrótce odkrył, że sezon już minął. Poza tym przez cały następny tydzień lał deszcz.

Ostatniego dnia ferii William zdeponował z powrotem pieniądze w banku na dwa i pół procent. W następnym trymestrze miał spokojną głowę; jego oszczędności cały czas rosły. Zatopienie *Lusitanii* i wypowiedzenie wojny Niemcom przez Wilsona w kwietniu 1917 roku nie obeszło Williama. Nic i nikt nie zagrozi nigdy Ameryce,

zapewnił matkę, na potwierdzenie zaś trafności tego sądu ulokował dziesięć dolarów w obligacjach pożyczki wojennej.

W swoje jedenaste urodziny William mógł się pochwalić przychodem w wysokości czterystu dwunastu dolarów, figurującym po stronie „ma" w jego książce rachunkowej. Matce ofiarował wieczne pióro, a babkom broszki zakupione u pobliskiego jubilera. Pióro było marki Parker, biżuterię zaś przysłano babkom w pudełkach firmy Shreve, Crump i Low, znalezionych przez Williama po długotrwałych poszukiwaniach w pojemnikach na śmieci z tyłu słynnego sklepu. Trzeba oddać chłopcu sprawiedliwość, że nie zamierzał oszukiwać babek, wiedział natomiast po doświadczeniach z etykietkami, iż efektowne opakowanie podnosi atrakcyjność towaru. Co prawda babki spostrzegły brak cenionego znaku firmowego, ale mimo to nosiły broszki z dumą.

Obie stare damy, które nadal dawały baczenie na Williama, postanowiły, że w dwunastym roku życia chłopiec powinien, jak planowano, wstąpić do Gimnazjum św. Pawła w Concord, w stanie New Hampshire. William niespodzianie je uszczęśliwił, zdobywając najwyższe stypendium matematyczne i tym samym przysparzając rodzinie zbytecznych oszczędności w kwocie trzystu dolarów rocznie. William stypendium przyjął, babki zaś odesłały takąż kwotę z poleceniem przekazania jej dziecku, któremu „fortuna mniej sprzyja", jak się wyraziły. Anne trudno było pogodzić się z myślą o wyjeździe Williama do szkoły z internatem, ale babki nie ustępowały, a co ważniejsze, wiedziała, że Richard też by tego pragnął. Poprzyszywała więc do rzeczy Williama naszywki z jego nazwiskiem, oznaczyła jego buciki, skontrolowała odzież i na koniec sama, rezygnując z pomocy służby, zapakowała jego kuferek. Kiedy

nadszedł czas rozstania, spytała go, ile chciałby dostać kieszonkowego.

– Nic – odparł bez żadnych wyjaśnień.

William pocałował matkę w policzek; nie miał pojęcia, jak bardzo będzie jej go brak. Odszedł dróżką, w swoich pierwszych w życiu długich spodniach, ostrzyżony króciutko, z małą walizeczką w ręku, w stronę samochodu z Robertsem, ich szoferem, czekającym w środku. Usiadł na tylnym siedzeniu rolls-royce'a i samochód ruszył. Chłopiec nie obejrzał się. Matka niezmordowanie wymachiwała ręką, wreszcie się rozpłakała. Williamowi też zbierało się na płacz, ale opanował się, bo wiedział, że ojciec nie pochwaliłby takiego mazgajstwa.

W nowej szkole najbardziej uderzył Williama Kane'a, osobliwy fakt, że inni chłopcy w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Spojrzenia pełne podziwu, milczące uznanie jego obecności – tego tutaj nie było. Tylko jeden ze starszych uczniów zapytał, jak się nazywa, ale, co gorsza, ani okiem nie mrugnął, kiedy się dowiedział. Niektórzy próbowali nawet zwracać się do Williama per Bill, ale szybko przywołał ich do porządku, tłumacząc, że nikt nie zwał nigdy jego ojca Dickiem.

William zamieszkał w niewielkim pokoju, na którego umeblowanie składały się drewniane półki na książki, dwa stoły, dwa krzesła, dwa łóżka i wygodna, mocno wysiedziana sofa. Z drugiego krzesła, stołu i łóżka korzystał chłopak z Nowego Jorku nazwiskiem Matthew Lester, którego ojciec także był bankierem.

William prędko przystosował się do rytmu szkolnego. Pobudka o siódmej trzydzieści, mycie, śniadanie w głównej jadalni z uczniami wszystkich klas – dwustu dwudziestu chłopcami pałaszującymi jajka,

bekon i owsiankę. Po śniadaniu nabożeństwo w kaplicy, następnie trzy pięćdziesięciominutowe lekcje przed lunchem i dwie po, później lekcje muzyki, której William nie znosił, gdyż kompletnie pozbawiony był słuchu i nie miał ochoty uczyć się grać na żadnym instrumencie. Mecze piłki nożnej jesienią, hokej i squash zimą, latem zaś tenis i wioślarstwo zostawiały niewiele wolnego czasu. Jako stypendysta William trzy razy w tygodniu pobierał specjalne lekcje matematyki u kierownika bursy G. Raglana, zwanego przez chłopców Ramolem.

Już w pierwszym roku William dowiódł, że w pełni zasługuje na swoje stypendium; prawie we wszystkich przedmiotach należał do najlepszych, w matematyce zaś stanowił klasę sam dla siebie. Tylko Matthew Lester był w stanie mu dorównać, i to prawie na pewno dlatego, że mieszkał z nim w jednym pokoju. Nie dość, że William brylował w nauce, to jeszcze zyskał sobie reputację doskonałego finansisty. Wprawdzie jego pierwsza operacja giełdowa zakończyła się katastrofą, lecz mimo to nadal uważał, że aby dojść do dużych pieniędzy, trzeba umiejętnie wykorzystywać przyrost cen akcji na rynku papierów wartościowych. Uważnie czytywał „Wall Street Journal" oraz sprawozdania spółek i, w wieku dwunastu lat, zaczął eksperymentować z symulacyjnym programem lokacyjnym. Odnotowywał każdą ze swych pozornych transakcji zakupu i sprzedaży, udaną czy mniej udaną, w nowej księdze głównej i pod koniec każdego miesiąca porównywał własne wyniki z tendencjami rynku. Nie zawracał sobie głowy notowanymi akcjami wiodących firm, za to interesowały go mniej znane towarzystwa, w tym takie, których akcje były niedostępne w wolnym obrocie, tak że za jednym razem można było ich kupić nie więcej niż kilka. William kierował się

czterema następującymi kryteriami: niska krotność zysku, wysoka stopa wzrostu, mocne wsparcie w aktywach i korzystne perspektywy handlowe. Niewiele akcji spełniało tak rygorystyczne wymagania, ale jeśli już na takie trafił, niemal zawsze przynosiły mu zysk.

Z chwilą gdy William stwierdził, że regularnie daje sobie radę z ruchem wskaźnika Dow Jonesa w swoich symulacyjnych programach lokacyjnych, wiedział, że może znów lokować własne pieniądze. Zaczął od stu dolarów i ani na moment nie przestał doskonalić własnej metody. Zyski wskazywały mu drogę, a straty to, czego należało unikać. Kiedy wartość akcji podwajała się, sprzedawał połowę, drugą zaś zatrzymywał, traktując to, co mu zostało, jako superdywidendę. Do jego wczesnych odkryć należały takie późniejsze giganty, jak Eastman Kodak i IBM. Postawił również na pierwszą firmę wysyłkową w przekonaniu, że to pomysł, który chwyci.

Nim upłynął pierwszy rok, połowa nauczycieli i część rodziców uczniów zwracała się do niego po porady finansowe. William Kane czuł się w szkole szczęśliwy.

Anne Kane czuła się w domu nieszczęśliwa i samotna bez Williama po jego odjeździe do Gimnazjum św. Pawła, zwłaszcza że jej kółko rodzinne ograniczało się do dwóch babek, stojących obecnie u progu starości. Przygnębiała ją także świadomość, że skończyła już trzydzieści lat i że jej świeża, dziewczęca uroda przeminęła bez śladu. Próbowała odnawiać kontakty z niektórymi z dawnych przyjaciół, rozluźnione po śmierci Richarda. John Preston i jego żona Milly, matka chrzestna Williama, przyjaciółka od dziecinnych lat, zaczęli ją zapraszać na kolacje i do teatru, za każdym razem starając się zapewnić Anne towarzystwo jakiegoś samotnego mężczyzny z myślą o jej wyswataniu. Kandydaci Prestonów niemal z reguły byli

odrażający i Anne podśmiewała się po cichu z niefortunnych prób Milly, póki pewnego dnia w styczniu 1919 roku, tuż po wyjeździe Williama do szkoły po feriach zimowych, nie poproszono jej na kolację we czworo. Milly wyznała, że co prawda nigdy do tej pory nie miała okazji spotkać swojego drugiego gościa, pana Henry'ego Osborne'a, ale że najprawdopodobniej studiował on w Harvardzie w tym czasie co John.

– Właściwie – zwierzyła się Milly przez telefon swej przyjaciółce – John nie potrafi o nim nic powiedzieć poza tym, że jest całkiem przystojny.

Opinię Johna pod tym względem podzieliła tak Anne, jak i Milly. Gdy Anne weszła, Henry Osborne grzał się przy kominku i na jej widok natychmiast wstał, czekając, aby Milly przedstawiła ich sobie. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne, prawie czarne oczy i gładkie, czarne włosy oraz smukłą, wysportowaną sylwetkę. Anne poczuła przypływ żywego zadowolenia, że ten pełen wigoru mężczyzna o młodzieńczym wyglądzie będzie jej partnerem tego wieczoru, podczas gdy Milly musi się kontentować towarzystwem swojego męża, trochę już podtatusiałego w porównaniu z kolegą ze studiów. Osborne miał rękę na temblaku, prawie całkowicie zasłaniającym krawat, noszony przez absolwentów Harvardu.

– Rana wojenna? – zagadnęła współczująco Anne.

– Nie, spadłem ze schodów w tydzień po powrocie z frontu zachodniego – odparł ze śmiechem.

Było to jedno z tych przyjęć, ostatnio tak rzadkich w życiu Anne, kiedy czas przy stole płynie radośnie i niepostrzeżenie. Henry Osborne odpowiedział na wszystkie dociekliwe pytania Anne. Po ukończeniu studiów podjął pracę w firmie handlu nieruchomościami

w Chicago, swoim mieście rodzinnym, gdy jednak nastała wojna, nie mógł usiedzieć i poszedł bić Niemców. Sypał jak z rękawa różnymi kapitalnymi opowieściami o Europie i o życiu młodego porucznika broniącego honoru Ameryki nad Marną. Milly i John nie widzieli Anne tak roześmianej od czasu śmierci Richarda i gdy Henry spytał, czy może ją odwieźć do domu, spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Co zamierza pan robić teraz, po powrocie do kraju godnego bohaterów? – zapytała Anne, parafrazując Lloyda George'a, kiedy Henry Osborne płynnie wprowadzał swego stutza w Charles Street.

– Mówiąc prawdę, jeszcze się nie zdecydowałem – odparł. – Na szczęście mam trochę grosza, więc nie muszę tak bardzo się spieszyć. Myślałem nawet o założeniu własnej firmy handlu nieruchomościami tutaj, w Bostonie. Zawsze, od czasów studiów w Harvardzie, czułem się tu swojsko.

– Nie wróci pan więc do Chicago?

– Nie, nic mnie tam nie ciągnie. Oboje rodzice nie żyją, poza tym jestem jedynakiem, mogę więc zaczynać na nowo wszędzie, gdzie mi się spodoba. Gdzie skręcić?

– O tu, w pierwszą w prawo.

– Pani mieszka w Beacon Hill?

– Tak, jeszcze jakieś pięćdziesiąt jardów, czerwony dom po prawej na rogu Chestnut i Louisburg Square.

Henry Osborne zaparkował samochód i odprowadził Anne do frontowych drzwi. Powiedział dobranoc i odszedł, ledwo zdążyła mu podziękować. Stała, patrząc za jego samochodem wolno sunącym w dół Beacon Hill; wiedziała, że pragnie go jeszcze spotkać. Była uszczęśliwiona, aczkolwiek nie nazbyt zdziwiona, gdy zatelefonował rankiem następnego dnia.

– Bostońska Orkiestra Symfoniczna gra w przyszły poniedziałek Mozarta i tego nowego gościa o wyszukanym stylu, Mahlera. Czy da się pani namówić?

Anne z pewnym zakłopotaniem przyłapała się na tym, że wręcz nie może się doczekać poniedziałku. Już od tak dawna żaden atrakcyjny mężczyzna nie szukał jej towarzystwa. Henry Osborne stawił się na czas. Nieco skrępowani uścisnęli sobie ręce, po czym Anne podała mu szkocką z lodem.

– Musi być bardzo przyjemnie mieszkać na Louisburg Square. Ależ z pani szczęściara.

– Tak, chyba tak, właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Urodziłam się i spędziłam dzieciństwo na Commonwealth Avenue. Może trochę tu wszystko zbyt ścieśnione.

– Myślę, że sam kupiłbym sobie dom w Beacon Hill, gdybym się zdecydował osiąść w Bostonie.

– Te domy nieczęsto wystawia się na sprzedaż – powiedziała Anne. – Ale może akurat pan będzie miał szczęście. Czy możemy już iść? Nie cierpię spóźniać się na koncert i deptać ludziom po nogach, szukając swojego miejsca.

– Zgadzam się. – Henry zerknął na zegarek. – Nie wypada zjawiać się po wejściu dyrygenta. Ale nie musi się pani martwić o niczyje nogi oprócz moich. Mamy miejsca na skraju.

Gdy pod wrażeniem przepysznej muzyki wyszli na ulicę i udali się spacerkiem do Ritza, nie było nic nienaturalnego w tym, że Henry wziął Anne pod rękę. Od czasu śmierci Richarda nie robił tego nikt prócz Williama, który zresztą opierał się, nie chciał bowiem uchodzić za maminsynka. I znów czas upływał jak sen; czy sprawiło to wyśmienite jedzenie czy może towarzystwo Henry'ego? Tym razem

rozśmieszał ją zabawnymi opowiastkami z czasów studenckich i wzruszał do łez wspomnieniami wojennymi. I choć Anne dobrze wiedziała, że wygląda młodziej od niej, mimo to czuła się przy nim cudownie młoda i niedoświadczona, ponieważ zdążył już tyle przeżyć. Opowiedziała mu o śmierci męża i popłakała się. Ujął jej rękę, a wówczas ona, promieniejąc dumą i miłością, zaczęła mu mówić o swoim synu. Na to Henry powiedział, że zawsze pragnął mieć syna. Co prawda prawie nie wspominał o Chicago ani o swoim życiu domowym, lecz Anne była pewna, że doskwiera mu tęsknota za rodziną. Odwiózł ją do domu i tym razem wstąpił na krótko na małego drinka, na pożegnanie zaś pocałował ją delikatnie w policzek. Anne przed zaśnięciem przywoływała na pamięć całe ich spotkanie, minuta po minucie.

We wtorek poszli do teatru, w środę zrobili wypad do letniego domu Anne na Cape Cod, w czwartek wdepnęli do lokalu „Pod Niedźwiedziem" i zahaczyli o „Pokusę", gdzie grano ragtime, w piątek kupowali starocie, a w sobotę się kochali. Od niedzieli byli już prawie nierozłączni. Milly i John Prestonowie byli w siódmym niebie, kiedy się dowiedzieli, że swatanie tak im się powiodło. Milly rozpowiadała po całym Bostonie, że to dzięki niej tych dwoje się spotkało.

Kiedy latem ogłoszono zaręczyny, dla nikogo poza Williamem nie było to niespodzianką. Chłopiec poczuł do Henry'ego głęboką antypatię od chwili, gdy Anne, pełna niedobrych przeczuć, przedstawiła ich sobie. Ich pierwsza rozmowa składała się z długich pytań Henry'ego, usiłującego okazać, że chce się zaprzyjaźnić, i z monosylabicznych odpowiedzi Williama, dającego do zrozumienia, że on nie ma takiego zamiaru. I nigdy nie zmienił zdania. Anne kładła niechęć syna na karb zazdrości, która była całkiem zrozumiała.

William stał się przecież sensem jej życia po śmierci Richarda. Ponadto przekonanie Williama, że nikt nie może zastąpić mu ojca, uznała za jak najbardziej naturalne. Wytłumaczyła Henry'emu, że z czasem William wyzbędzie się poczucia krzywdy.

Anne Kane została panią Henrykową Osborne w październiku tego roku. Ceremonia ślubna odbyła się w Old North Church, kiedy z drzew zaczęły opadać złote i czerwone liście, po upływie dziesięciu miesięcy i paru dni od chwili pierwszego spotkania. Aby nie uczestniczyć w tym wydarzeniu, William udał chorobę i nie ruszył się ze szkoły. Babki wprawdzie stawiły się na ślub, ale nie ukrywały, iż nie pochwalają ponownego zamążpójścia Anne, zwłaszcza że jej wybraniec wyglądał o wiele młodziej od niej. To może zakończyć się tylko katastrofą – orzekła babka Kane.

Nowożeńcy następnego dnia odpłynęli do Grecji, a do Czerwonego Domu w Beacon Hill powrócili dopiero w drugim tygodniu grudnia, akurat w porę, aby powitać Williama, który zjechał na zimowe ferie świąteczne. William przeżył wstrząs, wchodząc do urządzonego na nowo domu, w którym nie został prawie żaden ślad po ojcu. Podczas świąt William ani trochę nie zmiękł w stosunku do ojczyma, pomimo prezentu, wedle mniemania Henry'ego – a łapówki w odczuciu chłopca – w postaci nowiutkiego roweru. Henry Osborne przyjął odprawę z widoczną rezygnacją. Anne ubodło, że jej wspaniały nowo poślubiony mąż tak niewiele zrobił, żeby pozyskać przyjaźń syna.

William źle się czuł w domu, do którego wtargnął intruz, i często w ciągu dnia znikał na długie godziny. Ilekroć Anne pytała, dokąd idzie, zbywał ją paroma słowami lub milczeniem; była pewna, że nie odwiedza wtedy babek. Kiedy skończyły się ferie zimowe, William nie

potrafił ukryć radości, że wraca do szkoły, a Henry żegnał go bez smutku. Tylko Anne przeżywała rozterkę.

9

– Wstawaj. Wstawaj.

Żołnierz szturchnął Władka w żebro kolbą karabinu. Chłopiec poderwał się i usiadł, spojrzał na mogiłę siostry, na groby Leona i barona i bez jednej łzy w oku odwrócił się do żołnierza.

– Będę żył, nie zabijesz mnie – powiedział po polsku. – Tu jest mój dom, a ty stoisz na mojej ziemi.

Żołnierz plunął na Władka i zapędził go z powrotem na gazon, gdzie czekali służący przebrani w szarą odzież, bezkształtną jak piżamy, z numerami widniejącymi na plecach. Władka przeraził ich wygląd; uświadomił sobie, co go czeka. Jeden z żołnierzy zaciągnął go na północną stronę zamku i pchnął mocno, tak że ukląkł na ziemi. Poczuł na głowie ostrze noża i kosmyki jego bujnych, czarnych włosów zaczęły spadać na trawę. Po dziesięciu krwawych cięciach, niczym przy strzyżeniu owcy, dzieło było skończone. Teraz kazano mu się przebrać w szarą rubaszkę i spodnie. Przemyślnie ukrył srebrną bransoletę i z ogoloną głową, w nowym odzieniu, dołączył do służby przed frontonem zamku.

Gdy tak czekali, stojąc na trawniku – numery bez nazwiska – uszu Władka dobiegł nagle daleki odgłos, jakiego nigdy w życiu nie słyszał. Spojrzał w stronę, z której zbliżał się złowieszczy dźwięk. Przez wielką żelazną bramę wtoczył się pojazd na czterech kołach, nie ciągniony jednak przez konie czy woły. Wszyscy więźniowie wlepili weń osłupiały wzrok. Gdy pojazd się zatrzymał, żołnierze zaczęli popychać ku niemu opierających się ludzi i zaganiać ich na platformę.

Następnie wóz bez koni zakręcił na podjeździe i wyjechał przez żelazne wrota. Nikt nie śmiał przemówić. Władek siedział z tyłu i wpatrywał się w swój zamek, póki nie zatarły się w oddali zarysy gotyckich wież.

Bezkonny wóz toczył się jakimś nieznanym sposobem w stronę Słonimia. Władek pewnie łamałby sobie nad tym głowę, gdyby nie pochłaniała go myśl, dokąd ich wiozą. Rozpoznawał mijane drogi, którymi wędrował w szkolnych czasach, ale trzyletnie zamknięcie w lochach tak przyćmiło mu pamięć, że nie mógł sobie uprzytomnić, dokąd one prowadzą. Po ujechaniu kilku mil ciężarówka stanęła i wszystkim kazano wysiąść. Znajdowali się przed miejscową stacją kolejową. Władek był tu tylko raz, wówczas gdy przyjechał z Leonem po barona powracającego z Warszawy. Pamiętał, że gdy weszli na peron, na ich widok strażnik zasalutował; tym razem nikt nie oddawał im honorów. Więźniom podano kozie mleko, kapuśniak i czarny żytni chleb. Władek jak zwykle podjął swoje obowiązki i sprawiedliwie rozdzielił porcje między ocalałe czternaście osób. Usiadł potem na drewnianej ławce, przypuszczając, że mają czekać na pociąg. Tę noc spędzili, śpiąc na ziemi, pod niebem pełnym gwiazd, co było rozkoszą w porównaniu z lochami. Władek dziękował Bogu za łagodną zimę.

Rozwidniło się, a oni wciąż czekali. Władek próbował nakłonić służących do gimnastyki, ale większość miała dość już po paru minutach. Próbował zrobić w pamięci rejestr tych, którzy jak dotąd przeżyli. Z dwudziestu siedmiu osób zamkniętych w lochach ocalało jedenastu mężczyzn i dwie kobiety. Ocaleli, ale jaki los ich czeka? – przemknęło mu przez myśl. Cały dzień spędzili na próżno czekając na pociąg. Przyjechał wprawdzie jeden, z którego wysypali się żołnierze

mówiący tym samym znienawidzonym językiem, ale odjechali, nie zabrawszy żałosnego oddziałku Władka. Znowu więźniowie spędzili noc na peronie.

Władek leżał wpatrzony w gwiazdy i obmyślał sposób ucieczki, jednakże w nocy, gdy jeden z jego trzynastki spróbował zbiec, został zastrzelony przez strażnika, nim zdążył przeskoczyć tory. Władek spoglądał na miejsce, gdzie padł towarzysz niedoli, nie zdecydował się jednak tam podejść z obawy, że spotka go ten sam los. Wartownicy umyślnie zostawili ciało na szynach jako przestrogę dla tych, którym w głowie zaświtałaby myśl o ucieczce.

W ciągu dnia nikt nie wspomniał ani słowem o wypadku, tylko Władek prawie nie spuszczał wzroku z zabitego. Był to Ludwik, kamerdyner i jeden ze świadków ostatniej woli barona – teraz martwy.

Trzeciego dnia wieczorem na stację wtoczył się z sapaniem następny pociąg; wielka lokomotywa ciągnęła otwarte towarowe wagony z podłogami zarzuconymi słomą i z napisami „dla bydła” po bokach. Niektóre wagony były już pełne – pełne ludzi, nie bydląt – ale Władek nie potrafił odgadnąć, z jakich stron pochodzą, gdyż w przerażający sposób nie różnili się wyglądem od niego samego. Wpędzono go wraz z całą gromadką do jednego z wagonów. Po kilkugodzinnym postoju pociąg nareszcie ruszył, na wschód, jak wywnioskował Władek z położenia słońca.

Każdy z wartowników siedzących po turecku na dachu krytego wagonu pilnował trzech platform towarowych. Huk strzałów, co jakiś czas dobiegający z góry w trakcie niekończącej się podróży do reszty przekonał Władka o daremności prób ucieczki.

Dopiero w Mińsku po raz pierwszy otrzymali normalne pożywienie: czarny razowiec, orzeszki i jagły. Po postoju wyruszyli w dalszą podróż. Czasami jechali trzy dni, nie mijając po drodze żadnej stacji. Wielu mimowolnych podróżnych umierało z głodu; ich ciała wyrzucano z pędzącego pociągu. Kiedy wreszcie się zatrzymywali, niejednokrotnie czekali po dwa dni, aby przepuścić inny pociąg, podążający na zachód. Składy opóźniające ich podróż były zawsze pełne żołnierzy i Władek zrozumiał, że transporty wojskowe mają pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. Ani na moment nie przestawał myśleć o ucieczce, ale przemawiały przeciw niej trzy argumenty. Po pierwsze, nikomu jak dotąd nie udało się zbiec, po drugie, po obu stronach toru całymi milami ciągnęły się tylko przeraźliwie puste przestrzenie, i po trzecie, ci, co wyszli żywi z lochów, byli całkowicie zdani na jego opiekę. To on zdobywał dla nich picie i jedzenie i próbował ich natchnąć wolą życia. Był najmłodszy wśród nich i jedyny, który wierzył w przetrwanie.

Nocami panował przeraźliwy chłód, temperatura często spadała do trzydziestu stopni poniżej zera. Układali się więc na podłodze ciasno, tak, żeby każdy ogrzewał sąsiada. Władek zwykł recytować sobie *Eneidę*, usiłując złowić choć trochę snu. Niepodobna było obrócić się na drugi bok, nie potrącając innych, więc Władek kładł się na końcu szeregu i co godzinę, jak mógł sądzić wedle zmiany warty, uderzał w ścianę wagonu i wszyscy przekręcali się w drugą stronę. Przewracali się jeden po drugim, jak kostki domina. Czasem jakieś ciało pozostawało nieruchome – wówczas meldowano o tym Władkowi. On z kolei powiadamiał wartownika, po czym we czwórkę dźwigali zwłoki i wyrzucali z jadącego pociągu. Wartownicy dla pewności pakowali kulę w głowę nieboszczyka.

Po przebyciu dwustu mil od Mińska dojechali do niewielkiego miasta o nazwie Smoleńsk, gdzie otrzymali gorący kapuśniak i czarny chleb. Do wagonu Władka doładowano nowych więźniów, którzy mówili tym językiem co strażnicy. Przywódcą grupy był chłopak w wieku zbliżonym do Władka. Władek i jego stopniała gromadka, składająca się z dziewięciu mężczyzn oraz jednej kobiety, podejrzliwie odnosili się do przybyszy, podzielili więc wagon na dwie części i przez parę dni każda z grup trzymała się osobno.

Którejś nocy, gdy Władek leżał bezsennie, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo i usiłując się rozgrzać, spostrzegł nagle, że przywódca grupy smoleńskiej podpełzł z kawałkiem linki w ręku ku leżącemu na końcu szeregu Polakowi, którym był Alfons, pierwszy lokaj barona, i okręcił ją wokół szyi śpiącego. Władek wiedział, że jeśli się gwałtownie poruszy, chłopak usłyszy szmer i ucieknie do swojej części wagonu, chroniąc się wśród kamratów, zaczął więc czołgać się ostrożnie na brzuchu wzdłuż szeregu Polaków. Patrzyli na niego szeroko otwartymi oczyma, ale nikt się nie odezwał. Dotarł wreszcie do końca, i wówczas jednym skokiem rzucił się na napastnika, z miejsca budząc wszystkich. Obie grupy rozpierzchły się i stłoczyły w dwu przeciwnych krańcach wagonu, tylko Alfons leżał nieruchomo pośrodku.

Chłopak był wyższy i zwinniejszy od Władka, ale teraz, kiedy bili się na podłodze, nie miało to większego znaczenia. Walka trwała już kilka minut; strażnicy ze śmiechem patrzyli na widowisko i zakładali się, który z gladiatorów odniesie zwycięstwo. Jeden ze strażników, znudzony bezkrwawymi zapasami, cisnął bagnet na środek wagonu. Obaj chłopcy rzucili się w stronę błyszczącego ostrza, lecz przybysz był szybszy. Banda ze Smoleńska ryknęła radośnie, kiedy wbił bagnet

w nogę Władka, wyszarpnął skrwawione ostrze i pchnął jeszcze raz. Teraz bagnet wbił się mocno w dygocącą drewnianą podłogę pociągu, tuż obok ucha Władka. Kiedy tamten usiłował go wyrwać, Władek całą siłą, jaka mu jeszcze została, kopnął chłopca w krocze i, odrzuciwszy go do tyłu, uwolnił bagnet. Skoczył, schwycił broń i rzucił się z góry na przeciwnika, wbijając mu ostrze prosto w gardło. Tamten wydał tak przeraźliwy przedśmiertny krzyk, że postawił na nogi cały pociąg. Władek wydobył ostrze, przekręcając je, i dźgał raz za razem, chociaż tamten od dawna się nie ruszał. Ciężko dysząc, Władek ukląkł nad nim, podniósł ciało i wyrzucił je z wagonu. Usłyszał głuchy łoskot, kiedy zwaliło się na nasyp, i zaraz potem bezsensowne strzały strażników.

Pokuśtykał ku Alfonsowi, nadal leżącemu bez ruchu na drewnianej podłodze, i przykląkł przy nim, potrząsając bezwładnym ciałem; jego drugi świadek nie żył. Któż teraz uwierzy, że on, Władek, został wyznaczony na dziedzica fortuny barona? Czy życie ma jeszcze jakiś sens? Padł na kolana, ujął bagnet obiema rękami i skierował sobie ostrze w brzuch. Strażnik błyskawicznie skoczył w dół i wyrwał mu broń.

– Nie zrobisz tego – warknął. – W obozach potrzebni są tacy z ikrą jak ty. Nie możemy sami odwalać całej roboty.

Władek ukrył twarz w dłoniach. Dopiero teraz poczuł dotkliwy ból w zranionej nodze. Utracił swe dziedzictwo, przehandlował je, zostając w zamian wodzem bandy nędzarzy ze Smoleńska.

I znów jego władza rozciągała się na cały wagon; miał teraz pod opieką dwudziestu więźniów. Natychmiast przemieszał obie grupy, co zapobiegało dalszym bójkom.

Dużo czasu poświęcał na opanowanie dziwnej mowy więźniów ze Smoleńska, przez kilka dni nie zdając sobie sprawy, że jest to język rosyjski, tak dalece bowiem odbiegał od klasycznego rosyjskiego, jakiego uczył go baron. Dopiero gdy uświadomił sobie, dokąd wiezie ich pociąg, pojął znaczenie tego odkrycia.

W ciągu dnia Władek dobierał sobie do nauki języka dwóch ze Smoleńska; i gdy pierwsza dwójka była zmęczona, przywoływał następną, potem znów następną, aż do chwili, gdy wszyscy mieli już dość.

Z czasem coraz bieglej porozumiewał się ze swoimi podwładnymi. Przeważnie byli to żołnierze rosyjscy, po repatriacji skazani na wygnanie za to, że pozwolili Niemcom wziąć się do niewoli, wśród pozostałych znajdowali się biali Rosjanie, chłopi, górnicy, wyrobnicy, wszyscy z zaciekłą wrogością odnoszący się do rewolucji.

Pociąg mijał bezkresne pustkowia, jakich Władek nigdy w życiu nie widział, i miasta, o których istnieniu nie słyszał, jak Omsk, Nowosybirsk, Krasnojarsk – nazwy złowieszczo brzmiące w jego uszach. Wreszcie, po upływie trzech miesięcy i przebyciu ponad trzech tysięcy mil, dojechali do Irkucka, gdzie niespodziewanie kończyły się tory kolejowe.

Wypchnięto ich z pociągu, nakarmiono i wydano walonki, kaftany i ciężkie kapoty, i choć ludzie wyrywali sobie co cieplejsze odzienie, i tak niewiele ich ono chroniło przed nieustannie potęgującym się chłodem.

Nadjechały bezkonne wozy, podobne do tego, który wywiózł Władka z zamku, i zrzucono z nich długie łańcuchy. Ku niedowierzaniu i zgrozie Władka strażnicy zaczęli przykuwać więźniów za jedną rękę, po dwadzieścia pięć par do łańcucha.

Ciężarówki ruszyły, ciągnąc gromady więźniów, podczas gdy straż jechała z tyłu. Po dwunastu godzinach marszu zatrzymali się na dwugodzinny odpoczynek, a potem ruszyli w dalszą drogę. Po trzech dniach Władkowi wydawało się, że umrze z głodu i wyczerpania, gdy jednak konwój zostawił za sobą zamieszkane okolice, maszerowali tylko dniami, nocami zaś odpoczywali. Kuchnia polowa, obsługiwana przez więźniów z obozu, wydawała o świcie i wieczorem zupę z rzepy i chleb. Kucharze powiedzieli Władkowi, że w obozie życie jest jeszcze cięższe.

Przez pierwszy tydzień nie zdejmowano im kajdan, później jednak, kiedy nie mogło być już mowy o ucieczce, rozkuwano ich wieczorami i wówczas kopali sobie jamy w śniegu na nocleg. Bywały i lepsze dni, kiedy szlak wiódł przez las, wtedy mościli sobie legowiska wśród drzew; zaiste luksus osobliwe przyjmował formy. Maszerowali bez końca, mijając ogromne jeziora i przecinając skute lodem rzeki, cały czas na północ. Twarze siekł im ostry, mroźny wiatr, zapadali się w coraz głębsze zaspy. Zraniona noga Władka rwała ciągłym, tępym bólem, wkrótce przyćmionym cierpieniami, jakie sprawiały mu odmrożone palce i uszy. W bezmiarze białej pustki nie było widać śladu życia ani pożywienia i Władek rozumiał, że ucieczka nocą może się zakończyć tylko powolną śmiercią głodową. Starzy i chorzy zaczęli wymierać, w spokoju nocy, jeśli mieli szczęście. Mniej szczęśliwych, którzy zostawali w tyle podczas marszu, uwalniano z łańcucha i zostawiano samym sobie na bezkresnych śnieżnych połaciach. Ci zaś, którzy jeszcze żyli, szli i szli, wciąż na północ, aż wreszcie Władek kompletnie stracił poczucie czasu i czuł tylko nieubłaganie ciągnący łańcuch, a gdy wygrzebywał na noc jamę w śniegu, nie wiedział, czy zbudzi się następnego ranka, czy kopie sobie grób.

Po przewędrowaniu półtora tysiąca kilometrów ci, którzy wytrzymali tę syberyjską odyseję, napotkali oczekujących ich Ostiaków, koczowników Północy, z saniami ciągnionymi przez reny. Ciężarówki uwolniły się od ładunku i zawróciły. Więźniowie, teraz przykuci do sań, powlekli się dalej. Szalejąca zamieć zmusiła ich do prawie dwudniowego postoju i Władek wykorzystał okazję, dogadując się z młodym Ostiakiem powożącym saniami, do których przykuto Polaka. Trudno było mu się porozumieć swoją literacką ruszczyzną z polskim akcentem, jednak zdołał się dowiedzieć, że Ostiacy nienawidzą Rosjan, którzy traktują ich prawie tak źle jak więźniów. Ostiacy odnosili się nie bez współczucia do znękanych niewolników bez przyszłości, nieszczęśliwców, jak ich zwali.

Dziewięć dni później, w poświacie arktycznej zimowej nocy, przybyli do obozu numer 201. Władek nigdy by nie uwierzył, że człowieka może ucieszyć widok drewnianych baraków stojących w szeregach w ponurym pustkowiu. Baraki, tak jak więźniowie, były ponumerowane. Władka przydzielono do baraku 33. Na środku stał mały żelazny piecyk, pod ścianami zaś stały piętrowe drewniane prycze z twardymi siennikami wypchanymi słomą, z jednym cienkim kocem. Niewielu więźniom udało się zasnąć tej nocy, a jęki i krzyki rozlegające się w baraku numer 33 częstokroć zagłuszały wilcze wycie rozlegające się na zewnątrz.

Następnego ranka, jeszcze przed wschodem słońca, zbudziło ich walenie młota o żelazną sztabę. Szyby z obu stron pokrywała gruba warstwa szronu i Władkowi przyszło na myśl, że nie przetrzyma takich mrozów. Śniadanie w upiornie zimnym, wspólnym baraku trwało dziesięć minut i składało się z letniej lury, w której pływały kawałki zgniłej ryby i liść kapusty. Nowo przybyli wypluwali rybie

ości, bardziej zaś zaprawieni więźniowie zjadali nie tylko ości, ale i rybie oczy.

Po śniadaniu przydzielono robotę. Władek został drwalem. Poprowadzono go dziesięć kilometrów przez monotonne pustkowie do lasu i polecono ściąć określoną liczbę drzew każdego dnia. Strażnik wydał Władkowi i jego szczupłej sześcioosobowej gromadce racje żywnościowe – chleb oraz trudną do przełknięcia żółtawą breję i odszedł. Mógł być spokojny, że nikt nie poważy się uciekać, ponieważ gdyby nawet wiedział, w jakim kierunku iść do najbliższego miasta, musiałby przewędrować ponad tysiąc sześćset kilometrów.

Strażnik wracał pod koniec każdego dnia i liczył kloce zrąbanego drzewa. Postraszył więźniów, że w razie niewykonania dziennej normy następnego dnia nie otrzymają pożywienia. Gdy jednak przychodził po drwali o siódmej wieczorem, po zapadnięciu zmroku, trudno mu się było doliczyć ściętych pni. Za radą Władka jego ludzie wykorzystywali ostatnie godziny popołudniowe na oczyszczanie ze śniegu drewna ściętego poprzedniego dnia i gromadzeniu go obok świeżo zrąbanych kloców. Pomysł okazał się niezawodny i drużyna Władka ani razu nie straciła racji żywnościowych. Czasami udawało się przeszmuglować do obozu szczapę drewna, którą ukrywali, przywiązując ją pod ubraniem do nogi i potem dorzucali w nocy do piecyka. Musieli zachowywać ostrożność, bowiem za każdym razem, gdy wychodzili i wracali do obozu, rewidowano przynajmniej jednego z nich, nieraz zmuszając do zdjęcia butów i stania boso na parzącym zimnem śniegu. Jeśli coś znaleziono, odbierano więźniowi trzydniowe racje żywnościowe.

Po kilku tygodniach Władkowi zaczęła drętwieć i dokuczać zraniona noga. Marzył o nadejściu największych mrozów, gdy

temperatura spadała do czterdziestu stopni poniżej zera i odwoływano pracę w lesie, mimo że te dni i tak odrabiało się później w niedzielę, kiedy to zazwyczaj pozwalano im wylegiwać się na pryczach cały dzień.

Pewnego wieczoru, gdy Władek ciągnął przez karczowisko ścięte pnie, poczuł nagle bolesne pulsowanie w chorej nodze. Obejrzał bliznę, pamiątkę po bójce w pociągu, i stwierdził, że noga jest w tym miejscu spuchnięta, skóra zaś błyszcząca. Pokazał później nogę strażnikowi, który mu powiedział, aby przed świtaniem zgłosił się do obozowego lekarza. Władek niemal całą noc przesiedział przy piecu, obstawiony suszącymi się walonkami, ale słabe ciepło nie łagodziło bólu.

Rano zerwał się godzinę wcześniej niż zwykle. Jeśli nie zdążyło się do lekarza przed rozpoczęciem pracy, trzeba było czekać do następnego dnia. Władek nie zniósłby dłużej tak dotkliwego bólu. Zgłosił się do doktora i podał swoje nazwisko i numer. Pierre Dubien był sympatycznym starszym panem, łysym i mocno zgarbionym. Władek pomyślał, że wygląda na jeszcze bardziej zgrzybiałego niż baron pod koniec swych dni. Lekarz bez słowa obejrzał nogę.

– Czy rana się zagoi, panie doktorze? – spytał chłopak.

– Rozumiesz po rosyjsku?

– Tak.

– Będziesz utykał do końca życia, chłopcze, ale noga się wygoi. Tylko po co? Żebyś dalej mógł wlec pnie drzew?

– Nie, proszę pana. Chcę stąd uciec i dostać się do Polski.

Doktor obrzucił go bystrym wzrokiem.

– Mów ciszej, głupcze. Przecież rozumiesz chyba, że ucieczka jest niemożliwa. Mnie uwięziono przed piętnastu laty i nie było dnia,

żebym sobie nie łamał nad tym głowy. Ale nie ma sposobu. Nigdy nikomu nie udało się stąd uciec i przeżyć, a za samo mówienie o tym posyłają na dziesięć dni do karceru, gdzie dają jeść raz na trzy dni i rozpalają w piecu tylko po to, żeby stopniał lód na ścianach. Jeśli ktoś wyjdzie stamtąd żywy, może się uważać za szczęściarza.

– Ale ja ucieknę, na pewno ucieknę – powiedział Władek, wpatrując się w starca.

Doktor zajrzał Władkowi w oczy i uśmiechnął się.

– Przyjacielu, nigdy więcej nie wspominaj o ucieczce, bo cię zabiją. Wracaj do pracy, gimnastykuj nogę i co rano się u mnie pokazuj.

Władek wrócił do lasu i do wyrębu drzew, ale okazało się, że nie jest w stanie uciągnąć pnia dalej niż parę kroków i że ból tak się wzmaga, jakby noga miała mu odpaść. Następnego dnia lekarz zbadał go dokładniej.

– Niestety, jest gorzej – pokiwał głową. – Ile masz lat, chłopcze?

– Chyba trzynaście – odparł Władek. – Który mamy rok?

– Tysiąc dziewięćset dziewiętnasty.

– To trzynaście. A pan?

Stary człowiek spojrzał w niebieskie oczy chłopca, zdziwiony pytaniem.

– Trzydzieści osiem – odpowiedział cicho.

– Boże! – szepnął Władek.

– Ty też byś tak wyglądał, gdybyś tu spędził piętnaście lat – stwierdził sucho doktor.

– Jak pan się tu znalazł? – zagadnął Władek. – Dlaczego pana do tej pory nie wypuścili?

– Aresztowali mnie w Moskwie w tysiąc dziewięćset czwartym, kiedy jako świeżo upieczony lekarz podjąłem pracę w ambasadzie francuskiej. Oskarżyli mnie o szpiegostwo i wsadzili do moskiewskiego więzienia. Wydawało mi się, że już nie może być gorzej, dopóki po rewolucji nie wysłali mnie do tego piekła. Nawet Francuzi zdążyli już o mnie zapomnieć. Tylko niewielu dożyło w tym obozie końca kary, muszę więc tutaj umrzeć, jak wszyscy. Im prędzej, tym lepiej.

– Nie wolno panu tracić nadziei.

– Nadziei? Dawno już ją straciłem. Ale ty może masz jakąś szansę, kto wie. Pamiętaj tylko, z nikim o tym nie rozmawiaj. Są tacy wśród więźniów, którzy donoszą za kawałek chleba, za dodatkowy koc. A teraz posłuchaj, Władku. Zamierzam przenieść cię na miesiąc do kuchni, z tym że nadal będziesz co rano się u mnie meldował. To twoja jedyna szansa na uratowanie nogi, a ja bardzo bym nie chciał ci jej obcinać. Nie dysponujemy tutaj najnowocześniejszymi instrumentami chirurgicznymi – rzekł, wskazując wielki nóż rzeźnicki.

Władek się wzdrygnął.

Doktor Dubien zanotował na karteczce nazwisko Władka. Następnego dnia chłopak zgłosił się do kuchni, gdzie zajął się myciem naczyń w lodowatej wodzie oraz przygotowywaniem posiłków, które przy tej temperaturze nie wymagały już przechowywania w chłodni. Po dźwiganiu całymi dniami ciężkich kloców kuchnia wydała mu się rajem: dostawał dodatkową porcję zupy rybnej, grubą pajdę razowca z posiekanymi liśćmi pokrzywy i przebywał w zamkniętym, ciepłym pomieszczeniu. Jednego razu kucharz nawet podzielił się z nim jajkiem, choć żaden z nich nie miał pojęcia, co za ptak je zniósł. Noga

powoli się goiła, tylko kulał mocniej. Doktor Dubien doglądał go, ale niewiele więcej mógł dla niego zrobić przy braku leków z prawdziwego zdarzenia. Z czasem doktor zaprzyjaźnił się z Władkiem i zaczął nawet podzielać jego młodzieńczą wiarę w przyszłość. Każdego ranka rozmawiali w innym języku, ale doktor najbardziej lubił francuski, swoją ojczystą mowę.

– Za siedem dni, Władku, będziesz musiał wrócić do pracy w lesie; nadzorca obejrzy ci nogę i nie będę mógł zatrzymać cię dłużej w kuchni. Słuchaj teraz uważnie. Obmyśliłem dla ciebie plan ucieczki.

– Dla nas – poprawił go Władek. – Dla nas dwóch.

– Nie, Władku. Tylko dla ciebie. Ja jestem zbyt sterany na tak daleką podróż. Marzyłem wprawdzie o ucieczce od piętnastu lat, ale byłbym ci tylko kulą u nogi. Wystarczy mi świadomość, że ktoś inny spełnił moje marzenie, a ty pierwszy mnie przekonałeś, że może ci się udać.

Władek w milczeniu siedział na podłodze i przysłuchiwał się słowom doktora.

– W ciągu tych piętnastu lat udało mi się zaoszczędzić dwieście rubli, a wiadomo, że w Rosji więźniom nie płaci się za nadgodziny. – Władek próbował się roześmiać z najstarszego obozowego dowcipu. – Pieniądze schowałem do butelki po lekarstwie, cztery pięćdziesięciorublowe banknoty. Tuż przed ucieczką zaszyje się je w ubraniu. Już ja się tym zajmę.

– Ale skąd wziąć ubranie? – zapytał Władek.

– Mam garnitur i koszulę, które dał mi przekupiony strażnik dwanaście lat temu, kiedy jeszcze myślałem o ucieczce. Co prawda nie jest to ostatni krzyk mody, ale do twoich celów wystarczy.

Przez piętnaście lat ciułać dwieście rubli, zdobyć koszulę i ubranie i potem w jednej chwili oddać to komuś innemu! Już nigdy potem Władek nie doświadczył takiego altruizmu.

– W następny czwartek będziesz miał jedyną okazję – ciągnął doktor. – Do Irkucka przyjeżdża pociąg z nowym transportem więźniów, a konwojenci zawsze zabierają czterech ludzi z kuchni, którzy w drodze przygotowują posiłki. Już porozumiałem się z szefem kuchni – zaśmiał się z własnego określenia – że w zamian za pewne specyfiki włączy cię do obsługi kuchni polowej. Nie było to takie trudne. Nikt nie chce się narażać na trudy podróży do Irkucka i z powrotem – ty jednak pojedziesz tylko w jedną stronę.

Władek słuchał słów doktora z napięciem.

– Kiedy znajdziesz się na stacji, czekaj na przyjazd pociągu z więźniami. Gdy wszyscy wysiądą, przebiegniesz tory i dostaniesz się do pociągu udającego się do Moskwy, który nie może odjechać przed nadejściem transportu z więźniami, ponieważ jest tylko jeden tor. Przy setkach więźniów kłębiących się na peronie, strażnicy prawdopodobnie nie spostrzegą, że zniknąłeś. W tym twoja szansa. Od tej chwili będziesz zdany na siebie. Pamiętaj, że gdyby cię zauważyli, z miejsca cię zastrzelą. Jeszcze w jednym mogę ci pomóc. Piętnaście lat temu, kiedy mnie tu zesłano, narysowałem z pamięci szkic szlaku z Moskwy do Turcji. Może nie jest już całkiem aktualny, ale powinien ci wystarczyć. Nie zapomnij sprawdzić, czy Rosjanie nie zagarnęli także Turcji. Bóg jeden wie, jak daleko sięgają ich najnowsze podboje. Może i Francja padła ich ofiarą?

Doktor podszedł do szafki z lekami i wyjął dużą butelkę wypełnioną, jak się z pozoru zdawało, brunatną substancją. Odkręcił wieczko i wydobył ze środka rulonik starego pergaminu. Czarny

atrament wyblakł w ciągu tych lat. Z boku widniał napis: październik 1904. Mapka pokazywała drogę z Moskwy do Odessy i z Odessy do Turcji; dwadzieścia siedem setek kilometrów do wolności.

– Przychodź do mnie przez cały tydzień co rano, przećwiczymy po wielekroć cały plan. Nie możemy pozwolić, żeby powinęła ci się noga z braku przygotowania.

Władek nie spał po nocach. Wpatrywał się w „wilcze słońce" za oknem i powtarzał sobie, jak ma się zachować w zależności od sytuacji, przygotowując się na każdą ewentualność. Rankiem zaś wciąż na nowo omawiał, szczegół po szczególe, plan ucieczki z doktorem. W środę wieczorem, w przeddzień wyjazdu Władka, doktor złożył mapę we czworo, potem jeszcze na pół, dołączył cztery banknoty pięćdziesięciorublowe i zrobił z tego malutki pakiecik, który wszył w rękaw marynarki. Władek rozebrał się, włożył ubranie doktora i na wierzch wdział z powrotem odzież więzienną. Wtedy właśnie doktor dostrzegł srebrną bransoletę barona, którą Władek, od kiedy wydano mu strój więzienny, nosił stale powyżej łokcia ze strachu, że zobaczy ją jakiś strażnik i skradnie jego jedyny skarb.

– Co to jest? – zapytał doktor. – To piękna rzecz.

– Podarunek od mego ojca – odparł Władek. – Czy mógłbym ofiarować to panu w dowód wdzięczności?

Zdjął bransoletę i podał doktorowi. Doktor przez dłuższą chwilę ją oglądał, wreszcie skłonił głowę.

– Nie przyjmę jej – powiedział. – Może należeć tylko do jednego człowieka. Twój ojciec musiał być kimś bardzo wybitnym.

Doktor włożył Władkowi bransoletę na przegub i mocno uścisnął mu dłoń.

– Powodzenia, Władku. Mam nadzieję, że już nigdy się nie zobaczymy.

Objęli się na pożegnanie i Władek poszedł do baraku, w którym miał spędzić, o co modlił się do Boga, swoją ostatnią noc. Bał się zasnąć w obawie, iż któryś ze strażników mógłby zauważyć, że ma pod spodem cywilne ubranie. Gdy więc rozbrzmiał poranny gong, był już gotów i od razu pospieszył do kuchni. Kiedy przybyli strażnicy, więzień zarządzający kuchnią wypchnął Władka do przodu. Do obsługi kuchni polowej wyznaczono raptem cztery osoby, a Władek był wśród nich najmłodszy.

– Dlaczego ten? – zapytał strażnik, wskazując Władka. – Jest w obozie dopiero niecały rok.

Chłopcu zamarło serce i przejął go chłód. Plan doktora może się nie powieść, a nowego transportu więźniów nie spodziewano się w obozie wcześniej niż za trzy miesiące. Do tej pory zaś jego już nie będzie w kuchni.

– Świetnie gotuje – wyjaśnił funkcyjny. – Praktykował w zamku pewnego barona. Potrafi dogodzić eskorcie.

– Hm – mruknął strażnik. Łakomstwo przytłumiło jego podejrzliwość. – No to zbieraj się.

Cała czwórka puściła się biegiem do czekającej ciężarówki i konwój zaraz ruszył.

Tak jak poprzednio, podróż była powolna i uciążliwa, ale teraz przynajmniej Władek nie musiał iść pieszo; nie dokuczał mu też nieznośny chłód, nastało bowiem lato. Przyrządzając posiłki, Władek uwijał się jak w ukropie, lecz przez całą podróż starał się trzymać na uboczu, nie rozmawiając z nikim poza szefem kucharzy, Stanisławem.

Do Irkucka dotarli po prawie szesnastu dniach podróży. Pociąg odjeżdżający do Moskwy stał już na peronie. Czekał od kilku godzin, nie mógł bowiem ruszyć przed przyjazdem pociągu z transportem więźniów. Władek przysiadł na skraju peronu wraz z pozostałymi więźniami z obsługi kuchni polowej; oni trzej, otępiali, bez poczucia celu, nieciekawi tego, co się dzieje wokół, i on jeden, z napięciem rejestrujący każdy szczegół, bacznie śledzący pociąg po drugiej stronie peronu. Kilkoro drzwi było otwartych i Władek szybko wybrał te, którymi wsiądzie, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

– Szykujesz się do ucieczki, co? – spytał nagle Stanisław. Władka oblał pot, ale zachował milczenie.

– Tak? – Stanisław spojrzał mu w oczy. Władek nadal milczał.

Stary kucharz popatrzył wymownie na trzynastoletniego chłopca, a potem z rozmachem kiwnął głową na znak przyzwolenia. Gdyby miał ogon, toby na pewno pomachał nim przyjaźnie.

– Powodzenia. Postaram się, żeby przez co najmniej dwa dni się nie połapali, że cię nie ma.

Nagle Stanisław trącił go w ramię i Władek zobaczył w oddali pociąg z więźniami powoli zbliżający się do stacji. Zamarł w oczekiwaniu. Serce zaczęło mu walić jak młotem, a oczy śledziły każdy ruch strażników. Czekał, aż pociąg się zatrzyma, a potem przyglądał się umęczonym więźniom, anonimowym numerom bez przyszłości, setkami wysypującym się na peron. Kiedy stacja zapełniła się bezładnym tłumem, który całkowicie pochłonął uwagę strażników, Władek przemknął pod wagonem i wskoczył do drugiego pociągu. Niezauważony przez nikogo, dotarł do ubikacji znajdującej się na końcu wagonu. Zamknął się w środku, przycupnął i trwał w napięciu, spodziewając się w każdej chwili stukania do drzwi. Czas

dłużył się jak wieczność. W końcu pociąg ruszył. W rzeczywistości upłynęło zaledwie siedemnaście minut.

– Nareszcie, nareszcie! – powiedział na cały głos.

Wyjrzał przez małe okienko i zobaczył oddalającą się stację, więźniów przykuwanych łańcuchami przed wymarszem do obozu 201, uśmiechniętych strażników zakładających im kajdany. Ilu z nich dobrnie żywych do obozu? Ilu zostanie po drodze rzuconych na pożarcie wilkom? Ile czasu upłynie, zanim zauważą jego nieobecność?

Władek przesiedział jeszcze kilka minut w ubikacji, sparaliżowany strachem, niepewny, co ma robić. Nagle ktoś zaczął walić do drzwi. Władek myślał gorączkowo – czy to strażnik, konduktor, a może żołnierz? W głowie migały mu kolejne obrazy, jeden bardziej przerażający od drugiego. Musiał naprawdę skorzystać z ubikacji. Walenie nie ustawało.

– Wyłaź już wreszcie, wyłaź – odezwał się męski głos o pospolitej rosyjskiej wymowie.

Władek nie miał wyboru. Jeżeli to żołnierz, nie było ratunku; tylko karzełek mógłby się przecisnąć przez maleńkie okienko. Jeżeli zaś nie żołnierz, to pozostając w ubikacji, tylko ściągnie na siebie uwagę. Zdjął więc obozowe łachy, zwinął ciasno w możliwie najmniejszy tobołek i wyrzucił przez okienko. Potem wyjął z kieszeni ubrania sukienną czapkę, wcisnął na ogoloną głowę i otworzył drzwi. Do ubikacji wpadł wzburzony mężczyzna i zaczął gwałtownie ściągać spodnie, zanim jeszcze Władek zdążył zamknąć drzwi.

Po wyjściu na korytarz Władek poczuł się rozpaczliwie samotny, miał bowiem wrażenie, że w swoim staromodnym ubraniu odbija od otoczenia jak przybysz z innej planety. Natychmiast ruszył na

poszukiwanie innej ubikacji, a gdy znalazł niezajętą, zamknął się w niej i pospiesznie wypruł z podszewki rękawa nitkę, wydobywając jeden z czterech pięćdziesięciorublowych banknotów. Trzy pozostałe włożył na miejsce, a potem wyszedł na korytarz. Poszukał najbardziej zatłoczonego wagonu i zaszył się w kącie. Na środku jacyś mężczyźni dla zabicia czasu grali w monety, pula sięgała kilku rubli. Władek zawsze pokonywał Leona w tej grze, więc teraz z chęcią przyłączyłby się do tamtych, obawiał się jednak, że wygrywając, ściągnie na siebie uwagę. Gra toczyła się długo i Władek, przypominając sobie rozmaite sztuczki, z trudem opanowywał pokusę zaryzykowania swoich dwustu rubli.

Jeden z graczy, który stracił sporo pieniędzy, zrezygnował rozgoryczony i klnąc, usiadł koło Władka.

– Szczęście nie dopisało? – zagadnął Władek, który bardzo pragnął usłyszeć swój głos.

– E, co tam szczęście – odparł hazardzista. – Zawsze ogrywam tych chłopków jak chcę, ale dziś spłukałem się do czysta.

– To może sprzedałby mi pan swoją szubę? – spytał Władek.

Mężczyzna, w odróżnieniu od większości pasażerów, miał na sobie solidną, grubą, starą szubę. Otaksował Władka spojrzeniem.

– Sądząc po twoim ubraniu, nie wydaje mi się, chłopcze, żeby cię było na nią stać. – Głos mężczyzny wyraźnie zdradzał, że wolałby, aby Władka było stać. – Liczę za nią siedemdziesiąt pięć rubli.

– Dam czterdzieści.

– Sześćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt – targował się Władek.

– Nie, sześćdziesiąt i kwita – upierał się hazardzista. – Kosztowała mnie ponad sto.

– Ale kiedy to było? – powiedział Władek, zastanawiając się, czyby nie wysupłać spod podszewki jeszcze jednej pięćdziesięciorublówki, lecz po namyśle uznał, że mogłoby to się wydać podejrzane. Trudno, musi zaczekać na następną okazję. Nie chciał jednak się zdradzić, że nie stać go na kupno szuby, pomacał więc kołnierz i rzucił z ostentacyjną pogardą:

– Przepłaciłeś, przyjacielu. Pięćdziesiąt rubli i ani kopiejki więcej. – Wstał, jakby zamierzał odejść.

– Zaczekaj – nie wytrzymał hazardzista. – Niech już będzie pięćdziesiąt.

Władek wyjął z kieszeni pięćdziesiąt rubli, a miłośnik hazardu zdjął szubę i wymienił na wymiętoszony czerwony banknot. Szuba była na Władka o wiele za duża, sięgała mu poniżej kostek, ale właśnie dokładnie czegoś takiego potrzebował, by zakryć rzucające się w oczy ubranie. Jeszcze chwilę obserwował mężczyznę, który przyłączył się do graczy i od nowa zaczął przegrywać. Władek nauczył się od niego dwóch rzeczy: nigdy nie wdawaj się w hazard, jeśli przewaga wiedzy i zręczności nie daje ci gwarancji wygranej, i zawsze umiej zrezygnować z interesu, jeśli cię nań nie stać.

Władek wycofał się z wagonu, czując się trochę bezpieczniej w swoim nowym, choć starym palcie. Z większą pewnością siebie zaczął się też rozglądać po wagonach. Dzieliły się one na dwie klasy: zwykłą, w której pasażerowie stali lub siedzieli na drewnianych ławach, i specjalną, z wyścielanymi siedzeniami. Okazało się, że wszystkie wagony były jednakowo zatłoczone z wyjątkiem jednego, z miejscami siedzącymi, którym jechała samotna kobieta w średnim wieku, jak osądził Władek. Była nieco pulchniejsza i trochę gustowniej ubrana niż większość pasażerów w pociągu. Miała na sobie niebieską suknię i

chusteczkę zawiązaną na głowie. Uśmiechnęła się do Władka, gdy przystanął i spojrzał na nią, nabrał więc odwagi i wszedł do środka.

– Czy mogę usiąść? – zapytał.

– Proszę – odparła kobieta, uważnie mu się przyglądając.

Władek nie odezwał się już więcej, otaksował tylko spojrzeniem kobietę i wnętrze wagonu. Kobieta miała ziemistą, zmiętą twarz i była nieco za tłusta – tylko trochę, tyle, ile można utyć na radzieckim wikcie. Jej krótkie, czarne włosy i brązowe oczy zdradzały, że kiedyś była urodziwa. Na półkach leżały dwa spore tobołki, małą walizeczkę zaś trzymała przy sobie. Mimo niebezpieczeństwa, które mu zagrażało, Władka ogarnęło nagle straszliwe zmęczenie. Zastanawiał się właśnie, czyby nie zaryzykować i spróbować się trochę zdrzemnąć, gdy kobieta odezwała się:

– Dokąd jedziesz?

Pytanie zaskoczyło Władka. Pospiesznie próbował zebrać myśli.

– Do Moskwy – odparł i wstrzymał oddech.

– Ja także – powiedziała.

Władek robił sobie wyrzuty, że nie pozostał w zatłoczonym wagonie i że niepotrzebnie się wygadał. Nie odzywaj się do nikogo, przestrzegał doktor, nikomu nie ufaj.

Na szczęście kobieta nie zadawała więcej pytań. Władek zaczynał czuć się coraz pewniej, gdy nagle pojawił się konduktor. Mimo dotkliwego chłodu chłopiec oblał się potem. Konduktor wziął bilet od kobiety, przedarł go, po czym zwrócił się do Władka.

– A wasz bilet, towarzyszu? – wycedził monotonnym głosem.

Władka zamurowało. Zaczął grzebać w kieszeniach szuby.

– To mój syn – kategorycznie oznajmiła kobieta.

Konduktor spojrzał na nią, potem na chłopca, następnie skłonił się jej i wyszedł bez słowa. Władek wlepił wzrok w kobietę.

– Dziękuję – wyszeptał, nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Widziałam, jak wyszedłeś spod wagonu z więźniami – powiedziała spokojnie kobieta. Władkowi zrobiło się niedobrze. – Nie bój się, ja cię nie wydam. Mam kuzyna, młodego chłopca, w jednym z tych strasznych obozów, zresztą każdy z nas się boi, że trafi tam pewnego dnia. Co masz na sobie pod tą szubą?

Władek rozważał, co lepsze: czy dać susa i umknąć, czy też rozpiąć szubę. Wybrał to drugie.

– Nie jest aż tak źle, jak się obawiałam – rzekła. – A co zrobiłeś z obozowym ubraniem?

– Wyrzuciłem przez okno.

– Miejmy nadzieję, że go nie znajdą, póki nie dojedziemy do Moskwy.

Władek nic nie odpowiedział.

– Czy masz się gdzie zatrzymać w Moskwie?

Znów wspomniał radę doktora, żeby nikomu nie ufać. Ale jej musiał zaufać.

– Nie, nie mam.

– Możesz więc na razie zostać u mnie, póki sobie czegoś nie znajdziesz. Mój mąż – wyjaśniła – jest naczelnikiem stacji w Moskwie, a ten wagon jest zarezerwowany wyłącznie dla urzędników państwowych. Jeśli jeszcze kiedyś popełnisz taki błąd, wsadzą cię w pociąg do Irkucka.

Władek przełknął ślinę.

– Czy mam sobie teraz pójść? – zapytał.

– Nie, teraz nie, kiedy konduktor już cię tu widział. Na razie jesteś ze mną bezpieczny. Czy masz jakiś dokument stwierdzający tożsamość?

– Nie. A co to takiego?

– Od rewolucji każdy obywatel radziecki musi mieć dowód tożsamości stwierdzający, kim jest, gdzie mieszka i pracuje. Jeśli nie ma takiego dowodu, zostaje osadzony w więzieniu, aż się wylegitymuje, póki zaś siedzi w więzieniu, nie może tego zrobić, więc zostaje tam na zawsze – wyjaśniła rzeczowo. – W Moskwie nie wolno ci odstępować mnie na krok i nie waż się otwierać ust.

– Pani jest dla mnie bardzo dobra – stwierdził podejrzliwie Władek.

– Odkąd car nie żyje, nikt z nas nie jest bezpieczny. Ja miałam szczęście poślubić właściwego człowieka – dodała – ale nie ma w tym kraju ani jednego takiego, z wyższymi urzędnikami włącznie, który by nie żył w ciągłym strachu przed aresztowaniem i zsyłką do obozu. A jak ci na imię?

– Władek.

– Ładnie. Prześpij się teraz, Władku, bo wyglądasz na utrudzonego. Przed tobą długa podróż i nie jesteś jeszcze całkiem bezpieczny.

Władek ułożył się do snu.

Zbudził się po kilku godzinach, gdy za oknami panował już mrok. Spojrzał na swoją opiekunkę, ona zaś się uśmiechnęła. Odpowiedział jej uśmiechem, modląc się w duchu, żeby okazała się godna zaufania i nie wydała go – a może już to zrobiła? Tymczasem kobieta wyjęła z jednego z tłumoków wiktuały i poczęstowała go. Pożywiał się w

milczeniu. Na najbliższej stacji prawie wszyscy wysiedli z pociągu; część pasażerów po prostu nie jechała dalej, a pozostali chcieli się trochę pokrzepić i rozprostować obolałe kości.

Kobieta wstała i spojrzała na Władka.

– Chodź ze mną – zachęciła.

Podniósł się z miejsca i wyszedł za nią na peron.

Może teraz mnie wyda, pomyślał. Wyciągnęła rękę, którą ujął tak, jakby to zrobiło każde trzynastoletnie dziecko idące u boku matki, i poprowadziła go w stronę damskiej ubikacji. Władek się zawahał. Nakłoniła go jednak, żeby wszedł, a gdy znaleźli się w środku, kazała mu się rozebrać. Wykonał jej polecenie bez sprzeciwu; nikogo tak nie słuchał od śmierci barona. Kiedy ściągnął ubranie, odkręciła pojedynczy kran, z którego trysnął cienki strumyczek brązowawej cieczy. Kobieta wzdrygnęła się z odrazą, ale Władkowi woda ta w porównaniu z obozową wydała się kryształowa. Kobieta zabrała się do przemywania ran chłopca zwilżonym gałgankiem, usiłując przy okazji choć trochę go domyć, co jednak okazało się beznadziejnym przedsięwzięciem. Drgnęła na widok szramy na jego nodze. Władek nawet nie pisnął, choć przy każdym delikatnym dotknięciu przenikał go ostry ból.

– Kiedy już będziemy w domu – powiedziała – opatrzę tę ranę jak należy, bo teraz nic więcej nie da się zrobić.

Nagle jej wzrok padł na srebrną bransoletę. Odczytała inskrypcję i spojrzała badawczo na Władka.

– Czy to twoje? – zapytała. – Komu ją ukradłeś?

– Wcale nie ukradłem – odparł oburzony. – Ojciec ją mi dał przed śmiercią.

Znów na niego spojrzała, lecz tym razem jej oczy wyrażały coś innego. Czy był to strach czy szacunek? Skłoniła głowę.

– Strzeż się, Władku. Dla tak drogocennej rzeczy ludzie potrafią zabijać.

Kiwnął potakująco głową i szybko zaczął się ubierać. Wrócili do przedziału. Godzinne opóźnienie pociągu nie było czymś niezwykłym, i gdy wreszcie pociąg z dygotem ruszył ze stacji, równomierny stukot kół sprawił Władkowi przyjemność. Pociąg jechał do Moskwy dwanaście i pół dnia. Ilekroć pojawiał się nowy konduktor, odgrywali to samo przedstawienie: Władek nieprzekonująco przybierał minkę niewinnego chłopczyka, kobieta zaś z wielkim przekonaniem wcielała się w rolę matki.

Konduktorzy nieodmiennie kłaniali jej się z szacunkiem i Władek doszedł do wniosku, że w Związku Radzieckim naczelnik stacji musi być bardzo ważną personą.

Nim pociąg pokonał odległość tysiąca sześciuset kilometrów i dojechał do Moskwy, Władek w pełni zaufał kobiecie i nie mógł się już doczekać chwili, kiedy znajdzie się w jej domu. Wreszcie, wczesnym popołudniem, stanęli w Moskwie. Mimo że Władek niejedno przeżył, nigdy jeszcze nie był w wielkim mieście, do tego stolicy Związku Radzieckiego. Ogarnęło go przerażenie, nowy strach przed nieznanym. Patrzył z lękiem na tłumy ludzi spieszących w różne strony. Kobieta wyczuła jego niepokój.

– Idź za mną, nie odzywaj się, a przede wszystkim nie zdejmuj czapki – poleciła.

Władek ściągnął z półki bagaże, na głowę pokrytą teraz czarną szczeciną nasunął głęboko czapkę i wysiadł za kobietą na peron. Ciżba ludzka stłoczona przy barierce tworzyła zator przed wąskim

wejściem, gdzie każdy z pasażerów musiał okazać dokumenty. Kiedy podchodzili do barierki, serce Władka waliło jak werbel na defiladzie, ale gdy nadeszła ich kolej, lęk opadł w jednej chwili. Wartownik ledwie rzucił okiem na dokumenty kobiety.

– W porządku, towarzyszko – podziękował i zasalutował. Potem spojrzał na Władka.

– Mój synek – wyjaśniła.

– Tak jest, towarzyszko. – Wartownik ponownie przytknął palce do czapki.

Władek był w Moskwie.

Mimo całego zaufania do nowej opiekunki korciło go, żeby puścić się pędem przed siebie. Pomyślał jednak, że sto pięćdziesiąt rubli nie wystarczy mu na długo, postanowił więc, że na razie zda się na nią. Przecież zawsze będzie mógł uciec później. Przed dworcem czekała dorożka, która zawiozła kobietę i jej świeżo upieczonego syna do domu. Korzystając z nieobecności męża, kobieta od razu zaczęła szykować łóżko dla Władka. Potem wlała zagrzaną na piecu wodę do dużej blaszanej balii i kazała do niej wejść Władkowi. Była to jego pierwsza kąpiel od ponad czterech lat, jeśli nie liczyć zanurzenia się w rzeczce. Kobieta podgrzała więcej wody, wzięła mydło, o istnieniu którego Władek już prawie zdążył zapomnieć, i zaczęła szorować mu plecy, jedyny fragment jego ciała, gdzie skóra była nienaruszona. Woda zaczęła zmieniać kolor i po dwudziestu minutach zrobiła się czarna. Władek wytarł się, a kobieta nasmarowała mu maścią ręce i nogi i opatrzyła najbardziej zaognione miejsca. Wtedy też zauważyła, że chłopiec ma tylko jeden sutek. Władek prędko się ubrał i poszedł za kobietą do kuchni, gdzie czekała już na niego miska gorącej zupy i talerz fasoli. Chłopiec w mgnieniu oka pochłonął te przysmaki.

Podczas posiłku oboje milczeli. Gdy skończył jeść, kobieta uznała, iż najlepiej będzie, jeśli chłopiec od razu położy się do łóżka.

– Wolę, żeby mąż cię nie widział, póki mu nie wyjaśnię, jak się tu znalazłeś – powiedziała. – Czy chciałbyś z nami zostać, Władku, gdyby mój mąż się zgodził?

Z wdzięcznością skinął głową.

– A teraz zmykaj do łóżka – poleciła.

Chłopak odszedł posłusznie, modląc się w duchu, żeby tylko mąż kobiety pozwolił mu zostać. Powoli się rozebrał i położył. Ale był za czysty, pościel za świeża, materace za miękkie, zrzucił więc poduszkę na podłogę; ogarnęło go jednak tak przemożne zmęczenie, że zasnął w tym przesadnie wygodnym łóżku. Po kilku godzinach z głębokiego snu wyrwały go podniesione głosy dobiegające z kuchni. Nie miał pojęcia, jak długo spał. Za oknem było już ciemno. Wyśliznął się z łóżka, uchylił drzwi i zaczął się przysłuchiwać rozmowie toczącej się na dole w kuchni.

– Ty idiotko – dobiegł jego uszu piskliwy głos. – Czy nie rozumiesz, co by się stało, jakby cię złapali? To ciebie wysłaliby do obozu.

– Ale gdybyś go widział, Piotrze. Wyglądał jak zaszczute zwierzątko.

– Więc to z nas postanowiłaś zrobić zaszczute zwierzęta, co? – powiedział męski głos. – Czy ktoś jeszcze go widział?

– Nie – oparła kobieta. – Nie przypuszczam.

– Dzięki Bogu. Musi natychmiast się wynosić, zanim ktoś się dowie, że tu jest. To nasz jedyny ratunek.

– Ale dokąd on ma pójść? Jest taki bezradny, nie ma nikogo – wstawiała się za Władkiem kobieta. – I ja zawsze chciałam mieć syna.

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz ani gdzie on się podzieje. To nie nasza sprawa. Musimy jak najprędzej się go pozbyć.

– Ale Piotrze, posłuchaj. W jego żyłach płynie błękitna krew, jego ojciec był baronem. Nosi na ręku srebrną bransoletę, na której wyryte są słowa…

– Tym gorzej. Znasz dekrety naszych nowych władz. Koniec z carem, z rodziną panującą, z przywilejami. Wcale by się z nami nie cackali i nie posyłali do obozu, tylko rozstrzelaliby nas na miejscu.

– Przecież zawsze pragnęliśmy mieć syna, Piotrze. Czy nie możemy raz w życiu zaryzykować?

– Ryzykuj własne życie, nie moje. Powiadam, że on musi stąd odejść, i to już.

Władek nie słuchał dalszej rozmowy. Pomyślał, że najlepiej odpłaci za dobroć swojej opiekunce, jeśli zniknie bez śladu. Szybko się ubrał i spojrzał tęsknie na łóżko z nadzieją, że następne zobaczy wcześniej niż przed upływem czterech lat. Przekręcał już klamkę w oknie, gdy drzwi otwarły się na oścież i do pokoju wpadł naczelnik stacji, mały człowieczek nie wyższy od Władka, z wielkim brzuchem i o prawie łysej głowie, którą okalały długie pasma siwych włosów. Na nosie miał szkła bez oprawek, a pod oczyma odciśnięte czerwone obwódki. W ręku trzymał lampę naftową. Stanął, patrząc na Władka. Chłopiec odpowiedział mu wyzywającym spojrzeniem.

– Schodź na dół – zakomenderował naczelnik.

Władek z ociąganiem podążył za nim do kuchni. Kobieta siedziała przy stole i płakała.

– Posłuchaj, chłopcze – zaczął mężczyzna.

– Ma na imię Władek – wtrąciła jego żona.

– Posłuchaj, chłopcze – powtórzył. – Jesteś intruzem i musisz się wynieść jak najdalej stąd. Powiem ci, co zrobię, żeby ci w tym pomóc.

– Pomóc? – Chłopak rzucił mu lodowate spojrzenie.

– Dam ci bilet kolejowy. Dokąd chcesz jechać?

– Do Odessy – powiedział Władek, nie przejmując się zupełnie gdzie to jest i ile może kosztować podróż. Jedno tylko miał w głowie – że na mapie doktora było to drugie z kolei miasto na drodze do wolności.

– Odessa, siedlisko przestępczości, miejsce w sam raz dla ciebie – zadrwił naczelnik stacji. – Znajdziesz się wśród takich samych jak ty, i dopiero wyrośnie z ciebie ziółko.

– Więc pozwól mu zostać z nami, Piotrze. Zaopiekuję się nim, będę…

– Nie, nigdy. Wolę już zapłacić za łobuza.

– Ale jakże on sobie poradzi z kontrolą dokumentów?

– Będę musiał mu wydać służbową przepustkę do Odessy. – Odwrócił głowę do Władka. – Zrobię to dla ciebie, ale jeśli jeszcze kiedyś o tobie usłyszę albo cię spotkam w Moskwie, każę cię natychmiast aresztować i wtrącić do najbliższego więzienia. Ani się obejrzysz, jak trafisz z powrotem do tego samego obozu, chyba że cię wcześniej rozstrzelają. – Naczelnik spojrzał na kuchenny zegar stojący na półce: wskazywał pięć po jedenastej. Potem zwrócił się do żony: – O północy odchodzi pociąg do Odessy. Sam zaprowadzę go na stację. Chcę się upewnić, że wyjedzie z Moskwy. Masz jakiś bagaż, gówniarzu?

Władek już chciał zaprzeczyć, ale kobieta uprzedziła go.

– Tak – powiedziała. – Sama po niego pójdę.

Władek i naczelnik stacji stali, patrząc na siebie z pogardą. Kobiety nie było dłuższy czas. Podczas jej nieobecności zegar wybił jedno uderzenie. Chłopiec i naczelnik stacji wciąż stali w milczeniu; mężczyzna nie spuszczał wzroku z Władka. W końcu kobieta wróciła, niosąc dużą paczkę w brązowym papierze przewiązaną sznurkiem. Władek chciał zaprotestować, ale w oczach kobiety dostrzegł taki strach, że wykrztusił tylko podziękowanie.

– Zjedz to – podsunęła mu swoją miskę z ostygłą zupą.

Posłuchał, i choć skurczony żołądek bronił się, połykał spiesznie zupę wielkimi haustami, żeby nie narażać więcej swej opiekunki na przykrości.

– Zwierzak – sarknął mężczyzna.

Władek spojrzał na niego z nienawiścią w oczach. Współczuł kobiecie, że musi żyć związana z tym bydlakiem.

– Idziemy, na nas czas – powiedział naczelnik stacji. – Obaj wolelibyśmy, żebyś się nie spóźnił na pociąg, co?

Władek wyszedł z kuchni za mężczyzną. Kiedy mijał kobietę, zawahał się, po czym dotknął jej ręki; odpowiedziała leciutkim uściskiem. Nie padło ani jedno słowo, żadne bowiem nie oddałoby ich uczuć. Naczelnik stacji i zbieg skradali się ulicami Moskwy w stronę dworca, kryjąc się w cieniu murów. Gdy dotarli na miejsce, naczelnik nabył bilet do Odessy i wręczył Władkowi mały czerwony kartonik.

– A moja przepustka? – spytał Władek wyzywająco.

Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza urzędowy druczek, podpisał go pospiesznie i ukradkiem podał Władkowi. Jego oczy omiatały przestrzeń w poszukiwaniu czającego się

niebezpieczeństwa. Przez ostatnie cztery lata Władek wiele razy widywał takie oczy – oczy tchórza.

– Żebym nigdy więcej o tobie nie słyszał – powiedział naczelnik tonem groźby.

W ciągu ostatnich czterech lat Władek często słyszał taki głos. Podniósł głowę, chcąc coś powiedzieć, ale naczelnik stacji zniknął w mroku nocy, do którego przynależał. Chłopak obserwował oczy mijających go spiesznie przechodniów. To samo spojrzenie, ten sam strach; czy na świecie jest jeszcze ktoś wolny? Władek mocniej ścisnął paczkę pod pachą, poprawił czapkę i podążył ku barierce. Okazując przepustkę wartownikowi, czuł się pewniej niż przedtem; przepuszczono go bez słowa. Wsiadł do pociągu. Wizyta w Moskwie trwała krótko i choć Władek nie zobaczył już więcej tego miasta, na zawsze zapamiętał dobroć kobiety, żony naczelnika stacji, towarzyszki… Nawet nie znał jej imienia.

Jechał zwykłym wagonem z miejscami stojącymi. Odessa nie leżała tak daleko od Moskwy jak Irkuck; mniej więcej na długość kciuka na szkicu doktora; w istocie odległość wynosiła około tysiąca czterystu kilometrów. Od podręcznej mapki, którą studiował, uwagę Władka oderwała tocząca się w wagonie gra w monety. Złożył szkic, wsunął pod podszewkę i zaczął się przyglądać. Zauważył, że jeden z mężczyzn stale wygrywa, nawet wtedy gdy, zdawałoby się, nie ma żadnych szans. Przyjrzał się uważniej jego grze i prędko odkrył, że oszukuje.

Przeszedł na drugą stronę wagonu, chcąc się przekonać, czy rozpozna szulera z twarzy, ale mu się nie udało. Przesunął się więc do przodu i usiadł w kręgu grających. Za każdym razem, gdy szuler

przegrywał dwa razy z rzędu, Władek stawiał na niego rubla podwajając stawkę, póki nie wygrał. Albo oszust czuł się pochlebiony, albo też uznał, że lepiej siedzieć cicho, gdyż ani razu nie spojrzał nawet na Władka. Zanim pociąg dojechał do następnej stacji, Władek miał już w kieszeni czterdzieści wygranych rubli, z czego dwa wydał na jabłko i garnuszek gorącej zupy. Wygrał dość, żeby wyżywić się do samej Odessy. Wracał do pociągu gotów do podjęcia gry, uśmiechając się pod nosem na myśl, że dzięki swej metodzie jeszcze bardziej się obłowi i dziękując w duchu nieznajomemu szulerowi. Gdy postawił nogę na najwyższym stopniu wagonu, nagle poleciał w kąt zwalony ciosem. Ktoś boleśnie wykręcił mu rękę w tył, zarazem przyciskając mu twarz do ściany wagonu. Z nosa puściła mu się krew, na uchu poczuł dotyk noża.

– Słyszysz mnie, serdeńko?

– Tak – jęknął skamieniały z przerażenia.

– Jak znowu wleziesz do mojego wagonu, utnę ci to ucho i już mnie nie usłyszysz, jasne?

– Tak.

Władek poczuł za uchem ukłucie ostrza i po szyi pociekła mu krew.

– To tylko przestroga, serdeńko.

Znienacka szuler z całej siły rąbnął go kolanem w nerki.

Władek runął na podłogę. Czuł rękę myszkującą w kieszeniach szuby w poszukiwaniu niedawno wygranych rubli.

– Zabieram, co moje – powiedział opryszek.

Krew płynęła Władkowi z nosa i zza ucha. Kiedy zebrał się na odwagę i uniósł głowę, z kąta, w którym leżał, nie było widać nikogo; korytarz był pusty, ani śladu oszusta. Spróbował wstać, ale ciało

odmówiło mu posłuszeństwa, więc jakiś czas przeleżał skulony. Gdy się wreszcie pozbierał, poczłapał, karykaturalnie utykając, na drugi koniec wagonu, byle dalej od oszusta. Zaszył się w wagonie zajętym przeważnie przez kobiety z dziećmi i głęboko zasnął.

Na następnej stacji nie wysiadł. Otworzył swoją paczkę i obejrzał zawartość. Jabłka, chleb, orzeszki, dwie koszule, para spodni i nowe buty. Cóż za skarby ukryte pod brązowym papierem. Co za kobieta, co za mąż.

Jadł, spał, śnił. Wreszcie, po sześciu nocach i pięciu dniach, pociąg z sapaniem wtoczył się na odeski dworzec kolejowy. Taka sama jak w Moskwie kontrola dokumentów, ale tutejszy strażnik nawet nie zaszczycił Władka spojrzeniem. Papiery miał w najlepszym porządku, lecz tym razem zdany był wyłącznie na siebie. Nadal pod podszewką ubrania miał sto pięćdziesiąt rubli i powziął mocne postanowienie, że nie zmarnuje ani jednego.

Resztę dnia spędził, wędrując po mieście, aby się zapoznać z jego układem, ale co chwila uwagę jego odwracały widoki, jakich w życiu nie oglądał: kamienice, sklepy z wystawami, uliczni kramarze ze swoimi kolorowymi świecidełkami, gazowe latarnie, nawet małpka na drążku. Długo wędrował, aż zaszedł do portu i przystanął, wpatrując się w otwarte morze, które rozciągało się za redą. Tak, to było morze. Jak jeszcze mówił baron? Ocean wód. Wpatrzył się tęsknie w błękitny przestwór – tędy wiodła droga do wolności. Najwidoczniej miasto musiało przeżyć ciężkie walki, ale rzucające się w oczy wypalone domy, brud i nędza zdawały się jakimś wynaturzeniem w łagodnym, przepojonym zapachem kwiatów morskim powietrzu. Czy ciągle jeszcze trwa tu wojna? Nie miał kogo zapytać. Słońce skryło się za wysokimi budowlami i trzeba było się

rozejrzeć za jakimś noclegiem. Władek skręcił w boczną uliczkę i wędrował dalej. Musiał przedstawiać dziwny widok w swojej szubie wlokącej się po ziemi i z paczką pod pachą. Żadne miejsce nie wydawało mu się bezpieczne, póki nie zaszedł na bocznicę kolejową, gdzie w oddaleniu od innych stał pojedynczy stary wagon. Wrzucił do środka paczkę, podciągnął w górę znużone ciało, wczołgał się w kąt i ułożył do snu. Ledwie dotknął głową podłogi, gdy ktoś skoczył na niego i czyjeś dłonie zacisnęły mu się na szyi.

– Ktoś ty taki? – syknął chłopak, który w ciemności nie wydawał się starszy od niego.

– Władek Koskiewicz.

– Skąd jesteś?

– Z Moskwy. – Na końcu języka miał już Słonim.

– Co się pchasz do mojego wagonu, kacapie?

– Wybacz – powiedział Władek. – Nie wiedziałem, że jest zajęty.

– Masz pieniądze? – Chłopak nacisnął kciukiem gardło Władka.

– Trochę.

– Ile?

– Siedem rubli.

– Dawaj.

Kiedy Władek zaczął grzebać w kieszeni szuby, chłopak też wcisnął tam rękę, osłabiając chwyt na gardle ofiary.

W jednej sekundzie Władek zmobilizował wszystkie siły i wyrżnął chłopca kolanem w podbrzusze. Napastnik porażony bólem upadł do tyłu, kurczowo ściskając jądra. Wtedy Władek skoczył na niego i zaczął bić, celując tam, gdzie chłopakowi nawet by się nie śniło. Nagle sytuacja się odwróciła; ten chłopak nie miał przy Władku nawet

cienia szans. W końcu sypianie w bezpańskim wagonie było niebiańskim komfortem w porównaniu z gniciem w lochach czy rosyjskim obozem.

Władek przestał go tłuc dopiero wtedy, gdy chłopak leżał przygwożdżony do podłogi, bezbronny, prosząc o litość.

– Idź na koniec wagonu – rozkazał Władek – i nie ruszaj się stamtąd. Bo jak tylko spróbujesz, zabiję cię.

– Tak, tak – szepnął chłopak, odczołgując się we wskazanym kierunku.

Władek usłyszał, jak zwalił się na deski. Przez chwilę siedział i nasłuchiwał – żadnego poruszenia. Wówczas ułożył się od nowa na podłodze i mocno zasnął.

Gdy otworzył oczy, przez szczeliny w ścianach wagonu przedostawało się światło słoneczne. Leniwie obrócił się i po raz pierwszy zobaczył wczorajszego napastnika. Leżał z podkulonymi nogami na drugim końcu wagonu.

– Chodź tutaj – polecił Władek.

Chłopak powoli się budził.

– Chodź tutaj – powtórzył trochę głośniej.

Tamten natychmiast posłuchał. Dopiero teraz Władek mógł przyjrzeć mu się dokładnie. Obaj byli mniej więcej w tym samym wieku, ale chłopak przerastał go o pół głowy, miał bardziej dziecinną twarz i skudlone jasne włosy. Jego wygląd świadczył o tym, że wodę i mydło ma w głębokiej pogardzie.

– Przystąpmy od razu do rzeczy – powiedział Władek. – Jak zdobyć coś do jedzenia?

– Chodź ze mną – odparł chłopak i zeskoczył z wagonu. Władek, utykając, powlókł się za nim pod górę do miasta, aż w końcu trafili na

poranny targ. Takiej obfitości jadła nie widział od czasu lukullusowych kolacji z baronem. Rzędami stały tu stragany pełne owoców warzyw, a nawet jego ulubionych orzechów laskowych. Chłopak dostrzegł olśniony wzrok Władka.

– Powiem ci, co zrobimy – powiedział ośmielony. – Ja podejdę do tamtego narożnego kramu, świsnę pomarańczę i zacznę uciekać. Ty wrzaśniesz co sił: Łapać złodzieja! Straganiarz popędzi za mną, a wtedy ty zbliżysz się do straganu i napełnisz kieszenie. Nie bierz za dużo, tylko tyle co na śniadanie. Potem spotkamy się tutaj. Kapujesz?

– Tak, chyba tak – odparł Władek.

– Zobaczymy, czy się nadajesz, kacapie.

Chłopak spojrzał na niego, wykrzywił się i zniknął. Władek patrzył z podziwem, jak zuchwale podchodzi do pierwszego z brzegu straganu, bierze pomarańczę ze szczytu piramidy, mówi coś do sprzedawcy, po czym zaczyna niespiesznie uciekać, oglądając się na Władka, który zupełnie zapomniał krzyknąć „Łapać złodzieja”! Tymczasem straganiarz już się zorientował i rzucił się w pościg za złodziejaszkiem. Kiedy wszyscy patrzyli na wspólnika, Władek szybko podszedł do kramu, porwał trzy pomarańcze, jabłko oraz ziemniaka i schował do przepastnych kieszeni szuby. Gdy już się wydawało, że straganiarz dopadnie chłopaka, ten odrzucił mu pomarańczę. Straganiarz przystanął, aby ją podnieść, a potem, miotając przekleństwa i wygrażając pięścią, wrócił do swojego straganu i zaczął krzykliwie żalić się innym sprzedawcom.

Władek aż trząsł się z uciechy, obserwując tę scenę, gdy nagle poczuł na ramieniu mocny uchwyt ręki. Odwrócił głowę, przerażony, że go schwytano.

– Czy udało ci się coś ściągnąć, przybyszu z Moskwy, czy tylko występujesz tu w roli turysty?

Władek roześmiał się z ulgą, pokazując z dumą trzy pomarańcze, jabłko i ziemniaka. Chłopak zawtórował ze śmiechem.

– Jak ci na imię? – spytał Władek.

– Stefan.

– Powtórzmy to, Stefanie.

– Wolnego, kacapie, nie bądź taki cwany. Jeśli zechcemy powtórzyć mój numer, będziemy musieli pójść na drugi koniec targowiska i odczekać co najmniej godzinę. Masz do czynienia z zawodowcem, ale nie wyobrażaj sobie, że wpadka jest niemożliwa.

Chłopcy powędrowali spokojnie na drugą stronę placu. Stefan stąpał z takim fasonem, że Władek oddałby za to trzy pomarańcze, jabłko, ziemniaka i dorzucił jeszcze swoje sto pięćdziesiąt rubli. Wmieszali się w strumień ludzi, którzy przybyli tu na poranne zakupy, i gdy Stefan uznał, że nadszedł właściwy moment, powtórzyli sztuczkę jeszcze dwukrotnie. Zadowoleni z siebie wrócili do wagonu, żeby uraczyć się zdobyczą, na którą składało się sześć pomarańczy, pięć jabłek, trzy ziemniaki, gruszka, różne orzechy i najcenniejszy łup – melon. Stefan nigdy nie miał na tyle dużej kieszeni, żeby coś takiego pomieścić, natomiast w szubie Władka nie było z tym kłopotu.

– Niezłe – powiedział Władek wbijając zęby w ziemniaka.

– Jesz razem z łupiną? – zdumiał się Stefan.

– Byłem w takich miejscach, gdzie łupiny są wielkim przysmakiem – odparł Władek.

Stefan spojrzał na niego z podziwem.

– Trzeba by teraz pomyśleć o zdobyciu pieniędzy – rzekł Władek.

– Chciałbyś wszystko jednego dnia, co, wodzu? – zapytał Stefan. – Najlepiej można zarobić w porcie przy załadunku, jeśli nie brzydzisz się ciężką robotą, kacapie.

– Zaprowadź mnie – zainteresował się Władek.

Gdy już zjedli połowę owoców, a resztę ukryli w słomie w kącie wagonu, Stefan poprowadził Władka schodami w dół do portu, gdzie pokazał mu wszystkie statki. Władek ze zdumienia szeroko otwierał oczy. Baron opowiadał mu o ogromnych statkach pływających po morzach i oceanach z ładunkami do obcych krajów, ale te były dużo większe, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał, i stały gęsto jeden obok drugiego jak okiem sięgnąć.

– Spójrz no tutaj, na ten wielki, zielony – przerwał jego zadumę Stefan. – Wystarczy wziąć kosz leżący na dole przy trapie, napełnić go ziarnem, wnieść na górę i wysypać do ładowni. Za każde cztery tury płacą rubla. Ale musisz dobrze liczyć, bo inaczej zanim się obejrzysz, ten drań, co pilnuje załadunku, oszuka cię i schowa forsę do kieszeni.

Resztę popołudnia dźwigali kosze z ziarnem na statek. Zarobili do spółki dwadzieścia sześć rubli. Po kolacji składającej się ze skradzionych orzechów, chleba i cebuli, którą także mimochodem zwędzili, zasnęli snem sprawiedliwego w swoim wagonie.

Następnego ranka Władek wstał pierwszy i gdy Stefan się obudził, zobaczył go pochylonego nad mapą.

– Co to jest? – spytał.

– Szkic z trasą ucieczki z Rosji.

– Po co masz uciekać z Rosji, skoro możesz zostać tu ze mną? – zdziwił się Stefan. – Będziesz wspólnikiem.

– Nie, muszę się dostać do Turcji, tam dopiero będę naprawdę wolnym człowiekiem. Pojedź ze mną.

– Nigdy nie wyjadę z Odessy. Tu jest mój dom, kolej, która daje mi schronienie, tu żyją ludzie, których znam od urodzenia. Tu nie jest dobrze, ale tam, w tej Turcji, może być jeszcze gorzej. Lecz jeśli chcesz, pomogę ci w ucieczce, bo wiem, jak się można dowiedzieć, skąd przypływają statki.

– Ale jak znaleźć taki, co płynie do Turcji?

– Nic trudnego. Zapytamy Jednozębego Ośkę, co siedzi na końcu pirsu. Dasz mu za to rubla.

– Założę się, że dzielicie się forsą.

– Pół na pół – roześmiał się Stefan. – Szybko się uczysz, kacapie – dodał i zeskoczył z wagonu na ziemię.

Pobiegł zręcznie między wagonami i Władek znów pomyślał z rozgoryczeniem, że inni chłopcy poruszają się z taką łatwością, podczas gdy on kuleje. Gdy znaleźli się na końcu pirsu, Stefan zawiódł Władka do małej budki, w której pełno było pokrytych kurzem książek i rozkładów rejsów, Władek z początku nikogo nie widział, lecz nagle zza wielkiej pryzmy książek usłyszał głos:

– Czego chcesz, urka? Wiesz, że nie mam dla ciebie czasu.

– Mój koleżka-podróżnik ma jedno pytanie. Kiedy będzie najbliższy luksusowy rejs do Turcji?

– Najpierw forsa na stół – powiedział stary człowiek, wychylając zza książek głowę w marynarskiej czapce. Miał pobrużdżoną, ogorzałą twarz, a jego czarne oczy świdrowały Władka.

– To stary wilk morski – uświadomił Władka Stefan na tyle głośnym szeptem, by Ośka go usłyszał.

– Nie twój interes, urka, gdzie ten rubel?

– Koleżka opiekuje się moją portmonetką. Pokaż mu rubla, Władek.

Władek wyciągnął monetę. Ośka nagryzł ją swoim jedynym zębem, poczłapał do szafy, po czym wyciągnął wielki zielony zeszyt z rozkładem rejsów. Wokół wzbiły się tumany kurzu. Stary zaniósł się kaszlem, przerzucając brudne kartki i wodząc grubym, zdartym od lin paluchem po długich kolumnach nazw statków.

– W przyszłym tygodniu przybija *Renaska* po węgiel. Pewno odpłynie w sobotę. A jak załaduje wcześniej, to wyruszy w piątek wieczorem, żeby nie płacić postojowego. Stanowisko cumowania numer siedemnaście.

– Wielkie dzięki, Jednozęby – powiedział Stefan. – Postaram się w przyszłości sprowadzić ci więcej moich zamożnych przyjaciół.

Jednozęby Ośka podniósł pięść i wybuchnął przekleństwami, a chłopcy umknęli na nabrzeże.

Przez następne trzy dni kradli żywność, nosili kosze z ziarnem i spali. Do czwartku, dnia wpłynięcia do portu tureckiego statku, Stefanowi o mało nie udało się przekonać Władka, żeby został w Odessie. Jednak strach przed Rosjanami był silniejszy od pokusy łatwego życia u boku Stefana.

Obaj stali na nabrzeżu przyglądając się wpływającemu do portu tureckiemu statkowi.

– Jak się tam dostanę? – z powątpiewaniem spytał Władek.

– Bez kłopotu – odparł Stefan. – Jutro rano dołączymy do brygady ładowaczy. Ja stanę za tobą. Kiedy ładownia już się prawie zapełni, wskoczysz i ukryjesz się w węglu, a ja wezmę twój kosz i zejdę drugą stroną.

– I rzecz jasna zabierzesz moją wypłatę – zaśmiał się Władek.

– Oczywiście – rzekł Stefan. – Należy mi się jakaś nagroda za wyższą inteligencję, żebym nie utracił wiary w prywatną przedsiębiorczość.

Raniutko następnego ranka zgłosili się do załadunku i biegali z węglem po trapie aż do utraty tchu, ale statek wciąż był nienasycony. Przed wieczorem okazało się, że ładownia nie jest napełniona nawet do połowy. Umorusani węglem chłopcy spali mocno tej nocy. Nazajutrz zaczęli pracę od nowa i po południu, gdy w ładowni pozostało już niewiele miejsca, Stefan trącił Władka nogą w kostkę.

– No to bywaj, koleżko – powiedział.

Wspięli się po trapie na górę. Władek wysypał węgiel, upuścił koszyk na pokład, skoczył do luku ładowni i wylądował na węglu, gdy tymczasem Stefan złapał koszyk i pogwizdując, zbiegł drugą stroną trapu.

– Żegnaj, przyjacielu – powiedział. – Niech ci się poszczęści u niewiernych Turków.

Władek przylgnął do ściany w kącie ładowni i obserwował sypiący się węgiel. Pył węglowy wdzierał się wszędzie – do nosa i ust, do płuc i oczu. Powstrzymywał kaszel ze wszystkich sił, bojąc się, że usłyszy go ktoś z załogi. Właśnie gdy pomyślał, że nie wytrzyma dłużej bez powietrza, wróci do Stefana i obmyśli jakiś inny sposób ucieczki, klapa nad jego głową zasunęła się. Wtedy wykaszlał się, ile chciał.

Po jakimś czasie poczuł ukąszenie w kostkę. Przerażenie niemal ścięło mu krew, gdy uświadomił sobie, co to może być. Spojrzał w dół, usiłując dociec, którędy przedostał się napastnik. Ledwo rzucił bryłką węgla i spłoszył zwierzę, zaraz zaatakowało go następne, potem jeszcze jedno i znów kolejne. Co zuchwalsze rzucały się na jego nogi. Zdawały się pojawiać znikąd. Czarne, wielkie i wygłodniałe.

Pierwszy raz w życiu Władek się przekonał, że szczury mają czerwone ślepia. Wdrapał się na stertę węgla i odsunął pokrywę luku. Z góry wpadło oślepiające światło słoneczne i szczury wpełzły z powrotem do swoich korytarzy w węglu. Władek podciągnął się w górę, ale statek odpłynął już dość daleko. Przejęty grozą opadł z powrotem na węgiel. Gdyby zawrócono statek i wydano Władka, oznaczałoby to bezpowrotną podróż do obozu 201. Wolał już zostać z czarnymi szczurami. Gdy tylko zamknął pokrywę, natychmiast ponownie go zaatakowały. Co zdążył spłoszyć kilka, rzucając w nie bryłkami węgla, już pojawiały się następne z innych stron. Bez przerwy musiał odsuwać pokrywę luku, ponieważ światło było jedynym sprzymierzeńcem odstraszającym czarne gryzonie.

Przez dwa dni i trzy noce Władek toczył nieustającą batalię ze szczurami, bez jednej chwili snu i wytchnienia. Gdy statek wpłynął wreszcie do portu w Konstantynopolu i majtek odsunął pokrywę luku, Władek od czubka głowy po kolana był czarny od pyłu węglowego, a od kolan do koniuszków palców u stóp czerwony od krwi. Majtek wyciągnął go z ładowni. Władek usiłował stanąć na nogach, ale runął bezwładnie na pokład.

Kiedy odzyskał przytomność – nie wiedział ani gdzie jest, ani ile czasu upłynęło – leżał w łóżku w małym pokoiku otoczony przez trzech mężczyzn w białych kitlach, którzy uważnie go oglądali i mówili między sobą jakimś niezrozumiałym językiem. Ile jest języków na świecie? Powiódł wzrokiem po swoim ciele, nadal czarno-czerwonym, i spróbował usiąść, ale wówczas najstarszy z biało odzianych mężczyzn, o szczupłej, pobrużdżonej twarzy ozdobionej kozią bródką, pchnął go z powrotem na poduszkę. Coś powiedział w nieznanym języku. Władek potrząsnął przecząco głową. Wówczas

tamten spróbował po rosyjsku. Władek znów zaprzeczył – odpowiedź w tym języku mogłaby go natychmiast zaprowadzić tam, skąd przybył. Wreszcie lekarz przemówił po niemiecku i Władek zdał sobie sprawę, że zna ten język lepiej od niego.

– Mówisz po niemiecku?

– Tak.

– Ach, więc nie jesteś Rosjaninem?

– Nie.

– Co robiłeś w Rosji?

– Starałem się stamtąd uciec.

– Aha. – Doktor odwrócił się do swoich towarzyszy i prawdopodobnie zrelacjonował im tę rozmowę w swoim języku. Wszyscy opuścili pokój.

Po chwili weszła pielęgniarka, która umyła Władka, nie zważając na jego jęki. Posmarowała mu nogi gęstą brązową maścią i wreszcie zostawiła go w spokoju. Kiedy się znów ocknął, był sam. Leżał wpatrzony w sufit, zastanawiając się, co teraz zrobić.

W dalszym ciągu nie był pewien, w jakim kraju się znajduje. Wdrapał się na parapet i wyjrzał przez okno. Zobaczył plac targowy niewiele się różniący od odeskiego, tyle że mężczyźni mieli ciemniejszą skórę i odziani byli w długie, białe szaty. Na głowach nosili jakby małe, kolorowe odwrócone doniczki, na nogach sandały. Kobiety od stóp do głów spowite były w czerń, a spoza zasłon okrywających ich twarze wyzierały tylko ciemne oczy. Władek obserwował egzotyczny tłum kręcący się wśród kramów i targujący się o żywność. Przynajmniej pod tym względem ludzie wszędzie zachowywali się podobnie.

Przyglądał się scenie już przez parę minut, gdy raptem zauważył czerwoną metalową drabinkę biegnącą w dół po bocznej ścianie budynku, przypominającą przeciwpożarowe schodki w jego zamku w Słonimiu. Jego zamek. Kto mu teraz uwierzy? Zlazł z parapetu, podszedł ostrożnie do drzwi, uchylił je i wyjrzał na korytarz. Pełno tu było kobiet i mężczyzn spieszących w jedną i drugą stronę, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Zamknął cicho drzwi, odszukał swoje rzeczy w szafce w kącie pokoju i pospiesznie się ubrał. Odzież nadal przeżarta była czarnym pyłem węglowym, który drażnił jego czystą skórę. Podbiegł do parapetu. Okno łatwo się otworzyło. Uchwycił się drabinki, przerzucił tułów przez parapet i zaczął schodzić w dół, na swobodę. Uderzył go panujący upał. Chętnie by zrzucił grubą szubę.

Ledwo dotknął ziemi, zerwał się do biegu, jednak nogi miał tak słabe i obolałe, że mógł tylko powoli iść. Gdyby jeszcze nie kulał! Nie oglądał się na szpital, póki się nie zgubił w ciżbie kłębiącej się na bazarze.

Patrzył chciwie na owoce piętrzące się na straganach i postanowił sobie kupić pomarańczę i trochę orzechów. Sięgnął pod podszewkę marynarki; zaraz, czy na pewno pieniądze ukryte były pod prawą pachą? Tak, dobrze pamiętał, ale znikły bez śladu. Co gorsza, przepadła też srebrna bransoleta. Ludzie w bieli okradli go. Zastanawiał się, czy nie wrócić do szpitala i spróbować odzyskać swój jedyny skarb, ale postanowił, że najpierw musi coś zjeść. Może w kieszeniach zostało trochę drobnych? Włożył rękę do przepaścistej kieszeni szuby i od razu znalazł trzy banknoty pięćdziesięciorublowe i kilka monet. Również mapę doktora i srebrną bransoletę. Uradowany założył na rękę bransoletę i przesunął ją powyżej łokcia.

Wybrał największą pomarańczę i garść orzechów. Sprzedawca powiedział coś niezrozumiale. Władek uznał, że najlepszym sposobem porozumienia będzie wręczenie mu pieniędzy. Sprzedawca spojrzał na banknot, wybuchnął śmiechem i wzniósł ręce w górę.

– Allach! – zawołał. Wyrwał Władkowi pomarańczę i orzeszki i pogroził mu palcem.

Zrozpaczony Władek odwrócił się i odszedł. Skoro mowa tu inna, to pieniądze również, pomyślał. W Rosji był biedakiem, tutaj został bez grosza. Będzie musiał ukraść pomarańczę; jeśli kramarz zauważy, odrzuci mu ją z powrotem. Poszedł na drugi kraniec bazaru, jak by to uczynił Stefan, ale nie tak śmiało i buńczucznie. Upatrzył sobie ostatni kram i upewniwszy się, że nikt nie patrzy, porwał pomarańczę i puścił się biegiem. Nagle wybuchła wrzawa. Zupełnie jakby go ścigało pół miasta.

Na utykającego chłopca rzucił się rosły mężczyzna i powalił go na ziemię. Sześciu czy siedmiu ludzi złapało go z różnych stron i powlokło w stronę kramu na oczach gęstniejącego tłumu. Przy kramie z nagła wyrósł policjant. Spisano protokół, po czym nastąpiła krzykliwa wymiana zdań między właścicielem kramu i policjantem; z każdym słowem wrzeszczeli coraz głośniej. Po chwili policjant odwrócił się do Władka i zaczął na niego krzyczeć, ale chłopak nic nie rozumiał. Policjant wzruszył ramionami, chwycił go za ucho i pociągnął za sobą. Ludzie obrzucili chłopaka przekleństwami, niektórzy go opluwali. Gdy dotarli wreszcie do komisariatu, sprowadzono go do podziemi i wepchnięto do małej celi, w której tłoczyło się dwudziestu czy trzydziestu przestępców: rzezimieszki, złodzieje i Bóg wie kto jeszcze. Władek nie odzywał się do nich ani oni do niego. Stał skulony przy ścianie, cichy i wystraszony.

Trzymano go tam przez cały dzień i noc, bez światła i pożywienia. Odór ekskrementów przyprawiał go o wymioty; żołądek uspokoił się dopiero wtedy, gdy był całkiem pusty. Nigdy by nie pomyślał, że nadejdzie dzień, kiedy lochy zamku w Słonimiu wydadzą mu się przestronne i zaciszne.

Następnego ranka dwaj strażnicy wywlekli go z celi i zapędzili na górę, gdzie dołączył do kilkuosobowej grupy innych więźniów. Obwiązano wszystkich w pasie jedną liną i wyprowadzono w długim szeregu na ulicę. Przed komisariatem zgromadził się tłum, który, sądząc po pełnych zadowolenia okrzykach, jakie rozległy się na widok więźniów, musiał oczekiwać już od dłuższego czasu. Z krzykiem, gwizdami i klaskaniem tłum podążył za nimi aż na bazar. Władek wolał nie myśleć, skąd ta wrzawa. Szereg więźniów zatrzymał się na placu. Odwiązano pierwszego z nich i powiedziono na środek placu, otoczonego już setkami ludzi, których wrzask świdrował w uszach.

Władek obserwował scenę z niedowierzaniem. Kiedy pierwszy więzień stanął na środku, strażnik kopniakiem podciął mu kolana. Do klęczącego podszedł olbrzymi mężczyzna, przymocował jego prawą rękę do drewnianego kloca, wzniósł w górę wielki katowski miecz i opuścił go ze straszliwą siłą, mierząc w przegub. Nie trafił jednak i odciął tylko końce palców. Więzień wrzasnął z bólu, a miecz ponownie się uniósł. Tym razem ostrze trafiło w przegub, ale nie przerąbało go zupełnie i dłoń zawisła na pasemkach mięśni, obryzgując piasek krwią. Miecz trzeci raz się uniósł i trzeci raz spadł. Odcięta dłoń potoczyła się z klocka na ziemię. Tłum ryknął z uznaniem. Więzień, którego puszczono wolno, zwalił się bezprzytomnie na ziemię. Jeden ze strażników o zobojętniałym wyrazie twarzy odciągnął go i pozostawił u stóp tłumu. Jakaś

zapłakana kobieta – pewno żona, pomyślał Władek – obwiązała krwawy kikut brudnym gałganem, aby zatamować krwotok. Drugi skazaniec nie przetrzymał szoku i wyzionął ducha, nim olbrzym uderzył czwarty raz. Śmierć nie powstrzymała jednak kata; dokończył dzieła, gdyż płacono mu za ucinanie rąk.

Władek ze zgrozą rozejrzał się wokół i byłby zwymiotował, gdyby jeszcze miał czym. Rozpaczliwie wyglądał ratunku lub sposobności ucieczki; nikt mu nie powiedział, że prawa islamu za próbę ucieczki karzą obcięciem stopy. Przebiegał wzrokiem setki twarzy, aż dojrzał w tłumie mężczyznę ubranego jak Europejczyk w ciemny garnitur. Stał około dwudziestu jardów od Władka i obserwował spektakl z wyraźnym niesmakiem. Ani razu jednak nie spojrzał w stronę Władka, nie mógł też usłyszeć jego wołania o pomoc wśród ryku tłumu, który się nasilał, ilekroć kat opuszczał miecz. Czy był Francuzem, Niemcem, Anglikiem, a może nawet Polakiem? Tego Władek nie mógł odgadnąć, a jednak z jakichś powodów człowiek ów przyszedł obejrzeć makabryczne widowisko. Władek wbił w niego wzrok, usiłując zmusić go do spojrzenia w jego stronę. Na próżno. Zaczął więc wymachiwać wolną ręką, ale i to nie zwróciło uwagi mężczyzny. Oprawcy odwiązali kolejnego skazańca i powlekli go do kata. Kiedy znowu znalazł się w górze i tłum ryknął w zachwycie, mężczyzna w ciemnym ubraniu z odrazą odwrócił oczy i Władek znowu zaczął szaleńczo wymachiwać do niego ręką.

Mężczyzna popatrzył na Władka, a potem odwrócił się i coś powiedział do swojego towarzysza, którego chłopak wcześniej nie zauważył. Strażnik szamotał się teraz z więźniem poprzedzającym Władka. Przywiązał mu rękę rzemieniem, kat zaś uniósł miecz i za jednym zamachem odrąbał dłoń. Tłum zdawał się rozczarowany.

Władek znów wlepił wzrok w Europejczyka. Teraz obaj mężczyźni na niego patrzyli. Błagał ich w duchu, żeby się ruszyli, oni jednak nadal tkwili w miejscu.

Podszedł strażnik, cisnął na ziemię Władkową szubę, która kosztowała pięćdziesiąt rubli, rozpiął chłopcu koszulę i podwinął rękaw. Władek daremnie się szarpał, gdy tamten wlókł go przez plac. Nie miał żadnych szans. Kiedy znalazł się na miejscu kaźni, strażnik podciął mu nogi kopniakiem. Chłopiec upadł na ziemię. Wokół prawego przegubu zaciśnięto mu rzemień; wszystko przepadło, mógł tylko zamknąć oczy, kiedy kat wznosił swój miecz. Czekał w męce na krwawy cios, gdy nagle tłum ucichł: to srebrna bransoleta barona zsunęła się Władkowi z ramienia na przegub. Tłum zamarł w zabobonnym lęku na widok talizmanu migotliwie skrzącego się w słońcu. Kat odłożył miecz i z ciekawością pochylił się nad bransoletą. Władek otworzył oczy. Kat usiłował ściągnąć mu klejnot z przegubu, lecz nie mógł go przesunąć pod rzemiennym pasem. Do kata podbiegł szybko człowiek w mundurze. I on obejrzał bransoletę i wyryty na niej napis, a następnie pobiegł do drugiego człowieka w mundurze, zapewne wyższej rangi, gdyż ten już wolniejszym krokiem zbliżył się do Władka. Miecz leżał porzucony na ziemi i tłum zaczynał szemrać i sarkać. Drugi mężczyzna także spróbował ściągnąć bransoletę, ale i jemu się nie udawało, a widocznie nie chciał odpinać rzemienia. Zaczął coś wykrzykiwać do Władka, lecz ten nic nie rozumiał, więc powiedział po polsku:

– Nie znam pańskiego języka.

Oficer zdumiał się i wzniósł ręce w górę wołając: „Allach!” Pewno to znaczy to samo co po polsku Święty Boże, pomyślał Władek. Oficer wolno podszedł do dwóch mężczyzn ubranych po europejsku,

wymachując przy tym na wszystkie strony rękoma niczym wiatrak, który oszalał. Władek zaczął się modlić; w takich sytuacjach każdy modli się do swojego boga, jeden do Allacha, drugi do Jezusa. Europejczycy nadal wpatrywali się we Władka, zaczął więc gwałtownie kiwać do nich głową. Jeden z nich wraz z tureckim oficerem zbliżył się do chłopca. Ukląkł przy nim, przestudiował inskrypcję wyrytą na bransolecie, a potem uważnie mu się przyjrzał. Ten czekał. Potrafił się porozumieć w pięciu językach i gorąco pragnął, aby ów pan mówił którymś z nich. Serce mu zamarło, kiedy Europejczyk zwrócił się do oficera w jego rodzimym języku. Tłum wydawał teraz urągliwe okrzyki i obrzucał miejsce egzekucji zgniłymi owocami. Oficer skinął głową, a wówczas Europejczyk wbił we Władka oczy pełne skupienia.

– Czy znasz angielski?

Władek odetchnął z ulgą.

– Tak, proszę pana, całkiem nieźle. Jestem Polakiem.

– Skąd masz tę srebrną bransoletę?

– Od mojego ojca. On umarł więziony przez Niemców w Polsce, a mnie pojmali i zesłali do obozu w Rosji. Uciekam i przypływam tu statkiem. Nic nie jem od wielu dni. Kiedy sprzedawca nie chce rubli za pomarańcze, biorę jedną z wielkiego, bardzo wielkiego głodu.

Anglik podniósł się wolno z klęczek, zwrócił się do oficera i przemówił do niego kategorycznym tonem. Ten z kolei powiedział coś katowi, który wysłuchał go bez przekonania, gdy jednak oficer powtórzył rozkaz trochę głośniej, pochylił się i z ociąganiem rozpiął rzemienny pas. Dopiero teraz Władek zwymiotował.

– Chodź ze mną – rzucił Anglik. – Tylko prędko, zanim zdążą zmienić zdanie.

Władek jak we śnie złapał swoje palto i ruszył za Anglikiem. Z tłumu posypały się za nim szyderstwa i drwiny, poleciały kamienie. Kat pospiesznie umieścił na pieńku rękę następnej ofiary i uderzył, ale za pierwszym razem obciął tylko kciuk. Widok wpłynął kojąco na tłum.

Anglik prędko przecisnął się przez napierającą ciżbę poza plac, gdzie czekał jego towarzysz.

– Co się stało, Edwardzie?

– Chłopiec twierdzi, że jest Polakiem i że uciekł z Rosji. Oświadczyłem kierującemu egzekucją, że to Anglik, więc teraz musimy się nim zająć. Zabierzemy go do ambasady i przekonamy się, czy to, co mówi, ma coś wspólnego z prawdą.

Władek biegł między dwoma mężczyznami, którzy pospiesznie przemierzali bazar, a potem skręcili w ulicę Siedmiu Królów. Ciągle jeszcze słyszał z oddali okrzyki tłumu nasilające się za każdym razem, gdy kat opuszczał miecz.

Anglicy weszli na żwirowany dziedziniec i skierowali się ku wielkiemu, szaremu budynkowi, ośmieliwszy Władka skinieniem, żeby podążył za nimi. Na drzwiach widniał dodający otuchy napis: Ambasada Brytyjska. Po przekroczeniu progu Władek pierwszy raz poczuł się bezpieczny. Szedł o krok z tyłu za obu mężczyznami przez długi korytarz, którego ściany zapełniały obrazy przedstawiające żołnierzy i marynarzy w dziwacznych strojach. Na samym końcu wisiał wspaniały portret starca w błękitnym mundurze marynarskim, szczodrze przyozdobionym medalami. Jego okazała broda przywiodła Władkowi na pamięć barona. Jak spod ziemi wyrósł przed nimi żołnierz i zasalutował.

– Proszę zabrać tego chłopca, kapralu Smithers, i dopilnować, żeby się porządnie wykąpał. Kiedy już się naje i przestanie zalatywać chlewikiem, przyprowadźcie go do mojego gabinetu.

– Tak jest, ekscelencjo! – odparł kapral i zasalutował. – Chodź ze mną, synu – rzucił Władkowi.

Odmaszerował, Władek zaś posłusznie pobiegł za nim, gdyż inaczej nie mógłby dotrzymać mu kroku. Kapral zaprowadził go na dół do sutereny i zostawił w małym pokoiku, ale tu było przynajmniej okienko. Kazał się Władkowi rozebrać i wyszedł. Gdy po paru minutach wrócił, zastał Władka siedzącego w ubraniu na brzeżku łóżka. Chłopiec miał nieprzytomny wyraz twarzy i w kółko obracał bransoletę na ręku.

– Pospiesz się, synu. Nie jesteś na kuracji wypoczynkowej.

– Przepraszam pana.

– Nie nazywaj mnie panem, synu. Mów mi kapralu.

– A ja jestem Władek Koskiewicz. Mów mi Władku.

– Nie nabijaj się ze mnie, synu. Mamy dość błaznów w armii brytyjskiej, co za dużo, to niezdrowo.

Władek nie zrozumiał, o czym mówił żołnierz. Prędko zrzucił z siebie ubranie.

– Chodź ze mną, ale biegiem.

To już druga w ciągu tych lat cudowna kąpiel z mydłem i gorącą wodą. Władek pomyślał o swojej rosyjskiej opiekunce i o tym, że mógł stać się jej synem, gdyby nie jej mąż. Teraz wdział przygotowane ubranie, jakieś cudaczne, ale czyste i pachnące świeżością. Do czyjego syna należało? W drzwiach stanął żołnierz.

Kapral Smithers zaprowadził Władka do kuchni i zostawił sam na sam z pulchną kucharką o różowych policzkach. Równie

dobrodusznego oblicza nie widział od czasu, kiedy opuścił Polskę. Przypominała mu nianię. Nie mógł powstrzymać się od myśli, co by się stało z jej talią po paru tygodniach w obozie 201.

– Jak się masz? – powitała go z promiennym uśmiechem. – Jakże ci na imię?

Władek się przedstawił.

– No, kawalerze, wygląda na to, że dobrze by ci zrobił porządny angielski posiłek, bo te tureckie paskudztwa to na nic. Zaczniemy od gorącej zupy i befsztyka. Musisz zjeść coś solidnego, skoro masz stanąć przed obliczem pana Prendergasta. – Roześmiała się. – Tylko pamiętaj, nie ten pies zły, co głośno szczeka. Chociaż pan Prendergast jest Anglikiem, serce ma, gdzie należy.

– To pani, pani Kucharko, nie jest Angielką? – spytał Władek ze zdziwieniem.

– Niech Bóg uchowa. Jestem Szkotką, kawalerze. To całkiem co innego. My, Szkoci, nie cierpimy Anglików jeszcze gorzej niż Niemcy – powiedziała, zaśmiewając się.

Postawiła przed Władkiem talerz z dymiącą zupą, gęstą od jarzyn i mięsa. Całkiem zapomniał, że jedzenie może tak apetycznie pachnieć i tak smakować. Jadł powoli, gdyż się bał, że może upłynąć wiele czasu, zanim się nadarzy druga taka okazja.

W drzwiach stanął kapral.

– Najadłeś się do syta, bratku?

– Tak, dziękuję, panie Kapralu.

Kapral rzucił chłopcu podejrzliwe spojrzenie, ale w jego twarzy nie dostrzegł śladu kpiny.

– No to ruszajmy. Musisz na czas zameldować się u pana Prendergasta.

Kapral znikł, Władek zaś spojrzał na kucharkę. Ciężko mu było tak ciągle rozstawać się z ludźmi, których dopiero co spotkał, a zwłaszcza z tymi, którzy okazali mu serce.

– Zmykaj, kawalerze, jeśli nie chcesz się narazić.

– Dziękuję, pani Kucharko – powiedział Władek. – Dawno nie jadłem nic tak pysznego.

Kobieta odpowiedziała mu uśmiechem. Chłopiec z trudem dogonił kaprala, a potem podbiegał, utykając, aby dorównać jego marszowemu tempu. Przed drzwiami żołnierz jak na komendę nagle wrósł w ziemię i Władek niemal wpadł na niego.

– Uważaj, jak chodzisz, synu. Cóż to, nie masz oczu? Kapral krótko zastukał do drzwi.

– Wejść – powiedział głos.

Kapral otworzył drzwi i zasalutował.

– Oto mały Polak – zameldował – wykąpany i nakarmiony, jak pan sobie życzył.

– Dziękuję, kapralu. Bądźcie tak dobrzy i poproście pana Granta.

Edward Prendergast podniósł głowę znad biurka. Ruchem ręki wskazał Władkowi krzesło i z powrotem zagłębił się w swoich papierach. Władek usiadł i najpierw spojrzał na niego, a potem zaczął się przyglądać portretom wiszącym na ścianach. Przedstawiały kolejnych generałów i admirałów, a na jednym widniała znowu postać starego pana z brodą, tym razem w mundurze armii lądowej koloru khaki. Po dłuższej chwili wszedł drugi Anglik, którego Władek pamiętał z placu.

– Miło, że wpadłeś, Harry. Siadaj, przyjacielu – powiedział pan Prendergast i zwrócił się do Władka. – Teraz, mój chłopcze,

opowiedz nam wszystko od początku. Tylko nie przesadzaj, mów samą prawdę. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

Władek rozpoczął swoją opowieść od czasów spędzonych w Polsce. Z trudem dobierał odpowiednie angielskie słowa. Z początku na twarzach Anglików malowało się wyraźne niedowierzanie. Od czasu do czasu przerywali mu i zadawali pytania, kiwając do siebie głowami na jego odpowiedzi. Wreszcie po godzinie Władek doprowadził historię swojego życia do obecnego miejsca, czyli do gabinetu drugiego konsula Jego Królewskiej Mości, monarchy Wielkiej Brytanii, w Turcji.

– Sądzę, Harry – rzekł drugi konsul – iż naszym obowiązkiem jest natychmiastowe powiadomienie poselstwa polskiego oraz przekazanie im małego Koskiewicza, w tych bowiem okolicznościach to oni powinni się nim zająć.

– Ja też tak uważam – odparł mężczyzna nazwany Harrym. – Wiesz, chłopcze, ledwo wyszedłeś z tego cało. Szarijat, stare prawo islamu, które za kradzież nakładało karę obcięcia ręki, uchylono oficjalnie przed laty. Według tureckiego kodeksu karnego wymierzenie takiej kary jest przestępstwem. Ale to teoria. W praktyce ci barbarzyńcy nadal ją stosują. – Wzdrygnął się.

– Dlaczego nie ucięli mój ręka? – spytał Władek, kurczowo ściskając przegub.

– Powiedziałem im, że mogą sobie do woli ucinać ręce muzułmanom, ale wara im od ręki Anglika – wyjaśnił Edward Prendergast.

– Dzięki Bogu – rzekł Władek słabym głosem.

– I Edwardowi Prendergastowi – wtrącił tenże, pierwszy raz się uśmiechając.

– Możesz tutaj spędzić noc – ciągnął drugi konsul – a jutro odstawimy cię do twojego poselstwa. Polacy nie mają ambasady w Konstantynopolu – mówił z lekką przyganą w głosie – ale szef poselstwa, jak na cudzoziemca, jest przyzwoitym facetem.

Nacisnął guzik dzwonka i w drzwiach natychmiast pojawił się kapral.

– Słucham, ekscelencjo.

– Kapralu, zaprowadźcie Koskiewicza do jego pokoju, a rano dopilnujcie, żeby dostał śniadanie i stawił się u mnie punktualnie o dziewiątej.

– Tak jest, ekscelencjo. Tędy, chłopcze. Biegiem.

Kapral wyprowadził Władka, który nawet nie zdążył podziękować obu Anglikom za ocalenie ręki – i prawdopodobnie życia. Chłopak znalazł się na powrót w małym, schludnym pokoiku z czystym, pięknie posłanym łóżkiem, jakby był jakimś gościem honorowym. Rozebrał się, zrzucił poduszkę na podłogę i natychmiast zasnął. Obudziło go dopiero poranne słońce, zaglądające przez malutkie okienko.

– Wstawaj i pucuj się, synu. Tylko piorunem.

Był to kapral w nieskazitelnym, idealnie odprasowanym mundurze; wyglądał, jakby wcale nie kładł się spać. Przez moment Władek, jeszcze na pograniczu jawy i snu, przypuszczał, że znalazł się na powrót w obozie 201, gdyż odgłos trzcinki, którą kapral grzmocił o ramę łóżka, przypominał mu znajomy dźwięk. Wyskoczył z łóżka i sięgnął po ubranie.

– Najpierw mycie, synu. Mycie najpierw. Nie chcesz chyba narażać pana Prendergasta na wąchanie smrodów tak wcześnie rano?

Władek nie wiedział, co mianowicie ma sobie myć, taki się czuł nadzwyczajnie czysty. Kapral gapił się na niego.

– Co ci się stało w nogę? – zapytał.

– Nic, nic – odparł Władek, odwracając się od ciekawskich oczu.

– No dobrze. Wrócę za trzy minuty. Trzy minuty i ani chwili dłużej. Żebyś mi był gotowy.

Władek szybko umył twarz i ręce i ubrał się. Kapral, który przyszedł ponownie, zastał go siedzącego na skraju łóżka w długiej szubie.

Pan Prendergast, który znacznie złagodniał od czasu pierwszego spotkania z Władkiem, przyjaźnie go powitał.

– Dzień dobry, Koskiewicz.

– Dzień dobry panu.

– Czy śniadanie ci smakowało?

– Nie jadłem śniadania, proszę pana.

– Dlaczego? – spytał drugi konsul, spoglądając na kaprala.

– Zaspał, ekscelencjo. Spóźniłby się do pana.

– Coś by trzeba na to poradzić. Kapralu, poproście panią Henderson, aby wykombinowała jabłko czy coś w tym guście.

– Robi się, ekscelencjo.

Władek z drugim konsulem poszli wolno korytarzem do drzwi frontowych, następnie przecięli dziedziniec wysypany drobnymi kamieniami i wsiedli do czekającego austina, jednego z nielicznych samochodów, które jeździły po Turcji, a dla Władka pierwszego auta

osobowego, jakim miał w życiu podróżować. Żal mu było rozstawać się z ambasadą brytyjską. Tam pierwszy raz od wielu lat czuł się bezpiecznie. Melancholijnie pomyślał, czy kiedyś w życiu będzie spał w jednym łóżku dłużej niż jedną noc. Kapral zbiegł ze schodów i usiadł za kierownicą. Podał Władkowi jabłko i pajdę świeżego, ciepłego chleba.

– Tylko uważaj, żeby nie nakruszyć w aucie, synu. Kucharka przesyła ci pozdrowienia.

Jazda rozpalonymi, zatłoczonymi ulicami miasta odbywała się w tempie spacerowym; widać Turcy nie wierzyli, że można poruszać się szybciej niż wielbłąd i nie kwapili się, żeby przepuścić małego austina. Mimo otwartych okien Władek oblewał się potem od nieznośnego skwaru, natomiast pan Prendergast siedział nieporuszony, jakby mu to wcale nie przeszkadzało. Chłopak skulił się na tylnym siedzeniu samochodu z obawy, że któryś z widzów wczorajszej egzekucji mógłby go rozpoznać i podburzyć tłum. Kiedy mały, czarny austin zatrzymał się przed niedużym, podupadłym budynkiem z napisem „Konsulat polski", Władka ogarnęło podniecenie zmieszane z rozczarowaniem.

Cała trójka wysiadła z samochodu.

– Gdzie podziałeś ogryzek, synu? – spytał kapral.

– Zjadłem go.

Kapral roześmiał się i zastukał do drzwi. Otworzył je sympatyczny niski mężczyzna o ciemnych włosach i stanowczym podbródku. Nie miał na sobie marynarki i był mocno opalony, widać nie stronił od tureckiego słońca. Przywitał ich po polsku. Władek usłyszał ojczystą mowę pierwszy raz od czasu ucieczki z obozu. Prędko odpowiedział

na powitanie i wytłumaczył swoją obecność. Niski mężczyzna zwrócił się do brytyjskiego konsula.

– Proszę tędy, panie Prendergast – powiedział doskonałą angielszczyzną. – To uprzejmie z pańskiej strony, że pofatygował się pan osobiście.

Po krótkiej rozmowie, podczas której panowie wymienili dyplomatyczne uprzejmości, Prendergast z kapralem wstali, szykując się do wyjścia. Władek utkwił w nich wzrok, gorączkowo szukając w pamięci angielskiego wyrażenia, stosowniejszego niż zwyczajne „dziękuję".

Prendergast poklepał Władka po głowie tak, jakby był cocker-spanielem. Kapral, zamykając drzwi, mrugnął do chłopca i rzucił na pożegnanie:

– Dużo szczęścia, synu. Bóg wie, że sobie na to zasługujesz.

Polski konsul przedstawił się Władkowi: nazywał się Paweł Zaleski. I znów Władek musiał opowiedzieć historię swego życia, ale po polsku było to łatwiejsze niż po angielsku. Paweł Zaleski wysłuchał go w milczeniu, ze współczuciem kiwając głową.

– Biedne dziecko – powiedział ze smutkiem. – W tak młodym wieku nacierpiałeś się więcej niż niejeden z synów naszej nieszczęsnej ojczyzny. Co my teraz z tobą zrobimy?

– Muszę wrócić do Polski i starać się o odzyskanie mojego zamku.

– Polska? – westchnął Paweł Zaleski. – Gdzież ona jest? Ziemie, na których mieszkałeś, są przedmiotem sporu. Między Polakami i Rosjanami nadal toczą się ciężkie walki. Naczelnik Piłsudski robi wszystko, aby zachować w całości terytorium naszej ojczyzny. Ale nie możemy być zbytnimi optymistami. Nie masz teraz czego szukać w

Polsce. Najlepiej byłoby, gdybyś zaczął wszystko od nowa w Anglii lub Ameryce.

– Ale ja nie chcę jechać do Anglii ani do Ameryki. Jestem Polakiem.

– Zawsze będziesz Polakiem, Władku, niezależnie od tego, gdzie zamieszkasz. Musisz jednak poważnie pomyśleć o swoim życiu, które jeszcze się na dobre nie zaczęło.

Władek zwiesił głowę w rozpaczy. Czy po to przeszedł całe to piekło, żeby na końcu się dowiedzieć, że nie będzie mógł powrócić do ojczystego kraju? Wstrzymywał łzy cisnące się do oczu.

Paweł Zaleski objął go ramieniem.

– Zawsze pamiętaj, że należysz do szczęśliwców, którym udało się uciec i ujść z życiem z tej gehenny. Wystarczy, byś pomyślał o doktorze Dubien, ażeby uświadomić sobie, czym mogłoby być twoje życie.

Władek się nie odezwał.

– Musisz teraz zapomnieć o przeszłości i myśleć tylko o tym, co przed tobą, Władku, a może jeszcze za twojego życia Polska znów rozkwitnie. Oby tak się stało.

Chłopak nadal milczał.

– No cóż, nie musisz podejmować decyzji natychmiast – powiedział dobrotliwie konsul. – Możesz tu śmiało pozostać dopóty, dopóki nie postanowisz o swojej przyszłości.

10

Przyszłość niepokoiła Anne. Pierwsze miesiące jej małżeństwa układały się szczęśliwie, mącił je tylko niepokój wywołany wzmagającą się antypatią Williama do Henry'ego i widoczną niechęcią nowo poślubionego małżonka do podjęcia pracy. Henry był trochę drażliwy na tym punkcie i tłumaczył Anne, że czuje się jeszcze wytrącony z równowagi przez wojnę i nie chciałby pochopnie rzucać się w coś, w czym mógłby utknąć do końca życia. Trudno było jej się z tym pogodzić i w końcu doprowadziło to do ich pierwszej sprzeczki.

– Nie rozumiem, Henry, dlaczego nie założysz tej firmy handlu nieruchomościami, na którą miałeś taką ochotę?

– Nie mogę. To nie jest odpowiedni moment. Nie ma teraz ruchu w tej branży.

– Powtarzasz to prawie od roku i zaczynam się zastanawiać, czy kiedyś w ogóle nadejdzie dla ciebie właściwy moment.

– Ależ tak. Kłopot w tym, że przydałby mi się trochę większy kapitał na rozkręcenie interesu. Wiesz co, gdybyś mi zechciała pożyczyć trochę pieniędzy, już jutro mógłbym rozwinąć skrzydła.

– To niemożliwe, Henry. Znasz postanowienie testamentu Richarda; z chwilą naszego ślubu wstrzymano mi wypłacanie renty i został mi tylko kapitał.

– Nawet drobna jego część pomogłaby mi wystartować. Poza tym nie zapominaj, że twój kochany synek ma ponad dwudziestomilionowy majątek pod zarządem banku.

– Widzę, że masz bardzo dokładne informacje o majątku Williama – powiedziała podejrzliwie Anne.

– Daj spokój, Anne, przecież jestem twoim mężem. Nie traktuj mnie tak, jakbym był intruzem we własnym domu.

– Co się stało z twoimi pieniędzmi, Henry? Zawsze dawałeś mi do zrozumienia, że masz dość, aby założyć własną firmę.

– A ty zawsze wiedziałaś, że daleko mi do pozycji finansowej Richarda, i był czas, Anne, kiedy twierdziłaś, że to nie ma znaczenia. Czy już nie pamiętasz, jak mówiłaś: wyszłabym za ciebie, Henry, choćbyś był bez grosza? – zakpił.

Anne rozpłakała się, Henry zaś starał się ją pocieszyć. Spędzili cały wieczór przytuleni, omawiając problem. Anne udało się przekonać siebie, że jest małoduszna i nie zachowuje się, jak przystało dobrej żonie. Miała więcej pieniędzy, niż mogła przypuszczalnie potrzebować; czyż nie powinna powierzyć ich cząstki mężczyźnie, któremu tak chętnie oddała siebie samą na całe życie?

W końcu zgodziła się przekazać mężowi sto tysięcy dolarów na założenie własnej firmy w Bostonie. W ciągu miesiąca Henry zdołał znaleźć elegancki lokal na biuro w modnej dzielnicy miasta, skompletował personel i rozpoczął pracę. Wkrótce zaczął się obracać wśród miejscowych polityków i ludzi z branży. Toczyli rozmowy na temat dobrej koniunktury na tereny rolne i obsypywali Henry'ego pochlebstwami. Anne nie przepadała za tym towarzystwem, lecz Henry był zadowolony i wyglądało na to, że wiedzie mu się w pracy.

William, teraz czternastoletni, uczył się już trzeci rok w Gimnazjum św. Pawła. Zajmował ogółem szóste miejsce w klasie i pierwsze w matematyce. Coraz bardziej liczono się z nim również w

kółku dyskusyjnym. Pisywał do matki raz w tygodniu, donosząc jej o swoich postępach i zawsze adresował listy do pani Richardowej Kane, nie uznając w ogóle istnienia Henry'ego Osborne'a. Anne wahała się, czy porozmawiać z synem na ten temat, tymczasem zaś co poniedziałek wyjmowała przezornie list ze skrzynki, aby przypadkiem Henry nie zobaczył koperty. W dalszym ciągu pocieszała się, że z czasem William przełamie się i polubi Henry'ego, jednak nadzieje te rozwiał ostatecznie jeden z listów, w którym syn prosił ją o pozwolenie spędzenia letnich wakacji razem z kolegą Matthew Lesterem. Prośbę syna Anne odczuła jak bolesny cios, wybrała jednak łatwiejsze wyjście i zgodziła się, co Henry również przyjął z zadowoleniem.

William nienawidził Henry'ego Osborne'a i z pasją podsycał w sobie tę nienawiść, nie bardzo właściwie wiedząc po co. Na szczęście Henry nigdy nie odwiedzał go w szkole; chłopak by nie zniósł, gdyby koledzy zobaczyli jego matkę z tym człowiekiem. Wystarczyło, że musiał przebywać z nim pod jednym dachem w Bostonie.

Pierwszy raz od czasu zamążpójścia matki William nie mógł się doczekać wakacji.

Bezszelestnie płynący szosą packard Lesterów zawiózł chłopców do letniego obozowiska w Vermoncie. Podczas podróży Matthew mimochodem zagadnął Williama, co zamierza robić, gdy nadejdzie czas pożegnania ze szkołą.

– Ukończyć ją jako najlepszy uczeń, starosta klasy i zdobywca stypendium matematycznego Fundacji Hamiltona do Harvardu – odparł bez zastanowienia William.

– Dlaczego to wszystko jest dla ciebie takie ważne? – niewinnie spytał Matthew.

– Bo mój ojciec to osiągnął.

– Jak już go zakasujesz, poznam cię z moim.

William uśmiechnął się.

Obaj chłopcy spędzili w Vermont czterotygodniowe, radosne i pełne ruchu wakacje, wyżywając się we wszystkich możliwych grach od szachów po amerykański futbol. Gdy miesiąc dobiegł końca, pojechali do Nowego Jorku spędzić resztę lata z rodziną Lesterów. W drzwiach powitał ich kamerdyner, który tytułował Matthew paniczem oraz piegowata dwunastolatka nazywająca go Tłuściochem. Rozśmieszyło to Williama, gdyż Matthew był chudy jak patyk, za to ona pulchna jak pulpecik. Dziewczynka roześmiała się, pokazując zęby prawie całkiem ukryte za klamerkami.

– Nigdy byś nie zgadł, że Susan to moja siostra, prawda? – rzucił lekceważąco Matthew.

– Nie, chyba nie – odparł William, uśmiechając się do Susan. – Jest od ciebie dużo ładniejsza.

Od tej chwili Susan zaczęła uwielbiać Williama.

William zaś przylgnął do Charlesa Lestera, gdy tylko go zobaczył; pod tyloma względami przypominał mu własnego ojca! Od razu go poprosił, aby pozwolił mu zwiedzić wielki bank, którym kierował. Charles Lester poważnie się zastanowił przed udzieleniem odpowiedzi. Do tej pory żadne dziecko, nie wyłączając jego własnego syna, nie miało wstępu na teren utrzymanej we wzorowym porządku posesji pod numerem 17 na rogu Broad Street i Wall Street. Wybrał wyjście kompromisowe, jak to często czynią bankierzy, i oprowadził chłopca po gmachu w niedzielne popołudnie.

William jak urzeczony oglądał różnego rodzaju biura, podziemne skarbce, salę operacji dewizowych, salę obrad rady nadzorczej, gabinet prezesa. W porównaniu z bankiem Kane'a i Cabota bank Lestera działał na dużo większą skalę, a William, który miał w nim osobiste konto lokacyjne i z tej racji otrzymywał roczne sprawozdania, wiedział, że dysponuje też znacznie większym kapitałem własnym. Kiedy wracali samochodem do domu, William był milczący i zamyślony.

– No i jak, Williamie – zapytał Charles Lester dobrodusznie. – Podobało ci się w moim banku?

– O tak, proszę pana – odparł William. – Bardzo mi się podobało. – Zamilkł, i po chwili dodał: – Zamierzam pewnego dnia stanąć na jego czele.

Charles Lester roześmiał się i potem nieraz zabawiał gości opowieścią o tym, jak mały William Kane skwitował wizytę w jego banku, co wszyscy przyjmowali jako dobry żart.

Ale William wcale nie żartował.

Anne była zaszokowana, kiedy Henry znów zażądał od niej pieniędzy.

– Będą bezpieczne jak w banku – zapewnił ją. – Spytaj zresztą Alana Lloyda, on jako szef Kane'a i Cabota zawsze kieruje się twoim dobrem.

– Ale aż dwieście pięćdziesiąt tysięcy? – zaprotestowała Anne.

– To nadzwyczajna okazja, kochanie. Potraktuj to jako lokatę, która się podwoi w ciągu dwu lat.

Po kolejnej, tym razem dłuższej sprzeczce Anne ponownie ustąpiła i znów życie potoczyło się gładko. Kiedy sprawdziła w banku

swój portfel papierów wartościowych, okazało się, że zostało jej zaledwie sto czterdzieści tysięcy dolarów, za to Henry spotykał się zapewne, z kim należy, i zawierał właściwe transakcje. Zastanawiała się, czy nie porozmawiać o tym wszystkim z Alanem Lloydem, ale ostatecznie zrezygnowała; okazałaby w ten sposób, że nie ufa własnemu mężowi, a pragnęła, aby świat darzył go szacunkiem. Poza tym Henry z pewnością nie wystąpiłby z podobną sugestią, gdyby nie był przekonany, iż Alan zaaprobuje pożyczkę.

Ponadto Anne zaczęła znowu odwiedzać doktora MacKenziego, gdyż pragnęła się dowiedzieć, czy mogłaby jeszcze urodzić dziecko, doktor jednak nadal jej to odradzał. Andrew MacKenzie był zdania, że przy wysokim ciśnieniu Anne, które stało się w przeszłości przyczyną poronienia, nie powinna w wieku trzydziestu pięciu lat myśleć o macierzyństwie. Anne wspomniała o swoim zamyśle babkom, ale one w pełni się zgodziły z opinią zacnego doktora. Żadna z nich nie darzyła Henry'ego nadmierną sympatią, a jeszcze mniej uśmiechała im się myśl, że potomek jakiegoś Osborne'a mógłby po ich śmierci pretendować do rodowego majątku Kane'ów. Anne zaczęła się godzić z myślą, że William pozostanie jej jedynym dzieckiem. Henry unosił się gniewem, zarzucając Anne „zdradę" i twierdząc, że gdyby Richard żył, toby zaryzykowała. Jakże różni są ci dwaj mężczyźni, myślała Anne, zachodząc w głowę, dlaczego ich obu pokochała. Starała się udobruchać Henry'ego i modliła się po cichu, aby interesy szły mu dobrze i wypełniały mu bez reszty czas. Mąż zdecydowanie nabrał zwyczaju przesiadywania w biurze do późnej nocy.

Pewnego październikowego poniedziałku, kilka dni po uroczyście obchodzonej drugiej rocznicy ślubu, Anne otrzymała pierwszy z serii

anonimów, w których niepodpisany „przyjaciel” donosił jej, że Henry afiszuje się w Bostonie w towarzystwie innych kobiet, a zwłaszcza jednej, której nazwiska nadawca nie kwapił się wymienić. Z początku Anne natychmiast paliła listy i chociaż ciężko jej było na sercu, nigdy nie wspominała o nich Henry’emu, za każdym razem licząc, że ten, który właśnie nadszedł, będzie ostatni. Nie umiała zdobyć się na odwagę i poruszyć tego tematu, nawet wówczas, gdy Henry zażądał od niej ostatnich stu czterdziestu tysięcy dolarów.

– Anne, jeśli nie będę miał natychmiast tych pieniędzy, całą transakcję diabli wezmą.

– Ależ to wszystko, co mam, Henry. Jeśli ci to dam, zostanę bez grosza.

– Sam dom musi być wart ponad dwieście tysięcy. Możesz go zastawić hipotecznie choćby jutro.

– Ten dom należy do Williama.

– William, William, William. Zawsze mi wchodzi w paradę! – krzyknął Henry i z wściekłością wypadł z pokoju.

Wrócił do domu po północy, pełen skruchy, i oświadczył, że woli, aby Anne zatrzymała swoje pieniądze, a on splajtował, niżby mieli się poróżnić. Jego słowa ukoiły Anne i tej nocy się kochali. Następnego ranka wypisała czek na sto czterdzieści tysięcy dolarów, starając się nie myśleć o tym, że zostanie bez grosza do czasu, aż Henry zrealizuje tę swoją upragnioną transakcję. Nie mogła jednak opędzić się od wątpliwości, czy był to tylko przypadek, iż Henry zażądał dokładnie takiej kwoty, jaka jeszcze została jej z zapisu Richarda.

W następnym miesiącu Anne nie miała okresu.

Doktor MacKenzie zatroskał się, ale usiłował tego nie okazać; babki ogarnęła zgroza i bynajmniej tego nie ukrywały; Henry zaś

wpadł w zachwyt i zapewnił Anne, że to najwspanialsza rzecz, jaka przytrafiła mu się w całym dotychczasowym życiu, a nawet wyraził chęć zbudowania nowego skrzydła szpitalnego dla oddziału dziecięcego, co było niegdyś zamiarem Richarda.

Gdy William dowiedział się nowiny z listu matki, cały wieczór przesiedział zatopiony w myślach, niezdolny nawet tak bliskiemu przyjacielowi jak Matthew wyznać, co go trapi. W najbliższą sobotę rano, po uzyskaniu specjalnego pozwolenia od kierownika bursy, wsiadł do pociągu i po przybyciu do Bostonu podjął z konta oszczędnościowego sto dolarów. Następnie skierował się do kancelarii prawniczej Cohen, Cohen i Yablons na Jefferson Street. Thomas Cohen, główny wspólnik, wysoki, kanciasty mężczyzna o szczęce ciemnej od zarostu, był nieco zaskoczony, kiedy wprowadzono Williama.

– Nigdy jeszcze nie miałem szesnastoletniego klienta – zaczął Cohen. – To dla mnie coś nowego... – zawahał się – ...panie Kane. – „Pan Kane" nie przeszedł mu łatwo przez gardło. – Zwłaszcza że pański ojciec, jakby to rzec, nie przepadał za moimi współwyznawcami.

– Mój ojciec – odparł William – czuł dla Izraelitów wielki podziw za ich dokonania i z wielkim uszanowaniem wyrażał się o pańskiej firmie, kiedy reprezentował pan jego przeciwników. Kilkakrotnie słyszałem, jak wymieniał pańskie nazwisko. Dlatego też ja wybrałem pana, panie Cohen, a nie odwrotnie. To powinno panu wystarczyć.

Cohen od razu zapomniał, że ma do czynienia z szesnastolatkiem.

– Oczywiście – zapewnił – oczywiście, syn Richarda Kane'a zasługuje na wyjątek. Zatem, w czym mógłbym panu pomóc?

– Zależy mi na odpowiedzi na trzy pytania, proszę pana. Po pierwsze, chcę wiedzieć, czy gdyby moja matka, Henrykowa Osborne, urodziła dziecko, syna bądź córkę, miałoby ono jakieś prawa do majątku rodziny Kane'ów. Po drugie, czy prawo nakłada na mnie jakieś zobowiązania wobec Henry'ego Osborne'a z tego tytułu, iż jest on mężem mojej matki, i po trzecie, za ile lat będę mógł zażądać od Osborne'a, żeby wyprowadził się z mojego domu przy Louisburg Square w Bostonie.

Staromodne pióro Thomasa Cohena zaciekle mknęło po kartce papieru, rozbryzgując maleńkie, niebieskie kropelki po poplamionym atramentem blacie biurka.

William położył przed prawnikiem sto dolarów. Cohen wyglądał na zaskoczonego, ale wziął banknoty i przeliczył.

– Proszę z rozwagą wydatkować te pieniądze. Gdy ukończę Harvard, będę potrzebował dobrego prawnika.

– To już pana przyjęto do Harvardu, panie Kane? Gratuluję.

Mam nadzieję, że mój syn też się tam dostanie.

– Nie, jeszcze nie, ale przyjmą mnie za dwa lata. Przyjadę za tydzień do Bostonu, żeby się z panem zobaczyć. Gdybym kiedyś w życiu usłyszał od kogoś innego poza panem cokolwiek na omawiany tu temat, uznam nasze stosunki za skończone. Do widzenia panu.

Thomas Cohen nie zdążył odpowiedzieć Williamowi, gdyż słowa uwięzły mu w gardle.

Siedem dni później William ponownie stawił się w kancelarii spółki adwokackiej Cohen, Cohen i Yablons.

– A, pan Kane – powiedział Thomas Cohen. – Miło mi pana powitać. Czy zechciałby pan napić się kawy?

– Nie, dziękuję.

– A może posłać po coca-colę?

Twarz Williama pozostała bez wyrazu.

– Do rzeczy zatem, do rzeczy – powiedział Cohen lekko zakłopotany. – Trochę się rozejrzeliśmy w pańskim imieniu, panie Kane, przy współpracy pewnej szacownej firmy detektywistycznej, aby udzielić odpowiedzi na pańskie pytania, które nie należały do czysto akademickich. Sądzę, że mogę śmiało stwierdzić, iż na wszystkie znaleźliśmy odpowiedź. A więc chciał pan wiedzieć, czy potomek Henry'ego Osborne'a zrodzony przez pańską matkę, jeśli takowy przyjdzie na świat, będzie miał jakieś prawa do majątku Kane'ów, szczególnie zaś do dziedzictwa, jakie zostawił panu ojciec. Odpowiedź jest prosta: nie, ale naturalnie pani Osborne zawsze może podarować, komu zechce, dowolną część z pięciuset tysięcy dolarów pozostawionych jej przez pańskiego ojca. – Cohen podniósł głowę. – Jakkolwiek, co zapewne pana zainteresuje, pańska matka w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy podjęła całą tę kwotę ze swego osobistego konta w banku Kane'a i Cabota. Niestety, nie udało nam się dociec, jak te pieniądze zostały spożytkowane. Niewykluczone, że zdecydowała się umieścić je w innym banku.

Wiadomość ta wywarła widoczne wrażenie na Williamie; pierwszy raz dał po sobie coś poznać, odnotował Thomas Cohen.

– Nie miałaby powodu, aby tak postąpić – odezwał się William. – Te pieniądze mógł zagarnąć tylko jeden człowiek.

Prawnik chwilę milczał, licząc, że jeszcze coś usłyszy, lecz William opanował się i już nic nie dodał, więc Cohen ciągnął dalej:

– Jeśli chodzi o drugie pytanie, to nie ma pan absolutnie żadnych osobistych ani prawnych zobowiązań wobec pana Osborne'a.

Zgodnie z rozporządzeniami testamentu pańskiego ojca, do ukończenia przez pana dwudziestego pierwszego roku życia powiernictwo nad rodzinnymi pieniędzmi sprawują obok pańskiej matki pańscy żyjący rodzice chrzestni, Alan Lloyd i Milly Preston. – Thomas Cohen znów podniósł głowę. Twarz Williama pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Cohen już się połapał, że oznacza to, iż ma mówić dalej. – I po trzecie, panie Kane, nie może pan usunąć Osborne'a z Beacon Hill dopóty, dopóki pozostaje on mężem pańskiej matki i zamieszkuje razem z nią. Zgodnie z prawem dom stanie się pańską własnością z chwilą śmierci matki. Gdyby Osborne jeszcze wtedy żył, mógłby pan zażądać, aby się wyprowadził. Myślę, że uzna pan moje odpowiedzi za zadowalające, panie Kane.

– Dziękuję panu – powiedział William. – Jestem panu wielce zobowiązany za pańską sprawność i dyskrecję. Czy zechciałby mi pan podać wysokość honorarium?

– Sto dolarów nie pokryło całkowicie kosztów, ale mając na uwadze pańską przyszłość, panie Kane…

– Nie chcę mieć wobec nikogo zobowiązań, proszę pana. Proszę potraktować mnie jak kogoś, z kim więcej może pan nie mieć do czynienia. Zatem ile jestem panu winien?

Cohen zastanowił się.

– W takim razie należność wynosiłaby dwieście dwadzieścia dolarów, panie Kane.

William wyjął sześć dwudziestodolarowych banknotów z wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył Cohenowi. Tym razem prawnik ich nie liczył.

– Jestem wdzięczny za pańską pomoc, panie Cohen, i myślę, że na pewno jeszcze się spotkamy. Do widzenia panu.

– Do widzenia, panie Kane. Pozwolę sobie powiedzieć, że nigdy nie miałem zaszczytu spotkać pańskiego szacownego ojca, czego teraz, mając do czynienia z panem, niezmiernie żałuję.

William uśmiechnął się i złagodniał.

– Dziękuję panu.

Przygotowania do narodzin dziecka całkowicie absorbowały Anne; łatwo się męczyła i musiała dużo odpoczywać. Ilekroć pytała Henry'ego o interesy, zawsze miał na podorędziu jakąś odpowiedź, wystarczającą, by ją uspokoić, ale nie zawierającą żadnych konkretów.

Potem, począwszy od któregoś ranka, znowu zaczęły napływać anonimy. Teraz zawierały więcej szczegółów, nazwiska kobiet i miejsca, w których widywano je z Henrym. Anne paliła listy natychmiast, zanim cokolwiek zdążyło jej zapaść w pamięć. Nie chciała wierzyć, że mąż mógłby ją zdradzać, kiedy ona pod sercem nosi jego dziecko. Ktoś jest zazdrosny, żywi urazę do Henry'ego i bez wątpienia kłamie.

Listy nie przestawały przychodzić, czasem ujawniały nowe nazwiska. Anne w dalszym ciągu niszczyła je, ale zaczynały ją coraz bardziej niepokoić. Chciała z kimś porozmawiać na ten temat, ale nie przychodził jej na myśl nikt taki, komu mogłaby się zwierzyć. Babki by się przeraziły, a zresztą i tak już były uprzedzone do Henry'ego. Alan Lloyd mógłby jej nie zrozumieć, gdyż nigdy nie był żonaty, a William był o wiele za młody. Nie mogła znaleźć nikogo odpowiedniego. Po wysłuchaniu odczytu Zygmunta Freuda pomyślała, żeby zwrócić się o radę do psychiatry, ale przecież nikt z

Lowellów nie mógłby omawiać spraw rodzinnych z całkiem obcą osobą.

Wreszcie problem rozstrzygnął się w sposób nieoczekiwany nawet dla Anne. Pewnego poniedziałkowego ranka otrzymała trzy listy. Jeden jak zwykle od Williama zaadresowany do pani Richardowej Kane, z zapytaniem, czy może spędzić letnie wakacje z Lesterem w Nowym Jorku. Drugi okazał się kolejnym anonimem i przynosił wiadomości o romansie Henry'ego z... Milly Preston. Trzeci był od Alana Lloyda, który prosił, aby zechciała do niego zatelefonować i umówić się na spotkanie. Anne opadła na krzesło; zrobiło jej się słabo i z trudem łapała oddech. Zmusiła się do ponownego przeczytania wszystkich listów. Ukłuła ją boleśnie obojętność listu Williama. Trudno jej było znieść myśl, że syn woli spędzić wakacje z kolegą. Coraz bardziej oddalał się od niej od czasu jej zamążpójścia. Anonimu sugerującego, że Henry romansuje z jej najbliższą przyjaciółką, nie sposób było zignorować. Nie mogła opędzić się od myśli, że to właśnie Milly poznała ją z Henrym i że jest chrzestną matką Williama. List od Alana Lloyda nie wiadomo dlaczego jeszcze bardziej ją zaniepokoił. Jedyny list, jaki otrzymała do tej pory od Alana, zawierał kondolencje po śmierci Richarda. Bała się, że następny może również zwiastować jakieś złe wiadomości.

Wybrała numer banku. Telefonistka od razu ją połączyła.

– Alan, chciałeś się ze mną spotkać?

– Tak, moja droga. Miałbym ochotę z tobą pogawędzić.

Kiedy by ci odpowiadało?

– Czy to coś złego? – spytała Anne.

– Niezupełnie, chociaż wolałbym nie mówić o tym przez telefon. Ale nic niepokojącego. Czy masz dzisiaj czas? Moglibyśmy zjeść

razem lunch.

– Tak. Chętnie, Alanie.

– Więc spotkajmy się o pierwszej u Ritza. Cieszę się, że cię zobaczę, Anne.

O pierwszej, czyli już za trzy godziny. Przeskoczyła myślami od Alana do Williama, potem do Henry'ego i zatrzymała się na Milly. Czy to możliwe? Postanowiła wziąć długą, ciepłą kąpiel i włożyć nową suknię. Nie na wiele to się zdało. Czuła się obrzmiała i zaczynało to być widoczne. Jej kostki i łydki, zawsze tak wytwornie szczupłe, teraz stały się pożyłkowane i opuchnięte. Lepiej nie myśleć, jak dalece to się pogorszy, zanim dziecko przyjdzie na świat. Westchnęła do swojego odbicia w lustrze i postarała się choć trochę poprawić swój wygląd.

– Pięknie wyglądasz, Anne. Gdybym nie był starym kawalerem, którego najlepsze lata dawno minęły, bezwstydnie bym z tobą flirtował – powiedział srebrnowłosy bankier, całując ją na powitanie w oba policzki niby francuski generał.

Zaprowadził ją do swojego stolika. Od lat się przyjęło, że stolik w rogu tradycyjnie rezerwowano dla dyrektora generalnego banku Kane'a i Cabota, jeśli nie jadł lunchu u siebie. Tak było za czasów Richarda, a teraz jego miejsce zajął Alan Lloyd. Anne pierwszy raz siedziała przy tym stoliku z kimś innym. Kelnerzy uwijali się wokół nich jak na skrzydłach, pojawiając się i znikając w stosownym momencie.

– Kiedy spodziewasz się dziecka, Anne?

– O, nie wcześniej niż za trzy miesiące.

– Żadnych powikłań, mam nadzieję? O ile pamiętam…

– Istotnie – przyznała Anne – co tydzień odwiedzam doktora, który krzywi się na moje wysokie ciśnienie, ale ja się specjalnie nie przejmuję.

– To bardzo dobrze, moja droga – powiedział Alan i delikatnie dotknął jej dłoni, niby dobrotliwy wujek. – Wyglądasz na zmęczoną i mam nadzieję, że się oszczędzasz.

Nieznacznie uniósł rękę. Natychmiast wyrósł przy nim kelner i przyjął zamówienie.

– Anne, chciałbym zasięgnąć twojej rady.

Anne miała przejmującą świadomość dyplomatycznego talentu Alana. Zaprosił ją na lunch nie po to, aby słuchać jej rad.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że to on zamierza jej subtelnie ich udzielić.

– Czy wiesz coś o tym, jak idzie Henry'emu?

– Nie – odparła Anne. – Nigdy się nie mieszam w interesy Henry'ego. Jeśli pamiętasz, tak samo postępowałam wobec Richarda. Dlaczego pytasz? Czy dzieje się coś niepokojącego?

– Nie, nie, nic takiego do nas w banku nie dotarło. Wręcz przeciwnie, o ile wiemy, Henry ubiega się o poważny kontrakt miejski na budowę nowego kompleksu szpitalnego. Zapytałem cię tylko dlatego, że zwrócił się do banku o pożyczkę pięciuset tysięcy dolarów.

Anne milczała ogłuszona.

– Widzę, że to cię zaskoczyło – stwierdził Lloyd. – Chciałbym też wspomnieć, że na koncie lokacyjnym masz nieco poniżej dwudziestu tysięcy dolarów, a na koncie osobistym niewielkie saldo ujemne wynoszące siedemnaście tysięcy dolarów.

Anne z wrażenia przestała jeść zupę i odłożyła łyżkę. Nie zdawała sobie sprawy, że aż o tyle przekroczyła konto. Alan spostrzegł jej przerażenie.

– To nie dlatego poprosiłem cię o spotkanie, Anne – szybko powiedział. – Bank chętnie przystałby na to, żebyś miała niedobór na koncie do końca życia. Same odsetki od kapitału Williama przynoszą rocznie ponad milion dolarów, więc twój niedobór nie ma większego znaczenia, jak zresztą i te pięćset tysięcy, o które prosi Henry, jeśli oczywiście udzielisz mu swojego poparcia jako prawna opiekunka Williama.

– Nie wiedziałam, że mam coś do powiedzenia w sprawie pieniędzy Williama.

– Co do kapitału nie. Natomiast odsetki można lokować w przedsięwzięciach korzystnych dla Williama i dopóki nie ukończy on dwudziestego pierwszego roku życia ty, jak również ja i Milly Preston jako jego rodzice chrzestni jesteśmy upoważnieni do podejmowania w tej sprawie decyzji. Otóż jako zarządzający rodzinnymi pieniędzmi Williama mógłbym przy twoim poparciu pożyczyć te pięćset tysięcy. Milly już mnie poinformowała, że wyraża swoją zgodę, a więc dysponowałabyś dwoma głosami, i w tej sytuacji moja opinia byłaby bez znaczenia.

– Milly Preston już się zgodziła, Alanie?

– Tak. Czy ci o tym nie mówiła?

Anne nie od razu odpowiedziała.

– A jaka jest twoja opinia? – spytała wreszcie.

– Hm, nie jestem zorientowany w kondycji finansowej firmy Henry'ego, gdyż działa ona dopiero od osiemnastu miesięcy i nie przeprowadziła transakcji za naszym pośrednictwem, nie umiem

więc powiedzieć, o ile nakłady przewyższają dochody w roku bieżącym i jakie zyski przewiduje się na rok tysiąc dziewięćset dwudziesty trzeci.

– Czy zdajesz sobie sprawę, Alanie, że ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy dałam Henry'emu moje pięćset tysięcy dolarów?

– Główny kasjer zawsze mnie informuje, kiedy ktoś pobiera z konta większą kwotę. Nie wiedziałem, na jaki cel spożytkowałaś swoje pieniądze, Anne, i nic mi do tego. Zostawił ci je Richard i mogłaś z nimi zrobić, co ci się podobało. Gdy jednak chodzi o odsetki od majątku rodzinnego – ciągnął – to sprawa wygląda inaczej. Jeśli postanowisz podjąć pięćset tysięcy dolarów i ulokować je w firmie Henry'ego, wówczas bank będzie musiał skontrolować jego księgi handlowe, gdyż pieniądze te traktowano by jako kolejną lokatę zwiększającą portfel bankowy Williama. Richard nie uprawnił powierników do udzielania pożyczek, tylko do zakupu papierów wartościowych w imieniu Williama. Wyjaśniłem to już Henry'emu, i jeśli pójdziemy mu na rękę, powiernicy powinni ustalić, jaka część udziałów w firmie Henry'ego byłaby stosownym zabezpieczeniem dla tych pięciuset tysięcy. Naturalnie William jest zorientowany, w jaki sposób spożytkowujemy dochody z jego majątku, gdyż nie widzieliśmy powodu, aby nie uwzględnić jego prośby o wysyłkę kwartalnych sprawozdań dotyczących planowanych lokat, przekazywanych również wszystkim powiernikom. Nie wątpię, że wyrazi własną opinię na temat tego projektu, o którym się dowie z najbliższego sprawozdania. Może cię to ubawi, ale od czasu ukończenia szesnastego roku życia William przesyła mi swoje komentarze na temat każdej z dokonywanych przez nas lokat. Na początku przeglądałem je z przelotnym zainteresowaniem

pobłażliwego opiekuna. Ostatnio zacząłem je studiować z niemałą uwagą. Kiedy William zajmie w przyszłości miejsce w radzie nadzorczej, bank Kane'a i Cabota może okazać się dla niego za ciasny.

– Nigdy mnie nikt nie pytał o zdanie w sprawie pieniędzy Williama – zauważyła z żalem Anne.

– Ależ moja droga, przecież widujesz sprawozdania, które przysyła ci bank pierwszego dnia każdego kwartału i zawsze mogłaś, jako powierniczka, wyrazić swoje obiekcje.

Alan Lloyd wyjął z kieszeni mały karteluszek i czekał w milczeniu, aż kelner skończy nalewać wino burgundzkie Nuits Saint Georges. Gdy oddalił się poza zasięg głosu, Alan zaczął mówić dalej.

– William ma w banku ponad dwadzieścia jeden milionów dolarów ulokowanych na cztery i pół procent do ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia. Co kwartał z dochodu z odsetek kupujemy papiery wartościowe. Nigdy w przeszłości nie ryzykowaliśmy lokaty w spółce prywatnej. Pewno cię zdziwi, kiedy powiem, że obecnie przy doborze lokat stosujemy zasadę pół na pół: w pięćdziesięciu procentach decydują zalecenia banku, w pozostałych pięćdziesięciu sugestie Williama. W tej chwili jesteśmy nieco lepsi od niego, ku wielkiej satysfakcji Tony'ego Simmonsa, dyrektora do spraw lokat, któremu William obiecuje rolls-royce'a w roku, w którym zdoła go pokonać o dziesięć procent.

– Ale skąd William weźmie dziesięć tysięcy dolarów na rolls-royce'a, jeśli przegra zakład, skoro nie może ruszyć pieniędzy przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia?

– Nie wiem, Anne. Wiem natomiast, że jest zbyt dumny na to, żeby zwrócić się do nas bezpośrednio, i jestem pewien, że nie

decydowałby się na zakład, gdyby go nie mógł dotrzymać.

Czy widziałaś może ostatnio jego słynną księgę główną?

– Tę, którą ofiarowały mu babki?

Alan Lloyd pokiwał głową.

– Nie, nie widziałam jej od czasu, jak poszedł do szkoły. Nie wiedziałam, że jeszcze istnieje.

– Owszem, istnieje – rzekł bankier – i oddałbym swój miesięczny zarobek, żeby się dowiedzieć, jak się przedstawia obecnie strona „ma" w tej księdze. Sądzę, że wiesz, iż William trzyma pieniądze u Lestera w Nowym Jorku, a nie u nas? Oni nie zakładają osobistych kont ludziom, którzy nie mają co najmniej dziesięciu tysięcy dolarów. Jestem też przekonany, że nie zrobiliby wyjątku nawet dla syna Richarda Kane'a.

– Syna Richarda Kane'a – powtórzyła Anne.

– Przepraszam, Anne, nie chciałem cię dotknąć.

– Nie, nie, bez wątpienia jest synem Richarda Kane'a. Czy wiesz, że od czasu ukończenia dwunastego roku życia nigdy nie poprosił mnie ani o centa? – Zamilkła na chwilę. – Myślę, że powinnam cię uprzedzić, Alanie, że on nie zareaguje życzliwie na wiadomość, iż będzie musiał ulokować pięćset tysięcy dolarów w firmie Henry'ego.

– Czyżby nie zgadzali się ze sobą? – zapytał Alan, podnosząc ze zdziwieniem brwi.

– Niestety.

– Przykro mi to słyszeć. Gdyby William rzeczywiście oparł się stanowczo temu projektowi, z pewnością skomplikowałoby to jego realizację. Co prawda, póki jest niepełnoletni, nie może dysponować majątkiem, ale, jak udało się nam skądinąd dowiedzieć, nie wahał się

pójść do postronnego prawnika, ażeby się wywiedzieć o swoją sytuację prawną.

– Dobry Boże – zdumiała się Anne. – Chyba nie mówisz tego serio?

– Ależ tak, całkiem serio. Ale nie powinnaś się tym przejmować. Szczerze mówiąc, wszyscy w banku byliśmy poruszeni, a kiedy zdaliśmy sobie sprawę, skąd te indagacje, udostępniliśmy dane, które w innym przypadku zachowalibyśmy wyłącznie dla siebie. Najwyraźniej z jakichś wiadomych sobie powodów William nie chciał się zwrócić bezpośrednio do nas.

– Wielkie nieba – rzekła Anne – jaki on będzie, mając trzydzieści lat?

– To będzie zależało od tego, czy mu się poszczęści i pokocha kogoś równie uroczego jak ty – odparł Alan. – To było zawsze siłą Richarda.

– Ach, ty stary pochlebco. Czy moglibyśmy na razie zostawić sprawę pięciuset tysięcy dolarów, póki nie pomówię o tym z Henrym?

– Naturalnie, moja droga. Powiedziałem ci przecież, że chciałem zasięgnąć twojej rady. – Alan zamówił kawę i delikatnie ujął rękę Anne. – Pamiętaj, dbaj o siebie – poprosił. – Ty jesteś o wiele ważniejsza od tego, co się stanie z paroma tysiącami dolarów.

Gdy tylko Anne wróciła do domu, zaczęła się dręczyć pozostałymi dwoma listami, które nadeszły tego ranka. Jednego przynajmniej teraz była pewna; po wszystkim, co usłyszała od Alana o synu, najrozsądniej będzie ustąpić i bez oporu pozwolić mu na spędzenie najbliższych wakacji z kolegą.

Stosunki Henry'ego i Milly stanowiły natomiast problem, którego nie można było równie łatwo rozwiązać. Usiadła w obitym wiśniową skórą fotelu, ulubionym fotelu Richarda, i zamyśliła się głęboko, patrząc niewidzącymi oczyma przez okno w wykuszu na klomb pięknych czerwonych i białych róż. Zawsze trwało długo, nim Anne podjęła decyzję, ale już potem rzadko kiedy się cofała.

Tego wieczoru Henry wrócił do domu wcześniej niż zwykle i Anne nie mogła się nadziwić dlaczego. Wkrótce się dowiedziała.

– Podobno byłaś dziś na lunchu z Alanem Lloydem? – zagadnął, wchodząc do pokoju.

– Kto ci powiedział?

– Mam wszędzie swoich szpiegów – odparł ze śmiechem.

– Tak, Alan zaprosił mnie na lunch. Chciał się dowiedzieć, co sądzę o pomyśle ulokowania w twoim towarzystwie pięciuset tysięcy dolarów z majątku Williama.

– I co mu powiedziałaś? – spytał Henry, starając się ukryć zaniepokojenie.

– Że wpierw chciałabym pomówić z tobą na ten temat. Ale Henry, na litość boską, dlaczego mi o tym nie wspomniałeś przed zwróceniem się do banku? Czułam się idiotycznie, słysząc po raz pierwszy o całej sprawie od Alana.

– Nie przypuszczałem, że mogą cię obchodzić interesy, moja droga, a tylko przypadkowo usłyszałem, że ty, Alan Lloyd i Milly Preston jesteście powiernikami i macie coś do powiedzenia w sprawie odsetek od kapitału Williama.

– Jak się o tym dowiedziałeś, skoro ja sama nie orientowałam się w sytuacji? – spytała Anne.

– Trzeba uważnie czytać dokumenty, kochanie. Prawdę mówiąc, ja też do niedawna nie miałem o tym pojęcia. Przypadkiem Milly Preston wspomniała mi o ustaleniach aktu powierniczego i o tym, że jako matka chrzestna Williama jest jednym z powierników jego majątku. Przyznam, że byłem zaskoczony. Zastanówmy się, czy nie moglibyśmy wykorzystać tej okoliczności. Milly mówi, że udzieli mi poparcia, jeśli ty się zgodzisz.

Na sam dźwięk imienia przyjaciółki Anne poczuła się nieswojo.

– Sądzę, że nie należy sięgać po pieniądze Williama – powiedziała. – Nigdy nie uważałam, że mam do nich jakiekolwiek prawo. Doprawdy wolałabym się nie wtrącać i pozostawić bankowi sprawę lokowania odsetek, tak jak było dotychczas.

– Dlaczego zadowalać się programem banku, skoro kroi mi się taka gratka, jak kontrakt na budowę szpitala miejskiego? William mógłby zarobić kupę pieniędzy, lokując w mojej firmie. Z pewnością Alan jest takiego samego zdania.

– Nie jestem tego pewna. Jak zwykle był powściągliwy, aczkolwiek przyznał, że ten kontrakt to doskonała okazja i że masz duże szansę, aby go otrzymać.

– No właśnie.

– Jednakże przed podjęciem ostatecznej decyzji koniecznie chciałby mieć wgląd w twoje księgi handlowe, poza tym ciekawi go, co się stało z moimi pięciuset tysiącami dolarów.

– Nasze pięćset tysięcy, kochanie, rośnie jak na drożdżach, o czym sama wkrótce się przekonasz. Jutro rano dostarczę Alanowi księgi, żeby je sobie skontrolował. Zapewniam cię, że będzie olśniony.

– Liczę na to, Henry, przez wzgląd na nas oboje – westchnęła Anne. – Poczekajmy i przekonajmy się, co powie; przecież wiesz, jak

bardzo zawsze ufałam Alanowi.

– Ale nie mnie – rzucił Henry.

– Och, nie, Henry, nie zamierzałam…

– Chciałem się tylko podroczyć. Nie wątpię, że ufasz własnemu mężowi.

Anne poczuła łzy wzbierające pod powiekami. Przy Richardzie zawsze potrafiła je opanować, przy Henrym nawet nie próbowała.

– Mam nadzieję, że na to zasługujesz. Nigdy dotychczas nie musiałam martwić się o pieniądze i trudno jest mi sobie z tym wszystkim teraz poradzić. Przez tę ciążę cały czas czuję się przybita i słaba.

Henry natychmiast stał się niezmiernie troskliwy.

– Wiem, kochanie – powiedział. – Nie chcę, żebyś sobie zaprzątała głowę interesami, ja sam doskonale sobie poradzę. Wiesz co, może byś się dzisiaj wcześniej położyła, a ja bym ci przyniósł kolację do łóżka? Wpadłbym potem jeszcze do biura i przygotował dokumenty, które trzeba będzie jutro rano pokazać Alanowi.

Anne postąpiła, jak, radził Henry, ale nie próbowała zasnąć, mimo że była bardzo zmęczona. Usiadła w łóżku i sięgnęła po książkę Sinclaira Lewisa. Wiedziała, że Henry powinien dotrzeć do biura w ciągu piętnastu minut, odczekała więc dwadzieścia i wybrała jego numer. Przez całą minutę trzymała słuchawkę przy uchu, wsłuchując się w długi sygnał telefonu.

Spróbowała znowu po dwudziestu minutach, ale nadal nikt nie odbierał telefonu. Wydzwaniała regularnie co dwadzieścia minut, jednak bezskutecznie. Z goryczą przypomniała sobie słowa Henry’ego o zaufaniu.

Kiedy po północy Henry wreszcie wrócił do domu, zmieszał się na widok Anne siedzącej w łóżku. Nadal czytała Sinclaira Lewisa.

– Nie powinnaś była na mnie czekać.

Gorąco ją ucałował. Anne wydało się, że czuje zapach perfum… czy też robi się przesadnie podejrzliwa?

– Musiałem zostać dłużej, bo nie mogłem od razu znaleźć tych wszystkich papierów, które Alan będzie chciał przejrzeć. Ta idiotka sekretarka włączyła niektóre do innych teczek.

– Chyba smutno tak siedzieć samemu w biurze w środku nocy – zauważyła Anne.

– O, wcale nie jest tak źle, kiedy ma się ręce pełne roboty – rzekł Henry, układając się w łóżku i przytulając do pleców Anne. – Ale przynajmniej jedno jest dobre: w nocy można zrobić o wiele więcej niż za dnia, kiedy co chwilę dzwoni telefon.

Zasnął natychmiast. Anne leżała z otwartymi oczami, zdecydowana przeprowadzić plan, jaki obmyśliła tego popołudnia.

Gdy rano Henry wyszedł po śniadaniu do pracy – co prawda Anne już nie była pewna, dokąd chadza jej mąż – przejrzała „Boston Globe” i zaczęła studiować drobne ogłoszenia. Następnie zatelefonowała i umówiła się na spotkanie. Tuż przed dwunastą znalazła się w południowej części Bostonu. Wstrząśnięta przypatrywała się obskurnym budynkom. Jeszcze nigdy nie była w tej części miasta i w normalnych okolicznościach przeżyłaby całe życie, nawet nie wiedząc o istnieniu takich miejsc.

Wąskie drewniane schody zarzucone były zapałkami, niedopałkami papierosów i papierami. Podążając tropem śmieci, dotarła do drzwi z matową szybą, na której widniały wielkie, czarne

litery: „Glen Ricardo” i pod spodem „Prywatny detektyw (zarejestrowany we Wspólnocie stanu Massachusetts)”. Anne cicho zapukała.

– Wejść, otwarte – huknął niski, głęboki głos.

Anne pchnęła drzwi. Mężczyzna siedzący za biurkiem z nogami na blacie podniósł głowę znad czegoś, co chyba było pisemkiem dla panów. Resztka cygara omal nie wypadła mu spomiędzy warg, kiedy ujrzał Anne. Po raz pierwszy do jego biura zawitało futro z norek.

– Dzień dobry – powiedział, wstając pospiesznie. – Nazywam się Glen Ricardo. – Przechylił się nad biurkiem i wyciągnął do Anne włochatą, poplamioną nikotyną dłoń. Ujęła ją, szczęśliwa, że włożyła rękawiczki. – Czy pani była umówiona? – zapytał Ricardo, chociaż i tak nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Dla osoby w futrze z norek zawsze miałby czas.

– Tak.

– Ach, więc to pani Osborne. Pozwoli pani, że pomogę zdjąć futro?

– Wolę w nim zostać – odparła Anne, nie widząc poza podłogą miejsca, gdzie Ricardo mógłby je umieścić.

– Ma się rozumieć.

Anne ukradkiem przyglądała się detektywowi, gdy siadał i zapalał nowe cygaro. Nie była zachwycona jego jasnozielonym garniturem, pstrokatym krawatem ani wypomadowanymi włosami. Nie zerwała się z krzesła i nie uciekła tylko dlatego, że wątpiła, by gdzie indziej było lepiej.

– Co panią do mnie sprowadza? – zagadnął Ricardo, który właśnie ostrzył szczątek ołówka tępym nożem. Drewniane strużyny

padały wszędzie dokoła, tylko nie do kosza na papiery. – Czy zgubiła pani psa, biżuterię czy męża?

– Przede wszystkim, panie Ricardo, chciałabym prosić o absolutną dyskrecję.

– Ma się rozumieć, ma się rozumieć, nie musi pani nawet o tym wspominać – mruknął Ricardo, nie odrywając oczu od niweczonego ołówka.

– Jednakże wspominam – podkreśliła Anne.

– Ma się rozumieć, ma się rozumieć.

Anne myślała, że jeśli ten człowiek jeszcze raz powie „ma się rozumieć", to ona zacznie krzyczeć. Zaczerpnęła tchu.

– Otrzymuję anonimy z donosami, że mój mąż romansuje z moją bliską przyjaciółką. Chcę się dowiedzieć, kto pisuje te listy i czy to oskarżenie ma coś wspólnego z prawdą.

Anne poczuła ogromną ulgę, pierwszy raz wypowiedziawszy głośno nurtujące ją obawy. Ricardo spojrzał na nią niewzruszony, jakby już nieraz słyszał takie słowa. Przeczesał palcami czarne, długie włosy, z którymi, jak zauważyła Anne, harmonizowały kolorystycznie jego paznokcie.

– W porządku – zaczął. – Męża rozpracujemy raz-dwa. Ustalenie autora anonimów będzie o wiele trudniejsze. Listy pani zachowała, ma się rozumieć?

– Tylko ostatni – odparła Anne.

Glen Ricardo westchnął i znudzonym ruchem wyciągnął rękę. Anne z ociąganiem wyjęła list z torebki i zawahała się przez moment.

– Wiem, co pani czuje, proszę pani, ale nic nie zdziałam ze związanymi rękoma.

– Ma się rozumieć, proszę pana. Przepraszam.

Anne wprost nie mogła uwierzyć, że powiedziała „ma się rozumieć”.

Ricardo parokrotnie przeczytał list, zanim się odezwał.

– Czy wszystkie pisano na maszynie na takim papierze i przysyłano w takich kopertach?

– Tak – rzekła Anne – wydaje mi się, że tak.

– Kiedy przyjdzie następny, proszę koniecznie…

– Jest pan pewien, że przyjdzie? – przerwała Anne.

– Ma się rozumieć. Więc proszę go zachować. A teraz niech mi pani opowie o swoim mężu. Czy ma pani jego fotografię?

– Tak. – Znów się zawahała.

– Chcę tylko przyjrzeć się twarzy. Lepiej by było nie tracić czasu na tropienie jakiegoś innego faceta, nieprawdaż?

Anne ponownie otworzyła torebkę i podała mu wygiętą na rogach fotografię Henry’ego w mundurze porucznika.

– Przystojny chłop, ten pan Osborne – zauważył detektyw. – Kiedy zrobiono to zdjęcie?

– Myślę, że około pięciu lat temu – odparła Anne. – Nie znałam go, kiedy był w wojsku.

Ricardo przez parę minut wypytywał Anne o codzienne zajęcia Henry’ego. Anne z zaskoczeniem uświadomiła sobie, jak niewiele wie o zwyczajach Henry’ego, o jego przeszłości.

– Nie bardzo jest się na czym oprzeć, proszę pani, ale zrobię, co się da! Jeśli chodzi o zapłatę, to liczę sobie dziesięć dolarów dziennie plus wydatki. Co tydzień będę sporządzał dla pani pisemny raport. Proszę o dwutygodniową zapłatę z góry – wyciągnął rękę, tym razem bardziej skwapliwie.

Anne kolejny raz otworzyła torebkę i wyjęła dwa szeleszczące, nowiutkie banknoty studolarowe, które podała Ricardowi. Przyjrzał się im dokładnie, jakby nie był pewien, którego słynnego Amerykanina wizerunek powinien na nich widnieć. Benjamin Franklin spoglądał z niewzruszonym spokojem na Ricarda, który najwyraźniej nie oglądał go już od dłuższego czasu. Ricardo wydał Anne sześćdziesiąt dolarów reszty brudnymi pięciodolarówkami.

– Jak widzę, pracuje pan także w niedzielę – odezwała się Anne, dumna, że tak sprawnie potrafi liczyć.

– Ma się rozumieć – powiedział. – Czy może mnie pani odwiedzić za tydzień o tej samej porze?

– Ma się rozumieć – powiedziało się Anne. Zerwała się i wyszła szybko, aby nie musieć podawać ręki człowiekowi za biurkiem.

Kiedy William przeczytał w kwartalnym sprawozdaniu bankowym, że Henry Osborne – Henry Osborne, powtórzył na głos, żeby się upewnić, iż nie śni – zażądał pięciuset tysięcy dolarów dla własnej firmy, miał zepsuty cały dzień. Pierwszy raz od czterech lat z klasówki z matematyki otrzymał drugą lokatę. Matthew Lester, który go pokonał, zapytał, czy aby nie jest chory.

Wieczorem William zadzwonił do Alana Lloyda do domu. Dyrektor banku Kane'a i Cabota nie był zbytnio zaskoczony jego telefonem, gdy usłyszał od Anne, iż stosunki między jej synem i Henrym układają się źle.

– William, drogi chłopcze, co u ciebie słychać i jak ci się wiedzie w szkole?

– U mnie wszystko w porządku, dziękuję, ale telefonuję nie w tej sprawie.

Takt szarżującego byka, pomyślał Alan.

– Tak też przypuszczałem – odezwał się sucho. – W czym więc mogę ci pomóc?

– Chciałbym się z panem zobaczyć jutro po południu.

– W niedzielę, Williamie?

– Tak, gdyż to jest jedyny dzień, kiedy mogę wyrwać się ze szkoły. Stawię się na spotkanie w takim miejscu i o takiej porze, jaka będzie panu odpowiadała. – William postarał się tak to wyrazić, jakby robił jakieś ustępstwo. – I w żadnym wypadku moja matka nie może się o tym dowiedzieć.

– Ależ... Williamie... – zaczął Alan.

Głos Williama zabrzmiał bardziej stanowczo.

– Nie muszę panu przypominać, że ulokowanie moich pieniędzy w prywatnym przedsięwzięciu mojego ojczyma nie byłoby co prawda niezgodne z prawem, ale bez wątpienia nieetyczne.

Alan Lloyd milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy nie spróbować ułagodzić chłopca. Chłopca! Pomyślał też, czyby go nie skarcić, ale odpowiedni moment już minął.

– Dobrze, Williamie. Co byś powiedział na skromny lunch w Klubie Myśliwskim, powiedzmy o pierwszej?

– Będzie mi bardzo miło. Zatem do zobaczenia, proszę pana. – Telefon brzęknął.

Dobrze przynajmniej, że konfrontacja odbędzie się na moim gruncie, pocieszył się Alan Lloyd i odwiesił słuchawkę, klnąc Bella i jego piekielną machinę.

Alan wybrał klub, gdyż nie chciał nadawać spotkaniu zbyt osobistego charakteru. Zaraz po przyjściu William zapytał, czy mogliby zagrać partię golfa po lunchu.

– Z rozkoszą, mój chłopcze – odparł Alan i zarezerwował pierwszy tor na trzecią.

Był zaskoczony, gdy podczas lunchu William ani słowem nie wspomniał o propozycji Henry'ego Osborne'a. Za to mówił ze znawstwem o stanowisku prezydenta Hardinga wobec reformy taryfowej i o nieudolności Charlesa G. Dawesa, prezydenckiego doradcy do spraw skarbu. Alan zaczął podejrzewać, że może William zdążył od wczoraj ochłonąć i postanowił nie poruszać sprawy pożyczki Osborne'a, ale nie ma ochoty się przyznać, iż zmienił zdanie. Cóż, pomyślał, jeśli chłopak zamierza w ten sposób to rozegrać, nie mam nic przeciwko temu. Cieszył się perspektywą spokojnego popołudnia i grą w golfa. Po zjedzeniu lunchu i opróżnieniu więcej niż połowy butelki wina – William ograniczył się tylko do jednego kieliszka – przebrali się w klubie i powędrowali do pierwszego miejsca startowego.

– Czy nadal daje pan dziewięć forów na starcie? – zagadnął William.

– Coś koło tego, mój chłopcze. Dlaczego pytasz?

– Czy dziesięć dolarów za dołek odpowiada panu?

Alan Lloyd się zawahał, gdyż pamiętał, że golf był tą grą, w której William był dobry.

– Niech będzie – zgodził się.

Zrazu milczeli. Alan trafił do pierwszego dołka po czterech uderzeniach. William musiał uderzyć pięć razy. Alan łatwo też wygrał na drugim i na trzecim torze i trochę się rozluźnił, dosyć zadowolony z gry. Gdy zbliżyli się do czwartego dołka, od budynku klubu dzieliło ich ponad pół mili. William czekał, aż Alan podniesie kij.

– Pod żadnym pozorem nie pożyczy pan pięciuset tysięcy dolarów z moich pieniędzy żadnej firmie ani osobie związanej z Henrym Osborne'em – wypalił.

Alanowi nie wyszło uderzenie i piłka poszybowała w krzaki. Jedyną z tego korzyścią było to, że znalazł się daleko od Williama, który miał serię dobrych uderzeń, i dzięki temu zyskał kilka minut na zastanowienie, jak się uporać i z nim, i z piłką. Alan Lloyd uderzył piłkę jeszcze trzy razy, aż w końcu spotkali się na łączce. Na tym dołku bankier się poddał.

– Williamie, dobrze wiesz, że jako jednemu z trojga powierników przysługuje mi tylko jeden głos, musisz też zdawać sobie sprawę, iż nie jesteś uprawniony do decydowania o majątku, gdyż do czasu ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia nie możesz samodzielnie nim zarządzać. Zapewne wiesz również, że nie powinniśmy w ogóle podejmować tego tematu.

– Zdaję sobie w pełni sprawę z sytuacji prawnej, proszę pana, ponieważ jednak obie powierniczki sypiają z Henrym Osborne'em…

Alan Lloyd osłupiał.

– Proszę mi nie mówić, że jest pan jedynym człowiekiem w Bostonie, który nie wie o romansie Milly Preston z moim ojczymem.

Alan Lloyd się nie odzywał.

– Chcę mieć pewność – ciągnął William – że mogę liczyć na pański głos i że zrobi pan wszystko, co w pańskiej mocy, aby nastawić moją matkę negatywnie do tej pożyczki, nawet gdyby trzeba było posunąć się do ostateczności i powiedzieć jej prawdę o Milly Preston.

Przy następnym rzucie Alan wybił piłkę jeszcze gorzej. William posłał piłkę dokładnie środkiem toru. Alan z kolei walnął w krzak, o którego istnieniu do tej pory nawet nie wiedział, i pierwszy raz w

swoim czterdziestotrzyletnim życiu głośno zaklął. I tym razem dostał cięgi od Williama.

– Tego już za wiele – powiedział, dołączając do Williama stojącego na piątej łączce.

– To jeszcze nic, proszę pana, w porównaniu z tym, co mogę zrobić, jeśli nie będę pewny pańskiego poparcia.

– Nie sądzę, aby twój ojciec pochwalał takie pogróżki, Williamie – odpowiedział Alan, przyglądając się, jak piłka uderzona przez chłopca z odległości czternastu stóp wpada do dołka.

– Mój ojciec nie pochwalałby jedynie Henry'ego Osborne'a – odciął się William.

Alan Lloyd musiał wykonać dwa uderzenia, żeby trafić do dołka oddalonego zaledwie o cztery stopy.

– W każdym razie – podjął chłopak – z pewnością pan wie, iż mój ojciec umieścił w akcie powierniczym klauzulę stanowiącą, że wszelkie lokaty pieniędzy z majątku rodzinnego są sprawą prywatną, a obdarowany nigdy nie może się dowiedzieć, iż rodzina Kane'ów miała z tym cokolwiek wspólnego. Tej zasady nigdy w swoim życiu nie złamał. Dzięki temu zawsze mógł być pewien, iż nie dojdzie do konfliktu interesów w polityce finansowej banku i rodziny.

– Ale twoja matka najwidoczniej uważa, że zasadę tę można pominąć w przypadku członka rodziny.

– Henry Osborne nie jest bynajmniej członkiem mojej rodziny, a kiedy ja przejmę zarząd nad majątkiem, w żadnym wypadku, wzorem ojca, nie naruszę tej zasady.

– Możesz pożałować kiedyś swojej nieustępliwości, Williamie.

– Nie sądzę, proszę pana.

– Spróbuj przez chwilę pomyśleć o tym, jak to się może odbić na twojej matce – dodał Alan.

– Moja matka straciła już swoje pięćset tysięcy dolarów, proszę pana. Czy to nie dosyć jak na jednego męża? Dlaczego ja mam jeszcze zaprzepaścić moje pięćset?

– Nie wiadomo, czy je zaprzepaścisz, Williamie. Przecież lokata może się okazać bardzo korzystna; nie miałem na razie okazji dokładnie zapoznać się z księgami Henry'ego.

William drgnął usłyszawszy, że Alan Lloyd nazwał jego ojczyma Henrym.

– Mogę pana zapewnić, że Osborne roztrwonił prawie wszystkie pieniądze mojej matki. Ściśle mówiąc, zostało mu raptem trzydzieści trzy tysiące czterysta dwanaście dolarów. Sugerowałbym, aby pan nie zważał specjalnie na księgi handlowe Osborne'a, a raczej zbadał jego przeszłość, wcześniejsze interesy oraz powiązania. Pomijając już fakt, że uprawia hazard, i to na dużą skalę.

Z ósmego miejsca startowego Alan trafił piłką prosto do jeziora, które znajdowało się tuż przed nimi i które udawało się omijać nawet początkującym graczom. Uznał swoją przegraną.

– Skąd zaczerpnąłeś te informacje o Henrym? – spytał, głęboko przekonany, że za pośrednictwem Thomasa Cohena.

– Wolałbym tego nie mówić.

Alan zachował swój domysł dla siebie; pomyślał, że może wyciągnie ten atut z rękawa w jakiejś przyszłej rozgrywce z młodym Kane'em.

– Jeśli twoje zarzuty okażą się słuszne, Williamie, będę oczywiście musiał odradzić twojej matce wszelkie lokaty w firmie Henry'ego, będę też musiał otwarcie porozmawiać z Henrym.

– Zgoda.

Alan uderzył lepiej, ale czuł, że przegrywa.

– Może także zainteresuje pana wiadomość – podjął William – że pięćset tysięcy dolarów potrzebne jest Osborne'owi nie po to, żeby zdobyć kontrakt, ale na zwrot starego długu w Chicago. Zapewne pan o tym nie wiedział?

Alan milczał; naturalnie, że nie miał zielonego pojęcia. William wygrał na tym torze.

Kiedy doszli do osiemnastego, Alan miał za sobą osiem przegranych i zbliżał się do końca najbardziej chyba nieudanej w życiu partii golfa. Szykował się właśnie do trafienia w dołek z odległości pięciu stóp, dzięki czemu dorównałby Williamowi chociaż na ostatnim torze.

– Czy masz jeszcze w zanadrzu jakąś bombę? – spytał.

– Odpalić przed pańskim strzałem czy po?

Alan się roześmiał i postanowił zmusić Williama do odkrycia kart.

– Przed, Williamie – powiedział, oparłszy się o kij.

– Osborne nie dostanie tego kontraktu. Ci, którzy mają decydujący głos, są przekonani, że przekupuje on niższych urzędników w zarządzie miejskim. Nie zostanie to ujawnione, ale żeby uniknąć przykrych następstw, skreślono jego firmę z ostatecznej listy. Kontrakt otrzymają Kirkbride i Carter. Ta ostatnia wiadomość jest poufna. Nawet oni nie będą wiedzieli przed następnym czwartkiem, byłbym więc zobowiązany, gdyby pan zachował tę informację dla siebie.

Alan spudłował, William trafił. Podszedł do prezesa i mocno uścisnął mu dłoń.

– Dziękuję za grę. Zdaje się, że jest mi pan winien dziewięćdziesiąt dolarów.

Alan wyjął portfel i podał mu banknot studolarowy.

– Williamie, myślę, że powinieneś przestać zwracać się do mnie per pan. Jak wiesz, mam na imię Alan.

– Dziękuję, Alanie – William wydał mu dziesięć dolarów.

Kiedy Alan Lloyd przybył do banku w poniedziałek rano, miał trochę więcej do roboty, niż przewidywał w piątek. Przede wszystkim polecił kierownikom pięciu wydziałów, aby natychmiast przystąpili do sprawdzenia zasadności zarzutów Williama. Podejrzewał, że wyniki sondaży nie będą pomyślne, toteż ze względu na pozycję Anne w banku postarał się, aby żaden z wydziałów nie wiedział o poczynaniach pozostałych. Każdemu kierownikowi wydał wyraźne instrukcje: wszystkie raporty mają być ściśle poufne i tylko do jego wglądu. Do środy tegoż tygodnia miał już na biurku pięć wstępnych raportów. Wszystkie zdawały się zgodnie potwierdzać opinie Williama, aczkolwiek każdy z kierowników prosił o więcej czasu na sprawdzenie niektórych szczegółów. Alan postanowił nie niepokoić Anne, dopóki nie zgromadzi konkretniejszych dowodów. Sądził, że najlepiej będzie, jeśli skorzysta ze sposobności i pójdzie na przyjęcie wydawane tego wieczoru przez Osborne'ów, a w odpowiedniej chwili poradzi Anne, żeby na razie wstrzymała się z decyzją w sprawie pożyczki.

Kiedy znalazł się na miejscu, doznał wstrząsu na widok Anne, wymizerowanej i znużonej, postanowił więc obejść się z nią jeszcze łagodniej, niż zamierzał. Kiedy udało mu się zostać z nią w końcu sam na sam, mieli dla siebie tylko kilka chwil. Gdybyż jeszcze nie

spodziewała się dziecka akurat teraz, kiedy rozgrywa się to wszystko, pomyślał.

Anne odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

– Jak to miło, Alanie, że przyszedłeś, mimo że musisz być bardzo zajęty w banku.

– Nie mógłbym opuścić przyjęcia u ciebie, moja droga. Nadal są one wydarzeniem towarzyskim Bostonu.

Anne się uśmiechnęła.

– Ciekawa jestem, czy zdarza ci się kiedy powiedzieć coś niestosownego.

– Nawet za często, Anne. Czy zdążyłaś się zastanowić nad pożyczką? – Starał się powiedzieć to niedbale.

– Niestety, nie. Miałam zupełnie co innego na głowie, Alanie. A jak przedstawiają się księgi Henry'ego?

– W porządku, ale ponieważ zawierają zapisy tylko z jednego roku, powinny zostać skontrolowane przez naszych księgowych. Taka jest normalna procedura bankowa wobec firm, które działają krócej niż trzy lata. Jestem pewien, że Henry zrozumie nasze stanowisko i wyrazi zgodę.

– Anne, kochanie, co za udane przyjęcie – zabrzmiał tubalny głos za plecami Alana. Nie znał tej twarzy; pewno to jeden z tych polityków zaprzyjaźnionych z Henrym. – Jakże się miewa przyszła mamuśka? – pytał wylewnie intruz.

Alan wymknął się. Miał nadzieję, że zyskał dla banku trochę czasu. W przyjęciu uczestniczyło wielu polityków, tych z Ratusza, a nawet dostrzegł dwóch z Kongresu, co nasunęło mu wątpliwości, czy jednak William nie myli się w kwestii lukratywnego kontraktu. Naturalnie nie było potrzeby zasięgania języka, gdyż w następnym

tygodniu Ratusz ogłosi oficjalnie oświadczenie w tej sprawie. Pożegnał się z panem i panią domu, wziął z garderoby swój czarny płaszcz i wyszedł.

– O tej porze za tydzień – powiedział na głos, jakby chciał się sam upewnić, i powędrował z powrotem Chestnut Street do domu.

Podczas przyjęcia Anne starała się znaleźć czas, aby obserwować Henry'ego, ilekroć zbliżał się do Milly Preston. Nie dostrzegła żadnych wyraźnych oznak świadczących, że cokolwiek ich łączy; właściwie Henry więcej czasu poświęcał Johnowi Prestonowi. Anne zaczęła się zastanawiać, czy nie osądza mylnie męża i czy nie powinna odwołać jutrzejszej wizyty u Ricarda. Przyjęcie skończyło się dwie godziny później, niż przewidywała, miała więc nadzieję, że goście dobrze się bawili.

– Bombowe przyjęcie, Anne. Dziękujemy za zaproszenie. – Znów ten tubalny głos mężczyzny, który wychodził ostatni. Anne nie pamiętała jego nazwiska, ale chyba to był ktoś z Ratusza. Jego postać rozpłynęła się w mroku nocy.

Anne, słaniając się, poszła na górę i zaczęła rozpinać suknię, nim jeszcze dobrnęła do sypialni. Postanowiła nie urządzać już żadnych przyjęć podczas najbliższych dziesięciu tygodni, jakie dzieliły ją od rozwiązania.

Henry już się rozebrał.

– Miałaś okazję pomówić z Alanem, kochanie? – zagadnął.

– Tak – odparła Anne. – Stwierdził, że księgi są w porządku, musi jednak zlecić ich kontrolę własnym księgowym, gdyż towarzystwo może wykazać się rachunkami tylko z jednego roku. Jest to normalna procedura bankowa.

– Bzdura. Czy nie widzisz, że to robota Williama? Usiłuje wstrzymać pożyczkę, Anne.

– Jak możesz tak mówić? Alan nie wspomniał o Williamie.

– Doprawdy? – spytał Henry podniesionym głosem. – Nie raczył cię poinformować, że William był z nim w klubie golfowym na lunchu w niedzielę, kiedy my siedzieliśmy sami w domu?

– Co? – zdumiała się Anne. – Nie wierzę. William na pewno by się ze mną zobaczył, gdyby przyjechał do Bostonu. Musisz się mylić, Henry.

– Moja droga, widziała ich połowa miasta, a nie sądzę, żeby William przejechał pięćdziesiąt mil tylko po to, aby pograć w golfa z Alanem Lloydem. Słuchaj, Anne. Muszę dostać tę pożyczkę, bo inaczej zostanę skreślony z listy ubiegających się o kontrakt. W przyszłości, i to bliskiej, będziesz się musiała zdecydować, czy wierzyć Williamowi czy mnie. Muszę mieć te pieniądze od jutra za tydzień, najpóźniej za osiem dni, gdyż jeżeli nie wykażę się w Ratuszu kwotą tej wysokości, zostanę wykluczony z przetargu. Dlatego, że Williamowi się nie podoba, iż mnie poślubiłaś. Proszę, zadzwoń jutro do Alana i poleć mu, aby przekazał mi pieniądze.

Jego gniewny głos huczał w głowie Anne, przyprawiając ją niemal o omdlenie.

– Nie, jutro nie, Henry. Czy nie możesz poczekać z tym do piątku? Jutro mam ciężki dzień.

Henry z trudem się opanował i podszedł do Anne, która, stojąc nago, przyglądała się sobie w lustrze. Powiódł ręką po jej wypukłym brzuchu.

– Chciałbym, aby ten maleńki człowieczek miał takie same szanse jak William.

Następnego dnia Anne powtórzyła sobie sto razy, że nie pojedzie spotkać się z Ricardem, ale przed dwunastą jak automat wyszła z domu i złapała taksówkę. Wchodziła po skrzypiących, drewnianych schodach, obawiając się tego, czego się może dowiedzieć. Zawahała się, ale zapukała cicho do drzwi.

– Proszę wejść. Otworzyła drzwi.

– A, pani Osborne, miło mi panią znowu zobaczyć. Zechce pani spocząć.

Anne usiadła i oboje spojrzeli na siebie.

– Wiadomości, niestety, nie są dobre – odezwał się Glen Ricardo i przeciągnął ręką po ciemnych, długich włosach.

Anne zamarła. Zrobiło się jej niedobrze.

– Pana Osborne'a nie widziano ani z panią Preston, ani z żadną inną kobietą przez ostatnie siedem dni.

– Ale przecież pan powiedział, że wiadomości są niedobre – wykrztusiła Anne.

– Pani Osborne, zakładam, ma się rozumieć, że szuka pani podstaw do rozwodu. Zagniewane żony nie odwiedzają mnie na ogół po to, żebym dowiódł niewinności ich mężów.

– Ależ, proszę pana – powiedziała Anne, której kamień spadł z serca. – To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałam od wielu tygodni.

– No cóż – bąknął Ricardo trochę zbity z tropu – miejmy zatem nadzieję, że w przyszłym tygodniu nic złego nie wyjdzie na jaw.

– Och, już teraz może pan przerwać obserwację. Jestem pewna, że nie odkryje pan nic istotnego.

– Moim zdaniem byłoby to nierozsądne, proszę pani. Wydawanie ostatecznej opinii jedynie na podstawie tygodniowej obserwacji jest, oględnie mówiąc, przedwczesne.

– Dobrze więc, skoro pan uważa, że to się na coś zda, proszę kontynuować, chociaż ja nadal uważam, że nic pan nie wykryje w przyszłym tygodniu.

– Tak czy owak – ciągnął Ricardo, wydmuchując dym z cygara, które wydało się Anne większe i przyjemniej pachnące niż tamto sprzed tygodnia – już mi pani zapłaciła za dwa tygodnie.

– A co z listami? – przypomniała sobie nagle Anne. – Na pewno wysyła je ktoś zazdrosny o sukcesy mego męża.

– Jak mówiłem pani ostatnio, nigdy nie jest łatwo wytropić nadawcę anonimów. Udało się nam jednak odnaleźć sklep, gdzie zakupiono tę rzadko spotykaną papeterię, ale w tej chwili nie mam więcej meldunków z tego frontu. Jednak do przyszłego tygodnia może trafię na jakiś trop. Czy w ciągu ostatnich dni przyszło coś nowego?

– Nie, nic nie dostałam.

– Doskonale, zatem wszystko układa się jak najlepiej. Miejmy nadzieję, przez wzgląd na panią, że nasze następne spotkanie będzie już ostatnie.

– Tak – powiedziała radośnie Anne. – Miejmy nadzieję. Czy mogłabym zwrócić panu poniesione koszty w przyszły czwartek?

– Ma się rozumieć, ma się rozumieć.

Anne zdążyła już prawie zapomnieć to wyrażonko, ale tym razem ją ono rozbawiło. W drodze do domu postanowiła, że Henry musi mieć tę pożyczkę oraz szansę wykazania, że William i Alan się mylą. Nie mogła nadal pogodzić się z tym, że William był w Bostonie i jej nie powiadomił; może Henry miał rację, sugerując, że William knuje za ich plecami.

Henry nie posiadał się z radości, gdy wieczorem Anne oznajmiła mu swoją decyzję i następnego ranka dał jej stosowne dokumenty do podpisu. Anne nie mogła odpędzić myśli, że zapewne miał je w pogotowiu już od dłuższego czasu, zwłaszcza że widniał na nich podpis Milly Preston. A może znowu jest przesadnie podejrzliwa? Postanowiła przestać się przejmować i szybko złożyła swój podpis.

Kiedy Alan Lloyd zatelefonował w poniedziałek rano, była przygotowana na tę rozmowę.

– Anne, pozwól mi przynajmniej poczekać do czwartku. Dowiemy się wówczas, komu przyznano kontrakt.

– Nie, z tą decyzją nie można zwlekać. Henry teraz potrzebuje tych pieniędzy. Musi wykazać się w Ratuszu, że będzie miał środki na realizację kontraktu, a ponieważ dwoje powierników wyraziło zgodę, możesz się czuć zwolniony z odpowiedzialności.

– Bank zawsze może udzielić gwarancji finansowych Henry'emu bez przekazywania pieniędzy. Jestem przekonany, że w Ratuszu uznają to za wystarczające. W każdym razie nie miałem dość czasu na przeprowadzenie kontroli ksiąg Henry'ego.

– Ale miałeś go ubiegłej niedzieli na spotkanie z Williamem, o czym mnie nie powiadomiłeś.

Głos w słuchawce odezwał się dopiero po chwili.

– Anne, ja...

– Nie mów mi, że nie miałeś okazji. Byłeś u nas w środę na przyjęciu i wówczas mogłeś mi o tym bez przeszkód powiedzieć. Nie uczyniłeś tego, natomiast starczyło ci czasu, żeby nakłonić mnie do opóźnienia decyzji w sprawie pożyczki dla Henry'ego.

– Wybacz mi, Anne. Rozumiem, jak to może wyglądać z twojej strony i dlaczego jesteś wytrącona z równowagi, ale rzeczywiście był powód, wierz mi. Czy mogę wpaść i wszystko ci wytłumaczyć?

– Nie, Alanie, nie możesz. Wszyscy razem knujecie przeciwko mojemu mężowi. Nikt nie chce mu dać szansy sprawdzenia się. Wobec tego ja mu dam tę szansę.

Anne zakończyła rozmowę zadowolona z siebie, z poczuciem, że wykazała taką lojalność w stosunku do Henry'ego, iż w pełni zrekompensowała mu wszelkie poprzednie podejrzenia.

Alan Lloyd ponownie zatelefonował, ale Anne poleciła pokojówce mówić, że wyszła na cały dzień z domu. Gdy Henry wrócił wieczorem, był zadowolony, słysząc, jak Anne rozprawiła się z Alanem.

– Wszystko ułoży się jak najlepiej, zobaczysz, najdroższa. W czwartek rano będę miał kontrakt w kieszeni i wtedy ułagodzisz Alana, ale do czwartku lepiej go unikaj. Wiesz, jeśli masz ochotę, moglibyśmy dla uczczenia okazji zjeść w czwartek lunch u Ritza i pomachać Alanowi z drugiej strony sali.

Anne uśmiechnęła się i zgodziła. Niemiło ukłuło ją przypomnienie, że właśnie tego dnia o dwunastej po raz ostatni ma się spotkać z Ricardem. Ale przecież i tak zdąży na pierwszą do Ritza i w ten sposób będzie święcić dwa triumfy naraz.

Alan wielekroć próbował dodzwonić się do Anne, jednak pokojówka ciągle miała na podorędziu jakąś wymówkę. Ponieważ dokument nosił podpisy dwu osób sprawujących powiernictwo, nie mógł dłużej niż dwadzieścia cztery godziny wstrzymywać wypłaty. Dokument był sformułowany z precyzją aktów prawnych sporządzanych przez Richarda Kane'a i nie zawierał żadnych luk, które można by wykorzystać. Kiedy czek na pięćset tysięcy dolarów

został wysłany z banku we wtorek po południu przez specjalnego posłańca, Alan usiadł i napisał długi list do Williama. Opisał w nim splot wydarzeń, które doprowadziły ostatecznie do wypłaty pieniędzy, pomijając tylko niepotwierdzone informacje z dostarczonych mu raportów. Kopię listu wysłał do każdego z członków rady nadzorczej banku, świadom, że mimo iż jego zachowanie było w najwyższym stopniu poprawne, wystawił się na zarzut przemilczenia prawdy.

List Alana Lloyda przyszedł do Gimnazjum św. Pawła w czwartek rano, kiedy William i Matthew właśnie jedli śniadanie.

W czwartek na śniadanie w Beacon Hill jak zwykle podano jajka na bekonie, gorące grzanki, płatki owsiane na zimno i dzbanek z dymiącą kawą. Henry był zarazem napięty i beztroski, sarkał na służącą i żartował z urzędnikiem z rady miejskiej, kiedy ten zadzwonił z wiadomością, że około dziesiątej zostanie podana na tablicy ogłoszeń Ratusza nazwa towarzystwa, któremu przyznano kontrakt na budowę szpitala. Anne nie mogła się doczekać ostatniego spotkania z Ricardem. Przerzucała „Vogue'a" starając się nie widzieć, jak Henry'emu drżą ręce, w których ściskał „Boston Globe".

– Co zamierzasz robić dziś rano? – spytał Henry, byleby coś powiedzieć.

– Och, nie planuję nic szczególnego przed naszym uroczystym lunchem. Powiedz, czy wybudujesz dziecięce skrzydło szpitalne przez pamięć na Richarda? – zagadnęła.

– Nie Richarda, kochanie. Ponieważ będzie to moje własne dzieło, poświęcę je tobie i nazwę „Szpital Dziecięcy imienia Henrykowej Osborne" – wyrecytował podniosłym tonem.

– Doskonały pomysł. – Anne odłożyła pismo i uśmiechnęła się do niego. – Tylko nie pozwól mi pić za dużo szampana podczas lunchu, gdyż dzisiaj po południu mam wizytę u doktora MacKenziego i chyba byłby zgorszony, gdybym przyszła pijana na dziewięć tygodni przed rozwiązaniem. Kiedy będziesz wiedział na pewno, że masz ten kontrakt?

– Już wiem – odparł Henry. – Urzędnik, z którym właśnie rozmawiałem, nie miał cienia wątpliwości, ale oficjalnie wiadomość zostanie ogłoszona o dziesiątej.

– Pierwsza rzecz, jaką musisz zaraz potem zrobić, to zatelefonować do Alana i obwieścić mu dobrą nowinę. Coraz bardziej żałuję, że w taki sposób go potraktowałam w zeszłym tygodniu.

– Nie masz żadnego powodu do wyrzutów sumienia; on nie zadał sobie trudu, żeby cię poinformować o postępowaniu Williama.

– To prawda, ale usiłował mi to później wyjaśnić, a ja nie dałam mu szansy przedstawienia sprawy z jego strony.

– No dobrze, dobrze, zrobię, co chcesz. Jeśli to cię uszczęśliwi, zadzwonię do niego pięć po dziesiątej, a potem będziesz mogła powiedzieć Williamowi, że dzięki mnie ma milion więcej.

Spojrzał na zegarek.

– Na mnie czas. Życz mi szczęścia.

– Szczęścia? Myślałam, że to stuprocentowo pewne.

– Jasne. Tak się tylko mówi. Do zobaczenia u Ritza o pierwszej. – Pocałował ją w czoło. – Dziś wieczorem będziesz się mogła śmiać z Alana, Williama, kontraktów i zapomnieć o wszystkich kłopotach, wierz mi.

– Oby tak było, Henry.

Przed Alanem Lloydem stało nietknięte śniadanie. Czytał dział finansowy gazety „Boston Globe”; na prawej szpalcie zamieszczona była notatka, że dziś o dziesiątej rano Ratusz ogłosi, komu przyznano kontrakt wartości pięciu milionów dolarów na budowę szpitala.

Alan Lloyd zdecydował już, co zrobi, jeśli Henry nie uzyska kontraktu, a wszystko, co mówił William, okaże się prawdą. Postąpi dokładnie tak, jak postąpiłby Richard w takim położeniu, i będzie działał, kierując się wyłącznie najlepiej pojętym interesem banku. Najnowsze doniesienia wydziałów banku na temat osobistej sytuacji finansowej Henry’ego ogromnie zaniepokoiły Alana Lloyda. Osborne rzeczywiście uprawiał hazard na dużą skalę i pięćset tysięcy dolarów z majątku Williama przekazanych firmie Henry’ego wsiąkło bez śladu. Alan Lloyd wysączył sok pomarańczowy, nie tknął reszty śniadania, przeprosił swoją gosposię i udał się piechotą do banku. Był przyjemny dzień.

– Williamie, zagrałbyś po południu w tenisa?

Matthew Lester stał nad Williamem, który drugi raz czytał list od Alana Lloyda.

– Co mówiłeś?

– Ogłuchłeś, a może w młodym wieku tknął cię uwiąd starczy? Czy chcesz, żebym po południu starł cię w proch na korcie tenisowym?

– Nie, nie będzie mnie tu po południu, Matthew. Mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Jasne, stary, całkiem wyleciało mi z głowy, że wyruszasz znowu w tajemniczą podróż do Białego Domu. Wiem, że prezydent Harding rozgląda się za nowym doradcą do spraw skarbu, a ty idealnie się

nadajesz na miejsce tego nadętego głupka Charlesa G. Dawesa. Powiedz, że się zgodzisz, pod warunkiem że poproszą mnie, abym został następnym ministrem sprawiedliwości.

William nadal milczał.

– Wiem, że żart był kiepski, ale chyba zasługiwał na ripostę – powiedział Matthew, siadając koło Williama i uważnie przyglądając się przyjacielowi. – To te jaja, co? Smakowały, jakby przeszły rosyjski obóz jeniecki.

– Matthew, musisz mi pomóc – odezwał się William, chowając list Alana z powrotem do koperty.

– Dostałeś list od mojej siostry, która myśli, że chwilowo zastąpisz jej Rudolfa Valentino?

– Przestań się wygłupiać, Matthew – powiedział William, wstając. – Gdyby obrabowano bank twojego ojca, czy siedziałbyś z założonymi rękami i robił sobie z tego żarciki?

Niewątpliwie William miał poważny wyraz twarzy. Matthew zmienił ton.

– Na pewno nie – powiedział.

– No właśnie. Chodźmy stąd, wszystko ci opowiem.

Anne wyszła z domu tuż po dziesiątej, gdyż chciała zrobić drobne zakupy przed ostatnią wizytą u Ricarda. Kiedy oddalała się Chestnut Street, zadzwonił telefon. Pokojówka podniosła słuchawkę, wyjrzała przez okno i uznała, że jej pani jest za daleko, aby ją dogonić. Gdyby Anne odebrała telefon, dowiedziałaby się, jaka decyzja zapadła w sprawie kontraktu, ale ona właśnie kupowała jedwabne pończochy i dobierała perfumy. W biurze detektywa pojawiła się parę minut po

dwunastej, zaprzątnięta myślą, czy jej nowe perfumy przytłumią zapach jego cygara.

– Mam nadzieję, że zbytnio się nie spóźniłam – powiedziała żywo.

– Proszę usiąść, pani Osborne. – Ricardo nie miał wesołej miny, ale Anne pomyślała, że on nigdy nie wygląda wesoło. Potem zauważyła, że nie pali swojego nieodłącznego cygara.

Glen Ricardo otworzył szykowną brązową teczkę, jedyny nowy nabytek, jaki Anne dostrzegła w jego biurze, i wydobył jakieś papiery.

– Zaczniemy od anonimowych listów, dobrze?

Anne nie podobał się ton jego głosu ani słowo „zaczniemy".

– Dobrze – wydobyła z siebie.

– Ich nadawczynią jest niejaka Ruby Flowers.

– Kto? Dlaczego? – zapytała nagląco Anne, chociaż wolałaby nie słyszeć odpowiedzi.

– Podejrzewam, że między innymi dlatego, iż osoba ta właśnie pozwała do sądu pani męża.

– Cóż, to tłumaczy całą zagadkę – powiedziała Anne. – Na pewno chce się zemścić. Do jakiej sumy rości sobie pretensje?

– Jej nie chodzi o zwrot długu, proszę pani.

– O cóż więc jej chodzi?

Glen Ricardo wstał, ciężko się opierając, jakby potrzebował całej siły ramion, aby podźwignąć znużone ciało. Podszedł do okna i spojrzał na ruchliwy bostoński port.

– Ona oskarża pana Osborne'a o złamanie przyrzeczenia małżeństwa, proszę pani.

– Och, nie – rzekła Anne.

– Wydaje się, że byli zaręczeni i mieli się pobrać w tym czasie, gdy pan Osborne poznał panią, i wówczas to narzeczeństwo zostało nagle zerwane bez żadnego wyraźnego powodu.

– To jakaś naciągaczka, musiało jej zależeć na pieniądzach Henry'ego.

– Nie, nie sądzę. Widzi pani, to zamożna osoba. Nie dorównuje pani bogactwem, ale pieniędzy jej nie brak. Jej nieżyjący mąż był właścicielem rozlewni wód gazowanych i zabezpieczył ją finansowo.

– Jej zmarły mąż… a ile ona ma lat?

Detektyw wrócił do biurka i przerzucił jedną czy dwie kartki w swojej teczce, po czym zaczął wodzić palcem po następnej.

Czarny paznokieć się zatrzymał.

– Niedługo skończy pięćdziesiąt trzy.

– O Boże – westchnęła. – Biedna kobieta. Musi mnie nienawidzić.

– Zapewne, ale ta konkluzja w niczym nam nie pomoże. Teraz muszę przejść do innych postępków pani męża.

Zżółkłym od nikotyny palcem przerzucił kilka kartek.

Anne zaczęło się robić niedobrze. Czemu tu przyszła, dlaczego nie skończyła z tym w zeszłym tygodniu? Nie musiała tego wiedzieć. Nie chciała wiedzieć. Dlaczego nie wstaje i nie odchodzi? Jak bardzo by chciała, aby był z nią Richard. On by wiedział, co należy zrobić w takiej sytuacji. Nie mogła się ruszyć, porażona słowami Ricarda i lękiem, co zawiera jego nowa teczka.

– W ubiegłym tygodniu pan Osborne dwukrotnie spędził ponad trzy godziny sam na sam z panią Preston.

– Ale to niczego nie dowodzi – zaczęła z desperacją Anne. – Wiem, że omawiali bardzo ważny dokument finansowy.

– W małym hoteliku przy La Salle Street.

Anne nie przerywała więcej detektywowi.

– Za każdym razem widziano ich, jak wchodzili do hotelu, trzymając się za ręce, szepcząc i śmiejąc się. Oczywiście nie jest to ostateczny dowód, mamy jednak ich fotografie, na których widać, jak wchodzą do hotelu i wychodzą.

– Proszę je zniszczyć – powiedziała cicho Anne.

Glen Ricardo ze zdziwienia zamrugał oczami.

– Jak pani sobie życzy. Obawiam się jednak, że to nie wszystko. Z naszych ustaleń wynika, że pan Osborne nie studiował nigdy w Harvardzie ani nie był oficerem armii amerykańskiej. Owszem, był w Harvardzie człowiek o nazwisku Henry Osborne, miał metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, rudoblond włosy i pochodził z Alabamy. Poległ nad Maine w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Dowiedzieliśmy się także, że pani mąż jest znacznie młodszy, niż utrzymuje, i że naprawdę nazywa się Vittorio Togna oraz że służył...

– Nie chcę tego więcej słuchać – powiedziała Anne. Łzy płynęły jej po policzkach. – Nie chcę tego słuchać.

– Ma się rozumieć, pani Osborne. Wiem, co pani czuje. Przykro mi, że te wiadomości są tak przygnębiające, ale w mojej pracy czasami...

Anne z trudem się opanowała.

– Dziękuję panu. Cenię sobie pańskie starania. Ile jestem panu dłużna?

– Zapłaciła pani już za dwa tygodnie z góry, moje koszty zaś wyniosły siedemdziesiąt trzy dolary.

Anne podała mu banknot studolarowy i podniosła się z krzesła.

– Proszę nie zapomnieć wziąć reszty, pani Osborne.

Potrząsnęła głową i obojętnie machnęła ręką.

– Czy dobrze się pani czuje? Jest pani trochę blada. Może podać pani szklankę wody albo…

– Czuję się doskonale – skłamała Anne.

– Jeśli pani pozwoli, odwiozę panią do domu.

– Nie, dziękuję panu, panie Ricardo. Dojadę sama bez trudu. – Obróciła się do niego i uśmiechnęła. – Miło, że pan to zaproponował.

Glen Ricardo zamknął cicho drzwi za swoją klientką, podszedł wolno do okna, odgryzł koniuszek ostatniego wielkiego cygara, wypluł go i przeklął swoją pracę.

Anne przystanęła u szczytu schodów i złapała się się kurczowo poręczy, bliska zemdlenia. Dziecko się w niej poruszyło, przyprawiając ją o mdłości. Znalazła taksówkę przy następnej przecznicy; skuliła się na tylnym siedzeniu, niezdolna opanować szlochu ani zastanowić się, co robić dalej. Wysiadła przed domem i poszła wprost do sypialni, aby nikt ze służby nie zauważył, że płacze. Kiedy otwierała drzwi, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę odruchowo, nie z ciekawości kto dzwoni.

– Czy mógłbym mówić z panią Kane?

Od razu rozpoznała Alana po jego harwardzkiej wymowie.

Miał znużony, przygnębiony głos.

– Witaj, Alanie. Tu Anne.

– Anne, drogie dziecko, bardzo mnie zmartwiły dzisiejsze poranne wiadomości.

– Skąd o tym wiesz, Alanie, jak się mogłeś dowiedzieć? Kto ci powiedział?

– Zadzwonili do mnie dziś po dziesiątej z Ratusza i podali mi szczegóły. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale pokojówka mi powiedziała, że wyszłaś już do sklepu.

– O mój Boże – powiedziała Anne. – Zupełnie zapomniałam o kontrakcie. – Ciężko usiadła, z trudem łapiąc oddech.

– Anne, czy ty się dobrze czujesz?

– Tak, całkiem dobrze – odparła, usiłując bezskutecznie stłumić szloch. – Jakie wiadomości przekazano ci z Ratusza?

– Kontrakt na budowę szpitala został przyznany firmie o nazwie Kirkbride i Carter. Henry nie uplasował się na żadnym z pierwszych trzech miejsc. Próbowałem go złapać całe przedpołudnie, ale zdaje się, że wyszedł z biura zaraz po dziesiątej i jeszcze nie wrócił.

Pewno ty też nie wiesz, gdzie on może być?

– Nie mam pojęcia.

– Czy chcesz, żebym do ciebie wpadł, moja droga? – spytał. – Mógłbym być za parę minut.

– Nie, dziękuję, Alanie. – Anne przerwała, by spazmatycznie zaczerpnąć powietrza. – Proszę, wybacz mi, że tak ostatnio cię potraktowałam. Gdyby Richard żył, nigdy by mi tego nie darował.

– Nie bądź niemądra, Anne. Nasza przyjaźń przetrwała zbyt wiele lat, aby mogło ją zmącić takie głupstwo.

Łagodność jego głosu wyzwoliła nowy spazm płaczu u Anne.

Wstała, zataczając się.

– Muszę iść, Alanie. Słyszę kogoś u frontowych drzwi, może to Henry.

– Uważaj na siebie, Anne, i nie martw się dzisiejszym dniem. Dopóki mam tu coś do powiedzenia, możesz liczyć na pomoc

banku. Gdybyś mnie potrzebowała, nie zwlekaj i dzwoń.

Anne odłożyła słuchawkę. W uszach czuła narastający szum. Oddychanie stało się męką. Osunęła się na podłogę i w tym momencie obezwładnił ją dawno zapomniany, gwałtowny skurcz.

Po paru chwilach do drzwi delikatnie zapukała pokojówka. Zajrzała do środka; za nią stał William. Nie przestąpił progu sypialni matki od dnia jej ślubu z Osborne'em. Oboje podbiegli do Anne. Miotała się w konwulsjach, była nieświadoma ich obecności. Kropelki piany pokrywały jej górną wargę. Po kilku sekundach atak minął i leżała, cicho jęcząc.

– Mamo – powiedział nagląco William. – Co ci jest?

Anne otworzyła oczy i błędnie spojrzała na syna.

– Richard. Dzięki Bogu, że przyszedłeś. Potrzebuję cię.

– To ja, William, mamo.

Jej spojrzenie przygasło.

– Nie mam już sił, Richardzie. Muszę zapłacić za moje błędy. Wybacz…

Jej głos przerodził się w zduszony jęk i zaczął się następny atak.

– Co się dzieje? – spytał bezradnie William.

– Myślę, że zaczął się poród – odparła pokojówka – chociaż spodziewano się go dopiero za kilka tygodni.

– Natychmiast połącz się z doktorem MacKenziem – rzucił William, biegnąc do drzwi. – Matthew! – zawołał. – Chodź tutaj, prędko.

Matthew wbiegł susami po schodach i znalazł się przy Williamie.

– Pomóż mi znieść matkę do samochodu.

Matthew przyklęknął. Chłopcy dźwignęli Anne, ostrożnie znieśli ją na dół i ułożyli w samochodzie. Dyszała i jęczała, musiała bardzo cierpieć. William pobiegł z powrotem do domu i wyrwał słuchawkę pokojówce, tymczasem Matthew czekał w samochodzie.

– Doktor MacKenzie?

– Tak, kto mówi?

– Nazywam się William Kane, pan mnie nie zna, panie doktorze.

– Nie znam, młody człowieku? To ja pomogłem ci przyjść na świat. A co tym razem mogę dla ciebie zrobić?

– Moja matka chyba zaczęła rodzić. Zaraz przywiozę ją do szpitala. Będę tam za kilka minut.

– Dobrze, Williamie. – Ton doktora się zmienił. – Nie martw się. Będę na was czekał i jak tylko przyjedziecie, szybko sobie z tym poradzimy.

– Dziękuję panu. – William się zawahał. – Ona ma chyba jakiś atak. Czy to normalne?

Słowa Williama przejęły doktora chłodem. Teraz on z kolei się zawahał.

– Nie, niezupełnie. Ale poczuje się lepiej, gdy tylko urodzi. Przywieź ją jak najprędzej.

William odłożył słuchawkę, wybiegł z domu i wskoczył do rolls-royce'a. Jechał zrywami, cały czas na pierwszym biegu i ani razu się nie zatrzymał, póki nie stanął przed szpitalem. Chłopcy nieśli Anne, a pielęgniarka prowadziła ich na oddział położniczy. Doktor MacKenzie czekał u wejścia do sali operacyjnej. Zajął się Anne, im natomiast polecił zostać na zewnątrz.

Chłopcy siedzieli w milczeniu na ławeczce i czekali. Z sali porodowej dobiegały przerażające krzyki i jęki, niepodobne do

żadnych dźwięków, jakie kiedykolwiek w życiu słyszeli, po nich zaś nastąpiła jeszcze bardziej przerażająca cisza. Pierwszy raz w życiu William czuł się całkiem bezradny. Siedzieli tak obaj przez ponad godzinę, bez jednego słowa. W końcu wyszedł do nich ledwo żywy doktor MacKenzie. Obaj chłopcy wstali i lekarz spojrzał na Lestera.

– William? – zapytał.

– Nie, ja się nazywam Matthew Lester, a to jest William.

Doktor zwrócił się do Williama i położył mu rękę na ramieniu.

– Williamie, niestety, twoja matka umarła parę minut temu… a dziecko, dziewczynka, urodziło się nieżywe. – Nogi ugięły się pod Williamem i opadł na ławkę. – Tak mi przykro. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by obie uratować, ale bez rezultatu. – Potrząsnął ze znużeniem głową. – Nie posłuchała mnie, uparła się, żeby urodzić. Nie należało do tego dopuścić.

William siedział w milczeniu, ogłuszony słowami doktora.

– Jak mogła umrzeć? Jak mógł pan jej na to pozwolić? – wyszeptał.

Doktor usiadł między chłopcami na ławce.

– Nie słuchała mnie – powtórzył wolno. – Wiele razy ją przestrzegałem, po tym jak poroniła, że nie wolno jej mieć więcej dzieci, kiedy jednak wyszła drugi raz za mąż, oboje nie zważali na moje rady. W czasie poprzedniej ciąży miała wysokie ciśnienie. Obawiałem się tego i teraz, ale chociaż wzrosło, nie osiągało niebezpiecznego poziomu. Jednak dzisiaj, gdy ją przywiozłeś, ciśnienie bez żadnego wyraźnego powodu skoczyło do wysokości, przy której następuje rzucawka.

– Rzucawka?

– Drgawki. Czasami pacjentki są w stanie przeżyć kilka ataków. Czasem po prostu przestają oddychać.

William spazmatycznie wciągnął powietrze i objął głowę rękoma. Matthew Lester delikatnie poprowadził przyjaciela korytarzem. Doktor szedł za nimi. Kiedy zbliżyli się do drzwi, spojrzał w oczy Williamowi.

– Jej ciśnienie skoczyło tak nagle. To niespotykane. Poza tym nie walczyła, wręcz jakby jej nie zależało. Dziwne. Czy może coś ją ostatnio dręczyło?

William podniósł zapłakaną twarz.

– Nie coś. Ktoś – powiedział z nienawiścią.

Kiedy chłopcy wrócili do Czerwonego Domu, zastali Alana Lloyda, który czekał w salonie. Na ich widok wstał.

– Williamie – szybko powiedział. – Biorę na siebie winę za udzielenie pożyczki.

William spojrzał na niego nierozumiejącym wzrokiem.

Matthew Lester przerwał milczenie.

– Myślę, że to już nieważne, proszę pana – powiedział cicho. – Matka Williama zmarła właśnie przy porodzie.

Alan Lloyd zszarzał, uchwycił się gzymsu kominka i odwrócił się. Obaj chłopcy pierwszy raz w życiu widzieli, jak dorosły mężczyzna płacze.

– To moja wina – wyrzucił z siebie bankier. – Nigdy sobie nie wybaczę, że nie powiedziałem jej wszystkiego, co wiedziałem. Tak bardzo ją kochałem, że chciałem oszczędzić jej zmartwień.

Rozpacz Alana pomogła Williamowi się opanować.

– To na pewno nie twoja wina, Alanie – powiedział stanowczo. – Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, wiem o tym, a teraz to ja będę potrzebował twojej pomocy.

Alan Lloyd wziął się w garść.

– Czy Osborne został powiadomiony o śmierci twojej matki?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

– Przez cały dzień usiłowałem skontaktować się z nim w sprawie pożyczki. Wyszedł z biura rano tuż po dziesiątej i nikt go od tamtej pory nie widział.

– Wcześniej czy później tu się pojawi – cierpko rzekł William.

Po wyjściu Alana Lloyda William i Matthew przesiedzieli sami w salonie prawie całą noc, to zapadając w drzemkę, to się budząc. Nad ranem, kiedy stojący zegar uderzył cztery razy, Williamowi wydało się, że słyszy jakiś szmer na ulicy. Matthew wyglądał przez okno na podjazd. William podszedł do niego na zesztywniałych nogach. Obaj przyglądali się, jak Henry Osborne chwiejnym krokiem przemierza Louisburg Square z częściowo opróżnioną butelką w ręku. Przez dłuższą chwilę szukał kluczy, w końcu pojawił się w drzwiach i na widok chłopców zaskoczony zamrugał oczami.

– Chcę widzieć Anne, nie ciebie. Dlaczego nie jesteś w szkole? Nie chcę cię tutaj – wybełkotał chrapliwie i próbował odepchnąć Williama. – Gdzie jest Anne?

– Moja matka nie żyje – powiedział cicho William.

Henry Osborne wpatrywał się w niego tępo przez parę sekund. Niezrozumienie w jego wzroku wytrąciło Williama z równowagi.

– Gdzie byłeś, kiedy potrzebowała pomocy męża? – krzyknął.

Osborne nadal stał, lekko się chwiejąc.

– Co z dzieckiem?

– Urodziło się martwe. Dziewczynka.

Henry Osborne osunął się na krzesło. Po twarzy pociekły mu pijackie łzy.

– Straciła moje maleństwo.

William na moment zaniemówił z wściekłości i rozpaczy.

– Twoje maleństwo? Choć raz przestań myśleć tylko o sobie! – krzyknął. – Dobrze wiesz, że doktor MacKenzie odradzał jej ciążę.

– Widzicie go, jaki ekspert, na tym też się zna. Gdybyś nie wścibiał między nas swojego zasmarkanego nosa, potrafiłbym sam zająć się moją żoną jak należy.

– I jej pieniędzmi, zdaje się.

– Pieniądze. Ty sknerowaty, mały draniu, założyłbym się, że to ich strata najbardziej cię boli.

– Wstawaj – wycedził William przez zęby.

Henry Osborne podniósł się gwałtownie i rozbił butelkę o kant krzesła. Whisky rozprysnęła się po dywanie. Chwiejnie natarł na Williama z podniesioną ręką. William nie cofnął się ani o krok, ale Matthew z łatwością odebrał pijanemu butelkę.

William odsunął przyjaciela i podszedł do Osborne'a tak blisko, że ich twarze niemal się stykały.

– Teraz posłuchaj, tylko uważnie. Masz się wynieść z tego domu w ciągu godziny. Jeśli pokażesz mi się jeszcze kiedyś w życiu na oczy, doprowadzę do wszczęcia szczegółowego śledztwa co do losu pół miliona dolarów, które moja matka ulokowała w twojej firmie, i na nowo zainteresuję się tym, kim naprawdę jesteś, i twoją przeszłością w Chicago. Jeśli zaś więcej o tobie nie usłyszę, uznam nasze rachunki za wyrównane i sprawę za zamkniętą. A teraz odejdź, bo cię zabiję.

Obaj chłopcy przyglądali się, jak wychodził, rozbity, szlochając z wściekłości i bełkocząc pod nosem.

Następnego dnia William wybrał się do banku. Natychmiast zaprowadzono go do gabinetu dyrektora. Alan Lloyd wkładał papiery do teczki. Uniósł głowę i bez słowa podał Williamowi jakąś kartkę. Był to krótki list do wszystkich członków rady nadzorczej, zawiadamiający o jego rezygnacji ze stanowiska.

– Czy mógłbyś poprosić tutaj swoją sekretarkę? – cicho spytał William.

– Jak sobie życzysz.

Alan Lloyd nacisnął guzik z boku biurka i do pokoju weszła kobieta w średnim wieku, ubrana ze staroświecką elegancją.

– Dzień dobry panu, panie Kane – powiedziała na widok Williama. – Wstrząsnęła mną wiadomość o śmierci pańskiej matki.

– Dziękuję pani – rzekł chłopak. – Czy ktoś jeszcze widział ten list?

– Nie – odparła sekretarka. – Właśnie miałam go przepisać w dwunastu egzemplarzach i dać do podpisu panu Lloydowi.

– Więc proszę nie przepisywać i zapomnieć, że ten brudnopis kiedykolwiek istniał. Rozumie pani?

Kobieta spojrzała w intensywnie niebieskie oczy szesnastolatka. Zupełnie jak u ojca, pomyślała.

– Tak, proszę pana – rzekła i wyszła, zamykając cicho drzwi. Alan Lloyd podniósł głowę.

– Bank Kane'a i Cabota nie potrzebuje w tej chwili nowego dyrektora, Alanie. Nie uczyniłeś nic, czego by nie zrobił mój ojciec w takich okolicznościach.

– To nie takie proste – westchnął Alan.

– Właśnie że tak – powiedział William. – Możemy o tym pomówić znowu, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, ale nie wcześniej. Będę ci zobowiązany, jeśli do tego czasu pokierujesz moim bankiem na swój dyplomatyczny, rozważny sposób. Pragnę, aby nic z tego, co się wydarzyło, nie przedostało się poza ten gabinet. Zniszcz wszystkie informacje, jakie masz o Osbornie, i uważaj tę sprawę za zamkniętą.

William podarł list zawiadamiający o rezygnacji Alana Lloyda i spalił w kominku. Objął Alana ramieniem.

– Nie mam teraz nikogo, Alanie, tylko ciebie. Na Boga, nie opuszczaj mnie.

Szofer odwiózł Williama do Beacon Hill. Przy wejściu kamerdyner zawiadomił go, że panie Kane i Cabot oczekują w salonie. Obie wstały, gdy William wszedł do pokoju. Wówczas pierwszy raz uświadomił sobie, że został głową rodziny Kane'ów.

Dwa dni później odbył się cichy pogrzeb przy kościele Old North w Beacon Hill. Uczestniczyła w nim tylko rodzina i bliscy przyjaciele; rzucała się w oczy jedynie nieobecność Henry'ego Osborne'a. Na odchodnym żałobnicy składali wyrazy współczucia Williamowi. Babki stały za nim o krok z tyłu, niczym wartownicy, bacznie obserwując i pochwalając opanowanie i godność, z jaką się zachowywał. Kiedy wszyscy poszli, William odprowadził Alana Lloyda do samochodu.

Dyrektorowi banku zrobiło się ciepło na sercu, gdy William wyjawił mu swoją prośbę.

– Jak wiesz, Alanie, moja matka zawsze pragnęła ofiarować nowemu szpitalowi pawilon dziecięcy dla uczczenia pamięci ojca. Chciałbym, aby jej życzenie zostało spełnione.

11

Władek przebywał osiemnaście miesięcy w polskim poselstwie w Konstantynopolu, pomagając ile sił Pawłowi Zaleskiemu, stając się jego prawą ręką i bliskim przyjacielem. Nic nie było dla niego zbyt uciążliwe, i już wkrótce Zaleski nie mógł sobie wyobrazić, jak przedtem sobie bez niego radził. Władek co tydzień chodził do ambasady brytyjskiej na obiad, który jadł w kuchni z panią Henderson, szkocką kucharką, a raz nawet z samym drugim konsulem Jego Królewskiej Mości, monarchy Wielkiej Brytanii.

Wokół nich kruszyły się dawne islamskie obyczaje, a imperium osmańskie zaczynało się chwiać w posadach. Nazwisko Mustafy Kemala było na ustach wszystkich. Atmosfera wiszących w powietrzu zmian sprawiła, że Władek nie mógł sobie znaleźć miejsca. Bezustannie wracał myślą do barona i do wszystkich mieszkańców zamku, których kochał. W Rosji codzienna walka o przeżycie odsunęła te wspomnienia na drugi plan, ale tutaj, w Turcji, ustawicznie jawili mu się przed oczyma w powolnym, niemym korowodzie. Czasem widział ich w pełni sił i szczęśliwych; Leona pływającego w rzece, Florentynę bawiącą się w „pajączki” w jego sypialni, oblicze barona pełne dumy i siły w wieczornym blasku świec. Po chwili jednak każda z ukochanych, niezapomnianych twarzy zaczynała się rozpływać, choćby nie wiem jak starał się zatrzymać jej wizerunek przed oczyma, i przerażająco zmieniać w ostatni, potworny widok: Leona martwego, leżącego na nim, Florentyny krwawiącej w agonii, barona złamanego i na pół ślepego.

Powoli Władek zaczął sobie uświadamiać, że nie może powrócić do krainy zamieszkanej przez takie widma, dopóki wpierw nie zrobi czegoś sensownego z własnym życiem. Pochłonięty tą myślą postanowił wyjechać do Ameryki, jak kiedyś jego rodak Tadeusz Kościuszko, o którym baron snuł tyle porywających opowieści. Stany Zjednoczone Paweł Zaleski zwał Nowym Światem. Już to określenie obiecywało nadzieję na przyszłość i szansę triumfalnego powrotu do Polski. To właśnie Paweł Zaleski opłacił Władkowi przejazd statkiem do Stanów Zjednoczonych. O bilety było trudno, gdyż wykupywano je co najmniej na rok z góry. Wyglądało na to, jakby cała wschodnia Europa próbowała wyemigrować i rozpocząć nowe życie w Nowym Świecie.

Wiosną 1921 roku Władek Koskiewicz ostatecznie pożegnał się z Konstantynopolem i wszedł na pokład parowca *Czarna strzała* odpływającego ku Ellis Island u wrót Nowego Jorku. Miał ze sobą jeden kuferek zawierający cały jego dobytek oraz komplet dokumentów wystawionych przez Pawła Zaleskiego.

Polski konsul odprowadził go na nabrzeże i serdecznie uściskał na pożegnanie.

– Jedź z Bogiem – powiedział.

Zwyczajowa odpowiedź sama napłynęła z głębi wczesnego dzieciństwa.

– Zostań z Bogiem – odrzekł Władek.

Kiedy Władek stanął u szczytu trapu, wspomniał swoją koszmarną podróż z Odessy do Konstantynopola. Tym razem nie widać było węgla, tylko ludzi, mrowie ludzi; Polaków, Litwinów, Estończyków, Ukraińców i przedstawicieli innych narodowości, z którymi Władek jeszcze nigdy się nie zetknął. Trzymał kurczowo swój

kuferek i stał w kolejce; było to pierwsze z serii długich oczekiwań, które później miały mu się przede wszystkim kojarzyć z wyjazdem do Stanów Zjednoczonych.

Oficer pokładowy, który najwyraźniej podejrzewał, że Władek próbuje uniknąć służby wojskowej w Turcji, poddał jego papiery drobiazgowej kontroli, jednak dokumenty wystawione przez Zaleskiego były bez zarzutu. Władek błogosławił go w duchu, widząc, jak innych zawracano.

Z kolei trzeba było się zaszczepić i przejść dość pobieżne badanie lekarskie, które byłoby nieprzekraczalną barierą dla Władka, gdyby nie to, że przez osiemnaście miesięcy w Konstantynopolu dobrze się odżywiał i odzyskał zdrowie. Na koniec, po wszystkich kontrolach, mógł wreszcie zejść pod pokład do pomieszczeń dla pasażerów z najtańszymi biletami. Oddzielnie ulokowano mężczyzn, kobiety i pary małżeńskie. Władek skierował się pospiesznie do części przeznaczonej dla mężczyzn i znalazł tam polską grupę, która zajęła ustawione w wielkim czworoboku metalowe boksy, mające po dwie piętrowe prycze. Na każdej pryczy znajdował się płaski siennik i cienki koc, ale brakowało poduszki. To akurat nie przeszkadzało Władkowi, który od czasu ucieczki z Rosji nie potrafił zasnąć z głową na poduszce.

Władek wybrał sobie miejsce na dole, poniżej chłopca mniej więcej w jego wieku, po czym mu się przedstawił.

– Władek Koskiewicz.

– Jerzy Nowak z Warszawy – ochoczo odparł chłopak po polsku. – Jadę do Ameryki dorobić się majątku. – Wyciągnął rękę na powitanie.

Władek z Jurkiem skracali sobie czas oczekiwania na odpłynięcie statku, opowiadając jeden drugiemu o swoich losach, obaj szczęśliwi, że w swoim osamotnieniu znaleźli bratnią duszę, obaj ukrywający swoją zupełną nieznajomość Ameryki. Okazało się, że Jurek stracił rodziców podczas wojny, ale poza tym nie miał o sobie do powiedzenia nic godnego uwagi. Słuchał jak urzeczony historii życia Władka: syn barona, wychowywany w wieśniaczej chacie, więziony przez Niemców i Rosjan, szczęściarz, któremu udało się zbiec z Syberii, a potem umknąć spod katowskiego miecza w Turcji tylko dzięki ciężkiej, srebrnej bransolecie, od której Jurek nie mógł wprost oderwać oczu. Piętnastoletni Władek miał za sobą więcej przeżyć, niż Jurek mógł ich mieć aż do późnej starości. Władek przez całą noc opowiadał, a Jurek słuchał go z przejęciem; żadnemu z nich nie chciało się spać i żaden nie chciał pokazać po sobie, że lęka się przyszłości.

Rankiem *Czarna strzała* wypłynęła w morze. Chłopcy stali przy relingu i patrzyli na Konstantynopol rozpływający się w błękicie Bosforu. Ze spokojnego morza Marmara wpłynęli na burzliwe Morze Egejskie. W dwóch łazienkach dla podróżnych najniższej klasy, z których każda wyposażona była w dziesięć umywalek, sześć ubikacji i kurki z zimną słoną wodą, dosłownie się przelewało. Po kilku dniach fetor stał się nie do zniesienia.

Posiłki spożywano w dużej, obskurnej jadalni przy długich stołach; podawano ciepłą zupę, ziemniaki, ryby, gotowaną wołowinę i kapustę, razowy ciemny chleb. Wprawdzie Władek jadał już gorzej, zanim uciekł z Rosji, jednak był zadowolony, że wziął na drogę kiełbasę, orzechy i trochę koniaku. Raczyli się tym z Jurkiem,

przycupnięci w kącie swego boksu. Rozumieli się bez słów. Wspólnie jedli, razem myszkowali po statku, a nocą sypiali jeden nad drugim.

Trzeciego dnia rejsu Jerzy podczas kolacji przyprowadził do stołu młodą Polkę. Mimochodem wspomniał Władkowi, że ma na imię Zosia. Władek, który nigdy w życiu nie przyglądał się dłużej żadnej kobiecie, od Zosi nie mógł oderwać oczu. Przywodziła mu na pamięć Florentynę. Miała żywe, szare oczy, długie, jasne włosy opadające na ramiona i łagodny głos. Władek chętnie by ją pogłaskał. Dziewczyna chwilami uśmiechała się do Władka, który był świadom, jak nieatrakcyjnie wygląda przy przystojnym Jurku. Kiedy Jurek odprowadzał Zosię do kwater kobiecych, Władek poczłapał za nimi.

– Czy nie możesz znaleźć sobie jakiejś dziewczyny? Ta jest moja – upomniał go potem trochę zirytowany Jurek.

Władkowi głupio było się przyznać, że nie ma pojęcia, jak się to robi.

– Będzie dość czasu na dziewczyny, kiedy się znajdziemy w Ameryce – powiedział pogardliwie.

– Po co czekać aż do Ameryki? Ja zamierzam tu przygadać sobie tyle dziewczyn, ile się da.

– Jak się do tego zabierzesz? – zapytał Władek, który postanowił jak najwięcej się dowiedzieć, nie zdradzając przy tym własnej ignorancji.

– Czeka nas jeszcze dwanaście dni na tej krypie, więc muszę mieć dwanaście kobiet – powiedział chełpliwie Jurek.

– Co będziesz robił z dwunastoma babami? – zdziwił się Władek.

– Jak to co? Dymał je.

Władek był wyraźnie zmieszany.

– Dobry Boże – jęknął Jurek. – Nie mów mi, że ktoś, kto przeżył niewolę niemiecką i nawiał Rosjanom, kto zabił człowieka, mając dwanaście lat i cudem umknął zgrai dzikich Turków, że taki ktoś nie miał jeszcze kobiety! – Wybuchnął głośnym śmiechem, co wywołało wielojęzyczne protesty sąsiadów. – Najwyższy czas – ciągnął szeptem – poszerzyć twoją edukację. Wreszcie jest coś, czego ja ciebie mogę nauczyć. – Wychylił się z pryczy, mimo że w ciemności i tak nie mógł zobaczyć twarzy Władka. – Zosia to morowa dziewczyna. Założę się, że da się namówić, żeby cię trochę podszkolić. Pogadam z nią.

Władek się nie odezwał.

Nie mówiono o tym więcej, ale następnego dnia Zosia zaczęła zajmować się Władkiem. Siadała obok niego przy posiłkach i godzinami rozmawiali o swoich przeżyciach i nadziejach na przyszłość. Dziewczyna była sierotą, pochodziła z Poznania, a jechała do kuzynostwa do Chicago. Władek zwierzył jej się, że zamierza zostać w Nowym Jorku i że prawdopodobnie zamieszka z Jurkiem.

– Chciałabym, żeby Nowy Jork był niedaleko Chicago – westchnęła Zosia.

– Mogłabyś często mnie odwiedzać, kiedy zostanę burmistrzem – powiedział, nadymając się, Jurek.

– Na kilometr poznać, że jesteś Polakiem – prychnęła lekceważąco. – Nie umiesz nawet mówić po angielsku tak ładnie jak Władek.

– Nauczę się – powiedział Jurek pewnym siebie tonem – a na początek zmienię sobie imię i nazwisko. Od dziś będę się nazywał George Novak. To załatwi sprawę. Wszyscy w Stanach Zjednoczonych będą mnie brali za Amerykanina. Gorzej z tobą, Władku. Na co można zmienić Władka Koskiewicza?

Na dźwięk swego nazwiska Władek spojrzał na świeżo upieczonego George'a z ledwie tajoną odrazą. Nie mając możności przyjęcia tytułu, do którego czuł się uprawniony, nienawidził nazwiska Koskiewicz, gdyż stale przypominało mu o jego nieprawym pochodzeniu.

– Poradzę sobie – powiedział. – Pomogę ci nawet w angielskim, jak chcesz.

– A ja ci pomogę znaleźć dziewczynę.

– Nie musisz się trudzić – zachichotała Zosia. – Już sobie znalazł.

Jerzy, a raczej George, jak żądał, aby się do niego zwracali, co wieczór po kolacji wymykał się z inną dziewczyną do którejś z okrytych brezentem łodzi ratunkowych. Władka bardzo ciekawiło, co też on tam robi, mimo że niektóre wybranki przyjaciela były nie tylko niechlujne, jak zresztą wszystkie, ale i po kąpieli okazałyby się szpetne.

Pewnego wieczoru po kolacji, kiedy George jak zwykle się ulotnił, Władek z Zosią usiedli na pokładzie, ona objęła go i poprosiła, żeby ją pocałował. Sztywno przycisnął usta do jej warg, aż ich zęby się zetknęły; to, czego po nim oczekiwano, było mu przerażająco nieznane. Ku zaskoczeniu i zmieszaniu Władka, dziewczyna rozchyliła mu wargi językiem. Po chwili niepewności jej otwarte usta wydały się Władkowi nadzwyczaj ekscytujące, ale wpadł w popłoch, gdy poczuł sztywnienie członka. Próbował się odsunąć, speszony, ale ona, jak się zdawało, wcale nie miała mu tego za złe. Przeciwnie, zaczęła rytmicznie, delikatnie przyciskać się do niego i ułożyła ręce Władka na swoich pośladkach. Zetknięcie nabrzmiałego członka z jej ciałem sprawiło mu nieopisaną przyjemność. Oderwała usta od jego warg i szepnęła mu do ucha:

– Czy chcesz, żebym się rozebrała, Władku?

Nie był w stanie odpowiedzieć.

Ze śmiechem odsunęła się od niego.

– To może jutro – powiedziała i odeszła.

Władek poszedł jak w transie chwiejnym krokiem do swojej kajuty, postanawiając, że jutro skończy to, co dziś zaczęła Zosia. Nie zdążył się jeszcze ułożyć na pryczy, pochłonięty myślami o czekającym go zadaniu, gdy jakieś wielkie łapsko złapało go za czuprynę i ściągnęło na podłogę. W jednej sekundzie opuściło go całe podniecenie. Wyrosły nad nim sylwetki dwóch mężczyzn, których nigdy do tej pory nie widział. Zaciągnęli go do najdalszego kąta i przydusili do ściany. Wielkie łapsko przygniotło mu usta, na gardle poczuł ostrze noża.

– Spróbuj pisnąć! – zagroził szeptem napastnik, naciskając nóż. – Chodzi nam tylko o srebrną bransoletę, którą masz na ręce.

Nagłe zrozumienie, że mogą mu ukraść jego skarb, przejęło Władka niemal taką samą grozą jak kiedyś możliwość utraty dłoni. Zanim zdążył pomyśleć o jakimś ratunku, jeden z mężczyzn zerwał mu z ręki bransoletę. Nie widział w ciemności ich twarzy i przeląkł się, że straci ją bezpowrotnie, kiedy znienacka ktoś skoczył z tyłu na napastnika z nożem. Władek wykorzystał szansę i zdzielił pięścią drugiego, który go przytrzymywał. Odgłosy bójki zerwały ze snu emigrantów, którzy zaczęli się gromadzić wokół walczących. Złodzieje rzucili się do ucieczki, ale George zdążył jeszcze jednego z nich ugodzić nożem.

– Niech cię szlag trafi! – zawołał po polsku Władek za oddalającym się napastnikiem.

– Zdaje mi się, że zdążyłem w samą porę – rzekł George. – Chyba prędko nie wrócą. – Spojrzał na bransoletę walającą się w stratowanych trocinach. – Jest wspaniała – powiedział z niemal nabożnym podziwem. – Zawsze znajdą się ludzie, którzy połaszczą się na coś takiego.

Władek podniósł bransoletę i z powrotem wsunął ją na przegub.

– No, niewiele brakowało, żebyś na dobre stracił ten swój klejnot – mruknął George. – Miałeś szczęście, że wróciłem dziś trochę później.

– A dlaczego wróciłeś później? – spytał Władek.

– Fama o mnie już się rozeszła – oświadczył pyszałkowato George. – Prawdę mówiąc, jakiś idiota wlazł dziś wieczór do mojej łodzi i zastałem go z już spuszczonymi portkami. Napędziłem mu stracha, bo powiedziałem, że miałbym jego dziewczynę tydzień wcześniej, gdybym nie podejrzewał jej o syfilis. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś w takim tempie się ubierał.

– A co ty robisz w tej łódce? – zainteresował się Władek.

– Dymam, ile wlezie, ty durniu. A coś ty sobie myślał? – George przewrócił się na drugi bok i zasnął.

Władek zapatrzył się w sufit, dotknął bransolety, pomyślał o tym, co powiedział George, i zaczął sobie wyobrażać, jak to będzie dymać Zosię.

Następnego dnia wpadli w sztorm i nie można było wychodzić na pokład. Fetor, spotęgowany parowym systemem ogrzewania, zdawał się przenikać Władka do szpiku kości.

– A co gorsze – burczał George – nie dociągnę teraz do okrągłej dwunastki.

Kiedy sztorm minął, prawie wszyscy pasażerowie wylegli na pokład. Władek i George przeciskali się zatłoczonymi przejściami i rozkoszowali świeżym powietrzem. Dużo dziewczyn uśmiechało się do George'a. Natomiast Władka żadna nawet nie zauważyła, przynajmniej tak mu się zdawało. A przecież powinien rzucać się w oczy w swojej szubie za pięćdziesiąt rubli. Ciemnowłosa dziewczyna z policzkami zaróżowionymi od wiatru przeszła obok George'a i uśmiechnęła się. George odwrócił się do Władka.

– Dziś wieczór będzie moja – powiedział.

Władek przyjrzał się dziewczynie i zaobserwował, w jaki sposób patrzyła na George'a.

– Dziś wieczór – powtórzył George, kiedy była blisko. Udała, że nie słyszy i odeszła trochę zbyt pospiesznie.

– Odwróć się, Władku, i zobacz, czy się obejrzała za siebie.

Władek zerknął przez ramię.

– Tak, rzeczywiście – powiedział zdziwiony.

– Dziś będzie moja – stwierdził George. – A ty miałeś już Zosię?

– Nie – odparł Władek. – Dziś wieczór.

– Pospiesz się. Już jej więcej nie zobaczysz, jak znajdziemy się w Nowym Jorku.

I rzeczywiście George zjawił się tego wieczoru na kolacji razem z ciemnowłosą dziewczyną. Bez słowa Władek i Zosia zostawili ich samych, objęci wpół wyszli na pokład i kilkakroć go okrążyli. Władek spoglądał z boku na jej ładniutki, młodzieńczy profil. Teraz albo nigdy, postanowił. Zaprowadził ją w mroczny kąt i zaczął ją całować tak, jak ona go całowała, rozchylonymi wargami. Odsunęła się trochę i oparła plecami o reling, Władek przesunął się z nią. Wolno pociągnęła jego ręce do swoich piersi. Dotknął ich płochliwie,

zdziwiony ich miękkością. Odpięła parę guziczków i wsunęła jego rękę pod bluzkę. Jej nagie ciało było rozkoszne w dotyku.

– Jezu, ale masz zimną rękę – odezwała się.

Władek przylgnął do niej; usta miał suche, ciężko oddychał. Lekko rozchyliła nogi, a on niezdarnie wparł się w nią przez kilka warstw ubrania. Poruszała się wraz z nim zgodnie przez parę chwil, a później go odepchnęła.

– Nie na pokładzie – powiedziała. – Chodź, poszukamy łodzi.

Pierwsze trzy, do których zajrzeli, były zajęte, ale w końcu znaleźli pustą i wsunęli się pod brezent. W gęstych ciemnościach Zosia poprawiła sobie coś przy ubraniu, w czym on nie umiał się połapać. Bardzo szybko doprowadziła Władka do podniecenia – ich ciała dzieliła już tylko cienka warstwa odzieży. Wcisnął się w ustępliwą miękkość między jej udami i był już na granicy orgazmu, kiedy Zosia znów odsunęła usta.

– Rozepnij spodnie – szepnęła.

Poczuł się idiotycznie, ale pospiesznie zrobił, co mu kazała, i natarł znowu, z natychmiastowym skutkiem, czując lepką wilgoć spływającą po wewnętrznej stronie jej ud. Leżał oszołomiony, zdumiony raptownością aktu, nagle czując, że drewniane kanty boleśnie wpijają mu się w łokcie i kolana.

– Pierwszy raz byłeś z dziewczyną? – spytała Zosia pragnąc, aby się podniósł.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł Władek.

– Kochasz mnie, Władku?

– Tak, i jak tylko urządzę się w Nowym Jorku, przyjadę do Chicago i cię odszukam.

– To świetnie – powiedziała, zapinając się. – Ja ciebie też kocham.

– Dymałeś ją? – spytał George, gdy tylko zobaczył Władka.

– Tak.

– Fajnie było?

– Tak – powiedział niepewnie Władek i zaraz zasnął.

Rankiem obudził ich zgiełk podekscytowanych głosów pasażerów, szczęśliwych, że nastał ostatni dzień podróży. Niektórzy wyszli nawet przed wschodem słońca na pokład, licząc, że dojrzą zbliżający się ląd. Władek cały swój majątek pomieścił bez trudu w nowym kuferku, włożył swój jedyny garnitur, naciągnął czapkę i dołączył do Zosi i George'a, którzy stali na pokładzie. Wpatrywali się w mgłę unoszącą się nad wodą, czekając w milczeniu na widok pierwszego skrawka amerykańskiej ziemi.

– Jest, jest! – krzyknął jakiś podróżny na pokładzie powyżej i zaraz rozległy się radosne okrzyki na widok szarego pasma Long Island wyłaniającego się w świetle wiosennego poranka.

Do *Czarnej strzały* podpłynęły zwinne małe łodzie holownicze i powiodły ją pomiędzy Brooklynem i Staten Island do portu nowojorskiego. Olbrzymia Statua Wolności z ręką wzniesioną w niebo spoglądała na nich srogo, kiedy z przejęciem obserwowali sylwetkę Manhattanu rysującą się na tle nieba.

W końcu przybili do brzegu nieopodal zwieńczonych wieżyczkami i iglicami, zbudowanych z czerwonej cegły budynków Ellis Island. Pasażerowie, którzy mieli osobne kajuty, opuścili statek pierwsi. Władek przedtem ich nie widział. Prawdopodobnie korzystali z oddzielnego pokładu z własną jadalnią. Walizy nieśli im bagażowi, na

nabrzeżu witały ich uśmiechnięte twarze. Władek wiedział, że nic takiego go nie czeka.

Po wysadzeniu na ląd garstki uprzywilejowanych kapitan obwieścił przez głośnik, że reszta pasażerów zostanie na statku przez kilka godzin. Rozległ się szmer rozczarowania, a Zosia usiadła na pokładzie i zalała się łzami. Władek starał się ją pocieszyć. Wreszcie zaczęto roznosić wśród pasażerów kawę oraz numerowane wywieszki, które zakładano im na szyję. Na wywieszce Władka widniał symbol B.127; przypomniało mu to czasy, kiedy był numerem. W co się wdał? Czy w Ameryce jest jak w radzieckich obozach?

Późnym popołudniem, bez jedzenia, bez podania jakichkolwiek informacji, przewieziono ich powolnymi barkami z portu na Ellis Island. Tam rozdzielono kobiety i mężczyzn i skierowano do osobnych szop. Władek całował Zosię i nie chciał jej puścić, wstrzymując kolejkę. Pobliski urzędnik ich rozłączył.

– No dobra, ruszajcie – powiedział. – Tylko tak dalej, a zaraz traficie do ołtarza.

Władek, pchnięty do przodu razem z George'em, stracił Zosię z oczu. Spędzili noc w starej, wilgotnej szopie; nie mogli zasnąć, ponieważ między gęstymi rzędami prycz uwijali się tłumacze, którzy pospiesznie, acz uprzejmie, służyli pomocą oszołomionym imigrantom.

Rano skierowano wszystkich na badania lekarskie. Pierwsza przeszkoda okazała się najtrudniejsza. Władkowi kazano wspiąć się na strome schody. Ubrany na niebiesko doktor polecił mu to zrobić dwukrotnie, uważnie obserwując jego chód. Władek starał się z całych sił jak najmniej utykać i wreszcie zadowolił doktora. Teraz mu

kazano zdjąć czapkę i odpiąć sztywny kołnierzyk, i poddano dokładnym oględzinom jego twarz, oczy, włosy, ręce i szyję. Mężczyznę tuż za Władkiem, który miał zajęczą wargę, doktor z miejsca zatrzymał, narysował mu kredą krzyż na plecach i odesłał na drugi koniec pomieszczenia. Po badaniu Władek dołączył znów do George'a i ustawił się w kolejnym długim ogonku do pokoju, w którym egzaminowano imigrantów. Każdego trzymano tam około pięciu minut. Trzy godziny później, gdy wprowadzono tam George'a, Władek z lękiem pomyślał, o co go mogą pytać.

George wychodząc szeroko uśmiechnął się do Władka i rzucił:

– Łatwe, zdasz śpiewająco.

Władek postąpił do przodu i w tym momencie poczuł, że ma spocone dłonie.

Wszedł za urzędnikiem do małego pokoju z nagimi ścianami. Siedziało tam dwóch egzaminatorów, którzy coś zawzięcie wypisywali na urzędowych formularzach.

– Czy znasz angielski? – zapytał pierwszy.

– Tak, proszę pana, całkiem dobry – odparł Władek żałując, że na statku nie mówił więcej po angielsku.

– Jak się nazywasz?

– Władek Koskiewicz.

Mężczyzna podał mu dużą, czarną księgę.

– Wiesz, co to jest?

– Tak, proszę pana. To Biblia.

– Czy wierzysz w Boga?

– Tak, wierzę.

– Połóż rękę na Biblii i przysięgnij, że odpowiesz na pytania zgodnie z prawdą.

Władek ujął Biblię lewą ręką, prawą na niej położył i rzekł:

– Przysięgam, że mówię prawdę.

– Jakiej jesteś narodowości?

– Polskiej.

– Kto ci opłacił podróż?

– Ja zapłacił własnymi pieniędzmi, które zarobił w konsulacie polskim w Konstantynopolu.

Urzędnik przejrzał papiery Władka, kiwnął głową, a następnie zapytał:

– Czy masz gdzie się zatrzymać?

– Tak, proszę pana. Zatrzymam się u pana Peter Novak, wuj kolegi. On mieszkać w Nowym Jorku.

– Dobrze. Czy masz gdzie pracować?

– Tak, proszę pana. Piekarnia pana Novaka.

– Czy byłeś kiedyś aresztowany?

Mignęła mu myśl o Rosji. To się nie liczy. Turcja – o tym nie będzie mówił.

– Nie, proszę pana. Nigdy.

– Czy jesteś anarchistą?

– Nie, proszę pana. Nienawidzę komunistów, oni zabiły moją siostrę.

– Czy jesteś gotów przestrzegać praw Stanów Zjednoczonych?

– Tak jest.

– Czy masz jakieś pieniądze?

– Tak.

– Moglibyśmy zobaczyć?

– Tak, proszę pana – Władek położył na stole zwitek banknotów i trochę monet.

– Dziękuję – rzekł egzaminator – możesz schować pieniądze.

Drugi z egzaminujących spojrzał na Władka.

– Ile jest dwadzieścia jeden plus dwadzieścia cztery? – zadał pytanie.

– Czterdzieści pięć – odpowiedział bez namysłu Władek.

– Ile nóg ma krowa?

Władek nie wierzył własnym uszom.

– Cztery – odparł, niepewny, czy nie nabijają go w butelkę.

– A koń?

– Cztery, proszę pana – powiedział, nadal wietrząc podstęp.

– Gdybyś był na małej łódce na morzu i musiał ją odciążyć, co byś wyrzucił za burtę: chleb czy pieniądze?

– Pieniądze.

– Dobrze. – Egzaminator wziął kartkę z napisem „przyjęty” i podał Władkowi. – Po wymianie pieniędzy pokaż to urzędnikowi imigracyjnemu. Powiedz mu swoje imię i nazwisko, a on wyda ci kartę rejestracyjną. Następnie otrzymasz zaświadczenie o wjeździe. Jeśli przez pięć lat nie popełnisz żadnego przestępstwa i pod koniec tego okresu zdasz prosty egzamin z czytania i pisania, będziesz mógł wystąpić o przyznanie ci pełnego obywatelstwa Stanów Zjednoczonych. Życzę ci powodzenia, Władek.

– Dziękuję panu.

W kantorze wymiany Władek wręczył swoje oszczędności z półtorarocznego pobytu w Turcji oraz trzy banknoty

pięćdziesięciorublowe. Dostał czterdzieści siedem dolarów i dwadzieścia centów w zamian za pieniądze tureckie, co zaś do rubli, to powiedziano mu, że są bezwartościowe. Z goryczą pomyślał o doktorze Dubien i piętnastu latach oszczędzania.

Ostatnią przeszkodą do pokonania okazał się urzędnik imigracyjny siedzący za stołem obok barierki u wyjścia, dokładnie pod portretem prezydenta Hardinga. Władek i George podeszli do niego.

– Imię i nazwisko? – spytał George'a.

– George Novak – odpowiedział zdecydowanie George.

Urzędnik zanotował nazwisko na karcie.

– Adres?

– Broome Street dwieście osiemdziesiąt sześć, Nowy Jork, stan Nowy Jork.

Urzędnik podał kartę George'owi ze słowami:

– Oto twój dokument imigracyjny numer dwadzieścia jeden tysięcy osiemset siedemdziesiąt jeden na nazwisko George Novak. Witamy w Stanach Zjednoczonych, George. Ja też jestem Polakiem. Spodoba ci się tutaj. Gratuluję i życzę powodzenia.

George uśmiechnął się i uścisnął dłoń urzędnikowi, stanął z boku i czekał na Władka. Urzędnik obrzucił spojrzeniem Władka, odzianego w długą szubę. Władek podał mu kartę z napisem „przyjęty".

– Imię i nazwisko? – padło pytanie.

Władek zawahał się.

– Jak się nazywasz? – ponowił urzędnik pytanie, trochę głośniej, lekko zniecierpliwiony, myśląc, że może chłopiec nie zna angielskiego.

Władek nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nienawidził tego chłopskiego nazwiska.

– Po raz ostatni, jak się nazywasz?

George patrzył ze zdumieniem na Władka. Podobnie inni, którzy ustawili się w kolejce do urzędnika. Władek nadal milczał. Nagle urzędnik schwycił chłopca za przegub, przyjrzał się z bliska napisowi wyrytemu na srebrnej bransolecie, zanotował coś na karcie i wręczył ją Władkowi.

– Numer dokumentu dwadzieścia jeden tysięcy osiemset siedemdziesiąt dwa, na nazwisko barona Abla Rosnovskiego. Witamy w Stanach Zjednoczonych. Gratuluję i życzę szczęścia, Ablu.

12

We wrześniu 1923 roku William rozpoczął w Gimnazjum św. Pawła ostatni rok nauki i został wybrany starostą najstarszej klasy, dokładnie jak przed trzydziestoma trzema laty jego ojciec. Williama nie wybrano dlatego, że był najlepszym sportowcem czy najbardziej lubianym kolegą. Gdyby kierowano się tymi kryteriami, jego najbliższy przyjaciel Matthew Lester bez wątpienia wygrałby każde wybory. William był po prostu najbardziej podziwianym chłopcem w całej szkole i dlatego Matthew Lestera nie udało się nakłonić do rywalizowania z nim. Szkoła zgłosiła kandydaturę Williama do hamiltonowskiego stypendium matematycznego na studia w Harvardzie i przez cały trymestr jesienny William się przygotowywał, mając tylko ten cel przed oczami.

Kiedy William przed Bożym Narodzeniem zjechał do Beacon Hill, marzyły mu się niczym niezakłócone ferie świąteczne, podczas których mógłby spokojnie studiować *Principia Mathematica*. Jednak nie zanosiło się na to, gdyż czekało już na niego kilka zaproszeń na przyjęcia i bale. Z większości udało mu się grzecznie wymówić, ale w jednym przypadku było to absolutnie niemożliwe. Mianowicie babki Williama postanowiły wydać bal w Czerwonym Domu na Louisburg Square. William zadał sobie pytanie, kiedy będzie mógł uchronić spokój swego domu przed zaborczością obu szacownych dam, i doszedł do wniosku, że jeszcze nie nadszedł na to czas. Miał niewielu bliskich przyjaciół w Bostonie, ale nie przeszkadzało to wcale babkom w sporządzeniu imponującej listy gości.

By uświetnić bal, babki podarowały Williamowi pierwszy w jego życiu smoking, najmodniejszy, dwurzędowy. Przyjmując go, udawał obojętność, ale później paradował w nowym stroju po swojej sypialni, często przystając przed lustrem. Następnego dnia zamówił rozmowę z Nowym Jorkiem i zaprosił Matthew Lestera na ów doniosły weekend. Siostra Matthew również chciała przyjechać, ale matka uznała, że nie byłoby to właściwe.

William wyjechał po przyjaciela na dworzec.

– Na dobrą sprawę – zauważył Matthew, kiedy szofer wiózł ich do Beacon Hill – chyba już czas, Williamie, żebyś zakosztował kobiety. Na pewno znajdą się w Bostonie dziewczyny pozbawione dobrego smaku.

– Czyżbyś ty już miał jakąś, Matthew?

– Jasne, zeszłej zimy w Nowym Jorku.

– Co ja wtedy robiłem?

– Pewnie dopieszczałeś Bertranda Russella.

– Nic mi o tym nigdy nie mówiłeś.

– Bo nie było o czym. Zresztą bardziej cię interesował bank mego ojca niż zaczątki mojego życia erotycznego. To się stało w trakcie przyjęcia, które mój ojciec wydał dla personelu banku z okazji urodzin Waszyngtona. Jeden młodzieniaszek wśród kościanych dziadków. Właściwie, uczciwie mówiąc, zostałem zgwałcony przez jedną z sekretarek dyrektora, rozłożystą paniusię imieniem Cynthia, o wielkich piersiach, które dyndały, gdy…

– I sprawiło ci to przyjemność?

– Mnie tak, ale jej na pewno nie. Była za bardzo pijana, żeby zdawać sobie sprawę, że z nią wtedy byłem. Ale od czegoś trzeba zacząć, a ona była skłonna podać synowi szefa pomocną dłoń.

Obraz zasadniczej, niemłodej sekretarki Alana Lloyda stanął Williamowi przed oczyma.

– Nie sądzę, żeby sekretarka dyrektora mojego banku zdobyła się na coś podobnego – powiedział w zadumie.

– Zdziwiłbyś się – oznajmił Matthew tonem wtajemniczonego – ale często te, co się obnoszą ze skromnie ściśniętymi kolanami, nie mogą się doczekać, żeby je rozchylić. Przyjmuję teraz większość zaproszeń na mniej czy bardziej uroczyste okazje, bo i tak nie ma znaczenia, jaki strój musisz z siebie zrzucić.

Szofer odstawił samochód do garażu, a dwaj młodzi ludzie wbiegli po schodach do domu Williama.

– Sporo tu zmieniłeś od tamtej pory – zauważył Matthew, podziwiając nowoczesne trzcinowe meble i świeże tapety z deseniem paisley. Tylko fotel obity wiśniową skórą stał jak dawniej na swoim miejscu.

– Wypadało trochę ożywić ten dom. Ponuro tu było jak w jaskini. Poza tym nie chciałem, żeby mi przypominał... Daj spokój, nie zawracajmy sobie głowy urządzaniem wnętrz.

– Kiedy goście zaczną się schodzić na przyjęcie?

– Bal, Matthew, bal. Moje babki obstają przy tej nazwie.

– Balować można nie tylko w łóżku.

– Matthew, przygoda z jedną sekretarką to jeszcze nie powód, żeby zgrywać się na największy w kraju autorytet w sprawach seksu.

– Najbliższy przyjaciel, a taki zazdrosny – zadrwił Matthew.

William roześmiał się i spojrzał na zegarek.

– Pierwszy gość powinien się zjawić za kilka godzin. Czas, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Nie zapomniałeś zabrać smokingu?

– Nie, ale gdyby nawet, zawsze mogę włożyć piżamę. Zazwyczaj zostawiam jedno albo drugie, ale jeszcze mi się nie zdarzyło zapomnieć obu naraz. Gdybym tak wystąpił na balu w piżamie, mógłbym zapoczątkować nową modę.

– Moje babki chybaby się nie poznały na takim żarcie.

O szóstej przybyła ekipa z firmy przygotowującej bankiety, w sumie dwudziestu trzech ludzi, a o siódmej zjawiły się babki, majestatyczne w swoich czarnych koronkowych sukniach, z trenami zamiatającymi podłogę. Kilka minut przed ósmą William i Matthew zeszli do frontowego salonu.

William właśnie sięgał po kuszącą czerwoną wiśnię wieńczącą okazały, lukrowany tort, kiedy usłyszał za sobą głos babki Kane.

– Nie ruszaj, Williamie, to nie dla ciebie.

Odwrócił się na pięcie.

– Jeśli nie dla mnie, to dla kogo? – zapytał i pocałował ją w policzek.

– Nie bądź zuchwały, Williamie. Nie myśl, że skoro wyrosłeś taki wielki, nie mogę ci dać klapsa.

Matthew Lester się roześmiał.

– Babciu, pozwolisz, że ci przedstawię mojego najbliższego przyjaciela, Matthew Lestera.

Babka Kane wpierw dokładnie go otaksowała przez pince-nez i dopiero potem zaryzykowała:

– Witaj, młodzieńcze.

– To dla mnie zaszczyt poznać panią. Przypuszczam, że pamięta pani mojego dziadka.

– Twojego dziadka? Caleba Longwortha Lestera? Oświadczył mi się kiedyś, ponad pięćdziesiąt lat temu. Odprawiłam go. Powiedziałam mu, że za dużo pije i że przypłaci to przedwczesną śmiercią. Nie omyliłam się. Pamiętajcie, jeden z drugim: nie pijcie, alkohol przytępia umysł.

– Przy prohibicji to nam nie grozi – zauważył Matthew z niewinną miną.

– Obawiam się, że już niedługo ją zniosą – skrzywiła się z dezaprobatą babka Kane. – Prezydent Coolidge zapomina o swoim wychowaniu. Nigdy by nie został prezydentem, gdyby ten głupiec Harding tak idiotycznie i nie w porę nie umarł.

– No wiesz, babciu – roześmiał się William – masz wybiórczą pamięć. Podczas strajku policji nie dawałaś na niego złego słowa powiedzieć.

Babka Kane nie odezwała się.

Zaczęli napływać goście, wielu z nich William nawet nie znał. Rozpromienił się na widok Alana Lloyda, który był jednym z pierwszych.

– Doskonale wyglądasz, mój chłopcze – powiedział Alan, pierwszy raz zadzierając głowę do góry, żeby spojrzeć na Williama.

– Ty również, Alanie. To uprzejmie z twojej strony, że przyszedłeś.

– Uprzejmie? Czyżbyś zapomniał, że zaprosiły mnie tu twoje babki? Może znalazłbym dość odwagi, żeby odmówić jednej z nich, ale obu?

– Ty też, Alanie? – zaśmiał się William. – Chciałbym zamienić z tobą parę słów na osobności. – Zaprowadził gościa w cichy kąt. – Zamierzam nieco zmodyfikować program lokat i zacząć kupować

akcje banku Lestera, ilekroć pojawią się na rynku. Zależałoby mi na tym, żeby dysponować około pięcioprocentowym udziałem w kapitale banku z chwilą, gdy ukończę dwadzieścia jeden lat.

– To nie będzie takie łatwe – rzekł Alan. – Akcje Lestera rzadko bywają osiągalne, gdyż wszystkie znajdują się w prywatnych rękach. Zobaczę jednak, co się da zrobić. Co też ci chodzi po głowie, Williamie?

– Moim celem…

– Williamie! – Babka Cabot wpadła na nich jak tornado. – Spiskujesz tu w kącie z panem Lloydem, zamiast tańczyć z jakąś młodą damą. Jak myślisz, w końcu po co urządziłyśmy ten bal?

– Ma pani rację – powiedział Alan Lloyd i wstał. – Proszę, niechże pani usiądzie przy mnie, a ja wypchnę chłopaka w wielki świat. Odpoczniemy sobie, popatrzymy, jak tańczy, i posłuchamy muzyki.

– Muzyki? Toż to nie muzyka, Alanie. To tylko przeraźliwy zgiełk dźwięków bez śladu melodii.

– Moja droga babciu – rzekł William – to jest piosenka *Tak, tak, bananów u nas brak*, najnowszy przebój.

– Wobec tego czas, żebym opuściła ten świat – wzdrygnęła się babka Cabot.

– Nigdy w życiu – zaprzeczył szarmancko Alan Lloyd.

William zatańczył z kilkoma dziewczynami, których twarze pamiętał jak przez mgłę, ale nie mógł sobie przypomnieć ich imion, i kiedy spostrzegł swojego przyjaciela siedzącego w kącie, skorzystał ze sposobności i umknął z parkietu. Matthew siedział razem z dziewczyną, którą William zobaczył dopiero wówczas, gdy podszedł całkiem blisko. Kiedy podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

– Znasz Abby Blount? – spytał od niechcenia Matthew.

– Nie – odparł William, z trudem powściągając chęć poprawienia krawata.

– To pan tego domu, William Lowell Kane.

Młoda dama skromnie spuściła oczy, kiedy William siadał przy niej z drugiej strony. Matthew zauważył spojrzenie, jakie rzucił jej William, i poszedł poszukać ponczu.

– Jak to możliwe, żebym mieszkając od urodzenia w Bostonie, nigdy do tej pory cię nie spotkał?

– Już się kiedyś spotkaliśmy. Wrzuciłeś mnie do stawu w parku, mieliśmy wtedy po trzy lata. Upłynęło czternaście lat, nim udało mi się przyjść do siebie.

– Wybacz mi – odezwał się William po dłuższej przerwie, na próżno usiłując wymyślić coś bardziej błyskotliwego.

– Masz śliczny dom, Williamie.

Nastąpiła kolejna kłopotliwa pauza.

– Dziękuję – wykrztusił wreszcie William, któremu znowu nic lepszego nie przyszło do głowy. Ukradkiem przyglądał się Abby, usiłując zachować obojętny wyraz twarzy. Dziewczyna była smukła, cudownie smukła. Miała ogromne, brązowe oczy, długie rzęsy i urzekający profil, a kasztanowate włosy upinała w sposób, jakiego jeszcze przed chwilą nie znosił.

– Matthew mi mówił, że wybierasz się w przyszłym roku do Harvardu – znowu spróbowała nawiązać rozmowę.

– Tak, owszem. Hm, a może miałabyś ochotę zatańczyć?

– Z przyjemnością.

Kroki taneczne, które parę chwil temu przychodziły mu tak łatwo, teraz jakby się poplątały. Deptał jej po pantofelkach i tak ją prowadził, że wciąż wpadała na innych tancerzy. Przepraszał, a ona się uśmiechała. Przyciągnął ją bliżej do siebie i tańczyli dalej.

– Czy znamy tę młodą damę, której William nie odstępuje już od godziny? – spytała podejrzliwie babka Cabot babkę Kane.

Babka Kane włożyła pince-nez i bacznie przyjrzała się dziewczynie, którą William właśnie prowadził przez otwarte drzwi na taras w kierunku trawnika.

– To Abby Blount – oznajmiła babka Kane.

– Córka admirała Blounta? – upewniła się babka Cabot.

– Tak.

Babka Cabot skinęła głową z powściągliwą aprobatą.

William powiódł Abby Blount w najdalszą część ogrodu i zatrzymał się pod wielkim kasztanem, który w przeszłości służył mu wyłącznie do wspinaczek.

– Czy zawsze próbujesz pocałować dziewczynę, którą dopiero co poznałeś? – zapytała Abby.

– Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie całowałem żadnej dziewczyny – odparł William.

– To mi bardzo pochlebia – zaśmiała się.

Wpierw podała mu do pocałowania rumiany policzek, następnie różowe, ściągnięte usteczka, a potem zażądała, aby wrócili do domu. Babki przyjęły ich powrót z pewną ulgą.

Później, w sypialni Williama, młodzieńcy dzielili się wrażeniami na temat wieczoru.

– Całkiem niezła zabawa – orzekł Matthew. – Prawie że warta wyprawy z Nowego Jorku na tę waszą prowincję, mimo że mi porwałeś dziewczynę.

– Myślisz, że pomoże mi stracić cnotę? – zapytał William, pomijając kpiny przyjaciela.

– Masz trzy tygodnie, żeby się przekonać, boję się jednak, że się okaże, iż nie straciła jeszcze własnej – odparł Matthew. – O ile się na tym znam, gotów jestem założyć się o pięć dolarów, że Abby nie ulegnie nawet Williamowi Lowellowi Kane'owi.

William skrupulatnie obmyślił strategię. Cnota cnotą, ale strata pięciu dolarów na rzecz Matthew to poważna sprawa. Od tej pory prawie codziennie widywał się z Abby Blount, po raz pierwszy korzystając z pożytków posiadania własnego domu i samochodu w wieku siedemnastu lat. Niebawem doszedł do wniosku, że szłoby mu o wiele lepiej, gdyby nie dyskretna, ale uporczywa opieka rodziców Abby, którzy zawsze mieli ich na oku. Kiedy nadszedł ostatni dzień wakacji, William ani na krok nie zbliżył się do swego celu.

Zdecydowany wygrać pięć dolarów William rano wysłał Abby tuzin róż, wieczorem zabrał dziewczynę na wystawną kolację do „Josepha" i na koniec zwabił ją do frontowego salonu w Czerwonym Domu.

– W jaki sposób zdobyłeś tę butelkę whisky mimo prohibicji? – zainteresowała się Abby.

– Och, to żadna sztuka – powiedział z przechwałką w głosie William.

W rzeczywistości schował w swojej sypialni butelkę burbona należącą do Henry'ego Osborne'a wkrótce po jego wyprowadzce, a

teraz był zadowolony, że nie wylał jej zawartości do zlewu, jak w pierwszej chwili zamierzał.

Nalał takie porcje, że sam nie mógł złapać tchu, a dziewczynie nabiegły łzy do oczu.

Usiadł koło niej i śmiało objął ją ramieniem. Nie broniła się.

– Abby, uważam, że jesteś strasznie ładna – szepnął na początek w jej złotobrązowe loki.

Spojrzała na niego z przejęciem szeroko otwartymi, brązowymi oczami.

– Och, Williamie – westchnęła. – Jesteś fantastyczny.

Jej buzia laleczki urzekała go. Pozwoliła mu się pocałować. Ośmielony William przesunął niepewnie rękę z przegubu Abby na jej pierś i zostawił ją tam, jak policjant regulujący ruch, który zatrzymuje pędzący strumień samochodów. Abby zaróżowiła się z oburzenia i strąciła jego dłoń, odblokowując ruch.

– Williamie, tego nie wolno ci robić.

– Dlaczego? – zapytał, daremnie usiłując odzyskać straconą pozycję.

– Bo nie wiadomo, czym to się może skończyć.

– Ja doskonale wiem.

Zanim zdążył ponowić atak, Abby odepchnęła go i poderwała się pospiesznie, wygładzając sukienkę.

– Uważam, że powinnam iść do domu, Williamie.

– Ale przecież dopiero co przyszłaś.

– Matka mnie spyta, co robiłam.

– Będziesz mogła jej powiedzieć, że nic.

– I niech tak lepiej zostanie – dodała.

– Ale ja jutro wyjeżdżam. – Nie powiedział, że do szkoły.

– Przecież możesz do mnie pisać.

Inaczej niż Valentino, William wiedział, kiedy się wycofać. Wstał, poprawił krawat, wziął Abby za rękę i odwiózł ją do domu.

Następnego dnia po powrocie Williama do szkoły Matthew Lester przyjął wręczony mu pięciodolarowy banknot, podnosząc brwi z udanym zdziwieniem.

– Tylko jedno słowo, Matthew, a przegonię cię koło szkoły kijem do baseballu.

– Nie umiem znaleźć takich słów, które by odpowiednio wyraziły moje głębokie współczucie.

– Marsz biegiem dookoła szkoły, natychmiast.

W ostatnim półroczu w gimnazjum William zaczął zwracać uwagę na żonę kierownika bursy. Była przystojną kobietą o lekko zwiotczałym brzuchu, a przypuszczalnie także i udach, ale jej okazałe piersi wyglądały niczego sobie, a bujne ciemne włosy spiętrzone na czubku głowy, mimo że przeplecione pasmami siwizny, wcale jej nie szpeciły. Pewnej soboty, kiedy William wybił sobie przegub podczas gry w hokeja, pani Raglan przyłożyła mu zimny kompres i obandażowała rękę, stając nieco bliżej, niż to było konieczne, i dotykając biustem jego ramienia. Sprawiło mu to przyjemność. Potem znów, kiedy miał gorączkę i przeniesiono go na parę dni do izolatki, sama przynosiła mu posiłki i siadała na łóżku, dotykając ciałem jego nóg okrytych tylko cienkim kocem, podczas gdy jadł. To również mu się podobało.

Mówiono, że jest drugą żoną Ramola Raglana. Nikt w bursie nie mógł pojąć, jakim cudem Ramol znalazł jedną amatorkę, nie mówiąc

już o dwóch. Pani Raglan czasami najsubtelniej dawała do zrozumienia, to westchnieniem, to milczeniem, że podziela ogólne zdziwienie, iż spotkał ją taki los.

Do obowiązków Williama jako dyżurnego należało meldowanie się u Ramola każdego wieczoru o dziesiątej trzydzieści, po zgaszeniu wszystkich świateł, a przed pójściem spać. Któregoś poniedziałkowego wieczoru, kiedy jak zwykle zapukał do drzwi Raglana, ze zdziwieniem usłyszał głos jego żony, zapraszającej go do środka. Leżała na szezlongu w luźnym jedwabnym szlafroczku, trochę w japońskim stylu.

William mocno ściskał chłodną gałkę u drzwi.

– Światła pogaszone, drzwi frontowe zamknięte. Dobranoc pani – powiedział.

Pani Raglan spuściła nogi na podłogę, przelotnie ukazując między fałdami jedwabiu bladoróżowe udo.

– Tak się zawsze spieszysz, Williamie. Nie bój się, życie ci nie ucieknie. – Podeszła do bocznego stolika. – Zostań chwilę i napij się gorącej czekolady. Głuptas ze mnie, przygotowałam dwie porcje. Całkiem wyleciało mi z głowy, że mąż wróci dopiero w sobotę.

Wyraźnie zaakcentowała ostatnie słowo. Podeszła z dymiącą filiżanką do Williama i podniosła na niego oczy, pragnąc się upewnić, czy pojął znaczenie jej uwagi. Zadowolona, podała mu filiżankę, musnąwszy przy okazji ręką jego dłoń. Zaczął pilnie mieszać czekoladę.

– Gerald pojechał na konferencję – wyjaśniała dalej. Po raz pierwszy usłyszał imię Ramola. – Zamknij drzwi, Williamie, podejdź tutaj i usiądź.

William ociągał się; drzwi zamknął, ale nie chciał siadać na krześle Ramola ani też koło pani Raglan. Wybrał mniejsze zło i skierował się do krzesła Ramola.

– Nie, nie – zaprotestowała pani Raglan, wskazując mu miejsce przy sobie.

William podszedł, szurając nogami, i stremowany usiadł obok niej, wpatrując się uparcie w filiżankę, jakby szukał w niej natchnienia. Nie znalazłszy, wychylił jednym haustem czekoladę i oparzył sobie język. Z ulgą skonstatował, że pani Raglan wstaje. Dolała mu czekolady mimo jego mrukliwej odmowy, następnie w milczeniu przeszła przez pokój, nakręciła victrolę i ustawiła igłę na płycie.

„Powolutku aż do skutku" – zabrzmiały słowa piosenki. William nadal wpatrywał się w podłogę, kiedy pani Raglan powróciła.

– Chyba nie pozwolisz, żeby dama tańczyła sama, Williamie? Podniósł wzrok. Pani Raglan kołysała się lekko w rytm muzyki. „To będzie piękny romans, bez dwóch zdań" – śpiewał aksamitnym głosem Rudy Vallee. William wstał i ceremonialnie objął panią Raglan w pasie. Ramol zmieściłby się między nimi bez kłopotu. Po przetańczeniu kilku taktów ona przysunęła się do Williama, on zaś patrzył uporczywie w przestrzeń ponad jej prawym ramieniem, udając, że nie wie, iż jej lewa ręka ześlizgnęła się z jego ramienia i popełzła w dół kręgosłupa. Gdy melodia się skończyła, William sądził, że będzie mógł bezpiecznie wrócić do swojej filiżanki czekolady, ale pani Raglan przełożyła płytę na drugą stronę i znalazła się na powrót w jego ramionach, zanim zdążył zrobić krok.

– Proszę pani, wydaje mi się, że powinienem...

– Nie bądźże taki sztywny, Williamie. Zdobył się wreszcie na odwagę i spojrzał jej w oczy. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Czuł jej rękę błądzącą po plecach, jej nogę delikatnie wciskającą mu się między uda. Mocniej uchwycił ją w pasie.

– Teraz lepiej – powiedziała.

Krążyli powoli dookoła pokoju, mocno spleceni ramionami, coraz wolniej i wolniej, w rytm zamierającej melodii. Kiedy kobieta wymknęła się, żeby zgasić światło, pragnął, aby szybko wróciła. Stał bez ruchu w ciemności, słysząc szelest jedwabiu i widząc jedynie zarys sylwetki zrzucającej szlafroczek.

Aksamitny głos umilkł i słychać było tylko zgrzyt igły o płytę, gdy kobieta pomogła Williamowi się rozebrać i prowadziła go w stronę szezlonga. Szukał jej po omacku i jego płochliwe, niedoświadczone palce natrafiały na fragmenty ciała, które w dotyku wydawały się całkiem inne, niż sobie wyobrażał. Szybko wycofał się na bardziej swojskie terytorium jej piersi. Palce kobiety nie zachowywały podobnej powściągliwości i wkrótce William zaczął przeżywać doznania, o jakich nigdy mu się nie śniło. Chciał jęknąć, ale powstrzymał się, sądząc, że zabrzmiałoby to idiotycznie. Poczuł teraz jej ręce na plecach; delikatnie przyciągała go do siebie.

Obracając się, William pomyślał, jak sobie poradzi, nie zdradzając się ze swoim kompletnym brakiem doświadczenia. To wcale nie było takie łatwe, jak się spodziewał, i z każdą chwilą wpadał w coraz większą panikę. Wtem znowu poczuł dotyk jej niezawodnych palców; przy jej pomocy wziął ją bez trudu, z natychmiastowym skutkiem.

– Przepraszam – powiedział, nie wiedząc, co należy teraz zrobić. Przez chwilę pozostał nieporuszony, milcząc, aż się odezwała:

– Jutro będzie lepiej.

Jego uszu znów dobiegł zgrzyt igły.

Przez cały, niemiłosiernie wlokący się wtorek William miał myśli zaprzątnięte panią Raglan. Tej nocy westchnęła, w środę dyszała. W czwartek jęknęła. W piątek krzyknęła.

W sobotę Ramol wrócił ze swojej konferencji, ale do tego czasu edukacja Williama została ukończona.

Podczas ferii wielkanocnych, dokładnie zaś w dniu Wniebowstąpienia, Abby Blount ostatecznie uległa wdziękom Williama. Matthew stracił pięć dolarów. Abby dziewictwo. Po pani Raglan rozczarowała Williama. Było to jedyne znaczące wydarzenie w czasie ferii, gdyż Abby wyjechała ze swoimi rodzicami do Palm Beach i William spędzał większość dnia w domu nad swoimi książkami, nie widując nikogo prócz babek i Alana Lloyda. Końcowe egzaminy zaczynały się już za kilka tygodni, ponieważ zaś Ramol nie wyjeżdżał na konferencje, William nie miał żadnych ubocznych zajęć.

Podczas ostatniego trymestru William i Matthew przesiadywali godzinami w swojej pracowni, nie odzywając się do siebie ani słowem, chyba że Matthew natrafił na jakiś problem matematyczny, którego sam nie potrafił rozgryźć. Kiedy wreszcie nadeszły długo oczekiwane egzaminy, przetoczyły się w ciągu jednego, wściekle trudnego tygodnia. Tuż po ich zakończeniu chłopcy byli dobrej myśli, ale z upływem dni, w miarę przedłużającego się oczekiwania, ich optymizm zaczął słabnąć. Stypendium matematyczne imienia Hamiltona na studia w Uniwersytecie Harvarda przyznawano na zasadach ściśle konkursowych i mógł się o nie ubiegać każdy uczeń w Ameryce. William nie miał sposobu, aby ocenić, na ile konkurencja

jest groźna. Mijał czas, wiadomości nie nadchodziły i William zaczął się już spodziewać najgorszego.

Kiedy przyniesiono telegram, był na dworze i grał w baseball z innymi szóstoklasistami; próbował jakoś zabijać czas ostatnich szkolnych dni; tych ciepłych letnich dni, kiedy chłopcy najczęściej bywają wydalani za pijaństwo, wybijanie szyb lub uwodzenie córki, jeśli nie żony dyrektora.

William głośno obwieszczał tym, którzy chcieli go słuchać, że zdobędzie pierwszy raz w życiu punkt dla swojej drużyny. Matthew oznajmił, że William zostanie Babe Ruth Gimnazjum św. Pawła. Jego słowa powitał gromki wybuch śmiechu. Kiedy doręczono Williamowi telegram, nagle zapomniał o grze. Upuścił kij i rozerwał małą, żółtą kopertę. Miotacz niecierpliwie czekał z piłką w ręku, czekali zawodnicy w polu, on zaś powoli odczytywał wiadomość.

– Proponują mu przejście na zawodowstwo! – zawołał ktoś z pierwszej bazy; telegram w trakcie meczu był niecodziennym wydarzeniem.

Matthew przeszedł z pola do Williama, próbując wyczytać z miny przyjaciela, czy wiadomość jest dobra czy zła. Nie zmieniając wyrazu twarzy, William podał mu telegram. Matthew przeczytał go, z radości podskoczył wysoko w górę i upuścił kartkę papieru na ziemię, aby popędzić za Williamem, który biegł od bazy do bazy, po raz pierwszy w dziejach zdobywając punkt dla swojej drużyny, chociaż nikt nie tknął piłki. Miotacz wybałuszył na nich oczy, podniósł telegram, przeczytał, a następnie z uciechą rzucił piłką w kibiców. Żółta kartka krążyła teraz po polu od zawodnika do zawodnika. Ostatni przeczytał telegram drugoklasista, który choć wywołał cały radosny zamęt, nie

otrzymał słowa podziękowania, uznał więc, że przynajmniej się dowie, co jest przyczyną takiego poruszenia.

Telegram zaadresowany był do Williama Lowella Kane'a, którego drugoklasista ocenił jako marnego łapacza, i oznajmiał: *Gratuluję przyznania stypendium matematycznego imienia Hamiltona na studia w Uniwersytecie Harvarda, dalsze szczegóły wkrótce. Abbot Lawrence Lowell, rektor*. Williamowi nie udało się zdobyć punktu, gdyż zanim dobiegł do bazy-mety, rzuciło się na niego kilku graczy z pola i przygniotło go do ziemi.

Matthew ucieszył się sukcesem przyjaciela, chociaż ze smutkiem pomyślał, że może będą musieli się teraz rozstać. William czuł podobnie, ale nic nie mówił. Dopiero po dziewięciu dniach chłopcy się dowiedzieli, że Matthew też został przyjęty.

Przyszedł kolejny telegram, tym razem od Charlesa Lestera, z gratulacjami dla syna i zaproszeniem dla obu chłopców na herbatę w nowojorskim hotelu Plaza. Obie babki przesłały też gratulacje Williamowi, chociaż, jak babka Kane trochę zgryźliwie oświadczyła Alanowi Lloydowi: „Chłopak osiągnął nie mniej, niż się po nim spodziewano, i nie więcej, niż kiedyś jego ojciec".

Wyznaczonego dnia dwaj młodzi, przystojni mężczyźni kroczyli z dumnymi minami Piątą Aleją. Ścigały ich spojrzenia dziewcząt, ale oni udawali, że tego nie widzą. Przed głównym wejściem do hotelu Plaza, gdzie znaleźli się za minutę czwarta, zdjęli z głów słomkowe kapelusze, nonszalancko przemierzyli hall i ujrzeli grupę rodzinną oczekującą ich w Sali Palmowej.

Babki Kane i Cabot siedziały sztywno wyprostowane na wygodnych krzesłach, oskrzydlając trzecią leciwą damę, która

zapewne, pomyślał William, była odpowiedniczką babki Kane w rodzinie Lesterów. Państwo Lesterowie z córką Susan (która ani na moment nie odrywała oczu od Williama) oraz Alan Lloyd dopełniali grona rodzinnego. Dwa wolne krzesła czekały na Williama i Matthew.

Babka Kane władczym spojrzeniem wezwała najbliższego kelnera.

– Proszę dzbanek świeżej herbaty i jeszcze trochę ciastek – zażądała.

Kelner pospieszył do kuchni.

– Dzbanek herbaty i ciastka dla stolika dwudziestego trzeciego – zawołał, przekrzykując zgiełk.

– Podaję – odezwał się głos z buchającego parą wnętrza.

– Herbata i ciastka z kremem, madame – powiedział kelner, podchodząc do stolika.

– Twój ojciec byłby dziś z ciebie dumny, Williamie – mówił starszy pan do wyższego z młodzieńców.

Czego mógł dokonać ten przystojny młody człowiek, że zasłużył na taką pochwałę, pomyślał z ciekawością kelner.

William nigdy by nie zwrócił uwagi na kelnera, gdyby nie srebrna bransoleta na jego ręku. Tak piękny przedmiot mógł śmiało pochodzić od Tiffany'ego; cóż za niedorzeczność.

– Williamie – odezwała się babka Kane. – Dwa ciastka w zupełności ci wystarczą; to nie jest twój ostatni posiłek przed wstąpieniem na uniwersytet.

Spojrzał z czułością na starą damę i całkiem zapomniał o srebrnej bransolecie.

13

Tej nocy, leżąc w swoim małym pokoiku w hotelu Plaza i rozmyślając o chłopcu imieniem William, którego ojciec byłby z niego dumny, Abel po raz pierwszy jasno sobie uświadomił, czego chce w życiu. Chciałby mianowicie, żeby Williamowie tego świata uważali go za równego sobie.

Po przybyciu do Nowego Jorku Abel musiał ciężko się borykać z losem. Zamieszkał w pokoju z dwoma łóżkami, z których korzystał wspólnie z George'em i jego dwoma kuzynami. W rezultacie sypiał tylko wtedy, gdy jedno z nich było wolne. Wuj George'a nie miał dla niego pracy i po kilku tygodniach pełnych napięcia, kiedy stopniały prawie wszystkie oszczędności, które trzeba było wydać na życie, Abel zaczął szukać pracy, przemierzając okolice od Brooklynu po Queens. Znalazł wreszcie zajęcie u rzeźnika, który płacił mu dziewięć dolarów za sześć i pół dnia pracy w tygodniu i pozwolił nocować na górce nad sklepem. Sklep usytuowany był w samym środku właściwie samowystarczalnej, małej polskiej wspólnoty w Lower East Side i Abel prędko się zraził do swoich ziomków, którzy zamykali się we własnym kręgu, często nie zdobywając się na wysiłek nauki języka angielskiego.

Podczas weekendów Abel regularnie spotykał się z George'em, któremu towarzyszyły wciąż nowe dziewczyny, ale większość wolnych wieczorów w tygodniu spędzał w szkole dla pracujących, gdzie uczył się czytać i pisać po angielsku. Nie wstydził się, gdy z początku nauka szła mu ciężko, bowiem od ósmego roku życia prawie nie miał okazji,

aby pisać, jednak w ciągu dwóch lat opanował biegle nowy język, zdradzając się tylko nieznacznym akcentem. Czuł, że już może opuścić sklep rzeźnika, ale nie miał pojęcia, dokąd się zwrócić. Pewnego ranka, kiedy sprawiał udziec jagnięcy, przypadkiem usłyszał, jak jeden z najznaczniejszych klientów sklepu, intendent hotelu Plaza, skarżył się rzeźnikowi, że musiał wyrzucić młodszego kelnera za drobną kradzież.

– Jak ja teraz znajdę kogoś na jego miejsce z dnia na dzień? – użalał się.

Rzeźnik nie miał żadnego pomysłu. Abel miał. Włożył swój jedyny garnitur, przemierzył czterdzieści siedem przecznic na piechotę i dostał pracę.

Kiedy już zadomowił się w hotelu Plaza, zapisał się na wieczorowy kurs języka angielskiego na Uniwersytecie Columbia. Uczył się wytrwale wieczorami, ze słownikiem w jednym ręku i piórem w drugim, a przed południem, między podawaniem śniadań i nakrywaniem do lunchu, przepisywał artykuły wstępne z „New York Timesa", sprawdzając każde słowo, którego nie był pewien, w swoim kupionym w antykwariacie Websterze.

W ciągu następnych trzech lat Abel wspinał się coraz wyżej, pełniąc rozmaite funkcje w hotelu, aż wreszcie został kelnerem w Sali Dębowej, z zarobkiem około dwudziestu pięciu dolarów tygodniowo razem z napiwkami. W jego światku niczego mu nie brakowało.

Wytrwałość Abla i szybkie postępy w nauce zrobiły na jego wykładowcy takie wrażenie, że poradził mu zapisać się na wyższy kurs, który miał być pierwszym krokiem do zdobycia w przyszłości stopnia uniwersyteckiego. Abel przerzucił się teraz z angielskiego na ekonomię i w wolnych chwilach przepisywał wstępniaki z „Wall

Street Journal" zamiast z „New York Timesa". Świat, w który wszedł, pochłonął go bez reszty i, z wyjątkiem George'a, stracił kontakt z dawnymi polskimi przyjaciółmi.

Obsługując gości w Sali Dębowej zawsze pilnie obserwował tych, którzy byli sławni – Bakerów, Loebów, Whitneyów, Morganów i Phelpsów – i usiłował dociec, dlaczego bogaci są inni. Czytywał H. L. Menckena i wydawany przez niego miesięcznik „The American Mercury", Scotta Fitzgeralda, Sinclaira Lewisa i Theodora Dreisera w nieustannej pogoni za wiedzą. Kiedy inni kelnerzy przerzucali „Mirror", on rozczytywał się w „New York Times'ie", studiował „Wall Street Journal" podczas godzinnej przerwy, kiedy inni drzemali. Nie wiedział jeszcze, dokąd zaprowadzi go nowo zdobyta wiedza, ale nigdy nie zwątpił w maksymę barona, że nie ma nic lepszego nad dobre wykształcenie.

Któregoś czwartku w sierpniu 1926 roku – był to pamiętny dzień, gdyż umarł wtedy Rudolf Valentino i wiele kobiet robiących zakupy na Piątej Alei chodziło w czerni – Abel jak zwykle obsługiwał jeden ze stolików w rogu sali. Stoliki te zawsze rezerwowano dla elity biznesmenów, pragnących spożywać posiłki w odosobnieniu, bez obawy podsłuchania przez niepowołane uszy. Abel lubił usługiwać w tym szczególnym zakątku, gdyż była to epoka prosperity i często udawało mu się wyłowić ze strzępów rozmów jakąś zakulisową informację. Po lunchu, jeżeli zapraszający reprezentował bank bądź dużą firmę holdingową, Abel sprawdzał zapisy stanu finansów firmy reprezentowanej przez zaproszonych gości, i gdy uznał, że spotkanie nadzwyczaj się udało, lokował sto dolarów w akcjach mniejszej, licząc na jej przejęcie lub ekspansję za pomocą większej. Jeśli zapraszający pod koniec lunchu zamawiał cygara, Abel ryzykował dwieście

dolarów. W siedmiu na dziesięć przypadków tak dobrane akcje poszły dwa razy w górę w ciągu sześciu miesięcy, czyli w czasie, na jaki Abel zwykł zatrzymywać papiery wartościowe. Przy tej metodzie poniósł straty tylko trzy razy w ciągu czterech lat pracy w hotelu Plaza.

Usługiwanie przy stoliku w rogu było w tym osobliwym dniu o tyle ekscytujące, że goście poprosili o cygara jeszcze przed posiłkiem. Później dołączyli następni, którzy zamówili więcej cygar. W książce rezerwacji, którą prowadził maître d'hôtel, Abel odszukał nazwisko zapraszającego. Woolworth. Widział ostatnio to nazwisko na kolumnach finansowych którejś gazety, ale chwilowo nie mógł sobie przypomnieć której. Wśród gości znajdował się również Charles Lester, tutejszy bywalec, o którym Abel wiedział, że jest szanowanym nowojorskim bankierem. Przy podawaniu dań Abel bacznie nadstawiał ucha. Goście nie zwracali najmniejszej uwagi na dwojącego się i trojącego kelnera. Abel nie uchwycił żadnych istotnych szczegółów, wywnioskował natomiast, że rano zawarto jakąś transakcję, która zostanie podana do publicznej wiadomości dopiero pod koniec dnia. Nagle sobie przypomniał. Widział to nazwisko w „Wall Street Journal". Woolworth był człowiekiem, który zamierzał założyć pierwszą w Ameryce sieć sklepów z groszowymi towarami. Abel też chciałby mieć w tym interesie swoje trzy grosze. Kiedy goście delektowali się deserem – większość za radą Abla wybrała sernik z truskawkami – skorzystał z okazji i wyszedł na kilka chwil, żeby zatelefonować do swojego maklera na Wall Street.

– Jak stoją akcje Woolwortha? – zapytał. Po krótkiej pauzie makler odpowiedział:

– Dwa i jedna ósma. Ostatnio zwiększyło się zainteresowanie, ale nie wiem dlaczego.

– Kupuj do wysokości mojego rachunku, dopóki nie usłyszysz komunikatu spółki pod koniec dnia.

– Co ma być w komunikacie? – spytał zaintrygowany makler.

– Nie mogę takich informacji wyjawiać przez telefon – odparł Abel.

Makler nie mógł wyjść z podziwu. Z doświadczenia wiedział, że lepiej nie wnikać, skąd Abel czerpie wiadomości.

Abel pędem wrócił do Sali Dębowej, w samą porę, by podać gościom kawę. Nie spieszyli się z jej wypiciem i Abel podszedł do stolika dopiero wtedy, gdy zaczęli zbierać się do wyjścia. Klient, który płacił rachunek, podziękował Ablowi za doskonałą obsługę, i, starając się, aby usłyszeli go towarzyszący mu goście, zapytał:

– Czy chciałbyś dostać napiwek, synu?

– Tak, dziękuję – odparł Abel.

– Kup akcje Woolwortha.

Wszyscy przy stoliku wybuchnęli śmiechem. Abel też się roześmiał, schował do kieszeni wręczone mu pięć dolarów i podziękował. W ciągu następnych sześciu miesięcy zarobił ponadto dwa tysiące czterysta dwanaście dolarów na akcjach Woolwortha.

Abel został pełnoprawnym obywatelem Stanów Zjednoczonych w kilka dni po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia. Aby uczcić tę okazję, zaprosił George'a z jego najnowszą dziewczyną, Monicą, oraz Clarę, poprzednią sympatię przyjaciela, do kina na *Don Juana* z Johnem Barrymore'em, a potem do „Biga" na kolację. George ciągle jeszcze tkwił w piekarni wuja, zarabiając osiem

dolarów tygodniowo, i chociaż Abel nadal uważał go za swego najbliższego przyjaciela, był świadom zwiększającej się między nimi różnicy; George był bez grosza, on zaś miał w banku ponad osiem tysięcy dolarów i kończył studia ekonomiczne na Uniwersytecie Columbia. Abel wiedział, do czego zmierza, natomiast George przestał już mówić wszystkim, że zostanie burmistrzem Nowego Jorku.

Przeżyli w czwórkę pamiętny wieczór, głównie dzięki temu, że Abel dokładnie wiedział, czego można oczekiwać po dobrej restauracji. Jego goście najedli się jak nigdy w życiu, a gdy przyniesiono rachunek, George przeraził się, widząc, że przewyższa on jego miesięczne zarobki. Abel zapłacił, nie mrugnąwszy okiem. Kiedy płacisz rachunek, zachowuj się tak, jakby wysokość kwoty nie miała żadnego znaczenia. Jeśli ma, nie chodź więcej do tej restauracji, cokolwiek jednak zrobisz, nie komentuj ani nie okazuj zdziwienia – oto jeszcze jedna rzecz, której nauczył się od bogatych.

Rozstali się około drugiej w nocy; George z Monicą wrócili na Lower East Side, natomiast Abel uznał, że zasłużył sobie na Clarę. Wprowadził ją cichaczem do hotelu Plaza przez wejście dla personelu, a następnie przeszmuglował windą do rozwożenia bielizny na górę do swojego pokoju. Nie musiał jej za długo zapraszać do łóżka i pamiętając, że powinien się wyspać przed jutrzejszym roznoszeniem śniadań, nie cackał się z nią. Ku swej satysfakcji wywiązał się z zadania już o drugiej trzydzieści i od razu zapadł w głęboki sen, z którego wyrwał go o szóstej rano dzwonek budzika. Zostało mu akurat tyle czasu, że przed ubraniem się zdążył jeszcze raz wziąć Clarę w obroty.

Dziewczyna usiadła w łóżku i patrzyła na niego ponuro, kiedy wiązał biały krawat i przelotnie całował ją na pożegnanie.

– Pamiętaj tylko, żeby wyjść tą samą drogą, bo inaczej wpakujesz mnie w kłopoty – rzekł Abel. – Kiedy cię znowu zobaczę?

– Wcale mnie nie zobaczysz – powiedziała lodowato Clara.

– Dlaczego? – zdumiał się Abel. – Co ci zrobiłem?

– Spytaj raczej, czego nie zrobiłeś. – Wyskoczyła z łóżka i zaczęła się pospiesznie ubierać.

– Więc czego nie zrobiłem? – spytał dotknięty do żywego. – Przecież chciałaś się ze mną przespać, może nie?

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

– Tak mi się wydawało, póki nie zdałam sobie sprawy, że jedyne, co masz wspólnego z Rudolfem Valentino, to to, że obaj jesteście martwi. Możesz sobie brylować w hotelu Plaza, ale w łóżku, zapewniam cię, jesteś do niczego. – Ubrana, zatrzymała się z ręką na klamce, formułując pożegnalną obelgę. – Ciekawe, czy udało ci się kiedy namówić jakąś dziewczynę, żeby poszła z tobą do łóżka drugi raz?

Abel stał jak ogłuszony, wpatrując się w zamknięte z trzaskiem drzwi. Przez cały dzień gnębiły go słowa Clary. Nie miał nikogo, z kim by mógł na ten temat porozmawiać. George by go wyśmiał, a personel hotelowy był święcie przekonany, że Abel wszystko potrafi. Doszedł wreszcie do wniosku, że i tę trudność, jak wszystkie inne, które napotkał w życiu, z pewnością uda mu się przezwyciężyć z pomocą wiedzy lub doświadczenia.

Po lunchu, kiedy miał wolne popołudnie, odwiedził księgarnię Scribnera na Piątej Alei. Była mu przydatna w rozwikłaniu wszelkich problemów lingwistycznych i ekonomicznych, ale jeśli chodzi o

seksualne, nie mógł znaleźć nic, co by choć trochę mogło mu pomóc. Podręcznik savoir vivre'u był bezużyteczny, a *Zasady moralne* W. F. Colberta całkiem nie na temat.

Abel wyszedł z księgarni z pustymi rękoma i resztę popołudnia spędził w obskurnym kinie na Broadwayu, nie patrząc na ekran, tylko rozmyślając o tym, co powiedziała Clara. Film, opowieść o miłości, z Gretą Garbo w roli głównej, aż do sceny finałowej nie osiągnął stadium pocałunku i okazał się równie nieprzydatny jak księgarnia Scribnera.

Kiedy Abel wyszedł z kina, zapadł już wieczór i na Broadwayu wiał chłodny wietrzyk. Abla wciąż zdumiewało, że w mieście może być nocą równie jasno i ruchliwie jak w dzień. Skierował się poza centrum, ku Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, mając nadzieję, że spacer rozjaśni mu umysł. Przystanął na rogu Pięćdziesiątej Drugiej, aby kupić wieczorną gazetę.

– Rozglądasz się za dziewczyną? – spytał ktoś zza kiosku z gazetami.

Spojrzał w stronę, skąd dobiegł głos. Kobieta miała na oko trzydzieści pięć lat i jaskrawy makijaż, a usta umalowane najmodniejszą ostatnio szminką. Ubrana była w białą jedwabną bluzkę, rozchyloną na piersiach, i długą czarną spódniczkę, pończochy i pantofle w tym samym kolorze.

– Tylko pięć dolarów, i nie pożałujesz ani centa – powiedziała, wysuwając biodro tak, że rozcięcie spódnicy rozchyliło się i odsłoniło podwiązki.

– Gdzie? – zapytał Abel.

– Mam mały pokoik parę kroków stąd. – Ruchem głowy pokazała mu kierunek i Abel pierwszy raz w świetle latarni zobaczył jej twarz.

Była niebrzydka. Abel kiwnął głową na znak, że się zgadza, więc wzięła go pod ramię i ruszyli przed siebie.

– Gdyby nas zatrzymała policja – powiedziała – to jesteś moim znajomym, a na imię mi Joyce.

Powędrowali do następnej przecznicy i weszli do nędznego, małego domu czynszowego. Abla przeraził widok obskurnego pokoiku, jaki zajmowała, oświetlonego jedną gołą żarówką, z jednym krzesłem, miednicą i wygniecionym łóżkiem, najwyraźniej już kilka razy używanym tego dnia.

– Tu mieszkasz? – spytał niedowierzająco.

– Na Boga, nie. Tutaj tylko pracuję.

– Dlaczego to robisz? – spytał Abel, wahając się, czy przeprowadzić swój zamysł.

– Mam dwoje dzieci na utrzymaniu i jestem bez męża. Chyba nie trzeba lepszego powodu. No jak, chcesz mnie czy nie?

– Owszem, ale nie w taki sposób, jak myślisz.

Spojrzała na niego nieufnie.

– Może jesteś jednym z tych kopniętych naśladowców markiza de Sade, co?

– Nie, na pewno nie.

– I nie zamierzasz przypalać mi ciała papierosem?

– Nic podobnego – powiedział Abel, wzdrygnąwszy się. – Chcę, żeby mnie ktoś uczył. Chodzi mi o lekcje.

– Lekcje? Żarty sobie stroisz? Cóż ty sobie, kochasiu, myślisz, że to wieczorowa szkoła pieprzenia?

– Coś w tym rodzaju – zgodził się Abel i, przysiadłszy na łóżku, opowiedział jej o reakcji Clary poprzedniego dnia. – Czy uważasz, że

mogłabyś mi pomóc?

Królowa nocy przyjrzała się Ablowi, chcąc się upewnić, czy z niej nie kpi.

– Jasne – powiedziała w końcu – ale to będzie cię kosztowało pięć dolarów za każdą trzydziestominutową sesję.

– Drożej niż dyplom Uniwersytetu Columbia – stwierdził Abel. – Ile lekcji będę potrzebował?

– To zależy, jak pojętnym będziesz uczniem, prawda?

– No to zaczynajmy od razu – powiedział Abel, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki pięć dolarów i wręczając kobiecie. Włożyła banknot za pończochę, co oznaczało, że ich przy tym nie zdejmowała.

– Zrzucaj łachy – poleciła. – Nie nauczysz się za dużo w ubraniu.

Kiedy stanął przed nią nagi, przyjrzała mu się krytycznie. – No, Douglas Fairbanks to ty nie jesteś, nie ma co. Ale nie przejmuj się. Po ciemku nie jest ważne, jak się wygląda, ważne, co się umie.

Abel usiadł na brzegu łóżka, ona zaś zaczęła mu mówić, jak należy podejść do kobiety. Była zdziwiona, że Abel naprawdę jej nie chce, a jeszcze bardziej zdumiewało ją, gdy przychodził regularnie każdego dnia przez następne dwa tygodnie.

– Kiedy będę wiedział, że już jestem dobry? – dopytywał się.

– Będziesz wiedział, kochasiu – uspokajała go Joyce. – Jeśli mnie doprowadzisz do orgazmu, to uda ci się to nawet z mumią egipską.

Najpierw mu pokazała, gdzie na ciele kobiety znajdują się wrażliwe miejsca, następnie uczyła go cierpliwości w pieszczotach i objaśniała, jak rozpoznać, że partnerka odczuwa przyjemność, wreszcie instruowała go, jak posługiwać się wargami i językiem całując ciało kobiety.

Abel wysłuchiwał jej uwag i wykonywał polecenia skrupulatnie, chociaż z początku nieco mechanicznie. Mimo zapewnień Joyce, że czyni nadzwyczajne postępy, nie wierzył jej, i dopiero po około trzech tygodniach i wydaniu stu dziesięciu dolarów, gdy ku jego zaskoczeniu i radości Joyce nagle po raz pierwszy ożyła w jego ramionach, przekonał się, że mówiła prawdę. Gdy delikatnie pieścił językiem jej sutki, przyciskała do siebie jego głowę. Kiedy leciutko gładził wnętrze jej ud, poczuł, że jest wilgotna – pierwszy raz – a później, kiedy ją wziął, wydała jęk, jakiego nigdy nie słyszał, a który podziałał na niego elektryzująco. Wbijała mu paznokcie w plecy i nakazywała, aby nie ustawał. Jęk to wzmagał się, to cichł. Wreszcie przeszywająco krzyknęła i rozluźniła kurczowy przedtem uścisk rąk.

Kiedy już złapała oddech, powiedziała:

– Kochasiu, egzamin zdałeś celująco.

On zaś nawet nie miał orgazmu.

Z okazji otrzymania obydwu dyplomów Abel kupił za paskarską cenę bilety na miejsca przy samym ringu i zaprosił George'a, Monicę i nieco opierającą się Clarę na walkę o mistrzostwo świata w wadze ciężkiej między Gene Tunneyem a Jackiem Dempseyem. Tej nocy, po meczu, Clara uznała pójście do łóżka z Ablem za swój obowiązek, skoro wydał na nią taki majątek. Rano błagała go, żeby nie odchodził.

Abel nie zaprosił jej już nigdy więcej.

Po ukończeniu studiów Abla przestała zadowalać praca w hotelu Plaza, ale nie wiedział, jak uczynić następny krok. Chociaż na co dzień miał do czynienia z wybrańcami fortuny i z najbogatszymi ludźmi w Ameryce, nie mógł ich zagadnąć wprost, gdyż wiedział, że straciłby pracę, a zresztą żaden z nich nie potraktowałby serio

aspiracji jakiegoś kelnera. Abel już dawno temu postanowił, że musi zostać starszym kelnerem.

Pewnego dnia na lunch do Sali Edwardiańskiej, gdzie Ablowi akurat wypadło zastępstwo, przybył pan Ellsworth Statler z małżonką. Abel uznał, że nadeszła jego chwila. Zrobił wszystko, żeby zyskać uznanie w oczach słynnego hotelarza, i lunch przebiegł wspaniale. Na odchodnym Statler serdecznie podziękował Ablowi i dał mu dziesięć dolarów, ale na tym się skończyło. Abel patrzył, jak znika w drzwiach obrotowych hotelu Plaza, i zastanawiał się, czy szczęście kiedyś się do niego uśmiechnie.

Sammy, starszy kelner, trącił go w ramię.

– Skorzystałeś coś? – spytał.

– Nic – odparł Abel.

– Statler nie dał ci napiwku? – zdziwił się Sammy.

– A tak, oczywiście – powiedział Abel. – Dziesięć dolarów. – Wręczył pieniądze Sammy'emu.

– To rozumiem. Już myślałem, że chcesz mnie naciąć. Dziesięć dolarów to nieźle nawet jak na Statlera. Widać zrobiłeś na nim wrażenie.

– Niestety, nie.

– O co ci chodzi? – nie mógł się połapać Sammy.

– Nic takiego – rzucił Abel, odwracając się.

– Poczekaj, mam dla ciebie wiadomość. Dżentelmen przy siedemnastym stoliku, jakiś pan Leroy, chce z tobą pomówić.

– O czym?

– Skąd mogę wiedzieć? Może spodobały mu się twoje niebieskie oczy?

Abel zerknął ku stolikowi siedemnastemu, gdzie ze względu na niefortunne miejsce tuż przy wahadłowych drzwiach od kuchni sadzano tylko potulnych i nieznanych gości. Abel zawsze starał się unikać obsługiwania stolików w tej części sali.

– Kto to jest? – spytał Abel. – Czego może chcieć?

– Nie wiem – powiedział Sammy, nawet nie racząc unieść głowy. – Nie znam jak ty życiorysu każdego z gości. Podaję im dobre jedzenie, staram się dostać duży napiwek i liczę na to, że znowu przyjdą. Pewno myślisz, że to prosta filozofia, ale mnie starcza do szczęścia. Może na uniwersytecie zapomnieli cię wyuczyć takich prostych prawd. A teraz zbieraj się i idź, a jeśli dostaniesz napiwek, przynieś mi forsę w zębach.

Abel uśmiechnął się do łysiny Sammy'ego i podszedł do siedemnastki. Siedziały tam dwie osoby, mężczyzna w jaskrawej, kraciastej marynarce, która nie zyskała uznania w oczach Abla, i młoda, atrakcyjna kobieta z burzą jasnych loków; jej fryzura na chwilę zafrapowała Abla, który nieżyczliwie osądził, że to pewno nowojorska przyjaciółka kraciastego. Przybrał przepraszający wyraz twarzy, gotów postawić srebrnego dolara, że facet narobi rabanu o drzwi kuchenne i zażąda zmiany stolika, żeby zaimponować ponętnej blondynce. Nikomu nie odpowiadało wąchanie kuchennych zapachów i nieustanny łomot drzwi, potrącanych przez biegających tam i z powrotem kelnerów, jednak nie sposób było zlikwidować stolika, gdyż hotel pełen był stałych gości i nowojorczyków, którzy regularnie jadali w restauracji i na nowych przybyszów patrzyli trochę jak na intruzów. Dlaczego Sammy zawsze spycha na niego takie kłopotliwe sprawy? Abel ostrożnie zagadnął kraciastego.

– Pan chciał ze mną mówić?

– Zgadza się – powiedział mężczyzna z południowym akcentem. – Nazywam się Davis Leroy, a to moja córka Melanie.

Abel przeniósł na chwilę wzrok na dziewczynę i napotkał spojrzenie intensywnie zielonych oczu.

– Ablu, obserwuję cię od pięciu dni – powiedział Leroy, przeciągając słowa w sposób charakterystyczny dla Amerykanów z Południa.

Gdyby go zapytano, Abel musiałby przyznać, że dopiero pięć minut temu zauważył pana Leroya.

– Zaimponowałeś mi. Masz, chłopaku, klasę, pierwszorzędną klasę, a ja mam na to oko. Ellsworth Statler jest głupi, że cię z miejsca nie zaangażował.

Abel przyjrzał się uważniej Leroyowi. Jego purpurowe policzki i podwójny podbródek były widomymi oznakami, że nie dotarła do niego wieść o wprowadzeniu prohibicji, a stojące przed nim opróżnione talerze wyjaśniały, skąd mu się wziął pokaźny brzuch. Jednak ani jego nazwisko, ani twarz nic Ablowi nie mówiły. W porze lunchu Abel wiedział, kim jest każdy z gości z trzydziestu siedmiu na trzydzieści dziewięć stolików Sali Edwardiańskiej. Tego dnia pan Leroy był jednym z dwóch, których nie znał.

– To prawda, nie jestem jednym z tych multimilionerów – ciągnął południowiec – którzy koniecznie muszą zajmować stolik w rogu, kiedy zatrzymują się w hotelu Plaza.

Abel spojrzał na niego z respektem. Zwyczajni goście nie trudzili się zazwyczaj ocenianiem poszczególnych stolików.

– Ale ja też nie gonię w piętkę. Myślę, że mój najlepszy hotel pewnego dnia może stać się równie znakomity jak ten.

– Na pewno, proszę pana – Abel chciał zyskać na czasie. Leroy, Leroy, Leroy. To nazwisko nic mu nie mówiło.

– Powiem prosto z mostu, synu. Potrzebuję do mojego najlepszego hotelu zastępcy dyrektora, zarządzającego restauracjami. Jeśli jesteś zainteresowany, zajrzyj do mnie, kiedy będziesz wolny.

Podał Ablowi dużą, wytłaczaną kartę wizytową.

– Dziękuję panu – powiedział Abel, odczytując ją: „Dawid Leroy, Grupa Hoteli Richmond, Dallas". Poniżej napisano: „W przyszłości hotel w każdym stanie". Nazwisko nadal Ablowi nic nie mówiło.

– Będę na ciebie czekał – powiedział przyjaźnie Teksańczyk w kraciastej marynarce.

– Dziękuję panu – skłonił się Abel. Uśmiechnął się do Melanie, której oczy były niewzruszenie zielone, i wrócił do Sammy'ego, który nadal ze spuszczoną głową liczył swoje wpływy.

– Słyszałeś kiedyś o Hotelach Richmond, Sammy?

– No pewnie, mój brat był kiedyś w jednym z nich pikolakiem. Jest ich chyba osiem albo dziewięć, wszystkie na Południu, należą do jakiegoś zwariowanego Teksańczyka, ale nie pamiętam jego nazwiska. A dlaczego pytasz? – zainteresował się Sammy, podnosząc głowę i podejrzliwie przyglądając się Ablowi.

– Bez żadnego specjalnego powodu.

– To nie byłbyś sobą. A o co chodziło temu facetowi przy stoliku siedemnastym?

– Narzekał na kuchenne hałasy, wcale mu się zresztą nie dziwię.

– Cóż on chce, żebym dał mu najlepszy stolik? Może sobie wyobraża, że jest Johnem D. Rockefellerem?

Abel zostawił gderającego i liczącego pieniądze Sammy'ego i pospiesznie sprzątnął ze stolików w swoim rewirze. Następnie

poszedł do swojego pokoju i zaczął zbierać informacje o Hotelach Richmond. Wystarczyło kilka telefonów, żeby zaspokoić ciekawość. Okazało się, że hotele są własnością spółki prywatnej, że jest ich jedenaście, a najlepszy z nich to hotel Continental kategorii de luxe w Chicago, z trzystu czterdziestoma trzema pokojami. Abel uznał, że nic nie straci, jeśli złoży wizytę panu Leroyowi i Melanie. Sprawdził numer pokoju Leroya. Osiemdziesiąt pięć – jeden z najlepszych niewielkich pokoi. Abel stawił się tam tuż przed czwartą i był rozczarowany, że Melanie nie ma.

– Rad jestem, że wpadłeś, Ablu. Proszę, siadaj. Po raz pierwszy od ponad czterech lat pracy w hotelu Plaza Abla potraktowano jak gościa. – Ile zarabiasz? – zapytał Leroy.

Obcesowość pytania zaskoczyła Abla.

– Razem z napiwkami około dwudziestu pięciu dolarów tygodniowo.

– Dam ci na początek trzydzieści pięć tygodniowo.

– Który hotel ma pan na myśli? – zagadnął Abel.

– O ile znam się na ludziach, Ablu, to skończyłeś pracę o trzeciej trzydzieści i przez następne pół godziny dowiadywałeś się, o który hotel chodzi. Czy mam rację?

Facet zaczynał się Ablowi podobać.

– Continental w Chicago? – spróbował zgadnąć.

– Dobrze myślałem, nie omyliłem się co do ciebie – roześmiał się Davis Leroy.

Umysł Abla pracował szybko.

– Ilu ludzi ma nad sobą zastępca dyrektora? – spytał.

– Tylko dyrektora i mnie. Dyrektor jest flegmatyczny, łagodny i wkrótce idzie na emeryturę, a ja mam dziesięć innych hoteli na

głowie, więc nie sądzę, żebyś miał za dużo kłopotu, chociaż przyznaję, że hotel w Chicago jest dla mnie oczkiem w głowie, pierwszym moim hotelem na Północy, a w dodatku Melanie tam studiuje, więc przebywam w Wietrznym Mieście więcej, niż powinienem. Nie popełniaj nigdy błędu nowojorczyków, którzy nie doceniają Chicago. Uważają, że Chicago jest tylko znaczkiem na bardzo dużej kopercie, a tą kopertą są oni.

Abel się uśmiechnął.

– Hotel jest teraz trochę zaniedbany – ciągnął Leroy – a poprzedni zastępca dyrektora nagle zrezygnował, nie podając żadnych powodów. Potrzebuję kogoś dobrego na jego miejsce, kto postawi hotel na odpowiednim poziomie. Posłuchaj, Ablu, obserwowałem cię uważnie w ciągu ostatnich pięciu dni i wiem, że byś się nadawał. Czy miałbyś ochotę przenieść się do Chicago?

– Gdybym dostał czterdzieści dolarów i dziesięć procent od wzrostu zysków, to tak.

– Co? – Leroyowi na chwilę odebrało mowę. – Żaden dyrektor moich hoteli nie ma udziału w zyskach. Zrobiliby mi piekło, gdyby się o tym dowiedzieli.

– Ode mnie się nie dowiedzą, chyba że od pana – rzekł Abel.

– Teraz wiem, że dobrze wybrałem, chociaż targujesz się lepiej od Jankesa, który musi wyposażyć sześć córek. – Uderzył dłonią w poręcz krzesła. – Zgadzam się na twoje warunki.

– Czy będę musiał przedstawić referencje, panie Leroy?

– Referencje? Znam twoją przeszłość od czasu, kiedy wyjechałeś z Europy aż do momentu, gdy uzyskałeś dyplom ekonomii Uniwersytetu Columbia. Jak myślisz, co robiłem przez ostatnie kilka

dni? Nie brałbym kogoś, kto potrzebuje referencji, na człowieka numer dwa w moim najlepszym hotelu. Kiedy możesz zacząć?

– Od dziś za miesiąc.

– Dobrze. Będę na ciebie czekał.

Abel podniósł się z krzesła; lepiej się czuł, stojąc. Wymienił uścisk dłoni z Davisem Leroyem, człowiekiem, który siedział przy stoliku siedemnastym, tym dla anonimowych gości.

Rozstanie z Nowym Jorkiem i hotelem Plaza, pierwszym prawdziwym domem Abla po zamku pod Słonimiem, okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Pożegnania z George'em, Monicą i paroma przyjaciółmi z uniwersytetu były nadspodziewanie wzruszające. Sammy i inni kelnerzy urządzili mu pożegnalne przyjęcie.

– Jeszcze nieraz usłyszymy o Ablu Rosnovskim – powiedział Sammy i wszyscy się z nim zgodzili.

Hotel Richmond Continental w Chicago był doskonale usytuowany na Michigan Avenue, w samym sercu najszybciej rozwijającego się miasta w Ameryce. Ucieszyło to Abla, który doskonale pamiętał powiedzenie Ellswortha Statlera, że dla hotelu ważne są tylko trzy rzeczy: położenie, położenie i jeszcze raz położenie. Abel wkrótce odkrył, że na tym kończą się zalety hotelu. Davis Leroy użył bardzo delikatnego określenia, mówiąc, że hotel jest trochę zaniedbany. Desmond Pacey, dyrektor, wcale nie był flegmatyczny i łagodny, jak mówił Leroy; był zwyczajnie leniwy i nie pozyskał sobie sympatii Abla, wyznaczając mu maleńką klitkę w położonym po drugiej stronie ulicy domu dla personelu, zamiast ulokować go w głównym budynku hotelowym. Pobieżne sprawdzenie

ksiąg hotelowych ujawniło, że hotel jest zajęty w niespełna czterdziestu procentach, a restauracja zawsze na pół pusta, w dużej mierze z powodu okropnej kuchni. Personel mówił między sobą trzema czy czterema językami i żaden z nich wcale nie przypominał angielskiego, poza tym najwyraźniej nikt się nie cieszył z powodu przyjazdu głupiego Polaka z Nowego Jorku. Było zrozumiałe, dlaczego poprzedni zastępca dyrektora umknął stąd w takim pośpiechu. Skoro to miał być ulubiony hotel Davisa Leroya, to można się było obawiać o pozostałe dziesięć, jeśli nawet nowy pracodawca Abla miał w Teksasie niewyczerpaną kopalnię złota.

Najlepszą wiadomością, jaką Abel usłyszał w pierwszych dniach swego pobytu w Chicago, było to, że Melanie jest jedynaczką.

14

William i Matthew rozpoczęli studia w Harvardzie jesienią 1924 roku. Mimo dezaprobaty babek William przyjął stypendium Hamiltona i za dwieście dziewięćdziesiąt dolarów zafundował sobie „Daisy", najnowszą wersję forda model T, pierwszą wielką miłość swojego życia. Przemalował samochód na jaskrawożółty kolor, co o połowę zmniejszyło jego wartość, ale podwoiło zainteresowanie dziewcząt jego właścicielem. Calvin Coolidge wygrał przytłaczającą liczbą głosów wybory i ponownie został prezydentem, a nowojorska giełda papierów wartościowych osiągnęła najwyższe od pięciu lat obroty, odnotowując dwa miliony trzysta trzydzieści sześć tysięcy sto sześćdziesiąt transakcji.

Obydwaj młodzieńcy (babka Cabot uznała, że nie można ich już dłużej nazywać dziećmi) nie mogli się doczekać początku roku akademickiego. Po sportowym lecie spędzonym głównie na grze w tenisa i w golfa byli gotowi do podjęcia poważniejszych zadań. William zasiadł do pracy od razu pierwszego dnia, gdy tylko znalazł się w nowym pokoju na „Złotym Brzegu", bez porównania wygodniejszym od klitki w Gimnazjum św. Pawła, Matthew zaś, nie zwlekając, udał się na poszukiwanie klubu wioślarskiego. Matthew został wybrany kapitanem drużyny wioślarskiej pierwszoroczniaków i William każdego niedzielnego popołudnia odkładał książki i z brzegu Charles River oglądał wyczyny przyjaciela. W cichości ducha cieszył się z jego sukcesów, ale pokrywał to kpinami.

– Są w życiu ważniejsze sprawy niż zabawy ośmiu drągali walących w spienioną wodę nieporęcznymi żerdziami na komendę najmniejszego z nich – dogryzał koledze.

– Powiedz to lepiej tym z Yale – odcinał się Matthew.

William prędko udowodnił swoim profesorom matematyki, że w nauce, jak Matthew w sporcie, bije wszystkich na głowę. Został przewodniczącym Towarzystwa Dyskusyjnego studentów pierwszego roku oraz nakłonił swojego dziadka stryjecznego, rektora Lowella, do wprowadzenia pierwszego w historii uniwersyteckiego systemu ubezpieczeniowego, który dałby absolwentom opuszczającym Harvard możliwość wykupienia polisy ubezpieczeniowej na życie na kwotę tysiąca dolarów przy określeniu uniwersytetu jako beneficjenta. William obliczył, że koszt dla każdego z uczestników byłby mniejszy niż jeden dolar tygodniowo i że jeśli zgłosiłoby się czterdzieści procent absolwentów uniwersytetu, miałby zagwarantowane wpływy w wysokości około trzech milionów rocznie począwszy od 1950 roku. Rektor był pełen uznania i energicznie poparł projekt, a po roku zaproponował Williamowi wejście do zarządu komitetu uniwersyteckiego gromadzącego fundusze. William z dumą przyjął zaproszenie, nie zdając sobie sprawy, że nominacja jest dożywotnia. Rektor Lowell poinformował babkę Kane, że udało mu się pozyskać jeden z najznakomitszych talentów finansowych tego pokolenia, i to za darmo. Babka Kane kąśliwie odpowiedziała kuzynowi, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, i William będzie miał nauczkę, że należy większą wagę przywiązywać do uwag pisanych petitem.

Zaraz po rozpoczęciu roku akademickiego trzeba było wybrać – bądź zostać do niego wybranym – jeden z klubów absolwentów,

skupiających życie towarzyskie zamożnych studentów Harvardu. William „został pasowany” na członka najstarszego, najbogatszego, najbardziej ekskluzywnego i bezpretensjonalnego klubu Porcellian. W siedzibie klubu na Massachusetts Avenue, usytuowanej zupełnie niewłaściwie nad lichą restauracją samoobsługową Hayesa-Bickforda, William siadał w wygodnym fotelu i rozważał problem czterobarwnych map, wiódł dyskusje na temat procesu Loeba i Leopolda lub leniwie obserwował ulicę przez odpowiednio ustawione lustro, słuchając przy tym wielkiego, nowomodnego radia.

Na ferie Bożego Narodzenia wybrał się z Matthew na narty do Vermontu i spędził tydzień na żmudnym podchodzeniu jego śladem pod górę, dysząc w kark bardziej zaprawionemu we wspinaczkach przyjacielowi.

– Powiedz mi, Matthew, jaki ma sens godzinne wchodzenie pod górę po to tylko, żeby z niej potem zjechać w kilka sekund, ryzykując życie i całość rąk i nóg?

– W każdym razie to mi sprawia o wiele większą frajdę niż teoria grafów – mruknął Matthew. – A ty lepiej byś się przyznał, że nie jesteś mistrzem ani we wspinaczce, ani w zjeździe.

Obaj przyjaciele pracowali na tyle sumiennie, że zaliczyli pierwszy rok studiów, tyle że ich kryteria sumienności – i indeksy – diametralnie się różniły. Przez pierwsze dwa miesiące letnich wakacji odbywali praktyki w banku Charlesa Lestera w Nowym Jorku; Lester już dawno temu przestał bronić Williamowi dostępu do swojego królestwa. Kiedy nadeszły upalne dni sierpnia, większość czasu spędzali, rozbijając się „Daisy” po Nowej Anglii, pływali żaglówką na Charles River z coraz to nowymi dziewczynami i uczęszczali na wszystkie kilkudniowe przyjęcia w wiejskich rezydencjach, na jakie

tylko udało im się wprosić. Nie wiadomo kiedy stali się popularnymi osobistościami życia uniwersyteckiego, znanymi wtajemniczonym jako Mędrzec i Atleta. Wśród socjety bostońskiej panowało przekonanie, że dziewczyna, która poślubi Williama Kane'a albo Matthew Lestera, będzie miała zapewnioną przyszłość, ale gdy tylko pełne nadziei matki pojawiały się ze swoimi różanolicymi pociechami, dostawały bezceremonialną odprawę od babki Kane i babki Cabot.

18 kwietnia 1926 roku William ukończył dwudziesty pierwszy rok życia i wziął udział w ostatnim spotkaniu powierników jego majątku. Alan Lloyd i Tony Simmons przygotowali wszystkie niezbędne dokumenty do podpisu.

– No cóż, Williamie – powiedziała Milly Preston takim tonem, jakby wreszcie zdjęto z niej wielkie brzemię odpowiedzialności. – Jestem pewna, że będziesz sobie radził nie gorzej od nas.

– Mam nadzieję, proszę pani. Gdybym jednak chciał kiedyś stracić pół miliona z dnia na dzień, będę wiedział, do kogo się zwrócić.

Milly Preston zaczerwieniła się jak piwonia, ale nie powiedziała ani słowa.

Majątek miał obecnie wartość ponad dwudziestu ośmiu milionów dolarów i William dokładnie wiedział, jak nim zadysponuje, jednak niezależnie od tego postanowił na własną rękę zarobić milion dolarów przed ukończeniem studiów. Nie było to dużo w porównaniu z odziedziczoną fortuną, ale to całe bogactwo nie było dla niego tak ważne jak saldo na jego osobistym koncie w banku Lestera.

Tego lata babki, które obawiały się nowej inwazji drapieżnych panienek, wyprawiły Williama razem z Matthew w podróż do Europy, która okazała się dla obu pasmem sukcesów. Matthew, przezwyciężając wszelkie bariery językowe, znajdował sobie dziewczynę w każdej ważniejszej stolicy europejskiej – miłość, tłumaczył Williamowi, nie zna granic. Williamowi udało się poznać dyrektorów większości głównych banków europejskich – pieniądz, zapewniał przyjaciela, też sobie drwi z granic. Od Londynu po Berlin i Rzym obaj młodzi ludzie zostawili za sobą łańcuszek złamanych serc i gromadkę zadziwionych bankierów. Kiedy powrócili do Harvardu, już na ostatni rok, z ochotą zabrali się do nauki.

Podczas ciężkiej zimy 1927 roku umarła babka Kane, dożywszy osiemdziesięciu pięciu lat i William płakał pierwszy raz od śmierci matki.

– Daj spokój – powiedział wreszcie Matthew, który przez kilka dni cierpliwie znosił smutek Williama. – Dość sobie użyła i czekała długo, aby się dowiedzieć, czy Pan Bóg to Cabot czy Lowell.

Williamowi brak było trafnych uwag babki, które niewiele sobie cenił, gdy żyła. Za to wyprawił jej taki pogrzeb, w którym sama z dumą wzięłaby udział. Wprawdzie dystyngowana dama została przywieziona na cmentarz karawanem, którym był czarny packard („Jeden z tych nowomodnych wymysłów – po moim trupie!”, choć okazało się, że nie „po”, lecz „z”), ale tylko ów niewydarzony środek transportu wzbudziłby jej zastrzeżenia co do sposobu uroczystego wyprawienia jej przez Williama w zaświaty. Śmierć babki sprawiła, że William na ostatnim roku studiów jeszcze bardziej niż zwykle przykładał się do nauki. Postanowił dla uczczenia pamięci babki zdobyć najwyższą nagrodę matematyczną. Babka Cabot zmarła po

około sześciu miesiącach, prawdopodobnie, jak podejrzewał William, z braku odpowiedniego towarzystwa.

W lutym 1928 roku Williamowi złożył wizytę prezes Towarzystwa Dyskusyjnego. W nastpnym tygodniu miało się odbyć uroczyste zebranie poświęcone dyskusji na temat „Przyszłość Ameryki: socjalizm czy kapitalizm?" i Williama naturalnie poproszono, aby reprezentował racje kapitalizmu.

– A co by się stało, gdybym chciał wystąpić wyłącznie w imieniu uciskanych mas? – spytał zaskoczonego prezesa William, trochę poirytowany, że przypisuje mu się takie a nie inne poglądy wyłącznie dlatego, że odziedziczył słynne nazwisko i doskonale prosperujący bank.

– Hm, muszę powiedzieć, że się nam wydawało, że wolałbyś... ee..

– Tak, wolałbym. Przyjmuję zaproszenie. Rozumiem, że zostawiacie mi wybór partnera?

– Oczywiście.

– Wobec tego wybieram Matthew Lestera. Czy mogę wiedzieć, jakich będziemy mieli przeciwników?

– Dowiecie się o tym dopiero na dzień przed dyskusją, kiedy na dziedzińcu zostaną wywieszone afisze.

W ciągu następnego miesiąca Matthew i William zamiast codziennych, prowadzonych przy śniadaniu polemik na temat lewicowych i prawicowych gazet i nocnych rozmów o sensie życia, odbywali narady strategiczne przed dyskusją, którą zaczęto na uniwersytecie nazywać „Wielką debatą". William zdecydował, że zapoczątkuje ją Matthew.

W miarę zbliżania się owego brzemiennego w wydarzenia dnia okazywało się, że na spotkanie stawi się nie tylko większość politycznie rozbudzonych studentów, ale również profesorowie, a nawet pewne znakomitości z Bostonu i Cambridge. Rankiem, w przeddzień debaty, dwaj przyjaciele poszli się dowiedzieć, kim będą ich przeciwnicy.

– Leland Crosby i Thaddeus Cohen. Czy któreś z tych nazwisk coś ci mówi, Williamie? Crosby musi być jednym z tych Crosbych z Filadelfii, nie sądzisz?

– Oczywiście, że tak. To ten „Czerwony Maniak z Rittenhouse Square", jak celnie ochrzciła go jego własna ciotka. Najbardziej wygadany rewolucjonista na całym uniwersytecie. Jest nadziany i całą forsę wydaje na różne radykalne kampanie. Już słyszę, co powie na początek.

– „Znam z własnego doświadczenia – zaczął William, parodiując zgrzytliwy głos Crosby'ego – drapieżność i absolutny brak społecznego sumienia amerykańskich klas posiadających". Jeśli okaże się, że nie wszyscy obecni słyszeli to już z pięćdziesiąt razy, to muszę powiedzieć, że będziemy mieli z nim twardy orzech do zgryzienia.

– A Thaddeus Cohen?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Następnego wieczoru, nie przyznając się jeden drugiemu do tremy, William i Matthew podążyli przed siebie smagani śniegiem i wiatrem, podwiewającym poły ich płaszczy, obok pobłyskujących w ciemności kolumn biblioteki Widenera – syn jej fundatora utonął na *Titanicu*, podobnie jak ojciec Williama – w kierunku Auli Boylstona.

– Przy takiej psiej pogodzie mało kto przyjdzie i jeśli dostaniemy po uszach, sprawa za bardzo się nie rozniesie – powiedział z nadzieją Matthew.

Kiedy jednak okrążyli z boku bibliotekę, zobaczyli nieprzerwany potok przytupujących, wypuszczających obłoki pary postaci wstępujących na schody i wypełniających aulę. Williama i Matthew zaprowadzono na podium i wskazano krzesła. William siedział nieruchomo, a jego oczy wyławiały wśród publiczności znane mu osoby. Byli tam: rektor Lowell, skromnie siedzący w środkowym rzędzie, stareńki profesor botaniki Newbury St. John; dwie sawantki z Brattle Street, które pamiętał z przyjęć w Czerwonym Domu; z prawej strony tłoczyła się grupa niekonwencjonalnie ubranych, czasem nawet bez krawatów, młodych mężczyzn oraz kobiet, która zaczęła klaskać, gdy wyraziciele jej poglądów – Crosby i Cohen – wkraczali na podium.

Z tych dwóch bardziej przyciągał uwagę Crosby, wysoki i wprost karykaturalnie chudy, ubrany niedbale – lub z wystudiowaną niedbałością – w miękki garnitur z włochatego tweedu, ale przy tym w wykrochmaloną, nieskazitelnie odprasowaną koszulę, z fajką zwisającą z ust, w niewytłumaczalny sposób trzymającą się tylko dolnej wargi. Thaddeus Cohen był niższy, na nosie miał szkła bez oprawek i odziany był w niemal idealnie skrojone ciemne ubranie z wełny czesankowej.

Czterej mówcy z rezerwą uścisnęli sobie ręce tuż przed rozpoczęciem debaty. Dzwony Memorial Church, oddalonego zaledwie o sto stóp, brzmiały niewyraźnie i daleko, wybijając siedem uderzeń.

– Pan Leland Crosby, junior – zapowiedział przewodniczący debaty.

Mowa Crosby'ego mogła sprawić Williamowi satysfakcję. Przewidział wszystko, od zgrzytliwego tonu głosu, jaki przybrał mówca, po przesadnie, wręcz histerycznie akcentowane argumenty, jakie przytoczył. Wyrecytował całą litanię haseł z repertuaru amerykańskiego radykalizmu – zajścia na Haymarket Square, Money Trust, Standard Oil i nawet Cross of Gold*. Zdaniem Williama nie osiągnął zbyt wiele poza tym, że zrobił z siebie widowisko, aczkolwiek otrzymał spodziewane oklaski od grupy siedzącej z prawej strony. Z pewnością Crosby nie zyskał sobie nowych zwolenników, raczej wyglądało na to, że stracił trochę dotychczasowych. Porównanie z Williamem i Matthew – równie bogatymi, zajmującymi równie świetną pozycję społeczną, ale samolubnie odmawiającymi poświęcenia się w imię społecznej sprawiedliwości – mogło być dla niego po prostu zgubne.

Matthew przemawiał dobrze i rzeczowo, działając na słuchaczy jak balsam, istne uosobienie liberalnej tolerancji. William serdecznie i długo ściskał dłoń przyjacielowi, kiedy ten, przy głośnych oklaskach, wrócił na swoje miejsce.

– Myślę, że mamy ich w kieszeni – szepnął.

Ale Thaddeus Cohen zaskoczył dosłownie wszystkich. Miał miły, zdradzający nieśmiałość sposób bycia i budzący sympatię styl. Jego odniesienia i cytaty były uniwersalne, dobitne i odkrywcze. Nie wywołując u publiczności wrażenia, że coś się jej rozmyślnie sugeruje, emanował taką moralną niezłomnością, że wszystko poniżej tego poziomu wydawało się niegodne rozumnej istoty ludzkiej. Nie chciał taić nadużyć własnej strony ani niedoskonałości

jej przywódców, ale zostawił wrażenie, iż, mimo wszystkich zagrożeń, nie ma innej drogi poza socjalizmem, jeśli los ludzkości ma się kiedykolwiek polepszyć.

William był w kropce. Czysto logiczny atak na całokształt politycznych założeń przeciwników byłby daremny wobec subtelnego, przekonywającego wystąpienia Cohena. Z drugiej strony zakasowanie go jako wyraziciela wiary w ducha ludzkiego byłoby niemożliwe. William skoncentrował się zatem najpierw na zbiciu niektórych zarzutów Crosby'ego, następnie zaś przeciwstawił argumentacji Cohena własne wyznanie wiary w zdolność amerykańskiego systemu do osiągania najlepszych rezultatów w drodze konkurencji, zarówno intelektualnej, jak i ekonomicznej. Czuł, że jego wystąpienie było dobrą rozgrywką defensywną, ale niczym więcej, i usiadł z przekonaniem, że bynajmniej nie podważył przewagi Cohena.

Teraz nadeszła kolej Crosby'ego, który replikował swoim przeciwnikom. Natarł z furią, sprawiając wrażenie, jakby chciał zmiażdżyć nie tylko Matthew i Williama, lecz również Cohena, i zapytał publiczność, czy potrafi tu, na tej sali, znaleźć między sobą „wroga ludu". Piorunował wzrokiem audytorium przez kilka długich sekund, aż ludzi ogarnęło zmieszanie i nawet jego zdeklarowani zwolennicy zaczęli wpatrywać się w czubki własnych butów. Wówczas wychylił się do przodu i ryknął:

– Oto stoi przed wami! Właśnie przed chwilą przemawiał. Nazywa się William Lowell Kane! – Wskazując jedną ręką Williama, ale na niego nie patrząc, grzmiał: – Jego bank posiada kopalnie, w których górnicy umierają, aby właściciele mogli zagarniać dodatkowy milion rocznie w dywidendach. Jego bank popiera krwawe, skorumpowane

dyktatury w Ameryce Łacińskiej. Jego bank przekupuje amerykańskich kongresmenów, aby zniszczyć drobnych farmerów. Jego bank…

Tyrada trwała jeszcze kilka minut. William siedział nieruchomy jak posąg, od czasu do czasu notując jakąś uwagę w swoim żółtym bloczku prawniczym. Kilka osób z publiczności zaczęło krzyczeć: „Nie!" Zwolennicy Crosby'ego lojalnie próbowali zagłuszyć te krzyki, organizatorzy spotkania zaczęli się denerwować.

Czas przydzielony Crosby'emu już się kończył. Mówca wzniósł pięść i powiedział:

– Proszę państwa, pozwolę sobie zauważyć, że symbol ratunku dla Ameryki znajduje się dwieście jardów stąd. Stoi tam Biblioteka Widenera, największa biblioteka prywatna na świecie. Przychodzą tam biedni studenci, imigranci oraz najświetniej wykształceni Amerykanie, żeby pomnażać wiedzę i dobrobyt świata. Dlaczego powstała? Ponieważ jeden bogaty playboy miał nieszczęście wsiąść na pokład rajskiego stateczku o nazwie *Titanic*. Twierdzę, panie i panowie, że dopóki lud Ameryki nie wręczy każdemu członkowi klas rządzących biletu do własnej, prywatnej kabiny *Titanica* kapitalizmu, dopóty nagromadzone bogactwa tego wielkiego kontynentu nie zostaną oswobodzone i poświęcone służbie wolności, równości i postępu.

W miarę jak Matthew przysłuchiwał się słowom Crosby'ego, jego uczucia ewoluowały od radości, że popełniając gruby błąd, mówca skazał się na przegraną, przez wstyd za zachowanie przeciwnika, aż do wściekłości na wzmiankę o *Titanicu*. Nie miał pojęcia, jak William zareaguje na takie wyzwanie.

Kiedy wreszcie wrzawa trochę ucichła, prowadzący spotkanie podszedł do mównicy i zapowiedział:

– Pan William Lowell Kane.

William energicznie wszedł na podium i spojrzał na audytorium. Zapadła pełna oczekiwania cisza.

– Uważam, że poglądy zaprezentowane przez pana Crosby'ego nie zasługują na odpowiedź.

Usiadł. Po chwili zdziwionego milczenia wybuchły głośne oklaski.

Prowadzący debatę wrócił na podium, ale odnosiło się wrażenie, że nie wie, co począć. Głos, który odezwał się za jego plecami, przerwał napięcie:

– Pozwoli pan, panie przewodniczący, że zapytam pana Kane'a, czy zgodzi się, abym wykorzystał czas przydzielony mu na replikę? – To był Thaddeus Cohen.

William kiwnął głową na znak zgody. Cohen podszedł do mównicy i rozbrajająco zamrugał oczyma.

– Już dawno było wiadomo, że największą przeszkodą dla sukcesu socjalizmu w Stanach Zjednoczonych jest ekstremizm jego sojuszników. Trudno o bardziej dobitną egzemplifikację tego niefortunnego faktu niż wygłoszona tutaj mowa mojego kolegi. Skłonność do szkodzenia postępowej sprawie przez wezwanie do fizycznego unieszkodliwienia tych, którzy są jej przeciwni, może być zrozumiała, jeśli przejawia ją zahartowany w bojach imigrant, weteran walk ostrzejszych niż tutejsze. W Ameryce jest to godne pożałowania i niewybaczalne. We własnym imieniu pragnę serdecznie przeprosić pana Kane'a.

Tym razem oklaski rozległy się natychmiast. Niemal wszyscy wstali z miejsc i nieprzerwanie bili brawo.

William podszedł do Thaddeusa Cohena i uścisnął mu rękę. Dla żadnego z nich nie było niespodzianką, że William i Matthew zwyciężyli większością ponad stu pięćdziesięciu głosów. Spotkanie się skończyło i publiczność wartką strużką wypłynęła na ciche, pokryte śniegiem alejki, wędrując środkiem ulicy i rozmawiając z ożywieniem.

William nalegał, aby Thaddeus Cohen poszedł wraz z nim i Matthew na drinka. Wyruszyli razem poprzez Massachusetts Avenue, z trudem rozpoznając drogę w zaspach nawianego śniegu, i zatrzymali się przed wielkimi czarnymi drzwiami prawie naprzeciw Auli Boylstona. William otworzył je własnym kluczem i we trójkę weszli do westybulu. Zanim zamknięto drzwi, Cohen przemówił:

– Obawiam się, że nie będę tu mile widziany.

William w pierwszej chwili był zaskoczony.

– Nonsens – powiedział. – Jest pan ze mną.

Matthew rzucił przyjacielowi ostrzegawcze spojrzenie, ale zobaczył, że William ma zdecydowany wyraz twarzy.

Weszli po schodach, następnie do dużej sali, umeblowanej wygodnie, ale nie luksusowo, gdzie było jeszcze kilkunastu młodych mężczyzn siedzących w fotelach lub stojących w małych grupkach po dwóch i trzech. Gdy tylko William stanął w drzwiach, posypały się gratulacje.

– Byłeś świetny, Williamie. Właśnie tak należy traktować ten gatunek ludzi.

– Oto triumfator, pogromca bolszewików.

Thaddeus Cohen trzymał się z tyłu, w cieniu drzwi, ale William o nim nie zapomniał.

– Panowie, chciałbym wam przedstawić mojego szanownego oponenta, pana Thaddeusa Cohena.

Cohen z wahaniem postąpił do przodu.

Gwar ucichł. Kilka głów się odwróciło, jakby nagle zainteresowanych widokiem wiązów na dziedzińcu, których gałęzie uginały się pod ciężarem świeżego śniegu.

Nagle skrzypnęła deska podłogi pod stopami jednego z młodych ludzi, który opuścił pokój drugimi drzwiami. Potem wyszedł następny. Bez pośpiechu, bez widocznego porozumiewania się, cała grupa się ulotniła. Ostatni wychodzący rzucił Williamowi długie spojrzenie, po czym obrócił się na pięcie i zniknął.

Matthew skonsternowany popatrzył na swoich towarzyszy. Thaddeus Cohen spurpurowiał i spuścił głowę. William mocno zacisnął usta w zimnej furii, tak samo jak wtedy, gdy Crosby mówił o *Titanicu*.

Matthew dotknął ramienia przyjaciela.

– Lepiej chodźmy – powiedział.

Powlekli się we trójkę do mieszkania Williama, gdzie w milczeniu sączyli dość kiepski koniak.

Kiedy William obudził się następnego rana, znalazł kopertę wsuniętą pod drzwi. Wewnątrz była kartka ze zwięzłą wiadomością od prezesa klubu Porcellian, który oświadczał, że „ma nadzieję, iż więcej się nie powtórzy wczorajszy incydent, o którym najlepiej będzie zapomnieć”.

Jeszcze przed południem prezes otrzymał dwa listy z rezygnacjami z członkostwa klubu.

Po miesiącach pilnej pracy od rana do wieczora William i Matthew uznali, że są prawie gotowi – nikt nigdy sobie nie wyobraża, że jest całkiem gotów – by przystąpić do końcowych egzaminów. Przez sześć dni odpowiadali na pytania i wypełniali niezliczone kartki zeszycików z zadaniami testowymi, a potem czekali, zresztą nie na próżno, gdyż obydwaj zdali i ukończyli uniwersytet w czerwcu 1928 roku.

Tydzień później ogłoszono, że William zdobył rektorską nagrodę matematyczną. Żałował, że jego ojciec nie dożył uroczystości jej wręczenia. Matthew otrzymał dyplom z wynikiem dostatecznym, co jemu sprawiło radość, a nikogo nie zdziwiło. Żaden z nich nie interesował się dalszymi studiami, obaj chcieli jak najprędzej zacząć prawdziwe życie.

Na osiem dni przed opuszczeniem przez Williama uniwersytetu wpływy na jego koncie w banku nowojorskim przekroczyły milion dolarów. To właśnie wtedy William przeprowadził z Matthew bardziej szczegółową rozmowę na temat swojego dalekosiężnego planu przejęcia kontroli nad bankiem Lestera przez dokonanie fuzji z bankiem Kane'a i Cabota.

Matthew wpadł w entuzjazm i oznajmił:

– To chyba jedyny sposób na to, abym powiększył majątek, który niewątpliwie zostawi mi mój stary po swojej śmierci.

W dniu wręczania dyplomów do Harvardu przybył Alan Lloyd, któremu stuknęła właśnie sześćdziesiątka. Po zakończeniu uroczystości William zaprosił gościa na herbatę do uniwersyteckiej cukierni. Alan z rozrzewnieniem przyglądał się młodemu dryblasowi.

– I co zamierzasz robić teraz, kiedy masz już studia za sobą?

– Chcę pracować w banku Lestera w Nowym Jorku, żeby zdobyć jakieś doświadczenie, zanim za kilka lat przejdę do mojego banku.

– Przecież tkwisz w banku Lestera, od kiedy skończyłeś dwanaście lat, Williamie. Dlaczego nie przyjdziesz prosto do nas? Od razu zasiadłbyś w radzie nadzorczej.

William się nie odezwał. Propozycja Alana Lloyda była dla niego kompletnym zaskoczeniem. Przy całej jego ambicji nigdy ani na chwilę nie przyszło mu do głowy, że może zostać członkiem rady nadzorczej banku przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia, skoro jego ojciec osiągnął to właśnie w tym wieku.

Alan Lloyd czekał na jego odpowiedź, ale się nie doczekał.

– Hm – odezwał się w końcu – muszę powiedzieć, Williamie, że to do ciebie niepodobne, żeby odebrało ci mowę.

– Ale ja nigdy sobie nie wyobrażałem, że zaproponujesz mi wejście do rady nadzorczej, nim ukończę dwadzieścia pięć lat, czyli tyle, ile miał mój ojciec, kiedy…

– To prawda, że twój ojciec został wybrany, kiedy miał dwadzieścia pięć lat. Jednak to nie powód, aby opóźniać twoje wejście do rady, jeśli pozostali jej członkowie cię poprą. A o ile wiem, zrobią to. W każdym razie mam osobiste powody, abyś jak najszybciej się tam znalazł. Za pięć lat odejdę na emeryturę i musimy mieć pewność, że wybierzemy odpowiedniego prezesa. Uzyskasz większy wpływ na tę decyzję, jeśli w ciągu tych pięciu lat będziesz pracował u Kane'a i Cabota, niż gdybyś pełnił jakąś dostojną funkcję u Lestera. No więc, mój chłopcze, czy dołączysz do rady nadzorczej?

Już drugi dziś raz William żałował, że jego ojciec nie dożył tego dnia.

– Będę zaszczycony, proszę pana.

Alan przyjrzał się Williamowi.

– Pierwszy raz, odkąd graliśmy w golfa, zwróciłeś się do mnie per pan. Muszę na ciebie bardzo uważać.

William się uśmiechnął.

– Dobrze – powiedział Alan Lloyd – zatem postanowione. Zostaniesz zastępcą członka rady nadzorczej i zajmiesz się sprawami lokat. Twoim bezpośrednim zwierzchnikiem będzie Tony Simmons.

– Czy mogę sam dobrać sobie kogoś do pomocy?

Alan Lloyd spojrzał na niego kpiąco.

– Matthew Lestera, oczywiście?

– Tak.

– Nie. Nie chcę, żeby zajmował się u nas tym, czym ty zamierzałeś trudnić się u nich. Thomas Cohen powinien cię był tego nauczyć.

William nic nie powiedział, ale nigdy więcej nie pozwolił sobie nie doceniać Alana Lloyda.

Charles Lester zaczął się śmiać, kiedy William słowo po słowie powtórzył mu całą rozmowę.

– Żałuję, że nie przyjdziesz do nas, choćby jako szpieg – powiedział ciepło – ale nie wątpię, że pewnego dnia tak czy owak do nas trafisz, w takim czy innym charakterze.

---

* Cross of Gold (Złoty Krzyż) – ze słynnego przemówienia Williama Jenningsa Bryana, oratora i populisty, wygłoszonego podczas konwencji Partii Demokratycznej 8 lipca 1886 r. w Chicago, w którym powiedział, że nie można dopuścić do tego, aby ludzkość została ukrzyżowana na krzyżu ze złota – miał na myśli wyzysk świata pracy dla bogacenia się innych (przyp. tłum.).

Księga trzecia

15

Kiedy William rozpoczął pracę w banku Kane'a i Cabota we wrześniu 1928 roku, po raz pierwszy w życiu poczuł, że robi coś naprawdę wartego zachodu. Na początek zajął mały pokój wykładany dębową boazerią obok gabinetu Tony'ego Simmonsa, dyrektora finansowego banku. Już po kilku dniach, chociaż nie padło na ten temat ani jedno słowo, William wiedział, że Tony Simmons liczy na objęcie stanowiska po Alanie Lloydzie.

Simmons zarządzał całym programem lokat banku Kane'a i Cabota. Prędko przekazał Williamowi część obowiązków, a zwłaszcza lokowanie prywatnych środków w małych firmach, w gruntach i w innych przedsięwzięciach pozabankowych, w które bank był zaangażowany. Do obowiązków Williama należało sporządzanie miesięcznych sprawozdań o lokatach, jakie zalecał, przedstawianych na posiedzeniach całej rady nadzorczej. Czternastu członków rady spotykało się co miesiąc w większej sali z dębową boazerią, w której na dwu przeciwległych ścianach wisiały duże portrety, jeden przedstawiający ojca Williama, drugi jego dziadka. William nie znał dziadka, ale zawsze sądził, że musiał być nieustraszonym człowiekiem, skoro poślubił babkę Kane. Na ścianach było dość miejsca również na portret Williama.

W ciągu pierwszych miesięcy pracy w banku William postępował nadzwyczaj rozważnie i pozostali członkowie rady nadzorczej prędko nauczyli się szanować jego zdanie i z nielicznymi wyjątkami stosowali się do jego rad. Tak się jednak składało, że te, które odrzucali,

okazywały się najlepsze. Za pierwszym razem miało to miejsce, kiedy niejaki pan Mayer zwrócił się do banku o pożyczkę na produkcję filmów dźwiękowych, ale rada uznała, iż ten dziwaczny pomysł nie ma ani sensu, ani przyszłości. Później znów odwiedził Williama pan Paley i przedstawił mu ambitny plan założenia sieci radiowej United. Alan Lloyd, który miał tyle samo respektu dla telegrafii co dla telepatii, nie chciał się w to angażować. Rada stanęła po stronie Alana, później zaś Louis B. Mayer został szefem koncernu filmowego Metro Goldwyn Mayer, a William Paley towarzystwa, które następnie przekształciło się w Columbia Broadcasting System. William pokierował się własnym wyczuciem i poparł obu tych ludzi swoimi pieniędzmi i, jak ojciec, nigdy ich o tym nie poinformował.

Do niezbyt miłych stron pracy Williama należało zajmowanie się bankructwami i upłynnianiem majątku klientów, którzy zaciągnęli w banku wysokie pożyczki i potem nie byli w stanie ich zwrócić. William nie był miękki z natury, jak przekonał się na własnej skórze Henry Osborne, ale konieczność nakłaniania starych, szanowanych klientów, aby upłynniali papiery wartościowe, a nawet wyzbywali się własnych domów, spędzała mu sen z powiek. William prędko się przekonał, że klienci ci dzielą się na dwie różne kategorie; tych, którzy traktowali bankructwo jak coś powszedniego, i tych, których przerażało samo to słowo i którzy nieraz do końca życia solennie spłacali każdy pożyczony grosz. William uważał za naturalne, że wobec tych pierwszych należy być twardym, natomiast drugich niemal zawsze traktował o wiele łagodniej, na co, acz niechętnie, przystawał Tony Simmons.

Przy takiej właśnie sposobności zdarzyło się, że William złamał jedną z uświęconych reguł banku i zaangażował się w sprawę

osobiście. Klientka nazywała się Katherine Brookes; jej mąż, Max Brookes, pożyczył w banku Kane'a i Cabota ponad milion dolarów i zakupił za to grunty na Florydzie w czasie boomu na ziemię w 1925 roku. Gdyby wówczas William pracował w banku, nigdy by nie doradzał takiej lokaty. Max Brookes był w Massachusetts kimś w rodzaju bohatera, człowiekiem, który należał do nowego klanu nieustraszonych baloniarzy i lotników i w dodatku przyjaźnił się z Charlesem Lindberghiem. Tragiczna śmierć Brookesa, kiedy pilotowany przez niego mały samolot rozbił się na wysokości raptem trzech metrów nad ziemią, uderzając o drzewo zaledwie sto metrów po starcie, została ogłoszona w prasie jak Ameryka długa i szeroka jako ogólnonarodowa strata.

William, występując w imieniu banku, natychmiast przejął posiadłość Brookesa, której zadłużenie przekroczyło już jej wartość, rozparcelował ją i próbował zmniejszyć straty banku, sprzedając wszystkie grunty na Florydzie poza dwoma akrami ziemi, na której stał dom rodzinny. Jednakże straty banku wynosiły jeszcze trzysta tysięcy dolarów. Część członków rady nadzorczej odniosła się dość krytycznie do szybkiej wyprzedaży gruntów przez Williama, a Tony Simmons nie zgadzał się z tą decyzją. William polecił odnotować w protokole negatywne stanowisko Simmonsa i w kilka miesięcy później mógł wykazać, że gdyby bank nie pozbył się ziemi, straciłby prawie cały milion. Ten dowód przezorności nie pozyskał mu sympatii Tony'ego Simmonsa, chociaż uświadomił pozostałym członkom rady nadzorczej nadzwyczajną dalekowzroczność Williama.

Kiedy William upłynnił już wszystkie aktywa po Brookesie, które bank przejął jako gwarancję kredytu, skierował swoją uwagę na panią

Brookes, która osobiście poręczyła za pożyczkę męża. Wprawdzie William zawsze starał się uzyskać takie zabezpieczenie każdej pożyczki udzielanej przez bank, nigdy jednak nie zalecał przyjmowania tego typu zobowiązań przyjaciołom, choćby nie wiem jak byli przekonani o sukcesie przedsięwzięcia, gdyż niepowodzenie prawie zawsze narażało poręczyciela na duże przykrości.

William napisał urzędowy list do pani Brookes, proponując jej spotkanie w celu omówienia sytuacji. Skrupulatnie przejrzał papiery Brookesów i wiedział, że wdowa ma tylko dwadzieścia dwa lata, jest córką Andrew Higginsona, ojca szacownej bostońskiej rodziny, i że ma spory osobisty majątek. Nie uśmiechało mu się nakłanianie jej, żeby przekazała go bankowi, ale że przynajmniej raz zgadzali się obaj z Simmonsem co do linii postępowania, uzbroił się wewnętrznie, przewidując niemiłą rozmowę.

Czego jednak absolutnie nie mógł przewidzieć, to samej Katherine Brookes. Wydarzenia tego poranka w najdrobniejszych szczegółach wryły mu się w pamięć na całe życie. Zaczęło się od sprzeczki z Tonym Simmonsem na temat poważnej lokaty kapitału w miedzi i cynie, którą William zamierzał zaproponować na posiedzeniu rady nadzorczej. Zapotrzebowanie przemysłu na obydwa metale stale rosło i William był pewien, że niedługo wystąpi na świecie ich niedobór. Tony Simmons nie zgadzał się z nim, dowodząc, że należy ulokować więcej pieniędzy w akcjach, i William ciągle jeszcze o tym myślał, kiedy sekretarka wprowadziła panią Brookes. Jeden jej niepewny uśmiech wypłoszył z głowy Williama wszelkie myśli o miedzi, cynie i o światowych niedoborach. Jeszcze zanim usiadła, okrążył biurko i podsunął jej krzesło, tylko dlatego, by się upewnić, że z bliska nie rozpłynie się jak miraż. Nigdy nie spotkał

kobiety, która wydawałaby mu się choćby w połowie tak śliczna jak Katherine Brookes. Jej długie włosy opadały luźnymi, kapryśnymi lokami na ramiona, a drobne kosmyki wymykały się zachwycająco spod kapelusza i okalały skronie. To, że nosiła żałobę, w niczym nie ujmowało piękna jej szczupłej figurze. Drobna budowa kości zapewniała jej urodę w każdym wieku. Miała ogromne brązowe oczy. Malował się w nich niewątpliwy lęk przed nim i przed tym, co jej powie.

Starał się przybrać oficjalny ton głosu.

– Zechce pani przyjąć moje wyrazy współczucia z powodu śmierci męża i zapewnienie, że jest mi ogromnie przykro, iż musiałem panią tutaj fatygować.

Dwa kłamstwa w jednym zdaniu, które jeszcze pięć minut temu byłyby prawdą. Nie mógł się doczekać, kiedy usłyszy jej głos.

– Dziękuję panu. – Miała łagodny, niski tembr głosu. – Zdaję sobie sprawę z moich zobowiązań wobec banku i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby się z nich wywiązać.

William nie odezwał się, pragnąc, aby mówiła dalej. Ona jednak milczała, więc opisał jej pokrótce, jak rozporządził majątkiem Maksa Brookesa. Słuchała ze spuszczonymi oczami.

– Otóż, była pani poręczycielką pożyczki męża, co nas prowadzi do kwestii pani mienia osobistego. – Spojrzał w papiery. – Ma pani około osiemdziesięciu tysięcy dolarów ulokowanych w papierach wartościowych – są to zapewne pani pieniądze rodzinne – oraz siedemnaście tysięcy czterysta pięćdziesiąt sześć dolarów na koncie osobistym.

Podniosła oczy.

– Pańska znajomość mojej sytuacji materialnej jest imponująca, proszę pana. Ale powinien pan jeszcze wymienić Buckhurst Park, nasz dom na Florydzie, który zapisany był na nazwisko Maksa, oraz moją osobistą biżuterię, która przedstawia znaczną wartość. Oceniam, że wszystko razem będzie warte trzysta tysięcy dolarów, brakujących bankowi, i pragnę pana poinformować, że poczyniłam kroki, żeby jak najszybciej uzyskać tę sumę.

Drżenie w jej głosie było ledwo dosłyszalne. William patrzył na nią z podziwem.

– Proszę pani, bank nie ma najmniejszego zamiaru ogałacać pani z wszystkiego do ostatka. Za pani zgodą chcielibyśmy sprzedać pani papiery wartościowe. Poza tym wszystko, co pani wymieniła, łącznie z domem, powinno naszym zdaniem pozostać nadal pani własnością.

Zawahała się.

– Wdzięczna jestem panu za tę hojność. Jednakże wolałabym nie mieć żadnych zobowiązań wobec pańskiego banku i nie chciałabym, aby na nazwisku mego męża pozostała jakakolwiek skaza. – Znów nieznaczne drżenie głosu, natychmiast opanowane. – W każdym razie postanowiłam sprzedać dom na Florydzie i jak najszybciej przenieść się z powrotem do rodziców.

Na wiadomość, że zamierza wrócić do Bostonu, Williamowi żywiej zabiło tętno.

– W takim razie – powiedział – może byśmy uzgodnili kwestię podziału dochodu ze sprzedaży.

– Możemy to zrobić teraz – oświadczyła zdecydowanie. – Musi pan otrzymać całą sumę.

William chciał ją nakłonić do jeszcze jednego spotkania.

– Nie musimy się tak spieszyć. Myślę, że rozsądniej będzie, jeśli skonsultuję się wpierw z kolegami, i później porozmawiamy jeszcze raz na ten temat.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Jak pan sobie życzy. Tak czy owak, nie zależy mi na pieniądzach i nie chciałabym też sprawiać panu kłopotu.

William aż zamrugał ze zdziwienia.

– Proszę pani, muszę przyznać, że zaskakuje mnie pani swoją wielkodusznością. Niech mi pani przynajmniej zrobi tę przyjemność i pozwoli się zaprosić na lunch.

Uśmiechnęła się pierwszy raz, ukazując nieoczekiwanie dołeczek w prawym policzku. William wpatrzył się weń z zachwytem i potem, podczas długiego lunchu u Ritza, robił, co mógł, żeby przywoływać go jak najczęściej. Kiedy wrócił do swojego biura, było już dobrze po trzeciej.

– Przeciągnął się ten lunch – zauważył Tony Simmons.

– Tak, sprawa Brookesów okazała się bardziej skomplikowana, niż sądziłem.

– Wydawała mi się całkiem prosta, kiedy przeglądałem papiery – stwierdził Simmons. – Czyżby pani Brookes czuła się pokrzywdzona naszą ofertą? Sądzę, że zachowaliśmy się dosyć wspaniałomyślnie, zważywszy na okoliczności.

– Tak, ona też tak uważa. Musiałem ją nakłaniać, żeby nie pozbywała się ostatniego dolara, aby zasilić nasze rezerwy.

Tony Simmons spojrzał na niego zdumiony.

– To całkiem niepodobne do Williama Kane'a, jakiego znamy i lubimy. Co prawda, nigdy nie było odpowiedniejszego momentu na okazanie wielkoduszności przez bank.

William się skrzywił. Od chwili jego przybycia do banku między nim a Tonym Simmonsem narastała rozbieżność zdań co do trendów na rynku papierów wartościowych. Wskaźnik Dow Jonesa szedł stale w górę od chwili wyboru Herberta Hoovera do Białego Domu w listopadzie 1928 roku. W istocie już dziesięć dni później obroty na nowojorskiej giełdzie papierów wartościowych osiągnęły rekordową wielkość ponad sześciu milionów transakcji w ciągu jednego dnia. Jednak William był przekonany, że tendencja zwyżkowa, napędzana dużym napływem pieniędzy z przemysłu automobilowego, doprowadzi w rezultacie do takiej huśtawki cen, że rynek przekroczy barierę równowagi. Z kolei Tony Simmons uważał, że tendencja ta się utrzyma, kiedy więc William na posiedzeniach rady nadzorczej doradzał ostrożność, za każdym razem spotykał się ze sprzeciwem. Miał jednak wolną rękę, gdy chodziło o pieniądze rodzinne, którymi zarządzał, zaczął więc na dużą skalę skupować ziemię, złoto, surowce, a nawet niektóre, pieczołowicie dobierane, obrazy impresjonistów, pozostawiając tylko połowę gotówki w akcjach.

Kiedy nowojorski oddział Banku Rezerwy Federalnej zadeklarował, że nie będzie redyskontował pożyczek tym bankom, które udzielają środków klientom wyłącznie na cele spekulacyjne, William uznał, że pierwsze uderzenie trafi w graczy na giełdzie. Natychmiast przestudiował plan kredytowy banku Kane'a i Cabota i obliczył, że bank ma w takich pożyczkach utopione ponad dwadzieścia sześć milionów dolarów. Usilnie prosił Tony'ego Simmonsa, aby je wycofał, gdyż takie rozporządzenie rządu spowoduje na dalszą metę nieuchronny spadek wartości akcji. Omal nie doszło między nimi do otwartej kłótni na comiesięcznym

posiedzeniu rady nadzorczej i propozycja Williama została odrzucona dwunastoma głosami przeciw, wobec dwu za.

Dwudziestego pierwszego marca 1929 roku bank Blair i Spółka ogłosił połączenie z Bank of America, co było trzecią z kolei fuzją banków, dobrze, zdawałoby się, rokującą na przyszłość, a dwudziestego piątego marca Tony Simmons przesłał Williamowi wiadomość, że rynek papierów wartościowych osiągnął kolejny rekord wszech czasów, po czym przystąpił do lokowania dalszych pieniędzy banku w akcjach. Do tego czasu William zdążył tak przemieścić swój kapitał, że tylko dwadzieścia pięć procent miał umieszczone w akcjach, przy czym posunięcie to kosztowało go już ponad dwa miliony dolarów strat oraz reprymendę ze strony zatroskanego Alana Lloyda.

– Na litość boską, co ty wyprawiasz, Williamie?

– Alanie, od czternastego roku życia zawsze radziłem sobie z tym rynkiem, przeciwstawiając się aktualnym trendom.

Kiedy jednak tendencja zwyżkowa utrzymywała się w ciągu lata 1929 roku, nawet William przestał się wyzbywać akcji, i nie był pewien, czy jednak Tony Simmons nie miał racji.

Zbliżała się chwila przejścia Alana Lloyda na emeryturę i wyraźna chętka Simmonsa na zajęcie po nim stanowiska prezesa zaczęła przybierać realny kształt. Owa perspektywa martwiła Williama, który uważał jego sposób myślenia za zbyt konwencjonalny. Simmons zawsze pozostawał o krok z tyłu za tendencjami rynku, co jest dopuszczalne w czasach boomu, kiedy wszystko idzie dobrze, ale może być niebezpieczne dla banku w bardziej konkurencyjnych, chudych latach. Przenikliwy gracz, zdaniem Williama, niekoniecznie musi iść za stadem, poddając się owczemu pędowi, natomiast

powinien umieć z góry przewidzieć kierunek, w jakim ono skręci. William już dawno doszedł do wniosku, że lokowanie pieniędzy w papierach wartościowych może być ryzykowne, podczas gdy Tony Simmons był przekonany, że Ameryka wkracza w złotą erę.

William martwił się, że Tony Simmons ma dopiero trzydzieści dziewięć lat, co oznaczało, że on musiałby czekać na zajęcie stanowiska prezesa rady nadzorczej i dyrektora banku Kane'a i Cabota jeszcze przez co najmniej dwadzieścia sześć lat. Nie było to to, co tygrysy lubią najbardziej.

William nie mógł zapomnieć Katherine Brookes. Pisywał do niej tak często, jak tylko wypadało, o sprzedaży jej papierów wartościowych; były to urzędowe, wystukiwane na maszynie listy, na które przychodziły oficjalne, pisane ręcznie odpowiedzi. Pewno sobie wyobrażała, że William jest najbardziej pedantycznym bankierem na świecie. Gdyby wiedziała, że jej teczka jest najgrubsza ze wszystkich, jakie William ma w swoim biurze, może dałoby to jej do myślenia. Wczesną jesienią powiadomiła go, że znalazła poważnego kupca na dom na Florydzie. William odpisał, proponując, że przeprowadzi transakcję w imieniu banku, na co wyraziła zgodę.

Pojechał na Florydę na początku września 1929 roku. Pani Brookes czekała na niego na stacji i William z zachwytem stwierdził, że w rzeczywistości jest o wiele piękniejsza niż w jego pamięci. Kiedy stała, czekając na peronie, lekki wiaterek owijał jej czarną sukienkę wokół ciała uwydatniając figurę, za jaką każdy mężczyzna drugi raz by się obejrzał, z wyjątkiem Williama, który ani na chwilę nie odrywał od niej oczu.

Wciąż jeszcze nosiła żałobę, a jej zachowanie wobec niego było tak poprawne i pełne rezerwy, że William zwątpił, czy zdołał wywrzeć na niej jakiekolwiek wrażenie. Przeciągał tak długo, jak się dało, negocjacje z farmerem, który kupował Buckhurst Park, i nakłonił Katherine Brookes, aby zatrzymała sobie jedną trzecią sumy uzyskanej ze sprzedaży, a bankowi oddała tylko dwie trzecie. W końcu, kiedy wszystkie formalności zostały załatwione, nie miał już pretekstu, aby zwlekać z powrotem do Bostonu. Zaprosił ją na kolację do swojego hotelu z postanowieniem, że chociaż częściowo wyjawi jej swe uczucia. Ale ona, zresztą nie pierwszy raz, zapytała go, patrząc w kieliszek, który obracała w ręku, aby uniknąć jego wzroku, czy nie chciałby spędzić kilku dni w Buckhurst Park.

– Takie wakacje we dwoje. – Zarumieniła się. William milczał. W końcu zdobyła się na odwagę i mówiła dalej. – Wiem, że to może wydać się zwariowane, ale musisz sobie uświadomić, że jestem bardzo osamotniona. To niezwykłe, ale nie pamiętam, bym kiedykolwiek czuła się tak dobrze, jak podczas tego tygodnia, jaki spędziliśmy razem. – Znów się zarumieniła. – Pewno niezręcznie się wyraziłam i pomyślisz sobie o mnie nie wiadomo co.

Williamowi tętno skoczyło jak zwariowane.

– Kate, od dziewięciu miesięcy miałem ochotę powiedzieć ci coś równie niezręcznego.

– Więc zostaniesz parę dni, Williamie?

– Tak, Kate, tak.

Tego wieczoru umieściła go w wielkiej gościnnej sypialni w Buckhurst Park. Po latach William zawsze wracał pamięcią do tych dni, które były złotym interludium w jego życiu. Jeździł konno razem z Kate i Kate jeździła lepiej od niego. Pływał z nią i ona go

wyprzedzała. Chodził z nią na dalekie wędrówki i zawsze wracał pierwszy, więc ostatecznie poprzestał na pokerze i wygrał od niej trzy i pół miliona dolarów w ciągu trzech i pół godziny gry.

– Czy przyjmiesz czek? – zapytała tonem wielkiej damy.

– Zapomniała pani, że znam pani sytuację majątkową, pani Brookes, ale mogę pójść pani na rękę. Będziemy grać, póki się pani nie odegra.

– To mogłoby potrwać kilka lat – odrzekła Kate.

– Niech trwa – powiedział William.

Złapał się na tym, że chętnie jej mówi o dawno zapomnianych wydarzeniach z przeszłości, o sprawach, o których rzadko wspominał nawet Matthew, o swoim szacunku do ojca, miłości do matki, ślepej nienawiści do Henry'ego Osborne'a, o swoich ambicjach związanych z bankiem Kane'a i Cabota. Ona zaś opowiadała mu o swoim dzieciństwie w Bostonie, szkolnych dniach w Wirginii i wczesnym małżeństwie z Maksem Brookesem.

Po pięciu dniach, kiedy żegnała go na stacji, pierwszy raz ją pocałował.

– Kate, powiem ci teraz coś bardzo zuchwałego. Mam nadzieję, że pewnego dnia poczujesz do mnie coś więcej, niż czułaś do Maxa.

– To już się stało – powiedziała cicho.

William utkwił w niej wzrok.

– Nie znikaj z mojego życia na następne dziewięć miesięcy.

– Nie mogę... Sprzedałeś mój dom.

W drodze powrotnej do Bostonu, czując się spokojniejszy i szczęśliwszy niż kiedykolwiek od czasu śmierci ojca, William naszkicował sprawozdanie ze sprzedaży Buckhurst Park, wracając ustawicznie myślami do Kate i ostatnich pięciu dni. Tuż przed

wjazdem pociągu na South Station napisał krótki list swoim ładnym, ale mało czytelnym pismem.

> *Kate, już do Ciebie tęsknię. A to zaledwie kilka godzin. Proszę, napisz i daj mi znać, kiedy przyjedziesz do Bostonu. Ja natomiast oddam się swoim bankowym zajęciom. Czuję, że będę mógł jednorazowo zapominać o Tobie na dość długo, w przedziale czasowym od pięciu do plus minus dziesięciu minut.*
>
> *Serdeczne pozdrowienia*
> *William*

Wrzucił list do skrzynki pocztowej na Charles Street, gdy nagle krzyk gazeciarza sprawił, że całkiem zapomniał o Kate.

– Załamanie na Wall Street!

William chwycił gazetę i błyskawicznie przebiegł wzrokiem czołową wiadomość numeru. Rynek papierów wartościowych załamał się niespodziewanie z dnia na dzień; część finansistów była zdania, że jest to tylko chwilowe wahnięcie. William widział w tym początek katastrofy, jaką przewidywał od wielu miesięcy.

Pognał do banku i udał się prosto do gabinetu prezesa.

– Jestem przekonany, że na dalszą metę rynek się ustabilizuje – powiedział uspokajająco Alan Lloyd.

– Nic podobnego – sprzeciwił się William. – Rynek jest przeciążony. Przeciążony przez drobnych akcjonariuszy, którzy myśleli, że się szybko wzbogacą, a teraz będą na gwałt się wycofywać. Czy nie widzisz, że lada chwila balonik pęknie? Do końca roku nikt nie będzie kupował akcji, a ja ostrzegałem was już w lutym, Alanie.

– Nadal nie zgadzam się z tobą, Williamie, ale na jutro zwołam posiedzenie rady nadzorczej w pełnym składzie w celu dokładnego przedyskutowania twoich opinii.

– Dziękuję – powiedział William. Wrócił do swojego biura i podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

– Alanie, zapomniałem ci powiedzieć. Poznałem dziewczynę, którą zamierzam poślubić.

– Czy ona już o tym wie?

– Nie – odparł William.

– Ach, tak – powiedział Alan Lloyd. – Zatem twoje małżeństwo będzie dokładnie przypominało twoją karierę bankową. Bezpośrednio zainteresowani zostaną powiadomieni dopiero po podjęciu przez ciebie decyzji.

William zaśmiał się, podniósł słuchawkę drugiego telefonu i polecił natychmiast wystawić na sprzedaż swoje papiery wartościowe. Do pokoju wszedł właśnie Tony Simmons i zatrzymał się w otwartych drzwiach, przyglądając się Williamowi i zastanawiając się, czy nie zbzikował.

– Stracisz ostatnią koszulę, pozbywając się za grosze tych wszystkich akcji akurat w tym momencie.

– Straciłbym o wiele więcej, gdybym je zatrzymał – odparł William.

Ponadmilionowa strata, jaka mu groziła, zachwiałaby spokojem ducha mniej pewnego siebie człowieka.

Na posiedzeniu rady nadzorczej następnego dnia również poniósł porażkę, gdyż jego propozycja zbycia walorów banku została odrzucona ośmioma głosami do sześciu; Tony Simmons przekonał członków rady, że należy jeszcze trochę poczekać, gdyż

natychmiastowa sprzedaż byłaby posunięciem nieodpowiedzialnym. Jedynym drobnym zwycięstwem, jakie William mógł zapisać na swoje dobro, było nakłonienie rady, aby bank wstrzymał się od dalszych zakupów.

Tego dnia notowania kursowe nieco wzrosły, co dało Williamowi sposobność pozbycia się kolejnych własnych zasobów. Pod koniec tygodnia, w sytuacji gdy wskaźnik przez cztery dni z rzędu szedł nieustannie w górę, William zaczął się zastanawiać, czy nie zareagował zbyt nerwowo, ale cała jego dotychczasowa praktyka, wiedza i instynkt podpowiadały mu, że postąpił słusznie. Alan Lloyd nie wypowiadał się; to nie jego pieniądze William tracił, poza tym myślał już tylko o spokojnej emeryturze.

Dwudziestego drugiego października notowania znów spadły na łeb, na szyję i William ponownie błagał Alana Lloyda, żeby się wycofać, póki jeszcze jest szansa. Tym razem Alan posłuchał i pozwolił Williamowi wydać polecenie sprzedaży większych pakietów akcji. Następnego dnia nastąpiło jeszcze większe załamanie spowodowane masową wyprzedażą i nie miało już znaczenia, jakich zasobów bank skłonny byłby się pozbyć, albowiem nie było już komu kupować. Wyzbywanie się akcji przybrało charakter lawinowy, gdyż wszyscy drobni akcjonariusze w Ameryce naraz próbowali się ratować, rzucając je na rynek. Wybuchła taka panika, że telegraf na Wall Street nie nadążał za tempem zawieranych transakcji. Dopiero po otwarciu giełdy rankiem następnego dnia, po całonocnych obliczeniach, przeprowadzonych przez jej pracowników, można było się dowiedzieć, ile się wczoraj straciło.

Alan Lloyd odbył rozmowę telefoniczną z J. P. Morganem i wyraził zgodę na przyłączenie banku Kane'a i Cabota do grupy

banków w celu podtrzymania akcji większych korporacji. William nie miał nic przeciwko temu, wychodząc z założenia, że jeśli konieczne jest wspólne działanie, to bank Kane'a i Cabota powinien się aktywnie włączyć. I, oczywiście, jeśli akcja się powiedzie, wszystkie banki na tym zyskają. Richard Whitney, wiceprezes nowojorskiej giełdy papierów wartościowych i przedstawiciel grupy utworzonej przez Morgana, następnego dnia we własnej osobie zjawił się na parkiecie giełdy i za trzydzieści milionów dolarów zakupił akcje o dobrej renomie. Rynek zaczął odzyskiwać równowagę. Tego dnia zawarto dwanaście milionów osiemset dziewięćdziesiąt cztery tysiące sześćset pięćdziesiąt transakcji akcjami i w ciągu następnych dwóch dni rynek zachowywał się stabilnie. Wszyscy, od prezydenta Hoovera po gońców firm maklerskich, sądzili, że najgorsze już minęło.

William zdołał wysprzedać niemal cały swój zapas papierów wartościowych i jego straty były proporcjonalnie o wiele mniejsze od poniesionych przez bank, które przekroczyły trzy miliony dolarów w ciągu czterech dni; nawet Tony Simmons zaczął stosować się do wszystkich sugestii Williama. Dwudziestego dziewiątego października w Czarny Wtorek, jak nazwano go później, znów nastąpił krach. Przeprowadzono szesnaście milionów sześćset dziesięć tysięcy trzydzieści transakcji akcjami. Bankierzy w całym kraju musieli spojrzeć prawdzie w oczy – ich banki były niewypłacalne. Gdyby wszyscy klienci zaczęli się domagać gotówki – albo gdyby oni z kolei zażądali zwrotu pożyczek – cały system bankowy z hukiem zawaliłby się im wszystkim na głowy.

Posiedzenie zwołane na dziewiątego listopada rozpoczęto minutą ciszy dla uczczenia pamięci Johna J. Riordana, prezesa Country Trust i jednego z członków rady nadzorczej banku Kane'a i Cabota,

który zastrzelił się we własnym domu. Było to jedenaste samobójstwo w bostońskich kręgach bankowych w ciągu ostatnich dwóch tygodni; zmarły był bliskim przyjacielem Alana Lloyda. Następnie prezes ogłosił, iż bank Kane'a i Cabota stracił blisko cztery miliony dolarów, że zawiodły wysiłki grupy Morgana na rzecz współdziałania i każdy bank powinien postępować, kierując się własnymi, najlepiej pojętymi interesami. Prawie wszyscy drobni wierzyciele zostali zrujnowani, a większość znaczniejszych miała nieprawdopodobne kłopoty ze zdobyciem gotówki. Zdesperowane tłumy już się gromadziły przed bankami w Nowym Jorku i podstarzałych strażników trzeba było wesprzeć ludźmi wynajętymi z Agencji Pinkertona. Jeszcze jeden taki tydzień, myślał Alan Lloyd, i wszyscy po kolei padniemy. Zgłosił swoją rezygnację, ale członkowie rady nadzorczej nie chcieli o tym słyszeć. Jego sytuacja niczym się nie różniła od sytuacji każdego innego dyrektora większego banku w Ameryce. Tony Simmons również zaproponował, że odejdzie, ale członkowie rady nadzorczej nie przyjęli także jego rezygnacji. Tony nie mógł już liczyć na miejsce po Alanie Lloydzie, więc William zachował wspaniałomyślne milczenie. Wybrano kompromis i postanowiono wysłać Simmonsa do Londynu, gdzie miał przejąć wydział zagranicznych lokat kapitałowych. Nie będzie miał okazji bruździć, pomyślał William, który został teraz mianowany dyrektorem finansowym, odpowiedzialnym za całość lokat. Natychmiast zaproponował Matthew Lesterowi stanowisko swojego zastępcy. Tym razem Alan Lloyd nawet nie zrobił zdziwionej miny.

Matthew zawiadomił Williama, że może zacząć pracę z początkiem nowego roku, to znaczy najwcześniej, jak tylko puści go ojciec. Ich także nie ominęły kłopoty. Tak więc William do przyjazdu

przyjaciela sam prowadził swój wydział. Zima 1929 roku była przykrym okresem dla Williama; był świadkiem krachu zarówno małych, jak i dużych firm kierowanych przez przyjaciół, których znał od dziecka. Przez jakiś czas nawet wątpił, czy jego bank będzie w stanie przetrwać.

W okresie świąt Bożego Narodzenia William spędził bajkowy tydzień na Florydzie z Kate, pomagając jej pakować rzeczy do skrzyń używanych do przewozu herbaty, które miały być odesłane do Bostonu.

– Jedyne, co mi pozwolił zatrzymać bank Kane'a i Cabota – droczyła się Kate z Williamem.

Prezenty świąteczne Williama wypełniły jedną ze skrzyń i Kate czuła się zakłopotana taką hojnością.

– Cóż może ci w zamian ofiarować biedna wdowa? – zadrwiła. Na to William zapakował ją do ostatniej pustej skrzyni, na której napisał: „Podarunek dla Williama".

Wrócił do Bostonu w świetnym nastroju i z nadzieją, że pobyt u Kate będzie dobrą wróżbą na Nowy Rok. Zasiadł w fotelu w dawnym biurze Simmonsa, żeby przeczytać poranną pocztę, wiedząc, że będzie musiał w tym tygodniu jak zwykle odbyć dwa czy trzy spotkania w sprawie ściągnięcia należności. Spytał sekretarkę, z kim się ma najpierw zobaczyć.

– Niestety, proszę pana, jeszcze jedno bankructwo.

– A tak, pamiętam tę sprawę – powiedział William. Nazwisko nic mu nie mówiło. – Zaznajomiłem się z nią wczoraj wieczorem. Co za niefortunna historia. O której ten człowiek jest umówiony?

– O dziesiątej, ale już czeka.

– Dobrze – powiedział William – może go pani poprosić. Lepiej mieć to za sobą.

William otworzył teczkę z papierami, aby przypomnieć sobie naprędce ważniejsze fakty. Nazwisko dawnego klienta banku, Davida Leroya, było przekreślone. Nad nim widniało nazwisko porannego gościa, Abla Rosnovskiego.

William dokładnie przypomniał sobie swoją ostatnią rozmowę z panem Rosnovskim i już jej żałował.

16

Prawie trzy miesiące zajęło Ablowi dokonanie pełnej oceny sytuacji hotelu Richmond Continental i odkrycie powodów strat finansowych. Po dwunastu tygodniach czujnej obserwacji, maskowanej przed personelem pozorną gapiowatością, doszedł do wniosku, że hotel jest zwyczajnie okradany z zysków. Tutejszy personel stosował system oszustw na taką skalę, że nawet Abel dotychczas z niczym podobnym się nie zetknął. System miał tylko tę słabość, że nie uwzględniał faktu, iż nowy zastępca dyrektora musiał w przeszłości kraść chleb Rosjanom, aby przeżyć. Abel przede wszystkim musiał się strzec, żeby nikt się nie połapał, iż coś wykrył, dopóki nie zdobędzie pełnego rozeznania. Już wkrótce zorientował się, że każdy z działów hotelowych ma opracowany do perfekcji własny system złodziejski.

Oszustwa zaczynały się w recepcji, gdzie pracownicy rejestrowali tylko ośmiu na dziesięciu gości, a opłaty w gotówce od dwóch pozostałych zgarniali do własnych kieszeni. Sposób, jaki stosowali, był prosty; gdyby ktoś w hotelu Plaza w Nowym Jorku próbował się nim posłużyć, w ciągu paru minut by go wykryto i wyrzucono na bruk. Szef recepcji wybierał zazwyczaj jakąś starszą parę przyjezdnych z innego stanu, którzy mieli rezerwację tylko na jedną noc. Dyskretnie się upewniał, czy przypadkiem nie mają oni jakichś powiązań z miejscowym biznesem, po czym po prostu nie wpisywał ich do rejestru. Jeśli następnego ranka płacili gotówką, chowano ją do kieszeni i, jeśli się nie wpisali do księgi gości, nie zostawał żaden ślad ich pobyt w hotelu. Abel od dawna uważał, że we wszystkich

hotelach powinno się wprowadzić obowiązek automatycznej rejestracji każdego gościa. W hotelu Plaza już przyjęto tę zasadę.

W restauracji stosowano system udoskonalony. Oczywiście, przywłaszczano sobie opłaty w gotówce uiszczane przez przypadkowych gości wpadających na lunch czy kolację. Nieco więcej czasu zabrało Ablowi upewnienie się w podejrzeniach, że recepcja współpracuje z personelem restauracyjnym, dbając o to, aby nie zostało ani śladu po rachunkach za konsumpcję, jakie płacili goście, których postanowiono nie rejestrować. Na domiar złego bez przerwy zgłaszano fikcyjne szkody i naprawy, ginęło wyposażenie, znikała żywność, bielizna pościelowa, a nawet od czasu do czasu jakiś materac. Po dokładnej lustracji każdego z działów hotelowych i czujnej obserwacji Abel ustalił, że ponad połowa personelu jest w zmowie i że żaden dział nie ma całkiem czystego konta.

Na samym początku Abel się dziwił, dlaczego dyrektor hotelu, Desmond Pacey, już dawno temu nie spostrzegł, co się wyprawia pod jego nosem. Błędnie założył, że jest po prostu leniwy i nie chce sobie zawracać głowy wyjaśnianiem skarg. Nawet Abel nie od razu się połapał, że ospały dyrektor jest mózgiem całej operacji i rękojmią jej doskonałego funkcjonowania. Pacey pracował w Hotelach Richmond od ponad trzydziestu lat. Nie było bodaj jednego hotelu z tej grupy, w którym nie pełniłby kiedyś jakiejś funkcji kierowniczej, toteż Abel zaczął się lękać o wypłacalność wszystkich pozostałych. Co więcej, Desmond Pacey był osobistym przyjacielem właściciela hoteli, Davisa Leroya. Hotel Richmond w Chicago przynosił rocznie trzydzieści tysięcy dolarów strat, i sytuację tę, jak wiedział Abel, można by uzdrowić z dnia na dzień, zwalniając połowę personelu z Desmondem Paceyem na czele. Tu wyłaniał się problem, albowiem

Davis Leroy przez ostatnie trzydzieści lat rzadko kiedy decydował się kogoś wyrzucić. Abel już się zorientował, że personel hotelowy może sobie bez opamiętania okradać hotel aż do samej emerytury, do której nikt zresztą się nie kwapi.

Abel zdawał sobie sprawę, że jeśli chce cokolwiek zmienić, musi wpierw rozmówić się z Davisem Leroyem, i z tym zamiarem wsiadł do ekspresu jadącego z Illinois Central do Saint Louis i potem przesiadł się na pociąg Missouri Pacific do Dallas. Miał pod pachą dwunastostronicowy raport, nad którym ślęczał przez trzy miesiące w swoim małym pokoiku w budynku dla personelu. Kiedy Davis Leroy skończył czytać cały materiał dowodowy zgromadzony przez Abla, spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Ci ludzie są moimi przyjaciółmi – brzmiały jego pierwsze słowa. – Niektórzy pracują dla mnie od trzydziestu lat. Do diabła, zawsze w tym biznesie trafiały się jakieś drobne kanty, ale ty mi teraz mówisz, że oni bezczelnie ograbiają mnie za moimi plecami?

– Myślę, że niektórzy z nich przez całe trzydzieści lat.

– Co u licha mam z tym zrobić? – zapytał Leroy.

– Mogę uzdrowić sytuację, jeśli pan usunie Desmonda Paceya i pozwoli mi, poczynając od jutra, zwolnić każdego, kto maczał w tym palce.

– Ablu, chciałbym, żeby to było takie proste.

– To jest proste – rzekł Abel. – A jeśli nie pozwoli mi pan rozprawić się z winnymi, może pan spodziewać się mojej rezygnacji, choćby i w tej chwili, ponieważ nie mam najmniejszego zamiaru tkwić w najbardziej skorumpowanym hotelu Ameryki.

– Czy nie wystarczyłoby przesunąć Desmonda Paceya na stanowisko zastępcy? Mógłbym cię wtedy mianować dyrektorem i

wówczas miałbyś pole do działania.

– To nie wchodzi w rachubę – odparł Abel. – Pacey ma jeszcze przed sobą dwa lata i trzyma cały personel hotelu silną ręką. Zanim go sobie podporządkuję, pan się wykończy albo zbankrutuje, albo jedno i drugie, gdyż podejrzewam, że w innych pańskich hotelach panują takie same porządki. Jeśli zależy panu na zmianie sytuacji w Chicago, musi pan natychmiast podjąć stanowczą decyzję co do Paceya albo pójdzie pan z torbami, ale beze mnie. Wóz albo przewóz.

– My, Teksańczycy, mamy opinię ludzi, którzy walą prawdę prosto z mostu, ale daleko nam do ciebie, Ablu. W porządku, zgoda, masz wolną rękę. Jesteś nowym dyrektorem chicagowskiego hotelu Richmond. Jak tylko Al Capone się dowie, że przyjechałeś do Chicago, zaraz czmychnie tu do mnie, żeby schronić się w ciszy i spokoju południowego zachodu. No, chłopcze – ciągnął dalej Leroy, wstając i poklepując nowego dyrektora po ramieniu – nie myśl, że nie jestem ci wdzięczny. Zrobiłeś dobrą robotę w Chicago i od tej chwili będziesz moją prawą ręką. Mówiąc prawdę, Ablu, tak mi dobrze idzie na giełdzie, że nawet nie zauważyłem tych strat, ale dziękuję Bogu, że mam jednego uczciwego przyjaciela. Może byś został u mnie na noc i coś przekąsił?

– Chętnie bym tu został, ale chciałbym z powodów osobistych przenocować w tutejszym hotelu Richmond.

– Nikomu nie przepuścisz, co, Ablu?

– Nie, jeśli to będzie ode mnie zależało.

Tego wieczoru Davis Leroy podjął Abla wystawną kolacją, podczas której trochę za hojnie nalewał mu whisky, twierdząc, że tego wymaga zwykła południowa gościnność. Zwierzył się także

Ablowi, że rozgląda się za kimś, kto by pokierował wszystkimi hotelami Richmond i zdjął mu ten kłopot z głowy.

– Czy jest pan pewien, że głupi Polak będzie się nadawał? – zapytał trochę bełkotliwie Abel, który wypił o jedną szklaneczkę za dużo.

– Ablu, to ja jestem głupi. Gdybyś tak sprytnie nie nakrył tych złodziei, mógłbym zrobić klapę. Ale teraz, kiedy znam prawdę, wspólnie się z nimi rozprawimy. I zamierzam dać ci szansę przywrócenia hotelom Richmond dawnej świetności.

Abel chwiejną ręką podniósł szklaneczkę.

– Wznoszę za to toast… i za długotrwałą i pomyślną współpracę.

– Załatw ich, chłopcze.

Abel przenocował w hotelu Richmond w Dallas, podając fałszywe nazwisko i wyraźnie informując recepcjonistę, że zamierza zostać tylko do jutra. Rano, kiedy ujrzał, jak jedyny egzemplarz pokwitowania zapłaty w gotówce ląduje w koszu na śmieci, nie miał więcej wątpliwości. Problem nie ograniczał się do hotelu w Chicago. Zdecydował, że najpierw zabierze się do porządków w Chicago; szwindlami w pozostałych hotelach zajmie się później. Zatelefonował do Davisa Leroya i zawiadomił go, że zaraza ogarnęła wszystkie hotele.

Abel wracał tą samą drogą. Za oknem ciągnęła się posępnie dolina Missisipi, spustoszona zeszłorocznymi powodziami. Abel pomyślał o spustoszeniach, jakich dokona po powrocie do hotelu Richmond w Chicago.

Kiedy tam przybył, nie było na służbie nocnego portiera i udało mu się znaleźć tylko jednego człowieka z obsługi. Pomyślał sobie, że pozwoli się im wszystkim dobrze wyspać na pożegnanie. Młodziutki

boy otworzył mu drzwi frontowe, gdy wrócił do budynku dla personelu.

– Udała się panu podróż, proszę pana?

– Tak, dziękuję. A tu co się działo?

– Nic takiego, cisza i spokój.

Jutro o tej porze będziesz miał jeszcze więcej ciszy i spokoju, pomyślał Abel, kiedy zostaniesz tu jeden z całego personelu.

Abel rozpakował się i zamówił lekki posiłek, na który musiał czekać ponad godzinę. Wypił kawę, rozebrał się i wziął zimny prysznic, przygotowując plany na jutrzejszy dzień. Wybrał dobrą porę roku na tę rozmowę. Był początek lutego, hotel miał zaledwie dwadzieścia pięć procent zajętych miejsc i Abel był pewien, że sobie poradzi z połową obecnego personelu. Ułożył się w łóżku, zrzucił poduszkę na podłogę i zapadł w zdrowy sen, jak jego niczego nieprzeczuwający pracownicy.

Desmond Pacey, którego wszyscy w hotelu nazywali Fujarą, miał sześćdziesiąt dwa lata. Był zapasiony i poruszał się dość niemrawo na swoich krótkich nóżkach. Przetrwał siedmiu, a może i ośmiu zastępców, którzy przychodzili i odchodzili za jego kadencji. Niektórzy stawali się zachłanni i żądali, żeby hojniej się z nimi dzielił. Inni nie rozumieli, co się dzieje. Polaczek, jego zdaniem, nie był od nich bardziej rozgarnięty. Nucąc sobie pod nosem, Pacey toczył się powoli w stronę biura Abla na codzienne spotkanie o dziesiątej. Było siedemnaście minut po dziesiątej.

– Przykro mi, że kazałem panu czekać – powiedział dyrektor głosem, po którym można było poznać, że wcale mu nie jest przykro.

Abel się nie odezwał.

– Coś mnie zatrzymało w recepcji, wie pan, jak to jest.

Abel doskonale wiedział, jak to jest w recepcji.

Powoli otworzył szufladę biurka i wyjął czterdzieści wymiętych rachunków hotelowych, niektóre w czterech czy pięciu kawałkach, rachunków, które wydobył z koszy na śmieci i popielniczek, a które wypisano gościom płacącym gotówką i nie rejestrowanym. Przyglądał się, jak mały, tłusty dyrektor z drugiej strony biurka próbuje rozpoznać, co to takiego.

Desmond Pacey nie mógł się połapać, o co chodzi. Nie żeby mu specjalnie zależało. Nie było się czym przejmować. Jeśli ten polski baran coś wywęszył, to albo weźmie swoją dolę, albo sobie pójdzie. Pacey zastanawiał się, ile powinien mu odpalić. Może na razie zadowoli go przyzwoity pokój w hotelu.

– Jest pan zwolniony, panie Pacey, i w ciągu godziny ma pan opuścić hotel.

Desmond Pacey nie zrozumiał, co mówi Abel, gdyż wydawało mu się to niewiarygodne.

– Coś pan powiedział? Chyba źle usłyszałem?

– Dobrze pan usłyszał. Jest pan zwolniony.

– Pan nie może mnie zwolnić. Jestem dyrektorem i pracuję w Hotelach Richmond od trzydziestu lat. Jeśli ktoś tu kogoś może zwolnić, to tylko ja pana. Co pan sobie myśli, że kim pan jest?

– Jestem nowym dyrektorem.

– Kim?

– Nowym dyrektorem – powtórzył Abel. – Pan Leroy wczoraj mnie mianował dyrektorem i właśnie pana zwalniam, panie Pacey.

– Za co?

– Za złodziejstwo na wielką skalę.

Abel odwrócił rachunki, tak żeby człowieczek w okularach mógł je odczytać.

– Każdy z tych gości zapłacił za pobyt, ale ani jeden grosz z tego nie trafił do kasy hotelu, a na wszystkich tych rachunkach widnieje pański podpis.

– Nigdy w życiu niczego mi pan nie dowiedzie.

– Wiem – rzekł Abel – opracował pan dobry system. Cóż, niech pan go sobie wypróbuje gdzie indziej, bo tutaj jest pan spalony. Jest takie stare polskie przysłowie: Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Ucho się urwało i wyrzucam pana.

– Pan nie ma prawa mnie wyrzucić – powiedział Pacey. Pot wystąpił mu na czoło mimo chłodu lutowego dnia. – Davis Leroy jest moim bliskim przyjacielem. Tylko on może mnie zwolnić. Pan tu przyjechał z Nowego Jorku dopiero trzy miesiące temu. Nawet nie będzie chciał pana słuchać, jak tylko z nim pomówię. Mogę pana stąd wyrzucić na zbity łeb, wykonując tylko jeden telefon.

– Dzwoń pan – rzucił Abel.

Podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę, żeby go połączyła z Davisem Leroyem w Dallas. Obaj czekali, patrząc na siebie w milczeniu. Pot spływał teraz kropelkami po nosie Paceya. Abel na sekundę zwątpił, czy jego pracodawca dotrzyma słowa.

– Dzień dobry panu, panie Leroy. Mówi Abel Rosnovski z Chicago. Przed chwilą zwolniłem Desmonda Paceya i on chce zamienić z panem kilka słów.

Pacey drżącą ręką wziął od niego słuchawkę. Słuchał tylko parę chwil.

– Ale, Davis, ja… co mam zrobić… Przysięgam ci, że to nieprawda… to musi być jakaś pomyłka.

Uszu Abla dobiegł lekki brzęk. Z tamtej strony przerwano połączenie.

– Daję panu jedną godzinę na wyniesienie się z hotelu – rzekł Abel – albo przekażę te rachunki policji.

– Chwileczkę – odezwał się Pacey. – Po co ten pośpiech? – Jego ton i wyraz twarzy nagle się zmieniły. – Moglibyśmy pana dopuścić do interesu, miałby pan stały niewielki dochodzik, gdybyśmy razem prowadzili hotel, i nikt by nic nie wiedział. Dostawałby pan o wiele więcej forsy, niż wynosi pensja zastępcy dyrektora, a wiadomo, że Davis i tak nie zbiednieje...

– Już nie jestem zastępcą dyrektora, proszę pana. Jestem dyrektorem i wynoś się pan, zanim pana sam wyrzucę.

– Ty pieprzony Polaczku – wysyczał eks-dyrektor, zdając sobie sprawę, że przegrał ostatnią kartę. – Lepiej uważaj, bo mogę ci utrzeć nosa.

Pacey odszedł. Przed lunchem na bruku znalazł się również starszy kelner, szef kuchni, główny administrator, kierownik recepcji, starszy portier i siedemnaście innych osób z personelu hotelowego, do cna, zdaniem Abla, skorumpowanych. Po południu zwołał pozostałych pracowników, szczegółowo im wyjaśnił, dlaczego to, co zrobił, było konieczne, i zapewnił ich, że mogą się nie lękać utraty pracy.

– Jeśli jednak będzie brakowało choćby jednego, powtarzam, jednego dolara, winowajca z miejsca i bez referencji zostanie wyrzucony na bruk. Czy mnie rozumiecie?

Nikt się nie odezwał.

W ciągu kilku następnych tygodni paru pracowników odeszło z hotelu, kiedy się zorientowali, że Abel nie zamierza kontynuować

systemu Paceya dla własnej korzyści. Na ich miejsca szybko przyjęto innych.

Przed końcem marca Abel zdążył ściągnąć do siebie czterech pracowników z hotelu Plaza. Mieli trzy wspólne cechy: byli młodzi, ambitni i uczciwi. Po sześciu miesiącach w hotelu Richmond zostało tylko trzydzieści sześć osób z dawnej, liczącej stu dziesięciu ludzi, obsady. Na zakończenie pierwszego roku Abel wypił do spółki z Davisem Leroyem dużą butelkę szampana, aby uczcić tegoroczny bilans hotelu Richmond w Chicago. Zysk wynosił trzy tysiące czterysta osiemdziesiąt sześć dolarów. Niewiele, ale był to pierwszy zysk hotelu od trzydziestu lat. Abel planował osiągnięcie w 1929 roku zysku w wysokości ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Davis Leroy nie mógł wyjść z podziwu. Co miesiąc bywał w Chicago i zaczął bardzo się liczyć ze zdaniem Abla. Był nawet skłonny przyznać, że to, co się działo w hotelu Richmond w Chicago, mogło również mieć miejsce w pozostałych. Abel chciał najpierw zyskać pewność, że hotel Richmond w Chicago gładko funkcjonuje na nowych zasadach, a dopiero później zająć się innymi; Leroy zgadzał się z tym, ale mówił, że uczyni z Abla swojego wspólnika, jeśli postawi on na nogi pozostałe hotele tak jak hotel w Chicago.

Zaczęli razem chodzić na mecze baseballu i na wyścigi, kiedy tylko Davis przyjeżdżał do Chicago. Pewnego razu, kiedy Davis postawił siedemset dolarów i ani jeden z typowanych przez niego koni nie wygrał w żadnej z sześciu gonitw, wyrzucił ze złością ręce w górę i powiedział:

– Po co ja sobie zawracam głowę tymi szkapami. To ty jesteś najlepszym koniem, na jakiego w życiu postawiłem, Ablu.

Kiedy przyjeżdżał ojciec, Melanie zawsze jadała z nim kolację. Chłodna, ładna, o smukłej figurze i długich nogach, które przyciągały liczne spojrzenia gości hotelowych, traktowała Abla trochę wyniośle, co nie zachęcało go do wprowadzenia w czyn zamiarów, które wobec niej ostatnio powziął. Nie zaproponowała mu też, żeby zaczął mówić jej po imieniu, póki nie dowiedziała się, że ukończył ekonomię na Uniwersytecie Columbia i że wie więcej niż ona o obrocie papierami wartościowymi. Dopiero wówczas stała się trochę przystępniejsza i od czasu do czasu przychodziła do hotelu na kolację z samym Ablem i prosiła go o pomoc przy pisaniu pracy dyplomowej z dziedziny humanistyki, którą studiowała na Uniwersytecie Chicagowskim. Ośmielony czasami towarzyszył jej na koncerty i do teatru, i zaczął być zazdrosny, kiedy przyprowadzała innych mężczyzn do hotelu na kolację, chociaż nigdy nie przychodziła dwa razy z tym samym.

Kuchnia hotelowa tak dalece poprawiła się pod żelazną ręką Abla, że ludzie mieszkający w Chicago od trzydziestu lat i nie mający dotąd pojęcia o istnieniu tego miejsca, zaczęli co sobotę wieczorem bywać w restauracji. Abel odnowił cały hotel po raz pierwszy po dwudziestu latach i ubrał cały personel w szykowne, zielono-złote liberie. Zdarzyło się, że jeden z gości, który rokrocznie zatrzymywał się na tydzień w hotelu Richmond, wszedł do środka i wyszedł z powrotem, przekonany, że źle trafił. Kiedy Al Capone zamówił przyjęcie na szesnaście osób w prywatnym gabinecie z okazji swych trzydziestych urodzin, Abel wiedział, że stanął na twardym gruncie.

Majątek osobisty Abla znacznie się powiększył w tym okresie; na rynku papierów wartościowych panowało wówczas duże ożywienie. Osiemnaście miesięcy temu, gdy Abel odchodził z hotelu Plaza, miał osiem tysięcy dolarów, a obecnie stan jego konta u maklera

przewyższał trzydzieści tysięcy. Był przekonany, że notowania będą nadal rosły, więc zyski zawsze na nowo lokował w akcjach. Wciąż miał raczej skromne wymagania. Kupił sobie dwa nowe garnitury i pierwszą w życiu parę eleganckich brązowych pantofli. Mieszkanie i jedzenie zapewniał mu hotel, a jego własne wydatki były niewielkie. Wydawało się, że czeka go jasna przyszłość. Rozliczenia hotelu od trzydziestu lat prowadził bank Continental Trust i kiedy Abel przybył do Chicago, założył tam sobie własne konto. Co dzień odwiedzał bank i wpłacał wpływy hotelowe z poprzedniego dnia. Któregoś piątkowego ranka zaskoczyła go wiadomość, że dyrektor banku chce się z nim zobaczyć. Wiedział, że nigdy nie przekroczył stanu swego konta, przypuszczał więc, że musi to mieć związek z hotelem. Trudno było przypuszczać, aby bank mógł się uskarżać na to, że pierwszy raz od trzydziestu lat konto hotelu samo starczało na pokrycie zobowiązań. Młody praktykant poprowadził Abla przez labirynt korytarzy aż pod okazałe drewniane drzwi. Delikatne puknięcie i oto został wprowadzony do gabinetu dyrektora.

– Nazywam się Curtis Fenton – powiedział człowiek siedzący za biurkiem, podając Ablowi rękę, a następnie wskazując mu sofę wyścielaną zieloną skórą.

Był to schludny, pulchny mężczyzna, który nosił półkoliste szkła i miał na sobie nieskazitelnie biały kołnierzyk i czarny krawat, doskonale pasujący do tradycyjnego, bankierskiego garnituru z kamizelką.

– Dziękuję panu – powiedział nerwowo Abel.

Sytuacja nasunęła mu wspomnienia z przeszłości, wspomnienia, które kojarzyły mu się z lękiem, co nastąpi za chwilę.

– Zaprosiłbym pana na lunch, panie Rosnovski…

Serce przestało bić Ablowi jak szalone. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że bankierzy nie rozdają darmowych posiłków, jeśli mają do zakomunikowania niemiłą wiadomość.

– ...ale wyłoniła się sprawa, wymagająca szybkiego działania, mam więc nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, iż bezzwłocznie ją z panem omówię. Przejdę wprost do rzeczy, jeśli pan pozwoli. Otóż osoba należąca do moich najszacowniejszych klientów, starsza już dama, panna Amy Leroy – na dźwięk tego nazwiska Abel drgnął – posiada dwadzieścia pięć procent udziałów Hoteli Richmond. Kilkakrotnie w przeszłości oferowała ten pakiet bratu, panu Davisowi Leroyowi, ale on nie wykazywał najmniejszej chęci nabycia go. Mogę zrozumieć racje pana Leroya. Ma już siedemdziesiąt pięć procent udziałów i zapewne nie zależy mu na pozostałych dwudziestu pięciu procentach, które, nawiasem mówiąc, są spuścizną po ich ojcu. Jednakowoż panna Amy Leroy chętnie by się pozbyła tych akcji, jako że nigdy nie zaowocowały one dywidendą. – Abla wcale to nie zdziwiło. – Pan Leroy nie ma nic przeciwko temu, aby siostra sprzedała swoje udziały, ona natomiast uważa, że w jej wieku lepiej byłoby mieć raczej trochę gotówki na bieżące wydatki, niż czekać, łudząc się nadzieją, że kiedyś hotele zaczną przynosić zyski. Mając to na uwadze, postanowiłem przedstawić panu sytuację na wypadek, gdyby pan wiedział o kimś zainteresowanym branżą hotelową i, co za tym idzie, nabyciem akcji mojej klientki.

– Jaką cenę chciałaby za nie uzyskać panna Leroy?

– Och, myślę, że chętnie by się ich pozbyła nawet i za sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

– Sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów to dość wysoka cena jak na akcje, które nigdy nie dawały dywidendy – rzekł Abel – i nie dadzą

przez kilka najbliższych lat.

– Ach, trzeba jednak pamiętać – odparł Curtis Fenton – że jedenaście hoteli też ma swoją wartość.

– Skoro jednak pan Leroy i tak kontroluje grupę, to udziały panny Leroy pozostają wyłącznie świstkami papieru.

– Bez przesady, panie Rosnovski, bez przesady. Dwadzieścia pięć procent udziałów grupy obejmującej jedenaście hoteli to bardzo korzystny interes przy cenie sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

– Nie w sytuacji, gdy pan Leroy sprawuje całkowitą kontrolę. Proszę zaproponować pannie Leroy czterdzieści tysięcy dolarów, to wtedy postaram się znaleźć panu kogoś, kto mógłby być zainteresowany.

– Czy nie sądzi pan, że ta osoba zgodziłaby się na nieco wyższą cenę? – Przy słowie „wyższą" brwi pana Fentona uniosły się w górę.

– Ani o grosz, proszę pana.

Dyrektor banku delikatnie zetknął koniuszki palców, ukontentowany, że trafnie oszacował Abla.

– W tych okolicznościach pozostaje mi zapytać pannę Amy, co sądzi o takiej ofercie. Skontaktuję się z panem, gdy tylko uzyskam jej odpowiedź.

Kiedy Abel opuszczał gabinet Curtisa Fentona, serce biło mu tak samo mocno jak wówczas, gdy tam wchodził. Popędził do hotelu, żeby dokładnie sprawdzić swoje zasoby finansowe. Na koncie u maklera miał trzydzieści trzy tysiące sto dwanaście dolarów, a na koncie osobistym trzy tysiące osiem dolarów. Próbował potem zabrać się do swojej normalnej, codziennej pracy, nie mógł się jednak skoncentrować, gdyż cały był pochłonięty myślą, czy panna Amy

Leroy zgodzi się na jego ofertę, i snuł marzenia, co by zrobił, gdyby miał dwudziestopięcioprocentowy udział w grupie Hoteli Richmond.

Zwlekał z poinformowaniem Davisa Leroya o swoich zamiarach, obawiając się, że jowialny Teksańczyk może potraktować jego ambicje jako zagrożenie dla siebie. Jednak po kilku dniach namysłu doszedł do wniosku, że najuczciwiej będzie zatelefonować i zaznajomić go ze swoimi planami.

– Chcę, żeby pan wiedział, dlaczego się w to angażuję. Wierzę, że Hotele Richmond mają przed sobą wielką przyszłość, i może być pan pewien, że będę pracował dla pana jeszcze gorliwiej, jeśli będę miał świadomość, iż również moje własne pieniądze wchodzą w grę. – Zamilkł na chwilę. – Jeśli jednak chciałby pan sam wziąć te dwadzieścia pięć procent, naturalnie nie będę miał panu tego za złe.

Ku jego zaskoczeniu Leroy nie skorzystał z szansy.

– Słuchaj, synu, skoro tak wierzysz w pomyślność moich hoteli, to nie zastanawiaj się i odkup akcje od Amy. Będę dumny, że mam takiego partnera. Zasłużyłeś sobie na to. Przy okazji, wpadnę w przyszłym tygodniu obejrzeć mecz Red Soksów. Zatem do zobaczenia.

Abel promieniał.

– Dziękuję ci, Davisie, nigdy nie pożałujesz swojej decyzji.

– Jestem tego pewien, wspólniku.

Abel po tygodniu ponownie odwiedził bank. Tym razem to on poprosił o spotkanie z dyrektorem. Znowu usiadł na sofie wyścielanej zieloną skórą i czekał na to, co powie Fenton.

– Ku mojemu zdziwieniu – zaczął Curtis Fenton, który bynajmniej nie wyglądał na zdziwionego – panna Amy zgodziła się na sprzedaż udziałów Hoteli Richmond za czterdzieści tysięcy

dolarów. – Zamilkł i spojrzał na Abla. – Skoro więc uzyskałem jej zgodę, muszę teraz zapytać, czy jest pan skłonny wyjawić, kto będzie nabywcą?

– Owszem – powiedział Abel pewnym głosem. – Ja.

– Ach tak – i tym razem bankier nie okazał zdziwienia. – Czy mogę zapytać, skąd zamierza pan wziąć czterdzieści tysięcy dolarów?

– Upłynnię papiery wartościowe i uruchomię gotówkę, jaką mam na koncie, z tym że będzie mi jeszcze brakować około czterech tysięcy dolarów. Liczyłem, że będzie pan skłonny mi je pożyczyć, skoro pana zdaniem wartość akcji Hoteli Richmond jest zaniżona. Tak czy owak, cztery tysiące dolarów to pewno nie więcej niż wynosi prowizja, jaką otrzyma bank za doprowadzenie do transakcji.

Curtis Fenton zamrugał oczami i zmarszczył brwi. Dżentelmeni nie pozwalali sobie na takie uwagi w jego biurze; tym bardziej mu to dopiekło, że Abel określił sumę co do joty.

– Czy zechciałby pan mi dać więcej czasu na zastanowienie, nim udzielę panu odpowiedzi?

– Jeśli będzie pan za długo zwlekał, to obejdę się bez pańskiej pożyczki – powiedział Abel. – Same moje papiery wartościowe niedługo będą warte czterdzieści tysięcy dolarów, jeśli notowania będą tak rosły jak w tej chwili.

Abel musiał czekać kolejny tydzień, żeby się dowiedzieć, iż Continental Trust pójdzie mu na rękę.

Natychmiast wyjął wszystko z obu kont i pożyczył nieco ponad cztery tysiące dolarów, jakie mu brakowały do pełnych czterdziestu tysięcy.

W ciągu sześciu miesięcy Abel zarobił cztery tysiące dolarów na zwrot pożyczki, w rozważny sposób kupując i sprzedając akcje od marca do sierpnia 1929 roku, w okresie chyba największego rozkwitu, jaki kiedykolwiek przeżywał rynek papierów wartościowych.

Do września zdążył już cokolwiek zgromadzić na obydwu kontach i nawet kupił sobie nowego buicka – a do tego był teraz właścicielem dwudziestu pięciu procent udziałów Hoteli Richmond. Abel był zadowolony, że zdobył tak silny przyczółek w imperium Davisa Leroya. Dodało mu to odwagi do podjęcia starań o jego córkę i pozostałe siedemdziesiąt pięć procent.

Na początku października zaprosił Melanie do filharmonii na koncert mozartowski. Wkładając swój najelegantszy garnitur, który zresztą uwydatniał, że zaczyna tyć, oraz jedwabny krawat, przejrzał się w lustrze i uznał, że wieczór musi się udać. Po koncercie celowo nie zabrał Melanie na kolację do hotelu Richmond, mimo tak świetnej ostatnio kuchni, ale do „Pętelki". Uważał, żeby rozmawiać tylko o ekonomii i polityce, gdyż wiedział, że Melanie będzie musiała uznać jego wyższość w tych dziedzinach. Na koniec zaprosił ją do siebie na drinka. Jeszcze nie widziała jego mieszkania w hotelu i zarazem zaskoczyło ją i ubodło, że urządził je z takim smakiem.

Abel nalał coca-coli, o którą poprosiła, wrzucił dwie kostki lodu do perlącego się płynu i zaczerpnął otuchy z uśmiechu, jakim go nagrodziła, kiedy podawał jej szklankę. Dłużej niż przez dozwoloną przyzwoitością sekundę zatrzymał wzrok na jej smukłych nogach, założonych jedna na drugą. Nalał sobie burbona.

– Dziękuję ci, Ablu, za wspaniały wieczór.

Usiadł przy niej i w zamyśleniu obracał kieliszek.

– Od wielu lat nie słuchałem muzyki. A kiedy wreszcie miałem okazję, Mozart przemówił do mojego serca jak żaden inny kompozytor.

– Czasem na kilometr jedzie od ciebie środkową Europą, Ablu. – Uwolniła skraj swojej jedwabnej sukienki, którą przysiadł. – Kto by pomyślał, że hotelarza może obchodzić Mozart?

– Mój przodek, pierwszy baron Rosnovski – powiedział Abel – kiedyś poznał maestra, który został przyjacielem rodziny, tak że zawsze był mi bliski.

Uśmiech Melanie był nieprzenikniony. Abel przechylił się w bok i pocałował ją nad uchem, u nasady jasnych włosów. Kontynuowała rozmowę, najdrobniejszym gestem nie okazując, czy w ogóle dotarło do niej, co uczynił.

– Frederick Stock perfekcyjnie wydobył nastrój trzeciej części, nie sądzisz?

Abel próbował ją znowu pocałować. Tym razem obróciła ku niemu twarz i pozwoliła na pocałunek w usta. Potem odsunęła się.

– Myślę, że powinnam wracać na uniwersytet.

– Ale przecież dopiero co przyszłaś – zaprotestował skonsternowany.

– Tak, wiem, ale jutro muszę wcześnie wstać. Będę miała ciężki dzień.

Abel pocałował ją jeszcze raz. Odchyliła się do tyłu i wtedy spróbował przesunąć rękę na jej pierś. Odsunęła usta i odepchnęła go.

– Muszę iść, Ablu – powtórzyła.

– Daj spokój – powiedział – wcale nie musisz. – I znów ją pocałował.

Tym razem odepchnęła go silniej.

– Ablu, co ty sobie właściwie wyobrażasz? To, że zapraszasz mnie czasem na kolację i zabierasz na koncert, wcale nie znaczy, że masz mnie prawo obłapiać.

– Ale przecież chodzimy ze sobą od miesięcy – powiedział Abel. – Nie myślałem, że tak to potraktujesz.

– Nie chodzimy ze sobą, Ablu. Od czasu do czasu jadam z tobą w restauracji ojca, ale nie powinieneś tego interpretować w ten sposób, że chodzimy ze sobą od miesięcy.

– Wybacz mi – powiedział Abel. – Nie chciałem, żebyś myślała, że cię chcę obłapiać. Ja tylko pragnąłem cię dotknąć.

– Nigdy bym nie pozwoliła dotykać się mężczyźnie, jeśli bym nie miała zamiaru wyjść za niego za mąż.

– Ale ja chcę się z tobą ożenić – powiedział cicho Abel.

Melanie wybuchnęła śmiechem.

– Co w tym takiego śmiesznego? – spytał czerwieniejąc.

– Nie bądź głupi, Ablu, nigdy bym za ciebie nie wyszła.

– Ale dlaczego? – zapytał Abel zaszokowany gwałtownością jej tonu.

– Nie wypadałoby, aby dama z Południa poślubiła polskiego imigranta w pierwszym pokoleniu – odparła, siadając bardzo prosto i obciągając jedwabną sukienkę.

– Ale ja jestem baronem – powiedział Abel nieco pompatycznie.

Melanie znów zaniosła się śmiechem.

– Chyba nie myślisz, że ktoś w to uwierzy, Ablu? Czy nie wiesz o tym, że cały personel śmieje się za twoimi plecami, ilekroć wspominasz ten tytuł?

Był ogłuszony, zrobiło mu się niedobrze, z twarzy odpłynął rumieniec wstydu.

– Wszyscy się śmieją za moimi plecami? – Jego lekki cudzoziemski akcent stał się wyraźniejszy.

– Tak – powiedziała. – Chyba wiesz, że przezywają cię w hotelu „Chicagowskim Baronem”?

Ablowi odebrało mowę.

– Tak bardzo się tym znowu nie przejmuj. Wiem, że doskonale się spisałeś i że tatuś cię podziwia, ale ja nigdy bym za ciebie nie wyszła.

Abel siedział bez ruchu.

– Nigdy bym za ciebie nie wyszła – powtórzył.

– Oczywiście, że nie. Tatuś cię lubi, ale nie zgodziłby się, żebyś został jego zięciem.

– Przykro mi, że cię obraziłem – powiedział Abel.

– Nie obraziłeś mnie, Ablu. Czuję się pochlebiona. Zapomnijmy, że poruszyłeś ten temat. Może byłbyś tak uprzejmy i odwiózł mnie do domu.

Wstała i skierowała się do drzwi, Abel zaś nadal siedział oszołomiony. Jakoś powoli się pozbierał, wstał i podał Melanie płaszcz. Gdy szli razem korytarzem, miał świadomość, że utyka. Zjechali windą na dół i odwiózł ją do domu taksówką; oboje milczeli. Kazał taksówkarzowi poczekać i odprowadził ją pod bramę domu studenckiego. Pocałował ją w rękę.

– Mam nadzieję, że nadal będziemy mogli być przyjaciółmi – powiedziała Melanie.

– Oczywiście, że tak.

– Dziękuję za zaproszenie na koncert, Ablu. Jestem pewna, że bez kłopotu znajdziesz sympatyczną polską dziewczynę, która cię poślubi. Dobranoc.

– Dobranoc – odparł Abel.

Abel nie podejrzewał, że na nowojorskiej giełdzie papierów wartościowych dzieje się coś złego, dopóki jeden z gości nie zapytał, czy mógłby uregulować rachunek hotelowy akcjami. Sam Abel miał bardzo niewiele akcji, gdyż prawie wszystkie pieniądze umieścił w Hotelach Richmond, ale posłuchał rady maklera i sprzedał to, co mu jeszcze zostało z niewielką stratą, zadowolony, że swoje oszczędności ma bezpiecznie ulokowane w solidnych murach. Nie śledził z dnia na dzień wskaźnika Dow Jonesa, jak by czynił, gdyby cały kapitał miał zaangażowany w akcjach.

Hotel dobrze prosperował w pierwszej połowie roku i Abel uważał, że jest na najlepszej drodze do osiągnięcia ponaddwudziestopięciotysięcznego zysku, jaki zaplanował na 1929 rok, i na bieżąco informował Davisa Leroya o sytuacji. Jednak kiedy w październiku przyszedł krach giełdowy, hotel był w połowie pusty. Abel połączył się z Davisem Leroyem w Czarny Wtorek. Teksańczyk miał przygnębiony głos, wydawał się czymś zaabsorbowany i nie chciał dyskutować o tymczasowym zwolnieniu personelu hotelowego, co Abel uważał teraz za pilne.

– Poczekaj z tym, Ablu – powiedział. – Przyjadę w przyszłym tygodniu i wtedy wspólnie jakoś temu zaradzimy, a przynajmniej spróbujemy.

Ton głosu, jakim wypowiedział ostatnie słowa, nie spodobał się Ablowi.

– O co chodzi, Davisie? Czy to coś, w czym mógłbym pomóc?

– Na razie nie.

Abel czuł się zbity z tropu.

– Czy nie mógłbyś mnie upoważnić, abym się tym zajął, a w przyszłym tygodniu, kiedy przyjedziesz, zdałbym ci sprawę z tego, co załatwiłem?

– To nie takie proste, Ablu. Nie chciałem mówić o tym przez telefon, ale mam pewne kłopoty w banku w związku ze stratami, jakie poniosłem na giełdzie; straszą mnie, że będę musiał sprzedać hotele, jeśli nie zmobilizuję wystarczająco dużo pieniędzy na pokrycie długów.

Abla przejął chłód.

– Nie masz czym się przejmować, chłopcze – ciągnął Leroy niefrasobliwym tonem. – Opowiem ci wszystko ze szczegółami, kiedy będę w Chicago w przyszłym tygodniu. Jestem pewny, że do tej pory coś wykombinuję.

Abel usłyszał trzask odkładanej słuchawki i poczuł, że jest cały spocony. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, w jaki sposób mógłby pomóc Davisowi. Połączył się z Curtisem Fentonem i wydobył od niego nazwisko bankiera, który sprawował finansową kontrolę nad Hotelami Richmond, gdyż czuł, że gdyby mógł się z nim zobaczyć, ułatwiłby zadanie przyjacielowi.

W ciągu następnych dni Abel parokrotnie telefonował do Davisa, informując go, że sytuacja pogarsza się z każdą chwilą i należy coś postanowić, ale tamten zdawał się coraz bardziej i bardziej nieobecny i nie chciał podejmować żadnych decyzji. Kiedy sytuacja zaczęła się wymykać z rąk, Abel powziął decyzję. Poprosił sekretarkę, żeby połączyła go z bankierem, którego nazwisko podał mu Fenton.

– Z kim chce pan mówić, panie Rosnovski? – spytała zasadniczym tonem kobieta.

Abel spojrzał na nazwisko widniejące na leżącej przed nim kartce papieru i wypowiedział je stanowczym głosem.

– Łączę pana.

– Dzień dobry – powiedział władczy głos. – Czy mogę panu w czymś pomóc?

– Bardzo na to liczę. Nazywam się Abel Rosnovski – zaczął Abel nerwowo. – Jestem dyrektorem hotelu Richmond w Chicago i chciałbym umówić się z panem na rozmowę w sprawie przyszłości Hoteli Richmond.

– Nie jestem upoważniony do pertraktowania z nikim prócz pana Davisa Leroya – powiedział głos o harvardzkim akcencie.

– Ale ja jestem właścicielem dwudziestu pięciu procent udziałów Hoteli Richmond.

– Zatem bez wątpienia ktoś panu wyjaśni, że dopóki pan nie ma pięćdziesięciu jeden procent, nie może pan pertraktować z bankiem, jeśli nie został pan upoważniony przez pana Davisa Leroya.

– Ale on jest moim bliskim przyjacielem…

– Nie wątpię w to, panie Rosnovski.

– …i chciałbym mu pomóc.

– Czy pan Leroy upoważnił pana do występowania w swoim imieniu?

– Nie, ale…

– Proszę mi więc wybaczyć, ale kontynuowanie przeze mnie tej rozmowy byłoby niezgodne z etyką zawodową.

– Trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej nieużytego niż pan – rzucił Abel i natychmiast pożałował swoich słów.

– Wolno panu tak to oceniać. Żegnam, panie Rosnovski.

A idź do diabła, pomyślał Abel, rzucając z trzaskiem słuchawkę, jeszcze bardziej zatroskany i niepewny, jak mógłby pomóc Davisowi. Wkrótce się dowiedział.

Następnego wieczoru zobaczył w restauracji Melanie, która nie demonstrowała swej zwykłej, pełnej nonszalancji pewności siebie, lecz wyglądała na znużoną i niespokojną, tak że omal jej nie zapytał, czy wszystko jest w porządku. Postanowił jednak nie podchodzić do niej, i kiedy wyszedł z restauracji i skierował się do biura, ujrzał w głównym hallu stojącego samotnie Davisa Leroya. Miał na sobie kraciastą marynarkę, tę samą, którą nosił w dniu, kiedy pierwszy raz rozmawiał z Ablem w hotelu Plaza.

– Czy Melanie jest w jadalni?

– Tak – odparł Abel. – Nie wiedziałem, że dziś przyjeżdżasz, Davisie. Natychmiast biegnę przygotować dla ciebie apartament prezydencki.

– Tylko na jedną noc, Ablu, i chciałbym później spotkać się z tobą sam na sam.

– Naturalnie.

Ablowi nie spodobał się sposób, w jaki Davis wypowiedział słowa „sam na sam”. Czy Melanie poskarżyła się ojcu? Czy to dlatego nie udawało mu się wydębić żadnej decyzji od Davisa podczas ostatnich kilku dni?

Davis Leroy pospieszył do jadalni. Abel zaś poszedł do recepcji sprawdzić, czy apartament na dwunastym piętrze jest wolny. Połowa pokoi w hotelu była niezajęta, więc nic dziwnego, że w apartamencie

również nikt nie mieszkał. Abel wpisał swojego pryncypała do książki hotelowej, a potem czekał w recepcji ponad godzinę. Zobaczył, że Melanie wychodzi z wypiekami na twarzy, jakby płakała. Ojciec wyszedł z restauracji parę minut po niej.

– Weź butelkę burbona, Ablu… tylko mi nie mów, że nie masz żadnej… i potem przyjdź do mnie.

Abel wyjął dwie butelki burbona z sejfu, po czym wjechał na dwunaste piętro i dołączył do Davisa Leroya w apartamencie prezydenckim, wciąż niepewny, czy Melanie powiedziała coś ojcu czy nie.

– Otwórz butelkę i nalej sobie do pełna, Ablu – polecił mu Leroy.

I znów Abla ogarnął lęk przed nieznanym. Zaczęły mu się pocić dłonie. Przecież chyba nie wyrzucą go dlatego, że chciał poślubić córkę szefa? Od ponad roku są z Leroyem przyjaciółmi, bliskimi przyjaciółmi. Nie musiał długo czekać, żeby zmierzyć się z nieznanym.

– Dopij swego burbona.

Abel opróżnił szklaneczkę jednym haustem. Davis Leroy wypił swoją.

– Ablu, jestem zrujnowany. – Zamilkł i nalał im obu drugi raz. – Podobnie zresztą jak połowa Ameryki, jeśli się nad tym zastanowić.

Abel nie odezwał się, również dlatego, że nie wiedział, co mógłby powiedzieć. Siedzieli, patrząc na siebie przez kilka minut, i dopiero po kolejnej szklaneczce burbona wybąkał:

– Ale przecież masz jeszcze jedenaście hoteli.

– Miałem – rzekł Davis Leroy. – To już czas przeszły, Ablu. Nie jestem już właścicielem żadnego z nich. W zeszły czwartek bank przejął wszystko.

– Ależ one należą do ciebie, są własnością twojej rodziny od dwóch pokoleń – powiedział Abel.

– Były. Już nie są. Teraz należą do banku. Nie ma powodu, żebyś nie poznał całej prawdy, Ablu; to się przydarzyło obecnie niemal wszystkim w Ameryce, wielkim i małym. Mniej więcej przed dwoma laty pożyczyłem dwa miliony dolarów pod zabezpieczenie hoteli i wpakowałem pieniądze w akcje i obligacje wielce szacownych firm. Rozbudowałem ten kapitał do prawie pięciu milionów, co było jednym z powodów, dla których straty przynoszone przez hotele nigdy mnie specjalnie nie martwiły. Dzięki nim zyskiwałem odpisy podatkowe od tego, co zarobiłem na giełdzie. Dziś nie sposób pozbyć się tych akcji nawet za grosze. Równie dobrze moglibyśmy ich użyć zamiast papieru toaletowego w jedenastu hotelach. Przez ostatnie trzy tygodnie robiłem, co mogłem, żeby je sprzedać, ale nie ma już żadnych nabywców. Bank zablokował pożyczkę w zeszły czwartek. – Abel przypomniał sobie, że właśnie w czwartek rozmawiał z bankierem. – Większość ludzi, których dotknął krach, ma tylko świstki papieru na pokrycie swoich długów, ale w moim przypadku bank, który popierał mnie finansowo, posiadał tytuły własności jedenastu hoteli jako zabezpieczenie pożyczki. Kiedy więc nastąpiło załamanie, natychmiast je przejęli. Te łotry mnie powiadomiły, że zamierzają jak najszybciej sprzedać Hotele Richmond.

– To szaleństwo. Teraz dostaną za nie grosze, gdyby natomiast pomogli nam przetrwać ten trudny okres, moglibyśmy razem wypracować dla nich ładny procent z ich lokaty.

– Wiem, że ty byś mógł, Ablu, ale oni dobrze wiedzą, jakie były straty w przeszłości. Pojechałem do nich i sugerowałem im dokładnie to samo. Mówiłem im o tobie i obiecałem, że poświęcę cały mój czas,

żeby wyprowadzić Hotele Richmond na czyste wody, ale ich to nie interesowało. Zbyli mnie, posyłając do jakiegoś wymuskanego lalusia, który zasypał mnie podręcznikowymi frazesami o ruchu płynnych środków finansowych, braku bazy kapitałowej i ograniczeniach kredytowych. Na Boga, jeśli się jakoś pozbieram, to się porachuję najpierw z nim, a potem z jego bankiem. Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to się urżnąć, gdyż jestem skończony, spłukany do nitki i zbankrutowany.

– W takim razie ja też – powiedział cicho Abel.

– Nie, ty masz przed sobą wielką przyszłość, synu. Ktokolwiek weźmie te hotele, bez ciebie nie ruszy z miejsca.

– Zapomniałeś, że mam dwadzieścia pięć procent udziałów.

Davis Leroy wybałuszył na niego oczy; oczywiste było, że wyleciało mu to z głowy.

– O Boże, Ablu, chyba nie władowałeś w ten interes wszystkich swoich pieniędzy – powiedział stłumionym głosem.

– Wszystko, co do ostatniego grosza – rzekł Abel. – Ale nie żałuję tego, Davisie. Lepiej z mądrym stracić, niż z głupim zyskać. – Nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę.

Leroyowi łzy stanęły w oczach.

– Wiesz, Ablu, jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego można sobie wyobrazić. Stawiasz ten hotel na poziomie, lokujesz własne pieniądze, wszystko przeze mnie tracisz i słówkiem się nie poskarżysz, i jeszcze, jakby tego było mało, moja córka daje ci kosza.

– Nie miałeś mi za złe, że zaproponowałem jej małżeństwo? – spytał Abel z mniejszym niedowierzaniem, niż gdyby był całkiem trzeźwy.

– Głupia gęś, nie umie się poznać na tym, co dobre. Chciałaby za męża jakiegoś dobrze urodzonego bubka z Południa, najlepiej ze stadniną koni i trzema dziadkami konfederatami w drzewie genealogicznym, a jeśli kogoś z Północy, to takiego, którego prapradziadek przypłynął na *Mayflower*. Gdyby rzeczywiście przodkowie wszystkich tych, którzy tak twierdzą, mieli przypłynąć na tej łajbie, toby zatonęła tysiąc razy, zanimby dotarła do Ameryki. Żałuję, że nie mam dla ciebie jeszcze jednej córki, Ablu. Nikt nie zachował się wobec mnie bardziej lojalnie niż ty. Byłbym dumny, mając kogoś takiego w rodzinie. We dwójkę dokonalibyśmy wielkich rzeczy, ale myślę, że sam też im wszystkim dołożysz. Jesteś młody, wszystko jeszcze przed tobą.

Przy swoich dwudziestu trzech latach Abel nagle poczuł się bardzo stary.

– Dziękuję za zaufanie, Davisie – powiedział. – I przestańmy się przejmować tą cholerną giełdą.

Wiesz, jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałem w życiu. – Alkohol rozwiązał mu język.

Dolał sobie burbona i wypił go jednym haustem. Przed świtem skończyli we dwóch obydwie butelki. Kiedy Davis zasnął w swoim fotelu, Abel wyszedł, jakoś dobrnął na swoje piętro, zrzucił ubranie i padł na łóżko. Z ciężkiego snu zbudziło go mocne łomotanie do drzwi. Okropnie kręciło mu się w głowie, ale łomot nie ustawał. Zmusił się do wstania z łóżka i dowlókł się do drzwi. To był chłopiec na posyłki.

– Prędko, prędko, panie Ablu – zawołał i pobiegł korytarzem.

Abel narzucił szlafrok, wsunął nogi w pantofle i chwiejnie poszedł korytarzem do drzwi windy, które przytrzymywał dla niego chłopak.

– Prędko, panie Ablu – powtórzył.

– Po co ten pośpiech? – spytał Abel, któremu w wolno sunącej w dół windzie nadal wirowało w głowie. Potem przypomniał sobie wczorajszą rozmowę. Może przyszli ludzie z banku, aby przejąć hotel.

– Ktoś wyskoczył przez okno.

Abel z miejsca wytrzeźwiał.

– Jakiś gość?

– Chyba tak – odparł chłopiec. – Ale nie wiem na pewno.

Winda stanęła na parterze. Abel pchnął żelazną furtę i wybiegł na ulicę. Była tam już policja. Nie poznałby ciała, gdyby nie marynarka w kratę. Jeden z policjantów spisywał protokół. Do Abla podszedł policjant w cywilu.

– Pan jest dyrektorem?

– Tak, ja.

– Czy pan się domyśla, kto to może być?

– Tak – powiedział niewyraźnie Abel. – Nazywa się Davis Leroy.

– Czy pan wie, skąd pochodzi albo jak można skontaktować się z kimś z jego najbliższej rodziny?

Abel odwrócił oczy od roztrzaskanego ciała i automatycznie odpowiedział:

– Pochodzi z Dallas, a jego najbliższą krewną jest panna Melanie Leroy, córka. Jest studentką i mieszka w Chicago, w miasteczku uniwersyteckim.

– Dobrze, natychmiast kogoś do niej poślemy.

– Nie, proszę tego nie robić. Sam do niej pojadę – powiedział Abel.

– Dziękuję panu. Zawsze jest lepiej, jeśli człowiek nie dowiaduje się o czymś takim od obcej osoby.

– Co za potworna, niepotrzebna śmierć – powiedział Abel, znowu patrząc na ciało przyjaciela.

– To już dzisiaj siódmy w Chicago – odrzekł beznamiętnie policjant, zamykając mały czarny notes, i odszedł w stronę ambulansu.

Abel patrzył, jak sanitariusze zabierają z chodnika ciało Davisa Leroya. Poczuł mdłości, osunął się na kolana, i gwałtownie zwymiotował do rynsztoka. Po raz kolejny stracił bliskiego człowieka. Może gdyby mniej pił, a więcej myślał, mógłby go ocalić. Pozbierał się i wrócił do swojego pokoju, wziął długi, zimny prysznic i jakoś zdołał się ubrać. Zamówił czarną kawę, a potem, przemagając się, poszedł do apartamentu prezydenckiego i otworzył drzwi. Poza pustymi butelkami po burbonie nie było tam żadnych śladów dramatu, jaki dopiero co się rozegrał. W pewnym momencie zobaczył listy, leżące na stoliku przy łóżku, w którym nikt nie spał. Pierwszy zaadresowany był do Melanie, drugi do prawnika w Dallas, a trzeci do Abla. Rozdarł kopertę, ale słowa tańczyły mu przed oczami.

Drogi Ablu!

Wybieram jedyne wyjście, jakie mi pozostało po decyzji banku. Nie mam po co żyć; jestem o wiele za stary, żeby zaczynać od nowa. Chcę, abyś wiedział, że wierzę, że jesteś jedynym człowiekiem, który zdoła ocalić cokolwiek z tej potwornej katastrofy.

Spisałem nowy testament, w którym zostawiłem Ci pozostałe siedemdziesiąt pięć procent udziałów Hoteli

Richmond. Mam świadomość, że są bezwartościowe, ale wzmocnią Twoją pozycję jako prawowitego właściciela hoteli. Skoro miałeś odwagę kupić dwadzieścia pięć procent za własne pieniądze, to zasłużyłeś na to, żeby dać Ci szansę dogadania się w jakiś sposób z bankiem. Wszystko, co mam, łącznie z domem, zostawiam Melanie. Proszę, żebyś Ty ją powiadomił. Nie policja. Byłbym dumny, mając takiego zięcia, wspólniku.

Twój przyjaciel Davis

Abel przeczytał list raz, drugi, trzeci, po czym dokładnie go złożył i schował do portfela.

Pojechał przed południem do miasteczka uniwersyteckiego i najdelikatniej, jak mógł, przekazał wiadomość Melanie. Siedział niespokojnie na kanapce, nie wiedząc, co mógłby jeszcze dodać poza stwierdzeniem samego faktu śmierci. Melanie zachowała się zadziwiająco spokojnie, niemal jakby wiedziała, że to się stanie. Nie uroniła przy Ablu ani jednej łzy – może pozwoliła sobie na to później, po jego wyjściu. Pierwszy raz odkąd ją znał, było mu jej żal.

Wrócił do hotelu i postanowił nie jeść lunchu; poprosił kelnera o sok pomidorowy, który popijał, przeglądając korespondencję. Znalazł tam list od Curtisa Fentona z banku Trust Continental. Najwyraźniej był to dzień listów. Fenton otrzymał zawiadomienie, że bostoński bank Kane'a i Cabota przejął odpowiedzialność finansową za Hotele Richmond. Na razie wszystko miało trwać jak dotychczas aż do czasu przeprowadzenia rozmów z panem Leroyem w sprawie sprzedaży wszystkich hoteli. Abel siedział, wpatrując się w napisane przez Fentona słowa, wreszcie, po wypiciu drugiej szklanki soku pomidorowego, ułożył list do prezesa rady nadzorczej banku, Alana

Lloyda. Po jakichś pięciu dniach otrzymał odpowiedź wraz z zaproszeniem na spotkanie w Bostonie czwartego stycznia i rozmowę na temat upłynnienia majątku grupy z dyrektorem do spraw bankructw. Do tej pory bank zdąży uporządkować sprawy wynikłe z nagłej i tragicznej śmierci pana Leroya.

Nagła i tragiczna śmierć? A kto spowodował tę śmierć? – powiedział na głos Abel ogarnięty furią, raptem przypominając sobie słowa Davisa Leroya: „Zbyli mnie, posyłając do jakiegoś wymuskanego lalusia... Na Boga, jeśli się jakoś pozbieram, to się porachuję najpierw z nim, a potem z jego bankiem".

– Nie martw się, Davisie, skończę to za ciebie.

W ciągu ostatnich tygodni roku Abel prowadził hotel Richmond, twardą ręką trzymając personel oraz rygorystycznie pilnując bankowej buchalterii, i ledwo zdołał utrzymać się na powierzchni. Nieraz się zastanawiał, co też się może dziać w dziesięciu pozostałych hotelach, ale nie miał czasu, aby się o tym przekonać, poza tym nie była to już jego sprawa.

17

Czwartego stycznia 1930 roku Abel Rosnovski przybył do Bostonu. Wziął taksówkę z dworca i w banku Kane'a i Cabota zjawił się kilka minut wcześniej. Usiadł w pokoju przyjęć, który był większy i urządzony z większym przepychem niż najlepszy z pokoi w hotelu Richmond w Chicago, i zaczął czytać „Wall Street Journal". Gazeta zapewniała, że rok 1930 będzie lepszy od poprzedniego. Do pokoju weszła poważna starsza kobieta.

– Pan Kane pana prosi, panie Rosnovski.

Abel podniósł się i poszedł za nią długim korytarzem, na którego końcu znajdował się niewielki pokój o ścianach wyłożonych dębową boazerią i z dużym biurkiem o blacie obciągniętym skórą; siedział za nim wysoki, przystojny mężczyzna, który, jak ocenił Abel, był mniej więcej w jego wieku. Oczy miał tak samo intensywnie niebieskie jak Abel. Na ścianie za nim wisiał portret starszego mężczyzny, do którego młody człowiek był bardzo podobny. Założyłbym się, że to ojczulek, pomyślał z sarkazmem Abel. Nie ma strachu, temu kryzys nie zaszkodzi; banki zawsze wychodzą na swoje.

– Nazywam się William Kane – przedstawił się młody człowiek, wstając i wyciągając rękę. – Proszę usiąść, panie Rosnovski.

– Dziękuję – powiedział Abel.

William przyjrzał się niewielkiemu mężczyźnie w źle uszytym ubraniu, ale zauważył także jego nieulękłe oczy.

– Pozwoli pan, że przedstawię mu, jak wygląda sytuacja z naszego punktu widzenia.

– Proszę bardzo.

– Tragiczna i przedwczesna śmierć pana Leroya… – zaczął William, którego raziła pompatyczność własnych słów.

Spowodowana przez waszą bezwzględność, pomyślał Abel.

– …sprawiła, że spadł na pana obowiązek kierowania grupą, dopóki bank nie będzie w stanie znaleźć nabywcy na hotele. Wprawdzie sto procent udziałów należy obecnie do pana, ale majątek, w postaci jedenastu hoteli, które stanowiły zabezpieczenie dwumilionowej pożyczki nieżyjącego pana Leroya, stał się zgodnie z prawem naszą własnością. Zwalnia to pana od wszelkiej odpowiedzialności, i gdyby pan życzył sobie zrezygnować, naturalnie nie będziemy mieli panu tego za złe.

Obraźliwa sugestia, pomyślał William, ale należało to powiedzieć.

Coś, czego może się po człowieku spodziewać bankier: rezygnacji w momencie, kiedy tylko powstaną jakieś trudności, pomyślał Abel.

– Obawiam się – ciągnął William Kane – że dopóki dwumilionowy dług nie zostanie wyrównany, musimy uważać majątek nieżyjącego pana Leroya za niewypłacalny. My w banku wysoko cenimy pańskie osobiste zaangażowanie w sprawy Hoteli Richmond, i nie przystąpiliśmy do ich sprzedaży, póki nie nadarzyła się okazja rozmówienia się z panem osobiście. Uznaliśmy, że być może zna pan kogoś, kto byłby zainteresowany kupnem, jako że budynki, ziemia i sam interes byłyby niewątpliwie wartościowym nabytkiem.

– Ale nie na tyle wartościowym, abyście udzielili mi finansowego poparcia – powiedział Abel. Przeciągnął ze znużeniem palcami po włosach. – Ile czasu dacie mi na znalezienie nabywcy?

William zawahał się przez chwilę, spostrzegłszy na ręku Abla Rosnovskiego srebrną bransoletę. Już ją kiedyś widział, ale nie pamiętał gdzie.

– Trzydzieści dni. Proszę zrozumieć, że bank musi pokrywać straty, jakie dzień w dzień przynosi dziesięć spośród jedenastu hoteli. Tylko hotel w Chicago daje niewielki zysk.

– Gdyby zostawił mi pan trochę czasu i udzielił poparcia finansowego, panie Kane, doprowadziłbym wszystkie hotele do rozkwitu. Wiem, że mógłbym to zrobić – powiedział Abel. – Proszę tylko dać mi szansę udowodnienia tego, bardzo pana proszę. – Te ostatnie słowa z trudem przeszły Ablowi przez gardło.

– To samo mówił pan Leroy, kiedy nas odwiedził jesienią – odparł William. – Ale czasy są ciężkie. Nie sposób przewidzieć, czy hotelarstwo znów będzie dochodowe, a poza tym nie jesteśmy hotelarzami, proszę pana, tylko bankierami.

Abla zaczął wyprowadzać z równowagi ten wymuskany bankier – „laluś" jak go określił Davis.

– Bardzo ciężkie czasy nastaną dla personelu hotelowego – rzucił. – Co oni zrobią, kiedy pozbawicie ich dachu nad głową? Jak pan sobie wyobraża, co się z nimi stanie?

– Przykro mi, ale nic na to nie możemy poradzić, proszę pana. Muszę się kierować interesem banku.

– Raczej własnym interesem, nie sądzi pan, panie Kane?

Młody człowiek zaczerwienił się.

– To niesprawiedliwa uwaga i miałbym ją panu bardzo za złe, gdybym nie współczuł panu i nie rozumiał, co pan przeszedł.

– Wielka szkoda, że nie wyjechał pan ze swoim współczuciem wtedy, kiedy potrzebne było Davisowi Leroyowi – powiedział Abel. –

Dla Leroya jest za późno. Zabił go pan, panie Kane, po prostu tak, jakby pan go osobiście wypchnął z tego okna, pan i pańscy świętoszkowaci koledzy; siedzicie tu sobie na tyłkach, gdy my wypruwamy z siebie żyły, żebyście mogli zgarnąć swoją dolę, kiedy czasy są dobre, i wypiąć się na ludzi, kiedy czasy są podłe.

William też zaczynał być zły. W przeciwieństwie do Abla nie okazywał tego.

– Ta dyskusja prowadzi donikąd, proszę pana. Muszę pana uprzedzić, że jeśli nie znajdzie pan nabywcy w ciągu trzydziestu dni, nie będę miał innego wyjścia, jak wystawić hotele na licytację.

– Teraz mi pan pewno poradzi, żebym zwrócił się do innego banku o pożyczkę – sarkastycznie zauważył Abel. – Pan wie, czego dokonałem, i nie chce mi udzielić poparcia, więc gdzie do diabła mam teraz pójść?

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia – odparł William. – To wyłącznie pańska sprawa. Polecono mi jak najszybciej ściągnąć należność i zamierzam to zrobić. Zechce pan łaskawie skontaktować się ze mną najpóźniej do czwartego lutego i dać mi znać, czy udało się panu znaleźć nabywcę. Do widzenia panu.

William wstał zza biurka i jak przedtem wyciągnął rękę. Tym razem Abel nie podał mu swojej i skierował się do drzwi.

– Po naszej rozmowie telefonicznej sądziłem, panie Kane, że będzie pan miał wyrzuty sumienia i wyciągnie pan pomocną dłoń. Myliłem się. Jest pan skończonym draniem i kiedy będzie się pan kładł spać, niech pan koniecznie pomyśli o mnie, panie Kane. A kiedy obudzi się pan rano, niech pan też o mnie pomyśli, bo ja nie dam za wygraną, dopóki nie wymyślę, jak się panu odpłacić.

William ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w zamknięte drzwi. Srebrna bransoleta wciąż nie dawała mu spokoju – gdzie już ją widział?

Wróciła sekretarka.

– Co za okropny mały człowieczek – powiedziała.

– Nie, niekoniecznie – stwierdził William. – On uważa, że jesteśmy winni śmierci jego wspólnika, a teraz rozwiązujemy jego firmę, nie troszcząc się o jego pracowników, nie mówiąc o nim samym, podczas gdy on dowiódł, że jest bardzo zdolny. Pan Rosnovski był nadzwyczaj uprzejmy, zważywszy okoliczności i muszę przyznać, że było mi właściwie żal, iż rada nadzorcza postanowiła nie udzielić mu poparcia. – Spojrzał na sekretarkę. – Niech mnie pani połączy z panem Cohenem – poprosił.

18

Abel wrócił do Chicago rano następnego dnia, wciąż jeszcze poruszony i wściekły, że William Kane obszedł się z nim w taki sposób. Kiedy przywołał taksówkę i sadowił się w niej na tylnym siedzeniu, słyszał co prawda słowa gazeciarza wykrzykującego ostatnie wiadomości przy kiosku na rogu ulicy, ale ich sens nie bardzo do niego docierał.

– Poproszę do hotelu Richmond.

– Pan z gazety? – zagadnął taksówkarz, wjeżdżając w State Street.

– Nie. A dlaczego pan pyta? – zdziwił się Abel.

– Bo życzył pan sobie do Richmondu. Walą tam dziś wszyscy reporterzy.

Abel nie przypominał sobie, aby w hotelu miała się odbyć jakaś uroczystość, która mogłaby zainteresować prasę.

Taksówkarz ciągnął dalej:

– Skoro nie jest pan reporterem, to może powinienem pana zawieźć do innego hotelu?

– Dlaczego? – zapytał Abel, jeszcze bardziej zdziwiony.

– Bo nie będzie się tam panu wygodnie spało. Richmond spłonął do samych fundamentów.

Taksówka skręciła i Abel znalazł się tuż przed dymiącymi zgliszczami hotelu. Ujrzał samochody policyjne, wozy straży pożarnej, zwęglone drewno i zalaną wodą jezdnię. Wysiadł z taksówki

i oniemiały wpatrywał się w dymiące resztki tego, co jeszcze niedawno było chlubą Grupy Hoteli Davisa Leroya.

Mądry Polak po szkodzie, pomyślał Abel, i zaciśniętą pięścią zaczął uderzać w swoją chromą nogę. Nie czuł nic. Nic już nie mogło sprawić mu bólu.

– Poczekajcie, dranie! – krzyczał. – Bywałem już w gorszych opałach, ale ja wam wszystkim jeszcze dołożę. Niemcy, Rosjanie, Turcy, ten łobuz Kane, a teraz i to. Ale ja wam jeszcze pokażę. Nikomu się nie uda zniszczyć Abla Rosnovskiego.

Wicedyrektor hotelu dostrzegł Abla stojącego przy taksówce i podbiegł ku niemu. Abel z wysiłkiem się opanował.

– Czy personel i goście zdążyli bezpiecznie opuścić hotel? – zapytał.

– Tak, dzięki Bogu. Hotel był prawie pusty, więc nie było to takie trudne. Kilka osób odniosło drobne obrażenia, kilka trochę się poparzyło, ale zajęto się już nimi w szpitalu i nie musi się pan tym kłopotać.

– Dobre i to. Dzięki Bogu, hotel był wysoko ubezpieczony, na milion z okładem, jeśli dobrze pamiętam. To nieszczęście może się jeszcze obrócić na naszą korzyść.

– Jeśli tylko nie jest prawdą to, co piszą najświeższe gazety.

– To znaczy co? – spytał Abel.

– Wolałbym, żeby pan sam to sobie przeczytał, szefie – odparł wicedyrektor.

Abel podszedł do kiosku z gazetami i za dwa centy nabył ostatnie wydanie „Chicago Tribune”. Ogromny nagłówek wystarczył mu za odpowiedź.

HOTEL RICHMOND W PŁOMIENIACH – PODEJRZEWA SIĘ PODPALENIE.

Abel potrząsnął z niedowierzaniem głową i przeczytał nagłówek jeszcze raz.

– Czy to się nigdy nie skończy? – mruknął.

– Ma pan jakieś kłopoty? – zapytał kioskarz.

– Drobnostka – odpowiedział Abel i wrócił do wicedyrektora: – Kto prowadzi dochodzenie?

– Tamten oficer oparty o samochód – odpowiedział wicedyrektor, wskazując palcem wysokiego, szczupłego, przedwcześnie łysiejącego mężczyznę. – Nazywa się O'Malley. Porucznik O'Malley.

– Jakżeby inaczej – powiedział Abel. – A teraz niech pan umieści cały personel w drugim budynku. Zjawię się tam jutro o dziesiątej. Jeśli ktoś będzie chciał się zobaczyć ze mną wcześniej, zastanie mnie w Stevensie. Będę tam, dopóki nie uporam się z całą tą sprawą.

– Robi się, szefie.

Abel podszedł do porucznika O'Malleya i przedstawił się.

Wysoki, chudy policjant lekko się pochylił, aby uścisnąć rękę Abla.

– A! Niecierpliwie oczekiwany były dyrektor byłego hotelu powrócił na zgliszcza swego królestwa.

– To wcale nie jest zabawne, panie poruczniku – powiedział Abel.

– Rzeczywiście. Wcale. Bardzo przepraszam. To była ciężka noc. Chodźmy na drinka.

Policjant ujął Abla za łokieć i poprowadził go w kierunku kawiarenki na rogu Michigan Avenue. Porucznik O'Malley zamówił dwa mleczne koktajle.

Abel się zaśmiał, kiedy postawiono przed nim biały napój z apetyczną pianką. Los pozbawił go beztroskiej młodości i był to pierwszy mleczny koktajl w jego życiu.

– Wiem, to śmieszne. Wszyscy w tym mieście łamią prawo, pijąc whisky i piwo – powiedział detektyw – więc ktoś musi się dobrze prowadzić. Ale prohibicja nie będzie trwała wiecznie. I dopiero wtedy zaczną się dla mnie kłopoty, gdy gangsterzy odkryją, że ja naprawdę lubię mleczne koktajle.

Abel znów się roześmiał.

– Ale wróćmy do pańskiej sprawy, panie Rosnovski. Przede wszystkim muszę panu powiedzieć, że nie ma pan według mnie najmniejszej szansy na odszkodowanie. Spece od pożarów przeczesali zgliszcza gęstym grzebieniem i stwierdzili, że cały budynek był nasączony naftą jak gąbka. Zresztą ten, kto to zrobił, wcale nie próbował tego ukryć. Znaleziono ślady nafty we wszystkich pomieszczeniach sutereny. Wystarczyła jedna zapałka i hotel spłonął jak fajerwerk.

– Czy domyślacie się, kto to mógł zrobić? – zapytał Abel.

– Pozwoli pan, że to ja będę zadawał pytania. Czy domyśla się pan, kto mógł mieć jakieś żale do hotelu czy osobiście do pana?

Abel chrząknął.

– Z pięćdziesiąt osób, panie poruczniku. Po objęciu hotelu zlikwidowałem tu istne gniazdo os. Mogę dać panu całą listę, jeśli miałoby to panu pomóc w poszukiwaniach.

– Chyba tak, choć sądząc po tym, co tu ludzie opowiadają, może się to okazać zbyteczne – powiedział porucznik. – Ale jeśli będzie pan miał jakieś konkretne informacje, proszę dać mi znać, panie

Rosnovski. Niech pan to zrobi koniecznie, bo powiadam panu, nie brak tu panu wrogów – wskazał palcem w kierunku ruchliwej ulicy.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – spytał Abel.

– Ktoś rozpowiada, że pan sam to zrobił, ponieważ stracił pan wszystko w krachu i potrzebuje pan pieniędzy z ubezpieczenia.

Abel zerwał się z barowego stołka.

– Spokojnie, spokojnie. Wiem, że przez cały dzień był pan w Bostonie, a co ważniejsze, cieszy się pan w Chicago opinią człowieka, który raczej podnosi hotele z ruiny, niż je podpala. Ktoś jednak podpalił Richmond i założyłbym się o ostatnie portki, że dowiem się, kto. Na razie na tym poprzestańmy. – Porucznik zsunął się ze stołka. – Stawiam panu ten koktajl, panie Rosnovski, żeby mieć w panu dłużnika.

Uśmiechnął się do dziewczyny siedzącej przy kasie, podziwiając zgrabne kostki jej nóg i przeklinając nową modę na długie spódnice. Wręczył jej pięćdziesiąt centów.

– Nie trzeba reszty, złotko.

– Jestem wzruszona – zakpiła dziewczyna.

– Nikt mnie nie docenia – powiedział porucznik.

Abel roześmiał się trzeci raz, co jeszcze przed godziną było nie do pomyślenia.

– A, byłbym zapomniał – dodał porucznik już w drzwiach. – Szukają pana faceci z agencji ubezpieczeniowej. Nie pamiętam nazwiska tego gościa, ale jestem pewien, że on pana znajdzie. Niech go pan tylko nie pobije. Jeśli myśli, że maczał pan w tym palce, trudno go za to winić. I niech się pan do mnie odezwie. Chciałbym z panem jeszcze pomówić.

Abel odprowadził porucznika spojrzeniem, aż ten zniknął w tłumie gapiów, a potem wolnym krokiem udał się do hotelu Stevens, gdzie poprosił o pokój. Recepcjonista, który przyjął już większość gości z hotelu Richmond, nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy przyszło mu zameldować również dyrektora. Znalazłszy się w swoim pokoju, Abel usiadł przy stoliku i napisał oficjalny list do Williama Kane'a, przekazując mu wszystkie szczegóły dotyczące pożaru i informując go, że zamierza skorzystać z nieoczekiwanej sposobności i dokonać objazdu pozostałych hoteli Richmond. Abel uznał, że nie ma sensu tkwić w Chicago i rozpamiętywać poniesionej straty w próżnej nadziei, że zjawi się ktoś, kto wybawi go z opresji.

Następnego ranka, po pierwszorzędnym śniadaniu w Stevensie – pobyt w dobrze prowadzonym hotelu zawsze poprawiał Ablowi samopoczucie – udał się pieszo do banku Continental Trust, aby się zobaczyć z Curtisem Fentonem i poinformować go o stanowisku banku Kane'a i Cabota, a raczej o stanowisku Williama Kane'a. Choć uważał, że to nic nie da, nadmienił jednak, iż szuka nabywcy na Hotele Richmond za sumę dwu milionów dolarów.

– Ten pożar z pewnością nie ułatwi nam zadania, ale zobaczę, co się da zrobić – powiedział Fenton tonem o wiele bardziej optymistycznym, niż się Abel spodziewał. – Kiedy kupował pan dwadzieścia pięć procent udziałów Hoteli Richmond od panny Leroy, powiedziałem panu, że według mnie hotele te są wartościowym nabytkiem i że robi pan korzystny interes. Mimo tej katastrofy nie widzę powodu, dlaczego miałbym teraz zmienić zdanie. Przez dwa lata obserwowałem, jak prowadzi pan swój hotel, i gdyby to ode mnie zależało, udzieliłbym panu finansowego poparcia. Obawiam się jednak, że mój bank nigdy by nie zaryzykował utopienia pieniędzy w

Hotelach Richmond. Zbyt długo byliśmy świadkami strat finansowych grupy, żeby wierzyć w jej przyszłość, a ten pożar był, jeśli wolno mi się tak wyrazić, ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. Niemniej jednak, mam pewne kontakty i zobaczę, co się da w tej sprawie zrobić. Przypuszczalnie ma pan w tym mieście więcej sprzymierzeńców, niż się pan spodziewa.

Po uwagach wypowiedzianych przez porucznika O'Malleya Abel się zastanawiał, czy w ogóle jeszcze ma w Chicago jakichkolwiek przyjaciół. Podziękował Curtisowi Fentonowi, wrócił do głównego hallu banku i poprosił kasjera o wypłacenie mu pięciu tysięcy dolarów z konta hotelu Richmond. Resztę ranka spędził w ocalałym budynku dla personelu hotelowego. Wręczył każdemu z pracowników wynagrodzenie za dwa tygodnie, informując zarazem, że kto chce, może pozostać w budynku przez co najmniej miesiąc bądź do chwili znalezienia nowej pracy. Następnie wrócił do Stevensa, spakował do walizki nową odzież, jaką musiał sobie sprawić z powodu pożaru, i poczynił przygotowania do objazdu Hoteli Richmond.

Swoim buickiem, którego nabył tuż przed krachem giełdowym, udał się najpierw na południe, zaczynając inspekcję od hotelu w Saint Louis. Objazd wszystkich hoteli zajął mu prawie miesiąc i choć były mocno już nadgryzione zębem czasu i bez wyjątku deficytowe, to jednak żaden z nich nie był według Abla przypadkiem beznadziejnym. Wszystkie miały doskonałą lokalizację, niektóre nawet stały w najlepszych punktach miasta. Stary Leroy musiał być sprytniejszy niż jego syn, pomyślał Abel. Starannie sprawdził polisy ubezpieczeniowe; wszystko było w najlepszym porządku. Kiedy w końcu dotarł do hotelu Richmond w Dallas, jednego tylko był

pewien: ten, komu uda się kupić Hotele Richmond za dwa miliony dolarów, rzeczywiście ubije dobry interes. Pragnął, aby los dał jemu tę szansę, gdyż wiedział, co trzeba uczynić, aby przynosiły one zyski.

Po powrocie do Chicago, prawie cztery tygodnie później, zameldował się w Stevensie, gdzie czekało na niego parę wiadomości. Chciał się z nim skontaktować porucznik O'Malley, a także William Kane, Curtis Fenton i niejaki pan Henry Osborne.

Abel zaczął od stróża prawa i w trakcie krótkiej rozmowy telefonicznej z O'Malleyem przyjął jego propozycję spotkania w kafejce na Michigan Avenue. Czekając na porucznika, siedział na barowym stołku plecami do kontuaru, wpatrując się w wypalony szkielet hotelu Richmond. O'Malley spóźnił się kilka minut, ale nie zadał sobie trudu, by przepraszać, tylko usiadł od razu na sąsiednim obrotowym stołku i odwrócił się ku Ablowi.

– Dlaczego spotykamy się tutaj? – spytał Abel.

– Jest mi pan coś winien – odparł porucznik. – Jeszcze nikomu w Chicago nie udało się wymigać od postawienia O'Malleyowi należnego mu koktajlu.

Abel zamówił dwa, jeden duży, drugi mały.

– Czego się pan dowiedział? – zapytał, podając detektywowi dwie czerwono-białe słomki.

– Chłopcy ze straży pożarnej mieli rację, to było podpalenie, co się zowie. Aresztowaliśmy faceta o nazwisku Desmond Pacey, który, jak się okazuje, był poprzednim dyrektorem hotelu Richmond. To było już za pańskich czasów, prawda?

– Niestety, tak – odparł Abel.

– Dlaczego niestety? – zapytał porucznik.

– Wyrzuciłem Paceya za sprzeniewierzenie wpływów hotelowych. Powiedział wtedy, że policzy się ze mną, choćby to miało go nie wiadomo ile kosztować. Nie zwróciłem uwagi na jego pogróżki. Zbyt często w życiu mi grożono, poruczniku, abym miał to traktować poważnie, zwłaszcza gdy czyni to taki typek jak Pacey.

– To panu powiem, że my traktujemy go poważnie, podobnie zresztą jak ludzie z firmy ubezpieczeniowej, którzy, jak słyszałem, nie zamierzają wypłacić ani grosza, dopóki nie zostanie dowiedzione, że nie działał pan w zmowie z Paceyem.

– Jeszcze tego mi teraz potrzeba – powiedział Abel. – Skąd możecie być pewni, że to Pacey?

– Wypatrzyliśmy go na oddziale powypadkowym miejscowego szpitala w dniu pożaru. Jak zwykle w takich sytuacjach zwróciliśmy się do szpitala z pytaniem, czy tego dnia nie zgłosił się do nich ktoś z ciężkimi poparzeniami. Przypadkiem, który odgrywa w pracy policji tak ważną rolę, gdyż nie wszyscy jesteśmy Sherlockami Holmesami, żona pewnego sierżanta, która kiedyś była kelnerką w Richmondzie, powiedziała nam, że ten człowiek był w przeszłości dyrektorem tego hotelu. Nawet ja potrafiłem skojarzyć fakty. Facet przyznał się dosyć szybko. Wolałby chyba, aby go nie złapano, ale przede wszystkim zależało mu na dokonaniu swojej prywatnej masakry w dniu świętego Walentego, jak to nazwał. Jeszcze parę chwil temu nie wiedziałem, co mogło być motywem zemsty, ale teraz wszystko jest dla mnie jasne; nie powiem, żebym był szczególnie zaskoczony. No to tę sprawę mamy wyjaśnioną.

Porucznik ciągnął swój koktajl przez słomkę do chwili, aż usłyszał gulgotanie na dnie szklanki, dowód, że wysączył napój do ostatniej kropli.

– Jeszcze po jednym?

– Nie, dziękuję. Czeka mnie ciężki dzień. – Porucznik zsunął się ze swego stołka. – Życzę powodzenia. Jeśli zdoła pan udowodnić facetom od ubezpieczeń, że nie był pan w zmowie z Paceyem, dostanie pan swoją forsę. Zrobię wszystko, żeby panu pomóc, kiedy sprawa znajdzie się w sądzie. Niech się pan odezwie.

Abel odprowadził porucznika wzrokiem do drzwi. Dał kelnerce dolara i wyszedł na ulicę, patrząc w pustą przestrzeń; przestrzeń, którą jeszcze niecały miesiąc temu wypełniała sylwetka hotelu Richmond. Potem odwrócił się i poszedł wolno w kierunku Stevensa, głęboko zamyślony.

Czekała na niego kolejna wiadomość od Henry'ego Osborne'a, z której wciąż nie wynikało, kto to taki. Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Abel zatelefonował do Osborne'a i okazało się, że jest on likwidatorem szkód w firmie ubezpieczeniowej Great Western Casualty, w której ubezpieczony był hotel. Abel umówił się z nim na dwunastą. Następnie zatelefonował do Williama Kane'a w Bostonie i poinformował go o wynikach lustracji, jaką przeprowadził w hotelach należących do Grupy Richmond.

– I pozwolę sobie powiedzieć panu raz jeszcze, że mógłbym zamienić straty, jakie przynoszą te hotele, w zyski, gdyby tylko bank dał mi trochę czasu i pieniędzy. Wiem, że to, co udało mi się w Chicago, mógłbym powtórzyć z resztą hoteli.

– Prawdopodobnie tak, panie Rosnovski, ale obawiam się, że nie za pomocą pieniędzy banku Kane'a i Cabota. Pozwolę sobie przypomnieć, że ma pan jeszcze tylko pięć dni na znalezienie kogoś, kto pana poprze finansowo.

– Pyszałkowaty laluś – powiedział Abel do głuchego telefonu. – Jestem nie dość wytworny, żeby korzystać z waszych pieniędzy, tak? Przyjdzie taki dzień, ty draniu, że...

Następną przeszkodą do wzięcia był człowiek z firmy ubezpieczeniowej. Henry Osborne okazał się wysokim, przystojnym mężczyzną o ciemnych oczach i ciemnej czuprynie, która zaczynała już siwieć. Jego swobodny sposób bycia wydał się Ablowi sympatyczny. Osborne niewiele mógł dodać do tego, co powiedział porucznik O'Malley. Firma ubezpieczeniowa Great Western Casualty nie miała najmniejszego zamiaru płacić jakiegokolwiek odszkodowania, dopóki policja oficjalnie nie oskarży Paceya o podpalenie i dopóki nie zostanie udowodnione, że Abel nie ma z tym nic wspólnego. Henry Osborne wykazywał duże zrozumienie dla problemów Abla.

– Czy Hotele Richmond mają dosyć pieniędzy, aby odbudować spalony budynek? – spytał Osborne.

– Ani złamanego grosza – powiedział Abel. – Pozostałe hotele grupy mają maksymalnie obciążoną hipotekę i bank naciska, abym wystawił je na sprzedaż.

– Dlaczego pan? – zapytał Osborne.

Abel wyjaśnił, w jaki sposób wszedł w posiadanie akcji Hoteli Richmond, nie będąc w istocie właścicielem. Henry Osborne był nieco zaskoczony.

– Ale przecież rada nadzorcza banku musiała zauważyć, jak dobrze zarządzał pan tym hotelem? Każdy biznesmen w Chicago wie, że był pan pierwszym dyrektorem, który przysporzył Davisowi Leroyowi zysków. Zdaję sobie sprawę, że banki przeżywają teraz

trudny okres, ale przecież ci ludzie powinni sami wiedzieć, kiedy warto uczynić wyjątek dla własnego dobra.

– Nie ludzie z tego banku.

– Continental Trust? – zdziwił się Osborne. – Zawsze uważałem Curtisa Fentona za człowieka trochę może zasadniczego, ale dającego się przekonać.

– Nie chodzi o Continental Trust. Hotele należą do bostońskiego banku Kane'a i Cabota.

Henry Osborne zbladł i osunął się na krzesło.

– Źle si pan poczuł? – zapytał Abel.

– Nie, nic mi nie jest.

– Czy przypadkiem nie zetknął się pan bliżej z bankiem Kane'a i Cabota?

– Pyta pan prywatnie?

– Oczywiście.

– Tak, moja firma przeprowadziła kiedyś z tym bankiem pewną transakcję. – W tym momencie jakby się trochę zawahał. – Skończyło się na tym, że musieliśmy wytoczyć im proces.

– Dlaczego?

– Nie mogę ujawnić szczegółów. Mętna sprawa.

Powiedzmy, że jeden z członków ich rady nadzorczej nie był wobec nas bezgranicznie uczciwy i szczery.

– Kto to był? – zapytał Abel.

– A z kim pan miał do czynienia? – chciał wiedzieć Osborne.

– Z facetem o nazwisku William Kane.

Osborne znów jakby się zawahał.

– Niech pan się strzeże – powiedział. – To najgorszy sukinsyn, jakiego nosi ta ziemia. Mogę panu udzielić wszelkich poufnych informacji na jego temat, ale musiałoby to pozostać tylko między nami.

– Z pewnością nie mam wobec niego żadnych zobowiązań – powiedział Abel. – Niewykluczone, że się z panem skontaktuję, panie Osborne. Muszę się porachować z młodym Kane'em za to, jak potraktował Davisa Leroya.

– A więc może pan liczyć na moją pomoc, skoro chodzi o Williama Kane'a – powiedział Henry Osborne, wstając zza biurka. – Ale musi to pozostać ściśle między nami. A jeśli sąd wykaże, że Desmond Pacey podpalił hotel i nikt inny nie maczał w tym palców, moja firma wypłaci panu odszkodowanie jeszcze tego samego dnia. A wtedy, być może, ubijemy kolejny interes, ubezpieczając pozostałe pańskie hotele.

– Być może – odparł Abel.

Wrócił pieszo do Stevensa i postanowił zjeść tam lunch, aby się przekonać, jak zorganizowana jest praca w głównej sali restauracyjnej hotelu. W recepcji czekała na niego jeszcze jedna wiadomość. David Maxton zapytywał, czy Abel zechciałby zjeść z nim lunch o pierwszej.

– David Maxton – wymówił głośno nazwisko, a recepcjonistka podniosła na niego wzrok. – Skąd ja znam to nazwisko? – spytał przypatrującą mu się dziewczynę.

– To właściciel tego hotelu, proszę pana.

– Ach, tak. Proszę powiedzieć panu Maxtonowi, że z wielką przyjemnością zjem z nim lunch. – Abel spojrzał na zegarek. – Proszę go też przeprosić, że spóźnię się parę minut, dobrze?

– Oczywiście, proszę pana – powiedziała dziewczyna.

Abel udał się szybko do swojego pokoju i włożył świeżą koszulę, zastanawiając się, czego może od niego chcieć David Maxton.

Kiedy zszedł do sali restauracyjnej, wszystkie miejsca były już zajęte. Starszy kelner zaprowadził go do prywatnego stolika we wnęce, gdzie czekał właściciel Stevensa. David Maxton wstał, aby się przywitać z Ablem.

– Moje nazwisko Rosnovski.

– Ja pana znam – powiedział Maxton – a ściślej mówiąc, słyszałem o panu wiele dobrego. Proszę usiąść i zamówmy lunch.

Abel musiał przyznać, że Stevens prowadzony jest doskonale. Kuchnia i obsługa nie ustępowały restauracji hotelu Plaza. Zrozumiał, że jeśli chce mieć najlepszy hotel w Chicago, to będzie musiał być lepszy od Stevensa.

Starszy kelner zjawił się ponownie, przynosząc karty dań. Abel starannie przestudiował menu, grzecznie wymówił się od zupy i wybrał potrawę z wołowiny, wiedząc, że jest to najprostszy sposób na stwierdzenie, czy restauracja korzysta z usług odpowiedniego rzeźnika. David Maxton nie zajrzał do swojej karty, tylko zamówił po prostu łososia. Kelner szybko oddalił się z zamówieniem.

– Zapewne zastanawia się pan, dlaczego zaprosiłem pana na lunch, panie Rosnovski.

– Przyszło mi na myśl – powiedział Abel, śmiejąc się – że chce mi pan zaproponować, abym pokierował Stevensem.

– I nie pomylił się pan.

Teraz roześmiał się David Maxton. Abla zamurowało. Nie odzyskał mowy nawet wówczas, gdy znów pojawił się kelner, który przywiózł na stoliczku na kółkach wspaniałe danie z

najdelikatniejszej wołowiny. Kelner wstrzymał się z krojeniem mięsa. Maxton wycisnął trochę soku z cytryny na łososia i ciągnął dalej:

– Mój dyrektor ma niebawem przejść na emeryturę po dwudziestu pięciu latach wiernej służby, a wkrótce potem odchodzi także jego zastępca, szukam więc kogoś, kto zaprowadzi tu porządek.

– Wydaje mi się, że w tym hotelu wszystko jest w porządku – powiedział Abel.

– Zawsze można coś ulepszyć, proszę pana. Nie należy tkwić w miejscu – powiedział Maxton. – Uważnie obserwowałem pańskie poczynania. Dopiero kiedy pan przejął rządy w hotelu Richmond, można było powiedzieć, że jest to hotel z prawdziwego zdarzenia. Przedtem był to tylko wielki dom noclegowy. Za dwa, trzy lata byłby pan poważnym konkurentem dla Stevensa, gdyby jakiś głupiec nie odebrał panu tej szansy, podkładając ogień.

– Ziemniaki, proszę pana?

Abel podniósł wzrok i ujrzał bardzo atrakcyjną młodszą kelnerkę. Uśmiechnęła się do niego.

– Nie, dziękuję – powiedział. – No cóż, panie Maxton, przyznam, że zarówno pańskie uwagi, jak i propozycja bardzo mi pochlebiają.

– Myślę, że czułby się pan tutaj dobrze. Stevens jest należycie prowadzonym hotelem, a na początek dałbym panu pięćdziesiąt dolarów tygodniowo i dwa procent od zysków. Mógłby pan zacząć, kiedy tylko by to panu odpowiadało.

– Potrzebuję paru dni na przemyślenie pańskiej kuszącej propozycji – powiedział Abel – i przyznam, że mam wielką ochotę ją przyjąć. Jednak wisi nade mną jeszcze parę niezałatwionych spraw związanych z Richmondem.

– Szparagi, proszę pana? – Ta sama kelnerka i ten sam uśmiech.

Skądś znał jej twarz. Był pewien, że gdzieś już widział tę dziewczynę. Może pracowała kiedyś w Richmondzie?

– Tak, proszę.

Odprowadził ją wzrokiem. Było w niej coś, co go zaintrygowało.

– A może zamieszkałby pan na parę dni w hotelu jako mój gość – zaproponował Maxton – i przyjrzał się, jak tu pracujemy? Być może, pomogłoby to panu podjąć decyzję.

– To zbyteczne, proszę pana. Już po jednym dniu pobytu w hotelu zorientowałem się, że prowadzony jest doskonale. Problem w tym, że jestem właścicielem Hoteli Richmond.

Na twarzy Davida Maxtona odbiło się zdziwienie.

– To dla mnie nowina – powiedział. – Byłem przekonany, że teraz należą one do córki Davisa Leroya.

– To długa historia – powiedział Abel i wyjaśnił Maxtonowi, w jaki sposób wszedł w posiadanie akcji Hoteli Richmond. – Sprawa jest prosta, proszę pana. Chciałbym zdobyć dwa miliony dolarów i przekształcić Hotele Richmond w kwitnący interes, taki, aby nawet dla pana stać się konkurencją.

– Ach tak – powiedział Maxton, wpatrując się w zamyśleniu w swój pusty talerz.

Podszedł kelner i uprzątnął go.

– Czy podać kawę? – znów ta sama kelnerka. Ten sam znany mu skądś uśmiech. Abel zaczął czuć niepokój.

– I mówi pan, że Curtis Fenton z Continental Trust szuka w pana imieniu nabywcy?

– Tak, już prawie od miesiąca – powiedział Abel. – Właśnie dziś po południu dowiem się, czy się to udało, ale nie mam zbytnich nadziei.

– Hm, to nadzwyczaj interesujące. Nie miałem pojęcia, że Hotele Richmond poszukują nabywcy. Czy zechciałby pan informować mnie na bieżąco o rezultatach tych poszukiwań?

– Oczywiście – powiedział Abel.

– Ile czasu daje panu jeszcze bank w Bostonie na znalezienie owych dwóch milionów?

– Zaledwie parę dni, tak więc niedługo będę mógł poinformować pana o swej decyzji.

– Dziękuję – powiedział Maxton. – Miło było mi pana poznać. Jestem przekonany, że dobrze by mi się z panem współpracowało. – Mocno uścisnął dłoń Abla.

– Dziękuję panu.

Kelnerka znów uśmiechnęła się do Abla, kiedy ją mijał, wychodząc z sali jadalnej. Znalazłszy się w pobliżu starszego kelnera, zatrzymał się i zapytał go o nazwisko dziewczyny.

– Proszę wybaczyć, ale nie wolno nam ujawniać gościom personaliów naszych pracowników; byłoby to sprzeczne z zasadami obowiązującymi w firmie. Jeśli chce pan złożyć zażalenie, to uprzejmie proszę uczynić to za moim pośrednictwem.

– Nie chodzi o zażalenie – powiedział Abel – wręcz przeciwnie, lunch był wyśmienity.

Mając w zanadrzu ofertę pracy, Abel czuł się bardziej pewnie przed rozmową z Curtisem Fentonem. Był przeświadczony, że bankier nie znalazł nabywcy, a jednak udawał się do Continental Trust w doskonałym humorze. Bardzo spodobała mu się myśl, że zostanie dyrektorem najlepszego hotelu w Chicago. Być może uda mu się zeń uczynić najlepszy hotel w Ameryce. Kiedy tylko znalazł się w banku, wprowadzono go natychmiast do biura Curtisa Fentona.

Wysoki, chudy bankier – nosił codziennie ten sam garnitur albo miał trzy identyczne – wskazał Ablowi fotel, a na jego zazwyczaj poważnym obliczu pojawił się szeroki uśmiech.

– Jakże się cieszę, że pana widzę, panie Rosnovski. Gdyby przyszedł pan do mnie dziś rano, nie miałbym dla pana żadnych wiadomości, ale właśnie przed chwilą odebrałem telefon od pewnej zainteresowanej osoby.

Na tę niespodziewaną nowinę serce Abla zabiło żywiej. Przez chwilę nic nie mówił, a potem zapytał:

– Czy mogę wiedzieć, kto to jest?

– Niestety, tego nie mogę panu zdradzić. Osoba ta zastrzegła sobie pełną anonimowość, gdyż traktuje tę transakcję jako prywatną lokatę kapitału, która mogłaby w przyszłości kolidować z jej innymi interesami.

– David Maxton – mruknął pod nosem Abel. – Niech go Bóg błogosławi.

Curtis Fenton nie zareagował na jego słowa i ciągnął dalej. – Tak więc, jak już powiedziałem, nie jestem upoważniony, aby...

– Dobrze, dobrze – powiedział Abel. – Jak pan sądzi, kiedy będzie pan mógł mnie powiadomić o ostatecznej decyzji?

– W tej chwili nie umiem powiedzieć, ale myślę, że będę coś wiedział w poniedziałek, jeśli więc będzie pan w okolicy...

– Jeśli będę w okolicy? – żachnął się Abel. – Tu chodzi o całe moje życie.

– W takim razie umówmy się konkretnie na poniedziałek rano.

Kiedy Abel wracał spacerkiem Michigan Avenue do Stevensa, zaczął mżyć deszcz. Złapał się na tym, że nuci *Deszczową piosenkę*. Wjechał windą na górę, udał się do swego pokoju i

zatelefonował do Williama Kane'a, prosząc go o przedłużenie terminu do poniedziałku, ponieważ, jak sądzi, znalazł nabywcę. Wprawdzie niezbyt chętnie, ale Kane zgodził się jeszcze poczekać.

– Drań! – powtórzył parokrotnie Abel, odkładając słuchawkę. – Poczekaj tylko, Kane, a jeszcze pożałujesz, że wykończyłeś Davisa Leroya.

Siedział na brzegu łóżka, bębniąc palcami w poręcz i zastanawiając się, jak wytrzyma aż do poniedziałku. Zszedł na dół do hotelowego hallu. Była tam znów kelnerka, która obsługiwała go w czasie lunchu; teraz podawała herbatę w Tropikalnym Ogrodzie. Ciekawość zwyciężyła; Abel wszedł do środka i zajął miejsce przy stoliku po drugiej stronie sali. Dziewczyna podeszła do niego.

– Dzień dobry panu – powiedziała. – Czy podać panu herbatę? – Ten sam znajomy uśmiech.

– My się znamy, prawda? – zapytał.

– Tak, znamy się, Władku.

Abel jakby skurczył się w sobie na dźwięk tego imienia i lekko poczerwieniał. Przypomniał sobie, że jej krótkie teraz włosy były wtedy długie i jedwabiste, a ocienione rzęsami oczy kuszące.

– Zosia! Płynęliśmy do Ameryki na tym samym statku. Oczywiście, ty pojechałaś do Chicago. Skąd się tutaj wzięłaś?

– Jak widzisz, pracuję tutaj. Czy życzy pan sobie herbaty? – Jej polski akcent rozczulił Abla.

– Zjedz dziś ze mną kolację – zaproponował.

– Nie mogę, Władku. Nie wolno nam się spotykać z klientami. Jeśli nas na tym przyłapią, automatycznie wylatujemy z pracy.

– Ja nie jestem klientem – powiedział Abel. – Jestem starym przyjacielem.

– Który miał odwiedzić mnie w Chicago zaraz, jak tylko się urządzi. A kiedy już się zjawiłeś, nawet nie pamiętałeś, że tutaj jestem – powiedziała Zosia.

– Wiem, wiem, Zosiu. Wybacz mi i zjedz dziś wieczór ze mną kolację, ten jeden raz – powiedział Abel.

– Jeden raz – powtórzyła.

– Spotkajmy się u „Brundage'a" o siódmej. Odpowiada ci to?

Nazwa lokalu spłoszyła Zosię. Była to chyba najdroższa restauracja w Chicago. Czułaby się tam niepewnie jako kelnerka, a co dopiero jako gość.

– Nie, Władku, chodźmy do jakiegoś mniej szykownego lokalu.

– Dokąd? – spytał.

– Czy znasz „Kiełbaskę" na rogu Czterdziestej Trzeciej?

– Nie, nie znam – przyznał. – Ale trafię tam. Więc o siódmej.

– O siódmej. Bardzo się cieszę. No to jak, zamawiasz herbatę?

– Nie, chyba sobie daruję – powiedział Abel.

Uśmiechnęła się i odeszła. Siedział jeszcze parę minut i przyglądał się, jak Zosia podaje herbatę. Była o wiele ładniejsza niż wtedy na statku. Być może czas do poniedziałku nie będzie mu się tak dłużył.

„Kiełbaska" przywiodła Ablowi na myśl najgorsze wspomnienia z jego pierwszych dni w Ameryce. Czekając na Zosię, sączył zimne piwo i krytycznym okiem fachowca obserwował, jak kelnerzy ciskają na stoliki talerze z potrawami. Nie wiadomo, co tu było gorsze: kuchnia czy obsługa. Zosia spóźniła się prawie dwadzieścia minut. Kiedy się ukazała, wyglądała jak wyjęta z pudełeczka w odświętnej żółtej sukience, którą, zgodnie z wymaganiami najnowszej mody, skróciła ostatnio o dziesięć centymetrów. Mimo to jej wątłe kiedyś ciało

prezentowało się w tym opakowaniu nader kusząco. Szare oczy Zosi lustrowały stoliki, szukając Władka, a jej różowe policzki zaczerwieniły się jeszcze bardziej, gdy poczuła na sobie spojrzenia mężczyzn.

– Dobry wieczór, Władku – przywitała go po polsku.

Abel wstał i podsunął jej swoje krzesło koło kominka.

– Bardzo się cieszę, że udało ci się przyjść – powiedział po angielsku.

Przez chwilę milczała zakłopotana, po czym odrzekła, również po angielsku:

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nawet nie zauważyłem. Napijesz się czegoś, Zosiu?

– Nie, dziękuję.

Jakiś czas żadne z nich nic nie mówiło, po czym odezwali się równocześnie.

– Zapomniałem już, jak śliczna…

– Czy jesteś…

Zosia uśmiechnęła się nieśmiało i Abel miał ochotę jej dotknąć. Przypomniał sobie, że dokładnie to samo czuł, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy ponad osiem lat temu.

– Co słychać u George'a? – spytała Zosia.

– Nie widziałem go od ponad dwu lat – powiedział Abel, czując nagły przypływ winy. – Byłem uwiązany pracą w hotelu, tu w Chicago, a potem…

– Wiem – powiedziała Zosia – ktoś go podpalił.

– Dlaczego nigdy nie wpadłaś, żeby się ze mną zobaczyć? – zapytał.

– Nie sądziłam, że będziesz mnie jeszcze pamiętał, Władku, i nie myliłam się.

– Ale jak ty mnie w ogóle rozpoznałaś? Mocno przytyłem od tamtej pory.

– Po bransolecie – powiedziała po prostu. Abel spojrzał na swój przegub i roześmiał się.

– Wiele już zawdzięczam tej bransolecie, a teraz jeszcze i to, że się znów spotkaliśmy.

Unikała jego spojrzenia.

– Co porabiasz teraz, kiedy nie masz hotelu?

– Szukam pracy – powiedział Abel, nie chcąc spłoszyć jej informacją, że zaproponowano mu stanowisko dyrektora Stevensa.

– W Stevensie będzie do objęcia niezła posada. Mówił mi o tym mój chłopak.

– Twój chłopak ci mówił? – zapytał Abel, przy każdym słowie czując ukłucie zazdrości.

– Tak – odparła – wkrótce będą musieli się rozejrzeć za nowym zastępcą dyrektora. Może byś spróbował, Władku? Uważam, że masz duże szansę na otrzymanie tej posady. Zawsze byłam pewna, że zrobisz karierę w Ameryce.

– Mógłbym rzeczywiście spróbować – powiedział Abel. – Ładnie, że o mnie pomyślałaś, Zosiu. Ale dlaczego nie stara się o nią twój chłopak?

– Ach, nie, on nie może nawet o tym marzyć; jest zwykłym kelnerem, pracuje razem ze mną.

Nagle Abel zapragnął się z nim zamienić.

– Co zamówimy? – spytał.

– Nie przywykłam do jadania w lokalach – powiedziała Zosia. Niezdecydowana wpatrywała się w kartę.

Abel, który nagle zrozumiał, że pewnie Zosia do tej pory nie umie biegle czytać po angielsku, sam wybrał potrawy dla nich dwojga.

Jadła z wyraźnym apetytem i chwaliła niewyszukane dania. Dla Abla jej bezkrytyczny entuzjazm był miłą odmianą po zblazowanym wyrafinowaniu Melanie. Opowiedzieli sobie nawzajem swoje koleje losu w Ameryce. Zosia zaczęła od pracy jako pomoc domowa, a następnie awansowała na kelnerkę w Stevensie, gdzie tkwiła już sześć lat. Z kolei on opowiadał jej o swoich przeżyciach, aż wreszcie zerknęła na jego zegarek.

– Patrz, Władku, jak późno, a ja jutro jestem na pierwszej zmianie śniadaniowej o szóstej.

Abel nawet nie zauważył, że upłynęły już cztery godziny. Chętnie by rozmawiał z nią do samego rana, pławiąc się w podziwie, który wyrażała tak spontanicznie.

– Czy zobaczymy się jeszcze, Zosiu? – zapytał, kiedy wracali pieszo do Stevensa trzymając się pod ręce.

– Jeśli chcesz.

Zatrzymali się przy wejściu dla służby hotelowej na tyłach budynku.

– Ja wchodzę tędy – powiedziała. – Gdybyś został zastępcą dyrektora, Władku, miałbyś prawo korzystać z głównego wejścia.

– Czy mogłabyś mówić mi Abel? – zapytał.

– Abel? – zdziwiła się. – Ale przecież masz na imię Władek?

– Kiedyś miałem, ale teraz jestem Abel. Abel Rosnovski.

– To śmieszne imię, ale do ciebie pasuje – powiedziała. – Dziękuję za kolację, Ablu. Miło było znów cię zobaczyć. Dobranoc.

– Dobranoc, Zosiu – powiedział, a ona od razu odeszła.

Patrzył za nią, jak znika w wejściu dla służby hotelowej, a potem wolnym krokiem okrążył budynek i wszedł do hotelu głównym wejściem. Nagle – zresztą nie pierwszy raz w życiu – poczuł się bardzo samotny.

Przez cały weekend Abel rozmyślał o Zosi. Przypominały mu się różne związane z jej osobą obrazy z przeszłości: zaduch panujący pod pokładem statku, kolejki wylęknionych imigrantów na Ellis Island i – przede wszystkim – ich krótkie, ale pełne namiętności zbliżenie w łodzi ratunkowej. Wszystkie posiłki Abel spożywał teraz w hotelowej restauracji, aby być blisko Zosi i przyjrzeć się jej chłopakowi. Doszedł do wniosku, że to musi być młody pryszczaty kelner. Chyba ma pryszcze, oby miał pryszcze, tak, rzeczywiście je ma. Mimo pryszczy był to niestety najprzystojniejszy chłopiec wśród kelnerów.

Abel chciał zaprosić gdzieś Zosię w sobotę, ale musiała być cały dzień w pracy. Udało mu się jednak towarzyszyć jej do kościoła w niedzielny poranek, gdzie z mieszaniną nostalgii i rozdrażnienia słuchał polskiego księdza intonującego niezapomniane słowa mszy. Była to jego pierwsza wizyta w kościele od czasów dzieciństwa spędzonego w zamku w Polsce. Wtedy miał dopiero przed sobą okrutne doświadczenia, które nie pozwalały mu teraz wierzyć w istnienie żadnej miłosiernej Istoty Boskiej. Jego bytność w kościele została jednak nagrodzona, gdyż w drodze powrotnej do hotelu Zosia pozwoliła wziąć się za rękę.

– Czy zastanawiałeś się już nad objęciem tej posady u Stevensa? – zapytała.

– Tak. Jutro z samego rana poznam ich ostateczną decyzję.

– Och, tak się cieszę, Ablu. Jestem pewna, że będziesz doskonałym zastępcą dyrektora.

– Dziękuję – powiedział Abel, do którego dopiero teraz dotarło, że mówią o dwu różnych sprawach.

– Czy miałbyś ochotę zjeść dzisiaj kolację w domu moich krewnych? – spytała Zosia. – Zawsze spędzam z nimi niedzielne wieczory.

– O tak, bardzo.

Krewni Zosi mieszkali w pobliżu „Kiełbaski", w samym centrum miasta. Widać było, że polski znajomy Zosi, który zajechał nowym buickiem, wywarł na nich korzystne wrażenie. Rodzinka, jak nazywała ich Zosia, składała się z dwóch sióstr, Kasi i Jasi, oraz męża Kasi, Janka. Abel wręczył siostrom bukiet róż, a następnie usiadł i płynną polszczyzną odpowiadał na wszystkie ich pytania dotyczące jego perspektyw na przyszłość. Zosia była najwyraźniej zakłopotana, lecz Abel wiedział, że podobnej indagacji poddany zostałby każdy nowy chłopiec przyprowadzony do polsko-amerykańskiej rodziny. Starał się pomniejszać swoje sukcesy od chwili, gdy zaczynał jako pomocnik u rzeźnika, ponieważ przez cały czas czuł na sobie zazdrosny wzrok Janka. Kasia podała proste polskie potrawy – pierogi i bigos – które piętnaście lat wcześniej Abel zjadłby z o wiele większym apetytem. Postanowił nie przejmować się Jankiem i postarać się wywrzeć jak najlepsze wrażenie na siostrach. Wyglądało na to, że mu się udało. Ale może pryszczaty przyjaciel Zosi też zdołał je podbić? Nie, to niemożliwe – nie był nawet Polakiem – a może i był? Abel nie wiedział nawet, jak chłopiec się nazywa, nigdy też nie słyszał, jak mówi.

Kiedy wracali do Stevensa, Zosia zapytała z pełną kokieterii przekorą, którą dobrze pamiętał, czy bezpiecznie jest prowadzić samochód, trzymając równocześnie damę za rękę. Abel roześmiał się, położył rękę z powrotem na kierownicy i nie zdjął jej już stamtąd do końca jazdy.

– Czy będziesz mogła zobaczyć się ze mną jutro? – zapytał.

– Chyba tak – odparła. – Może jutro zostaniesz moim szefem. W każdym razie życzę ci szczęścia.

Uśmiechnął się do siebie, patrząc, jak dziewczyna podchodzi do drzwi dla personelu, zastanawiając się, co by czuła, gdyby wiedziała, jakie mogą być naprawdę konsekwencje jutrzejszej decyzji. Ruszył dopiero wtedy, gdy zniknęła mu z oczu.

– Zastępca dyrektora – powiedział do siebie, układając się do snu i wybuchnął głośnym śmiechem, kiedy pomyślał o tym, co też mu powie jutro rano Curtis Fenton. Zrzucił poduszkę na podłogę, starając się odpędzić od siebie myśli o Zosi.

Następnego dnia obudził się parę minut przed piątą. Było jeszcze ciemno, kiedy zadzwonił do recepcji prosząc o dostarczenie pierwszego wydania „Chicago Tribune", po czym zaczął czytać kolumny poświęcone finansom. Kiedy o siódmej otwarto restaurację, był już ubrany i gotów do zejścia na śniadanie. Tego ranka Zosia nie podawała do stołu w głównej sali restauracyjnej, pracował tam natomiast jej pryszczaty chłopiec, co Abel uznał za zły znak. Po śniadaniu wrócił do swego pokoju; nie wiedział, że Zosia zaledwie pięć minut później rozpoczęła poranną zmianę. Po raz dwudziesty sprawdził w lustrze, czy ma dobrze zawiązany krawat, i raz jeszcze spojrzał na zegarek. Wykalkulował, że jeśli pójdzie bardzo powoli, dotrze do banku akurat w chwili, gdy będą otwierać drzwi. W

rzeczywistości jednak znalazł się tam o pięć minut za wcześnie i raz jeszcze obszedł blok domów, przyglądając się po drodze mijanym wystawom z kosztowną biżuterią, nowymi radioodbiornikami i eleganckimi garniturami. Czy będzie go kiedyś stać na takie ubrania? Ponownie znalazł się przed bankiem cztery minuty po dziewiątej.

– Pan Fenton jest w tej chwili zajęty. Czy mógłby pan przyjść za pół godziny, czy może raczej woli pan poczekać? – zapytał sekretarka.

– Przyjdę później – odparł Abel z udawaną obojętnością.

Było to dla niego najdłuższe pół godziny, odkąd zamieszkał w Chicago. Przestudiował dokładnie wszystkie wystawy na La Salle Street, nawet te z damską odzieżą, które nasunęły mu miłe myśli o Zosi.

Kiedy znów znalazł się w banku Continental Trust, sekretarka poinformowała go:

– Pan Fenton pana oczekuje.

Abel wszedł do gabinetu dyrektora, czując, że spociły mu się dłonie.

– Dzień dobry panu. Zechce pan usiąść – powiedział bankier.

Curtis Fenton wyjął ze swego biurka teczkę, na której Abel dostrzegł napis „Poufne”.

– Sądzę – zaczął bankier – że wiadomość, jaką mam dla pana, będzie po pańskiej myśli. Mój klient gotów jest zawrzeć transakcję kupna hoteli na warunkach, które śmiało mogę określić jako korzystne dla pana.

– Święty Boże – powiedział Abel.

Curtis Fenton udał, że nie słyszy, i mówił dalej.

– Nawet bardzo korzystne. Mój klient zobowiązuje się do wyłożenia pełnej sumy dwóch milionów na pokrycie zadłużenia

pozostawionego przez pana Leroya, proponując panu utworzenie nowej spółki, w której sześćdziesiąt procent udziałów należałoby do niego, a czterdzieści do pana. Pańskie czterdzieści procent ma więc wartość ośmiuset tysięcy dolarów, które będą potraktowane jako pożyczka udzielona panu przez tę nową spółkę, przy czym pożyczka ta zostaje przyznana na okres nie dłuższy niż dziesięć lat i na cztery procent rocznie, co będzie mogło być spłacane z zysków spółki według tej samej stopy. To znaczy: jeśli w danym roku spółka osiągnie zysk w wysokości stu tysięcy dolarów, czterdzieści tysięcy z tej sumy odliczy się na poczet owych ośmiuset tysięcy, na jakie opiewa pożyczka, plus cztery procent odsetek. Jeśli zdoła pan spłacić pożyczkę w czasie krótszym niż dziesięć lat, otrzyma pan jednorazową opcję wykupienia pozostałych sześćdziesięciu procent udziałów za sumę trzech milionów dolarów. W ten sposób mój klient osiągnąłby niezły dochód z lokaty, pan natomiast uzyskałby szansę zostania wyłącznym właścicielem Hoteli Richmond.

Ponadto będzie pan otrzymywał pensję w wysokości trzech tysięcy dolarów rocznie, natomiast stanowisko dyrektora generalnego spółki pozwoli panu sprawować pełną kontrolę, jeśli idzie o zarządzanie hotelami. Ze mną będzie się pan tylko konsultował w sprawach finansowych. Na mnie z kolei spoczywać będzie obowiązek bezpośredniego kontaktowania się z pańskim protektorem, który poprosił mnie również, abym reprezentował jego interesy w radzie nadzorczej Hoteli Richmond. Chętnie przyjąłbym takie rozwiązanie. Mój klient pragnie zachować incognito, gdyż, jak już wcześniej wspomniałem, może się okazać, że ta transakcja będzie kolidować z jego działalnością zawodową. Jestem pewien, że pan to w pełni zrozumie. Mój klient zastrzega też sobie, że nigdy i pod żadnym

pozorem nie będzie pan się starał odkryć jego tożsamości. Daje panu czternaście dni na rozważenie tych warunków, które nie mogą jednak być przedmiotem negocjacji, gdyż uważa on, a ja całkowicie podzielam jego zdanie, że są one dla pana więcej niż korzystne. Abel nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Niechże pan coś powie, drogi panie.

– Nie potrzebuję czternastu dni na podjęcie decyzji – powiedział w końcu Abel. – Przyjmuję warunki pańskiego klienta. Proszę mu podziękować i powiedzieć, że oczywiście uszanuję jego wolę zachowania anonimowości.

– Doskonale – powiedział Curtis Fenton, pozwalając sobie na sardoniczny uśmieszek. – A teraz parę szczegółów. Konta wszystkich hoteli należących do spółki prowadzone będą przez filię banku Continental Trust, a główne konto przez tutejszy bank, pod moją bezpośrednią kontrolą. Ja natomiast, jako członek rady nadzorczej nowej spółki, będę otrzymywał tysiąc dolarów rocznie.

– Cieszę się, że i panu coś kapnie z tego interesu – powiedział Abel.

– Co proszę? – spytał bankier.

– Chciałem powiedzieć, że miło mi będzie z panem współpracować.

– Poza tym mój klient zdeponował w banku sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów na bieżące wydatki związane z prowadzeniem hoteli w okresie najbliższych paru miesięcy. Te pieniądze również zostaną potraktowane jako pożyczka na cztery procent. Gdyby suma ta okazała się niewystarczająca, może się pan zwrócić do mnie. Uważam, że wiara mojego klienta w pańskie

możliwości jeszcze by wzrosła, gdyby te dwieście pięćdziesiąt tysięcy okazało się sumą wystarczającą.

– Będę to miał na uwadze – powiedział Abel, starając się naśladować uroczysty ton bankiera.

Curtis Fenton wysunął szufladę swego biurka i wyjął duże kubańskie cygaro.

– Pan pali?

– Tak – odpowiedział Abel, który w życiu nie wypalił ani jednego cygara.

Wracając La Salle Street do Stevensa przez całą drogę kaszlał niemiłosiernie. W hallu hotelu stał David Maxton z miną dumnego właściciela. Abel z ulgą zgasił wypalone do połowy cygaro i podszedł do niego.

– Wygląda pan na szczęśliwego człowieka – przywitał go hotelarz.

– Bo nim jestem, proszę pana. Żałuję tylko, że nie będę pracował dla pana jako dyrektor tego hotelu.

– Wobec tego ja również żałuję, choć przyznam, że wiadomość ta nie jest dla mnie wcale zaskoczeniem.

– Dziękuję za wszystko – powiedział Abel, starając się wyrazić tym krótkim zdaniem i spojrzeniem jak najgłębszą wdzięczność.

Zostawił Davida Maxtona i poszedł do sali restauracyjnej, aby poszukać Zosi, ale okazało się, że skończyła już pracę. Abel pojechał windą do swego pokoju, zapalił ponownie cygaro, ostrożnie pociągnął i wypuścił kłąb dymu, po czym zatelefonował do banku Kane'a i Cabota. Sekretarka połączyła go z Williamem Kane'em.

– Otóż, panie Kane, udało mi się zdobyć pieniądze na wykupienie tytułu własności Hoteli Richmond. Pan Curtis Fenton z Continental Trust skontaktuje się z panem jeszcze dzisiaj, aby przekazać panu

szczegóły sprawy. Zatem nie ma potrzeby wystawiania hoteli na sprzedaż.

Przez moment panowało milczenie. Abel z zadowoleniem pomyślał, jak ta wiadomość musiała zepsuć humor Williamowi Kane'owi.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan poinformować – powiedział bankier. – Pozwoli pan, że wyrażę radość, iż udało się panu uzyskać poparcie finansowe. Życzę panu powodzenia na przyszłość.

– Nie powiem, żebym życzył panu tego samego – odparł Abel.

Odłożył słuchawkę, wyciągnął się na łóżku i oddał rozmyślaniom o tej przyszłości.

– Pewnego dnia – przemówił do sufitu – kupię ten twój cholerny bank i sprawię, że zapragniesz wyskoczyć z okna hotelowego pokoju na dwunastym piętrze. – Znów podniósł słuchawkę telefonu i poprosił telefonistkę o połączenie z Henrym Osborne'em z firmy ubezpieczeniowej Great Western Casualty.

19

William odłożył słuchawkę bardziej ubawiony niż rozgniewany wojowniczą postawą Abla Rosnovskiego. Żałował, że nie zdołał nakłonić rady nadzorczej do udzielenia pomocy niepozornemu Polakowi, który tak gorąco wierzył, że uda mu się uratować od plajty Hotele Richmond. Dopełnił pozostałych obowiązków, informując komisję finansową, że Abel Rosnovski uzyskał poparcie, przygotowując dokumenty prawne dotyczące przejęcia hoteli i wreszcie odkładając ad acta teczkę Hoteli Richmond.

William był zachwycony, kiedy parę dni później w Bostonie zjawił się Matthew, aby objąć w banku stanowisko szefa działu lokat. Charles Lester nie ukrywał, że doświadczenie zawodowe zdobyte u konkurencji może się chłopcu tylko przydać w zakrojonych na wiele lat przygotowaniach do objęcia stanowiska prezesa rady nadzorczej rodzinnego banku. William miał teraz o połowę mniej pracy niż przedtem, ale jego czas wypełniony był bardziej niż kiedykolwiek. W każdej wolnej chwili przyjaciel starał się go wyciągnąć na kort czy basen kąpielowy, przeciwko czemu William protestował z udawanym oburzeniem; dopiero propozycja, aby udali się na narty do Vermontu, spotkała się ze zdecydowaną odmową Williama; jednak ta nagła aktywność przynajmniej pozwoliła mu łatwiej znieść samotność i tęsknotę za Kate.

Matthew wprost nie mógł wyjść z podziwu.

– Muszę poznać kobietę, której udało się sprawić, że kiedy rada nadzorcza rozważa kwestię ewentualnego zakupu złota przez bank,

William Kane oddaje się słodkim marzeniom.

– Nie mów nic, dopóki jej nie zobaczysz. Sam przyznasz, że Kate jest lepszą lokatą niż złoto.

– Wierzę ci. Nie chcę tylko, aby mnie przypadło zadanie zakomunikowania o tym Susan. Dla niej wciąż jesteś jedynym mężczyzną na świecie.

William roześmiał się. Jakoś nigdy o tym nie pomyślał.

Rosnący z każdym tygodniem stosik listów Kate do Williama leżał bezpiecznie pod kluczem w szufladzie jego biurka w Czerwonym Domu. William czytał je wciąż, od nowa i znał wszystkie prawie na pamięć. Nareszcie przyszedł ten, na który tak niecierpliwie czekał, opatrzony stosownie datą.

14 lutego 1930 roku Backhurst Park

Najdroższy!

Nareszcie spakowałam się, sprzedałam, rozdałam lub też pozbyłam się w ten czy inny sposób rzeczy, które tu jeszcze zostały, i dziewiętnastego wyekspediuję samą siebie do Bostonu w skrzyni po herbacie. Niemal się boję naszego spotkania. Co będzie, jeśli to całe cudowne zauroczenie pryśnie jak bańka mydlana w porywie mroźnego wiatru na Wschodnim Wybrzeżu? Dobry Boże, spraw, aby tak się nie stało. Nie mam pojęcia, jak bym zniosła te długie miesiące samotności, gdyby nie Ty.

Całuję, Kate

W przeddzień przyjazdu Kate William przyrzekł sobie, że nie będzie jej nakłaniał do niczego, czego któreś z nich mogłoby potem

żałować. Zwierzył się Matthew, że nie potrafi ocenić, czy jej uczucie do niego zrodziło się w przejściowym nastroju wywołanym śmiercią jej męża.

– Nie rób z siebie ofiary – powiedział Matthew. – Zakochałeś się i nie pozostaje ci nic innego, jak spojrzeć prawdzie w oczy.

Kiedy jednak William zobaczył Kate na stacji i ujrzał szczery uśmiech, jaki rozjaśnił jej twarz, w porywie radości natychmiast zapomniał o swoich postanowieniach. Ruszył ostro do przodu, przeciskając się przez tłum podróżnych, i chwycił ją w ramiona z taką siłą, że Kate z trudem łapała oddech.

– Witaj w domu, Kate.

Już ją miał pocałować, kiedy Kate odsunęła się od niego. Trochę go to zdziwiło.

– Williamie, chyba nie miałeś jeszcze okazji poznać moich rodziców.

Wieczorem William zjadł kolację w towarzystwie rodziców Kate, a potem widywał ją każdego dnia, kiedy tylko udawało mu się oderwać choćby na parę godzin od spraw banku czy wymigać od tenisowych rozgrywek z Matthew. Kiedy Matthew pierwszy raz zobaczył Kate, zaproponował Williamowi w zamian za nią wszystkie swoje akcje kopalni złota.

– Nigdy nie sprzedaję poniżej wartości rynkowej – odparł William.

– Wobec tego musisz mi powiedzieć – domagał się Matthew – gdzie poznaje się tak cenne dziewczyny jak Kate.

– To oczywiste. Gdzież by indziej, jak nie w wydziale upłynniania własności zbankrutowanych klientów banku.

– Więc zamień ją w swoją własność i to szybko, bo jeśli tego nie zrobisz, to ci ją odbiorę.

W wyniku krachu giełdowego 1929 roku bank Kane'a i Cabota stracił w sumie ponad siedem milionów dolarów, co – jak się później okazało – odpowiadało mniej więcej średniej stracie poniesionej wówczas przez banki podobnej wielkości. Zbankrutowało wiele nieco tylko mniejszych banków i William w ciągu całego 1930 roku koncentrował swe wysiłki na tym, aby jakoś utrzymać się na powierzchni, co sprawiało, że żył w nieustannym napięciu.

Kiedy Franklin D. Roosevelt zwyciężył w wyborach na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych dzięki obietnicom ulżenia doli biednych, poprawy koniunktury gospodarczej i reform, William obawiał się, że Nowy Ład niewiele będzie miał do zaoferowania bankowi Kane'a i Cabota. Poprawa w interesach następuje bardzo powoli i William z wielką ostrożnością planował wypuszczenie się na szersze wody. Tymczasem Tony Simmons, który nadal stał na czele londyńskiej filii banku Kane'ów, poszerzył zakres jej działalności i w ciągu pierwszych dwu lat przysporzył firmie znacznych zysków. Osiągnięte przez niego wyniki wyglądały tym efektowniej, że w tym samym okresie Williamowi z trudem udało się jedynie wyjść na zero.

Pod koniec 1932 roku Alan Lloyd wezwał Tony'ego Simmonsa do Bostonu, aby przedstawił radzie nadzorczej wyczerpujące sprawozdanie z działalności londyńskiej filii.

Tuż po przyjeździe Simmons zakomunikował, że zamierza kandydować na stanowisko prezesa rady nadzorczej na miejsce Alana Lloyda, który za piętnaście miesięcy miał odejść na emeryturę. William był całkowicie zaskoczony, gdyż nie dawał Simmonsowi

żadnych szans na przyszłość, kiedy odsyłano go w niełasce do Londynu. Williamowi wydało się niesprawiedliwe, że odium zostało zdjęte z Simmonsa nie z racji bystrości jego umysłu, ale wyłącznie dlatego, że gospodarka brytyjska akurat wtedy przeżywała lepsze momenty i nie była aż tak sparaliżowana jak amerykańska.

Tony Simmons wrócił do Londynu na kolejny udany rok i zaraz po triumfalnym powrocie, na pierwszym posiedzeniu rady nadzorczej, wystąpił z oświadczeniem, że bilans filii londyńskiej po trzecim roku jej działalności zamknie się rekordową sumą ponad miliona dolarów zysku. William za ten sam okres mógł pochwalić się znacznie mniejszym zyskiem. Nagłość, z jaką Simmons powrócił do łask, sprawiła, że Williamowi pozostało tylko parę miesięcy na przekonanie członków rady nadzorczej – zanim przeciwnik umocni swoje pozycje i będzie już nie do pokonania – że powinni poprzeć jego, nie Simmonsa.

Kate godzinami wysłuchiwała opowieści o problemach Williama, czasem wtrącając pełną zrozumienia uwagę albo współczujące słówko, czasem ganiąc go za zbytnie dramatyzowanie spraw. Matthew, pełniący rolę uszu i oczu Williama, donosił mu, że o ile się orientuje, głosy rozkładają się równo między tych, według których William jest jeszcze za młody na tak odpowiedzialne stanowisko, oraz tych, którzy nadal obwiniają Tony'ego Simmonsa za ogrom strat, jakie bank poniósł w 1929 roku. Wyglądało na to, że większość członków rady nadzorczej niepiastujących stanowisk kierowniczych w banku i niemających bezpośrednio do czynienia z Williamem będzie raczej kierować się różnicą wieku między rywalami niż jakimikolwiek innymi względami. Matthew niejeden raz słyszał, jak

mówiono: „Czas Williama jeszcze nadejdzie”. Kiedyś, z czystej ciekawości, zabawił się w szatana-kusiciela.

– Mając takie udziały w banku, mógłbyś usunąć całą radę nadzorczą, wprowadzić swoich ludzi i kazać się wybrać na prezesa.

William doskonale wiedział, że istnieje i taka droga na szczyt, lecz już wcześniej odrzucił tego rodzaju taktykę, a nawet nigdy poważnie nie brał jej pod uwagę; chciał, aby go wybrano na prezesa wyłącznie dla jego zalet. Przecież jego ojciec właśnie w ten sposób doszedł do tego stanowiska, a poza tym Kate z pewnością się spodziewa, że nie będzie od niego gorszy.

Drugiego stycznia 1934 roku Alan Lloyd rozesłał do wszystkich członków rady zaproszenie na posiedzenie, które wyznaczył w dniu swoich sześćdziesiątych piątych urodzin. Jedynym celem spotkania miało być wyłonienie jego następcy.

W miarę przybliżania się owego ważkiego dnia zadanie kierowania działem lokat w coraz większym stopniu obarczało Matthew, podczas gdy na Kate spadł obowiązek dokarmiania obu przyjaciół, bez reszty pochłoniętych kampanią Williama. Matthew ani razu nie poskarżył się na to dodatkowe obciążenie pracą, gdy William całe dnie spędzał na obmyślaniu planów przejęcia prezesury rady nadzorczej banku. William wiedział, że Matthew nic nie skorzysta, jeśli jemu się powiedzie, gdyż i tak pewnego dnia obejmie po ojcu bank w Nowym Jorku, co było stanowiskiem bez porównania poważniejszym od tego, co mógłby mu zaoferować bank Kane’a i Cabota. I miał nadzieję, że będzie mógł w przyszłości odwdzięczyć się Matthew równie bezinteresowną pomocą.

Taka okazja miała się nadarzyć wcześniej, niż się spodziewał.

Na uroczystym posiedzeniu rady nadzorczej w dniu sześćdziesiątych piątych urodzin Alana Lloyda obecni byli wszyscy członkowie w liczbie siedemnastu. Posiedzenie otworzył prezes. Jego przemówienie zajęło tylko czternaście minut, ale dla Williama trwało wieki. Tony Simmons nerwowo stukał swoim wiecznym piórem w leżący przed nim żółty bloczek prawniczy, spoglądając co pewien czas na Williama. Żaden z nich nie słuchał przemowy Alana. Wreszcie Alan usiadł wśród głośnych oklasków – na tyle głośnych, na ile to przystało szesnastu bostońskim bankierom. Kiedy oklaski umilkły, Alan Lloyd po raz ostatni powstał ze swego miejsca jako prezes rady nadzorczej banku Kane'a i Cabota i oznajmił:

– A teraz, panowie, musimy przystąpić do wyboru mego następcy. Do rady nadzorczej zgłoszono dwie poważne kandydatury: dyrektora naszej filii zagranicznej, pana Anthony'ego Simmonsa, oraz dyrektora wydziału lokat krajowych, pana Williama Kane'a. Obu panowie znają doskonale i nie będę się tutaj rozwodził nad ich zaletami. Poprosiłem natomiast każdego z nich, aby przedstawił radzie nadzorczej, jak sobie wyobraża przyszłość banku Kane'a i Cabota, jeśli zostanie prezesem.

William wstał pierwszy; rywale rozstrzygnęli tę kwestię poprzedniego dnia, rzucając monetę. Mówił dwadzieścia minut, przedstawiając radzie w sposób wyczerpujący swój ambitny plan wzbogacenia działalności banku o dziedziny, w które dotąd bank się nie zapuszczał. Przede wszystkim chciałby rozbudować bazę banku i wyprowadzić go z nadal tkwiącej w kryzysie Nowej Anglii, lokując bliżej samego centrum bankowości, jakim jego zdaniem jest dziś Nowy Jork. Wspomniał nawet o możliwości powołania do życia firmy holdingowej, która by się specjalizowała w bankowości kredytowo-

depozytowej, na co starsi członkowie rady nadzorczej zaczęli z niedowierzaniem kręcić głowami. Chciałby, aby bank postawił na rozwój, rzucając wyzwanie nowej generacji finansistów przewodzących teraz Ameryce. Jego pragnieniem jest, aby bank Kane'a i Cabota wkroczył w drugą połowę dwudziestego wieku jako jedna z najpoważniejszych instytucji finansowych Stanów Zjednoczonych. Kiedy usiadł, z zadowoleniem skonstatował, że jego przemowa została na ogół dobrze przyjęta przez członków rady nadzorczej, o czym świadczył rozchodzący się po sali szmerek uznania.

Tony Simmons przedstawił program o wiele bardziej zachowawczy: bank powinien w ciągu kilku najbliższych lat umocnić swoją pozycję, wkraczając jedynie na starannie wyselekcjonowane obszary działania i trzymając się tradycyjnych form bankowości, które zapewniły mu renomę, jaką się obecnie cieszy. Wielki Krach był dla niego osobiście dobrą lekcją poglądową i – dodał ku rozbawieniu zebranych – on sam troszczyłby się raczej o to, aby bank w ogóle dotrwał do drugiej połowy dwudziestego wieku. Tony mówił z dużą rozwagą i pewnością siebie wypływającą z doświadczenia, jakiego Williamowi ze względu na młody wiek brakowało. Kiedy Tony usiadł, William nie potrafił rozstrzygnąć, za kim opowie się rada nadzorcza, choć nadal był przekonany, że większość dyrektorów jest raczej za ekspansją niż za stagnacją.

Alan Lloyd poinformował pozostałych członków rady nadzorczej, że ani on sam, ani kandydaci nie biorą udziału w głosowaniu. Czternastu pozostałych członków rady otrzymało karteczki, które każdy z nich posłusznie wypełnił i odesłał z powrotem do Alana. Pełnił on rolę arbitra; do niego należało przeliczenie głosów. William

wpatrywał się jak zahipnotyzowany w notes zapełniony konferencyjnymi bazgrołami, na którym odbił się również wyraźny ślad jego spoconej dłoni. Kiedy Alan zakończył swoje obliczenia, w sali rozległy się psykania. Ogłosił wynik: sześć głosów na Kane'a, sześć na Simmonsa, przy dwóch wstrzymujących się. W sali dał się słyszeć szmer przyciszonych rozmów i Alan poprosił zebranych o milczenie. W ciszy, która nastąpiła, rozległo się ciężkie westchnienie Williama.

Alan Lloyd zawiesił na chwilę głos, po czym oznajmił:

– Sądzę, że w tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak przeprowadzić ponowne głosowanie. Gdyby któryś z członków rady, który wstrzymał się od głosu w pierwszym głosowaniu, uznał za właściwie tym razem udzielić poparcia jednemu z kandydatów, wówczas uzyskałby on bezwzględną większość.

Raz jeszcze rozdano karteluszki. Tym razem William nie mógł się zdobyć nawet na to, by obserwować przebieg głosowania. Słyszał jedynie skrzypienie stalówek, kiedy członkowie rady wypisywali na karteczkach do głosowania wybrane przez siebie nazwisko. Jeszcze raz karteczki powędrowały do Alana Lloyda. Znów otwierał je powoli jedna po drugiej, ale tym razem odczytywał nazwiska na głos:

– William Kane.

– Anthony Simmons, Anthony Simmons, Anthony Simmons.

Trzy do jednego dla Tony'ego Simmonsa.

– William Kane, William Kane.

– Anthony Simmons.

– William Kane, William Kane, William Kane. Sześć do czterech dla Williama.

– Anthony Simmons, Anthony Simmons.

– William Kane.

Siedem do sześciu dla Williama.

Williamowi, który z wrażenia wstrzymał oddech, wydawało się, że Alan Lloyd nigdy nie rozwinie ostatniej karteczki.

– Anthony Simmons – oznajmił wreszcie. – Obaj kandydaci otrzymali po siedem głosów.

William wiedział, że teraz Alan będzie musiał oddać swój głos, który będzie decydujący, i chociaż Alan nigdy nie mówił, kogo poprze w rywalizacji o fotel prezesa, William był przekonany, że w sytuacji podbramkowej opowie się za nim, a nie za Tonym Simmonsem.

– Ponieważ głosowanie już dwukrotnie kończyło się wynikiem niedającym rozstrzygnięcia i ponieważ zakładam, że żaden z członków rady nadzorczej raczej nie zmieni zdania, muszę oddać swój głos na kandydata, który według mego przekonania powinien zastąpić mnie na stanowisku prezesa rady nadzorczej banku Kane'a i Cabota. Znalazłem się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, nie mam jednak wyboru i muszę głosować zgodnie z własnym przekonaniem na tego kandydata, który moim zdaniem powinien zostać prezesem. Jest nim Tony Simmons.

William nie wierzył własnym uszom. Równie zaskoczony był Tony Simmons. Wśród oklasków powstał ze swego fotela naprzeciwko Williama, zamienił się miejscami z Alanem Lloydem, siadając u szczytu stołu, i po raz pierwszy przemówił do członków rady nadzorczej banku Kane'a i Cabota jako jej nowy prezes. Podziękował radzie za poparcie, a Williamowi wyraził uznanie za to, że nigdy nie próbował wykorzystać swojej mocnej pozycji finansowej i rodzinnej dla zapewnienia sobie zwycięstwa w głosowaniu. Williamowi zaproponował stanowisko wiceprezesa rady nadzorczej, Matthew

Lesterowi zaś stanowisko członka rady na miejsce ustępującego Alana Lloyda. Obie propozycje spotkały się z jednogłośnym przyjęciem.

William wpatrywał się w portret ojca i myślał o tym, jak bardzo go zawiódł.

20

Abel po raz drugi zgasił swoje hawańskie cygaro i przysiągł sobie, że nie zapali następnego, póki nie zarobi dwóch milionów dolarów, których potrzebował, żeby przejąć całkowitą kontrolę nad grupą Hoteli Richmond. Nie czas na drogie cygara teraz, gdy wskaźnik Dow Jonesa osiągnął najniższy poziom w historii, a w amerykańskich miastach ludzie ustawiają się w długich kolejkach po darmową zupę. Wpatrzony w sufit obmyślał plan działania. Przede wszystkim musi uratować dla siebie z pożogi co bardziej doświadczonych pracowników chicagowskiego hotelu Richmond.

Zwlókł się z łóżka, włożył marynarkę i poszedł do ocalałego budynku dla personelu, gdzie nadal mieszkali ci, którzy od pożaru nie zdążyli jeszcze sobie znaleźć zajęcia. Abel przyjął do pracy wszystkich, którym ufał, oferując tym, którzy byli gotowi przenieść się poza Chicago, zatrudnienie w jednym z pozostałych dziesięciu hoteli. Stawiał sprawę jasno: teraz, w okresie największego bezrobocia, trwałość ich posad zależeć będzie od tego, czy hotele zaczną przynosić zyski. Był przekonany, że pozostałe hotele grupy prowadzone były równie niesolidnie jak dawniej Richmond w Chicago; chciał, aby się to zmieniło, i to szybko. Każdemu z trzech swoich zastępców powierzył kierowanie jednym z trzech hoteli: w Dallas, Cincinnati i Saint Louis. Mianował siedmiu dalszych dyrektorów i oddał w ich ręce hotele w Houston, Mobile, Charleston, Atlancie, Memphis, Nowym Orleanie i Louisville. Wszystkie hotele należące do rodziny Leroyów znajdowały się w południowych i

środkowo-zachodnich Stanach, w tym Richmond w Chicago, jedyny hotel wzniesiony przez samego Davisa Leroya. Ulokowanie personelu hotelowego z Chicago w innych hotelach zajęło Ablowi kolejne trzy tygodnie.

Postanowił założyć swoją kwaterę główną w drugim budynku chicagowskiego hotelu Richmond, gdzie na parterze zamierzał otworzyć niewielką restaurację. Doszedł do wniosku, że rozsądniej będzie zamieszkać w pobliżu swojego protektora i bankiera, niż ulokować się w którymś z hoteli na Południu. Poza tym Zosia mieszkała w Chicago i Abel był pewien, że prędzej czy później rzuci swojego pryszczatego młokosa i pokocha jego. Była jedyną kobietą, z jaką miał w życiu do czynienia, która go nie onieśmielała. W przeddzień wyjazdu do Nowego Jorku w poszukiwaniu bardziej wykwalifikowanego personelu hotelowego Abel wymógł na Zosi obietnicę, że nie będzie spotykać się więcej ze swoim pryszczatym amantem.

– Nadal pryszczaty – powiedział do siebie – ale już nie amant Zosi.

Ostatniej nocy przed jego wyjazdem poszli po raz pierwszy do łóżka. Była pulchna, delikatna w dotyku, chichotliwa i rozkoszna. Wyszukana czułość i biegłość Abla były dla Zosi zaskoczeniem.

– Ile miałeś dziewcząt od czasu *Czarnej strzały*? – zapytała uszczypliwie.

– Ani jednej, na której by mi zależało – odparł.

– Ale wystarczająco wiele, aby zapomnieć o mnie – dodała.

– Nigdy o tobie nie zapomniałem – skłamał, pochylając się, aby ją pocałować, przekonany, że jest to jedyny sposób, aby zakończyć tę rozmowę.

Po przyjeździe do Nowego Jorku Abel postanowił przede wszystkim odwiedzić George'a. Bezrobotny – jak się okazało – przyjaciel mieszkał na poddaszu przy Wschodniej Trzeciej Ulicy. Abel zdążył już zapomnieć, jak wyglądają takie domy, w których gnieździ się dwadzieścia rodzin; woń stęchłego jedzenia w każdym pokoju, odór zapchanych ubikacji i brudnej pościeli, w której na zmianę sypia kilka różnych osób. Piekarnię trzeba było zamknąć i wuj George'a znalazł sobie pracę w dużym młynie na przedmieściach Nowego Jorku. Nie było tam jednak zajęcia dla George'a, który z radością przyjął szansę zatrudnienia u Abla w jednym z jego hoteli – nieważne, w jakim charakterze.

Abel zwerbował jeszcze trzech nowych pracowników: cukiernika, księgowego i kierownika sali i dopiero potem udał się z George'em w drogę powrotną, aby urządzić kwaterę główną w drugim budynku dawnego Richmond. Był zadowolony z wyników swej wyprawy. Większość hoteli na Wschodnim Wybrzeżu ograniczała zatrudnienie do niezbędnego minimum, co pozwoliło mu na zaangażowanie ludzi z dużym zawodowym doświadczeniem, w tym nawet jednej osoby z hotelu Plaza.

Na początku marca Abel i George wyruszyli na objazd pozostałych hoteli. Abel chciał, aby Zosia pojechała z nimi, proponował jej nawet pracę w wybranym przez nią samą hotelu, ale jej ani się śniło ruszać z Chicago, jedynego miejsca w Ameryce, gdzie czuła się u siebie. Po namowach zgodziła się przynajmniej zamieszkać u Abla w drugim budynku hotelowym na czas jego nieobecności. George, ze swoim katolickim wychowaniem wyniesionym z domu, wraz z przyjęciem amerykańskiego obywatelstwa przyswoił sobie zasady moralne amerykańskich klas średnich i teraz roztaczał przed Ablem uroki

życia małżeńskiego. Abel, który poznał smutek samotnej egzystencji w pozbawionych duszy hotelowych pokojach, okazał się chętnym słuchaczem.

Dla Abla nie było niespodzianką, że w pozostałych hotelach nadal dzieje się źle i że zdarzają się przypadki złodziejstwa. Jednak świadomość ogromnego bezrobocia w całym kraju sprawiła, że większość personelu widziała w przyjeździe Abla szansę na uratowanie hoteli przed bankructwem. Nie musiał wyrzucać ludzi z pracy z takim hukiem, jak uczynił to w Chicago. Większość tych, którzy o nim słyszeli i bali się jego metod, odeszła wcześniej. Parę głów musiało polecieć i nieodmiennie spadały one z karków tych, którzy pracowali w Hotelach Richmond od wielu lat i nie mieli ochoty wyzbywać się swoich nieszablonowych metod tylko dlatego, że Davis Leroy odszedł z tego świata. Abel zauważył, że w niektórych przypadkach przesunięcie pracownika z jednego hotelu do drugiego wywoływało w nim pozytywną zmianę. Zanim upłynął rok, odkąd Abel został prezesem, Hotele Richmond zatrudniały o połowę mniej personelu niż przedtem i wykazały za ten okres tylko niewiele ponad sto tysięcy dolarów strat. Fluktuacja wśród personelu wyższego szczebla była minimalna; wiara Abla w przyszłość Hoteli Richmond zaraźliwa.

Abel postanowił wyjść na czysto do końca 1932 roku. Uznał, że tak szybką poprawę rentowności osiągnie tylko wówczas, jeśli przekaże bezpośrednio dyrektorom poszczególnych hoteli pełną odpowiedzialność za wyniki finansowe i zapewni im udział w zyskach, podobnie jak uczynił to Davis Leroy, angażując go do pracy w chicagowskim Richmondzie.

Abel przenosił się z hotelu do hotelu, nie pozwalając sobie na chwilę wytchnienia i nigdy nie zatrzymując się w żadnym dłużej niż trzy tygodnie. Tylko oddany mu George, pełniący rolę jego oczu i uszu w Chicago, wiedział, który z kolei hotel Abel ma zamiar odwiedzić. Podróżując tak przez wiele miesięcy, Abel przerywał wyczerpujące objazdy jedynie po to, aby czasem odwiedzić Zosię lub zobaczyć się z Curtisem Fentonem.

Po dokonaniu pełnej oceny sytuacji finansowej hoteli Abel musiał podjąć kilka niepopularnych decyzji. Jedną z najdrastyczniejszych było czasowe zamknięcie dwóch hoteli – w Mobile i Charleston – które przynosiły tak wielkie straty, iż obawiał się, że staną się one prawdziwą studnią bez dna pochłaniającą dochody całej grupy. Pracownicy innych hoteli widzieli te posunięcia i czuli groźny topór wiszący nad ich głowami, więc tym solidniej przykładali się do pracy. Ilekroć Abel wracał do swojego niewielkiego biura w drugim budynku dawnego Richmondu w Chicago, czekała na niego góra spraw wymagających załatwienia: pęknięte rury w łazienkach, karaluchy w kuchni, skargi na kelnerów i nieuchronne kłopoty z jakimś niezadowolonym klientem grożącym procesem sądowym.

Henry Osborne ponownie wkroczył w życie Abla miłą wiadomością od towarzystwa ubezpieczeniowego Great Western Casualty, które gotowe mu było wypłacić siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów odszkodowania, nie znalazłszy żadnych dowodów na to, że Abel działał w zmowie z Desmondem Paceyem przy podpaleniu hotelu Richmond w Chicago. Zeznanie złożone przez porucznika O'Malleya okazało się pod tym względem bardzo pomocne i Abel zdał sobie sprawę, że winien jest porucznikowi coś więcej niż koktajl mleczny. Abel gotów był się zgodzić na proponowane odszkodowanie,

uważając, że suma jest zupełnie wystarczająca, lecz Osborne namawiał go, aby domagał się więcej i odpalił mu procent od różnicy. Abel, który wśród swoich wad nie miał jednak skłonności do lewych interesów, zaczął od tej pory odnosić się z pewną podejrzliwością do Osborne'a: skoro tak łatwo przychodziło mu zdradzanie interesów własnej firmy, to niewątpliwie równie łatwo mógłby i jego wykiwać, kiedy tylko nadarzyłaby się okazja.

Wiosną 1932 roku Abel, ku swemu zaskoczeniu, otrzymał list od Melanie Leroy. List utrzymany był w przyjacielskim tonie, Melanie była w nim o wiele serdeczniejsza niż kiedyś, w bezpośrednim kontakcie z Ablem. Pochlebiało mu to, a nawet lekko go podnieciło. Zadzwonił do niej i umówił się w restauracji Stevensa, czego zresztą później pożałował, gdy wchodząc do restauracji, ujrzał krzątającą się wśród stolików, nieefektownie prezentującą się, zmęczoną i zahukaną Zosię. Melanie, wprost przeciwnie, wyglądała zachwycająco w sukni koloru mięty, która znakomicie uwydatniała jej doskonałe kształty. Oczy Melanie, być może czerpiąc natchnienie z barwy sukni, wydawały się jeszcze bardziej zielone i urzekające niż zazwyczaj.

– Miło cię widzieć w tak doskonałej formie, Ablu – powiedziała, sadowiąc się przy stoliku w samym środku sali. – Jak słyszę, Hotele Richmond świetnie prosperują.

– Hotele Baron – rzucił Abel.

Melanie lekko się zaczerwieniła.

– Nie wiedziałam, że zmieniłeś nazwę.

– Tak, jeszcze zeszłego roku – skłamał Abel. W rzeczywistości dopiero w tym właśnie momencie postanowił, że wszystkie jego

hotele będą nosiły nazwę „Baron”. Zastanawiał się tylko, dlaczego nie przyszło mu to do głowy wcześniej.

– Stosowna nazwa – przyznała Melanie z uśmiechem.

Zosia postawiła przed Melanie talerz z zupą pieczarkową trochę zbyt nonszalanckim ruchem, który Ablowi wiele powiedział. Niedużo brakowało, a część zupy wylądowałaby na miętowozielonej sukni Melanie.

– Nie pracujesz? – zapytał Melanie, kreśląc na odwrocie menu słowa „Hotele Baron”.

– Nie, jak na razie nie, ale coś mi się kroi. Kobieta z humanistycznym wykształceniem musi w tym mieście czekać cierpliwie, aż najpierw znajdą pracę wszyscy mężczyźni. Dopiero potem może liczyć na jakąś posadę.

– Gdybyś kiedyś chciała pracować dla Hoteli Baron – powiedział Abel nieco akcentując nazwę firmy – po prostu daj znać.

– Nie, nie – odpowiedziała Melanie. – Bardzo ci dziękuję. Dam sobie radę.

Szybko zmieniła temat, zaczęła rozprawiać o muzyce i teatrze. Rozmowa z nią była dla Abla nowym i miłym wyzwaniem; trochę się z nim przekomarzała, ale robiła to inteligentnie. Sprawiła, że czuł się w jej towarzystwie pewniej niż kiedykolwiek w przeszłości. Kolacja się przeciągnęła. Gdy wstawali od stolika, było już dobrze po jedenastej i poza nimi nie było już w sali innych gości, zniknęła też Zosia ze złowróżbnie zaczerwienionymi oczyma. Abel odwiózł do domu Melanie, która tym razem zaprosiła go do siebie na drinka. Przysiadł na brzegu sofy, a ona nalała mu prohibicyjnej whisky i nastawiła gramofon.

– Muszę już iść – powiedział Abel. – Czeka mnie jutro pracowity dzień.

– To raczej mnie wypadałoby to powiedzieć, Ablu. Nie uciekaj, spędziliśmy tak miły wieczór, zupełnie jak za dawnych czasów.

Usiadła koło niego. Jej podciągnięta wysoko sukienka odsłaniała kolana. Zupełnie inaczej niż za dawnych czasów, pomyślał Abel. Co za nogi! Nie próbował się bronić, kiedy przysuwała się do niego. Zanim zdążył pomyśleć, już ją całował – a może to ona jego całowała? Ręce Abla powędrowały ku wspaniałym udom Melanie, potem ku piersiom. Tym razem wyczuł, że jest mu przychylna. To ona poprowadziła go za rękę do sypialni, starannie złożyła narzutę, odwróciła się ku niemu i poprosiła, aby rozsunął błyskawiczny zamek jej sukni. Abel wykonał polecenie, przejęty i wciąż jeszcze niedowierzający. Zanim się rozebrał, najpierw zgasił światło. Teraz mógł już bez trudu zastosować w praktyce wiedzę, którą tak pieczołowicie przekazała mu Joyce. Melanie również nie brakowało doświadczenia; nigdy jeszcze akt miłosny nie sprawił Ablowi tak wielkiej rozkoszy. Przyjemnie znużony zapadł w głęboki sen.

Rano Melanie zrobiła mu śniadanie i zanim wyszedł od niej, dogadzała mu, jak tylko mogła.

– Będę pilnie śledzić dalsze losy Hoteli Baron – powiedziała. – Oczywiście nie wątpię, że sukces jest murowany.

– Dziękuję za śniadanie i noc, której nie zapomnę – powiedział Abel na pożegnanie.

– Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy – dodała Melanie.

– Ja też – odparł.

Pocałowała go w policzek, jak żona odprowadzająca do drzwi wychodzącego do pracy męża.

– Ciekawa jestem, jaką kobietę wybierzesz sobie na żonę? – zapytała z głupia frant, pomagając Ablowi włożyć palto.

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się słodko.

– Zapewniam cię, Melanie, że dokonując wyboru, uwzględnię twoje sugestie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała tonem niewiniątka.

– Po prostu to, że skorzystam z twojej rady – odparł Abel, kierując się ku drzwiom – i rozejrzę się za jakąś sympatyczną Polką, która mnie zechce.

Abel i Zosia pobrali się miesiąc później. Kuzyn Zosi, Janek, występujący jako opiekun, oddał ją w ręce pana młodego; pierwszym drużbą był George. Przyjęcie weselne odbyło się w hotelu Stevensa i trwało do późnej nocy. Zgodnie z ludowym polskim zwyczajem, mężczyzna, który chciał zatańczyć z Zosią, musiał zapłacić symboliczną sumę za ten przywilej. George, zlany potem, dwoił się i troił, fotografując gości we wszystkich możliwych pozach i konfiguracjach. Po podanej o północy kolacji, składającej się z barszczu, pierogów i bigosu – podlanej winem, brandy i gdańską wódką – pozwolono wreszcie Zosi i Ablowi udać się do apartamentu wynajętego dla nowożeńców, czemu towarzyszyły porozumiewawcze spojrzenia mężczyzn i łzy wzruszenia w oczach kobiet.

Abel był mile zaskoczony, dowiadując się rankiem następnego dnia od Curtisa Fentona, że rachunek za weselną ucztę w Stevensie uregulował pan Maxton, który oświadczył, że jest to jego prezent

ślubny. Zaoszczędzone w ten sposób pieniądze Abel przeznaczył na pierwszą ratę za niewielki domek przy Rigg Street.

W ten sposób po raz pierwszy w życiu zamieszkał pod własnym dachem.

21

W lutym 1934 roku, przed podjęciem jakiejkolwiek stanowczej decyzji ważnej dla jego przyszłości, William postanowił zrobić sobie miesiąc wakacji i wyjechać do Anglii. Zastanawiał się nawet, czy nie zrezygnować z zasiadania w radzie nadzorczej, lecz Matthew zdołał go przekonać, że jego ojciec na pewno by tak nie postąpił w podobnej sytuacji. Najwyraźniej Matthew bardziej wziął sobie do serca niepowodzenie przyjaciela niż sam William. Dwukrotnie w ciągu tygodnia po pamiętnym wydarzeniu zjawił się w banku wyraźnie skacowany i wyszedł z pracy nie załatwiwszy do końca ważnych spraw. William postanowił przejść do porządku dziennego nad tymi dwoma incydentami i zaprosił Matthew na wspólną kolację do Kate. Matthew nie przyjął zaproszenia, tłumacząc się, że tego wieczoru musi zostać dłużej w banku, aby nadrobić zaległości. William nie widziałby w tym niczego nadzwyczajnego, gdyby nie wyszło na jaw, że tego wieczoru Matthew podejmował kolacją w restauracji hotelu Ritz Carlton pewną atrakcyjną damę, która – William gotów był przysiąc – była żoną jednego z kierowników działu w banku Kane'a i Cabota. Kate ograniczyła się jedynie do stwierdzenia, że ostatnio Matthew niezbyt dobrze wygląda.

Zaaferowany swoim wyjazdem do Europy, William nie zareagował na dziwne zachowanie przyjaciela tak, jak uczyniłby to w innych okolicznościach. W ostatniej chwili przed wyjazdem doszedł do wniosku, że nie wytrzyma w Anglii całego miesiąca bez Kate i

poprosił ją, aby mu towarzyszyła. Ku jego zaskoczeniu i radości, zgodziła się.

Popłynęli do Anglii na pokładzie *Mauretanii*, zajmując oddzielne kabiny. Kiedy tylko zainstalowali się u Ritza, również w osobnych pokojach – a nawet na różnych piętrach – William zameldował się w londyńskiej filii banku Kane'a i Cabota przy Lombard Street i dla dopełnienia rzekomego celu swojej wizyty w Anglii przeprowadził analizę europejskich transakcji banku. Morale wśród pracowników banku było wysokie i wszystko wskazywało na to, że Tony Simmons cieszył się tam opinią dobrego szefa; w tej sytuacji William musiał wydusić z siebie parę zdawkowych słów uznania dla Tony'ego.

Spędził z Kate dwa tygodnie w Londynie, Hampshire i Lincolnshire. Obejrzeli przy okazji tereny, które William zakupił parę miesięcy wcześniej, w sumie ponad dwanaście tysięcy akrów. Dochody z gruntów nie są nigdy wysokie, ale – jak wyjaśnił Kate – będzie to jakieś zabezpieczenie na wypadek, gdyby w Ameryce znów coś się stało.

Parę dni przed wyznaczoną datą powrotu do Stanów Kate doszła do wniosku, że warto byłoby zobaczyć Oksford, i William zgodził się zawieźć ją tam samochodem wczesnym rankiem następnego dnia. Wynajął nowego morrisa, samochód, którego przedtem nigdy jeszcze nie prowadził. Cały dzień spędzili w uniwersyteckim mieście, zwiedzając słynne kolegia: wspaniale prezentujące się na tle rzeki Kolegium Magdaleny; okazałe, lecz pozbawione krużganków Christchurch; i Merton, gdzie zwyczajnie usiedli na trawniku i oddali się marzeniom.

– Wchodzenie na trawnik jest zabronione, proszę pana – usłyszeli nagle głos uniwersyteckiego pedla.

Wybuchnęli śmiechem, i trzymając się za ręce jak para zakochanych studentów, poszli na spacer brzegiem Cherwell, przyglądając się, jak ósemka takich jak Matthew młodych ludzi stara się nadać swojej łodzi możliwie największą prędkość. William nie wyobrażał sobie życia bez Kate.

Około trzeciej po południu wyruszyli w drogę powrotną do Londynu i kiedy dojechali do Henley-on-Thames, zatrzymali się na podwieczorek w stojącym nad samym brzegiem Tamizy „Zajeździe pod Dzwonem". Kiedy już zjedli po parę słodkich bułeczek i wypili duży dzbanek mocnej angielskiej herbaty (Kate, jako osoba zawsze łaknąca mocnych wrażeń, piła ją tylko z odrobiną mleka, podczas gdy William rozcieńczał herbatę gorącą wodą), Kate zauważyła, że warto byłoby ruszyć dalej, zanim zrobi się ciemno, gdyż inaczej nie będą mogli podziwiać krajobrazu, ale kiedy William zakręcił korbą silnika, morris mimo ponawianych prób nie chciał zaskoczyć. W końcu William poddał się i ponieważ zrobiło się późno, postanowił zostać na noc w Henley. W recepcji „Zajazdu pod Dzwonem" poprosił o dwa pokoje.

– Bardzo żałuję, ale mam tylko jeden pokój dwuosobowy – poinformował go recepcjonista.

William wahał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Może być.

Kate wyglądała na trochę zaskoczoną, ale nie powiedziała nic; recepcjonista spojrzał na nią podejrzliwie.

– Państwo...

– Kane – powiedział zdecydowanym tonem William. – Wrócimy tu za parę chwil.

– Czy mam polecić, aby zaniesiono bagaże państwa do pokoju?

– Nie mamy bagaży – odparł William uśmiechając się.

– W porządku, proszę pana.

Oniemiała ze zdziwienia Kate podążała tuż za Williamem, który szybkim krokiem spieszył dokądś główną ulicą Henley.

Wreszcie zatrzymał się przed kościołem parafialnym.

– Czy mogę wiedzieć, co zamierzasz? – zapytała.

– Coś, co powinienem był zrobić już dawno temu, kochanie.

Kate nie zadawała więcej pytań. Kiedy weszli do zakrystii, William zwrócił się do kościelnego, który układał stosik książeczek do nabożeństwa.

– Gdzie znajdę proboszcza? – zagadnął.

Kościelny wyprostował się do granic możliwości i spojrzał na niego z wyrazem politowania.

– A gdzieżby, jak nie na plebanii?

– A gdzie jest plebania? – spytał William, który nie zamierzał się poddawać.

– Szanowny pan pewnikiem z Ameryki.

– Tak – odparł William, wyraźnie już zniecierpliwiony.

– Plebania powinna być koło kościoła, no nie?

– Przypuszczam, że tak – powiedział William. – Czy mógłby pan poczekać tutaj z jakieś dziesięć minut?

– A po cóż miałbym tu czekać, jeśli wolno spytać?

Z wewnętrznej kieszeni marynarki William wyciągnął duży, nowiutki pięciofuntowy banknot i rozwinął go.

– Na wszelki wypadek niech pan poczeka kwadrans.

Kościelny obejrzał banknot z wszystkich stron i powiedział:

– Oj, ci Amerykanie… W porządku, proszę pana, poczekam.

William zostawił mężczyznę z pięciofuntowym banknotem w ręku i wybiegł z kościoła, ciągnąc za sobą Kate. Kiedy mijali tablicę ogłoszeniową w przedsionku kościoła, William przeczytał umieszczone na niej informacje: „Proboszczem tej parafii jest wielebny Simon Tukesbury (magister, abs. Cambridge)". Obok, na jednym gwoździu, wisiało ogłoszenie o zbiórce pieniędzy na nowy dach dla kościoła. „Potrzebujemy pięciuset funtów, ale liczy się każdy pens" zachęcało nieśmiało ogłoszenie. William szybkim krokiem ruszył ścieżką prowadzącą do plebanii, a parę kroków za nim podążała Kate.

Zapukał zdecydowanie do drzwi, które otworzyła uśmiechnięta, pulchna kobieta o różowych policzkach.

– Czy może pani Tukesbury?

– Tak – uśmiechnęła się.

– Czy mógłbym rozmawiać z mężem?

– Właśnie je podwieczorek. Czy mógłby pan przyjść trochę później?

– Bardzo przepraszam, ale to sprawa nie cierpiąca zwłoki – nalegał William.

Kate zdążyła już go dogonić, ale nie odzywała się.

– No cóż, w takim razie proszę do środka.

Plebania musiała być zbudowana z początkiem szesnastego wieku. Niewielki frontowy pokój, w którym się znaleźli, powitał ich ciepłem bijącym od żarzącego się na kominku polana. Proboszcz, wysoki, szczupły mężczyzna, który posilał się cienkimi jak wafelek kanapkami z ogórkiem, wstał na ich powitanie.

– Witam, pana, panie…

– Kane, proszę księdza, William Kane.

– Czym mogę panu służyć?

– Kate i ja – powiedział William – chcemy się pobrać.

– Och, jak to miło – wtrąciła pani Tukesbury.

– Tak, w samej rzeczy – rzekł proboszcz. – Czy należy pan do naszej parafii? Jakoś sobie nie przypominam…

– Nie, proszę księdza. Jestem Amerykaninem. Należę do parafii Św. Pawła w Bostonie.

– Domyślam się, że w stanie Massachusetts, a nie w Lincolnshire – powiedział wielebny Tukesbury.

– Tak – odparł William, który na chwilę zapomniał, że i w Anglii mają Boston.

– Doskonale – rzekł proboszcz z rękami wzniesionymi w górę, jak gdyby miał zamiar udzielić błogosławieństwa. – A kiedyż to chcielibyście połączyć swoje duszyczki?

– Dzisiaj, proszę księdza.

– Dzisiaj? – zdziwił się proboszcz. – Nie bardzo orientuję się w amerykańskich zwyczajach dotyczących tej godnej, świętej i wiążącej dwojga ludzi instytucji, jaką jest małżeństwo, drogi panie, choć czasem czyta się w gazetach o jakichś dziwnych praktykach niektórych pańskich rodaków w Kalifornii. Jednakże uważam za swój obowiązek poinformować pana, że zwyczaje te nie przyjęły się jeszcze w Henley-on-Thames. W Anglii, proszę pana, musi pan najpierw pomieszkać przez pełny miesiąc kalendarzowy w parafii, zanim będzie pan mógł dostać ślub, a zapowiedzi, jeżeli nie ma szczególnie ważnych powodów uzasadniających odstępstwo od reguły, muszą zostać ogłoszone trzykrotnie w pewnych odstępach czasu. Zresztą, gdyby nawet przedstawił pan jakieś ważne powody, to musiałbym

zabiegać u biskupa o dyspensę, czego nie załatwiłbym przed upływem trzech dni – dodał wielebny Tukesbury.

Kate, która do tej pory milczała, teraz przemówiła:

– Ile pieniędzy potrzeba jeszcze księdzu na nowy dach kościoła?

– A, dach... No, cóż, to beznadziejna sprawa, ale nie chciałbym zanudzać państwa historią kościoła. Gdzieś na początku jedenastego wieku...

– Ile ksiądz potrzebuje? – zapytał William ściskając mocno dłoń Kate.

– Mamy nadzieję, że uda się nam zebrać pięćset funtów. Jak dotąd idzie nam nieźle, w ciągu zaledwie siedmiu tygodni zebraliśmy już dwadzieścia siedem funtów.

– Ależ nie, mój drogi – wtrąciła się pani Tukesbury. – Nie uwzględniłeś jednego funta jedenastu szylingów i dwu pensów, jakie uzyskałam zeszłego tygodnia ze zorganizowanego przeze mnie kiermaszu „Przynieś i sprzedaj".

– W samej rzeczy, moja droga. Jakże mogłem przeoczyć twój osobisty wkład. W sumie daje nam to... – wielebny Tukesbury zaczął dodawać w pamięci wznosząc oczy ku niebu, jakby szukał tam natchnienia.

William wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki, wypisał czek na pięćset funtów i bez słowa wręczył wielebnemu Tukesbury.

– Cóż, widzę, że zaistniały szczególnie ważne powody – powiedział zaskoczony proboszcz. Mówił już innym tonem. – Czy któreś z państwa było już kiedyś związane węzłem małżeńskim?

– Tak – powiedziała Kate. – Mój mąż zginął w katastrofie lotniczej ponad cztery lata temu.

– Och, to okropne – powiedziała pani Tukesbury. – Proszę przyjąć…

– Daj spokój, kochanie – rzekł sługa boży, w tej chwili bardziej zainteresowany sprawą kościelnego dachu niż uczuciami swej żony. – A pan?

– Jestem kawalerem – odpowiedział William.

– Będę musiał zatelefonować do biskupa – oznajmił wielebny Tukesbury i z czekiem Williama w ręku udał się do sąsiedniego pokoju.

Pani Tukesbury poprosiła, aby usiedli, i poczęstowała ich kanapkami z ogórkiem. Usta jej się nie zamykały, ale William i Kate wcale jej nie słyszeli, gdyż pochłonięci byli patrzeniem sobie w oczy.

Trzy kanapki później wrócił do pokoju wielebny Tukesbury.

– Sprawa jest nietypowa, bardzo nietypowa, ale biskup się zgodził. Pod warunkiem, że jutro rano zgłosi pan fakt zawarcia związku małżeńskiego w ambasadzie amerykańskiej, a także u swojego własnego biskupa w parafii Św. Pawła w Bostonie… w stanie Massachusetts, natychmiast po powrocie.

Wciąż jeszcze trzymał w ręku czek na pięćset funtów.

– Teraz potrzebujemy już tylko dwu świadków – ciągnął dalej proboszcz. – Moja żona może być jednym z nich. Miejmy nadzieję, że kościelny nie poszedł sobie jeszcze i będzie mógł wystąpić jako drugi świadek.

– Mogę księdza zapewnić, że sobie nie poszedł – powiedział William.

– Skąd ta pewność, proszę pana?

– Kosztowało mnie to jeden procent.

– Jeden procent? – zdumiał się proboszcz.

– Jeden procent nowego dachu kościoła – odparł William.

Ksiądz poprowadził Williama, Kate i swoją żonę dróżką wiodącą do kościoła i na widok kościelnego, który istotnie czekał, zamrugał ze zdziwienia powiekami.

– Faktycznie, jak widzę, pan Sprogett pozostał na posterunku… Dla mnie nigdy by tego nie zrobił; pan rzeczywiście umie przemówić do ludzi.

Wielebny Tukesbury wdział na siebie sutannę i komżę, podczas gdy kościelny stał z boku i z niedowierzaniem przypatrywał się tej scenie.

William odwrócił się do Kate i delikatnie ją pocałował.

– Wiem, że w tych okolicznościach moje pytanie zabrzmi idiotycznie, ale powiedz mi, Kate, czy zostaniesz moją żoną?

– Wielki Boże – rzekł wielebny Tukesbury, który w ciągu pięćdziesięciu lat swego grzesznego żywota ani razu nie wezwał imienia Pana swego nadaremno. – Jakże to? Więc pan jej jeszcze nawet o to nie zapytał?

Kwadrans później państwo Kane opuścili kościół parafialny w Henley-on-Thames w hrabstwie Oksford. Pani Tukesbury musiała w ostatniej chwili postarać się o obrączkę. Oderwała w tym celu kółeczko mocujące firankę w zakrystii. Pasowało jak ulał. I tak wielebny Tukesbury zdobył fundusze na nowy dach dla kościoła, a pan Sprogett wspaniały temat do pogaduszek przy kuflu piwa „Pod pękatą beczką”, gdzie wydał większą część owych pięciu funtów.

Przed kościołem proboszcz wręczył Williamowi kartkę papieru.

– Należą się dwa szylingi i sześć pensów.

– Za co? – spytał William.

– Za metrykę ślubu, proszę pana.

– Ksiądz powinien był zostać bankierem – powiedział William, podając mu półkoronową monetę.

Oniemiały ze szczęścia, poprowadził swoją świeżo poślubioną żonę główną ulicą Henley do „Zajazdu pod Dzwonem". Zjedli skromną kolację w przytulnej restauracji zajazdu, której dębowe deski stropu datowały się jeszcze z piętnastego wieku, i parę minut po dziewiątej poszli spać. Kiedy wchodzili na górę drewnianymi schodami, kierując się do swego pokoju, recepcjonista mrugał porozumiewawczo do portiera:

– Jeśli oni są małżeństwem, to ja jestem królem Anglii.

William zaczął nucić pod nosem *Boże, chroń króla*.

Siedzące niedaleko starsze małżeństwo uśmiechnęło się do nich przyjaźnie.

– Z mlekiem, dziękuję – powiedziała Kate, kładąc czule swoją dłoń na ręce Williama.

On uśmiechnął się do niej, zdając sobie nagle sprawę, że wszyscy naokoło im się przypatrują.

Wracali do Londynu w chłodnej, wczesnowiosennej aurze, przejeżdżając wpierw przez całe Henley, potem na drugi brzeg Tamizy, i dalej, przez Berkshire i Middlesex do stolicy.

– Zauważyłaś, jakim wzrokiem obrzucił cię dziś rano portier? – zapytał William.

– Tak, i myślę, że może jednak powinniśmy byli pokazać mu metrykę ślubu.

– Ależ nie, zniszczyłabyś mu jego wyobrażenie o rozpustnej Amerykance. Byłby bardzo nieszczęśliwy, gdyby po powrocie do domu musiał powiedzieć żonie, że jednak byliśmy małżeństwem.

Kiedy wrócili do Ritza w samą porę na lunch, szef recepcji był bardzo zdziwiony, gdy William oddał mu klucze do pokoju zwolnionego przez Kate. Podobno tak to później skomentował:

– A wydawało się, że młody pan Kane to prawdziwy dżentelmen. Jego świętej pamięci ojciec, człowiek wielce szacowny, nigdy nie postąpiłby w ten sposób.

William i Kate udali się w powrotną podróż do Nowego Jorku na pokładzie *Aquitanii*, przedtem jednak złożyli wizytę w ambasadzie amerykańskiej przy Grosvenor Gardens, aby powiadomić konsula o zmianie stanu cywilnego. Konsul poprosił ich o wypełnienie obszernego formularza, zainkasował jednego funta i kazał im potem czekać na siebie dobrze ponad godzinę. Amerykańska ambasada najwyraźniej nie potrzebowała nowego dachu. William chciał pójść do Cartiera na Bond Street, aby kupić złotą obrączkę, ale Kate nie chciała nawet o tym słyszeć, za nic nie rozstałaby się ze swym cennym kółeczkiem zdjętym z firanki w zakrystii.

William jakoś nie mógł sobie znaleźć miejsca w Bostonie, odkąd jego nowym szefem został Tony Simmons. Zasady Nowego Ładu F. D. Roosevelta wprowadzono w niespotykanym dotąd tempie. Jednak William i nowy prezes rady nadzorczej różnili się zasadniczo w swych poglądach na to, czy nowe warunki będą sprzyjać inwestowaniu czy wręcz przeciwnie. Ekspansja – na jednym przynajmniej odcinku – stała się faktem dokonanym. Kiedy Kate wkrótce po ich powrocie z Anglii oznajmiła, że jest w ciąży, wprawiając swoich rodziców i męża w prawdziwy zachwyt, William starał się tak dostosować godziny pracy, aby nie kolidowało to z jego nową rolą mężczyzny żonatego, lecz po pewnym czasie skonstatował, że coraz częściej gorące letnie wieczory spędza jednak przy swoim biurku. Kate, z lubością

paradująca w przewiewnej, kwiecistej sukni ciążowej, starannie nadzorowała urządzanie pokoju dziecinnego w Czerwonym Domu. William zauważył, że po raz pierwszy w życiu z ochotą wstaje od biurka i cieszy się na myśl, że wkrótce będzie w domu. Jeśli czegoś nie dokończył, zabierał po prostu pracę do domu i nawyk ten został mu już do końca życia.

Podczas gdy Kate i dziecko, które miało przyjść na świat koło Bożego Narodzenia, byli dla Williama źródłem rodzinnego szczęścia, w biurze coraz częściej niepokoiło go zachowanie Matthew, który zaczął pić i ciągle spóźniał się do pracy, nie usiłując się nawet z tego tłumaczyć. Minęło tak parę miesięcy i William stwierdził, że nie może już polegać na opinii Matthew w sprawach zawodowych. Początkowo nic nie mówił, mając nadzieję, że to nic poważnego, ot, taka nietypowa reakcja, która zresztą szybko przeminie, na zniesienie prohibicji. Ale nie przemijała. Wręcz przeciwnie, było coraz gorzej. Miarka przepełniła się pewnego listopadowego ranka, kiedy Matthew spóźnił się dwie godziny, przyszedł porządnie skacowany i popełnił szkolny błąd, sprzedając z niewielką, co prawda, stratą dla klienta banku akcje, które powinny były przynieść znaczny zysk. William zrozumiał, że najwyższy czas na poważną rozmowę z przyjacielem, bez owijania w bawełnę. Matthew przyznał, że popełnił błąd, i szczerze przepraszał. William odetchnął z ulgą, że ma już za sobą ten przykry obowiązek, i chciał właśnie zaproponować Matthew wspólny lunch, kiedy sekretarka – co nigdy się jej nie zdarzało – wpadła nagle do jego gabinetu.

– Panie prezesie, pańską żonę zabrano do szpitala.

– Dlaczego? – zapytał zaskoczony.

– Chodzi o dziecko – powiedziała sekretarka.

– Ale przecież rozwiązania spodziewamy się nie wcześniej niż za sześć tygodni – zdziwił się William.

– Tak, proszę pana, ale doktor MacKenzie był trochę zaniepokojony i prosił, aby pan przyjechał do szpitala najszybciej, jak to możliwe.

Matthew, który jeszcze przed chwilą przypominał zwiędły kwiatek, przejął inicjatywę i zawiózł Williama do szpitala. W pamięci jednego i drugiego odezwało się z bolesną wyrazistością wspomnienie śmierci matki Williama i jej córeczki, która urodziła się martwa.

– Boże, oszczędź Kate – powiedział Matthew, wjeżdżając na parking przed szpitalem.

William nie potrzebował przewodnika, aby trafić na oddział położniczy, który pół roku wcześniej Kate uroczyście otwierała. Przed wejściem do sali porodowej natknął się na pielęgniarkę, która poinformowała go, że doktor MacKenzie jest właśnie przy jego żonie i że miała ona silny krwotok. William przemierzał bezradnie korytarz tam i z powrotem w niemym odrętwieniu, zupełnie tak samo jak już raz kiedyś, przed laty. Sytuacja aż za dobrze mu znana. Jak mało ważne stało się w tej chwili stanowisko prezesa rady nadzorczej banku wobec groźby utraty Kate. Kiedy Ostatnio powiedział jej, że ją kocha? Matthew siedział razem z Williamem, przemierzał z nim korytarz tam i z powrotem, stał przy nim, ale nie odezwał się ani razu. Zresztą, cóż mógł powiedzieć? William spoglądał na zegarek za każdym razem, gdy pielęgniarka wybiegała bądź wbiegała do sali porodowej. Sekundy stawały się minutami, a minuty godzinami. Wreszcie z sali porodowej wyszedł doktor MacKenzie z czołem połyskującym kropelkami potu, w masce chirurgicznej zakrywającej nos i usta. William nie mógł dostrzec wyrazu twarzy doktora, dopóki

ten nie zsunął białej maski, ukazując twarz rozjaśnioną szerokim uśmiechem.

– Gratuluję, Williamie, masz syna, a Kate czuje się wspaniale.

– Dzięki ci, Boże – westchnął William, przyciskając do siebie Matthew.

– Choć mam wiele uznania dla Wszechmocnego – powiedział doktor MacKenzie – to jednak uważam, że mam w tych narodzinach pewien udział.

William roześmiał się.

– Czy mogę zobaczyć Kate?

– Nie, nie w tej chwili. Dałem jej środek uspokajający i od razu zasnęła. Straciła trochę za dużo krwi, ale do rana przyjdzie do siebie. Będzie może nieco osłabiona, ale dosyć silna, aby cię przyjąć. Natomiast nic nie stoi na przeszkodzie, abyś zobaczył swego syna. Tylko się nie dziw, że jest taki maleńki; pamiętaj, że to wcześniak.

Lekarz poprowadził Williama i Matthew korytarzem do salki, w której za szklaną przegrodą zobaczyli rząd sześciu różowych główek w łóżeczkach.

– To ten – powiedział doktor MacKenzie wskazując na dopiero co wniesionego noworodka.

William spojrzał na brzydką pomarszczoną twarzyczkę z pewnym rozczarowaniem, czując, jak rozpływa się jego wizja dorodnego, krzepkiego syna.

– No cóż, jedno co mogę powiedzieć na korzyść tego małego nicponia – zauważył doktor MacKenzie wesoło – to to, że jest urodziwszy niż ty w jego wieku, a przecież teraz nic ci nie brakuje.

William roześmiał się z ulgą.

– Jak dasz mu na imię?

– Richard. Richard Higginson Kane.

Doktor poklepał czule świeżo upieczonego ojca po ramieniu.

– Mam nadzieję, że pożyję jeszcze dosyć długo, aby być przy narodzinach pierworodnego Richarda.

Nie zwlekając, William wysłał telegram do dyrektora Gimnazjum św. Pawła, który umieścił nazwisko chłopca na liście uczniów mających rozpocząć naukę w roku 1943, a potem świeżo upieczony ojciec i Matthew upili się w sztok i spóźnili się na ranną wizytę w szpitalu u Kate. William zaprowadził Matthew do małego Richarda, aby raz jeszcze obejrzeć syna.

– Szkaradny mały bękart – powiedział Matthew – zupełnie niepodobny do swojej pięknej matki.

– Tak właśnie sobie pomyślałem – zgodził się z nim William.

– Ale wykapany tata.

William wrócił do zastawionego kwiatami pokoju Kate.

– Jak ci się podoba twój syn? – zapytała. – Jest do ciebie taki podobny.

– Następnej osobie, która coś takiego powie, po prostu dołożę – powiedział William. – Jest to najbrzydszy malec, jakiego widziałem w życiu.

– Ależ skąd – zaprotestowała Kate z udawanym oburzeniem. – Jest śliczny.

– Tylko matka może kochać coś tak szkaradnego – powiedział William, przytulając mocno żonę.

Przywarła do niego, uszczęśliwiona jego szczęściem.

– Co powiedziałaby babka Kane na to, że nasz pierworodny zjawił się na tym świecie w niecałe osiem miesięcy od naszego ślubu? „Być

może jestem zbyt surowych zasad, ale uważam, że dziecko, które urodziło się wcześniej niż piętnaście miesięcy po ślubie, jest podejrzanego pochodzenia, urodzone zaś przed upływem dziewięciu miesięcy jest absolutnie nie do przyjęcia". – William starał się naśladować głos babki Kane. – A propos, Kate, zapomniałem ci coś powiedzieć, zanim odwieziono cię do szpitala.

– Co takiego?

– Że cię kocham.

Kate i mały Richard musieli pozostać w szpitalu jeszcze prawie trzy tygodnie. Dopiero po świętach Bożego Narodzenia Kate odzyskała w pełni siły. Natomiast Richard rósł i rozwijał się w sposób zupełnie żywiołowy, jako że nikt nie poinformował go, że jest Kane'em i nie wypada tego robić. William był pierwszym mężczyzną w rodzinie Kane'ów, który zmienił dziecku pieluszkę i pchał wózek. Kate była z niego bardzo dumna, a przy tym nieco zaskoczona jego postawą. William powiedział Matthew, że już najwyższy czas, aby znalazł sobie porządną dziewczynę i wreszcie się ustatkował.

Matthew zaśmiał się kpiąco.

– Zaczynasz mówić jak facet w średnim wieku. Tylko patrzeć, jak ci się pokaże na głowie pierwszy siwy włos.

Jeden albo dwa już się pokazały, kiedy William walczył o fotel prezesa, ale Matthew ich nie zauważył.

William nie potrafiłby powiedzieć, w którym momencie jego stosunki z Tonym Simmonsem zaczęły się gwałtownie pogarszać. Tony nieustannie przeciwstawiał się kolejnym propozycjom Williama dotyczącym polityki banku i jego negatywny stosunek sprawił, że William zaczął się znowu zastanawiać, czy nie zrezygnować z

członkostwa w radzie nadzorczej. Matthew pogorszył sytuację, wracając do swoich pijackich nawyków. Okres poprawy trwał tylko kilka miesięcy, potem Matthew pił jeszcze więcej i z każdym dniem przychodził do banku coraz później. William nie bardzo wiedział, jak ma się zachować w tej sytuacji, i kończyło się na tym, że nieustannie brał na siebie jego obowiązki. Pod koniec każdego dnia kontrolował bankową korespondencję Matthew i wykonywał telefony, o których przyjaciel zapomniał.

Wiosną 1936 roku, kiedy akcjonariusze ponownie nabrali zaufania do odradzającej się gospodarki i klienci znów zaczęli powierzać swoje pieniądze bankom, William doszedł do wniosku, że czas już, aby przystąpić, aczkolwiek ostrożnie, do przeprowadzania transakcji giełdowych, lecz Tony bezceremonialnie odrzucił tę sugestię w wewnętrznej nocie dla komisji finansowej banku. William wpadł jak burza do gabinetu Tony'ego z pytaniem, czy chce go zmusić do rezygnacji.

– Oczywiście, że nie, Williamie. Chcę po prostu, żebyś zrozumiał, że dla mnie, jako kierującego bankiem, naczelną dewizą jest ostrożność. I nie mam zamiaru rzucać się na łeb, na szyję w odmęty transakcji giełdowych, ryzykując pieniądze naszych udziałowców.

– Ale w ten sposób inne banki sprzątają nam sprzed nosa korzystne transakcje. Wypadamy z gry i tylko przyglądamy się, jak inni się bogacą. Banki, których jeszcze dziesięć lat temu nie uważalibyśmy za konkurentów, wkrótce nas zdystansują.

– W czym nas zdystansują, Williamie, w jakiej konkurencji? Może w tej, w której liczy się szybki zysk, ale nie tam, gdzie ceni się dobrą reputację.

– Ale mnie interesuje zysk – odparł William. – Uważam, że obowiązkiem banku jest przysparzanie zysków tym, którzy powierzyli nam swoje pieniądze, a nie pozorowanie działalności i przestrzeganie dobrych manier.

– Wolę raczej stać w miejscu niż ryzykować utratę dobrej reputacji, na którą pracowali przez ponad pół wieku twój dziad i ojciec.

– Tak, ale i jeden, i drugi zawsze szukali wciąż nowych możliwości wypłynięcia na szersze wody.

– W latach dobrej koniunktury – rzucił Tony.

– Jak również i złej – odparował William.

– Dlaczego jesteś taki wzburzony, Williamie? Przecież masz wciąż wolną rękę w kierowaniu swoim wydziałem?

– Diabła tam wolną. Blokujesz wszystko, co mogłoby być choćby przejawem przedsiębiorczości.

– Bądźmy raz ze sobą szczerzy, Williamie. Jednym z powodów, dla których musiałem ostatnio zachować szczególną ostrożność, jest choćby to, że nie można już polegać na zdaniu Matthew.

– Nie mieszaj do tego Matthew. To moje posunięcia blokujesz, to ja rządzę tym wydziałem.

– Nie mogę nie mieszać do tego Matthew. Chciałbym, ale nie mogę. Na mnie spoczywa odpowiedzialność za każdego pracownika, to ja odpowiadam przed radą nadzorczą, a on jest człowiekiem numer dwa w najważniejszym wydziale banku.

– Tak, i dlatego ja za niego odpowiadam; bo ja jestem człowiekiem numer jeden w tym wydziale.

– Nie, Williamie, to nie może być wyłącznie twoja sprawa, skoro Matthew przychodzi do pracy pijany o jedenastej, niezależnie od tego

jak dawna i jak wielka łączy was przyjaźń.

– Nie przesadzaj.

– Wcale nie przesadzam, Williamie. Już od roku Matthew Lester jest utrapieniem tego banku, a nie mówiłem ci nigdy, jak bardzo mnie to niepokoi, jedynie ze względu na twoje bliskie stosunki z nim i jego rodziną. Wcale bym się nie zmartwił, gdyby mi wręczył swoją rezygnację. Człowiek większego formatu dawno by to uczynił, namówiliby go do tego przyjaciele.

– Nigdy – powiedział William. – Jeśli on odejdzie, ja też to zrobię.

– Proszę bardzo – odrzekł Tony. – Ja muszę troszczyć się przede wszystkim o interesy naszych klientów, a nie o twoich kumpli ze szkolnej ławy.

– Jeszcze kiedyś pożałujesz tego, co mi teraz powiedziałeś – powiedział William, z furią wybiegając z gabinetu prezesa.

Wściekły wrócił do swego pokoju. – Gdzie jest pan Lester? – zapytał, przechodząc koło sekretarki.

– Jeszcze nie przyszedł, proszę pana.

William spojrzał na zegarek, mocno poirytowany.

– Jak przyjdzie, proszę mu powiedzieć, żeby natychmiast się do mnie zgłosił.

– Dobrze, proszę pana.

William przemierzał swój pokój tam i z powrotem, klnąc pod nosem. Wszystko, co Tony Simmons powiedział o Matthew, było prawdą, a to tylko pogarszało sprawę. Usiłował sobie przypomnieć, od czego się to wszystko zaczęło, szukając jakiegoś prostego wytłumaczenia. Rozmyślania przerwała mu sekretarka.

– Pan Lester właśnie przyszedł, proszę pana.

Matthew wszedł do pokoju z dosyć niepewną miną i na pierwszy rzut oka było widać, że znowu ma kaca. Mocno się postarzał w ciągu ostatniego roku, a jego cera utraciła rześki, zdrowy wygląd. William z trudem rozpoznawał w nim człowieka, który od prawie dwudziestu lat był jego najbliższym przyjacielem.

– Gdzie się, u diabła, podziewałeś, Matthew?

– Zaspałem – odpowiedział Matthew, pocierając policzek gestem zdradzającym zakłopotanie, tak zupełnie nie pasującym do niego. – Chyba za późno poszedłem wczoraj spać.

– Chcesz przez to powiedzieć, że za dużo wypiłeś.

– Nie, wcale nie tak dużo. Poznałem nową dziewczynę, która nie pozwoliła mi zmrużyć oka przez całą noc. Była nienasycona.

– Kiedy wreszcie będziesz miał dosyć, Matthew? Spałeś z prawie każdą niezamężną kobietą w Bostonie.

– Nie przesadzaj, Williamie, na pewno znalazłaby się jeszcze jedna albo dwie, z którymi nie spałem; w każdym razie mam taką nadzieję. No i nie zapominaj o tysiącach mężatek.

– To wcale nie jest śmieszne, Matthew.

– Przestań, daj mi spokój.

– Ja mam ci dać spokój? Właśnie przez ciebie naskoczył na mnie Tony Simmons, który, niestety, ma rację. Pakujesz się do łóżka z każdą kobietą, jaka ci się nawinie, a co gorsza, zapijasz się na śmierć. Całkiem straciłeś rozum. Co się z tobą dzieje?

Powiedz mi, dlaczego to robisz? Musi być jakaś przyczyna. Jeszcze rok temu byłeś facetem, na którym mogłem polegać, jak na nikim innym. Co się stało, Matthew? I co mam powiedzieć Tony'emu Simmonsowi?

– Powiedz mu, żeby poszedł do diabła i pilnował własnego interesu.

– Słuchaj, Matthew, przyznasz chyba, że to jest jego interes. My tu prowadzimy bank, a nie burdel, a ty zająłeś tu swoje stanowisko z mojej osobistej rekomendacji.

– A teraz nie jestem już w stanie sprostać twoim wymaganiom. Czy o to ci chodzi?

– Nie, nie o to.

– No więc o co, u diabła?

– Weź się w garść, człowieku, i popracuj solidnie przez parę tygodni. Nie minie wiele czasu, a wszyscy o tym zapomnimy.

– Czy tylko tyle ode mnie oczekujesz?

– Tak.

– Zrobię, jak każesz, szefie – odrzekł Matthew, stuknął obcasami i wyszedł z pokoju.

– A bodajby cię… – mruknął William.

Tego popołudnia, kiedy William chciał przejrzeć portfel akcji jednego z klientów banku wraz z Matthew, nikt nie potrafił go znaleźć. Matthew nie wrócił do biura po lunchu i nikt tego dnia go więcej nie widział. Nawet kładąc małego Richarda do łóżeczka, William nie potrafił ani na chwilę zapomnieć o kłopotach z Matthew. Richard umiał już liczyć do dwóch i William chciał go nauczyć słowa „trzy”, lecz chłopczyk uparcie powtarzał „ci”.

– Jeśli nie umiesz powiedzieć „trzy”, to jak możesz się spodziewać, że zostaniesz kiedyś bankierem? – pytał właśnie synka, kiedy do pokoju weszła Kate.

– Może za to znajdzie sobie jakieś pożyteczne zajęcie? – zażartowała.

– Co może być bardziej pożyteczne od zawodu bankiera? – bronił się William.

– Cóż, mógłby zostać na przykład muzykiem albo baseballistą czy choćby prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Z tych trzech wolałbym już baseballistę, on jeden dostaje godziwą zapłatę – powiedział William, kładąc małego Richarda do łóżeczka.

Zanim zasnął, mały zdążył jeszcze powiedzieć „ci tata". William poddał się. Miał dziś zły dzień.

– Wyglądasz na znużonego, kochanie. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś, że idziemy dziś wieczór do Andrew MacKenziego?

– Do diabła. Zupełnie o tym zapomniałem. O której mamy tam być?

– Za jakąś godzinę.

– Dobrze, muszę tylko przedtem wziąć długą, gorącą kąpiel.

– Myślałam, że kąpiel to typowo kobiecy sposób na poprawienie sobie nastroju.

– Muszę się trochę odprężyć, miałem dziś bardzo nerwowy dzień.

– Znów kłopoty z Tonym Simmonsem?

– Tak, ale tym razem racja jest po jego stronie. Miał pretensje o pijaństwo Matthew. Byłem mu wdzięczny, że przynajmniej nie wspomniał o jego miłosnych podbojach. Dzisiaj nie można już zaprosić Matthew do domu, nie zamknąwszy przedtem gdzieś w komórce córki czy nawet żony dla ich bezpieczeństwa. Czy mogłabyś przygotować mi kąpiel?

William siedział w wannie ponad pół godziny i Kate musiała go z niej wyciągać, bojąc się, że tam zaśnie. Mimo że go ponaglała, spóźnili się na przyjęcie u państwa MacKenziech dwadzieścia pięć

minut. Ledwo weszli, dostrzegli, że Matthew jest już dobrze podpity i że próbuje uwodzić żonę pewnego kongresmena. William chciał interweniować, ale Kate odwiodła go od tego.

– Nie zwracaj uwagi – szepnęła.

– Nie mogę przyglądać się bezczynnie, jak mój najbliższy przyjaciel stacza się w przepaść. Muszę coś zrobić – powiedział William.

W końcu jednak posłuchał rady Kate i ze ściśniętym sercem patrzył, jak Matthew upija się coraz bardziej. Tony Simmons rzucał mu z drugiego końca salonu wymowne spojrzenia. Kiedy Matthew ulotnił się dosyć wcześnie, William odetchnął z ulgą, choć przyjaciel zniknął w towarzystwie jedynej na przyjęciu kobiety, która nie miała partnera. Dopiero po jego wyjściu, po raz pierwszy tego dnia, William mógł naprawdę się odprężyć.

– Jak się miewa mały Richard? – spytał Andrew MacKenzie.

– Wciąż nie umie powiedzieć „trzy” – poskarżył się William.

– Miejmy nadzieję, że mimo to wyjdzie jeszcze kiedyś na ludzi – pocieszał go doktor MacKenzie.

– Ja też tak uważam – powiedziała Kate. – Pomyśl tylko, Williamie: może zostanie na przykład lekarzem.

– Ma duże szansę – powiedział Andrew. – Niewielu znam lekarzy, którzy potrafią zliczyć do trzech.

– Chyba że akurat zastanawiają się nad wysokością honorarium – powiedział William.

Andrew się roześmiał.

– Napijesz się czegoś, Kate?

– Nie, dziękuję, Andrew. Czas już do domu. Jeśli zaraz nie wyjdziemy, to na placu boju zostanie tylko Tony Simmons i William,

którzy z pewnością umieją zliczyć do trzech, a wtedy przez resztę wieczoru będziemy skazani na dyskusję o interesach.

– Słusznie – zgodził się William. – Dziękuję za miłe przyjęcie.

Przy okazji, przepraszam za fatalne zachowanie Matthew.

– Ależ dlaczego? – żachnął się doktor MacKenzie.

– Nie udawaj, Andrew. Nie tylko się upił, ale żadna kobieta na tym przyjęciu nie mogła czuć się bezpieczna, jeśli została z nim na chwilę sam na sam.

– W jego sytuacji pewno zachowywałbym się tak samo – powiedział Andrew MacKenzie.

– Dlaczego? – spytał William. – Nie można pochwalać wyskoków Matthew tylko dlatego, że jest kawalerem.

– Ja ich wcale nie pochwalam, staram się tylko zrozumieć jego pobudki, i przypuszczam, że mając jego problemy, również zachowywałbym się trochę nieodpowiedzialnie.

– Problemy? Jakie on może mieć problemy?

– Na Boga – powiedział doktor MacKenzie. – Jest waszym najbliższym przyjacielem i nie powiedział wam?

– Nie powiedział nam czego? – spytali równocześnie.

Doktor MacKenzie spoglądał na nich z niedowierzaniem.

– Chodźcie do mojego gabinetu.

William i Kate udali się za doktorem do niewielkiego pokoju, którego ściany zastawione były prawie po sam sufit medycznymi książkami. Tę monotonię urozmaicało jedynie parę fotografii, w ramkach lub bez, ze studenckich czasów doktora na Uniwersytecie Cornella.

– Usiądź, Kate – powiedział doktor. – Nie robię chyba nic złego rozmawiając z wami o tym, ale uważam, że powinniście wiedzieć, iż Matthew jest ciężko chory, a mówiąc ściśle, umiera na chorobę Hodgkina. Z tą świadomością żyje już od ponad roku.

William opadł ciężko na fotel, przez moment nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Co to za choroba?

– Jest to zapalenie i powiększenie węzłów chłonnych, choroba, która z reguły kończy się śmiercią – wyjaśnił rzeczowym, chłodnym tonem doktor MacKenzie.

William kręcił głową z niedowierzaniem.

– Dlaczego mi o tym nie powiedział?

– Jesteście przyjaciółmi ze szkolnej ławy. Myślę, że Matthew jest zbyt dumny, aby obarczać innych swoimi problemami. Woli umrzeć po cichu, tak, żeby nikt nawet się nie domyślał, jak ciężką przechodzi próbę. Od sześciu miesięcy błagam go, aby powiedział o swoim stanie ojcu. Niewątpliwie, mówiąc wam to wszystko, sprzeniewierzyłem się zasadzie tajemnicy zawodowej, ale przecież nie mogłem dopuścić, abyście obwiniali go za zachowanie, nad którym praktycznie nie potrafi już panować.

– Dziękuję ci, Andrew – powiedział William. – Jak mogłem być tak ślepy i głupi?

– Nie powinieneś siebie obwiniać – pocieszał go doktor. – Żadną miarą nie mogliście o tym wiedzieć.

– Czy naprawdę nie ma nadziei? – zapytał William. – Czy brakuje odpowiednich klinik, specjalistów? Koszty nie miałyby najmniejszego znaczenia…

– Nie wszystko można kupić za pieniądze, Williamie. Konsultowałem się z trzema najlepszymi specjalistami w Ameryce i jednym w Szwajcarii. Niestety, wszyscy czterej potwierdzają moją diagnozę, a medycyna nie znalazła jak dotąd lekarstwa na tę chorobę.

– Ile to jeszcze potrwa? – spytała prawie szeptem Kate.

– Trzy miesiące, góra pół roku.

– A ja myślałem, że mam kłopoty – powiedział William, ściskając dłoń Kate tak mocno, jakby to była ostatnia deska ratunku. – Musimy już iść, Andrew. Dziękujemy, że nam o tym powiedziałeś.

– Pomóżcie mu, jak tylko potraficie, ale przede wszystkim starajcie się go zrozumieć. Niech robi to, na co ma ochotę. To są jego ostatnie miesiące, nie wasze. I nie zdradźcie mu, że wam o tym powiedziałem.

W milczeniu wracali do Beacon Hill samochodem. Kiedy tylko znaleźli się w Czerwonym Domu, William zatelefonował do dziewczyny, z którą Matthew wyszedł z przyjęcia.

– Czy mógłbym rozmawiać z Matthew Lesterem?

– Nie ma go tutaj – odezwał się w słuchawce poirytowany głos. – Zaciągnął mnie do klubu „Koło fortuny", ale był już tak pijany, że nie zgodziłam się wejść tam razem z nim – powiedziała dziewczyna i odłożyła słuchawkę.

Klub „Koło fortuny". William przypominał sobie mgliście zawieszony na żelaznym pręcie szyld, lecz nie pamiętał, gdzie to właściwie jest. Zajrzał do książki telefonicznej, pojechał do północnej części miasta i w końcu, dzięki wskazówkom napotkanego przechodnia, odnalazł to miejsce. Zapukał do drzwi, w których zaraz uchyliło się okienko.

– Pan jest członkiem?

– Nie – powiedział pewnym głosem William i podał portierowi przez kratkę w okienku dziesięciodolarowy banknot.

Okienko się zamknęło, otworzyły się drzwi. William znalazł się od razu na samym środku tanecznego parkietu, gdzie w swoim trzyczęściowym bankierskim garniturze wyglądał trochę dziwacznie. Splecione w tanecznym uścisku pary, nieciekawe nowego gościa, odsuwały się od Williama, który poprzez kłęby tytoniowego dymu usiłował wypatrzyć przyjaciela. Ale Matthew tam nie było. W końcu dojrzał dziewczynę, jedną z tych, z którymi, jak mu się wydawało, łączył Matthew ostatnio przelotny flirt. Był prawie pewien, że widział ją, jak wychodziła z domu przyjaciela wczesnym rankiem niedawno temu. Siedziała teraz w rogu sali z nogą założoną na nogę, w towarzystwie jakiegoś marynarza. William podszedł do niej.

– Bardzo panią przepraszam… – zaczął.

Spojrzała na niego, ale widać było, że go sobie nie przypomina.

– Ta pani jest ze mną, więc spływaj pan – powiedział marynarz.

– Czy widziała pani może Matthew Lestera?

– Matthew? – zdziwiła się. – Jakiego Matthew?

– Powiedziałem ci, żebyś zjeżdżał – marynarz podniósł się z krzesła.

– Jeszcze słowo, a rozwalę ci łeb – poinformował go William.

Marynarz widział już kiedyś podobny błysk gniewu w oczach innego mężczyzny i o mało nie stracił wtedy oka. Usiadł z powrotem na krześle.

– Gdzie jest Matthew?

– Nie znam żadnego Matthew, kochasiu – powiedziała dziewczyna, która teraz też była lekko wystraszona.

– Wysoki blondyn, ubrany podobnie jak ja i prawdopodobnie pijany.

– A, chodzi o Martina. On jest tu znany jako Martin, nie Matthew – dziewczyna trochę się uspokoiła. – Chwileczkę. Z kim on dzisiaj wyszedł? – Odwróciła głowę w kierunku baru i zawołała do barmana: – Słuchaj, Terry, z kim wyszedł dziś Martin?

Barman wyjął zgaszonego peta z kącika ust.

– Z Jenny – powiedział i włożył peta z powrotem do ust.

– Z Jenny, tak, zgadza się – powiedziała dziewczyna. – Ona się szybko uwija, nigdy nie trzyma faceta dłużej niż pół godziny, więc zaraz będą tu z powrotem.

– Dziękuję – powiedział William.

Czekał prawie godzinę przy barze, popijając szkocką z dużą ilością wody i z każdą minutą czując się coraz bardziej obco. Wreszcie barman, ze zgaszonym petem tkwiącym wciąż w kąciku ust, ruchem głowy wskazał na dziewczynę, która właśnie ukazała się w drzwiach.

– To jest Jenny – powiedział.

Była sama. Barman skinął na nią ręką, aby podeszła. Niska, szczupła, dość atrakcyjna dziewczyna mrugnęła do Williama i zbliżyła się, kołysząc biodrami.

– Szukasz mnie, kochasiu? Proszę bardzo, jestem do usług, ale biorę dziesięć dolców za pół godziny.

– Nie, nie mam na ciebie ochoty – powiedział William.

– Ale milutki – obraziła się Jenny.

– Szukam faceta, który był z tobą. Matthew, a raczej Martin.

– Martin był dziś tak pijany, że nie stanąłby mu nawet przy użyciu dźwigu. Ale jak zawsze uiścił pełną opłatę. Prawdziwy dżentelmen.

– Gdzie on teraz jest? – spytał William niecierpliwie.

– Nie wiem. Doszedł do wniosku, że nie podoła zadaniu i pomaszerował do domu.

William wybiegł na ulicę. Zimne powietrze orzeźwiło go, co wcale nie znaczyło, że potrzebował jakiegoś bodźca do działania. Ruszył spod klubu wolno, jadąc w kierunku mieszkania Matthew, po drodze przyglądając się uważnie mijanym przechodniom. Niektórzy przyspieszali kroku, napotykając jego badawcze spojrzenie; inni próbowali nawiązać z nim rozmowę. Kiedy przejeżdżał obok czynnej całą noc kafejki, dostrzegł przez zaparowaną szybę Matthew, który przeciskał się między stolikami z filiżanką w ręku. William zaparkował samochód, wszedł do środka i usiadł przy stoliku przyjaciela. Matthew siedział oklapnięty nad filiżanką nie tkniętej jeszcze kawy, której trochę wylało się na spodek. Był tak pijany, że nawet nie poznał Williama.

– Matthew, to ja – powiedział William patrząc na zmiętą twarz przyjaciela. Po policzkach zaczęły płynąć mu łzy.

Matthew podniósł głowę i znów wylał odrobinę kawy na spodek.

– Płaczesz, stary. Czyżbyś utracił dziewczynę?

– Nie, najbliższego przyjaciela – powiedział William.

– Ach, tak… Ich nie znajduje się łatwo.

– Wiem – powiedział William.

– Mam naprawdę dobrego przyjaciela – wybełkotał Matthew. – Zawsze był po mojej stronie, aż do dzisiaj, do naszej pierwszej w życiu kłótni. Ale to moja wina. Cholernie się na mnie zawiódł, rozumiesz.

– To nieprawda – powiedział William.

– Skąd ty możesz wiedzieć? – spytał Matthew gniewnie. – Jesteś za głupi, żeby go znać.

– Chodźmy do domu, Matthew.

– Mam na imię Martin – mruknął Matthew.

– Przepraszam, Martin. Chodźmy do domu.

– Nie, chcę tu zostać. Ma tu przyjść jedna dziewczyna. Myślę, że potrafię jej teraz dogodzić.

– Mam w domu trochę dobrej whisky – powiedział William. – Może dotrzymałbyś mi towarzystwa przy kieliszku.

– Będą jakieś kobietki?

– Tak, mnóstwo.

– Dobra, idziemy.

William pomógł Matthew wstać, wsunął mu rękę pod ramię i powoli holował go między stolikami ku drzwiom. Po raz pierwszy w życiu przekonał się, jak ciężki jest Matthew. Kiedy przechodzili obok dwóch policjantów siedzących przy barze, do uszu Williama doleciały słowa wypowiedziane przez jednego z nich do kolegi:

– Cholerne cioty.

Pomógł przyjacielowi wsiąść do auta i zawiózł go do Beacon Hill. Kate czekała na nich.

– Powinnaś była pójść spać.

– Nie mogłam zasnąć – odparła.

– Obawiam się, że jest nie bardzo przytomny.

– Czy to jest ta dziewczyna, którą mi obiecałeś? – spytał Matthew.

– Tak. Ona się tobą zaopiekuje – powiedział William i z pomocą Kate zaprowadził go na górę do pokoju gościnnego. Posadzili go na łóżku i Kate zaczęła ściągać z Matthew ubranie.

– Ty też musisz się rozebrać – powiedział Matthew. – Już uiściłem dziesięć dolarów.

– Najpierw musisz się położyć – powiedziała łagodnym głosem Kate.

– Dlaczego jesteś taka smutna, o piękna pani? – zapytał Matthew.

– Ponieważ cię kocham – powiedziała Kate, której łzy zaczęły cisnąć się do oczu.

– Nie płacz – pocieszał ją Matthew. – Nie ma powodu do płaczu, tym razem spiszę się jak trzeba, zobaczysz.

Kiedy już rozebrali Matthew, William okrył go troskliwie, a Kate zgasiła światło.

– Obiecałaś, że pójdziesz ze mną do łóżka – powiedział sennie Matthew.

Kate cichutko zamknęła drzwi.

William spał na krześle pod drzwiami pokoju Matthew, bojąc się, że przyjaciel może oprzytomnieć w nocy i próbować wyjść. Rano Kate obudziła go, zanim wniosła śniadanie dla Matthew.

– Co ja tu robię, Kate? – spytał zdziwiony Matthew.

– Wróciłeś z nami z wczorajszego przyjęcia u Andrew MacKenziego – odpowiedziała Kate trochę niepewnym głosem.

– Skądże. Poszedłem do klubu z tą okropną dziewczyną, Patrice, czy jak jej tam, która nie chciała wejść ze mną do środka. O Boże, ale mam kaca. Czy mogłabyś dać mi trochę soku pomidorowego? Nie chciałbym uchodzić za gbura, ale nie czuję się na siłach, aby jeść śniadanie.

– Ależ oczywiście, Matthew.

Wszedł William. Matthew spojrzał na niego. Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu.

– Już wiesz, prawda? – zapytał w końcu Matthew.

– Tak – powiedział William. – Byłem potwornym głupcem, mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Nie płacz, Williamie. Ostatni raz widziałem cię płaczącego, gdy miałeś dwanaście lat. Covington cię tłukł, a ja musiałem odrywać go od ciebie. Pamiętasz? Ciekaw jestem, co teraz porabia Covington? Prawdopodobnie prowadzi burdel w Tijuanie; to jedyna rzecz, do której się nadawał. Wiesz co? Jeśli Covington ma burdel, to jest to z pewnością najlepszy burdel, jaki można sobie wyobrazić, więc zabierz mnie tam. Nie płacz, Williamie. Mężczyźni nie płaczą. Nic się nie da zrobić. Byłem u najlepszych specjalistów, od Los Angeles po Nowy Jork i Zurych, i żaden nie mógł mi pomóc. Jeśli pozwolisz, to odpuszczę sobie dziś bank, Williamie. Wciąż czuję się fatalnie. Obudźcie mnie, gdybym wylegiwał się za długo albo sprawiał wam zbyt wiele kłopotu. Jakoś dotelepię się do domu.

– Tu jest twój dom – powiedział William. Wyraz twarzy Matthew zmienił się.

– Czy powiesz o tym mojemu ojcu, Williamie? Ja nie mam odwagi. Ty też byłeś jedynakiem, więc rozumiesz, w czym rzecz.

– Tak, zrobię to. Pojadę jutro do Nowego Jorku i powiem mu, jeśli obiecasz, że zamieszkasz tutaj ze mną i Kate. Nie będę ci bronił pić, jeśli tego właśnie pragniesz, ani spotykać się z tyloma kobietami, z iloma zechcesz, ale musisz tu zostać.

– Dawno nie otrzymałem tak korzystnej oferty. Teraz chyba jeszcze się trochę prześpię. Ostatnio łatwo się męczę.

William wpatrywał się przez chwilę, jak Matthew zapada w głęboki sen, po czym wyjął z jego ręki szklankę z niedopitym sokiem pomidorowym, po którym na prześcieradle została świeża plama.

– Nie umieraj – powiedział szeptem. – Proszę, nie umieraj, Matthew. Czy już zapomniałeś, że mieliśmy razem stworzyć największy bank w Ameryce?

Rankiem następnego dnia William wyjechał do Nowego Jorku, aby zobaczyć się z Charlesem Lesterem. Dostojny bankier, usłyszawszy wiadomość, którą przywiózł mu William, postarzał się w jednej chwili i wyglądał, jakby się skurczył w swoim fotelu.

– Dziękuję ci, Williamie, że przyjechałeś, aby powiedzieć mi to osobiście. Przeczuwałem, że dzieje się coś niedobrego, kiedy Matthew przestał mnie odwiedzać co miesiąc, jak miał w zwyczaju. Będę przyjeżdżał co tydzień na soboty i niedziele. Matthew na pewno woli być z tobą i Kate, a ja postaram się nie okazywać za bardzo, jak przybiła mnie ta wiadomość. Bóg jeden wie, czy Matthew zasłużył sobie na taki los. Od śmierci żony pracowałem tylko z myślą o nim, a teraz nie mam komu zostawić tego wszystkiego. Susan zupełnie nie interesuje się bankiem.

– Proszę odwiedzać nas w Bostonie, kiedy tylko pan zechce. Będzie pan zawsze mile widzianym gościem.

– Dziękuję ci, Williamie, za wszystko, co robisz dla Matthew. – Stary człowiek spojrzał mu w oczy. – Jaka szkoda, że twój ojciec nie dożył tego, by zobaczyć, jak jego syn godny jest nosić nazwisko Kane. Dałbym wszystko, żeby móc zamienić się z Matthew, żeby żył…

– Muszę już do niego wracać, proszę pana.

– Tak, oczywiście. Powiedz mu, że przyjąłem tę wiadomość ze stoicyzmem. Właśnie tak masz mu powiedzieć.

– Tak, proszę pana.

William udał się w drogę powrotną do Bostonu jeszcze tego samego dnia. Matthew był w domu, z Kate. Zabrał się do lektury najnowszego amerykańskiego bestsellera *Przeminęło z wiatrem*. Czytał na werandzie, kiedy wszedł William.

– Jak staruszek przyjął wiadomość?

– Płakał – powiedział William.

– Prezes banku Lestera płakał? – zapytał Matthew. – Udziałowcy banku nigdy nie powinni się o tym dowiedzieć.

Matthew przestał pić i do ostatnich niemal dni pracował bardzo pilnie. Williama zaskoczyła jego determinacja i wciąż musiał go temperować. Matthew był zawsze na bieżąco ze swoimi biurowymi sprawami i pod koniec dnia znajdował czas, aby, z przekory, przeglądać jeszcze korespondencję Williama. Wieczorami, przed kolacją, Matthew i William grali zazwyczaj w tenisa albo ścigali się na rzece w łódkach.

– Będę wiedział, że jestem martwy, kiedy nie będę cię już mógł pokonać – żartował Matthew.

Nie poszedł do szpitala, wolał zostać do końca w Czerwonym Domu. Czas płynął dla Williama bardzo wolno, a zarazem zbyt szybko. Kiedy budził się każdego ranka, jego pierwszą myślą było, czy Matthew jeszcze żyje.

Zmarł w czwartek, nie zdążywszy doczytać do końca *Przeminęło z wiatrem*. Zostało mu czternaście stron.

Pogrzeb odbył się w Nowym Jorku, a William i Kate zatrzymali się w domu Charlesa Lestera. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy stary bankier ogromnie się postarzał. Stojąc nad grobem żony i jedynaka

powiedział Williamowi, że nie widzi już dla siebie żadnego celu w życiu doczesnym. William nic na to nie odpowiedział; nie znał takich słów, które mogłyby pocieszyć zrozpaczonego ojca. William i Kate wrócili do Bostonu następnego dnia. Bez Matthew Czerwony Dom wydał się im dziwnie opustoszały. Ostatnie miesiące były dla Williama równocześnie najszczęśliwszym i najgorszym okresem w jego życiu. Między Williamem, Matthew i Kate wytworzyła się zażyłość tego rodzaju, jaka możliwa jest tylko w obliczu nieuchronnie zbliżającej się śmierci.

Kiedy William wrócił do banku po śmierci Matthew, miał ogromne trudności z przystosowaniem się na powrót do rytmu codziennych zajęć. Wciąż zrywał się z krzesła i ruszał w kierunku gabinetu Matthew, aby zasięgnąć jego rady albo z czegoś się z nim pośmiać lub po prostu upewnić się o jego obecności; ale przyjaciela już tam nie było. Upłynęło wiele tygodni, zanim William zapanował nad tym odruchem.

Tony Simmons okazywał mu wiele zrozumienia, ale na nic to się zdało. William stracił serce do interesów, a nawet zainteresowanie bankiem Kane'a i Cabota. Upłynęło wiele miesięcy, zanim zdołał uporać się z wyrzutami sumienia, jakie miał z powodu śmierci Matthew. Zdążył się przyzwyczaić do myśli, że on i Matthew dożyją późnej starości i będą dzielić wspólny los. Nikt się nie skarżył, że William nie przykłada się do pracy tak solidnie jak dawniej, ale nawet Kate martwiła się, widząc, jak mąż zamyka się na całe godziny w swoim pokoju.

Pewnego ranka obudziła się i zobaczyła, że William siedzi na brzegu łóżka i wpatruje się w jej twarz. Zamrugała zaspanymi oczyma.

– Czy coś się stało, kochanie?

– Nic. Po prostu przyglądam się mojemu najcenniejszemu skarbowi i powtarzam sobie, że mam go traktować jak dar.

22

Pod koniec roku 1932, kiedy Ameryka wciąż jeszcze tkwiła w głębokim kryzysie, Abel zaczął się trochę niepokoić o przyszłość Hoteli Baron. W ciągu dwóch ostatnich lat uległo likwidacji dwa tysiące banków, a każdego tygodnia zamykały swe podwoje następne. Dziewięć milionów Amerykanów pozostawało ciągle bez pracy, co miało ten plus, że Abel mógł zatrudniać u siebie personel o najwyższych kwalifikacjach. Mimo to w roku, w którym przewidywał zrównoważenie strat i zysków, hotele przyniosły siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów strat i Abel obawiał się, czy portfel i cierpliwość jego protektora nie wyczerpią się, zanim on zdoła odwrócić złą passę.

Zajął się czynnie polityką w okresie pomyślnie rozwijającej się kampanii wyborczej Antona Cermaka, który zabiegał o urząd burmistrza Chicago. Cermak namówił Abla do wstąpienia do Partii Demokratycznej, która zainicjowała zażartą kampanię przeciwko prohibicji; Abel z całym przekonaniem poparł Cermaka, gdyż prohibicja dała się mocno we znaki branży hotelarskiej. Fakt, że Cermak również był emigrantem, tyle że z Czechosłowacji, sprawił, że obaj natychmiast przypadli sobie do gustu. Abel był wniebowzięty, kiedy został wybrany delegatem na Konwencję Demokratyczną w Chicago, podczas której Cermak zawojował zgromadzone tłumy słowami: – „To prawda, że nie przybyłem do Ameryki na pokładzie *Mayflower*, ale zjawiłem się tu tak szybko, jak tylko było to możliwe”.

Na Konwencji Cermak przedstawił przyjaciela Franklinowi Delano Rooseveltowi, który wywarł na Ablu niezatarte wrażenie.

Wkrótce F. D. R wygrał bez trudu wybory prezydenckie i obsadził kandydatami z ramienia Partii Demokratycznej ważne stanowiska w całym kraju. Jednym z nowo wybranych radnych Chicago został Henry Osborne. Kiedy parę tygodni później Cermak zginął w Miami od kuli zamachowca przeznaczonej dla F. D. R., Abel postanowił poświęcić znaczną sumę pieniędzy i sporo swego czasu sprawie demokratów polskiego pochodzenia mieszkających w Chicago.

W roku 1933 grupa Hoteli Baron przyniosła tylko dwadzieścia trzy tysiące strat, a jeden z nich, Baron w Saint Louis, wykazał nawet niewielki zysk. Kiedy dwunastego marca prezydent Roosevelt wystąpił ze swoją pierwszą radiową pogadanką przy kominku, namawiając usilnie swoich rodaków, aby „raz jeszcze uwierzyli w Amerykę", ufność Abla wzrosła do tego stopnia, że postanowił otworzyć na nowo dwa hotele, które zamknął poprzedniego roku.

Zosia coraz częściej narzekała na ciągłą nieobecność męża, który często wyjeżdżał do Charleston i Mobile, gdzie przywracał do życia pogrążone w letargu hotele. Nigdy jej się nie marzyło, że Abel zostanie w życiu kimś więcej niż zastępcą dyrektora hotelu Stevens. Czuła, że na tym poziomie mogłaby mu jeszcze dotrzymać kroku. Jednak z każdym miesiącem kariera Abla nabierała coraz większego rozmachu i Zosia zdawała sobie sprawę, że jego ambicje zaczynają ją przerastać. Bała się, że wkrótce Abel zupełnie przestanie się nią interesować.

Coraz bardziej martwiło ją również to, że wciąż nie mają dzieci. Zasięgała porad lekarzy, którzy niezmiennie zapewniali ją, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby zaszła w ciążę. Jeden z nich wystąpił nawet z sugestią, że Abel powinien dać się zbadać, lecz Zosia odmówiła, świadoma, że samo poruszenie tego tematu Abel potraktowałby jako

próbę podważenia jego męskości. Wreszcie, kiedy problem stał się już tak nabrzmiały, że trudno było im o tym w ogóle rozmawiać, Zosia straciła okres. Z nadzieją odczekała jeszcze miesiąc, zanim zdecydowała się powiedzieć o tym Ablowi. Odwlekała też następną wizytę u lekarza, który – gdy końcu się u niego zjawiła – potwierdził jej przypuszczenia: nareszcie zaszła w ciążę. Ku wielkiej radości Abla w dniu Nowego Roku 1934 Zosia powiła córeczkę. Dziewczynka otrzymała imię Florentyna, po siostrze Abla. Abel ubóstwiał dziecko od pierwszej chwili i Zosia od razu zrozumiała, że już nie będzie na pierwszym miejscu w jego sercu. George'a i kuzynkę Zosi poproszono w kumy, a w wigilię chrztu Abel wydał uroczystą kolację, składającą się, zgodnie z polską tradycją, z dziesięciu dań. Dziecię otrzymało liczne prezenty, w tym piękny, starej roboty pierścień od protektora Abla. On zaś zrewanżował się swojemu dobroczyńcy z nawiązką, kiedy pod koniec roku Hotele Barona wykazały zysk sześćdziesięciu trzech tysięcy dolarów. Jedynie hotel w Mobile wciąż przynosił straty.

Po przyjściu na świat Florentyny Abel złapał się na tym, że teraz spędza w Chicago o wiele więcej czasu niż dawniej. Nasunęło mu to myśl, że najwyższy czas wznieść tu nowy hotel. Po Wystawie Światowej hotele w Chicago przeżywały okres wielkiej prosperity. Abel zamierzał uczynić ze swojego nowego hotelu „okręt flagowy" całej grupy i w ten sposób uczcić pamięć Davisa Leroya. Teren po dawnym chicagowskim Richmondzie na Michigan Avenue nadal był własnością spółki i chociaż Abel miał kilka ofert, nigdy nie dał się namówić na sprzedaż parceli, mając nadzieję, że któregoś dnia na tyle się wzbogaci, że będzie mógł odbudować hotel. Przedsięwzięcie wymagało kapitału i Abel postanowił przeznaczyć siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jakie w końcu otrzymał od Great

Western Casualty za spalony hotel, na rozpoczęcie prac budowlanych. Kiedy już wszystko obmyślił, powiadomił o swym zamiarze Curtisa Fentona, z jednym wszakże zastrzeżeniem: jeśli David Maxton nie życzy sobie konkurenta dla swojego Stevensa, to on gotów jest wycofać się z tych planów; według niego Maxtonowi się to należało. Kilka dni później Curtis Fenton zawiadomił go, że osoba popierająca go finansowo zachwycona jest planem wzniesienia hotelu Baron w Chicago.

Wybudowanie nowego hotelu zajęło Ablowi dwanaście miesięcy. Dokonał tego przy wydatnej pomocy radnego miejskiego Henry'ego Osborne'a, który błyskawicznie uporał się z uzyskaniem zezwoleń wymaganych przez władze miejskie Chicago. Otwarcia hotelu dokonał w 1936 roku burmistrz miasta Edward J. Kelly, który po śmierci Antona Cermaka stał się główną siłą napędzającą machinę wyborczą demokratów. Dla uczczenia pamięci Davisa Leroya postanowiono, że hotel ten nie będzie miał dwunastego piętra; tradycji tej Abel pozostawał wierny, wznosząc kolejne hotele.

Do dwóch tysięcy zgromadzonych gości mowy wygłosili obaj senatorzy ze stanu Illinois. Chicagowski Baron był budowlą wspaniałą, zarówno jeśli chodzi o projekt, jak i wykonanie. W sumie hotel kosztował Abla sporo ponad milion dolarów i na pierwszy rzut oka było widać, że nic z tego nie poszło na marne: obszerne, urządzone z przepychem sale recepcyjne z wysokimi stiukowymi sufitami, całe wykończenie utrzymane w przyjemnych dla oka, kojących pastelowych odcieniach zieleni; puszyste dywany. Duża, wypukła ciemnozielona litera „B" nie rzucała się w oczy, ale była wszechobecna, zdobiąc prawie wszystko: od flagi trzepoczącej na

dachu czterdziestodwupiętrowego gmachu po nieskazitelne klapy liberii najniższego rangą pikolaka.

– Ten hotel już nosi piętno sukcesu – powiedział J. Hamilton Lewis, starszy stażem senator z Illinois – ponieważ, drodzy przyjaciele, mówiąc o słynnym „Baronie w Chicago" ludzie zawsze będą mieli na myśli człowieka, a nie hotel. – Twarz Abla jaśniała nieskrywaną radością, kiedy dwutysięczny tłum głośnymi oklaskami skwitował słowa senatora.

Abel podziękował senatorowi w paru zgrabnie sformułowanych zdaniach, mówiąc tonem człowieka, który wie, ile jest wart, i został nagrodzony owacją na stojąco. Zaczynał czuć się całkiem swobodnie wśród wielkich biznesmenów i wysokich rangą polityków. Natomiast Zosi wydawało się, że nie pasuje do tego doborowego towarzystwa i trzymała się na uboczu: takie wielkie fety były nie dla niej. Ani nie rozumiała takiej potrzeby, ani jej nie zależało na sukcesach Abla na tak wielką skalę; i chociaż teraz stać ją było na bardzo drogie suknie, nadal nie umiała ubrać się modnie i odstawała od reszty towarzystwa, zdając sobie przy tym sprawę z tego, jak bardzo złości to Abla. W milczeniu przysłuchiwała się jego rozmowie z Henrym Osborne'em.

– To z pewnością punkt zwrotny w twoim życiu – powiedział Henry, poklepując Abla po plecach.

– Tak, rzeczywiście punkt zwrotny, właśnie stuknęła mi trzydziestka – powiedział Abel. Kiedy obejmował ramieniem Henry'ego Osborne'a, błysnęło światło flesza. Abel promieniał radością, odczuwając po raz pierwszy w życiu, jak przyjemnie być osobą publiczną. – Zamierzam rozciągnąć sieć Hoteli Baron na cały świat – powiedział na tyle głośno, aby usłyszał go reporter. – Będę

dla Ameryki tym, kim dla Europy był Cesar Ritz. Trzymaj się mnie, Henry, a nie pożałujesz.

23

Przy śniadaniu następnego ranka Kate zwróciła uwagę Williama na małą notatkę na siedemnastej stronie „The Boston Globe", poświęconą uroczystości otwarcia chicagowskiego hotelu Baron.

William uśmiechał się, czytając notatkę. Bank Kane'a i Cabota postąpił głupio, kiedy nie usłuchał rady, że warto udzielić finansowego poparcia Hotelom Richmond. Mimo że bank stracił na tej odmownej decyzji, William był rad, że jego własna ocena Rosnovskiego okazała się trafna. Uśmiechał się jeszcze szerzej, kiedy przeczytał, że do Abla przylgnął przydomek „Baron z Chicago". Wtem poczuł niemiły ucisk w dołku. Przyjrzał się jeszcze raz fotografii, ale nie mogło być mowy o pomyłce, zresztą podpis potwierdzał pierwsze wrażenie: „Abel Rosnovski, prezes grupy Hoteli Baron, w rozmowie z Mieczysławem Szymczakiem, jednym z dyrektorów rady nadzorczej Banku Rezerw Federalnych, i radnym miejskim Henrym Osborne'em".

William opuścił gazetę na stół i zamyślił się chwilę. Gdy tylko znalazł się w biurze, zatelefonował do Thomasa Cohena w kancelarii adwokackiej Cohen, Cohen i Yablons.

– Dawno nie mieliśmy od pana wieści – zaczął Thomas Cohen. – Z żalem dowiedziałem się o śmierci pańskiego przyjaciela, Matthew Lestera. Jak się miewa pańska żona i synek, Richard, jeśli dobrze pamiętam?

William podziwiał szybkość, z jaką Thomas Cohen potrafił przywołać w pamięci nazwiska i rodzinne koneksje swoich klientów.

– Tak, Richard. Oboje miewają się dobrze, dziękuję.

– Czym mogę panu służyć tym razem? – Thomas pamiętał również, że William potrafi znieść tylko jedno, dwa grzecznościowe zdania.

– Chciałbym za pana pośrednictwem wynająć kogoś godnego zaufania do zbadania pewnej sprawy. Nie chciałbym, aby przy tej okazji wypłynęło moje nazwisko. Raz jeszcze muszę zasięgnąć informacji na temat Henry'ego Osborne'a. Interesuje mnie wszystko, co robił od wyjazdu z Bostonu, a szczególnie, czy coś go łączy z Ablem Rosnovskim, właścicielem grupy Hoteli Baron.

Adwokat dopiero po dłuższej chwili odpowiedział:

– Tak.

– Czy mógłby mi pan dostarczyć tych informacji w ciągu tygodnia?

– Dwu, proszę pana, proszę o dwa tygodnie.

– A więc mogę liczyć, że za dwa tygodnie znajdę na moim biurku dokładne sprawozdanie?

– Tak jest, panie Kane.

Thomas Cohen jak zawsze, okazał się słowny i piętnaście dni później na biurku Williama znalazł się wyczerpujący raport na temat Osborne'a. William studiował dossier z wielką uwagą. Wyglądało na to, że Abla Rosnovskiego i Henry'ego Osborne'a nie łączą oficjalnie żadne interesy. Rosnovski najwyraźniej uznał, że znajomość z Osborne'em może ułatwić mu kontakty ze sferami życia politycznego, ale nic ponadto. Osborne od wyjazdu z Bostonu zmieniał posady jedna za drugą, lądując w końcu w centrali firmy ubezpieczeniowej Great Western Casualty. Najprawdopodobniej dzięki temu właśnie zetknął się z Ablem Rosnovskim, gdyż dawny hotel Richmond w

Chicago ubezpieczony był w tej firmie. Kiedy hotel spłonął, towarzystwo ubezpieczeniowe zrazu odmówiło wypłacenia odszkodowania. Niejaki Desmond Pacey, dyrektor hotelu, przyznał się do podpalenia i został skazany na dziesięć lat więzienia. Istniały podejrzenia, że Abel Rosnovski też mógł w tym maczać palce. Jednak niczego mu nie dowiedziono i firma ubezpieczeniowa zgodziła się wypłacić siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Z raportu wynikało, że Osborne jest obecnie radnym miejskim i bierze czynny udział w życiu politycznym skupiającym się wokół chicagowskiego Ratusza. Powszechnie było wiadomo, że marzy mu się fotel kongresmena z okręgu chicagowskiego. Niedawno temu poślubił pannę Marie Axton, córkę zamożnego właściciela firmy farmaceutycznej; jak na razie nie mają dzieci.

William przejrzał raport raz jeszcze, aby upewnić się, czy czegoś nie przeoczył, nawet jeśli miałby to być mało znaczący szczegół. Aczkolwiek wydawało się, że nic specjalnego nie łączy Henry'ego Osborne'a i Abla Rosnovskiego, to jednak William nie mógł się uwolnić od myśli, że zetknięcie się tych dwu ludzi, którzy go nienawidzą – z zupełnie odmiennych, co prawda, powodów – stanowi dla niego potencjalne zagrożenie. Wysłał czek Thomasowi Cohenowi, polecając mu uzupełnianie na bieżąco kartoteki. Jednak miesiące mijały, nie przynosząc nic nowego, i William przestał interesować się tą sprawą, doszedłszy do wniosku, że być może zareagował przesadnie na fotografię zamieszczoną w „Boston Globe".

Wiosną 1937 roku Kate urodziła Williamowi córeczkę, Virginię. William znów zmieniał pieluszki i był pod tak silnym urokiem „małej kobietki", że Kate co wieczór musiała spieszyć jej z odsieczą, gdyż inaczej dziecko nigdy by nie poszło spać. Richard, który miał teraz

dwa i pół roku, nie był specjalnie zachwycony pojawieniem się nowego członka rodziny, ale kojący wpływ czasu oraz nowy drewniany żołnierzyk na koniu uśmierzyły jego zazdrość.

Na koniec roku wydział, którym kierował William, przyniósł bankowi Kane'a i Cabota pokaźny profit. William ocknął się z letargu, w jakim pogrążył się po śmierci Matthew, i w szybkim tempie odzyskiwał swoją dawną reputację bankowca, który umie korzystnie lokować pieniądze klientów banku. Nawet szczwany spec od bankowości, niejaki Smith, przyznawał, że jedynie udoskonalił technikę wypracowaną przez Williama Kane'a z Bostonu. Poza tym mniej drażniło już Williama to, że jego zwierzchnikiem jest Tony Simmons. Niemniej jednak gdzieś na dnie duszy czaiła się obawa, że być może nie zostanie prezesem banku Kane'a i Cabota wcześniej niż za siedemnaście lat, kiedy Tony Simmons pójdzie na emeryturę. Zaczął się zastanawiać, czy nie warto by rozejrzeć się za posadą w jakimś innym banku.

William i Kate mniej więcej raz w miesiącu, podczas weekendu, składali wizytę Charlesowi Lesterowi w Nowym Jorku. Ten czcigodny człowiek bardzo się postarzał w ciągu trzech lat, jakie minęły od śmierci Matthew, i w kręgach finansjery krążyły pogłoski, że zupełnie stracił zainteresowanie swoją pracą i rzadko bywa w banku. William obawiał się, że starzec już długo nie pożyje, i rzeczywiście, parę tygodni później Charles Lester zmarł. William udał się do Nowego Jorku na pogrzeb. Nie zabrakło tam nikogo, był nawet wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, John Nance Garner. Po pogrzebie William i Kate wrócili do Bostonu z niejasnym poczuciem, że oto zerwane zostało ostatnie ogniwo łączące ich z rodziną Lesterów.

Około pół roku później William otrzymał list od Sullivana i Cromwella, szacownej nowojorskiej kancelarii adwokackiej, z pytaniem, czy byłby uprzejmy pofatygować się do ich biura przy Wall Street, aby uczestniczyć przy otwarciu testamentu świętej pamięci Charlesa Lestera. William udał się tam bardziej z poczucia lojalności wobec rodziny Lesterów niż z ciekawości, co Charles Lester mógł mu zapisać. Liczył na jakąś drobną pamiątkę po Matthew, którą mógłby umieścić obok „Wiosła z Harvardu", wciąż ozdabiającego ścianę pokoju gościnnego w Czerwonym Domu. Cieszył się też na myśl, że odnowi znajomość z licznymi członkami rodziny Lesterów, których poznał podczas wspólnie spędzanych z Matthew wakacji, najpierw w latach szkolnych, a potem uniwersyteckich.

William pojechał do Nowego Jorku swoim świeżo nabytym daimlerem w przeddzień otwarcia testamentu i zatrzymał się na noc w Klubie Harvardczyków. Odczytanie testamentu miało odbyć się o dziesiątej rano i kiedy William zjawił się w biurze Sullivana i Cromwella, stwierdził z zaskoczeniem, że zebrało się tam już ponad pięćdziesiąt osób. Gdy wszedł do pokoju, wiele z nich skierowało na niego wzrok, on zaś przywitał się z kilkoma ciotkami, które mocno się postarzały od czasu, kiedy je ostatnio widział; pomyślał, że z pewnością to samo sądzą o nim. Szukał wzrokiem siostry Matthew, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Punktualnie o dziesiątej do pokoju wkroczył Arthur Cromwell w towarzystwie aplikanta niosącego brązową skórzaną teczkę. Wszyscy zamilkli w pełnym nadziei oczekiwaniu. Adwokat zaczął od wyjaśnienia potencjalnym spadkobiercom, że treść testamentu zostaje ujawniona dopiero teraz, sześć miesięcy po śmierci pana Charlesa Lestera, na jego wyraźne polecenie: ponieważ nie miał syna, któremu mógłby zostawić

majątek, chciał, aby przed ogłoszeniem jego ostatniej woli opadły wpierw emocje wywołane jego śmiercią.

William rozglądał się po pełnych napięcia twarzach słuchaczy, którzy zawiśli wzrokiem na ustach adwokata, łowiąc każde jego słowo. Odczytanie testamentu zabrało Arthurowi Cromwellowi prawie godzinę. Po wymienieniu zwyczajowych w takich okazjach zapisów na rzecz familiantów, towarzystw dobroczynnych i Uniwersytetu Harvarda Cromwell oznajmił, że Charles Lester podzielił swój osobisty majątek między wszystkich swoich krewnych w zależności od stopnia pokrewieństwa. Jego córka Susan otrzymała najpokaźniejszą część schedy, pięciu zaś siostrzeńców i bratanków oraz trzy siostrzenice – po równej części z tego, co pozostało. Pieniądze i akcje miały pozostać w zarządzie banku aż do ukończenia przez nich trzydziestego roku życia. Kilkoro kuzynów, kuzynek, ciotek i dalszych krewnych miało otrzymać sumy w gotówce płatne natychmiast.

William był zaskoczony, kiedy pan Cromwell oznajmił:

– I to załatwiałoby sprawę wszystkich znanych aktywów pozostawionych w spadku przez świętej pamięci Charlesa Lestera.

Zgromadzeni zaczęli wiercić się na swoich krzesłach. Rozległ się głośny szmer nerwowo wymienianych uwag. Żadna z obecnych tam osób nie chciała przyznać, że nieszczęście, jakim była śmierć Charlesa Lestera, dla niej okazało się trafem całkiem szczęśliwym.

– Na tym jeszcze nie kończą się dyspozycje zawarte w ostatniej woli pana Charlesa Lestera – kontynuował z niezmąconym spokojem pan Cromwell i wszyscy umilkli znów zaniepokojeni, że usłyszą zaraz jakąś niemiłą i nieoczekiwaną rewelację. – A teraz – mówił prawnik – odczytam słowa samego Charlesa Lestera: „Zawsze uważałem, że

jacy pracownicy, taki bank i jego renoma. Było rzeczą powszechnie znaną, że miałem nadzieję, iż mój syn Matthew zajmie po mnie miejsce prezesa banku, lecz przeszkodziła temu jego tragiczna, przedwczesna śmierć. Do tej pory nie zdradziłem nazwiska człowieka, którego wybrałem na swego następcę. Zatem pragnę teraz oznajmić, że moim życzeniem jest, aby William Lowell Kane, syn jednego z moich najlepszych przyjaciół, śp. Richarda Lowella Kane'a, obecnie wiceprezes rady nadzorczej banku Kane'a i Cabota, został na najbliższym plenarnym posiedzeniu mianowany prezesem rady nadzorczej Towarzystwa Bankowego i Powierniczego Lestera".

Wybuchła wrzawa. Wszyscy rozglądali się wokół, szukając tajemniczego Williama Lowella Kane'a, o którym poza najbliższą rodziną Lesterów prawie nikt nie słyszał.

– Jeszcze nie skończyłem – powiedział ledwie słyszalnym głosem Arthur Cromwell.

Znów zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Zebrani, oczekując kolejnego gromu z nieba, wymieniali strwożone spojrzenia.

Adwokat mówił dalej:

– „Wszystkie przedstawione powyżej zapisy i podział udziałów Towarzystwa Bankowego i Powierniczego Lestera będą ważne wyłącznie pod warunkiem, że obdarowani będą głosować za kandydaturą pana Kane'a na najbliższym dorocznym zgromadzeniu rady nadzorczej i następnie w ciągu co najmniej kolejnych pięciu lat, jeśli pan Kane sam nie zrezygnuje ze stanowiska prezesa".

Znów zrobił się szum. William miał ochotę uciec do mysiej dziury i sam już nie wiedział, czy szaleńczo cieszyć się z zapisu, czy też martwić, że oto stał się najbardziej znienawidzonym człowiekiem w tych czterech ścianach.

– Na tym sprawę testamentu i ostatniej woli świętej pamięci Charlesa Lestera możemy uznać za zakończoną – powiedział Cromwell, ale słyszeli go już tylko siedzący w pierwszym rzędzie krzeseł.

William rozejrzał się wokół. W jego kierunku szła Susan Lester. Nie miała już pucołowatej twarzyczki dziecka, ale zachowała pociągające piegi. Uśmiechnął się, ale ona przeszła obok, jakby był powietrzem. William zasępił się.

Nie zważając na cały ten zgiełk, do Williama zbliżył się szybkimi krokami wysoki, siwowłosy mężczyzna w garniturze w prążki i srebrzystym krawacie.

– To pan jest tym Williamem Kane'em, jeśli się nie mylę?

– Tak, to ja – odpowiedział William głosem zdradzającym zdenerwowanie.

– Nazywam się Peter Parfitt – powiedział nieznajomy.

– Jest pan wiceprezesem rady nadzorczej banku?

– Zgadza się – odparł Parfitt – nie znam pana, ale nie jest mi obca pańska doskonała reputacja i zaliczam siebie do szczęśliwców, którzy mieli zaszczyt znać pańskiego szacownego ojca. Skoro Charles Lester uznał, iż jest pan właściwym człowiekiem na stanowisko prezesa rady nadzorczej banku Lestera, to taka rekomendacja zupełnie mi wystarcza.

Jeszcze nigdy w życiu nie doznał William tak wielkiej ulgi.

– Gdzie się pan zatrzymał w Nowym Jorku? – zapytał Peter Parfitt, zanim William zdążył cokolwiek powiedzieć.

– W Klubie Harvardczyków.

– Doskonale. Jeśli wolno spytać: czy jest pan może wolny dziś wieczór?

– Zamierzałem wrócić jeszcze dzisiaj do Bostonu – powiedział William – ale w tej sytuacji chyba będę musiał zostać parę dni w Nowym Jorku.

– Świetnie. Może więc wpadłby pan do mnie do domu na kolację, powiedzmy około ósmej? – Bankier wręczył Williamowi swoją wizytówkę z wytłoczonym pięknie wykaligrafowanym adresem. – Z wielką przyjemnością pogawędzę z panem w bardziej przyjaznym otoczeniu.

– Dziękuję – powiedział William, chowając wizytówkę. Dokoła niego zaczęli gromadzić się ludzie. Jedni mu się przyglądali z wyraźną niechęcią, inni czekali, aby złożyć mu gratulacje.

Kiedy wreszcie udało mu się wymknąć i wrócić do Klubu Harvardczyków, przede wszystkim zatelefonował do Kate i podzielił się z nią nowiną.

Kate powiedziała łagodnym głosem:

– Matthew byłby temu bardzo rad, kochanie.

– Wiem – powiedział William.

– Kiedy wracasz do domu?

– Bóg jeden wie. Jestem zaproszony na kolację do pana Petera Parfitta, wiceprezesa rady nadzorczej banku Lestera. Wyciągnął do mnie pomocną dłoń, dzięki niemu poczułem się pewniej. Będę nocował w klubie, a jutro w ciągu dnia zadzwonię i powiem ci, jak sprawy się układają.

– Dobrze, kochanie.

– Na Wschodnim Wybrzeżu bez zmian?

– Niezupełnie. Virginii wyrżnął się ząb i mała uważa chyba, że należą się jej jakieś specjalne względy. Richard zachował się

niegrzecznie wobec niani i pomaszerował wcześniej do łóżeczka, a w ogóle to wszyscy za tobą tęsknimy.

William roześmiał się.

– Zadzwonię do ciebie jutro.

– Zadzwoń koniecznie. Aha, byłabym zapomniała: moje gratulacje. Popieram wybór Charlesa Lestera, choć wiem, że niechętnie przeniosę się do Nowego Jorku.

Dopiero w tej chwili William sobie uzmysłowił, że będzie musiał zamieszkać w Nowym Jorku.

O ósmej William przybył do domu Petera Parfitta na Wschodniej Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy i z zaskoczeniem stwierdził, że jego gospodarz wystroił się we frak. Czuł się więc zakłopotany i nie na miejscu w swoim ciemnym, typowo bankierskim ubraniu. Pospieszył wyjaśnić gospodyni, że początkowo zamierzał wracać tego samego dnia do Bostonu. Diana Parfitt, jak się okazało druga żona Parfitta, była nadzwyczaj miła dla gościa i nie ukrywała zachwytu, że William zostanie zwierzchnikiem banku Lestera. W czasie wybornej kolacji William rozochocił się i zapytał Petera Parfitta, jak według niego na ostatnie życzenie Charlesa Lestera zareagują pozostali członkowie rady nadzorczej.

– Wszyscy się do niego zastosują – odparł Parfitt. – Już rozmawiałem z większością. W poniedziałek odbędzie się walne zebranie, na którym ma zostać zatwierdzona pańska nominacja, i widzę tylko jedną małą chmurkę na horyzoncie.

– Co ma pan na myśli? – zapytał William, starając się nie okazać zaniepokojenia.

– No cóż, między nami mówiąc, drugi wiceprezes, Ted Leach, spodziewał się, że to raczej on zostanie nowym prezesem rady nadzorczej i dyrektorem banku. Powiedziałbym nawet, że był tego pewien. Poinformowano nas wszystkich, że mianowanie nowego prezesa będzie możliwe dopiero po otwarciu testamentu, ale ostatnia wola Charlesa Lestera musiała być dla Teda niemałym szokiem.

– Czy będzie stawiał opór? – zapytał William.

– Obawiam się, że to możliwe, ale nie ma pan powodu do niepokoju.

– Przyznam – powiedziała Diana Parfitt, przyglądając się badawczym wzrokiem nieco oklapniętemu sufletowi, który właśnie przed nią postawiono – że nigdy za nim nie przepadałam.

– Daj spokój, kochanie – powiedział Parfitt z przyganą – nie powinniśmy obgadywać Teda, niechże pan Kane wpierw wyrobi sobie o nim własne zdanie. Nie wątpię, że w poniedziałek rada nadzorcza potwierdzi nominację pana Kane'a, i całkiem możliwe, że Ted Leach złoży rezygnację.

– Nie chciałbym, aby ktokolwiek czuł się zmuszony do rezygnacji z mojego powodu – powiedział William.

– To bardzo pięknie z pana strony – powiedział Parfitt. – Ale niech pan nie zwraca zbytniej uwagi na warknięcia ratlerka. Jestem przekonany, że wszystko pójdzie dobrze. Niech pan spokojnie wraca jutro do Bostonu, a ja będę pana informował, co piszczy w trawie.

– Może byłoby rozsądniej, gdybym wpadł jutro rano do banku? Czy nie sądzi pan, że pańscy koledzy będą trochę zdziwieni, że nie próbuję się z nimi zapoznać?

– Nie, nie sądzę, aby w tej sytuacji było to pożądane. Uważam raczej, że mądrzej będzie nie wchodzić im w drogę, póki nie odbędzie

się poniedziałkowe zebranie rady nadzorczej. Lepiej zostawić ich w przekonaniu, że mają coś do powiedzenia, już i tak czują się pewnie teraz jak marionetki. Słuchaj mojej rady, Bill, i wracaj do Bostonu, a ja w poniedziałek przed południem zadzwonię i upewnię cię, że wszystko gra.

William, choć niechętnie, zaakceptował jednak radę Petera Parfitta i resztę wieczoru spędził beztrosko, zastanawiając się ze swoimi gospodarzami, gdzie wraz z Kate mogliby się zatrzymać w Nowym Jorku, dopóki nie znajdą odpowiedniego domu. Williama trochę zdziwiło, że Peter Parfitt nie przejawiał wcale chęci zaprezentowania swych opinii na tematy bankowe i doszedł do przekonania, że powodem jest zapewne obecność Diany. Wieczór okazał się bardzo udany, tyle że polało się trochę za dużo brandy i William zjawił się w Klubie Harvardczyków dopiero po pierwszej w nocy.

Natychmiast po powrocie do Bostonu William opowiedział Tony'emu Simmonsowi o szansie, jaka otworzyła się przed nim w Nowym Jorku, gdyż nie chciał, aby ten usłyszał o jego nominacji od kogoś innego. Kwaśna mina Tony'ego zaskoczyła go.

– Żałuję, że zamierzasz nas opuścić, Williamie. Bank Lestera może być sobie dwa albo trzy razy większy od Kane'a i Cabota, ale ja wiem, że nie znajdę nikogo, kto mógłby cię zastąpić. Mam nadzieję, że dobrze się zastanowisz, zanim przyjmiesz to stanowisko.

William był zaskoczony i tego nie ukrywał.

– Doprawdy, Tony, dałbym sobie rękę uciąć, że chętnie byś się mnie pozbył.

– Williamie, dlaczego nie chcesz mi nigdy wierzyć, że interes banku stawiam zawsze na pierwszym miejscu i że nigdy nie miałem

najmniejszej wątpliwości, iż jesteś jednym z najlepszych specjalistów w dziedzinie lokowania kapitału w dzisiejszej Ameryce? Jeśli teraz odejdziesz od nas, wielu najpoważniejszych klientów Kane'a i Cabota pójdzie za tobą.

– Wcale nie mam zamiaru przenosić swoich pieniędzy do banku Lestera – rzekł William – ani nie spodziewam się, że jakiś klient naszego banku odejdzie wraz ze mną.

– Oczywiście, wiem, że nie będziesz nikogo namawiał, ale niektórzy będą woleli, abyś nadal sprawował pieczę nad ich pakietami akcji. Oni tak jak twój ojciec i Charles Lester wierzą, i słusznie, że o banku stanowią ludzie i dobra reputacja.

William i Kate spędzili weekend w napięciu, czekając na rezultaty poniedziałkowego posiedzenia rady nadzorczej w Nowym Jorku. W poniedziałek William, podekscytowany, cały ranek tkwił w swoim biurze odbierając osobiście wszystkie telefony, ale nadeszło popołudnie, a wiadomości jak nie było, tak nie było. Nie wyszedł nawet na lunch. Peter Parfitt zadzwonił dopiero po szóstej.

– Niestety, zaszły nieprzewidziane przeszkody, Bill – zaczął.

Serce Williama zamarło.

– Nie ma się jednak o co martwić, bo sądzę, że dalej mam tu coś do powiedzenia, tyle tylko, że rada nadzorcza pragnie skorzystać z przysługującego jej prawa zaproponowania swojego własnego kandydata. Niektórzy posunęli się nawet do tego, że przedstawili opinie prawne, z których wynika, że odnośny fragment testamentu Charlesa Lestera nie ma mocy prawnej. Obarczono mnie niewdzięczną misją zapytania cię, czy byłbyś gotów stanąć do rywalizacji z kandydatem rady nadzorczej i zdać się na wynik głosowania.

– Kto byłby kandydatem rady? – zapytał William.

– Nie wymieniono dotąd żadnych nazwisk, ale sądzę, że wybór padnie na Teda Leacha. Nikt inny nie zdradza choćby najmniejszej ochoty występowania przeciwko tobie.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć – odparł William. – Kiedy odbędzie się następne zebranie rady?

– Od dziś za tydzień – powiedział Parfitt. – Ale naprawdę nie przejmuj się Tedem Leachem, nadal jestem przekonany, że wygrasz bez trudu, a ja przez ten tydzień będę cię informował o sytuacji.

– Czy chcesz, żebym przyjechał do Nowego Jorku, Peter?

– Nie, na razie nie. Nic by to nie dało.

William podziękował i odłożył słuchawkę. Spakował swoją starą skórzaną teczkę i wyszedł z biura w nie najlepszym nastroju. Na parkingu natknął się na Tony'ego Simmonsa, który niósł w ręku walizkę.

– Nie wiedziałem, że wyjeżdżasz, Tony.

– Jadę na comiesięczny bankiet bankierów w Nowym Jorku. Wracam jutro po południu. Myślę, że śmiało mogę zostawić bank na dwadzieścia cztery godziny w rękach przyszłego szefa banku Lestera.

William się zaśmiał.

– Może jestem już eks-szefem – powiedział i przedstawił Tony'emu, jaki obrót przybrały sprawy. I znów jego reakcja była dla Williama zaskoczeniem.

– To prawda, że Ted Leach miał zawsze nadzieję, że zostanie następnym prezesem banku Lestera – myślał na głos Tony. – W kręgach finansowych to rzecz powszechnie znana. Ale ten człowiek

był zawsze lojalnym pracownikiem banku i nie wierzę, aby sprzeciwił się wyraźnemu życzeniu Charlesa Lestera.

– Nawet nie wiedziałem, że znasz Leacha – powiedział William.

– Niezbyt dobrze – powiedział Tony. – Był o rok wyżej ode mnie w Yale, a teraz widuję go od czasu do czasu na tych cholernych bankietach dla bankierów, w których ty też będziesz musiał uczestniczyć, kiedy zostaniesz prezesem. Z pewnością będzie tam dziś wieczór. Jeśli chcesz, mogę z nim pogadać.

– Zgoda, porozmawiaj z nim, ale ostrożnie, dobrze?

– Drogi Williamie, od dziesięciu lat powtarzasz mi, że jestem o wiele za ostrożny.

– Wybacz, Tony. Zabawne, że kiedy w grę wchodzą nasze własne sprawy, z miejsca tracimy zdolność trzeźwego osądu, choćbyśmy w sprawach innych ludzi potrafili wykazywać największą przenikliwość. Składam mój los w twoje ręce i postąpię według twoich rad.

– Więc dobrze, zdaj się na mnie. Zobaczę, co Leach myśli o całej sprawie i zadzwonię do ciebie z samego rana.

Tony zatelefonował z Nowego Jorku parę minut po północy i wyrwał Williama z głębokiego snu.

– Obudziłem cię, Williamie?

– Tak, kto mówi?

– Tony Simmons.

William zapalił nocną lampkę po swojej stronie małżeńskiego łoża i spojrzał na budzik. Było dziesięć po dwunastej.

– No tak, powiedziałeś przecież, że zadzwonisz z samego rana…

Tony zaśmiał się.

– Boję się, że to, co ci teraz powiem, wcale nie będzie takie zabawne. Facet, który sprzeciwia się, żebyś został szefem banku Lestera, nazywa się Peter Parfitt.

– Co takiego?! – spytał William, który nagle oprzytomniał.

– Za twoimi plecami zabiegał o poparcie rady nadzorczej dla swojej kandydatury. Ted Leach, tak jak przypuszczałem, opowiada się za tobą, ale rada jest teraz wyraźnie podzielona na dwa obozy.

– Do diabła. Po pierwsze, dziękuję, Tony. A po drugie, co mam teraz zrobić?

– Jeśli chcesz zostać dyrektorem generalnym banku Lestera i prezesem jego rady nadzorczej, to lepiej pakuj manatki i przyjeżdżaj tu jak najszybciej, zanim członkowie rady nadzorczej zaczną się zastanawiać, dlaczego się ukrywasz w Bostonie.

– Ukrywam się?

– To właśnie Parfitt stara się wmówić członkom rady od kilku dni.

– Sukinsyn!

– Skoro już padło to słowo, to rzeczywiście nie ręczyłbym za jego dobre pochodzenie – powiedział Tony.

William się roześmiał.

– Przyjedź więc i zatrzymaj się w Klubie Absolwentów Yale.

Moglibyśmy wtedy z samego rana omówić całą sprawę.

– Postaram się tam być jak najprędzej – powiedział William.

– Może będę jeszcze spał, więc tym razem ty mnie obudzisz.

William odłożył słuchawkę i spojrzał na Kate, która pozostawała w błogiej nieświadomości jego nowych kłopotów. Nie zbudziła się, kiedy rozmawiał przez telefon. Dużo by dał, żeby mieć taki mocny sen. Wystarczało, że wiatr lekko poruszył firanką, a już się budził. Z

pewnością przespałaby drugie przyjście Chrystusa. Napisał parę słów wyjaśnienia i położył karteczkę na nocnym stoliku Kate. Ubrał się, spakował – tym razem zabrał również smoking – i udał się w drogę do Nowego Jorku.

Szosy były puste i swoim nowym daimlerem pokonał drogę w pięć godzin. Do Nowego Jorku wjechał, gdy na nogach byli już nowojorscy zamiatacze ulic, listonosze, chłopcy roznoszący gazety, wstało także słońce. Kiedy zameldował się w Klubie Absolwentów Yale, zegar w hallu uderzył raz – był kwadrans po szóstej. Rozpakował się w swoim pokoju i postanowił poczekać jeszcze godzinę z budzeniem Tony'ego. Zaraz potem usłyszał natarczywe pukanie do drzwi. Rozespany podniósł się z łóżka, aby otworzyć. W progu stał Tony Simmons.

– Masz ładny szlafrok, Williamie – powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. Sam był już ubrany do wyjścia.

– Chyba zasnąłem. Poczekaj chwileczkę, zaraz będę gotowy – powiedział William.

– Nie, nie. Muszę zdążyć na pociąg do Bostonu. Możemy rozmawiać, kiedy będziesz brał prysznic i ubierał się.

William wszedł do łazienki, zostawiając uchylone drzwi.

– Twoją najtrudniejszą przeszkodą… – zaczął Tony.

William wysunął głowę zza drzwi:

– Nie słyszę cię, kiedy leci woda.

Tony poczekał, aż ustał szum wody.

– Twoją główną przeszkodą jest Peter Parfitt. Był absolutnie przekonany, że zostanie następnym prezesem i że to jego nazwisko znajdzie się w testamencie Charlesa Lestera. Od samego początku starał się nastawić radę nadzorczą przeciwko tobie, prowadząc zakulisową politykę. Ted Leach może wprowadzić cię w szczegóły,

jeśli chciałbyś spotkać się z nim dziś na lunchu w klubie Metropolitan. Być może przyprowadzi ze sobą dwóch albo trzech członków rady nadzorczej, na których możesz liczyć. Jednak rada chyba nadal podzielona jest równo na dwa obozy.

William zaciął się brzytwą.

– Niech to diabli... W jakim klubie?

– W Metropolitan na Wschodniej Sześćdziesiątej Ulicy, tuż przy Piątej Alei.

– Dlaczego tam, a nie gdzieś na Wall Street?

– Posłuchaj, Williamie, kiedy ma się do czynienia z facetami pokroju Petera Parfitta, to nie trąbi się na cały świat o swoich zamiarach. Wytęż mózgownicę i rozegraj tę sprawę na chłodno. Z tego, co powiedział mi Leach, wywnioskowałem, że możesz jeszcze wygrać.

William wrócił do pokoju przepasany ręcznikiem.

– Spróbuję – powiedział. – To znaczy, spróbuję rozegrać to na chłodno.

Tony uśmiechnął się.

– No, muszę już wracać do Bostonu. Mój pociąg odjeżdża z Grand Central za dziesięć minut. – Spojrzał na zegarek. – O cholera, za sześć. – Zatrzymał się jeszcze przy drzwiach. – Wiesz, twój ojciec nigdy nie ufał Peterowi Parfittowi. Zanadto przymilny, zwykł mawiać. Tylko tyle: zanadto przymilny. – Podniósł walizkę. – Powodzenia, Williamie.

– Jak ja ci się odwdzięczę, Tony?

– Nie ma za co. Przypuśćmy, że staram się zrehabilitować za swoje okropne zachowanie wobec Matthew.

Spoglądając na drzwi, które zamknęły się za Tonym Simmonsem, William zapiął kołnierzyk koszuli i poprawił krawat. Jakie to dziwne, pomyślał, że tyle lat przepracował z Tonym Simmonsem, ale tak naprawdę wcale go nie znał, a teraz, w ciągu zaledwie paru dni kryzysowej sytuacji, polubił i zaufał człowiekowi, którego właściwie nigdy nie dostrzegał. Zszedł do sali restauracyjnej i zjadł typowe klubowe śniadanie: jajko na twardo, grzankę z masłem i dżemem pomarańczowym, który przyniesiono mu z innego stolika. Portier podał mu egzemplarz „Wall Street Journal", w którym donoszono, że po ogłoszeniu nominacji Williama Kane'a na zwierzchnika banku Lestera sytuacja w tej instytucji nadal pozostaje niejasna. Wyglądało na to, że na szczęście prasa nie dysponuje żadnymi poufnymi informacjami.

William wrócił do swojego pokoju i poprosił o połączenie z numerem w Bostonie. Czekał parę minut, zanim ktoś się wreszcie odezwał.

– Bardzo pana przepraszam. Nie wiedziałem, że to pan jest na linii. Proszę przyjąć gratulacje w związku z pańską nominacją na stanowisko dyrektora banku Lestera. Mam nadzieję, że w przyszłości będzie pan częstym gościem naszego nowojorskiego biura.

– To będzie zależeć od pana.

– Przyznaję, że nie całkiem rozumiem – odparł Cohen.

William wyjaśnił mu, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni, i przeczytał mu odnośny fragment testamentu Charlesa Lestera.

Thomas Cohen potrzebował paru chwil, aby zanotować sobie każde słowo, a potem raz jeszcze sprawdzić poczynione notatki.

– Czy myśli pan, że sąd uzna ostatnią wolę Charlesa Lestera za wiążącą? – zapytał William.

– Kto wie? Jakoś nie przychodzi mi do głowy żaden stosowny precedens. W dziewiętnastym wieku pewien poseł do parlamentu zapisał komuś w spadku swój okręg wyborczy, nikt nie zgłosił sprzeciwu i spadkobierca został później premierem. Ale to było ponad sto lat temu i na dodatek w Anglii. W tym wypadku, gdyby rada nadzorcza chciała obalić ten punkt testamentu, a pan oddałby sprawę do sądu, to byłbym w kropce, nie potrafiłbym przewidzieć, ku czemu skłoni się sędzia. Lord Melbourne nie miał do czynienia z sądem okręgu nowojorskiego. A swoją drogą, mamy tu prawną łamigłówkę, co się zowie.

– Co by mi pan radził? – zapytał William.

– Jestem Żydem, proszę pana. Przybyłem do tego kraju na pokładzie statku z Niemiec na przełomie wieku i zawsze musiałem ciężko walczyć o wszystko, co chciałem osiągnąć. Czy bardzo panu zależy na tym stanowisku?

– Tak, bardzo.

– Niech więc pan posłucha starego człowieka, który znając pana od tylu lat, ma dla pana nie tylko wiele szacunku, ale i prawdziwej sympatii. Otóż powiem panu, co ja bym zrobił znalazłszy się w pańskim położeniu.

Godzinę później William odłożył słuchawkę i, ponieważ miał jeszcze trochę czasu, postanowił przejść się po Park Avenue. Po drodze minął wielki plac z daleko już zaawansowaną budową. Na ogromnej, starannie wykonanej planszy widniały słowa: „Wkrótce otwarcie nowego hotelu Baron w Nowym Jorku. Jeśli raz zagościsz u Barona, zawsze tam wrócisz”. William uśmiechnął się pierwszy raz

tego ranka i już bardziej sprężystym krokiem skierował się ku klubowi Metropolitan.

Ted Leach, niski, zażywny mężczyzna o ciemnokasztanowych włosach, z krótko przystrzyżonym wąsem, stał już w hallu, czekając na Williama, i zaraz zaprowadził go do baru. William podziwiał renesansowy wystrój klubu zbudowanego przez Ottona Kuhna i Stanforda White'a w 1894 roku. Ufundował go J. P. Morgan, kiedy Union League odmówiła przyjęcia w poczet członków jednego z jego najbliższych przyjaciół.

– Niezwykle szeroki gest, nawet jeśli uczyniony dla najbliższego przyjaciela – zauważył Ted Leach, żeby nawiązać rozmowę. – Czego się pan napije?

– Wytrawna sherry, jeśli można.

Młodziutki kelner w zgrabnie skrojonym błękitnym uniformie wrócił chwilę później z sherry i szkocką whisky z wodą. Pana Leacha nie musiał pytać, co zamawia.

– Za zdrowie następnego prezesa rady nadzorczej banku Lestera – powiedział Ted Leach, wznosząc swoją szklaneczkę.

William zawahał się.

– Niech pan nie pije tego toastu. Jak wiadomo, nigdy nie należy pić za spełnienie swoich życzeń.

William roześmiał się, nie bardzo wiedząc, co na to powiedzieć.

Parę minut później zbliżyło się do nich dwóch starszych mężczyzn. Obaj byli wysocy i najwyraźniej czuli się znakomicie w swoich bankierskich garniturach z kamizelkami, w sztywnych kołnierzykach i ciemnych, gładkich krawatach. Gdyby William zobaczył ich na Wall Street, na pewno by się za nimi nie obejrzał. W klubie Metropolitan przyglądał im się z dużą uwagą.

– Pan Alfred Rodgers i pan Winthrop Davies – dokonał prezentacji Ted Leach.

William uśmiechnął się dosyć powściągliwie, wciąż niepewny, kto jest po czyjej stronie. Dwaj panowie przyglądali się mu nie mniej uważnie. Przez chwilę panowało milczenie.

– Od czego zaczniemy? – zapytał mężczyzna, który nazywał się Rodgers, przy czym monokl zsunął mu się z oka.

– Od lunchu na piętrze – odparł Ted Leach.

Trzej dżentelmeni odwrócili się i ruszyli w dobrze sobie znanym kierunku. William podążył za nimi. Sala restauracyjna na pierwszym piętrze była obszerna, również tu sufit był wspaniały, wysoki. Maître d'hôtel zaprowadził ich do stolika przy oknie wychodzącym na Central Park. Tutaj mogli rozmawiać swobodnie.

– Zamówmy coś, zanim przystąpimy do rozmowy – zaproponował Ted Leach.

Ze swojego miejsca William miał widok na hotel Plaza. W jego pamięci odżyło wspomnienie uroczystego podwieczorku z okazji ukończenia studiów w towarzystwie babek i Matthew. Było jeszcze coś, co usiłował sobie przypomnieć z tamtego popołudnia.

– Zagrajmy w otwarte karty – powiedział Ted Leach. – Wyznaczenie pana na stanowisko szefa banku Charlesa Lestera było dla nas, delikatnie mówiąc, niespodzianką. Lecz gdyby rada nadzorcza zignorowała jego życzenie, w banku mógłby zapanować chaos, czego nikt z nas oczywiście nie pragnie. Pan Lester był mądrym starym człowiekiem i z pewnością miał swoje powody, życząc sobie, aby to pan został jego następcą. Mnie to zupełnie wystarcza.

William słyszał już raz te słowa – od Petera Parfitta.

– My trzej – powiedział Winthrop Davies, który przejął pałeczkę – wszystko, co mamy, zawdzięczamy Charlesowi Lesterowi i gotowi jesteśmy spełnić jego życzenie, nawet gdyby miało to nas kosztować utratę członkostwa w radzie nadzorczej.

– I tak właśnie może się stać – powiedział Ted Leach – jeśli Peter Parfitt dopnie swego.

– Przykro mi, panowie – powiedział William – że spowodowałem tyle zamieszania. Jeśli moja kandydatura była dla was zaskoczeniem, to mogę panów zapewnić, że na mnie spadło to jak grom z jasnego nieba. Spodziewałem się jakiejś drobnej pamiątki po Matthew, ale nie tego, że Charles Lester obarczy mnie misją pokierowania bankiem.

– Rozumiemy pańską sytuację – powiedział Ted Leach – a pan musi nam zaufać, że przyszliśmy tu, aby pomóc. Zdajemy sobie sprawę, że nie przyjdzie to panu łatwo po tym, jak potraktował pana Peter Parfitt i po jego machinacjach za pańskimi plecami, aby przejąć stanowisko dla siebie.

– Muszę panom wierzyć, gdyż nie mam innego wyboru, jak złożyć swój los w ręce panów i wysłuchać ich opinii o całej tej sprawie.

– Dziękujemy – powiedział Leach. – Sprawa jest według mnie jasna. Peter Parfitt dobrze zorganizował swoją kampanię i jest przekonany, że nikt mu teraz nie może zagrozić. My więc, proszę pana, musimy być ze sobą całkiem szczerzy, jeśli chcemy go pokonać. Zakładam, oczywiście, że jest pan zdecydowany stawić mu czoło.

– Nie przyszedłbym tutaj, gdyby było inaczej. A teraz, skoro panowie przedstawili mi tak bez ogródek swoje zdanie, pozwolę sobie zaproponować, jak powinniśmy się zabrać do pokonania pana Parfitta.

– Bardzo prosimy – powiedział Ted Leach. Cała trójka zamieniła się w słuch.

– Macie panowie niewątpliwie rację, twierdząc, że Parfitt jest pewien swojej mocnej pozycji, gdyż jak dotąd to do niego należała inicjatywa i tylko on znał następny ruch. Pozwolę sobie zauważyć, że najwyższy czas położyć temu kres i samemu przypuścić atak w chwili i miejscu najmniej przez Parfitta oczekiwanym, to znaczy w samej radzie nadzorczej.

– Jak pan to sobie wyobraża? – zapytał nieco zaskoczony Winthrop Davies.

– Wyjaśnię to, jeśli najpierw wolno mi będzie zadać panom kilka pytań. Ilu dyrektorów ma prawo głosowania w radzie nadzorczej?

– Szesnastu – odpowiedział natychmiast Ted Leach.

– Po czyjej stronie opowiadają się w tej chwili? – spytał William.

– Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie – wtrącił się Winthrop Davies. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął pomiętą kopertę i zanim zaczął mówić dalej, studiował przez chwilę notatki na jej odwrocie. – Myślę, że możemy liczyć na sześć głosów, a Peter Parfitt może być pewien pięciu. Z wielkim zaskoczeniem dziś rano dowiedziałem się, że Rupert Cork-Smith, który był najbliższym przyjacielem Charlesa Lestera, nie zamierza pana poprzeć. To naprawdę dziwne, gdyż wiem, że nie przepada za Parfittem. Zatem na każdego z was wypadałoby po sześć głosów.

– Czyli do czwartku musimy się dowiedzieć, jak mają zamiar głosować pozostali czterej członkowie rady nadzorczej – stwierdził Ted Leach.

– Dlaczego do czwartku? – zapytał William.

– Tego dnia bowiem odbędzie się następne zebranie rady – odpowiedział Ted Leach, gładząc wąsy. Jak zauważył William, robił to za każdym razem, kiedy zabierał głos. – I, co ważniejsze, pierwszym punktem porządku zebrania jest wybór nowego prezesa.

– Powiedziano mi, że następne zebranie odbędzie się dopiero w poniedziałek – powiedział William ze zdumieniem.

– A kto panu powiedział? – zapytał Davies.

– Peter Parfitt.

– Jego taktykę trudno byłoby uznać za godną dżentelmena – zauważył Ted Leach.

– Poznałem już tego pana na tyle dobrze – stwierdził William z wyraźną ironią – aby zrozumieć, że to ja będę musiał przypuścić atak.

– Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać, proszę pana. Parfitt mocno siedzi w siodle i nie bardzo widzę, jak moglibyśmy go zeń wysadzić – zauważył Winthrop Davies.

– Zmienić mu światło na czerwone – odparł William. – Kto jest uprawniony do zwoływania posiedzeń rady nadzorczej?

– Kiedy stanowisko prezesa nie jest obsadzone, jeden z dwu wiceprezesów – powiedział Ted Leach. – Czyli Peter Parfitt albo ja.

– Ile członków tworzy kworum?

– Dziewięciu – powiedział Davies.

– A skoro pan jest jednym z wiceprezesów, panie Leach, to kto jest sekretarzem towarzystwa?

– Ja – odezwał się Alfred Rodgers, który do tej pory prawie nie otwierał ust, przejawiając tym samym cnotę, jaką William bardzo sobie cenił u sekretarza towarzystwa.

– Z jakim wyprzedzeniem zwołuje się nadzwyczajne posiedzenie rady, panie Rodgers?

– Każdy z jej członków powinien być zawiadomiony co najmniej dwadzieścia cztery godziny wcześniej, choć w rzeczywistości nigdy do tego się nie uciekano, z wyjątkiem lat Wielkiego Kryzysu. Charles Lester zawsze starał się zwoływać posiedzenie z minimum trzydniowym wyprzedzeniem.

– Ale wewnętrzne przepisy banku zezwalają na zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia z dwudziestoczterogodzinnym wyprzedzeniem? – zapytał William.

– Owszem, tak, proszę pana – potwierdził Alfred Rodgers, z mocno tym razem tkwiącym na swoim miejscu monoklem, przez który spoglądał na Williama.

– Doskonale. Zwołajmy więc nasze własne posiedzenie rady nadzorczej.

Trzej bankierzy patrzyli na Williama, jakby niezbyt dokładnie zrozumieli jego słowa.

– Po prostu – ciągnął William – pan Leach jako wiceprezes zwołuje posiedzenie rady, a pan Rodgers, jako sekretarz towarzystwa, powiadamia wszystkich jej członków.

– Na kiedy chciałby pan zwołać to posiedzenie? – zapytał Ted Leach.

– Na jutro po południu – powiedział William spoglądając na swój zegarek. – O trzeciej.

– Dobry Boże, czy to nie zbyt nagle? – powiedział Alfred Rodgers. – Nie jestem pewien, czy…

– …zbyt nagle dla Petera Parfitta, chciał pan powiedzieć?

– Rzeczywiście – powiedział Ted Leach. – Skoro pan wie dokładnie, czego oczekuje po tym posiedzeniu.

– O to niech się panowie nie martwią. Proszę tylko zadbać, aby wszyscy członkowie zarządu zostali poinformowani zgodnie z procedurą.

– Ciekaw jestem, jak na to zareaguje Peter Parfitt – powiedział Ted Leach.

– Nie martwmy się o Parfitta – powiedział William. – Ten właśnie błąd popełnialiśmy od samego początku. Teraz niech on zacznie się niepokoić. Jeśli zawiadomimy go z dwudziestoczterogodzinnym wyprzedzeniem, jako ostatniego w kolejności, nie musimy się niczego obawiać. Nie możemy mu dać więcej czasu ponad niezbędne minimum, żeby nie zdążył przygotować kontrataku. I jeszcze jedno, panowie. Nie dziwcie się niczemu, co zrobię czy powiem jutro. Ufajcie mi i bądźcie obecni, aby mnie poprzeć.

– Czy nie uważa pan, że powinniśmy wiedzieć, co mianowicie zamyśla pan uczynić? – zapytał Ted Leach.

– Nie, proszę pana, na posiedzeniu musicie panowie sprawiać wrażenie bezstronnych członków rady, którzy myślą jedynie o wypełnieniu swoich obowiązków.

Tedowi Leachowi i jego dwóm kolegom zaczynało świtać w głowie, dlaczego Charles Lester wybrał Williama Kane'a na swego następcę. Wychodzili z klubu Metropolitan w o wiele lepszym nastroju, niż do niego wchodzili, chociaż nie mieli zielonego pojęcia, co się rozegra na posiedzeniu rady nadzorczej, które mieli zwołać. William natomiast, po wykonaniu pierwszej części instrukcji Thomasa Cohena, myślał już tylko o tym, jak przeprowadzi ich drugą, trudniejszą część.

Resztę dnia spędził w swoim pokoju w Klubie Absolwentów Yale, opracowując szczegółowo taktykę na jutrzejsze posiedzenie i zrobił tylko krótką przerwę, aby zadzwonić do Kate.

– Gdzie jesteś, kochanie? – spytała. – W samym środku nocy wymykasz się cichaczem z domu, Bóg wie dokąd.

– Do kochanki w Nowym Jorku – powiedział William.

– Biedna dziewczyna – powiedziała Kate. – Z pewnością nie zna całej prawdy o tobie. Może podsunęła ci jakiś pomysł na uporanie się z podstępnym panem Parfittem?

– Nie miałem jeszcze okazji jej zapytać, byliśmy zajęci czymś innym. A co ty byś poradziła?

– Nie rób niczego, czego nie zrobiłby na twoim miejscu Charles Lester ani twój ojciec – powiedziała Kate, nagle poważnym głosem.

– Oni grają sobie najpewniej w golfa gdzieś na osiemnastej chmurce i patrząc na nas z góry, robią ciche zakłady.

– Pamiętaj cały czas, że cię obserwują, Williamie, a uchronisz się przed poważniejszą pomyłką.

Kiedy zaczęło świtać, William był już całkiem rozbudzony. Spał niewiele, niespokojnie, budził się, to znów zasypiał na chwilę. Wstał tuż po szóstej, wziął prysznic, poszedł na długi spacer do Central Parku, żeby się przewietrzyć, i wrócił do Klubu na lekkie śniadanie. W hallu czekała na niego wiadomość od żony. Czytając po raz drugi karteczkę, William roześmiał się przy zdaniu: „Jeśli znajdziesz chwilę czasu, nie zapomnij kupić Richardowi rękawicy baseballowej”. William wziął do ręki „Wall Street Journal”, w którym nadal komentowano zamęt w radzie nadzorczej banku Lestera w związku z wyznaczeniem nowego prezesa. Tym razem podawano wersję

wydarzeń w ujęciu Petera Parfitta, który dawał do zrozumienia, że jego nominacja na stanowisko prezesa zostanie prawdopodobnie zaaprobowana podczas czwartkowego posiedzenia. William był ciekaw, czyją wersję przedstawi jutrzejsza gazeta. Och, gdyby tak dziś mógł rzucić na nią okiem! Przedpołudnie spędził raz jeszcze dokładnie studiując statut i zarządzenia szczegółowe banku Lestera. Nie jadł lunchu, znalazł natomiast czas, aby odwiedzić sklep Schwaltsa i kupić dla syna rękawicę do baseballu. O drugiej trzydzieści wsiadł do taksówki i udał się do banku na Wall Street, gdzie znalazł się parę minut przed trzecią. Młody portier zapytał go, czy jest z kimś umówiony.

– Moje nazwisko William Kane.

– W takim razie zechce pan się udać do sali konferencyjnej.

O Boże, pomyślał William, zupełnie zapomniałem, gdzie to jest.

Portier zauważył jego zakłopotaną minę.

– Korytarzem w lewo, proszę pana, a potem drugie drzwi po prawej.

– Dziękuję – powiedział William i ruszył korytarzem z taką pewnością siebie, na jaką tylko mógł się zdobyć. Określenie „nogi z waty" uważał zawsze za idiotyczne – aż do tej pory. Miał wrażenie, że serce bije mu głośniej, niż tyka stojący we frontowym hallu zegar; wcale by się nie zdziwił, gdyby usłyszał, jak sam wybija trzecią godzinę.

W drzwiach do sali konferencyjnej stał Ted Leach.

– Zanosi się na kłopoty – powiedział na przywitanie.

– W porządku – odparł William. – Charles Lester nawet by się ucieszył. I podjąłby wyzwanie.

Wszedł zdecydowanym krokiem do sali, której ściany wyłożono solidną dębową boazerią. Wcale nie musiał liczyć głów, aby wiedzieć, że dyrektorzy zjawili się w komplecie. To posiedzenie nie należało do takich, które można sobie czasem darować. Kiedy wszedł, umilkły rozmowy i zapadło kłopotliwe milczenie; wszyscy stali i patrzyli na niego. William szybko usiadł na fotelu prezesa u szczytu długiego mahoniowego stołu, zanim Peter Parfitt się zorientował, co się dzieje.

– Proszę panów o zajęcie miejsc – powiedział William, mając nadzieję, że jego słowa zabrzmią wystarczająco zdecydowanie.

Ted Leach i kilku innych członków rady nadzorczej od razu zajęło swoje miejsca; inni trochę się ociągali. Rozległy się szepty.

William zauważył, że dwaj członkowie, których nie znał, zamierzają podnieść się z miejsc i przerwać mu.

– Zanim któryś z panów zabierze głos, chciałbym, jeśli można, najpierw złożyć oświadczenie. Potem zdecydują panowie, co dalej. Uważam, że przynajmniej tyle możemy zrobić dla zadośćuczynienia ostatniej woli świętej pamięci Charlesa Lestera.

Dyrektorzy usiedli.

– Dziękuję panom. Przede wszystkim chciałbym oświadczyć wszystkim tu obecnym, że bynajmniej nie zamierzam zostać prezesem rady nadzorczej tego banku – tu, dla efektu, zawiesił głos – jeżeli nie będzie to zgodne z wolą większości członków rady.

Oczy wszystkich utkwione były teraz w Williamie.

– Jestem obecnie wiceprezesem rady nadzorczej banku Kane'a i Cabota i posiadam pięćdziesiąt jeden procent udziałów tego banku. Założył go mój dziadek i myślę, że choć mniejszy od banku Lestera, bank Kane'a i Cabota cieszy się nie gorszą renomą. Gdybym musiał przenieść się z Bostonu do Nowego Jorku, aby objąć, zgodnie z

życzeniem Charlesa Lestera, zwierzchnictwo nad bankiem, to nie ukrywam, że taka przeprowadzka nie byłaby łatwa ani dla mnie, ani dla mojej rodziny. Ponieważ jednak tego właśnie życzył sobie Charles Lester, a nie był to człowiek, który by występował z podobnymi propozycjami bez zastanowienia, czuję się zobowiązany, panowie, do potraktowania jego życzenia z powagą. Chciałbym również dodać, że jego syn Matthew Lester był przez ponad piętnaście lat moim najlepszym przyjacielem i jest dla mnie wielką tragedią fakt, że to nie on, lecz ja zwracam się dziś do panów jako prezes z nominacji.

Paru członków rady nadzorczej skinieniem głowy wyraziło aprobatę dla jego słów.

– Panowie, jeśli obdarzycie mnie dziś swoim poparciem, poświęcę wszystko, co łączy mnie z Bostonem, aby dobrze wam służyć. Mam nadzieję, że nie potrzebuję przedstawiać panom szczegółowo zakresu moich doświadczeń w dziedzinie bankowości. Zakładam, że każdy z obecnych tu panów po przeczytaniu testamentu Charlesa Lestera zadał sobie nieco trudu, aby się dowiedzieć, dlaczego mnie uznał on za człowieka odpowiedniego na swego następcę. Mój prezes, Anthony Simmons, którego wielu z panów zna osobiście, prosi mnie, abym nie odchodził z banku Kane'a i Cabota. Zamierzałem powiadomić pana Parfitta wczoraj o mojej ostatecznej decyzji, gdyby pofatygował się i do mnie zatelefonował w celu uzyskania tej informacji. Zeszłego piątku miałem przyjemność gościć u państwa Parfittów na kolacji i pan Parfitt poinformował mnie wówczas, że nie interesuje go stanowisko prezesa rady nadzorczej tego banku. Jego zdaniem moim jedynym rywalem byłby pan Edward Leach, jeden z dwu wiceprezesów. Miałem później okazję rozmawiać z panem Leachem, który oświadczył, że bez zastrzeżeń popiera moją kandydaturę.

Założyłem więc, że mam poparcie obu wiceprezesów. Jednakże po lekturze dzisiejszego numeru „Wall Street Journal”… co prawda przepowiedniom tej gazety przestałem wierzyć już jako ośmioletni chłopiec – na sali lekkie rozbawienie – doszedłem do wniosku, że powinienem wziąć udział w dzisiejszym posiedzeniu, aby się upewnić, czy nie straciłem poparcia obu panów wiceprezesów i przekonać się, że relacja „Wall Street Journal” jest nieprawdziwa. Pan Leach zwołał to posiedzenie i w tej sytuacji muszę zwrócić się do niego z pytaniem, czy nadal cieszę się jego poparciem jako następca Charlesa Lestera na stanowisku prezesa.

William spojrzał w stronę Teda Leacha, który siedział ze spuszczoną głową. Napięcie oczekiwania na jego werdykt było wręcz namacalne. Jego kciuk skierowany w dół oznaczałby wydanie sprawiedliwego na pożarcie zwolennikom Parfitta.

Ted Leach wolno podniósł głowę i powiedział:

– Bez zastrzeżeń popieram pana Kane’a.

William, po raz pierwszy tego dnia, spojrzał prosto w twarz Peterowi Parfittowi. Parfitt, oblany potem, zaczął mówić, nie odrywając oczu od leżącego przed nim żółtego notatnika.

– Cóż, niektórzy członkowie rady doszli do wniosku, że powinienem rzucić na ring swoją rękawicę…

– A więc zmienił pan zdanie i odmawia mi pan swego poparcia i spełnienia ostatniej woli Charlesa Lestera? – przerwał mu William, starając się, aby w jego głosie zabrzmiała nutka zdziwienia.

Peter Parfitt podniósł nieco głowę:

– To nie jest aż tak proste, proszę pana.

– Tak czy nie, panie Parfitt?

– Tak, stawię panu czoło – powiedział Peter Parfitt raptownie i dobitnie.

– Mimo że w ubiegły piątek oświadczył mi pan, że to stanowisko pana nie interesuje?

– Chwileczkę, może mi pan pozwoli przedstawić mój punkt widzenia, zanim się pan rozpędzi – powiedział Parfitt. – Na razie nie jest pan jeszcze tu prezesem, panie Kane.

– Ależ oczywiście, panie Parfitt.

Jak dotąd posiedzenie przebiegało dokładnie tak, jak William to sobie zaplanował. Swoją przemowę przygotował i wygłosił z wielką starannością i teraz Parfitt dosłownie się pocił, usiłując odzyskać inicjatywę, nie mówiąc już o tym, że publicznie nazwano go kłamcą.

– A więc, proszę panów… – zaczął, jakby szukając słów. Teraz wzrok zebranych powędrował od Williama do Parfitta. William zyskał chwilę wytchnienia i mógł przyjrzeć się twarzom członków rady.

– Kilka osób z rady nadzorczej, już po moim spotkaniu z panem Kane'em, zwróciło się do mnie zupełnie prywatnie, i nie pozostało mi nic innego, jak tylko spełnić ich życzenie i zgłosić swoją kandydaturę. Nigdy nie zamierzałem sprzeciwiać się życzeniu pana Charlesa Lestera, dla którego miałem zawsze wiele podziwu i szacunku. Naturalnie poinformowałbym pana Kane'a o moich intencjach przed zaplanowanym na jutro posiedzeniem, lecz, muszę tu powiedzieć, jestem nieco zaskoczony wydarzeniami dzisiejszego popołudnia. – Zrobił głęboki wdech i ciągnął dalej. – Służyłem lojalnie bankowi Lestera przez dwadzieścia dwa lata, z czego sześć jako wiceprezes. Dlatego uważam, że mam prawo ubiegać się o prezesurę. Byłbym niezmiernie rad, gdyby pan Kane wszedł do rady nadzorczej, ale w

obecnej sytuacji nie mogę się opowiedzieć za jego kandydaturą. Mam nadzieję, że moi koledzy uznają za naturalne udzielenie poparcia komuś, kto pracował dla tego banku przez dwadzieścia dwa lata, i nie wybiorą człowieka z zewnątrz, obcego, kierując się kaprysem nieszczęśliwego starca cierpiącego po stracie jedynego syna. Dziękuję za uwagę, panowie.

Usiadł.

William musiał przyznać w duchu, że zważywszy na sytuację, w jakiej znalazł się Parfitt, jego przemowa była całkiem niezła. Ale miał nad Parfittem tę przewagę, że pan Cohen uzmysłowił mu, jak wielkie znaczenie w walce, w której wygrana nie jest pewna do końca, ma to, do kogo należy ostatnie słowo. William znów podniósł się ze swego fotela.

– Panowie, pan Parfitt zauważył, że jestem wam osobiście nieznany. Chciałbym więc wyraźnie się określić. Jak rzekłem, jestem wnukiem i synem bankierów. Przez całe swoje życie byłem bankierem i skłamałbym, gdybym powiedział, że kierowanie bankiem Lestera nie sprawiłoby mi wielkiej satysfakcji. Jeśli jednak po tym, co dziś tu panowie usłyszeliście, postanowicie powierzyć stanowisko prezesa panu Parfittowi, to proszę bardzo. Ja wrócę do Bostonu i z radością będę dalej służył mojemu bankowi. Co więcej, złożę publiczne oświadczenie, że nie pragnę zostać prezesem rady nadzorczej banku Lestera, co uwolni panów od ewentualnych zarzutów, że sprzeniewierzyliście się postanowieniom ostatniej woli Charlesa Lestera. Muszę jednakże stwierdzić, że pod żadnym warunkiem nie zgodziłbym się wejść do rady nadzorczej, której przewodniczyłby pan Parfitt. W tej kwestii muszę być z panami całkiem szczery. Jak to określił pan Parfitt, jestem dla panów

„człowiekiem obcym, z zewnątrz”, co jest moim minusem. Z drugiej jednak strony moja kandydatura ma ten plus, że popiera ją człowiek, który nie może tu być dziś z nami, człowiek, którego panowie wszyscy darzyliście szacunkiem i podziwem, który znany był z tego, że nie ulegał kaprysom i nastrojom i nie podejmował pochopnych decyzji. Dlatego proponuję, aby rada, nie trwoniąc swego cennego czasu postanowiła, kogo chciałaby widzieć jako następnego prezesa. Jeśli ktoś z panów ma wątpliwości co do moich kwalifikacji na szefa banku, to proszę: niech głosuje na pana Parfitta. Ja sam nie wezmę udziału w głosowaniu i spodziewam się, że podobnie uczyni pan Parfitt.

– Pan nie może głosować – powiedział Parfitt ze złością. – Nie jest pan jeszcze członkiem rady nadzorczej. Ja nim jestem i będę głosował.

– Doskonale, panie Parfitt. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie miał pan okazji pozyskania dla siebie ewentualnych głosów.

William odczekał, aż jego słowa zapadną w pamięć słuchaczy, a kiedy jeden z nieznanych mu członków rady zamierzał coś powiedzieć, podjął:

– Proszę pana Rodgersa, aby jako sekretarz towarzystwa przeprowadził teraz głosowanie, a panowie, po dokonaniu wyboru, zechcą uprzejmie oddać mu karteczki.

Od początku zebrania monokl Alfreda Rodgersa uporczywie mu wypadał. Wyraźnie zdenerwowany rozdał karteczki do głosowania członkom rady. Kiedy wszyscy wpisali nazwisko kandydata, karteczki wróciły do niego.

– Być może, panie Rodgers, zważywszy na okoliczności, byłoby wskazane odczytać nazwiska na głos dla uniknięcia mimowolnej

pomyłki i konieczności ponownego głosowania.

– Słusznie, proszę pana.

– Czy pan się z tym zgadza, panie Parfitt?

Peter Parfitt skinął głową, nie podnosząc wzroku.

– Dziękuję. Czy byłby pan uprzejmy odczytać członkom rady otrzymane głosy, panie sekretarzu?

Sekretarz rozwinął pierwszą karteczkę.

– Parfitt.

A potem następną.

– Parfitt.

William nie miał już wpływu na przebieg wydarzeń. Jeszcze parę sekund i lata wyczekiwania na główną wygraną, która, jak zapewnił dawno temu Charlesa Lestera, miała przypaść właśnie jemu, pójdą na marne.

– Kane. Parfitt. Kane.

Trzy głosy za nim, dwa przeciw; czyżby miała się powtórzyć historia jego pojedynku z Tonym Simmonsem?

– Kane. Kane. Parfitt.

Równo po cztery głosy. Zauważył, że twarz siedzącego po drugiej stronie stołu Parfitta zlana jest obficie potem. Ale i on sam wcale nie czuł się odprężony.

– Parfitt.

Twarz Williama nie zmieniła wyrazu. Parfitt pozwolił sobie na lekki uśmieszek. Pięć do czterech.

– Kane. Kane. Kane.

Uśmieszek zniknął. Jeszcze tylko dwa, tylko dwa, modlił się William prawie na głos.

– Parfitt. Parfitt.

Sekretarz dosyć długo rozwijał karteczkę, którą ktoś złożył wielokrotnie.

– Kane. – Osiem do siedmiu dla Williama.

W ręku Rodgersa znalazła się ostatnia karteczka. William wpatrywał się w jego wargi. Sekretarz towarzystwa spojrzał na zebranych; w tej chwili był najważniejszą osobą w sali.

– Kane.

Parfitt ukrył głowę w dłoniach.

– Panowie, oto wynik głosowania: dziewięć głosów na pana Williama Kane'a, siedem na pana Petera Parfitta. W związku z tym ogłaszam, że pan William Kane został prawomocnie wybranym prezesem rady nadzorczej banku Lestera.

W sali zapadła uroczysta cisza i głowy wszystkich, z wyjątkiem Petera Parfitta, zwróciły się w stronę Williama w oczekiwaniu na pierwsze decyzje nowego prezesa.

William zrobił głęboki wdech i powstał z fotela, tym razem już jako prezes rady nadzorczej.

– Dziękuję panom za okazane zaufanie. Charles Lester pragnął, abym został waszym prezesem i ogromnie się cieszę, że swoimi głosami uczyniliście zadość jego życzeniu. Chcę służyć temu bankowi najlepiej, jak potrafię, co byłoby niemożliwe bez szczerego poparcia członków rady. Byłbym zobowiązany, gdyby pan Parfitt…

W oczach Petera Parfitta zabłysła iskierka nadziei.

– …zechciał pofatygować się za parę minut do mojego gabinetu. Po rozmowie z panem Parfittem chciałbym zobaczyć się z panem Leachem. Mam nadzieję, że jutro będę mógł porozmawiać z każdym z

panów z osobna. Wszyscy spotkamy się ponownie na comiesięcznym posiedzeniu rady. Niniejsze posiedzenie uważam za zamknięte.

Zgromadzeni zaczęli podnosić się z miejsc, wymieniać uwagi. William szybkim krokiem wyszedł na korytarz, unikając spojrzenia Petera Parfitta. Ted Leach dogonił go i poprowadził w kierunku gabinetu prezesa.

– Zagrał pan bardzo ryzykownie, panie Kane – powiedział – i niewiele brakowało, a przepadłby pan w głosowaniu. Co by pan wtedy zrobił?

– Wróciłbym do Bostonu – powiedział William z niezmąconym spokojem.

Ted Leach otworzył przed Williamem drzwi do prezesowskiego gabinetu. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go William zapamiętał; być może wydawał mu się nieco większy, kiedy jako gimnazjalista oznajmił tu Charlesowi Lesterowi, że kiedyś będzie kierował tym bankiem. Spojrzał na jego portret wiszący nad biurkiem i mrugnął do niego porozumiewawczo. Potem usiadł w wielkim fotelu obitym czerwoną skórą i oparł łokcie na mahoniowym blacie. Kiedy wyjmował z kieszeni marynarki oprawną w skórę książeczkę i kładł ją przed sobą, rozległo się pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł starszy mężczyzna, mocno opierając się na czarnej lasce ze srebrną gałką. Ted Leach zostawił ich samych.

– Nazywam się Rupert Cork-Smith – powiedział przybysz z lekkim angielskim akcentem.

William wstał z fotela, aby go przywitać. Był to najstarszy członek rady nadzorczej. Jego siwe włosy, długie bokobrody i masywny złoty zegarek z dewizką należały do minionego wieku, ale jego nieposzlakowana opinia była w kręgach bankierskich legendarna.

Umowa zawarta z Rupertem Cork-Smithem nie wymagała podpisu; jego słowo było wystarczającą rękojmią. Spojrzał Williamowi prosto w oczy.

– Głosowałem przeciwko panu, panie Kane, i oczywiście w każdej chwili mogę panu złożyć swoją rezygnację.

– Czy zechciałby pan spocząć, panie Cork-Smith? – spytał William łagodnym głosem.

– Dziękuję – odpowiedział Rupert Cork-Smith.

– Przypuszczam, że znał pan mojego ojca i dziadka.

– Miałem ten zaszczyt. Z pańskim dziadkiem studiowałem na Uniwersytecie Harvarda i wciąż mam w pamięci tragiczną śmierć pańskiego ojca.

– A Charlesa Lestera? – zapytał William.

– Był moim najbliższym przyjacielem. Postanowienie, jakie uczynił w swoim testamencie, długo będzie dręczyć moje sumienie. Nigdy nie ukrywałem, że Peter Parfitt nie jest moim wymarzonym kandydatem. Wolałem widzieć na stanowisku prezesa Teda Leacha, ale ponieważ nie mam zwyczaju unikać zaangażowania, uznałem za stosowne poprzeć kandydata, który stanął do rywalizacji z panem, gdyż nie mógłbym oddać głosu na człowieka, którego nigdy dotąd nie widziałem na oczy.

– Podziwiam pańską szczerość, panie Cork-Smith, ale teraz stoi przede mną zadanie pokierowania tym bankiem. W tej chwili o wiele bardziej potrzebuję pana niż pan mnie i dlatego, jako młodszy z nas dwóch, bardzo pana proszę o zaniechanie rezygnacji.

Stary człowiek podniósł głowę i spojrzał Williamowi w oczy.

– Nie jestem pewien, czy to by coś dało, młodzieńcze. Nie umiem zmieniać swoich przekonań z dnia na dzień – powiedział, opierając

się oburącz na swej lasce.

– Proszę mi dać sześć miesięcy. Jeśli potem nadal będzie pan tak uważał, nie będę się upierał.

Obaj siedzieli jakiś czas w milczeniu, zanim Cork-Smith znów przemówił.

– Charles Lester miał rację: jest pan nieodrodnym synem Richarda Kane'a.

– Czy gotów jest pan nadal służyć temu bankowi?

– Tak, młodzieńcze. Lepiej zmądrzeć późno niż wcale.

Rupert Cork-Smith podniósł się powoli, opierając się na lasce. William chciał mu pomóc, ale starszy pan wstrzymał go gestem ręki.

– Dziękuję panu – powiedział William.

Kiedy otworzył drzwi, ujrzał czekającego na korytarzu Petera Parfitta. Mijający się członkowie rady nie zamienili ze sobą ani słowa. Peter Parfitt zaczął buńczucznie:

– No cóż, walczyłem, ale przegrałem. Człowiek samego siebie nie przeskoczy – powiedział ze śmiechem. – Chyba nie masz do mnie urazy, Bill? – Wyciągnął do Williama dłoń.

– Nie mam do pana urazy, panie Parfitt. Jak pan słusznie stwierdził, walczył pan i przegrał, a teraz złoży pan rezygnację.

– Złożę co?

– Rezygnację – powtórzył William.

– To trochę nie fair, Bill. Nie działałem przeciwko tobie z pobudek osobistych, po prostu uważałem…

– Nie chcę mieć pana w swoim banku, panie Parfitt. Odejdzie pan jeszcze dziś i więcej się nie zobaczymy.

– A jeśli nie zechcę odejść? Posiadam spore udziały w tym banku i wiadomo, że mam wciąż poparcie znacznej części rady nadzorczej, nie mówiąc o tym, że mógłbym oddać sprawę do sądu.

– W takim wypadku radziłbym panu poczytać statut banku, z którym ja zaznajomiłem się dokładnie tego ranka. – William wziął do ręki małą oprawioną w skórę książeczkę, nadal leżącą przed nim na biurku, i przewrócił kilka kartek. Znalazłszy paragraf, który sobie zakreślił rano, przeczytał na głos: – „Prezes ma prawo usunąć ze stanowiska urzędnika, do którego stracił zaufanie". – Podniósł wzrok na Parfitta. – Straciłem do pana zaufanie. Dlatego złoży pan rezygnację i odejdzie, otrzymując przy tym wynagrodzenie za okres dwóch lat. Natomiast jeśli zmusi mnie pan, abym pana usunął, to postaram się, żeby odszedł pan z banku jedynie ze swoimi udziałami. Wybór należy do pana.

– Nie dasz mi szansy, Bill?

– Dałem panu szansę w ubiegły piątek, a pan mnie okłamał i oszukał. Nie są to cechy, jakie pragnąłbym widzieć u swego zastępcy. Rezygnuje pan, czy mam pana sam wyrzucić, panie Parfitt?

– Niech cię diabli wezmą, Kane. Rezygnuję.

– Dobrze. Siadaj pan i pisz pan rezygnację.

– Nie, wręczę ją jutro rano o dogodnej dla mnie porze – powiedział Parfitt, ruszając ku drzwiom.

– Teraz albo pana wyrzucam – powtórzył William.

Peter Parfitt zawahał się, potem zawrócił i opadł ciężko na krzesło stojące przy biurku Williama. William wręczył mu arkusz papieru listowego z firmowym nagłówkiem banku i podsunął pióro. Parfitt wyjął własne i zaczął pisać. Kiedy skończył, William wziął do ręki pismo i uważnie je przeczytał.

– Żegnam pana, panie Parfitt.

Peter Parfitt wyszedł bez słowa. Chwilę później do gabinetu wszedł Ted Leach.

– Chciał pan ze mną rozmawiać, panie prezesie?

– Tak – powiedział William. – Chciałbym powierzyć panu stanowisko pierwszego wiceprezesa. Pan Parfitt uznał za konieczne podać się do dymisji.

– O, to dla mnie niespodzianka. Byłem przekonany…

William podał mu list z rezygnacją Parfitta. Ted Leach przeczytał go i spojrzał na Williama.

– Stanowisko pierwszego wiceprezesa bardzo mi odpowiada.

Dziękuję za zaufanie.

– Doskonale. Chciałbym, aby zorganizował mi pan w ciągu dwu najbliższych dni oddzielne spotkania z wszystkimi po kolei członkami rady nadzorczej. Pracę rozpoczynam jutro o ósmej.

– Tak, proszę pana.

– Prosiłbym również o przekazanie pisemnej rezygnacji pana Parfitta sekretarzowi towarzystwa.

– Jak pan sobie życzy, panie Kane.

– Na imię mam William; to jeszcze jedna pomyłka, jaką popełnił Parfitt.

Ted Leach uśmiechnął się niepewnie.

– A więc do jutra… – zawahał się – Williamie.

Kiedy wyszedł, William usiadł w obrotowym fotelu Charlesa Lestera i w nagłym, niezwykłym jak na niego porywie wesołości, zakręcił się parę razy wkoło, aż zawirowało mu w głowie. Spoglądając w dół z okna na Wall Street odczuwał dziwne uniesienie na widok

płynących tłumów, wielkich banków i budynków firm maklerskich. Teraz i on należał do tego świata.

– A pan co tu robi, jeśli można wiedzieć? – odezwał się za nim kobiecy głos.

William obrócił się na fotelu i ujrzał przed sobą staromodnie ubraną kobietę w średnim wieku, wyraźnie poirytowaną.

– Mógłbym o to samo zapytać panią – powiedział William.

– Jestem sekretarką prezesa – odrzekła wyniosłym tonem.

– A ja jestem prezesem.

Przez następnych parę tygodni William zajmował się przeprowadzką swojej rodziny do Nowego Jorku, do domu na Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Nie przypuszczali początkowo, że zabierze to aż tyle czasu. Podczas pierwszych trzech miesięcy William, uwalniając się od spraw wiążących go z Bostonem i poświęcając się nowym obowiązkom w Nowym Jorku, żałował, że doba nie ma czterdziestu ośmiu godzin. Stwierdził też, że trudno będzie całkowicie przeciąć tę pępowinę. Tony Simmons okazał mu wiele pomocy i William zaczynał rozumieć, dlaczego Alan Lloyd forował Tony'ego na prezesa rady nadzorczej banku Kane'a i Cabota. Po raz pierwszy gotów był przyznać, że postąpił słusznie.

Po przeprowadzce do Nowego Jorku życie Kate wkrótce wypełniło się po brzegi. Wystarczyło, że na chwilę spuściła wzrok z Virginii, a mała zdążyła przeraczkować przez cały pokój i dotrzeć do gabinetu Williama, to znów mały Richard, jak każdy chłopiec w Nowym Jorku, domagał się nowej wiatrówki. Jako żona prezesa rady nadzorczej jednego z banków nowojorskich Kate musiała regularnie wydawać wystawne przyjęcia i koktajle, dbając przy tym dyskretnie, aby pewni

dyrektorzy i co ważniejsi klienci banku mieli okazję zamienić parę słów z Williamem, zasięgnąć jego rady czy podzielić się z nim swoimi uwagami. Kate robiła to wszystko z ogromnym wdziękiem i William odczuwał ogromną wdzięczność dla wydziału lokat banku Kane'a i Cabota za to, że oddał w jego ręce tak cenne aktywa. Kiedy Kate powiedziała mu, że znów spodziewa się dziecka, zapytał zdziwiony:

– Kiedy ja miałem na to czas?

Virginia była uszczęśliwiona tą wiadomością, choć nie bardzo rozumiała, dlaczego mamusia robi się coraz grubsza, natomiast Richard odmawiał dyskusji na ten temat.

Zanim minęło pół roku, starcie z Peterem Parfittem zostało zapomniane, a William stał się niekwestionowanym zwierzchnikiem banku Lestera i liczącą się postacią w kręgach nowojorskiej finansjery. Po kilku następnych miesiącach zaczął się zastanawiać, jaki kolejny cel powinien sobie postawić. Zrealizował już swoją życiową ambicję, zostając w wieku trzydziestu trzech lat szefem banku Lestera, ale w przeciwieństwie do Aleksandra Wielkiego uważał wciąż, że są jeszcze krainy warte podboju i nie miał ani czasu, ani ochoty, aby usiąść i biadać.

Kate urodziła trzecie dziecko pod koniec pierwszego roku sprawowania przez Williama funkcji dyrektora banku Lestera. Była to córeczka, a nadali jej imię Lucy. William nauczył Virginię, która już chodziła, kołysać siostrzyczkę; natomiast Richard, który niedługo kończył pięć lat i wkrótce miał pójść do przedszkola przy szkole Buckleya, wykorzystał narodziny siostry jako pretekst do nakłonienia ojca, żeby mu sprawił nowy kij do baseballu.

W czasie pierwszego roku dyrektorowania Williama zyski banku Lestera nieco wzrosły, a w następnym przewidywał on wyraźną

poprawę.

I wtedy pierwszego września 1939 roku wojska Hitlera wkroczyły do Polski.

Wówczas nawiedziła Williama myśl o Ablu Rosnovskim i jego nowym hotelu Baron na Park Avenue, który stawał się już jedną z atrakcji Nowego Jorku. Z raportów co kwartał dostarczanych Williamowi przez Cohena wynikało, że interesy Rosnovskiego kwitną, choć wyglądało na to, że jego najnowsze plany rozszerzenia działalności na Europę mogą napotkać pewne przeszkody. Cohen wciąż nie znajdował niczego, co by świadczyło o bezpośrednich powiązaniach między Henrym Osborne'em a Ablem Rosnovskim, przyznawał jednak, że uzyskanie wiarygodnych informacji nastręcza mu coraz więcej trudności.

William nigdy nie przypuszczał, że Ameryka mogłaby się zaangażować w wojnę w Europie, niemniej jednak postanowił nie zamykać londyńskiej filii banku Lestera, aby wyraźnie pokazać, po czyjej jest stronie, i ani przez chwilę nie miał zamiaru wyzbywać się swoich dwunastu tysięcy akrów w Hampshire i Lincolnshire. Natomiast działający w Bostonie Tony Simmons zawiadomił Williama, że planuje zamknąć filię banku Kane'a i Cabota w Londynie. William wykorzystał problemy wynikłe w Londynie w związku z wybuchem wojny jako pretekst do odwiedzenia ukochanego Bostonu i spotkania się z Tonym Simmonsem.

Obaj prezesi traktowali się teraz nadzwyczaj przyjaźnie, jako że nie mieli już żadnych powodów, aby uważać się za rywali. Wręcz przeciwnie, mogli teraz wspomagać się wzajemnie przy podejmowaniu nowych inicjatyw. Jak przewidywał Tony, bank Kane'a i Cabota stracił trochę ważnych klientów, kiedy William

przeszedł do banku Lestera, lecz William zawsze informował Tony'ego, kiedy jakiś dawny klient wyraził chęć przeniesienia do niego swego konta bankowego, o co zresztą nigdy nie zabiegał. Kiedy tylko usiedli do lunchu przy stoliku w rogu sali restauracyjnej u Locke-Obera, Tony Simmons, nie tracąc czasu, raz jeszcze powtórzył Williamowi, że nosi się z zamiarem zamknięcia londyńskiej filii banku Kane'a i Cabota.

– Główny tego powód jest prosty – powiedział, delektując się importowanym burgundem, zapewne ani myśląc o tym, że prawdopodobnie niemiecki but lada moment zacznie deptać winnice w sporej części Francji. – Obawiam się, że jeśli nie wycofamy się z Anglii, bank zacznie tracić pieniądze.

– Oczywiście, że trochę ich straci – powiedział William – ale musimy wesprzeć Brytyjczyków, dopingować ich.

– Dlaczego? – zapytał Tony. – To jest bank, a nie klub kibiców drużyny baseballu.

– Anglia nie jest drużyną baseballową, Tony; to jest kraj, któremu zawdzięczamy całe nasze dziedzictwo…

– Powinieneś poświęcić się polityce – powiedział Tony. – Dochodzę do przekonania, że marnujesz swój talent, siedząc w banku. Niemniej jednak uważam, że jest jeszcze jeden o wiele ważniejszy powód, dla którego powinniśmy zamknąć londyńską filię. Jeśli Hitler zajmie Anglię, tak jak zajął Polskę i Francję, a jestem pewien, że takie są jego zamiary, bank dostanie się w ręce Niemców i wtedy stracimy wszystko, co mamy w Londynie, do ostatniego grosza.

– Po moim trupie – powiedział William. – Jeśli Hitler postawi stopę na brytyjskiej ziemi, Ameryka wypowie wojnę jeszcze tego

samego dnia.

– Nigdy – zaoponował Tony. – Roosevelt powiedział: „Wszelka pomoc, ale nie udział w wojnie". A zwolennicy hasła „Ameryka na pierwszym miejscu" podnieśliby taką wrzawę, że byłoby to niemożliwe.

– Nigdy nie słuchaj, co mówią politycy – powiedział William. – A zwłaszcza Roosevelt. Kiedy mówi: „nigdy", znaczy to tylko „nie dzisiaj", albo przynajmniej „nie dziś rano". Przypomnij sobie słowa Wilsona z 1916 roku.

Tony się roześmiał.

– Kiedy zaczniesz się ubiegać o fotel senatora, Williamie?

– Na to pytanie z całym przekonaniem mogę odpowiedzieć:

nigdy.

– Szanuję twoje zdanie, ale ja jestem za likwidacją londyńskiej filii.

– Ty jesteś prezesem – odparł William. – Jeśli rada nadzorcza uzna twoją rację, możesz zamknąć filię choćby jutro, a ja nigdy nie wykorzystam swojej pozycji, aby przeciwstawić się decyzji większości.

– Chyba że połączysz oba banki i wtedy decyzja będzie należeć do ciebie.

– Powiedziałem ci już kiedyś, Tony, że dopóki ty jesteś prezesem, nie będę nawet tego próbował. I tej obietnicy zamierzam dotrzymać.

– Ale ja uważam, że powinniśmy dokonać fuzji.

– Co? – zapytał zaskoczony William, rozlewając trochę burgunda na obrus. Nie wierzył własnym uszom. – Na Boga, Tony, jedno można o tobie powiedzieć: że nigdy nie wiadomo, co może przyjść ci do głowy.

– Jak zawsze, Williamie, leży mi na sercu przede wszystkim dobro banku. Weź pod uwagę obecną sytuację. Nowy Jork jest teraz bardziej niż kiedykolwiek centrum finansowym Stanów Zjednoczonych, a kiedy Anglia dostanie się pod panowanie Hitlera, stanie się centrum finansowym świata, dlatego tam właśnie jest miejsce banku Kane'a i Cabota. Poza tym stworzylibyśmy razem bardziej samowystarczalną instytucję, gdyż nasze specjalności się dopełniają. Kane i Cabot zajmował się zawsze finansowaniem przemysłu stoczniowego i innego przemysłu ciężkiego, czym bank Lestera parał się tylko w niewielkim stopniu. I odwrotnie, wy specjalizujecie się w przeprowadzaniu i gwarantowaniu emisji papierów wartościowych, czym my prawie wcale się nie zajmujemy. Nie mówiąc już o tym, że w wielu miastach nasze banki niepotrzebnie się dublują.

– Tony, zgadzam się ze wszystkim, co mówisz, mimo to wolałbym nie wycofywać się z Anglii.

– I o to właśnie mi chodzi, Williamie. Londyńska filia Kane'a i Cabota uległaby likwidacji, ale zachowalibyśmy filię banku Lestera. Wówczas, gdyby Londyn znalazł się w opałach, nie miałoby to dla nas tak wielkiego znaczenia, gdyż dzięki fuzji bylibyśmy silniejsi.

– A co powiedziałbyś na to, że gdyby ograniczenia nałożone przez Roosevelta na banki akceptacyjne pozwalały nam na przeprowadzanie operacji bankowych z jednego tylko stanu, konsolidacja naszych banków byłaby możliwa jedynie wówczas, gdybyśmy przyjęli, że naszą bazą będzie Nowy Jork, Boston zaś traktowalibyśmy jedynie jako centralę holdingową?

– Zgodziłbym się z tobą – powiedział Tony i dodał: – Warto by się nawet zastanowić, czy nie lepiej byłoby nastawić się na bankowość

kredytowo-depozytową, rezygnując z zajmowania się lokatami.

– Nie, Tony. Roosevelt sprawił, że uczciwy człowiek nie może zajmować się jednym i drugim, a zresztą mój ojciec uważał, że albo się służy małej grupie bogatych ludzi, albo dużej grupie biednych, tak więc bank Lestera, dopóki ja jestem prezesem, ograniczy się do tradycyjnej bankowości. Czy nie przewidujesz poważniejszych trudności, gdybyśmy rzeczywiście zdecydowali się na konsolidację?

– Przy dobrej woli obu stron tylko nieliczne, których nie udałoby się przezwyciężyć. Musiałbyś jednak, głęboko się zastanowić nad taką decyzją, gdyż jako właściciel mniejszej części udziałów niewątpliwie straciłbyś kontrolę nad nowym bankiem, co zawsze mogłoby ci grozić przejęciem go przez kogoś innego.

– Jestem gotów podjąć takie ryzyko, aby zostać szefem jednej z największych instytucji finansowych w Ameryce.

William wrócił do Nowego Jorku jeszcze tego samego wieczoru, podekscytowany rozmową z Tonym, i zwołał posiedzenie rady nadzorczej, aby przedstawić jego propozycję. Kiedy stwierdził, że w zasadzie rada nadzorcza zgadza się na fuzję, polecił wszystkim kierownikom w banku, aby dokładnie przeanalizowali cały plan.

Upłynęły trzy miesiące, zanim szefowie poszczególnych wydziałów przedstawili rezultaty swoich przemyśleń radzie nadzorczej. Wszyscy, co do jednego, byli tego samego zdania: fuzja byłaby posunięciem nader rozsądnym, ponieważ obydwa banki pod wieloma względami się uzupełniają. Dysponując biurami w całej Ameryce i filiami w Europie miały sobie nawzajem wiele do zaoferowania. Co więcej, prezes rady nadzorczej banku Lestera nadal był w posiadaniu pięćdziesięciu jeden procent udziałów banku

Kane'a i Cabota, tak więc fuzja byłaby czymś w rodzaju małżeństwa z rozsądku. Niektórzy członkowie rady nadzorczej banku Lestera dziwili się, że William nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Ted Leach był zdania, że Charles Lester z pewnością to miał na myśli, wyznaczając Williama na swego następcę.

Szczegółowe negocjacje w sprawie fuzji trwały prawie rok i prawnicy ślęczeli nieraz do późnej nocy nad niezbędnymi dokumentami. W wyniku wymiany udziałów William został największym udziałowcem jako właściciel ośmiu procent akcji nowego towarzystwa i uzyskał nominację na prezesa rady nadzorczej i dyrektora generalnego nowego banku. Tony Simmons pozostał w Bostonie jako jeden z wiceprezesów, a Ted Leach w Nowym Jorku jako drugi. Nowy bank nosił teraz nazwę Towarzystwa Bankowego Lestera, Kane'a i Spółki, ale w praktyce nadal miało się używać nazwy bank Lestera.

William postanowił zwołać konferencję prasową w Nowym Jorku, aby ogłosić o udanym połączeniu obu banków. Chciał przekazać tę wiadomość międzynarodowym kręgom bankowym w poniedziałek ósmego grudnia 1941 roku. Konferencję trzeba było odwołać, bo rankiem poprzedniego dnia Japończycy zaatakowali Pearl Harbor.

Przygotowana z wyprzedzeniem informacja została rozesłana do gazet parę dni wcześniej, ale w tej sytuacji wtorkowe wydania poświęciły sprawie fuzji bardzo niewiele miejsca na swoich kolumnach finansowych. Brak szerszego echa w prasie nie był już jednak główną troską Williama.

Nie wiedział, jak powiedzieć Kate, że zamierza zaciągnąć się do wojska. Kiedy usłyszała nowinę, przeraziła się i natychmiast spróbowała go odwieść od tej decyzji.

– Czy sądzisz, że możesz dokonać czegoś, czego nie potrafi dokonać milion innych? – zapytała.

– Nie wiem – odparł William. – Wiem tylko, że muszę zrobić to, co by w mojej sytuacji uczynił mój ojciec czy dziadek.

– Niewątpliwie zrobiliby to, co byłoby w interesie banku.

– Nie – zareplikował natychmiast. – To, co byłoby w interesie Ameryki.

Księga czwarta

24

Abel wczytywał się uważnie w notatkę prasową zamieszczoną na finansowych kolumnach „Chicago Tribune". Niewiele brakowało, a w natłoku materiałów przedstawiających skutki ataku Japończyków na Pearl Harbor przeoczyłby ów krótki artykulik, gdyby nie mała fotografia Williama Kane'a. Musiała być bardzo stara, gdyż wyglądał na niej prawie tak samo jak podczas wizyty Abla w Bostonie, przed ponad dziesięcioma laty. Z pewnością Kane był na tej fotografii za młody, aby odpowiadać wizerunkowi z gazety, która przedstawiała go jako błyskotliwego prezesa nowego towarzystwa Lester, Kane i Spółka. Autor artykułu przepowiadał: „Nowy bank, powstały w wyniku decyzji pana Kane'a, który postanowił połączyć dwa cieszące się doskonałą renomą banki rodzinne – bank Lestera z Nowego Jorku oraz bank Kane'a i Cabota z Bostonu, ma duże szansę stać się jedną z najpoważniejszych instytucji finansowych w Ameryce. Według informacji uzyskanych przez »Tribune« udziały w banku należą do około dwudziestu osób spokrewnionych lub będących w bliskich stosunkach z obu rodzinami".

Ten szczegół bardzo ucieszył Abla, gdyż oznaczało to, że Kane utracił kontrolę nad bankiem. Przeczytał artykuł jeszcze raz. William Kane niewątpliwie umocnił swoją pozycję w świecie biznesu, odkąd skrzyżowali miecze, ale to samo Abel mógł powiedzieć o sobie. Poza tym miał jeszcze do uregulowania z nowo mianowanym szefem banku Lestera stary rachunek.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat interesy Hoteli Baron szły tak dobrze, że Abel spłacił całkowicie pożyczki zaciągnięte u swego dobroczyńcy i co do joty wywiązał się z zawartej z nim umowy, zapewniając sobie zarazem przejęcie na własność stu procent udziałów towarzystwa przed upływem wyznaczonych dziesięciu lat.

Abel nie tylko spłacił pożyczkę do końca trzeciego kwartału 1939 roku, ale zyski, jakie osiągnął za rok 1940, przekroczyły próg pół miliona dolarów. Ten doniosły moment zbiegł się z otwarciem dwóch nowych hoteli Baron, jednego w Waszyngtonie, drugiego w San Francisco.

Choć z czasem Abel stał się już mniej oddanym mężem, to z drugiej strony trudno byłoby wyobrazić sobie bardziej troskliwego ojca. Zosia, która bardzo pragnęła drugiego dziecka, w końcu namówiła go, aby dał się zbadać. Kiedy doktor powiedział mu, że z powodu niskiego poziomu spermatozoidów, najprawdopodobniej mającego przyczynę w chorobach i niedożywieniu z okresu niemieckiej i rosyjskiej niewoli, Florentyna prawie na pewno będzie jego jedynym dzieckiem, przestał marzyć o synu i odtąd pilnował, aby córce nie brakowało ptasiego mleka.

Abel stawał się sławny w całej Ameryce i nawet prasa zaczęła nazywać go „Baronem z Chicago". Przestał się już przejmować żartami, jakie opowiadano sobie za jego plecami. Władek Koskiewicz doszedł do czegoś i, co ważniejsze, nie zamierzał na tym poprzestać. W roku 1941 zyski z trzynastu hoteli wyniosły prawie milion dolarów i mając teraz pewną nadwyżkę kapitału, Abel uznał, że pora na dalszą ekspansję.

W tym czasie Japończycy zaatakowali Pearl Harbor.

Abel przekazywał stale znaczne sumy brytyjskiemu Czerwonemu Krzyżowi na pomoc dla rodaków od owego strasznego dnia we wrześniu 1939 roku, kiedy naziści wkroczyli do Polski, aby potem spotkać się z Rosjanami w Brześciu i raz jeszcze podzielić między siebie jego ojczyznę. Prowadził ostrą walkę, zarówno w samej Partii Demokratycznej, jak i w prasie, aby pchnąć ociągającą się Amerykę ku wojnie, nawet jeśli teraz miało to oznaczać przymierze z Rosjanami. Jak do tej pory, jego wysiłki były bezowocne, lecz tej grudniowej niedzieli, gdy wszystkie stacje radiowe w całym kraju obwieszczały zaszokowanemu społeczeństwu szczegóły dramatu, Abel wiedział, że teraz Ameryka musi przystąpić do wojny. Jedenastego grudnia wysłuchał przemówienia prezydenta Roosevelta, który oznajmił, że Niemcy i Włochy oficjalnie wypowiedziały Stanom Zjednoczonym wojnę. Abel bardzo chciał pójść walczyć, ale najpierw musiał wypowiedzieć swoją własną wojnę i w tym celu poprosił o połączenie go z Curtisem Fentonem z banku Continental Trust. Z biegiem lat Abel nabrał zaufania do Fentona, cenił sobie jego opinię i kiedy uzyskał pełną kontrolę nad hotelami, wprowadził go do rady nadzorczej dla podtrzymania ścisłej współpracy między Hotelami Baron a Continental Trust.

Curtis Fenton odezwał się w słuchawce, jak zawsze bardzo oficjalny i uprzejmy.

– Ile gotówki mam na rezerwowym koncie? – zapytał Abel.

Curtis Fenton odszukał w kartotece akta z napisem „Rachunek numer 6”, co nasunęło mu wspomnienia o czasach, kiedy wszystkie sprawy pana Rosnovskiego mógł zmieścić w jednej teczce. Przebiegł oczyma kilka liczb.

– Nieco poniżej dwóch milionów – odparł.

– Dobrze – powiedział Abel. – Chciałbym, aby przyjrzał się pan nowo założonemu bankowi o nazwie Lester, Kane i Spółka. Niech pan się dowie o nazwiska wszystkich udziałowców, jaki kto ma procent udziałów w banku i na jakich warunkach ci ludzie zgodziliby się je odsprzedać. Proszę to zrobić tak, aby nie dowiedział się o tym dyrektor banku, pan William Kane, i aby nigdy nie padło przy tym moje nazwisko.

Curtis Fenton wstrzymał oddech i nie powiedział ani słowa. Jak to dobrze, że Abel Rosnovski nie widział jego zdumionej twarzy. Ale dlaczego ten człowiek chce lokować pieniądze w przedsięwzięcie mające związek z Williamem Kane'em? Fenton również czytał w „Wall Street Journal" o fuzji dwóch słynnych banków rodzinnych. Z powodu Pearl Harbor i bólu głowy dokuczającego żonie również o mało nie przeoczył tej informacji. Prośba Rosnovskiego przypomniała mu, że powinien wysłać telegram gratulacyjny Williamowi Kane'owi. Zrobił notatkę u dołu karty z danymi dotyczącymi Hoteli Barona, słuchając równocześnie instrukcji Abla.

– Kiedy zbierze pan wyczerpujące informacje, chciałbym usłyszeć je od pana osobiście, nie na piśmie.

– Rozumiem, proszę pana.

Podejrzewam, że coś się między tymi dwoma szykuje, powiedział do siebie Curtis Fenton, ale, do diabła, co?

Abel mówił dalej:

– Chciałbym też, aby kwartalne sprawozdania zawierały szczegóły wszystkich oficjalnych komunikatów banku Lestera oraz informacje na temat jego powiązań z innymi towarzystwami.

– Oczywiście, proszę pana.

– Dziękuję panu. I jeszcze jedno. Moi specjaliści od marketingu doradzają mi otwarcie nowego hotelu w Montrealu.

– Czy nie obawia się pan skutków wojny?

– Na Boga, nie. Jeśli Niemcy dotrą do Montrealu, to możemy zamykać sklepik, nie wyłączając Continental Trust. Ale przecież pokonaliśmy drani poprzednim razem, to i teraz ich pokonamy. Z tą tylko różnicą, że tym razem będę mógł przyłożyć do tego rękę. Do widzenia panu.

Czy dowiem się kiedyś, co się dzieje w głowie Abla Rosnovskiego, zastanawiał się Curtis Fenton, odwieszając słuchawkę. Wrócił myślami do drugiej sprawy, o którą pytał go Abel, udziałów w banku Lestera. To niepokoiło go jeszcze bardziej. Choć Williama Kane'a nic już nie łączyło z Ablem Rosnovskim, to nie wiadomo, czym mogłoby się to skończyć, gdyby jego klient zdobył znaczący pakiet akcji banku Lestera. Postanowił, że na razie nie podzieli się swoimi spostrzeżeniami z Rosnovskim, zakładając, że przyjdzie taki dzień, kiedy jeden z nich wyjaśni mu, o co im właściwie chodzi.

Abel zastanawiał się również, czy powiedzieć Curtisowi Fentonowi, dlaczego chce kupić udziały banku Lestera, lecz doszedł do wniosku, że im mniej osób wie o jego planie, tym lepiej.

Odsunął na chwilę myśl o Williamie Kanie i poprosił sekretarkę, aby odszukała George'a, który był teraz jednym z wiceprezesów Hoteli Baron. Nabrał doświadczenia przy Ablu i stał się jego prawą ręką. Siedząc w swoim biurze na czterdziestym drugim piętrze chicagowskiego Barona, Abel spoglądał w dół na jezioro Michigan, tę jego część, która nosiła nazwę Złotego Brzegu, lecz jego myśli powędrowały ku Polsce. Rozmyślał o tym, czy dane mu będzie zobaczyć kiedyś swój zamek, który dziś znalazł się na terenach

zajętych przez Zwizek Radziecki pod rządami Stalina. Abel wiedział, że nigdy nie osiedli się w Polsce, ale wciąż jeszcze chciał odzyskać zamek. Na myśl, że Niemcy czy Rosjanie jeszcze raz będą okupować tę wspaniałą siedzibę, zapragnął znów... Jego myśli przerwało wejście George'a.

– Chciałeś ze mną rozmawiać, Ablu?

George był jedynym członkiem rady nadzorczej, który zwracał się po imieniu do „Barona z Chicago".

– Tak, George. Czy sądzisz, że potrafiłbyś utrzymać hotele na chodzie przez parę miesięcy, gdybym wziął urlop?

– Oczywiście – odparł George. – Czyżbyś wreszcie chciał pojechać na wakacje, które sobie od tak dawna obiecywałeś?

– Nie – powiedział Abel. – Idę na wojnę.

– Co? – zdziwił się George. – Co? – Nie mógł uwierzyć.

– Jutro rano jadę do Nowego Jorku, żeby zaciągnąć się do wojska.

– Chyba oszalałeś, przecież możesz zginąć.

– Tego nie planuję – odparł Abel. – Raczej postaram się, aby zginęło paru Niemców. Tym draniom nie udało się mnie załatwić za pierwszym razem i nie zamierzam dać się im teraz.

George nadal jednak się upierał, że Ameryka zdoła wygrać tę wojnę bez Abla. Zosia również protestowała; sama myśl o wojnie napawała ją wstrętem, a mała Florentyna, która właśnie skończyła osiem lat, wybuchnęła płaczem. Nie wiedziała, co to jest wojna, ale rozumiała, że tatuś musi wyjechać na bardzo długo.

Mimo tych protestów następnego dnia rano Abel poleciał pierwszym rannym samolotem do Nowego Jorku. Wydawało się, że cała Ameryka gdzieś podąża, w mieście pełno było młodych mężczyzn

w mundurach koloru khaki żegnających się z rodzicami, narzeczonymi i żonami; wszyscy zapewniali się nawzajem, że wojna skończy się w ciągu paru tygodni, ale nikt w to nie wierzył.

Abel zjawił się w nowojorskim hotelu Barona w porze obiadowej. Sala restauracyjna wypełniona była po brzegi młodymi ludźmi, dziewczętami tulącymi się kurczowo do żołnierzy, marynarzy i lotników; Frank Sinatra śpiewał sentymentalne melodie z towarzyszeniem big bandu Tommy'ego Dorseya. Przypatrując się młodym ludziom na parkiecie, Abel myślał o tym, ilu z nich będzie jeszcze kiedyś miało okazję cieszyć się takim wieczorem. Przypomniało mu się, w jaki sposób Sammy został kierownikiem sali restauracyjnej hotelu Plaza. Trzej starsi od niego stażem pracownicy wrócili z zachodniego frontu, mając razem do spółki jedną nogę. Żaden z tych tańczących młodych ludzi nie ma zielonego pojęcia, czym naprawdę jest wojna. Nie przyłączył się do świętujących – bo chyba tak można ich było określić. Wolał pójść do swego pokoju.

Rankiem następnego dnia Abel włożył skromny ciemny garnitur i udał się do biura werbunkowego na Times Square. Postanowił zaciągnąć się do wojska w Nowym Jorku, ponieważ obawiał się, że w Chicago ktoś mógłby go rozpoznać, a wtedy w najlepszym razie wylądowałby na stołku urzędniczym. W biurze werbunkowym panował jeszcze większy ścisk niż poprzedniego dnia na parkiecie tanecznym, ale tutaj nikt się do nikogo nie tulił. Abel stracił cały ranek, zanim udało mu się wypełnić jeden formularz, co w jego własnym biurze zajęłoby mu trzy minuty. Nie mógł nie zauważyć, że wszyscy inni rekruci wyglądają bardziej krzepko niż on. Potem musiał jeszcze odstać dwie godziny w kolejce do sierżanta

przeprowadzającego wywiad z rekrutami. Sierżant zapytał go o źródło utrzymania.

– Prowadzę hotel – powiedział Abel i zaczął opowiadać o swoich przeżyciach w czasie pierwszej wojny światowej.

Sierżant przyglądał się w milczeniu mężczyźnie majacemu niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i ważącemu dziewięćdziesiąt kilogramów. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Gdyby Abel powiedział mu, że jest „Baronem z Chicago", nie wątpiłby w jego opowieść o więzieniu i ucieczce, lecz Abel wolał zachować tę informację dla siebie i być traktowany jak każdy inny obywatel tego kraju.

– Jutro rano musi pan zgłosić się na badanie. – Tylko tyle powiedział sierżant, kiedy Abel zakończył swój monolog.

Następnego dnia Abel musiał znów czekać parę godzin na badanie lekarskie. Lekarz dosyć obcesowo poinformował go o jego ogólnym stanie zdrowia. Od wielu lat, chroniony przez swoją pozycję społeczną i aurę sukcesu, nie wysłuchiwał tego rodzaju komentarzy. Kiedy lekarz oznajmił mu, że dostał kategorię 4F, było to dla niego niemiłym przebudzeniem.

– Macie nadwagę, marny wzrok, słabe serce i utykacie. Powiem otwarcie, Rosnovski, nie nadajecie się do służby. Nie możemy do wojska brać ludzi, którzy jeszcze przed bitwą mogą dostać ataku serca. To nie znaczy, że nie moglibyśmy wykorzystać waszych talentów; na tej wojnie będzie sporo papierkowej roboty, jeśli was to interesuje.

Abel miał ochotę go uderzyć, ale wiedział, że to by mu nie ułatwiło zaciągnięcia się do wojska.

– Nie, dziękuję, panie sierżancie – powiedział. – Chcę walczyć z Niemcami, a nie pisywać do nich listy.

Wrócił wieczorem do hotelu przygnębiony, ale nie uznał się jeszcze za pokonanego. Następnego dnia spróbował raz jeszcze w innym biurze werbunkowym, lecz wrócił do Bostonu z tym samym rezultatem. Co prawda, drugi lekarz był nieco bardziej uprzejmy, ale również stanowczy, jeśli idzie o kondycję Abla – i tym razem dostał kategorię 4F. Abel nie miał już wątpliwości, że z jego obecnym stanem zdrowia nie może liczyć, że pozwolą mu walczyć.

Rano następnego dnia znalazł salę gimnastyczną na Zachodniej Pięćdziesiątej Ulicy, gdzie wynajął prywatnego instruktora, żeby pomógł mu odzyskać kondycję. Dzień w dzień przez trzy miesiące w pocie czoła ćwiczył, aby zrzucić zbędne kilogramy i poprawić ogólną sprawność. Uprawiał boks, zapasy, biegał, skakał wzwyż, w dal i na skakance, podnosił ciężary i stosował głodówkę. Kiedy zbił wagę do siedemdziesięciu kilogramów, instruktor zapewnił go, że nie będzie już sprawniejszy ani chudszy – to wszystko, co można osiągnąć. Abel wrócił do pierwszego biura werbunkowego i wypełnił ten sam formularz, podpisując się nazwiskiem Władysław Koskiewicz. Inny niż poprzednio sierżant był o wiele przyjaźniej nastawiony, wojskowy lekarz zaś poddał go kilku różnym badaniom i przyjął do rezerwy. Abel miał czekać na kartę mobilizacyjną.

– Ale ja chcę już teraz iść na wojnę – powiedział Abel. – Chcę bić tych drani.

– Damy panu znać, kiedy przyjdzie pora, panie Koskiewicz – powiedział sierżant. – Niech pan pilnuje kondycji i będzie gotów. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek może się przydać.

Abel skierował się ku wyjściu, widząc z wściekłością, jak młodsi, szczuplejsi Amerykanie otrzymują bez trudu przydziały do czynnej służby. Kiedy przepychał się ku drzwiom, nie wiedząc jeszcze, jakie obmyśli następne posunięcie w tych podchodach, zderzył się z wysokim, chudym jak tyka mężczyzną w mundurze z gwiazdkami na naramiennikach.

– Przepraszam, panie generale – powiedział Abel, zadzierając głowę do góry i starając się go wyminąć.

– Młody człowieku – zagadnął go generał.

Abel szedł dalej, nie przypuszczając, że te słowa mogłyby być do niego skierowane, gdyż nikt nie nazwał go młodym człowiekiem od… wolał już nie pamiętać, od jak dawna, choć miał dopiero trzydzieści pięć lat.

Generał spróbował jeszcze raz.

– Młody człowieku – powtórzył nieco głośniej.

Tym razem Abel odwrócił się.

– Ja, panie generale?

– Tak, pan.

Abel podszedł do generała.

– Czy mógłby pan pozwolić do mojego biura, panie Rosnovski?

Cholera, ten facet wie, kim jestem, i teraz nikt już nie pozwoli mi się bić w tej wojnie. Biurem generała okazał się mały pokoik na zapleczu budynku: łuszcząca się zielona farba, biurko, dwa drewniane krzesła, otwarte szeroko drzwi. Abel nie pozwoliłby, aby nawet młodszy personel w jego hotelach pracował w takich warunkach.

– Panie Rosnovski – zaczął generał, którego rozpierała energia – nazywam się Mark Clark i dowodzę Piątą Armią Stanów

Zjednoczonych. Przyjechałem tu na jednodniową inspekcję z Governors Island i to zderzenie z panem było dla mnie miłą niespodzianką. Od dawna pana obserwuję i podziwiam. Pańska droga do sukcesu to coś, co bliskie jest sercu każdego Amerykanina. A teraz proszę mi powiedzieć, co pana sprowadza do biura werbunkowego?

– Jak to co? – rzucił Abel bez namysłu. – Przepraszam, panie generale – szybko się poprawił. – Nie chciałem być nieuprzejmy, ale widzi pan, nikt nie chce mnie dopuścić na tę cholerną wojnę.

– A co chciałby pan robić na tej cholernej wojnie? – spytał generał.

– Walczyć z Niemcami – odparł Abel.

– Jako zwykły żołnierz? – zdziwił się generał.

– Tak – powiedział Abel. – Czy wam nie zależy na zwerbowaniu jak największej liczby ludzi?

– Oczywiście – powiedział generał – ale pańskie talenty mógłbym spożytkować o wiele lepiej, gdybym pana zwerbował nie jako zwykłego piechura.

– Przyjmę każdą propozycję – powiedział Abel. – Każdą.

– Jest pan pewien? – zapytał generał. – A gdybym zażądał, aby oddał pan do mojej dyspozycji swój hotel w Nowym Jorku na kwaterę główną, co by pan na to powiedział? Bo, mówiąc szczerze, panie Rosnovski, byłoby to o wiele cenniejsze, niż gdyby zabił pan nawet kilkunastu Niemców.

– Nowojorski Baron jest do pańskiej dyspozycji, panie generale – powiedział Abel. – Czy teraz puści mnie pan na wojnę?

– Pan oczywiście wie, że jest szalony? – rzekł generał.

– Jestem Polakiem – powiedział Abel. Obaj wybuchnęli śmiechem. – Musi mnie pan zrozumieć, panie generale – mówił dalej bardziej poważnym tonem. – Urodziłem się w Słonimiu. Na moich oczach Niemcy zajęli mój dom, Rosjanie zgwałcili moją siostrę. Potem uciekłem z radzieckiego obozu i szczęśliwie dotarłem do Ameryki. Nie jestem szalony. To jest jedyny kraj na świecie, do którego można przybyć bez grosza przy duszy i zostać milionerem dzięki ciężkiej pracy, niezależnie od tego, skąd się jest. Dzisiaj te same dranie znowu chcą wojny. Ja nie jestem szalony, generale, jestem tylko człowiekiem.

– Cóż, jeśli tak bardzo chce się pan zaciągnąć do wojska, mógłbym znaleźć panu zajęcie, ale nie takie jak pan sobie wyobraża. Generał Denvers potrzebuje kwatermistrza dla Piątej Armii, kiedy znajdzie się ona na linii frontu. Jeśli zgodzi się pan z Napoleonem, który mawiał, że wojsko maszeruje na brzuchu, mógłby pan odegrać ważną rolę. Na tym stanowisku przysługuje ranga majora. W ten sposób niewątpliwie pomógłby pan Ameryce wygrać tę wojnę. Co pan na to powie?

– Przyjmuję propozycję, panie generale.

– Dziękuję panu.

Generał nacisnął guzik na biurku i do pokoju wszedł młodziutki porucznik, który dziarsko zasalutował.

– Poruczniku, zaprowadźcie majora do działu uzupełnień, a potem do mnie z powrotem.

– Tak jest, panie generale. – Porucznik odwrócił się do Abla. – Proszę za mną, majorze.

Znalazłszy się przy drzwiach, Abel odwrócił się i powiedział:

– Dziękuję, panie generale.

Weekend spędził w Chicago z Zosią i Florentyną. Zosia spytała, co ma zrobić z jego piętnastoma garniturami.

– Nie pozbywaj się ich – odparł, zastanawiając się, co właściwie miała na myśli. – Nie mam zamiaru dać się zabić na tej wojnie.

– Jestem tego pewna, Ablu – odpowiedziała. – Nie o to mi chodzi. Po prostu są teraz na ciebie o dwa numery za duże.

Abel się roześmiał. Zabrał garnitury i oddał je do ośrodka dla polskich uchodźców. Potem wrócił do Nowego Jorku, udał się do Barona i odwołał wszystkie rezerwacje, a dwanaście dni później przekazał cały budynek amerykańskiej Piątej Armii. Prasa uznała decyzję Abla za „altruistyczny gest" godny człowieka, który był uchodźcą z pierwszej wojny światowej.

Zanim Abel został powołany do czynnej służby, upłynęły trzy miesiące, w ciągu których postarał się tak zorganizować pracę w hotelu, żeby wszystko grało, gdy przejmie go generał Clark, po czym zameldował się w Forcie Benning na kurs oficerski. Kiedy wreszcie otrzymał rozkaz stawienia się u generała Denversa dowodzącego Piątą Armią, okazało się, że wypadnie mu udać się gdzieś do Afryki Północnej. Zaczynał wątpić, czy kiedykolwiek dotrze do Niemiec.

W przeddzień wyjazdu Abel sporządził testament, w którym polecił wykonawcom, aby w razie jego śmierci zaproponowali Davidowi Maxtonowi przejęcie na dogodnych warunkach Hoteli Baron, a resztę majątku podzielili między Zosię i Florentynę. Po raz pierwszy od dwudziestu lat Abel brał pod uwagę możliwość własnej śmierci, choć nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób mógłby zginąć w pułkowej kantynie.

Kiedy jego statek wypływał z transportem żołnierzy z nowojorskiego portu, Abel wpatrywał się w Statuę Wolności.

Świetnie pamiętał, co czuł, kiedy zobaczył ją pierwszy raz przed prawie dwudziestu laty. Gdy statek minął Wielką Damę, Abel nie obejrzał się już więcej, lecz powiedział na głos:

„Kiedy następnym razem będę cię oglądał, ty francuska dziwko, Ameryka będzie już po wygranej wojnie".

Abel wyruszył na drugą stronę Atlantyku w towarzystwie dwóch swoich najlepszych szefów kuchni i pięciu pomocników kuchennych. Statek zacumował w Algierze siedemnastego lutego 1943 roku. Prawie rok Abel spędził w spiekocie, pyle i piasku pustyni, starając się, aby każdy żołnierz w jego dywizji był jak najlepiej karmiony.

– Jemy marnie, ale i tak o całe niebo lepiej niż inni – skomentował tę sytuację generał Clark.

Abel zarekwirował jedyny porządny hotel w Algierze i zamienił budynek na kwaterę główną generała Clarka. Choć wiedział, że spełnia pożyteczną rolę w tej wojnie, to jednak nie mógł się doczekać prawdziwej walki. Jednakże majorowie ze służby kwatermistrzowskiej rzadko trafiają na linię frontu.

Pisywał do Zosi i George'a, a dzięki fotografiom wiedział, jak rośnie jego ukochana córeczka Florentyna. Od czasu do czasu dostawał nawet list od Curtisa Fentona, który donosił mu, że Hotele Baron przynoszą teraz jeszcze większe zyski niż dawniej, gdyż wszystkie hotele w Ameryce pełne są wciąż przemieszczających się żołnierzy i cywili. Ablowi było przykro, że nie mógł uczestniczyć w otwarciu nowego Barona w Montrealu, gdzie reprezentował go George. Po raz pierwszy się zdarzyło, że nie był obecny na inauguracji nowego hotelu, ale George zapewniał go w obszernym liście, że cieszy się on ogromnym powodzeniem. Abel zaczynał powoli uzmysławiać

sobie, jak wiele wybudował już w Ameryce i jak bardzo pragnie wrócić do kraju, który – czuł to – jest teraz jego ojczyzną.

Wkrótce miał dość Afryki, manierek, menażek, gotowanej fasoli, kocy i pacek na muchy. Co prawda doszło do jednej czy dwu potyczek w zachodniej części pustyni – a w każdym razie tak mu mówili chłopcy wracający z frontu – ale Abel nigdy nie widział na własne oczy prawdziwej akcji, choć często, kiedy dowoził prowiant na linię frontu, słyszał odgłosy strzałów, co jeszcze bardziej go złościło. Któregoś dnia, ku jego wielkiemu podnieceniu, Piąta Armia generała Clarka otrzymała rozkaz dokonania inwazji w południowej Europie.

Piąta Armia wylądowała na włoskim wybrzeżu w amfibiach pod taktyczną osłoną amerykańskiego lotnictwa. Napotkali znaczny opór, wpierw pod Anzio, a potem pod Monte Cassino, jednak Abel ani razu nie brał udziału w walce i dręczył się myślą, że wojna się skończy, a on nie będzie się bił. Nie potrafił nic wykombinować, żeby dostać się na pierwszą linię. Jego szans nie zwiększył wcale awans na podpułkownika i odkomenderowanie do Londynu, gdzie miał czekać na dalsze rozkazy.

Od wylądowania wojsk w Normandii rozpoczęło się wielkie natarcie sił sprzymierzonych w Europie. Alianci wkroczyli do Francji i 25 sierpnia 1944 roku wyzwolili Paryż. Maszerując przez Pola Elizejskie za generałem de Gaulle'em wraz z oddziałami wojsk amerykańskich i żołnierzami Wolnej Francji, których witano jak bohaterów, Abel przyglądał się bacznie temu wspaniałemu miastu i podjął decyzję, gdzie we Francji ma stanąć pierwszy hotel Baron.

Wojska alianckie parły naprzód przez północną Francję, a potem dalej, przez niemiecką granicę, ostatnim zrywem na Berlin. Abel

dostał przydział do Pierwszej Armii pod dowództwem generała Bradleya. Zaprowiantowanie pochodziło głównie z Anglii; nie było mowy o zaopatrywaniu oddziałów z zapasów miejscowych, gdyż kolejne miasta, które zajmowali, zostały wcześniej splądrowane przez wycofujących się nazistów. Po przybyciu do nowego miasta Abel w ciągu kilku godzin rekwirował pozostałe jeszcze zapasy żywności, zanim inni amerykańscy kwatermistrzowie zdążyli się zorientować, gdzie należy szukać. Oficerowie z wielką ochotą stołowali się w kantynach Dziewiątej Dywizji Pancernej i zawsze się dziwili, jak udawało się rekwirować tak doskonały prowiant. Pewnego dnia, kiedy przybył generał George S. Patton, aby zjeść obiad w towarzystwie generała Bradleya, Abel został przedstawiony słynnemu generałowi, który zawsze prowadził żołnierzy do boju, wymachując swoim rewolwerem z rękojeścią wykładaną kością słoniową.

– To był najlepszy posiłek, jaki zjadłem w czasie tej całej cholernej wojny – orzekł Patton.

W lutym 1945 roku minęły prawie trzy lata od chwili, gdy Abel włożył mundur. Teraz wiedział, że zakończenie wojny to kwestia miesięcy. Generał Bradley wciąż przysyłał mu listy gratulacyjne i nic nieznaczące odznaczenia do przyozdobienia jego coraz obszerniejszego munduru, ale to ani trochę nie poprawiało nastroju Abla. Błagał generała, aby pozwolił mu wziąć udział choć w jednej bitwie, lecz Bradley nawet nie chciał o tym słyszeć.

Wprawdzie dowożenie ciężarówkami zaprowiantowania na pierwszą linię i nadzorowanie wydawania posiłków dla żołnierzy należało do obowiązków jednego z niższych rangą oficerów, to jednak Abel często brał to zadanie na siebie. I, podobnie jak to robił kierując

hotelami, zjawiał się niespodziewanie wśród swoich podwładnych, tak że nigdy nie znali oni dnia ani godziny.

W dniu św. Patryka uwagę Abla przyciągnęły napływające do obozu nieprzerwanym strumieniem okryte kocami nosze z ciałami żołnierzy. Miał wielką ochotę dotrzeć na linię walk i przekonać się na własne oczy, co się tam dzieje. Kiedy nie był już w stanie dłużej przyglądać się biernie jednokierunkowej wędrówce ciał, zebrał swoich ludzi i osobiście poprowadził na linię frontu konwój złożony z czternastu ciężarówek załadowanych żywnością. Zabrał ze sobą jednego porucznika, jednego sierżanta, dwóch kaprali i dwudziestu ośmiu szeregowców.

Dotarcie do linii frontu, choć odległość wynosiła tylko trzydzieści kilometrów, było tego ranka mocno utrudnione. Abel usiadł za kierownicą pierwszej ciężarówki – czuł się trochę jak generał Patton – i poprowadził konwój w strugach ulewnego deszczu i grząskim błocie; kilkakrotnie musiał zjeżdżać z drogi, aby przepuścić wracające z linii frontu konwoje złożone z ambulansów służb sanitarnych. Poranione ciała miały pierwszeństwo przed pustymi żołądkami. Abel całą duszą pragnął, aby większość ewakuowanych była zaledwie ranna, ale tylko czasem ruch głowy czy ręki świadczyły o życiu. Z każdym przebytym kilometrem błotnistej drogi Abel utwierdzał się w przekonaniu, że coś ważnego dzieje się w okolicy Remagen, i czuł, że serce zaczyna mu bić coraz mocniej. Coś mu mówiło, że tym razem będzie walczył.

Kiedy w końcu dotarł do stanowiska dowodzenia, słyszał z oddali odgłosy nieprzyjacielskiej broni i w bezsilnej złości walił się pięścią po udzie, widząc napływające nie wiadomo skąd ciągle nowe nosze z zabitymi i rannymi żołnierzami. Myśl, że prawdę o wojnie pozna

dopiero wtedy, gdy stanie się ona częścią historii, napawała go niesmakiem. Podejrzewał, że byle czytelnik „New York Timesa" jest o wiele lepiej poinformowany.

Abel zatrzymał swój konwój przy kuchni polowej i wyskoczył z kabiny ciężarówki, osłaniając się przed zacinającym deszczem. Było mu wstyd, że parę kilometrów dalej inni musieli osłaniać się przed gradem kul. Przystąpił do wyładowywania czterystu litrów zupy, tony wołowej mielonki, dwustu kurczaków, pół tony masła, trzech ton ziemniaków i pięćdziesięciu kilogramów gotowanej fasoli oraz nieodzownych w warunkach frontowych racji specjalnych trzymanych zawsze w pogotowiu dla tych, którzy szli na linię ognia bądź z niej wracali. Kiedy Abel wszedł do namiotu, gdzie mieściła się stołówka, ujrzał tam szereg długich stołów i ław, przy których nikt nie siedział. Zostawił tam dwóch kucharzy, aby przygotowali posiłek, i pomocników, którzy zabrali się do obierania tysiąca ziemniaków, sam zaś udał się na poszukiwanie oficera dyżurnego.

Ruszył w kierunku namiotu generała brygady Johna Leonarda, aby spytać, co się dzieje. Mijał po drodze nosze z martwymi i – co gorsza – ciężko rannymi żołnierzami, których widok przyprawiłby o mdłości zwyczajnego człowieka, ale tu, pod Remagen, był czymś normalnym. Miał właśnie wejść do namiotu, kiedy wypadł z niego generał Leonard w towarzystwie swego adiutanta. Rozmawiał z Ablem, nie zwalniając kroku.

– Czym mogę służyć, pułkowniku?

– Zgodnie z pańskim wczorajszym rozkazem, panie generale, zacząłem przygotowywać posiłek dla pańskiego batalionu. Czy…

– Na razie, panie pułkowniku, może pan nie zawracać sobie głowy posiłkiem. Dziś o świcie porucznik Burrows z Dziewiątej Armii odkrył

na północ od Remagen niezniszczony most kolejowy, wydałem więc rozkaz natychmiastowego przejścia nim na drugą stronę i ustanowienia przyczółka na wschodnim brzegu rzeki. Dotąd Niemcom udawało się wysadzać mosty na Renie na długo, zanim zdołaliśmy się do nich zbliżyć, nie możemy więc teraz obijać się, czekając na posiłek i pozwolić im wysadzić w powietrze również i tego.

– Czy Dziewiąta Pancerna zdołała przejść na drugi brzeg? – spytał zadyszany Abel.

– Jasne – odparł generał. – Ale kiedy dotarli do lasu po drugiej stronie rzeki, znaleźli się pod silnym ogniem zaporowym.

Pierwsze plutony wpadły w pułapkę i Bóg jeden wie, ilu straciliśmy ludzi. Więc niech pan lepiej sam zasiądzie do posiłku, pułkowniku, bo jedyne, co mnie teraz interesuje, to wyrwać stamtąd tylu żywych jeszcze ludzi, ilu się da.

– Czy mógłbym się na coś przydać, panie generale?

Dowódca zwolnił na chwilę kroku i przyjrzał się uważnie pulchnemu pułkownikowi.

– Ilu ma pan ludzi pod swoją bezpośrednią komendą?

– Jednego porucznika, jednego sierżanta, dwóch kaprali i dwudziestu ośmiu szeregowców; razem ze mną trzydziestu trzech ludzi, panie generale.

– Dobrze. Niech się pan zamelduje w szpitalu polowym i pomoże w transportowaniu rannych i zabitych z pola walki.

Trzeba odnaleźć jak najwięcej żołnierzy.

– Tak jest, panie generale – powiedział Abel i ruszył biegiem w stronę kuchni polowej. Jego ludzie siedzieli w rogu kuchni i palili papierosy. Nie zauważyli jego wejścia.

– Podnieście się, śmierdzące lenie. Dla odmiany mamy prawdziwą robotę.

Trzydziestu dwóch mężczyzn zerwało się z miejsc i stanęło na baczność.

– Za mną, biegiem marsz! – krzyknął Abel.

Odwrócił się i znów ruszył biegiem, tym razem w kierunku szpitala polowego. Kiedy zjawił się w wejściu do namiotu ze swoją zasapaną, niewysportowaną drużyną, młody lekarz prowadził właśnie odprawę z grupą szesnastu sanitariuszy.

– W czym mogę panu pomóc, panie pułkowniku? – zapytał lekarz.

– Myślę, że to ja mógłbym się panu przydać – odparł Abel. – Mam tu trzydziestu dwóch ludzi, których generał Leonard odkomenderował do pańskiej grupy, doktorze. – Oni sami dopiero teraz się o tym dowiedzieli.

Lekarz wpatrywał się w Abla osłupiałym wzrokiem.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Proszę nie nazywać mnie pułkownikiem – powiedział Abel. – Jesteśmy tu po to, żeby wam pomóc.

– Tak jest, panie pułkowniku – powtórzył lekarz.

Wręczył Ablowi pudełko z opaskami Czerwonego Krzyża, które kucharze, pomocnicy kuchenni i obieracze ziemniaków zaczęli zakładać na rękawy, słuchając jednocześnie lekarza, podającego szczegóły akcji na skraju lasu po drugiej stronie mostu w Ludendorff.

– Dziewiąta Dywizja Pancerna poniosła ciężkie straty – mówił lekarz. – Żołnierze z przeszkoleniem medycznym pozostaną w strefie bitwy, natomiast reszta z was postara się przetransportować do szpitala polowego tylu rannych, ilu będzie można.

Abel był zachwycony, że wreszcie nadarza mu się okazja konkretnego działania. Lekarz, mający teraz pod swoją komendą czterdziestu dziewięciu ludzi, wydał osiemnaście noszy, poza tym wręczył każdemu żołnierzowi pełny zestaw środków opatrunkowych. Następnie poprowadził tę swoją zbieraninę w kierunku mostu. Abel trzymał się tuż za nim. Maszerując w błocie i deszczu, zaczęli śpiewać. Kiedy dotarli do mostu, śpiew zamarł im na ustach na widok niekończącego się szeregu noszy, na których spoczywały owinięte w koce ciała. W milczeniu szli gęsiego przez most obok toru kolejowego, przypatrując się skutkom spowodowanego przez Niemców wybuchu, który nie zdołał zniszczyć filarów. Zbliżając się do lasu i odgłosów walki, Abel czuł podniecenie na myśl, że jest tak blisko wroga, i przerażenie na widok cierpień zadanych jego rodakom. Gdziekolwiek się zwrócił, słyszał jęki towarzyszy broni, widział ich udrękę. I pomyśleć, że jeszcze dzisiaj rzewnie myśleli o bliskim już końcu wojny. A jednak nie tak całkiem bliskim.

Widział, jak młody lekarz zatrzymuje się przy każdym kolejnym żołnierzu i robi, co tylko w jego mocy, aby przynieść mu ulgę. Czasami miłosiernie dobijał rannego, jeśli nie było cienia nadziei, że dałoby się go uratować. Abel biegał od żołnierza do żołnierza, organizując nosze dla tych, którzy nie mogli iść o własnych siłach, natomiast zdolnych do marszu odprowadzał do mostu. Nim grupa dotarła do skraju lasu, z całego jej składu pozostał tylko lekarz, jeden z żołnierzy przydzielonych do obierania ziemniaków i Abel; cała reszta wracała do obozu, dźwigając rannych i zabitych.

Kiedy we trójkę weszli do lasu, odgłosy wystrzałów armatnich znacznie się przybliżyły. Abel dostrzegł sylwetkę wielkiego działa ukrytego w zaroślach, uszkodzonego i niezdatnego już do użytku,

którego lufa wciąż jeszcze była zwrócona w kierunku mostu w Ludendorff. Nagle usłyszał tak ogłuszający huk serii z karabinu maszynowego, że po raz pierwszy uświadomił sobie, iż wróg znajduje się zaledwie o kilkaset metrów od niego. Szybko przyklęknął na jedno kolano i w najwyższym napięciu zamarł w oczekiwaniu. Nagle, tuż przed nim, znów zaterkotał karabin maszynowy. Abel poderwał się i pobiegł do przodu. Za nim niechętnie ruszyli lekarz i żołnierz. Po przebiegnięciu około stu metrów natrafili na niewielką kotlinkę porośniętą bujną, soczyście zieloną trawą, w której bielały krokusy; ten piękny kobierzec usłany był ciałami amerykańskich żołnierzy. Abel z lekarzem biegali od trupa do trupa.

– Tu musiała być prawdziwa jatka! – krzyczał oszalały z wściekłości Abel, słysząc odgłosy oddalającej się strzelaniny. Lekarz nie powiedział nic: on krzyczał tak trzy lata wcześniej.

– Zabitymi niech się pan nie przejmuje – powiedział tylko. – Ale może uda się panu znaleźć kogoś jeszcze żywego.

– Proszę tutaj! – krzyknął Abel, klękając obok sierżanta leżącego w niemieckim błocie. Jego oczodoły były puste.

– On nie żyje, panie pułkowniku – powiedział lekarz spojrzawszy tylko raz na żołnierza. Abel pobiegł ku następnemu ciału, a potem jeszcze ku innemu, ale za każdym razem było to samo i dopiero widok oderwanej głowy tkwiącej pionowo w błocie osadził go w miejscu. Wciąż oglądał się za nią do tyłu; przypominała popiersie jakiegoś greckiego boga, który zastygł w bezruchu. Abel wyrecytował jak dzieciak słowa, których nauczył się na pamięć, siedząc u stóp barona: „Krew i zniszczenie zapanują tak powszechnie, a straszne przedmioty staną się czymś tak powszednim, że matki będą się prawie radować, widząc, jak ręce wojny ćwiartują ich dzieci”.

– Czy nic się nie zmieni? – zapytał rozgoryczony.

– Jedynie pole bitwy – odparł lekarz.

Abel obejrzał trzydziestu, a może czterdziestu żołnierzy, potem wrócił do lekarza, który próbował ratować życie jakiegoś kapitana. Całe ciało miał spowite w przesiąknięte krwią bandaże, widać było tylko usta i jedno oko. Abel stał nad lekarzem, bezradnie przypatrując się jego zabiegom. Studiując naszywkę na ramieniu rannego odczytał napis – Dziewiąta Dywizja Pancerna – i przypomniał sobie słowa generała Leonarda: „Bóg jeden wie, ilu straciliśmy dziś żołnierzy".

– Pieprzeni Niemcy – powiedział Abel.

– Tak jest, panie pułkowniku – potwierdził lekarz.

– Czy on nie żyje? – spytał Abel.

– Całkiem możliwe – powiedział beznamiętnym tonem medyk. – Krwawi tak mocno, że to tylko kwestia czasu. – Podniósł wzrok na Abla. – Nie ma tu dla pana już nic do roboty, panie pułkowniku, więc może by pan spróbował jakoś dotransportować go do szpitala polowego, zanim umrze, i powiadomić dowódcę odcinka, że ruszam dalej do przodu i żeby podesłał mi wszystkie rezerwy.

– Dobrze – powiedział Abel, pomagając medykowi przenieść ostrożnie rannego kapitana na nosze. Abel i żołnierz wolno podreptali w kierunku obozu, pamiętając ostrzeżenie lekarza, że każdy gwałtowniejszy wstrząs może spowodować jeszcze większy upływ krwi. W czasie całego czterokilometrowego marszu do obozu Abel nie pozwolił swojemu pomocnikowi ani na chwilę wytchnienia. Chciał dać rannemu szansę przeżycia, a następnie wrócić do lasu.

Przez ponad godzinę człapali w gęstym błocie i deszczu, i Abel był pewien, że oficer już nie żyje. Gdy wreszcie dotarli do szpitala

polowego, byli skrajnie wyczerpani. Abel przekazał nosze z rannym pielęgniarzom.

Niesiony ostrożnie dalej kapitan otworzył niezabandażowane oko, które spoczęło na Ablu. Próbował podnieść rękę. Abel zasalutował i miał ochotę skakać z radości na widok otwierającego się oka i poruszającej się ręki. Jakże pragnął, aby ten człowiek przeżył.

Wybiegł ze szpitala, chcąc jak najszybciej powrócić z grupą swoich ludzi do lasu, kiedy natknął się na oficera dyżurnego.

– Wszędzie pana szukam, pułkowniku – powiedział oficer. – Trzeba nakarmić ponad trzystu ludzi. Chryste Panie, człowieku, gdzie się podziewałeś?

– Dla odmiany robiłem coś pożytecznego.

Idąc niespiesznie ku polowej kuchni, Abel rozmyślał o młodym kapitanie.

Dla nich obu wojna już się skończyła.

25

Noszowi wnieśli kapitana do namiotu i położyli go delikatnie na stole operacyjnym. Kapitan William Kane widział dobrze pielęgniarkę, która przyglądała mu się ze smutkiem, ale nie słyszał, co do niego mówiła. Nie był pewien, czy dlatego, że miał owiniętą bandażami głowę, czy dlatego, że ogłuchł. Obserwował ruch jej warg, ale nic nie rozumiał. Zamknął oko i myślał. Myślał dużo o przeszłości; myślał trochę o przyszłości; myślał szybko, bo bał się, że zaraz umrze. Wiedział, że jeśli przeżyje, będzie miał dość czasu na myślenie. Jego myśli pobiegły ku Kate w Nowym Jorku. Nie chciała się pogodzić z jego niezłomnym postanowieniem zaciągnięcia się do armii. William wiedział, że ona nigdy tego nie zrozumie, i że on nie potrafi uzasadnić swej decyzji, więc zaniechał wszelkich prób. Teraz wspomnienie jej zrozpaczonej twarzy prześladowało go. Tak naprawdę nigdy nie myślał o śmierci – nikt nie wierzy we własną śmierć – a teraz pragnął jedynie przetrwać i wrócić do swego dawnego życia.

William powierzył pieczę nad bankiem Lestera Tedowi Leachowi i Tony'emu Simmonsowi, którzy mieli ją sprawować wspólnie do chwili jego powrotu… jeśli wróci. Nie zostawił im instrukcji, co mieliby zrobić, gdyby nie wrócił. Obaj błagali go, aby nie szedł na wojnę. Jeszcze dwóch takich, którzy nie potrafili go zrozumieć. Kiedy parę dni później się zaciągnął, bał się, jak zareagują dzieci. Dziesięcioletni Richard dotarł na własną rękę aż na stację; powstrzymywał łzy do momentu, gdy ojciec powiedział mu, że nie może jechać z nim bić Niemców.

Najpierw skierowano Williama do szkoły dla kandydatów na oficerów w stanie Vermont. Ostatni raz widział Vermont, kiedy pojechał tam na narty z Matthew – mozolna wspinaczka na szczyt wzgórza, a potem szybki zjazd w dół. Dzisiaj wszystko mu szło powoli. Kurs trwał trzy miesiące i po raz pierwszy od opuszczenia Harvardu William znów był w dobrej kondycji.

Potem wysłano go do Londynu pełnego Jankesów, gdzie pełnił funkcję oficera łącznikowego między Brytyjczykami a Amerykanami. Został zakwaterowany w hotelu Dorchester przejętym przez brytyjskie Ministerstwo Wojny i oddanym do dyspozycji armii amerykańskiej. William czytał gdzieś, że to samo zrobił Abel Rosnovski ze swoim nowojorskim Baronem i bardzo mu się to wówczas spodobało. Zaciemnienie, naloty bombowe i syreny alarmowe – wszystko to zdawało się świadczyć o tym, że brał udział w wojnie, ale z drugiej strony czuł się dziwnie wyobcowany, daleki od tego, co działo się zaledwie kilkaset mil od Hyde Park Corner. Przez całe życie brał inicjatywę we własne ręce, nigdy nie był tylko biernym obserwatorem. Kursowanie między kwaterą główną Eisenhowera przy St. James a Wojennym Biurem Operacyjnym Churchilla przy Storey's Gate nie było tym, co William nazwałby przejawieniem inicjatywy. Zanosiło się na to, że jeśli Hitler nie dokona inwazji na Trafalgar Square, William do końca wojny nie spotka się twarzą w twarz z Niemcami.

Kiedy część Pierwszej Armii wyekspediowano do Szkocji na wspólne ćwiczenia z Królewskim Górskim Pułkiem Piechoty, William został wysłany jako obserwator z poleceniem zameldowania się po powrocie z własnymi spostrzeżeniami. Długa, niekończąca się podróż do Szkocji i z powrotem pociągiem, który wciąż się zatrzymywał,

uświadomiła mu, że w ten sposób wkrótce zostanie okrytym chwałą chłopcem na posyłki, i zaczął się zastanawiać, po co się w ogóle zaciągnął. W Szkocji, zauważył, było inaczej. Tu przynajmniej panowała atmosfera przygotowań wojennych, toteż po powrocie do Londynu poprosił o niezwłoczne przeniesienie do Pierwszej Armii. Jego dowódca, który zawsze uważał, że nie ma sensu trzymać na siłę człowieka pragnącego iść na front, wyraził zgodę.

Trzy dni później William wrócił do Szkocji, aby zameldować się w nowym pułku i wziąć udział w ćwiczeniach amerykańskich oddziałów w Inveraray przygotowujących się do inwazji, która jak wszyscy dobrze wiedzieli, musiała wkrótce nastąpić. Ćwiczenia były ciężkie i intensywne. Noce spędzane w szkockich górach na pozorowanych walkach z Królewskim Górskim Pułkiem Piechoty to jednak zupełnie coś innego niż wieczory w hotelu Dorchester spędzane na pisaniu raportów.

Po trzech miesiącach zrzucono ich ze spadochronami w północnej Francji, gdzie mieli połączyć się z armią Omara N. Bradleya, maszerującą przez Europę. W powietrzu unosił się zapach zwycięstwa i William zapragnął być pierwszym żołnierzem, który wkroczy do Berlina.

Pierwsza Armia posuwała się w kierunku Renu z niezłomnym zamiarem sforsowania każdego mostu, jaki znajdzie się na jej drodze. Kapitan Kane otrzymał tego ranka rozkazy, zgodnie z którymi jego dywizja miała przeprawić się mostem w Ludendorff i nawiązać walkę z wrogiem o milę na północ od Remagen, w lesie po drugiej stronie Renu. William stał na wzgórzu i obserwował przemarsz Dziewiątej Dywizji przez most, spodziewając się, że w każdej chwili wyleci on w powietrze.

Pułkownik dowodzący jego dywizją prowadził swoich stu dwudziestu ludzi tuż za Dziewiątą. Większość z nich, podobnie jak William, szła pierwszy raz do boju. To już nie były ćwiczenia z przebiegłymi Szkotami udającymi, że chcą go zabić ślepakami, ani zabawa, po której jedzono wspólny posiłek. Tu byli Niemcy, z prawdziwymi kulami w karabinach, śmierć – a po niej chyba już nic.

Kiedy William dotarł ze swymi ludźmi na skraj lasu, nie napotkali oporu, postanowili więc wedrzeć się dalej, w jego głąb. Poruszali się wolno, nic się nie działo, i William zaczynał już myśleć, że Dziewiąta Dywizja wykonała swoje zadanie tak dokładnie, iż jedyne, co im pozostało, to po prostu iść jej śladem, kiedy nagle, nie wiadomo skąd, zasypał ich grad kul i pocisków z moździerzy. Wydawało się, że wszystko naraz się na nich wali. Ludzie Williama padli na ziemię, szukając osłony za drzewami, jednak w ciągu paru sekund stracił połowę plutonu. Walka, jeśli można to było nazwać walką, trwała niecałą minutę, a on nie zdążył zobaczyć choćby jednego Niemca. Przykucnął na moment w mokrym poszyciu i wtedy, ku swemu przerażeniu, zobaczył, jak następny oddział zaczyna się zagłębiać w las. Wybiegł zza drzewa, aby ich ostrzec przed zasadzką. Pierwsza kula trafiła go w głowę, a kiedy opadł na kolana w niemieckie błoto, nie przestając machać rozpaczliwie ręką ku zbliżającym się żołnierzom, druga kula trafiła go w szyję, a potem trzecia w pierś. Leżał nieruchomo, czekając, myśląc o tym, że zaraz, nie ujrzawszy nawet wroga, umrze paskudną, niebohaterską śmiercią.

Kiedy się ocknął, stwierdził, że jest niesiony na noszach, ale nic nie słyszał ani nie widział i zastanawiał się, czy to już noc, czy może stracił wzrok.

Wędrówka na noszach musiała być długa. Kiedy oko Williama otworzyło się, spoczęło na niskim, krępym pułkowniku, który utykając wychodził z namiotu. Musiał już gdzieś widzieć tego człowieka, ale nie wiedział gdzie. Noszowi zanieśli go do namiotu operacyjnego i położyli na stole. Starał się odpędzić od siebie sen, bojąc się, że może to być śmierć. Zasnął.

Obudził się. Do jego świadomości docierało, że dwóch ludzi usiłuje go obudzić. Robili to bardzo delikatnie, a potem wbili mu igłę. William śnił o Kate, o matce, a potem o Matthew, który bawił się z jego synkiem, Richardem. Zasnął.

Obudził się. Miał świadomość, że przeniesiono go na inne łóżko. Przekonanie o nieuchronnej śmierci ustąpiło miejsca mglistej nadziei. Leżał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w płóciennym suficie namiotu, nie mogąc poruszyć głową. Zjawiła się pielęgniarka, która najpierw przyjrzała się uważnie karcie zdrowia, a potem jemu. Zasnął.

Obudził się. De czasu upłynęło? Zmieniła się pielęgniarka. Tym razem widział trochę więcej i – co za ulga – mógł poruszać głową, choć sprawiało mu to dotkliwy ból. Starał się nie zasnąć możliwie najdłużej; chciał żyć. Zasnął.

Obudził się. Badało go czterech lekarzy – co postanowili? Nie słyszał ich, więc niczego się nie dowiedział.

Znów go gdzieś przenosili. Tym razem mógł zaobserwować, że umieszczają go w wojskowej sanitarce. Drzwi zamknęły się za nim, zawarczał silnik i samochód ruszył po nierównym terenie. Jakaś nowa pielęgniarka siedziała obok i podtrzymywała go. Wydawało mu

się, że podróż trwała około godziny, ale nie miał już zupełnie poczucia czasu. Ambulans wjechał na równiejszy teren i stanął. Znów go niesiono. Teraz noszowi szli po równym terenie, następnie schodkami w górę do ciemnego pomieszczenia. Znów czekali, a potem pomieszczenie to zaczęło jechać, być może był to samochód. Pojazd oderwał się od ziemi. Pielęgniarka znów wbiła mu igłę i potem już nic nie pamiętał do chwili, gdy poczuł, że samolot ląduje, a następnie kołuje, aby się wreszcie zatrzymać. Jeszcze raz go niesiono. Nowy ambulans, nowa pielęgniarka, nowe zapachy, inne miasto. Nowy Jork, w każdym razie Stany Zjednoczone, pomyślał, żaden inny kraj na świecie nie ma takiego zapachu.

Nowa sanitarka wiozła go znów po gładkiej powierzchni, wciąż się zatrzymując i ruszając, aż wreszcie dotarta do celu przeznaczenia. Wydostano go z auta i poniesiono w górę schodami do niewielkiego pokoju o białych ścianach. Ułożono go w wygodnym łóżku. Czuł, jak jego głowa dotyka poduszki, a potem, kiedy znów się obudził, myślał, że jest zupełnie sam. Obraz w jego oku nabrał ostrości i William zobaczył Kate stojącą na wprost niego. Usiłował podnieść rękę i dotknąć jej, chciał przemówić, ale mu się nie udało. Uśmiechnęła się, ale wiedział, że ona nie może widzieć jego uśmiechu, a kiedy obudził się ponownie, Kate była wciąż przy nim, ale już w innej sukience. A może odchodziła i przychodziła wiele razy? Spróbował ruszyć trochę głową i zobaczył swego synka Richarda, który był teraz dużym, ładnym chłopcem. Chciał zobaczyć córeczki, ale nie udało mu się bardziej przekręcić głowy. Przesunęły się tak, aby mógł je zobaczyć: Virginia – ależ ona nie mogła już tyle urosnąć, i Lucy – nie, to niemożliwe. Gdzież podziały się te lata? Zasnął.

Obudził się. Nie było przy nim nikogo, ale teraz był w stanie już ruszyć głową. Zdjęto część bandaży i mógł lepiej widzieć; usiłował coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobyło się ani jedno słowo. Zasnął.

Obudził się. Mniej bandaży niż przedtem. Kate znów przy nim była, miała teraz dłuższe włosy, opadały jej na ramiona, a jej łagodne, brązowe oczy uśmiechały się do niego, była piękna, taka piękna. Wypowiedział jej imię. Uśmiechnęła się. Zasnął.

Obudził się. Jeszcze mniej bandaży. Tym razem przemówił do niego syn.

– Cześć, tato – powiedział. Słyszał go i odpowiedział:

– Cześć, Richard – ale nie poznawał swego własnego głosu. Pielęgniarka pomogła mu usiąść, ażeby mógł się przywitać z rodziną. Podziękował jej. Lekarz dotknął jego ramienia.

– Najgorsze ma pan za sobą, panie Kane. Wkrótce będzie pan zdrów i wróci do domu.

William uśmiechnął się, kiedy do pokoju weszła Kate, a za nią Virginia i Lucy. Chciał im zadać tyle pytań. Od czego zacząć? W jego pamięci istniały luki, które trzeba było uzupełnić. Kate powiedziała mu, że ledwo uszedł śmierci. Wiedział o tym, ale nie zdawał sobie sprawy, że od chwili, kiedy jego pluton dostał się w zasadzkę pod Remagen, minął ponad rok.

Gdzie podziały się te miesiące, przeżyte w nieświadomości, rok życia podobnego do śmierci? Richard miał prawie dwanaście lat, żył już nadzieją dostania się do Harvardu, Virginia miała dziewięć lat, a Lucy prawie siedem. Ich sukienki wydawały mu się przykrótkie. Będzie musiał na nowo poznawać swoje dzieci.

Kate była jeszcze piękniejsza, niż ją pamiętał. Opowiadała mu o tym, że nigdy nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby umrzeć, o postępach Richarda w Buckley i o tym, jak bardzo Virginii i Lucy potrzebny jest ojciec. Zebrała się na odwagę i powiedziała mu o bliznach na jego twarzy i klatce piersiowej, które nigdy nie znikną. Dziękowała Bogu, że teraz lekarze mieli już pewność, że mózg nie został uszkodzony i że odzyska w pełni wzrok. Jedyne, czego teraz pragnęła, to pomóc mu w wyzdrowieniu. Kate była cierpliwa, William niecierpliwy.

W procesie rekonwalescencji Williama każdy członek rodziny miał wyznaczone zadanie. Przede wszystkim trzeba było zająć się jego słuchem, potem wzrokiem, a następnie przywróceniem mu mowy. Richard pomagał ojcu uczyć się chodzić do chwili, gdy kule stały się niepotrzebne. Lucy pomagała mu przy jedzeniu, aż wreszcie znów mógł jeść samodzielnie, a Virginia czytała mu Marka Twaina. William nie był pewien, czy to czytanie bardziej służyło jej, czy jemu, gdyż obojgu ta lektura sprawiała przyjemność. Aż wreszcie, gdy minęły święta, wypisano go ze szpitala.

Kiedy William znalazł się w domu przy Wschodniej Sześćdziesiątej Ulicy, zaczął szybko przychodzić do siebie i lekarze zapewnili go, że w ciągu pół roku będzie mógł wrócić do pracy w banku. Pokryty bliznami, ale jak najbardziej żywy, mógł już zacząć przyjmować wizyty.

Pierwszym gościem był Ted Leach, którego wygląd Williama nieco speszył. Do tego również będzie musiał się przyzwyczaić. Ted Leach przyniósł wiadomości, które sprawiły mu radość. Pod jego nieobecność bank Lestera świetnie prosperował, a koledzy bardzo się cieszyli, że William znów będzie ich prezesem. Wizyta Tony'ego

Simmonsa zasmuciła go, gdyż dowiedział się od niego, że umarli Alan Lloyd i Rupert Cork-Smith. Będzie mu brak ich rozwagi i typowo bankierskiej prudencji. Następnie przyszedł Thomas Cohen, aby powiedzieć mu, jak bardzo się cieszy z jego powrotu do zdrowia, i po to, aby – chyba zupełnie niepotrzebnie – udowodnić, że czas nie stoi w miejscu; poinformował go mianowicie, że wycofał się z pracy zawodowej, przekazując sprawy wielu spośród swoich klientów synowi Thaddeusowi, który otworzył własne biuro w Nowym Jorku. William zwrócił uwagę, że obaj, ojciec i syn, noszą imiona apostołów. Thomas Cohen zaśmiał się i wyraził nadzieję, że pan Kane nadal będzie korzystać z usług jego firmy. William go o tym zapewnił.

– À propos, mam wiadomość, którą musi pan poznać. William wysłuchał starego prawnika w milczeniu, a to czego się dowiedział, bardzo, ale to bardzo go rozzłościło.

Księga piąta

26

Generał Alfred Jodl podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji w Rheims siódmego maja 1945 roku, tego samego dnia, kiedy Abel wrócił do Nowego Jorku, przygotowując się do uczczenia zwycięstwa i końca wojny. Raz jeszcze ulice zapełniły się młodymi ludźmi w mundurach, lecz tym razem na ich twarzach malowało się uniesienie, a nie strach. Abla bardzo przygnębił widok tak wielu mężczyzn z jedną nogą, jedną ręką, niewidomych albo pokrytych licznymi bliznami. Dla nich wojna nigdy się nie skończy, choćby nie wiadomo, jakie traktaty podpisano sześć tysięcy kilometrów stąd.

Kiedy Abel wszedł do hotelu Baron w mundurze pułkownika, nikt go nie poznał. Bo niby dlaczego miałby go ktoś poznawać? Kiedy po raz ostatni, przed dwoma laty, jego pracownicy widzieli go w cywilnym ubraniu, na jego jeszcze młodej twarzy nie było zmarszczek. Z twarzy, którą oglądali teraz, wyglądał na więcej niż trzydzieści dziewięć lat, choć tyle miał w rzeczywistości, a głębokie, zadawnione już bruzdy na czole świadczyły o tym, że wojna odbiła i na nim swoje piętno. Pojechał windą do swego biura na czterdziestym drugim piętrze i hotelowy strażnik oznajmił mu zdecydowanym głosem, że pomylił piętro.

– Gdzie jest George Novak? – zapytał Abel.

– W Chicago, panie pułkowniku – odparł strażnik.

– A więc proszę mnie z nim połączyć.

– Mam powiedzieć, że chce z nim rozmawiać…

– Abel Rosnovski.

Strażnik pospieszył spełnić polecenie.

W słuchawce odezwał się dobrze znany głos. Ciepłe słowa powitania sprawiły, że poczuł, jak miło jest być znowu w domu. Postanowił, że nie zostanie w Nowym Jorku, ale jeszcze tego samego wieczoru poleci tysiąc trzysta kilometrów do Chicago. Zabrał z sobą przygotowane przez George'a najświeższe sprawozdania, by przestudiować je w samolocie. Zapoznał się dokładnie ze szczegółami dotyczącymi rozwoju Hoteli Baron w okresie wojny i doszedł do wniosku, że George, stojąc u steru w okresie jego nieobecności, zdołał utrzymać statek na właściwym kursie. Abel nie miał do niego pretensji o to, że jako zarządca postępował z dużą ostrożnością; zyski i tak były duże, gdyż bardzo wielu pracowników zostało powołanych do armii, a hotele przez cały czas pełne były gości z powodu nieustających wędrówek wojskowych przemierzających Amerykę wzdłuż i wszerz. Abel doszedł do wniosku, że trzeba będzie natychmiast przystąpić do angażowania nowych pracowników, zanim inne hotele wyłowią najlepszych ludzi spośród tych, którzy wracają z frontu.

Kiedy znalazł się w sali przylotów 11C na lotnisku Midway, zobaczył George'a, który czekał na niego przy bramce wyjściowej, aby go powitać. Niewiele się zmienił, może trochę przytył i stracił nieco włosów. Nie minęła godzina, w czasie której zasypywali się nawzajem różnymi opowieściami, informowali się o tym, co porabiali przez ostatnie trzy lata, a Abel poczuł się, jakby nigdy nigdzie nie wyjeżdżał. Po wsze czasy będzie wdzięczny *Czarnej strzale* za to, że na jej pokładzie spotkał swego przyszłego zastępcę.

George ze swej strony bezlitośnie pokpiwał sobie z ułomności Abla, który po powrocie z wojny jeszcze bardziej utykał.

– Władzio Kuternoga z branży hotelarskiej – śmiał się. – Jak ty teraz staniesz mocno na nogi?

– Tylko Polakowi mógł przyjść do głowy taki głupi dowcip – powiedział Abel.

George, trochę urażony, patrzył na Abla tak, jak patrzy na pana skarcony psiak.

– Bogu dzięki, znalazł się głupi Polak, który zajął się wszystkim, gdy ja uganiałem się za Niemcami – dodał Abel pojednawczo.

Abel nie byłby sobą, gdyby przed wyruszeniem do domu nie dokonał krótkiego obchodu chicagowskiego Barona. Blask luksusu wyraźnie przybladł w okresie wojennych ograniczeń. Zauważył, że wiele rzeczy wymaga renowacji, ale z tym musi trochę poczekać. Teraz przede wszystkim chciał wreszcie zobaczyć żonę i córeczkę. I to był prawdziwy szok. Po tych trzech latach u George'a dostrzegł niewiele zmian, ale Florentyna miała teraz jedenaście lat i zdążyła wyrosnąć na śliczną dziewczynkę, podczas gdy Zosia, mimo swoich zaledwie trzydziestu ośmiu lat, przeobraziła się w tęgą, zaniedbaną, przedwcześnie postarzałą kobietę.

Przede wszystkim nie bardzo wiedzieli, jak się do siebie odnosić, i już po paru tygodniach Abel uświadomił sobie, że ich związek nigdy nie będzie już taki jak kiedyś. Zosia nie starała się szczególnie, aby wydać się Ablowi atrakcyjna, ani też nie pasjonowała się jego osiągnięciami. Abla bolała obojętność żony i starał się jakoś ją wciągnąć na nowo w nurt swego życia, ale ona nie reagowała na jego zachęty. Zupełnie wystarczało jej do szczęścia, jeśli mogła siedzieć spokojnie w domu i jak najmniej mieć wspólnego z Hotelami Baron. Musiał się pogodzić z myślą, że Zosia już nigdy się nie zmieni i tylko zastanawiał się, jak długo zdoła pozostać jej wierny. Był oczarowany

Florentyną, ale Zosia, nie tak ładna i o wiele mniej zgrabna niż kiedyś, stała mu się obojętna. Kiedy spali w jednym łóżku, unikał kontaktu fizycznego, a kiedy z rzadka się kochali, myślał o innych kobietach. Wkrótce doszło do tego, że pod byle pretekstem wyjeżdżał z Chicago, aby tylko być jak najdalej od przygnębionej i oskarżycielskiej twarzy żony.

Zaczął od długich wypraw do hoteli w okresie szkolnych wakacji, zabierając z sobą Florentynę. Pierwsze sześć miesięcy po powrocie do Ameryki upłynęło mu na wizytowaniu wszystkich hoteli po kolei, tak samo jak robił wówczas, gdy po śmierci Davisa Leroya przejął firmę. Przed upływem roku wszystkie odzyskały wysoki poziom zgodnie z jego ambicjami. Lecz Ablowi to nie wystarczało. Na najbliższym kwartalnym posiedzeniu rady nadzorczej poinformował Curtisa Fentona, że jego zespół specjalistów od marketingu doradza mu wzniesienie dwu hoteli, w Meksyku i Brazylii, i prowadzi badania nad możliwością budowy następnych w innych krajach.

– Będą to Mexico City Baron i Rio de Janerio Baron – powiedział Abel. Podobało mu się brzmienie tych nazw.

– No cóż, nie brak panu pieniędzy na pokrycie kosztów budowy – powiedział Curtis Fenton. – W czasie pańskiej nieobecności zapas gotówki systematycznie rósł. Właściwie mógłby pan postawić hotel, gdzie by pan tylko zapragnął. Bóg jeden wie, kiedy powie pan „dość".

– Pewnego dnia postawię Barona w Warszawie, panie Fenton, i dopiero wtedy pomyślę, czy powiedzieć „dość" – odparł Abel. – Może dołożyłem trochę Niemcom, ale wciąż nie policzyłem się z Rosjanami.

Curtis Fenton się roześmiał. Dopiero później, kiedy wieczorem opowiedział o tym żonie, doszedł do wniosku, że Abel Rosnovski

zamierza dokładnie to, co powiedział: postawić hotel Baron w Warszawie.

– A jak wyglądają moje sprawy, jeśli idzie o bank Kane'a? Nagła zmiana w tonie Abla zaniepokoiła Curtisa Fentona. Martwiło go, że Abel Rosnovski najwyraźniej nadal obwinia Kane'a o przyczynienie się do przedwczesnej śmierci Davisa Leroya. Otworzył specjalną kartotekę i zaczął czytać.

– Udziały banku Lestera, Kane'a i Spółki należą do czternastu członków rodziny Lesterów oraz do sześciu aktualnych i dawnych pracowników banku, przy czym pan Kane posiada największą, bo ośmioprocentową część udziałów.

– Czy ktoś z rodziny Lesterów zdradza chęć odsprzedania swoich udziałów? – spytał Abel.

– Być może, gdybyśmy zaoferowali odpowiednią cenę. Panna Susan Lester, córka nieżyjącego Charlesa Lestera, dała nam do zrozumienia, że rozważą taką możliwość, a pan Peter Parfitt, były wiceprezes rady nadzorczej banku Lestera, również wykazał pewne zainteresowanie naszymi propozycjami.

– Ile procent udziałów mają do spółki?

– Susan Lester ma sześć procent. Natomiast Peter Parfitt tylko dwa.

– Ile żądają za swoje udziały?

Curtis Fenton znów zajrzał do swoich notatek, podczas gdy Abel zaczął studiować sprawozdanie banku Lestera za ostatni rok. Jego wzrok zatrzymał się na artykule siódmym.

– Panna Susan Lester żąda dwóch milionów dolarów, a pan Parfitt miliona za swoje dwa procent.

– Pan Parfitt jest łakomy – powiedział Abel. – Dlatego poczekamy, aż zgłodnieje. Proszę nie zwlekając, odkupić udziały panny Susan Lester, nie zdradzając, w czyim imieniu pan występuje, i natychmiast poinformować mnie, gdyby pan Parfitt zmienił zdanie.

Curtis Fenton chrząknął.

– Czy ma pan jakieś uwagi? – spytał Abel.

Curtis Fenton zawahał się.

– Nie, nie – odparł nieprzekonywająco.

– Prawo dysponowania tym kontem bankowym powierzam komuś, kogo może pan zna, a z pewnością o nim słyszał: to znaczy panu Henry'emu Osborne'owi.

– Kongresmenowi Osborne'owi? – zapytał Curtis Fenton.

– Tak. Czy zna go pan?

– Tylko z reputacji – powiedział Fenton z lekko wyczuwalną nutką dezaprobaty, nie podnosząc głowy znad notatek.

Abel zignorował zawoalowany przytyk. Doskonale wiedział, z jakiej reputacji znany jest Henry Osborne, ale ponieważ równocześnie miał on tę zaletę, że potrafił załatwić wszystko bez pośrednictwa biurokratów, a nawet przyspieszyć decyzję o charakterze politycznym, Abel uznał, że warto zaryzykować. Nie mówiąc już o tym, że łączyła ich zwyczajnie i po prostu nienawiść do Kane'a.

– Poza tym zaproponowałem Osborne'owi miejsce w radzie nadzorczej i powierzyłem mu nadzór nad naszymi udziałami banku Kane'a. Informację tę, jak zwykle, proszę traktować jako ściśle poufną.

– Jak pan sobie życzy – powiedział Fenton z rezygnacją, zastanawiając się, czy powinien podzielić się z Ablem Rosnovskim

swoimi wątpliwościami.

– Proszę dać mi znać, jak tylko sfinalizuje pan transakcję z panną Susan Lester.

– Oczywiście, proszę pana – powiedział Curtis Fenton, wciąż nie podnosząc głowy.

Abel wrócił do Barona. Czekał tam na niego Henry Osborne, którego zaprosił na lunch.

– Jak się masz, kongresmenie? – przywitał go Abel, kiedy spotkali się w hotelowym hallu.

– A ty, baronie? – zapytał Henry, po czym obaj wybuchnęli śmiechem i udali się ramię w ramię do sali restauracyjnej. Usiedli przy stoliku w rogu.

Abel obsztorcował kelnera za to, że podaje do stołu w kamizelce, przy której brak guzika.

– Jak się miewa twoja żona, Ablu?

– Świetnie. A twoja, Henry?

– Doskonale.

Obaj łgali.

– Jakieś ważne wieści?

– Tak. Sprawa koncesji dla ciebie w Atlancie jest na dobrej drodze – powiedział Henry konspiracyjnym tonem. – Niezbędne dokumenty zostaną przepchnięte w ciągu najbliższych kilku dni. Będziesz mógł rozpocząć budowę hotelu w Atlancie z początkiem miesiąca.

– Ale wszystko to nie mija się za bardzo z prawem?

– Robimy tylko to, co konkurencja, mogę ci zaręczyć, Ablu – roześmiał się Osborne.

– To dobrze, Henry. Nie chciałbym mieć kłopotów z wymiarem sprawiedliwości.

– Nie ma obawy – odparł Henry. – Tylko ty i ja znamy sprawę.

– Dobrze – powiedział Abel. – Przez te lata, Henry, wiele mi pomogłeś i chciałbym ci się odwdzięczyć za wyświadczone mi przysługi. Co byś powiedział na stanowisko członka rady nadzorczej Hoteli Baron?

– Byłbym zaszczycony!

– Nie kpij sobie ze mnie. Dobrze wiesz, że twoja pomoc w uzyskaniu koncesji od władz stanowych i miejskich była bezcenna. Nie starczyłoby mi czasu na użeranie się z tymi wszystkimi politykami i biurokratami. Zresztą, Henry, oni wolą mieć do czynienia z facetem po Harvardzie, nawet jeśli nie ma on zwyczaju pukać do drzwi, ale wyważa je kopniakiem.

– Wynagrodziłeś mnie bardzo szczodrze, Ablu.

– Nie bardziej niż sobie zasłużyłeś. Chciałbym teraz, abyś wziął na siebie jeszcze inną, poważniejszą sprawę, która szczególnie leży mi na sercu. Tu również trzeba będzie zachować pełną dyskrecję. Przeprowadzenie tej sprawy nie zajmie ci wiele czasu, a pozwoli nam zrewanżować się naszemu wspólnemu przyjacielowi z Bostonu, Williamowi Kane'owi.

Maître d'hôtel zjawił się z dwoma dużymi, średnio wysmażonymi rumsztykami. Henry z uwagą słuchał Abla, który wyłuszczał mu swój plan.

Parę dni później, 8 maja 1946 roku, Abel pojechał do Nowego Jorku na uroczystość Pierwszej Rocznicy Dnia Zwycięstwa. W sali restauracyjnej Barona wydał przyjęcie dla ponad tysiąca polskich weteranów wojny, a jako gościa honorowego zaprosił generała

Kazimierza Sosnkowskiego, dowódcę Polskich Sił Zbrojnych we Francji od roku 1943. Cieszył się na tę uroczystość już od wielu tygodni i zabrał ze sobą do Nowego Jorku Florentynę, Zosię zostawiając w Chicago.

W wieczór obchodów sala bankietowa nowojorskiego hotelu Baron prezentowała się odświętnie, każdy ze stu dwudziestu stolików przyozdobiony był chorągiewką z amerykańskimi gwiazdkami i paskami oraz biało-czerwonymi barwami polskimi. Ściany udekorowano ogromnymi fotografiami Eisenhowera, Pattona, Bradleya, Hodgesa, Paderewskiego i Sikorskiego. Abel usiadł przy głównym stole, mając po swojej prawej stronie generała, a po lewej Florentynę.

Kiedy generał Sosnkowski wstał z miejsca, aby przemówić do zebranych, ogłosił wpierw, że pułkownik Abel Rosnovski został mianowany dożywotnim prezesem Polskiego Stowarzyszenia Weteranów Wojny w uznaniu osobistych zasług dla wspólnej sprawy Polaków i Amerykanów, a szczególnie za wspaniałomyślny dar, jakim było oddanie nowojorskiego hotelu Baron do dyspozycji armii amerykańskiej na cały okres trwania wojny. Z tyłu sali rozległ się głos jakiegoś weterana, który wypił kieliszek za dużo.

– Ci z nas, którzy nie dali się Niemcom, wytrzymali jakoś strawę, jaką karmił nas Abel.

Tysiąc weteranów wybuchnął śmiechem, wznosząc okrzyki i toasty na cześć Abla i przepijając do niego gdańską wódką, a potem wszyscy ucichli, gdy generał zaczął mówić o losie powojennej Polski, która znalazła się w żelaznych kleszczach Rosji i Stalina. Zagrzewał rodaków na emigracji do niezmordowanej walki o przywrócenie ojczyźnie niepodległości. Abel chciał wierzyć, że Polska pewnego dnia

znów będzie wolna i że dożyje może nawet chwili, kiedy wróci do niego jego zamek, choć wątpił, aby było to prawdopodobne po sukcesie, jaki Stalin odniósł w Jałcie.

Generał przypomniał zebranym, że Amerykanie polskiego pochodzenia, licząc na głowę ludności, złożyli więcej ofiar ze swego życia i dali więcej pieniędzy na prowadzenie wojny niż jakakolwiek inna grupa etniczna w Stanach Zjednoczonych.

– ...Ilu Amerykanów zechce uwierzyć, że Polska straciła sześć milionów obywateli, podczas gdy Czechosłowacja tylko sto tysięcy. Niektórzy uważają, że postąpiliśmy głupio, nie poddając się w chwili, gdy już wiedzieliśmy, że zostaniemy pokonani. Ale jak naród, który potrafił przypuścić kawaleryjski atak na potęgę nazistowskich czołgów, mógł uwierzyć we własną porażkę? I powiem wam, przyjaciele, że i teraz nie uważamy się za pokonanych. – Wszyscy Polacy na sali zaczęli klaskać.

Abel pomyślał ze smutkiem, że większość Amerykanów wyśmiewała się z wojennego wysiłku Polaków, a już szczególnie ich śmieszyła postać Polaka-bohatera. Generał odczekał, aż sala ucichnie, po czym opowiedział przysłuchującym się uważnie zgromadzonym, jak Abel powiódł swoich ludzi, aby ewakuować spod Remagen rannych i zabitych żołnierzy. Kiedy skończył i usiadł, weterani powstali i zgotowali generałowi i Ablowi gorącą owację. Florentyna bardzo była dumna ze swego ojca.

Abel był zaskoczony, kiedy rankiem następnego dnia znalazł opis swojego wyczynu w gazetach, gdyż, jeśli nie liczyć polskiego „Dziennika Związkowego", osiągnięcia Polaków rzadko znajdowały oddźwięk w środkach przekazu. Wątpił, czy prasa zainteresowałaby się tą historią, gdyby nie chodziło o „Barona z Chicago". Abel pławił

się w glorii zapoznanego amerykańskiego bohatera, która spłynęła na niego nieoczekiwanie i większą część dnia spędził na pozowaniu do zdjęć i udzielaniu wywiadów.

Gdy nastał wieczór, uczucie uniesienia przerodziło się w przygnębienie. Generał odleciał do Los Angeles na kolejną uroczystość, Florentyna wróciła do szkoły w Lake Forest, George był w Chicago, a Henry Osborne w Waszyngtonie. Hotel wydał mu się wielki i pusty. Abel wcale nie miał ochoty wracać do Chicago do Zosi.

Postanowił zjeść wcześniej kolację, a potem przejrzeć tygodniowe raporty z innych hoteli przed powrotem do swego prywatnego apartamentu na ostatnim piętrze, sąsiadującego przez ścianę z biurem. Rzadko jadał posiłki samotnie u siebie, gdyż bardzo lubił, gdy usługiwano mu w którejś z sal restauracyjnych hotelu: w ten sposób mógł trzymać rękę na pulsie. Im więcej kupował i budował nowych hoteli, tym bardziej obawiał się utraty bezpośredniego kontaktu z personelem.

Zjechał windą na dół i skierował się ku recepcji, aby spytać, ilu gości zatrzymało się tego dnia w hotelu, lecz jego uwagę przykuła atrakcyjna kobieta wypełniająca hotelowy formularz. Przysiągłby, że gdzieś już widział ten profil, ale nie miał pewności. Ocenił ją na jakieś trzydzieści pięć lat. Kiedy skończyła pisać, odwróciła się i spojrzała na niego.

– Witaj, Ablu – powiedziała. – Jak miło cię widzieć.

– O Boże, to ty, Melanie. W pierwszej chwili cię nie poznałem.

– Za to ciebie trudno byłoby nie poznać, Ablu.

– Nie wiedziałem, że jesteś w Nowym Jorku.

– Wpadłam tylko na jeden dzień. Służbowo, w związku z czasopismem ilustrowanym, dla którego pracuję.

– Jesteś dziennikarką? – spytał Abel niedowierzająco.

– Nie, jestem doradcą ekonomicznym wydawnictwa prasowego, które ma siedzibę w Dallas. Wysłali mnie do Nowego Jorku w celu przeprowadzenia badań marketingowych.

– Brzmi to imponująco.

– Zapewniam cię, że to nic poważnego – powiedziała Melanie – ale absorbuje mnie na tyle, że nie mam czasu na figle.

– A może znalazłabyś czas, aby zjeść ze mną kolację?

– Świetny pomysł, Ablu, ale jeśli mógłbyś trochę poczekać, to chciałabym najpierw wziąć kąpiel i przebrać się.

– Ależ oczywiście. Spotkamy się w głównej sali restauracyjnej, jak tylko będziesz gotowa. Przyjdź do mojego stolika, powiedzmy, za godzinę.

Uśmiechnęła się, co oznaczało zgodę, i poszła za pikolakiem w kierunku windy. Abel poczuł zapach jej perfum, kiedy go mijała.

Godzinę, jaka dzieliła go od spotkania, spędził na lustrowaniu sali restauracyjnej i kuchni; dopilnował, aby na ich stoliku znalazły się świeże kwiaty, i wybrał potrawy, które chciał zamówić dla Melanie. Na koniec, nie mając nic więcej do roboty, usiadł bez przekonania przy stoliku. Przyłapał się na tym, że nieustannie spogląda na zegarek i na drzwi, wypatrując Melanie. Toaleta zajęła jej więcej niż godzinę, ale okazało się, że warto było poczekać. Kiedy zjawiła się w drzwiach w długiej, niewątpliwie kosztownej, obcisłej sukni, która mieniła się i połyskiwała w sztucznym świetle lamp, wyglądała uroczo. Maître d'hôtel przyprowadził ją do stolika Abla, który wstał na powitanie. Kelner otworzył natychmiast butelkę szampana Krug z dobrego rocznika i nalał im obojgu.

– Witaj, Melanie – powiedział Abel, wznosząc kieliszek. – Jakże miło widzieć cię w Baronie.

– Jakże miło zobaczyć samego barona – odparła – zwłaszcza w tak uroczystym dla niego dniu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Abel.

– Wiem wszystko o twoim wspaniałym przyjęciu z „New York Post", który czytałam dziś po południu, i o tym jak ryzykowałeś życie, niosąc pomoc rannym pod Remagen. Nie mogłam się oderwać od artykułu przez całą drogę ze stacji do hotelu. Zrobili z ciebie coś pośredniego między Audie Murphym a Pomnikiem Nieznanego Żołnierza.

– Mocno przesadzili – powiedział Abel.

– Nigdy w niczym nie zachowywałeś umiaru, Ablu, więc muszę przyjąć, że wszystko, co o tobie napisano, to prawda.

Dolał jej szampana.

– Prawdą jest, że zawsze trochę się ciebie bałem, Melanie.

– Baron miałby się kogoś bać? Nie wierzę.

– No cóż, moja miła, nie jestem typem dzielnego dżentelmena z Południa, jak mi to kiedyś wyraźnie dałaś do zrozumienia.

– I czego nie możesz mi zapomnieć – uśmiechnęła się przekornie. – Czy poślubiłeś tę swoją wymarzoną, miłą polską dziewczynę?

– Tak.

– I jak ci się z nią ułożyło?

– Nie najlepiej. Jest teraz gruba, ma czterdzieści lat i już mnie nie pociąga.

– I oczywiście cię nie rozumie – powiedziała Melanie, zdradzając brzmieniem głosu przyjemność, jaką sprawiła jej odpowiedź Abla.

– A ty znalazłaś sobie męża? – zapytał Abel.

– O tak – odparła Melanie. – Wyszłam za prawdziwego dżentelmena z Południa, człowieka z odpowiednich sfer.

– Moje gratulacje – powiedział Abel.

– Rozwiodłam się z nim zeszłego roku… Otrzymując sporą część majątku.

– Och, jakże mi przykro – powiedział Abel, nie kryjąc zadowolenia. – Może jeszcze szampana?

– Czy przypadkiem nie próbujesz mnie uwieść, Ablu?

– Poczekam, dopóki nie skończysz zupy, Melanie. Polscy imigranci, nawet ci z pierwszego pokolenia, mają jakieś moralne zasady, choć, przyznaję, teraz moja kolej.

– W takim razie muszę cię ostrzec, Ablu, że od rozwodu nie spałam z żadnym mężczyzną. Nie, żebym narzekała na brak propozycji, ale żadna mnie nie zadowalała. Za dużo obłapiania, za mało uczucia.

Po wędzonym łososiu, pieczeni z jagnięcia, *crème brûlée* i butelce Mouton Rothschild z przedwojennych zapasów, opowiadali sobie nawzajem dokładnie, co wydarzyło się w ich życiu od czasu ostatniego spotkania.

– Kawę wypijemy u mnie, Melanie?

– Czy mam inny wybór po tak doskonałej kolacji? – spytała.

Abel się roześmiał i poprowadził ją ku wyjściu z sali, a następnie do windy. Wchodząc do niej, leciutko się zachwiała na swoich wysokich obcasach. Abel nacisnął guzik oznaczony numerkiem czterdzieści dwa. Melanie patrzyła w górę na zmieniające się cyfry.

– Dlaczego nie ma dwunastki? – spytała bez ubocznej myśli.

Abel nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Ostatnim razem, kiedy piłam kawę w twoim pokoju… – znów się odezwała Melanie.

– Nie przypominaj mi – powiedział Abel, który wciąż dobrze pamiętał tamten przykry dla niego moment.

Kiedy wyszli z windy na czterdziestym drugim piętrze, pikolak otworzył przed nimi drzwi do apartamentu Abla.

– Fantastyczne! – powiedziała Melanie, omiatając wzrokiem wnętrze podniebnego apartamentu Abla. – Muszę przyznać, że umiałeś przyjąć styl, jaki przystoi multimilionerowi. Nigdy w życiu nie widziałam wnętrza urządzonego z takim przepychem, Ablu.

Abel miał właśnie wyciągnąć ku niej ręce, kiedy ktoś zapukał. W drzwiach stanął młody kelner, który przyniósł dzbanek z kawą i butelkę Remy Martin.

– Dziękuję, Mike – powiedział Abel. – To na dziś wszystko.

– Jesteś pewien? – spytała Melanie, uśmiechając się.

Kelner byłby się zaczerwienił, gdyby nie był Murzynem, i szybko wyszedł.

Abel nalał jej kawy i koniaku. Sączyła alkohol powoli, siedząc na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Abel również chętnie usiadłby w ten sposób, ale że było to dla niego zbyt trudne, wyciągnął się obok Melanie na podłodze. Gładziła jego włosy, a tymczasem jego dłoń ostrożnie wędrowała w górę jej uda.

O Boże, jak dobrze pamiętał te nogi. Kiedy ich usta zetknęły się po raz pierwszy, Melanie strząsnęła ze stopy pantofelek, przewracając filiżankę z kawą, która wylała się na perski dywan.

– Cholera – powiedziała – zniszczyłam twój piękny dywan.

– Nie szkodzi – odparł Abel, przyciągając ją ku sobie i zabierając się do zamka błyskawicznego przy jej sukni. Melanie rozpięła guziki jego koszuli i Abel starał się ją zdjąć nie przestając całować Melanie, ale udaremniły to spinki u mankietów, zrezygnował więc i pomógł Melanie wyśliznąć się z sukni. Jej ciało nie utraciło nic ze swej urody, było dokładnie takie, jakim je zapamiętał, a nawet, dzięki temu, że się zaokrągliła, jeszcze bardziej pociągające. Te jędrne piersi i długie kształtne nogi… Zaniechał walki ze spinkami i wypuścił Melanie z ramion, aby się rozebrać, świadom, jak wielki kontrast musi stanowić jego fizyczna powłoka w porównaniu z pięknym ciałem Melanie. Miał tylko nadzieję, że wszystko, co czytał o fascynacji, jakiej ulegały kobiety wobec silnych mężczyzn, jest prawdą. Nie skrzywiła się na widok jego ciała jak kiedyś. Łagodnie zaczął pieścić jej piersi i rozchylać ręką uda. Perski dywan był wygodniejszy od najlepszego nawet łóżka. Teraz ona próbowała rozebrać się do końca, nie przerywając pocałunku. Musiała się jednak poddać. Wreszcie zrzuciła z siebie wszystko, z wyjątkiem, na życzenie Abla, pasa i pończoch.

Kiedy usłyszał jej jęk rozkoszy, uzmysłowił sobie, ile czasu minęło, odkąd ostatni raz przeżywał taką ekstazę, a potem – jak krótkotrwałe jest to doznanie. Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło, oboje ciężko oddychali.

Abel parsknął śmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała Melanie.

– Z niczego – powiedział Abel, któremu przypomniało się spostrzeżenie doktor Johnson, że taka pozycja jest groteskowa, a moment rozkoszy trwa bardzo krótko.

Abel położył się na boku, a Melanie oparła głowę na jego ramieniu. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie pragnie już jej bliskości, i

kiedy leżał zastanawiając się, w jaki sposób jej się pozbyć, żeby nie wypadło to niegrzecznie, Melanie powiedziała:

– Niestety, nie mogę zostać tu przez całą noc, Ablu. Wcześnie rano mam spotkanie i muszę się trochę wyspać. Wolałabym nie wyglądać tak, jakbym spędziła noc na twoim perskim dywanie.

– Naprawdę musisz już iść? – zapytał Abel stosownie zawiedzionym głosem.

– Przykro mi, kochanie, ale tak. – Wstała i poszła do łazienki.

Abel przyglądał się, jak się ubiera, i pomógł jej zapiąć zamek błyskawiczny. O ileż łatwiej zapinało się wszystko teraz, kiedy się nie spieszył, niż rozpinało przedtem w pośpiechu. Na pożegnanie pocałował ją szarmancko w rękę.

– Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy – skłamał.

– Ja też – odparła, zdając sobie sprawę, że mu na tym nie zależy.

Zamknął za nią drzwi i podszedł do telefonu stojącego przy łóżku.

– Który numer zajmuje panna Melanie Leroy? – zapytał.

Musiał chwileczkę poczekać; słyszał szelest hotelowych kart meldunkowych.

Niecierpliwie bębnił palcami po blacie nocnego stolika.

– Nie mamy takiego nazwiska w naszym rejestrze, proszę pana – usłyszał wreszcie odpowiedź. – Jest natomiast zameldowana niejaka pani Melanie Seaton z Dallas w Teksasie, która przyjechała dziś wieczór i zwalnia pokój jutro rano.

– Tak, to ona – powiedział Abel. – Proszę dopilnować, aby należnością za nocleg obciążono moje konto.

– Tak, proszę pana.

Odłożył słuchawkę i zanim poszedł do łóżka, wziął porządny zimny prysznic. Odprężony podszedł do kominka, aby wyłączyć lampę, która oświetlała jego pierwszy cudzołożny akt, i zobaczył na perskim dywanie wyschniętą już, dużą plamę po kawie.

– Głupia dziwka – powiedział na głos i wyłączył światło.

W ciągu następnych miesięcy od tamtej nocy na perskim dywanie Abla pojawiło się więcej plam po kawie. Jedne były dziełem kelnerek, inne pamiątkami po innych kobietach i ich nocnych wizytach, coraz częstszych w miarę, jak oddalał się od Zosi. Nie przewidział tylko jednego, a mianowicie, że Zosia wynajmie prywatnego detektywa, aby go śledzić, a potem wystąpić o rozwód. Rozwód był czymś zupełnie nieznanym w środowisku jego polskich przyjaciół, o wiele popularniejsza była separacja albo porzucenie. Abel próbował nawet odwieść Zosię od powziętego zamiaru, zdając sobie doskonale sprawę, że rozwód zaszkodzi jego pozycji w polskiej społeczności, a już na pewno nie pomoże mu w realizacji ambitnych planów natury towarzyskiej czy politycznej, jakie snuł ostatnio. Lecz Zosia uparła się, zdecydowana postawić na swoim. Abel nie mógł się nadziwić, że kobieta, która tak po prostacku podchodziła do jego sukcesów, potrafiła, jak ujął to George, przeobrazić się w demona zemsty.

Kiedy Abel udał się po poradę do swego adwokata, miał okazję uzmysłowić sobie, ile kelnerek i niepłacących rachunków klientek hotelu przewinęło się przez jego życie w minionym roku. Ustąpił. Postanowił jedynie walczyć o przyznanie mu opieki nad trzynastoletnią teraz Florentyną, pierwszą prawdziwą miłością jego życia. Po długiej walce Zosia poddała się, otrzymując na pociechę pięćset tysięcy dolarów i dom w Chicago oraz prawo widywania Florentyny w każdy ostatni weekend miesiąca.

Abel przeniósł swoją kwaterę główną do Nowego Jorku, gdzie zamieszkał na stałe. George nadał mu przydomek „Baron z Chicago na wygnaniu”, gdyż Abel przemierzał teraz Amerykę wzdłuż i wszerz, budując wciąż nowe hotele i tylko od czasu do czasu zaglądał do Chicago, kiedy musiał zobaczyć się z Curtisem Fentonem.

27

Na stoliku obok fotela Williama w saloniku leżał otwarty list. William, w szlafroku, odczytał go trzeci raz, starając się odgadnąć, dlaczego Ablowi Rosnovskiemu tak bardzo zależy na wykupieniu jak największej ilości udziałów banku Lestera i w jakim celu powołał Henry'ego Osborne'a do rady nadzorczej Hoteli Baron. Uznał, że nie może już dłużej ryzykować gubienia się w domysłach i podniósł słuchawkę telefonu.

Nowy Cohen okazał się młodszą wersją swego ojca. Kiedy zjawił się w domu przy Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy, nie musiał się wcale przedstawiać; włosy zaczęły mu siwieć i przerzedzać się dokładnie w tych samych miejscach co ojcu, a jego krępą postać okrywał dokładnie taki sam garnitur. Właściwie mógł to być nawet ten sam garnitur. William przyglądał mu się, ale nie dlatego, że młody Cohen tak bardzo był podobny do ojca.

– Nie pamięta mnie pan? – spytał adwokat.

– Dobry Boże – rzekł William. – Wielka debata w Harvardzie, rok tysiąc dziewięćset dwudziesty...

– ...dwudziesty ósmy. Wygrał pan debatę, a potem zrezygnował pan z mojego powodu z członkostwa klubu „Porcellian".

William wybuchnął śmiechem.

– Być może pójdzie nam lepiej w jednej drużynie, jeśli pańskie socjalistyczne poglądy pozwolą panu działać na rzecz bezwstydnego kapitalisty.

Wstał, aby uścisnąć rękę Thaddeusa Cohena. Przez moment mogło się wydawać, że znów są studentami.

William się uśmiechał.

– Nie dostał pan wtedy drinka w „Porcellian". Czego się pan napije?

Thaddeus Cohen odmówił poczęstunku.

– Nie piję – powiedział, mrugając oczyma w ten sam rozbrajający sposób, który William tak dobrze pamiętał – …i obawiam się, że teraz również ja sam jestem bezwstydnym kapitalistą.

Okazało się, że młody Cohen ma głowę na karku jak ojciec, podobną nie tylko w sensie fizycznym, ale i umysłowym, i że zanim stanął przed Williamem, zapoznał się ze sprawą Rosnovskiego i Osborne'a w najdrobniejszych szczegółach. William wyjaśnił mu dokładnie, czego od niego oczekuje.

– Proszę o natychmiastowe sporządzenie raportu, a potem o następne co trzy miesiące, uzupełniane na bieżąco, jak dotychczas. Dyskrecja jest nadal sprawą najwyższej wagi – powiedział – ale chcę znać każdy fakt, jaki tylko uda się panu wyszperać. Dlaczego Rosnovski skupuje udziały banku Lestera? Czy nadal uważa, że jestem odpowiedzialny za śmierć Davisa Leroya, czy kontynuuje swoją walkę z bankiem Kane'a i Cabota nawet teraz, kiedy stał się on częścią banku Lestera? Jaką rolę odgrywa w tym Henry Osborne? Czy mogłoby się na coś przydać moje spotkanie z Rosnovskim, zwłaszcza gdybym mu powiedział, że to bank, a nie ja odmówiłem poparcia Hotelom Richmond?

Pióro Thaddeusa Cohena śmigało po papierze z taką samą furią, jak kiedyś pióro jego ojca.

– Muszę znać pilnie odpowiedź na te wszystkie pytania, abym mógł zdecydować, czy nie należy powiadomić o tym rady nadzorczej banku.

Zamykając teczkę, Thaddeus Cohen uśmiechnął się uśmiechem swego ojca.

– Przykro mi, że musi się pan borykać z tego rodzaju kłopotami, będąc wciąż jeszcze rekonwalescentem. Zgłoszę się do pana natychmiast, jak tylko coś będę wiedział. – Zatrzymał się przy drzwiach. – Mam wiele podziwu dla pańskiego czynu pod Remagen.

Bardzo szybko, w ciągu paru miesięcy, William odzyskał dobre samopoczucie i wigor, a blizny na jego twarzy i klatce piersiowej zbladły i stały się prawie niezauważalne. Nocami Kate często przesiadywała przy nim, dopóki nie zasnął, i szeptała: „Bogu niech będą dzięki, że cię oszczędził". Potworne bóle głowy i zaniki pamięci należały do przeszłości, a prawe ramię odzyskało dawną siłę. Kate nie pozwoliła mu wrócić do pracy, póki nie odbyli wpierw długiego, kojącego nerwy rejsu do Indii Zachodnich. William i Kate odprężyli się i wypoczęli jak nigdy od czasu dwu tygodni spędzonych wspólnie w Londynie. Kate nie mogła się nacieszyć, że nie ma tu banków, gdzie William mógłby robić interesy, choć obawiała się, że gdyby pozostali na pokładzie jeszcze tydzień, William kupiłby statek, traktując go jako najnowszą pozycję w płynnych aktywach banku Lestera i zabrał się natychmiast do reorganizowania pracy załogi, tras, rozkładu kursów, a nawet sposobu sterowania „łódką", jak z uporem nazywał tego pasażerskiego olbrzyma. Kiedy zacumowali w nowojorskim porcie, opalony, zmęczony bezczynnością William nie dał się odwieść od zamiaru natychmiastowego powrotu do pracy.

Wkrótce całkowicie pochłonęły go sprawy banku. W Ameryce pojawił się nowy gatunek mężczyzn, zahartowanych przez wojnę, przedsiębiorczych i błyskawicznie działających menadżerów kierujących amerykańskimi bankami pod bacznym okiem prezydenta Trumana, człowieka, który zaskoczył wszystkich, odnosząc zwycięstwo w walce o drugą kadencję w Białym Domu, mimo że zdążono poinformować cały świat, iż wybory na pewno wygra Dewey. Najwyraźniej zawiedziony swoją przepowiednią dziennik „Chicago Tribune" ogłosił później, że w rzeczywistości wybory wygrał Dewey, ale mimo to Harry S. Truman pozostał w Białym Domu. William wiedział bardzo niewiele o niepozornym byłym senatorze z Missouri poza tym, co wyczytał z gazet, i jako zagorzały zwolennik Partii Republikańskiej miał nadzieję, że znajdzie ona odpowiedniego człowieka, który poprowadzi ją do zwycięstwa w wyborach w 1952 roku.

Nadszedł pierwszy raport od Thaddeusa Cohena; Abel Rosnovski nadal rozglądał się za udziałami banku Lestera i próbował nakłonić wszystkich pozostałych spadkobierców do ich sprzedaży, lecz do skutku doszła tylko jedna transakcja. Susan Lester odmówiła spotkania z adwokatem Williama, nie mógł się więc dowiedzieć, dlaczego sprzedała swój sześcioprocentowy udział. Zdołał jedynie ustalić, że nie uczyniła tego z powodów finansowych.

– „Piekło nie odda furii wzgardzonej kobiety"* – mruknął pod nosem William.

Dokument był cudownie treściwy.

Wynikało z niego, że Henry Osborne został członkiem rady nadzorczej Hoteli Baron w maju 1947 roku. Do jego szczególnych obowiązków miało należeć sprawowanie pieczy nad kontem w banku

Lestera. Co ciekawsze, Abel Rosnovski przejął udziały Susan Lester tak, że nie sposób było powiązać transakcji czy to z jego nazwiskiem, czy z nazwiskiem Osborne'a. Rosnovski miał teraz w ręku sześć procent udziałów banku Lestera i wyglądało na to, że gotów jest zapłacić co najmniej siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, aby przejąć dwa procent udziałów Petera Parfitta. William doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jakie posunięcie mógłby wykonać Rosnovski jako właściciel ośmiu procent udziałów. Jeszcze bardziej niepokoił Williama fakt, że bank Lestera nie dorównywał dynamiką rozwoju Hotelom Barona, które zaczynały już doganiać swoich największych rywali – hoteli Hilton i Sheraton. William zastanawiał się, czy byłoby mądrze, gdyby teraz podzielił się tą najnowszą informacją z radą nadzorczą, a nawet czy nie powinien skontaktować się bezpośrednio z Ablem Rosnovskim. Po kilku bezsennych nocach postanowił poradzić się Kate.

– Nie rób nic, dopóki nie będziesz miał absolutnej pewności, że jego zamiary są aż tak złe, jak się obawiasz. Może się okazać, że to tylko burza w szklance wody – orzekła.

– Jeśli zważyć, że on ma do pomocy takiego majstra od brudnej roboty jak Henry Osborne, można być pewnym, że ta burza rozprzestrzeni się daleko poza szklankę: coś w tym musi być. Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękoma i czekać, aż przeprowadzi swoje zamiary.

– A może się zmienił, Williamie? Upłynęło już chyba dwadzieścia lat od chwili, gdy miałeś z nim osobiście do czynienia.

– Al Capone też może by się zmienił, gdyby pozwolono mu odsiedzieć wyrok do końca. Tego nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno, ale ja nie dałbym sobie uciąć ręki, że tak by się właśnie stało.

Kate nie już nie powiedziała, ale William dał się jej widocznie przekonać, bo nie robił w tej sprawie nic, tylko uważnie studiował raporty Thaddeusa Cohena i żywił nadzieję, że intuicja Kate okaże się trafna.

---

* Cytat z *The Mourning Bride* Williama Congreve'a (1670–1729), angielskiego poety i dramatopisarza (przyp. tłum.).

28

Hotele Baron bardzo skorzystały na powojennym boomie w amerykańskiej gospodarce. Nigdy jeszcze od lat dwudziestych nie można było tak łatwo zarobić tak wiele w tak krótkim czasie i na początku lat pięćdziesiątych ludzie zaczęli wierzyć, że dobre czasy nastały na zawsze. Ale Ablowi potrzeba było do szczęścia czegoś więcej niż tylko sukcesu finansowego; w miarę jak przybywało mu lat, coraz bardziej martwiła go pozycja Polski w powojennym świecie i doszedł od wniosku, że jako człowiek sukcesu nie ma prawa biernie się przyglądać temu, co dzieje się w odległym o sześć tysięcy kilometrów kraju. Jak to powiedział polski konsul w Turcji, Paweł Zaleski? „A może jeszcze za twojego życia Polska znów rozkwitnie?" Abel robił wszystko, co było w jego mocy, aby skłonić Kongres Stanów Zjednoczonych do przyjęcia bardziej wojowniczej postawy wobec silnej kontroli sprawowanej przez ZSRR nad jej wschodnioeuropejskimi wasalami. Obserwując, jak powstają kolejne marionetkowe rządy socjalistyczne, Abel odnosił wrażenie, że na darmo ryzykował swoje życie. Zaczął szukać poparcia u waszyngtońskich polityków, przekonywał dziennikarzy i organizował bankiety w Chicago i Nowym Jorku, a także w innych skupiskach polsko-amerykańskich, aż w końcu postać „Barona z Chicago" całkiem utożsamiła się z walką o polską sprawę.

Doktor Teodor Szymanowski, były profesor historii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, napisał pełen pasji artykuł wstępny poświęcony toczonej przez Abla „batalii o uznanie", który

ukazał się w dzienniku „Freedom”. Po przeczytaniu artykułu Abel zapragnął spotkać się z profesorem i zapytać go, co jeszcze mógłby uczynić pożytecznego. Profesor był już starym człowiekiem i kiedy Abel znalazł się w jego gabinecie, był zaskoczony kruchością jego postaci, kontrastującej z energią, z jaką głosił swoje poglądy. Profesor przywitał Abla bardzo ciepło i nalał mu kieliszek gdańskiej wódki.

– Panie baronie – powiedział, podając mu kieliszek – od dawna z wielkim podziwem obserwuję upór, z jakim walczy pan o naszą sprawę, i chociaż robimy tak nikłe postępy, pan wydaje się nigdy nie tracić wiary.

– Dlaczego miałbym ją tracić? Zawsze uważałem, że w Ameryce wszystko jest możliwe.

– Obawiam się jednak, panie baronie, że politycy, na których stara się pan teraz wpłynąć, to ci sami ludzie, którzy dopuścili, aby stało się to, co się stało. Nie zrobią nic, aby uwolnić nasz kraj.

– Nie rozumiem, dlaczego tak pan uważa, panie profesorze – powiedział Abel. – Dlaczego mieliby nam nie pomóc?

Profesor usiadł głębiej w swoim fotelu.

– Z pewnością wiadomo panu, panie baronie, że wojska amerykańskie otrzymały wyraźny rozkaz zwolnienia tempa marszu na wschód, aby umożliwić Rosjanom zajęcie możliwie największej połaci środkowej Europy. Patton mógł dotrzeć do Berlina na długo przed Rosjanami, ale Eisenhower kazał mu wstrzymać marsz. Ludźmi, którzy wydali te rozkazy Eisenhowerowi, byli nasi przywódcy w Waszyngtonie, ci sami, których usiłuje pan teraz namówić, aby wprowadzili amerykańskie czołgi i wojska na powrót do Europy.

– Ale wtedy nie mogli jeszcze wiedzieć, czym stanie się ZSRR. Rosjanie byli wówczas naszymi sojusznikami. Zgadzam się, że w czterdziestym piątym byliśmy wobec nich za mało stanowczy i zbyt ustępliwi, ale to nie Amerykanie zdradzili polski naród.

Zanim profesor odpowiedział, odchylił się znów do tyłu w swoim fotelu i przymknął oczy wyraźnie znużony.

– Szkoda, że nie poznał pan nigdy mojego brata, panie baronie. Właśnie przed tygodniem otrzymałem wiadomość, że zmarł on sześć miesięcy temu w sowieckim łagrze, podobnym pewnie do tego, z jakiego pan uciekł.

Abel wykonał ruch, jakby chciał złożyć profesorowi wyrazy współczucia, lecz ten powstrzymał go gestem ręki.

– Nie, proszę nic nie mówić. Sam pan poznał, czym jest obóz. Pan najlepiej rozumie, że współczucie nie jest teraz najważniejsze. Musimy zmienić świat, panie baronie, gdy inni pogrążeni są we śnie. – Szymanowski zamilkł na chwilę. – Mojego brata wysłali do Rosji Amerykanie.

Abel spojrzał na niego zdziwiony.

– Amerykanie? Jak to możliwe? Jeśli pański brat dostał się do niewoli w Polsce…

– Mój brat nie został wzięty do niewoli przez Rosjan. Był w obozie jenieckim pod Frankfurtem. Po uwolnieniu trzymany był najpierw przez Amerykanów w obozie dipisów, następnie przekazano go Rosjanom.

– Nie do wiary. Dlaczego to zrobili?

– Rosjanie zażądali, aby odesłano im wszystkich jeńców-Słowian. Po to, aby mogli ich potem zlikwidować albo uczynić niewolnikami. Co nie udało się Hitlerowi, udało się Stalinowi.

Mam dowody na to, że mój brat znajdował się w sektorze amerykańskim przez ponad miesiąc.

– Ale – zaczął znów Abel – czy to był wyjątek, czy też było więcej takich przypadków?

– Nie był wyjątkiem: wielu ludzi spotkało to samo – powiedział Szymanowski głosem niezdradzającym emocji. – Setki tysięcy. Być może nawet milion. Nie myślę, abyśmy kiedyś poznali prawdziwą ich liczbę. Jest mało prawdopodobne, aby Amerykanie prowadzili dokładną dokumentację operacji Kee Chanl.

– Operacja Kee Chanl? Dlaczego nigdy się o niej nie wspomina? Przecież gdyby ludzie się dowiedzieli, że my, Amerykanie, wysyłaliśmy uwolnionych jeńców do Związku Radzieckiego na śmierć, ogarnęłaby ich zgroza.

– Nie ma dowodów, żadnych dokumentów dotyczących operacji Kee Chanl. Mark Clark, niech go Bóg błogosławi, nie posłuchał rozkazu, złamał nakaz milczenia i kilku spośród jeńców zostało ostrzeżonych przez przyjaźnie nastawionych żołnierzy, dzięki czemu udało im się uciec, zanim Amerykanie zdążyli wysłać ich do łagrów. Lecz teraz ci ludzie siedzą cicho, wolą o tym nie mówić. Jeden z tych nieszczęśliwców był razem z moim bratem. Zresztą, i tak jest już za późno.

– Ale naród amerykański musi się o tym dowiedzieć. Powołam komitet, wydrukuję broszury, będę przemawiał. Kongres na pewno nas wysłucha, kiedy ujawnimy prawdę.

– Panie baronie, myślę, że nie uda się tego dokonać nawet panu.

Abel podniósł się ze swego fotela.

– Nie, nie, niech pan nie myśli, że nie doceniam pana, przyjacielu. Ale nie rozumie pan jeszcze mentalności światowych przywódców.

Ameryka zgodziła się przekazać Związkowi Radzieckiemu tych nieszczęśników, bo tak sobie życzył Stalin. Jestem pewien, że nie przyszło im do głowy, iż będą jakieś procesy, obozy i egzekucje. Ale teraz, u progu lat pięćdziesiątych, chyba nie sądzi pan, że ktokolwiek się przyzna, iż pośrednio ponosi za to winę? Nie, nigdy. Ani nawet za sto lat. A potem, z wyjątkiem paru może historyków, wszyscy zapomną, że Polska utraciła w tej wojnie więcej istnień niż jakikolwiek inny kraj, nawet Niemcy. Po prostu miałem nadzieję, że nakłonię pana do oczywistego wniosku, iż powinien pan zacząć odgrywać bardziej bezpośrednią rolę w polityce.

– Zastanawiałem się już nad tym, ale wciąż nie jestem zdecydowany na formę działalności.

– Mam na tę kwestię swój pogląd, panie baronie, więc proszę być ze mną w kontakcie. – Stary człowiek podniósł się powoli z fotela i uścisnął Abla. – Na razie niech pan próbuje zdziałać coś w naszej wspólnej sprawie, ale niech pan się nie dziwi, kiedy będą zamykać przed panem drzwi.

Wróciwszy do hotelu, Abel podniósł słuchawkę telefonu i kazał się połączyć z biurem senatora Douglasa. Paul Douglas, senator z ramienia liberalnej frakcji Partii Demokratycznej reprezentujący stan Illinois, wybrany dzięki machinie wyborczej Chicago, zawsze chętnie spełniał w przeszłości różne prośby Abla pomny, że jego okręg wyborczy obejmuje największe w kraju skupisko Polaków. Sprawami polskich wyborców zajmował się zawsze jego pomocnik Adam Tomaszewicz.

– Cześć, Adam. Mówi Abel Rosnovski. Chciałbym porozmawiać z senatorem o pewnej bardzo przykrej sprawie. Czy mógłbyś mnie z nim umówić w możliwie krótkim terminie?

– Niestety, senatora nie ma w mieście. Jestem pewien, że chętnie się z panem skontaktuje zaraz po powrocie, to znaczy w czwartek. Czy mógłbym mu przekazać, o co chodzi?

– Tak. Jako Polaka na pewno cię to zainteresuje. Dowiedziałem się z wiarygodnych źródeł, że władze amerykańskie w Niemczech miały udział w akcji odsyłania polskich uchodźców na tereny zajęte przez Związek Radziecki oraz że wielu tych polskich obywateli zostało później zesłanych dalej do sowieckich łagrów, po czym wszelki ślad po nich zaginął.

Na drugim końcu przewodu telefonicznego zapadło milczenie.

– Przekażę to panu senatorowi, gdy tylko wróci, proszę pana – odezwał się wreszcie Adam Tomaszewicz. – Dziękuję za telefon.

Senator nie skontaktował się z Ablem w czwartek. Nie uczynił tego również w piątek ani w czasie weekendu. W poniedziałek Abel ponownie zadzwonił do biura senatora. I tym razem telefon odebrał Adam Tomaszewicz.

– Ach, to pan. – Abel niemal słyszał przez telefon, jak tamten się czerwieni. – Pan senator zostawił dla pana wiadomość. Jest bardzo zajęty, wie pan, w związku z tymi ustawami specjalnymi, które Kongres musi uchwalić przed wakacjami. Polecił mi przekazać, że zadzwoni do pana, jak tylko znajdzie chwilę wolnego czasu.

– Czy powiedział mu pan, o co mi chodzi?

– Tak, oczywiście. Prosił, abym pana zapewnił, że jest przekonany, iż pogłoska, która do pana dotarła, to nic innego, jak antyamerykańska propaganda. Dodał też, że jeden z członków Kolegium Szefów Sztabów powiedział mu osobiście, że wojska amerykańskie otrzymały rozkaz nieprzekazywania nikomu dipisów znajdujących się pod ich opieką.

Tomaszewicz mówił tak, jakby odczytywał starannie przygotowane oświadczenie, i Abel zrozumiał, że oto napotkał na swej drodze pierwsze zamknięte drzwi. Senator Douglas nigdy dotąd nie robił wobec niego uników.

Abel odłożył słuchawkę, a następnie znów ją podniósł i wykręcił numer telefonu innego senatora, którego nazwisko było ostatnio głośne i który nie unikał osądzania innych.

W słuchawce odezwał się ktoś z biura senatora Josepha McCarthy'ego, pytając, kto dzwoni.

– Postaram się odnaleźć pana senatora – powiedziała młoda urzędniczka, kiedy usłyszała, kto i dlaczego chce rozmawiać z szefem.

McCarthy znajdował się niemalże u szczytu swej politycznej kariery i Abel zdawał sobie sprawę, że będzie mógł uważać się za szczęściarza, jeśli uda mu się zamienić choć parę słów z senatorem.

– Słucham pana, panie Rosenevski – zaczął rozmowę McCarthy. Abel zastanawiał się, czy senator zniekształcił jego nazwisko celowo, czy może była to wina złego połączenia. – O jakiej to sprawie chciał pan ze mną rozmawiać? – zapytał senator. Abel zawahał się: rozmowa z samym senatorem McCarthym trochę go peszyła.

– Może pan śmiało powierzyć mi swój sekret – odezwał się senator, wyczuwając wahanie rozmówcy.

– Oczywiście, panie senatorze. – Abel zrobił pauzę, aby zebrać myśli. – Jest pan, panie senatorze, zdecydowanym rzecznikiem tych z nas, którzy pragną doczekać wyzwolenia krajów Europy Wschodniej spod komunistycznego jarzma.

– W samej rzeczy, w samej rzeczy. I cieszę się, że pan to docenia, panie Rosenevski.

Tym razem Abel był pewien, że senator celowo przekręcił jego nazwisko, ale postanowił nie reagować.

– Jeśli idzie o Europę Wschodnią – ciągnął dalej senator – to musi pan zrozumieć, że dopiero gdy rozprawimy się ze zdrajcami w naszym własnym rządzie, będzie można podjąć działania na rzecz uwolnienia pańskiego kraju.

– Właśnie o tym chciałbym z panem pomówić, senatorze. Ma pan ogromne zasługi w demaskowaniu naszych rodzimych zdrajców. Ale do tej pory jedna z największych zbrodni komunistów nie została publicznie ujawniona.

– Jaką to zbrodnię ma pan na myśli, panie Rosenevski? Odkryłem już ich sporo, odkąd znalazłem się w Waszyngtonie.

– Chodzi mi – Abel wyprostował się nieco bardziej w swoim fotelu – o przymusową repatriację tysięcy polskich uchodźców przez władze amerykańskie już po zakończeniu wojny. Niewinnych ofiar komunizmu, ludzi, którzy zostali odesłani do Polski, a potem dalej do ZSRR, gdzie ich uwięziono bądź zamordowano.

Abel czekał na jakąś reakcję, ale panowała cisza. Usłyszał trzask i przez chwilę myślał, że może ktoś jeszcze przysłuchuje się tej rozmowie.

– Słuchaj, Rosenevski, jesteś głupek. Jak śmiesz do mnie dzwonić, żeby mi powiedzieć, że Amerykanie, dzielni żołnierze Stanów Zjednoczonych, odesłali do Związku Radzieckiego tysiące Polaków i nikt nie słyszał o tym nawet słowa? Chcesz, abym w to uwierzył? Nawet durny Polak nie może być aż takim baranem. Ciekaw jestem, jak można uwierzyć w takie kłamstwo, nie mając najmniejszego dowodu? Chcesz również, żebym uwierzył, że amerykańscy żołnierze są zdrajcami? Czy o to ci chodzi? Powiedz mi,

Rosenevski, powiedz mi, co z was za dziwny naród? Czy jesteście aż tak ograniczeni, że nie potraficie rozpoznać sowieckiej propagandy, nawet jeśli dziecko by się pokapowało? Czy musisz marnować czas zapracowanego senatora Stanów Zjednoczonych z powodu jakiejś pogłoski rozpuszczonej przez szmatławą „Prawdę" po to, aby siać zamęt w emigranckich społecznościach w Ameryce?

Abel siedział bez ruchu, oszołomiony wybuchem wściekłości senatora. Już w połowie jego tyrady doszedł do wniosku, że wszelkie próby dyskusji nie miałyby sensu. Czekał, aż ten komediancki popis się skończy i był zadowolony, że senator nie może widzieć jego zdumionego oblicza.

– Panie senatorze, jestem pewien, że pan ma rację i przepraszam, że zabrałem panu cenny czas – powiedział cicho Abel. – Zobaczyłem teraz tę sprawę w całkiem innym świetle.

– No cóż, to jeszcze jeden dowód na to, jak cwane potrafią być te komunistyczne dranie – powiedział McCarthy łagodniejszym już tonem. – Cały czas trzeba mieć się wobec nich na baczności. No, myślę, że teraz będzie pan bardziej wyczulony na niebezpieczeństwo, jakie stale zagraża narodowi amerykańskiemu.

– Niewątpliwie, panie senatorze. Raz jeszcze dziękuję, że zechciał pan rozmawiać ze mną osobiście. Do widzenia, panie senatorze.

– Do widzenia, Rosenovski.

Abel usłyszał trzask odkładanej słuchawki i uzmysłowił sobie, że był to taki sam dźwięk, jaki wydają zamykające się drzwi.

29

William uświadomił sobie, że czuje się staro, kiedy Kate żartuje na temat jego siwych włosów, włosów, które kiedyś mógł łatwo policzyć, a których teraz policzyć już się nie dawało, i odkąd Richard zaczął przyprowadzać do domu dziewczyny, które mu się podobały. William prawie zawsze aprobował wybór Richarda, jeśli idzie o młode damy, jak je nazywał, może dlatego, że wszystkie były bardzo podobne do Kate, która, jak uważał, nigdy nie była tak piękna jak teraz, w średnim wieku. Córki, Virginia i Lucy, teraz również już młode damy, były dla niego źródłem szczęścia, gdyż z wiekiem stawały się coraz podobniejsze do matki. Virginia wyrastała na prawdziwą artystkę. Kuchnia i sypialnie dzieci były wciąż zawieszone najnowszymi dziełami jej geniuszu, jak drwiąco mówił o jej obrazach Richard. Dla Virginii nadszedł jednak dzień zemsty, kiedy Richard zaczął brać lekcje gry na wiolonczeli i nawet z ust służby można było usłyszeć cierpkie uwagi, gdy tylko palce chłopca dotknęły strun instrumentu. Lucy uwielbiała oboje rodzeństwo i w bezkrytycznym zachwycie uważała Virginię za nowego Picassa, a Richarda za nowego Casalsa. William nieraz myślał, co przyszłość przyniesie tej trójce, kiedy jego już nie będzie. W oczach Kate wszystkie jego dzieci rozwijały się zadowalająco. Richard, który teraz uczył się w Gimnazjum św. Pawła, zrobił tak duże postępy w grze na wiolonczeli, że poproszono go o występ na szkolnym koncercie, a Virginia malowała już na tyle dobrze, że jeden z jej obrazów zawieszono w salonie. Ale wszyscy w rodzinie wiedzieli, że Lucy zostanie wybitną pięknością, zwłaszcza

odkąd już jako jedenastolatka zaczęła otrzymywać miłosne liściki od chłopców, którzy dotąd interesowali się wyłącznie baseballem.

W roku 1951 Richard dostał się do Harvardu i co prawda nie zdobył najwyżej cenionego stypendium matematycznego, ale, jak Kate nie omieszkała przypomnieć Williamowi, grał w drużynie baseballowej i orkiestrze Gimnazjum św. Pawła, a więc robił to, o czym jemu się nawet nie śniło. William w skrytości ducha był dumny z osiągnięć Richarda, lecz coś tam mruczał pod nosem, że zna niewielu bankierów, którzy graliby w baseball czy na wiolonczeli.

Teraz, gdy Amerykanie uwierzyli w trwały pokój, banki weszły w okres bujnego rozkwitu. William był tak zapracowany, że na krótko zagrożenie ze strony Abla Rosnovskiego i wszystkie związane z tym problemy musiały zejść na drugi plan.

Z napływających co kwartał raportów Thaddeusa Cohena wynikało, że Rosnovski obrał kurs, z którego nie miał zamiaru zboczyć. Przez swego figuranta powiadomił wszystkich udziałowców – z wyjątkiem Williama – że chce zakupić akcje banku Lestera. William zastanawiał się, czy to wszystko nie skończy się bezpośrednią konfrontacją między nim a Polakiem. Czuł, że szybko zbliża się chwila, kiedy będzie musiał poinformować radę nadzorczą banku Lestera o poczynaniach Rosnovskiego, a może nawet złożyć rezygnację, gdyby rada uznała, że z jego powodu bank jest zagrożony. Oznaczałoby to całkowite zwycięstwo Abla Rosnovskiego i chyba dlatego William nie brał takiej możliwości poważnie pod uwagę. Postanowił, że jeśli przyjdzie mu stoczyć walkę jego życia, nie uchyli się od niej, a gdyby jeden z nich miał w jej wyniku pójść na dno, zrobi wszystko, żeby nie był to właśnie on…

Jednak los sprawił, że decyzja w sprawie programu lokat Abla Rosnovskiego została Williamowi odjęta.

Na początku 1951 roku bank otrzymał propozycję reprezentowania jednej z nowo powstałych wówczas w Ameryce linii lotniczych, Interstate Airways, która właśnie otrzymała od Federalnej Agencji Lotnictwa Cywilnego koncesję na obsługę połączenia lotniczego między Wschodnim a Zachodnim Wybrzeżem. Nowa linia zwróciła się do banku Lestera, gdyż trzeba było zgromadzić fundusz w wysokości trzydziestu milionów dolarów, wykazując się poparciem finansowym zgodnie z rządowymi wymogami.

William uznał, że linia lotnicza i przedsięwzięcie warte jest zachodu, i praktycznie cały swój czas poświęcał na przygotowanie emisji akcji w celu zgromadzenia potrzebnych trzydziestu milionów. Jego bank, występujący jako gwarant przedsięwzięcia, zaangażował w nie całe swoje zasoby finansowe. Dla Williama była to najpoważniejsza operacja od czasu powrotu do banku Lestera i zdawał sobie sprawę, że rzucając na rynek akcje wartości trzydziestu milionów dolarów, rzuca na szalę własną reputację. W lipcu, kiedy ogłoszono szczegóły subskrypcji, akcje rozchwytano w ciągu paru dni. Ze wszystkich stron obsypywano Williama pochwałami, podkreślając zręczność, z jaką przygotował i doprowadził do szczęśliwego końca całą operację. On sam czuł się naprawdę usatysfakcjonowany do chwili, gdy przeczytał w najnowszym raporcie Thaddeusa Cohena, że dziesięć procent udziałów linii lotniczych nabyła jedna z licznych korporacji Abla Rosnovskiego.

William zrozumiał, że nadeszła pora, aby podzielić się najgorszymi obawami z Tedem Leachem i Tonym Simmonsem. Poprosił Tony'ego o przyjazd do Nowego Jorku, po czym wezwał obu

wiceprezesów do swego biura i opowiedział im historię Abla Rosnovskiego i Henry'ego Osborne'a.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej? – zdziwił się Tony Simmons.

– Kiedy byłem w radzie nadzorczej Kane'a i Cabota, miałem do czynienia z setkami takich towarzystw jak Hotele Richmond i nie mogłem wówczas przypuszczać, że Rosnovski tak obsesyjnie będzie pragnął odwetu. Przekonałem się o tym ostatecznie dopiero teraz, gdy zakupił dziesięć procent udziałów Interstate Airways.

– Strach ma wielkie oczy – powiedział Ted Leach. – Ale jednego jestem pewien: niemądrze byłoby wtajemniczać w to członków rady nadzorczej. Wywołanie paniki, teraz, w parę dni po powołaniu do życia nowego towarzystwa, jest ostatnią rzeczą, jakiej moglibyśmy sobie życzyć.

– To oczywiste – stwierdził Tony Simmons. – Dlaczego nie chcesz spotkać się z tym Rosnovskim i wyłożyć kart na stół?

– Przypuszczam, że on tylko na to czeka – odparł William. – Nie miałby już wtedy wątpliwości, że bank czuje się przez niego zagrożony.

– A nie uważasz, że zmieniłby stosunek do ciebie, gdybyś mu powiedział, jak bardzo starałeś się nakłonić bank do udzielenia finansowego poparcia Hotelom Richmond, ale rada nadzorcza była innego zdania i...

– Nie mam powodu przypuszczać, że nie zdaje sobie z tego sprawy – rzekł William. – Tym bardziej że poza tym wie wszystko, co można o tym wiedzieć.

– Jak więc według ciebie należałoby postąpić wobec Rosnovskiego? – spytał Tony Leach. – Z pewnością nie jesteśmy w

stanie przeszkodzić mu w nabywaniu akcji banku, jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto zechce mu je sprzedać. Gdybyśmy zdecydowali się na wykupywanie naszych własnych akcji, to nie tylko nie powstrzymalibyśmy go, ale nawet poszlibyśmy mu na rękę, podnosząc wartość udziałów, które już ma, i narażając na szwank naszą pozycję finansową. Dałbym sobie rękę uciąć, że sprawilibyśmy mu tym wiele uciechy. Nadajemy się w sam raz na kozła ofiarnego dla Harry'ego Trumana, a teraz, w przeddzień wyborów, nic nie ucieszyłoby demokratów bardziej niż skandal w sferach bankowych.

– Wiem, że niewiele mogę poradzić – powiedział William – ale musiałem poinformować was o zamiarach Rosnovskiego na wypadek, gdyby znów chciał z czymś wyskoczyć.

– Istnieje jeszcze pewna szansa – wtrącił Tony Simmons – że sprawa jest czysta jak łza, a ten Rosnovski po prostu wierzy w twój talent do korzystnego lokowania kapitału.

– Jak możesz mówić coś takiego, Tony, skoro wiesz, że zamieszany jest w to mój ojczym? Czy sądzisz, że Rosnovski zatrudnił Henry'ego Osborne'a, aby pomóc mi w karierze bankowej? Nie znasz Rosnovskiego tak dobrze, jak ja. Obserwuję go w akcji od ponad dwudziestu lat. On nie zwykł przegrywać; po prostu rzuca kości tak długo, aż wygra. Znam go lepiej, niż gdyby był moim bratem. On będzie...

– Ty chyba zbzikowałeś, Williamie. Sądzę...

– Uważasz, że zbzikowałem, Tony? To przypomnij sobie, jaką władzę daje nasz statut każdemu, kto dostanie w swoje ręce osiem procent udziałów w banku. Sam wprowadziłem odpowiedni paragraf, aby zabezpieczyć się przed utratą stanowiska.

Ten człowiek ma już sześć procent i jeśli to według ciebie nie stanowi zagrożenia na przyszłość, to wiedz, że Rosnovski mógłby wykończyć Interstate Airways z dnia na dzień, rzucając na rynek wszystkie swoje akcje naraz.

– Ale nic by na tym nie skorzystał – powiedział Ted Leach. – Wręcz przeciwnie, mógłby stracić dużo forsy.

– Wierzcie mi, wy nie rozumiecie mentalności Abla Rosnovskiego – powiedział William. – On ma odwagę lwa i taka strata byłaby dla niego niczym. Jestem coraz bardziej przekonany, że interesują go wyłącznie porachunki ze mną. Tak, oczywiście straciłby, rzucając naraz na rynek swoje akcje, ale wciąż jeszcze miałby w odwodzie hotele. Ma ich teraz dwadzieścia jeden i z pewnością zdaje sobie sprawę, że gwałtowny spadek wartości akcji Interstate Airways uderzyłby również w nas. Nasza wiarygodność jako bankierów opiera się na kruchym zaufaniu społeczeństwa, zaufaniu, które teraz Abel Rosnovski może zniweczyć, jak i kiedy mu się spodoba.

– Uspokój się, Williamie – powiedział Tony Simmons. – Na razie jeszcze do tego nie doszło. Teraz, kiedy wiemy już, co knuje Rosnovski, możemy baczniej śledzić jego poczynania i neutralizować je, kiedy uznamy to za konieczne. Przede wszystkim musimy zadbać o to, żeby nikt już nie sprzedał mu swoich udziałów w banku Lestera, póki wpierw nie zaproponuje ich tobie. Zawsze możesz we wszystkim liczyć na poparcie banku. Osobiście nadal uważam, że powinieneś wprost porozmawiać z Rosnovskim i jasno postawić sprawę. Dzięki temu dowiemy się przynajmniej, jakie są jego zamiary, i będziemy się mogli przygotować na wszelką ewentualność.

– Czy ty też jesteś tego zdania, Ted? – spytał William.

– Tak, zgadzam się z Tonym. Myślę, że powinieneś bezpośrednio skontaktować się z tym człowiekiem. Wyjaśnienie, jakimi kieruje się pobudkami, uczciwymi czy wręcz odwrotnie, może tylko wyjść na korzyść bankowi.

Przez parę chwil William siedział w milczeniu.

– Skoro obaj tak uważacie, spróbuję – w końcu powiedział. – Muszę dodać, że się z wami nie zgadzam, choć może jestem w to zbyt osobiście zaangażowany, aby ocenić sytuację na chłodno. Dajcie mi parę dni do zastanowienia, w jaki sposób do niego podejść. Zawiadomię was, co z tego wynikło.

Po wyjściu obu wiceprezesów William został sam w swoim biurze i rozmyślał nad przedsięwzięciem, którego właśnie się podjął. Był pewien, że skoro w całą sprawę wmieszany jest Henry Osborne, szansę na porozumienie z Ablem Rosnovskim są znikome.

Cztery dni później William siedział sam w swoim gabinecie, wydawszy uprzednio polecenie, że nie wolno mu przeszkadzać pod żadnym pozorem. Wiedział, że Abel Rosnovski również jest w swoim biurze w nowojorskim Baronie: William specjalnie postawił przed hotelem człowieka, który warował tam cały ranek i miał go natychmiast powiadomić, gdy tylko zobaczy Abla. Właśnie zadzwonił; Abel Rosnovski zjawił się tego ranka w hotelu o godzinie ósmej dwadzieścia siedem, poszedł wprost do swego biura na czterdziestym drugim piętrze i od tamtej pory nie wychodził. William podniósł słuchawkę telefonu i poprosił telefonistkę o połączenie go z Baronem.

– Hotel Baron.

– Proszę z panem Rosnovskim – powiedział William głosem zdradzającym zdenerwowanie. Połączono go z sekretarką Abla.

– Proszę z panem Rosnovskim – powtórzył. Teraz jego głos brzmiał bardziej zdecydowanie.

– Czy można wiedzieć, kto dzwoni? – spytała sekretarka.

– Moje nazwisko William Kane.

Zapadła cisza, która trwała długo – a może Williamowi tylko się tak zdawało?

– Nie jestem pewna, czy pan Rosnovski jest u siebie. Proszę poczekać.

W słuchawce znów zapadła cisza.

– Pan Kane?

– Pan Rosnovski?

– Słucham. Czym mogę panu służyć? – odezwał się spokojny głos z lekkim obcym akcentem.

Choć William przygotował sobie wstęp do tej rozmowy, to jednak, zdawał sobie sprawę, że jego głos zdradza zdenerwowanie.

– Trochę jestem zaniepokojony nabyciem przez pana udziałów banku Lestera – powiedział – a zwłaszcza mocną pozycją, jaką uzyskał pan w jednym z reprezentowanych przez nas towarzystw. Pomyślałem, że czas się spotkać i porozmawiać o rzeczywistych pańskich zamiarach. Jest też pewna sprawa natury osobistej, o której chciałbym pana poinformować.

W słuchawce znów zapadło milczenie. Czyżby przerwano połączenie?

– Słuchaj, Kane, nie ma mowy, żeby cokolwiek mogło mnie skłonić do spotkania z tobą. Wiem o tobie dość i nie mam ochoty

wysłuchiwać twoich wymówek co do przeszłości. Miej oczy szeroko otwarte, a wkrótce się przekonasz, jakie są moje zamiary, które różnią się znacznie od tego, co można wyczytać w Księdze Rodzaju, panie Kane. Przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz chciał wyskoczyć z dwunastego piętra jednego z moich hoteli, gdyż będzie ci się palił grunt pod nogami w twoim własnym banku. Potrzebuję jeszcze tylko dwu procent, aby odwołać się do paragrafu siódmego, a obaj dobrze wiemy, co to znaczy, prawda? Wtedy może dowiesz się pan, jak czuł się Davis Leroy, przez wiele miesięcy zadając sobie pytanie, co bank zrobi z jego życiem. Teraz będziesz pan mógł przez całe lata zastanawiać się, co ja uczynię z pańskim, kiedy zdobędę te osiem procent, szanowny panie Kane.

Słowa Abla Rosnovskiego zmroziły Williama, ale jakoś zdołał opanować nerwy i mówił spokojnie dalej, uderzając zarazem ze złością pięścią w stół.

– Rozumiem pańskie uczucia, panie Rosnovski, ale mimo to wciąż uważam, że byłoby rozsądnie, gdybyśmy się spotkali i wyjaśnili sobie całą sprawę. Wiem, że są w niej jeden czy dwa elementy, które nie mogą być panu znane.

– Jak na przykład to, w jaki sposób wyciągnął pan od Henry'ego Osborne'a pięćset tysięcy dolarów?

Williama zamurowało i już miał wybuchnąć, ale w ostatniej chwili się opanował.

– Nie, proszę pana, to, o czym chciałem z panem pomówić, nie ma nic wspólnego z panem Osborne'em. Jest to sprawa osobista i dotyczy tylko pana. Jednakże z całym naciskiem zapewniam pana, że nigdy nie wyłudziłem od Henry'ego Osborne'a marnego grosza.

– Wersja Henry'ego wygląda inaczej. Twierdzi on, że przyczynił się pan do śmierci własnej matki, aby tylko nie musieć spłacić mu długu. Po tym jak obszedł się pan z Davisem Leroyem, nietrudno mi w to uwierzyć.

Nigdy jeszcze William nie musiał stoczyć takiej walki o opanowanie własnych emocji i dopiero po kilku sekundach zdołał z siebie wydobyć:

– Proponowałbym, abyśmy raz na zawsze wyjaśnili wszystko, spotykając się na wybranym przez pana neutralnym gruncie, gdzie nikt by nas nie poznał.

– Jest tylko jedno takie miejsce, gdzie nikt by pana nie rozpoznał, panie Kane.

– Gdzie to jest? – spytał William.

– Na tamtym świecie – powiedział Abel i odwiesił słuchawkę.

– Proszę mnie połączyć z Henrym Osborne'em – powiedział Abel do swojej sekretarki.

Bębnił palcami w blat biurka, podczas gdy sekretarka przez piętnaście prawie minut poszukiwała kongresmena Osborne'a, który, jak się okazało, oprowadzał po Kapitolu grupkę ludzi ze swojego okręgu wyborczego.

– Czy to ty, Ablu?

– Tak, Henry. Pomyślałem sobie, że chciałbyś pierwszy dowiedzieć się, że Kane już wszystko wie, tak więc odtąd walka będzie się toczyć na otwartym polu.

– Co masz na myśli, mówiąc, że wszystko wie? Myślisz, że wie, iż ja biorę w tym udział? – zapytał Henry, zdradzając zdenerwowanie.

– Z pewnością, słyszał też chyba o specjalnych kontach bankowych towarzystwa, moich udziałach w banku Lestera i w Interstate Airways.

– Jakim sposobem mógłby o tym wiedzieć tak szczegółowo? Tylko my dwaj wiemy o tych specjalnych kontach.

– I Curtis Fenton – przerwał mu Abel.

– Tak. Ale nigdy by o tym nie powiedział Kane'owi.

– Jednak musiał to zrobić. Nikt inny by nie mógł. Nie zapominaj, że Kane zetknął się osobiście z Curtisem Fentonem, kiedy likwidowałem rachunki Hoteli Richmond w jego banku. Myślę, że przez cały czas pozostawali ze sobą w kontakcie.

– Psiakrew.

– Widzę, że cię to zaniepokoiło. Henry.

– Jeśli William Kane wie o wszystkim, to nie przelewki. Uprzedzam cię, że on nie lubi przegrywać.

– Ja też – odparł Abel. – I nie boję się Williama Kane'a. A w każdym razie dopóki mam w ręku wszystkie atuty. Jaki jest nasz aktualny stan posiadania, jeśli idzie o udziały w jego banku?

– O ile pamiętam, masz sześć procent udziałów banku Lestera i dziesięć procent Interstate Airways oraz nieco akcji innych towarzystw z nimi powiązanych. Brak ci jeszcze tylko dwu procent w banku Lestera, abyś mógł się odwołać do paragrafu siódmego, ale Peter Parfitt wciąż się waha.

– Doskonale – powiedział Abel. – Lepiej nie może być. Naciskaj dalej na Parfitta, pamiętając, że mnie się nie spieszy, podczas gdy Kane nie ma u niego cienia szans. Na razie pozwolimy Kane'owi łamać sobie głowę, co też szykujemy. Pamiętaj, nic nie rób do mego powrotu z Europy. Po dzisiejszej rozmowie telefonicznej z panem

Kane'em mogę cię zapewnić, że, używając języka ludzi dobrze wychowanych, porządnie rozbolał go brzuch. Mogę ci natomiast zdradzić pewien sekret, Henry: ja nie robię w portki. Niech się jeszcze pomęczy, bo ja zamierzam wykonać ruch dopiero wtedy, gdy będę naprawdę gotów.

– Świetnie – powiedział Henry. – Dam ci znać, gdyby wydarzyło się tutaj coś, co mogłoby nam popsuć szyki.

– Zrozum, Henry, nic już nie może popsuć nam szyków. Trzymamy tego drania za gardło i ja będę powolutku zaciskać chwyt.

– Z chęcią będę się przyglądał – powiedział Henry nieco weselszym już głosem.

– Czasem mam wrażenie, że nienawidzisz Kane'a bardziej niż ja.

Henry zaśmiał się nerwowo.

– Życzę miłego pobytu w Europie.

Abel odwiesił słuchawkę. Siedział dalej w swoim fotelu z wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Nie przestając ani na chwilę bębnić palcami w blat biurka, obmyślał następny ruch. Do pokoju weszła sekretarka.

– Proszę mnie połączyć z panem Curtisem Fentonem w banku Continental Trust – powiedział, nie patrząc na nią. Nie przestawał bębnić palcami w blat. Wzrok wciąż miał wbity w przestrzeń. W chwilę później odezwał się telefon.

– Fenton?

– Dzień dobry panu. Co u pana słychać?

– Proszę zamknąć wszystkie moje konta w pańskim banku.

Na drugim końcu linii zapadło milczenie.

– Czy pan mnie słyszał, panie Fenton?

– Tak – odpowiedział zaszokowany bankier. – Czy mogę zapytać dlaczego?

– Bo Judasz nigdy nie był moim ulubionym apostołem, panie Fenton, oto dlaczego. Od tej chwili nie jest pan już członkiem rady nadzorczej Hoteli Baron. Wkrótce otrzyma pan pisemne potwierdzenie niniejszej rozmowy ze wskazaniem banku, do którego przeniesie pan moje konta.

– Ale nie rozumiem dlaczego, proszę pana. Co takiego zrobiłem, że…

Abel odwiesił słuchawkę w chwili, gdy do biura weszła jego córka.

– Twój głos nie brzmiał specjalnie przyjemnie, tatusiu.

– Bo nie miał brzmieć przyjemnie, ale ty, kochanie, nie musisz zaprzątać sobie tym główki – powiedział Abel, zmieniając natychmiast ton. – Czy udało ci się kupić wszystko, czego ci potrzeba na wyjazd do Europy?

– Tak, tatusiu, ale nie bardzo wiem, co się nosi teraz w Londynie i Paryżu. Mam nadzieję, że wybrałam, co należy. Nie chciałabym się wyróżniać jak jakieś brzydkie kaczątko.

– Będziesz się wyróżniać, skarbie, ale jako najpiękniejsza młoda dama, jaką Brytyjczycy mieli okazję oglądać ostatnimi czasy. Oni na pewno zauważą, że twoje suknie nie zostały uszyte z materiału na kartki, docenią twój wrodzony dobry gust i wyczucie koloru. Młodzi Europejczycy będą się pchać jeden przez drugiego, żeby być blisko ciebie, ale już ja ich przypilnuję. A teraz chodźmy na lunch i porozmawiajmy o tym, co będziemy robić w Londynie.

Dziesięć dni później, gdy Florentyna wróciła od matki, z którą spędziła długi weekend – Abel nigdy o nią nie wypytywał – odlecieli z

nowojorskiego lotniska Idlewild do Londynu. Lot boeingiem 377 trwał prawie czternaście godzin i chociaż mieli prywatne kabiny, to kiedy dotarli do Claridge'a na Brook Street, marzyli tylko o tym, aby się dobrze wyspać.

Abel wybrał się w tę podróż do Europy z trzech powodów: po pierwsze, aby podpisać kontrakty na budowę nowych hoteli w Londynie, Paryżu i, być może, w Rzymie; po drugie, aby pokazać Florentynie Europę, zanim córka pójdzie do Radcliffe studiować języki obce; i po trzecie – i dla niego najważniejsze – aby zobaczyć swój zamek w Słonimiu i przekonać się, czy jest choćby najmniejsza szansa udowodnienia, że jest jego właścicielem.

Pobyt w Londynie udał się im obojgu. Doradcy Abla znaleźli dla niego parcelę w okolicy Hyde Park Corner. Abel polecił adwokatom, aby przystąpili natychmiast do pertraktacji w sprawie jej nabycia i wystarali się o odpowiednie zezwolenia, niezbędne, jeśli stolica Anglii ma w przyszłości szczycić się posiadaniem Barona. Ubóstwo powojennego Londynu zrobiło na Florentynie przygnębiające wrażenie w porównaniu ze zbytkiem, jakim otaczała się we własnym kraju, ale londyńczycy wcale nie wyglądali na ludzi, których zniszczenia wojenne przyprawiły o upadek ducha, i nadal wierzyli, że Anglia jest światową potęgą. Florentynę zapraszano na obiady, kolacje i bale, i okazało się, że ojciec miał rację, przypisując jej dobry gust, trafnie też przewidział reakcję młodych Europejczyków. Każdego wieczoru wracała z błyszczącymi oczyma i opowieściami o nowych podbojach – których następnego ranka już nie pamiętała. Nie mogła się zdecydować, czy pragnie poślubić absolwenta szkoły w Eton służącego w Gwardii Grenadierów, który bez przerwy jej salutował, czy członka Izby Lordów, który „służył królowi".

Florentyna nie bardzo wiedziała, na czym ta jego służba mogła polegać, ale nie ulegało wątpliwości, że wiedział, jak należy traktować młodą damę.

W Paryżu nie nudzili się ani przez chwilę, a ponieważ oboje dobrze mówili po francusku, czuli się wśród paryżan równie dobrze jak pomiędzy Anglikami. Zazwyczaj pod koniec drugiego tygodnia wakacji Abel bywał już mocno znudzony i zaczynał liczyć dni dzielące go od powrotu do domu i pracy. Ale w towarzystwie Florentyny było zupełnie inaczej. Odkąd rozstał się z Zosią, córka stała się głównym celem jego życia – i jedyną dziedziczką jego fortuny.

Kiedy nadszedł dzień wyjazdu z Paryża, żadne z nich nie miało ochoty na pożegnanie z tym miastem. Zostali więc jeszcze parę dni pod pretekstem, że Abel nie doprowadził do końca negocjacji w sprawie kupna słynnego, ale podupadłego obecnie hotelu na Bulwarze Raspail. Abel nie poinformował właściciela, monsieur Neuffe'a, który wyglądał – jeśli to możliwe – na jeszcze większą ruinę niż jego hotel, że zamierza zburzyć gmaszysko i postawić na jego miejscu zupełnie nowy hotel. Kiedy po paru dniach monsieur Neuffe podpisał dokumenty, Abel polecił zrównać budowlę z ziemią, a sam z Florentyną, nie mając więcej wymówek, wyjechał niechętnie z Paryża do Rzymu.

Po przyjaźnie usposobionych Brytyjczykach, po wesołej atmosferze Paryża, w smętnym i zniszczonym Wiecznym Mieście opuścił ich dobry humor, gdyż rzymianie wyczuwali w nich ludzi bez historii. W Londynie spacerowali razem po wspaniałych królewskich parkach, podziwiali historyczne budowle, a Florentyna tańczyła na balach do białego rana. W Paryżu bywali w Operze, jadali śniadania na brzegu Sekwany, popłynęli stateczkiem, mijając po drodze katedrę

Notre Dame i zakończyli wyprawę kolacją w Dzielnicy Łacińskiej. W Rzymie Abel stwierdził, że miasto cierpi na paraliżujący brak finansowej stabilności i doszedł do wniosku, że będzie musiał porzucić plan wzniesienia Barona w stolicy Italii. Florentyna wyczuwała nerwowe napięcie ojca, który nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zobaczy znów zamek w Słonimiu, zaproponowała więc, żeby wyjechali z Rzymu dzień wcześniej.

Okazało się, że załatwienie wiz wjazdowych do krajów za żelazną kurtyną dla niego i Florentyny wymaga pokonania większej liczby barier biurokratycznych niż uzyskanie zezwolenia na wzniesienie pięciusetpokojowego hotelu w Londynie. Nie tak uparty turysta pewnie by się poddał, ale w końcu, z odpowiednimi wizami wbitymi do paszportów, Abel i Florentyna wyruszyli samochodem w kierunku Słonimia na dawnych polskich terytoriach. Na granicy musieli czekać wiele godzin. Abel wymienił pięćset dolarów – co zostało przyjęte z widocznym zadowoleniem – i pojechali dalej. W miarę jak zbliżali się do Słonimia, Florentyna coraz lepiej rozumiała, że ta podróż ma dla ojca wielkie znaczenie.

– Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś był tak podekscytowany, tatusiu.

– Tu się urodziłem – tłumaczył jej. – Po tylu latach spędzonych w Ameryce, gdzie wszystko zmienia się z dnia na dzień, trudno mi wprost uwierzyć, że tu prawie nic się nie zmieniło od mego wyjazdu.

Im bliżej byli Słonimia, tym mocniej rosło napięcie Abla. Z przerażeniem i oburzeniem obserwował wiejski pejzaż, niegdyś tak miły dla oka, z małymi schludnymi chatami, a teraz przedstawiający żałosny obraz zniszczenia. Usłyszał w wyobraźni, jak swoim dziecięcym głosem przed prawie czterdziestu laty zadaje baronowi

pytanie, czy wybiła już godzina wolności dla zniewolonych narodów Europy i czy on sam będzie mógł odegrać jakąś rolę w tej historycznej chwili. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy pomyślał, jak ulotna była ta godzina i jak niewielką odegrał w niej rolę.

Kiedy wyjechali z ostatniego zakrętu i ujrzeli wielką żelazną bramę, Abel zaśmiał się w nerwowym podnieceniu i zatrzymał samochód.

– Wszystko jest tak, jak pamiętam. Nic się nie zmieniło. Chodź, odwiedzimy wpierw chatę, w której spędziłem pierwsze pięć lat mojego życia; nie sądzę, aby ktoś tam teraz mieszkał; a potem pójdziemy zobaczyć zamek.

Florentyna podążyła za ojcem, który pewnym krokiem zmierzał wąską ścieżynką w głąb zagajnika, gdzie porośnięte mchem brzozy i dęby utworzyły scenerię, która nie zmieni się nawet za sto lat. Po dwudziestu minutach marszu dotarli do niewielkiej przesieki i oto znaleźli się przed wieśniaczą chatą. Abel stał nieruchomo i patrzył. Zapomniał już, jak maleńkie było to jego pierwsze gniazdko rodzinne: czy tu naprawdę mogło pomieścić się dziewięcioro ludzi? Strzecha była zniszczona i cała chatka, z rozsypującymi się ścianami z kamienia i powybijanymi szybami, robiła wrażenie niezamieszkanej. Wypielęgnowany niegdyś ogród warzywny zniknął zupełnie pod zbitą plątaniną dzikich krzewów.

Czy nikt w chatce nie mieszka? Florentyna ujęła ojca pod ramię i wolno poprowadziła go ku drzwiom. Abel stanął przed nimi bez ruchu, więc Florentyna lekko zapukała. Czekali w milczeniu. Florentyna zapukała znów, trochę mocniej, i usłyszeli wewnątrz czyjeś kroki.

– Zaraz, zaraz – odezwał się jakiś gderliwy głos po polsku i chwilę potem drzwi powoli się uchyliły. Stara kobieta, chuda i przygarbiona, ubrana na czarno, przyglądała im się uważnie. Spod chustki na głowie wystawały splątane kosmyki siwych włosów. Oczy staruszki wpatrywały się niepewnie w przybyszów.

– To niemożliwe – z cicha powiedział Abel po angielsku.

– Czego chcecie? – zapytała podejrzliwie staruszka.

Była bezzębna; gdyby ktoś poprowadził linię od czubka jej nosa poprzez usta do czubka brody, uzyskałby idealny wklęsły łuk.

Abel odpowiedział po polsku:

– Czy możemy wejść i porozmawiać z wami?

Jej wylęknione oczy spoglądały to na Abla, to na Florentynę.

– Stara Helena nie zrobiła nic złego – powiedziała jękliwym głosem.

– Wiem – powiedział łagodnie Abel. – Przynoszę wam dobre nowiny.

Z ociąganiem pozwoliła im wejść do pustej, zimnej izby, ale nie poprosiła, żeby usiedli. Wewnątrz nic się nie zmieniło: dwa zydle, stół; Abel uświadomił sobie, że zanim opuścił kiedyś tę chatę, nie wiedział, co to jest dywan. Florentyna wzdrygnęła się.

– Piec nie chce ciągnąć – sapała stara kobieta, grzebiąc kijem w palenisku. Ledwie żarząca się szczapa nie chciała się zająć płomieniem i staruszka nadaremnie przetrząsała kieszenie kaftana. – Trzeba papieru. – Spojrzała na Abla i w jej wzroku pojawiła się po raz pierwszy iskierka zainteresowania. – Macie kawałek papieru?

Abel wpatrywał się w nią uparcie.

– Nie pamiętasz mnie? – zapytał.

– Nie, nie znam was.

– Znasz, Heleno. Mam na imię… Władek.

– Znaliście mojego Władeczka?

– Ja jestem Władek.

– Och, nie – powiedziała ze smutkiem i spokojną rezygnacją. – Nie zasługiwałam na takiego syna. On nosił znak od Boga. Baron zabrał go mnie, żeby uczynić z niego aniołka, tak, zabrał maminą kruszynkę…

Jej starczy głos załamał się i zamilkł. Usiadła na zydlu, ale jej wiekowe, pomarszczone ręce drżały na podołku.

– Ja wróciłem – powiedział Abel z jeszcze większym naciskiem, ale kobieta nie zwracała na niego uwagi. Mówiła dalej swoim starczym, drżącym głosem, jak gdyby była sama w izbie.

– Zabili mi męża, mojego Jasia, a wszystkie dzieci zabrali do łagrów, oprócz malutkiej Zosi. Ukryłam ją, póki sobie nie poszli. – Powiedziała to monotonnym, zrezygnowanym głosem.

– Co się stało z Zosią? – spytał Abel.

– Zabrali ją Ruskie, kiedy przyszła druga wojna – odparła głuchym głosem.

Abel wzdrygnął się.

Stara kobieta otrząsnęła się z zadumy.

– Czego chcecie? Dlaczego mnie wypytujecie? – chciała wiedzieć.

– Chciałem, żebyście poznali moją córkę, Florentynę.

– Miałam kiedyś córkę Florentynę, ale teraz nie mam nikogo na świecie…

– Ale ja… – Abel zaczął rozpinać koszulę.

Florentyna powstrzymała go.

– Wiemy – powiedziała, uśmiechając się do staruszki.

– Skąd moglibyście wiedzieć? To było jeszcze przed twoim urodzeniem.

– Ludzie we wsi nam powiedzieli – odparła Florentyna.

– Macie kawałek papieru? – spytała stara kobieta. – Potrzebuję papieru, żeby rozpalić w piecu.

Abel spojrzał bezradnie na Florentynę.

– Nie – odparł. – Niestety, nie wzięliśmy z sobą papieru.

– Czego chcecie ode mnie? – zapytała kobieta, na nowo nieprzyjaznym głosem.

– Niczego – powiedział Abel, który pogodził się już z myślą, że staruszka nie przypomni go sobie. – Przyszliśmy się tylko przywitać. – Sięgnął po portfel, wyjął z niego wszystkie nowiutkie banknoty, jakie wymienił, i wręczył kobiecie.

– Bóg zapłać, Bóg zapłać – mówiła, za każdym razem biorąc do ręki nowy banknot, a jej oczy łzawiły ze szczęścia.

Abel pochylił się, aby ucałować swoją przybraną matkę, ale ona odsunęła się od niego.

Florentyna ujęła ojca pod ramię, wyprowadziła go z chaty i powiodła z powrotem przez las, w stronę samochodu.

Stara kobieta obserwowała ich przez okno, aż zniknęli jej z oczu. Następnie wzięła do ręki nowiutki banknot, ugniotła każdy w malutką kulkę i umieściła je starannie na ruszcie. Zapaliły się błyskawicznie. Na wierzch położyła gałązki i drobne szczapy, i usiadła powoli przy piecu. Od wielu tygodni nie udawało się jej rozpalić tak żywo buzującego ognia i teraz zacierała ręce, grzejąc się przy nim.

Przez całą drogę powrotną do samochodu Abel milczał. Odezwał się dopiero, kiedy znów ujrzeli żelazną bramę. Pragnąc jak

najszybciej zapomnieć o chacie w lesie, obiecywał Florentynie:

– Za chwilę ujrzysz najpiękniejszy zamek na świecie.

– Jak ty lubisz przesadzać, tatku.

– Na całym świecie – powtórzył cicho Abel.

Florentyna zaśmiała się.

– Powiem ci, jak wypadł w porównaniu z Wersalem.

Wsiedli do samochodu i Abel ruszył przez żelazną bramę drogą prowadzącą do zamku, który znajdował się półtora kilometra dalej. Przypomniał sobie, w jakim pojeździe przejeżdżał tędy ostatnim razem. Wspomnienia cisnęły mu się do głowy. Szczęśliwe dni, które jako dziecko spędził z baronem i Leonem, straszne dni, kiedy Rosjanie zabrali go z ukochanego zamku. Myślał wtedy, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Ale teraz on, Władek Koskiewicz, wraca tutaj triumfalnie, aby odzyskać swą schedę.

Milczeli oboje w oczekiwaniu tego, co zaraz mieli ujrzeć. Samochód, podskakując na wijącej się wyboistej drodze, pokonał wreszcie ostatni zakręt i znalazł się na wprost rodowej siedziby barona Rosnovskiego. Abel zatrzymał auto i spojrzał na swój zamek. Żadne z nich nie przemówiło, oboje patrzyli z niedowierzaniem na szczątki strzaskanych bombami snów Abla.

Wysiedli powoli z samochodu. Wciąż milczeli. Florentyna ściskała mocno rękę ojca, po którego policzkach spływały łzy. Tylko jedna ściana stała niepewnie jak wspomnienie minionej świetności; reszta była jedynie zarosłym zielskiem stosem gruzu i kamieni. Nie potrafiłby teraz jej mówić o ogromnych salach, skrzydłach zamku, kuchniach, sypialniach. Podszedł do trzech małych wzgórków porośniętych gęstą, zieloną trawą, które były grobami barona, jego syna Leona i drogiej Ablowi Florentyny. Zatrzymał się przy każdym

na chwilę. Nie mógł się opędzić od myśli, że Leon i Florentyna mogliby jeszcze żyć. Ukląkł pomiędzy grobami i oczyma wyobraźni z przerażającą wyrazistością zobaczył obrazy ostatnich chwil tych trojga. Córka stała tuż obok milcząca, z ręką na jego ramieniu. Minęła długa chwila, zanim Abel podniósł się powoli z klęczek. Potem błądzili razem pośród ruin. Kamienne płyty znaczyły teraz miejsca, gdzie kiedyś wysoko sklepione sale rozbrzmiewały radosnym śmiechem. Abel nadal milczał. Trzymając się za ręce, doszli do lochów. Abel usiadł na podłodze małej wilgotnej izdebki w pobliżu wykutej w kamieniu kraty, a raczej jej szczątków. Nerwowo obracał srebrną bransoletę na przegubie dłoni.

– W tym miejscu twój ojciec spędził cztery lata życia.

– To niemożliwe – powiedziała Florentyna.

– Teraz tu jest lepiej niż wtedy – powiedział Abel. – Teraz przynajmniej nie brak tu świeżego powietrza, ptaków, słońca i poczucia wolności. Wtedy nie było nic, tylko ciemność. Śmierć, odór śmierci i, co najgorsze strach.

– Proszę, chodźmy już stąd, tatusiu. Przebywanie tutaj jeszcze bardziej cię przygnębi.

Florentyna zaprowadziła opierającego się ojca do samochodu i siadłszy za kierownicą, ruszyła długą aleją. Kiedy mijali żelazną bramę, Abel nie obejrzał się, aby spojrzeć po raz ostatni na ruiny zamku.

W drodze powrotnej do Warszawy prawie się nie odzywał, a Florentyna zaniechała prób rozruszania go. Kiedy ojciec powiedział: „Teraz pozostała mi w życiu tylko jedna rzecz do zrobienia”, Florentyna zastanawiała się, co mógł mieć na myśli, ale nie domagała się wyjaśnień. Udało jej się natomiast nakłonić go, żeby spędzili

jeszcze tydzień w Londynie w drodze powrotnej do Ameryki. Miała pewność, że poprawi to ojcu trochę humor, a może nawet pomoże mu zapomnieć o obłąkanej przybranej matce i ruinach zamku w dawnej ojczyźnie.

Następnego dnia odlecieli do Londynu. Abel był rad, że znów jest w kraju, z którego mógł szybko nawiązać łączność z Ameryką. Gdy tylko zainstalowali się u Claridge'a, Florentyna zaraz wyszła do miasta, aby spotkać się ze starymi znajomymi i poznać nowych. Abel zabrał się do lektury wszelkich możliwych gazet, jakie tylko znalazły się w zasięgu jego ręki, pragnąc zapoznać się na bieżąco z tym, co wydarzyło się w Ameryce w czasie jego pobytu za granicą. Niechętnie dopuszczał możliwość, że cokolwiek mogło się wydarzyć w czasie jego nieobecności; zbyt jednoznacznie świadczyłoby to bowiem o tym, że świat może się łatwo bez niego obejść.

Jego uwagę zwróciła notatka na wewnętrznej stronie sobotniego „Timesa". I bez niego mogło się jednak coś dziać. Poprzedniego ranka samolot pasażerski Vickers Viscount linii lotniczych Interstate Airways rozbił się tuż po starcie z lotniska w stolicy Meksyku. Zginęło siedemnaścioro pasażerów i cała załoga. Władze meksykańskie skwapliwie przypisały winę za katastrofę niedbalstwu obsługi technicznej linii Interstate. Abel podniósł słuchawkę telefonu i poprosił recepcjonistkę o połączenie z centralą międzynarodową.

Jest sobota, chyba wrócił już do Chicago, pomyślał Abel. Przewertował notes, szukając domowego telefonu Henry'ego.

– Będzie pan musiał poczekać na połączenie około trzydziestu minut – usłyszał rzeczowy, wcale przyjemny głos angielskiej telefonistki.

– Dziękuję – powiedział Abel. Położył się na łóżku, mając aparat telefoniczny pod ręką, i pogrążył się w myślach. Telefon odezwał się dwadzieścia minut później.

– Chicago na linii, proszę mówić – usłyszał ten sam rzeczowy głos.

– Halo?

– Abel? To ty? Skąd dzwonisz?

– Oczywiście, że ja. Z Londynu.

– Udało się? – włączyła się telefonistka.

– Jeszcze nie, ale na pewno się uda – odparł Abel.

– Przepraszam. Chciałam się upewnić, czy uzyskał pan połączenie?

– O, tak, dziękuję pani. Jezus, Henry, ale ci Anglicy są ciekawscy.

Osborne wybuchnął śmiechem.

– Posłuchaj, Henry. Czytałeś może w prasie o katastrofie samolotu Interstate Airways, który rozbił się na lotnisku w Mexico City?

– Tak, czytałem, ale nie masz się czym martwić. Samolot był odpowiednio ubezpieczony i towarzystwo nie poniosło żadnych strat, tak więc nie miało to wpływu na notowania akcji.

– Kiedy mnie nie interesuje wcale sprawa ubezpieczenia – powiedział Abel. – Myślę natomiast, że jest to najlepsza okazja, aby wypróbować, jak mocne nerwy ma Kane.

– Chyba niezupełnie cię rozumiem, Ablu. Co masz na myśli?

– Słuchaj uważnie. Zaraz ci wytłumaczę, co masz zrobić w poniedziałek, zaraz po otwarciu giełdy. We wtorek wracam do

Nowego Jorku i osobiście dopilnuję przygotowań do ostatecznej rozgrywki.

W ciągu dwudziestu minut Abel przedstawił słuchającemu go uważnie Osborne'owi plan gry, po czym odłożył słuchawkę. Był pewien, że tym razem się uda.

30

William zdał sobie sprawę, że może się spodziewać dalszych kłopotów ze strony Abla Rosnovskiego, z chwilą kiedy pewnego ranka zadzwonił do niego Curtis Fenton, aby poinformować go, że „Baron z Chicago" likwiduje wszystkie rachunki Hoteli Baron w Continental Trust i że oskarżył jego, Fentona, o nielojalne i nieetyczne postępowanie.

– Myślałem, że postępuję słusznie, donosząc panu, iż pan Rosnovski nabył akcje banku Lestera – powiedział bankier strapionym głosem – ale w rezultacie straciłem jednego z najpoważniejszych klientów. Nie wiem, co na to powie moja rada nadzorcza.

William bąknął parę słów ubolewania i nieco uspokoił Fentona obietnicą, że porozmawia z jego zwierzchnikami. Jednak najbardziej zaprzątnęło go pytanie, jaki będzie następny ruch Abla Rosnovskiego.

Miesiąc później poznał odpowiedź. Przeglądał właśnie poranną korespondencję bankową, kiedy zadzwonił jego makler giełdowy, aby mu powiedzieć, że ktoś rzucił na rynek akcje Interstate Airways o łącznej wartości miliona dolarów. William musiał podjąć błyskawiczną decyzję: postanowił wykupić akcje na swoje konto, aby szybko wycofać je z rynku. O drugiej po południu rzucono na giełdę kolejną partię akcji wartości miliona dolarów. Zanim William zdążył je wykupić, notowania zaczęły spadać. Kiedy o trzeciej Giełda Nowojorska zamykała swe podwoje, cena akcji Interstate Airway była już niższa o jedną trzecią.

Dziesięć minut po dziesiątej następnego ranka William otrzymał telefoniczną wiadomość od swojego mocno już zaniepokojonego maklera. Z chwilą otwarcia giełdy rzucono na sprzedaż nowe akcje także wartości miliona dolarów. Makler poinformował go, że wywołało to reakcję lawinową: polecenia sprzedaży akcji Interstate Airways napływały ze wszystkich stron, kto tylko je miał, chciał się ich pozbyć, i cena spadła do zaledwie kilku centów za akcję. A jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej kurs wynosił cztery i pół dolara.

William polecił Alfredowi Rodgersowi, sekretarzowi towarzystwa, zwołać posiedzenie rady nadzorczej na najbliższy poniedziałek. Potrzebował trochę czasu na upewnienie się, kto jest sprawcą dumpingu. Już w środę zaniechał prób ratowania Interstate przez skupowanie wszystkich akcji, jakie pojawiły się na rynku. Po zamknięciu giełdy tego dnia Komisja do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy zapowiedziała zbadanie wszelkich transakcji dotyczących Interstate Airways. William zdawał sobie sprawę, że teraz rada nadzorcza banku Lestera będzie musiała postanowić, czy udzielić Interstate Airways finansowego poparcia w okresie trzech do sześciu miesięcy, jakich Komisja będzie potrzebować na przeprowadzenie dochodzenia, czy też pozwolić towarzystwu pójść na dno. W jednym i drugim przypadku sytuacja będzie groźna, zarówno dla kieszeni Williama, jak i reputacji banku.

William nie był wcale zdziwiony, dowiadując się następnego dnia od Thaddeusa Cohena, że towarzystwem, które w celach dumpingowych rzuciło na rynek akcje Interstate Airways pierwotnej wartości trzech milionów dolarów, jest Guaranty Investment Corporation, jedna z firm służących za przykrywkę machinacjom Abla Rosnovskiego. Jej rzecznik wydał dla prasy wiarygodnie

brzmiące krótkie oświadczenie, z którego wynikało, że powodem decyzji o sprzedaży akcji były obawy o przyszłość Interstate Airways po miarodajnym oświadczeniu meksykańskiego rządu, sugerującym niedopatrzenie w pracy obsługi technicznej tych linii.

– Miarodajne oświadczenie! – wściekał się William. – Rząd meksykański nie wydał miarodajnego oświadczenia od chwili, gdy w czasie olimpiady w Helsinkach zapowiedział zwycięstwo Gonzaleza w biegu na sto metrów.

Środki masowego przekazu złapały się na haczyk, jakim było oświadczenie dla prasy wydane przez Guaranty Investment Corporation i już w piątek Federalna Agencja Lotnictwa Cywilnego wydała Interstate Airways zakaz lotów do chwili zakończenia szczegółowej kontroli pracy służb technicznych tych linii.

William był przekonany, że Interstate Airways mogą się nie obawiać takiej kontroli, lecz cała sprawa miała fatalny wpływ na bieżące dochody ze sprzedaży biletów. Żadne linie lotnicze nie mogą sobie pozwolić na to, aby ich samoloty stały bezczynnie na ziemi; zarabiają pieniądze tylko wtedy, gdy są w powietrzu.

Na domiar złego inne linie lotnicze, których interesy reprezentował bank Lestera, zaczęły korygować swoje plany na przyszłość. Prasa nie omieszkała zwrócić uwagi na fakt, że bank Lestera udzielił gwarancji finansowych Interstate Airways. Ku ogólnemu zaskoczeniu w piątek, przed zamknięciem giełdy, akcje Interstate zaczęły zwyżkować. William bez trudu odgadł dlaczego, a jego przypuszczenia potwierdził wkrótce Thaddeus Cohen: nabywcą był Abel Rosnovski. Sprzedał swoje akcje Interstate w momencie, gdy osiągnęły najwyższe notowania na giełdzie, a teraz, gdy spadły do najniższego poziomu, zaczął je powoli skupywać. William kręcił

głową pełen podziwu – aczkolwiek niechętnego – dla przeciwnika. Rosnovski zgarniał niemałą fortunę, równocześnie pozbawiając Williama tak majątku, jak i dobrej reputacji.

William doszedł do wniosku, że chociaż Hotele Baron zaryzykowały utratę ponad trzech milionów dolarów, to jednak w ostatecznym rachunku ta akcja może im przynieść ogromne zyski. Co więcej, stało się oczywiste, że Rosnovski wcale nie przejmuje się chwilowymi stratami, które i tak może sobie powetować, odpisując je od podatku dochodowego; interesuje go jedynie zupełna kompromitacja banku Lestera.

W czasie poniedziałkowego posiedzenia William przedstawił członkom rady nadzorczej całą historię swojego konfliktu z Rosnovskim i zgłosił rezygnację z prezesury. Rezygnacji nie przyjęto, nie poddano jej nawet pod głosowanie, były jednak pomruki niezadowolenia i William wiedział, że jeśli Rosnovski zaatakuje ponownie, następnym razem jego koledzy mogą nie okazać się równie wyrozumiali.

Członkowie rady nadzorczej zastanowili się następnie, czy nadal udzielać finansowych gwarancji Interstate Airways. Tony Simmons przekonał ich, że wyniki kontroli prowadzonej przez Federalną Agencję Lotnictwa Cywilnego okażą się pozytywne, i że Interstate Airways wkrótce odzyskają to, co straciły. Po posiedzeniu rady Tony podzielił się z Williamem swoimi przypuszczeniami, że podjęta przez nią decyzja na dalszą metę okaże się korzystna dla Rosnovskiego, ale bank nie ma wyboru, jeśli chce ratować swoją reputację.

Przyszłość pokazała, że w obu wypadkach miał rację. Komisja do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy ogłosiła w końcu wyniki swoich dochodzeń, i uznała, że postępowanie banku Lestera było

„bez zarzutu”, natomiast pod adresem Guaranty Investment Corporation wysunięto parę poważnych zastrzeżeń. Kiedy rankiem tego samego dnia akcje Interstate Airways znów zostały dopuszczone do obrotu giełdowego, William stwierdził ze zdziwieniem, że ich notowania zaczynają powoli, ale systematycznie rosnąć. Wkrótce odzyskały swoją pierwotną wartość czterech i pół dolara.

Thaddeus Cohen poinformował Williama, że ich głównym nabywcą znów jest Abel Rosnovski.

– Tego mi tylko brakowało – powiedział William. – Nie dość, że nieźle zarobił na całej tej transakcji, to teraz będzie mógł powtórzyć manewr, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

– I właśnie o to nam teraz chodzi – powiedział Thaddeus Cohen.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Thaddeus? – spytał William. – Nigdy dotąd nie przemawiałeś do mnie tak zagadkowo.

– Pan Abel Rosnovski popełnił po raz pierwszy poważny błąd, gdyż naruszył prawo, i teraz twoja kolej, aby mu się dobrać do skóry. Prawdopodobnie nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że to, co robi, jest niezgodne z prawem, bo kierują nim nieczyste pobudki.

– Co konkretnie masz na myśli? – zapytał William.

– Przecież to proste – odparł Thaddeus Cohen. – Ponieważ masz obsesję na punkcie Rosnovskiego, tak jak on ma ją na twoim punkcie, chyba obaj nie zauważyliście tego, co oczywiste: sprzedając akcje tylko po to, aby spowodować spadek ich notowań i móc je następnie wykupić po najniższym kursie, a więc zapewnić sobie zysk, łamie się punkt 10b-5 regulaminu ustanowionego przez Komisję do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy. I dopuszcza się przestępstwa finansowego. Nie mam cienia wątpliwości, że uzyskanie łatwego zysku nie było pierwotnym zamiarem Rosnovskiego; obaj dobrze

wiemy, że chodziło mu jedynie o wpędzenie cię w tarapaty. Ale kto uwierzy tłumaczeniom Rosnovskiego, że pozbył się akcji, ponieważ uznał, że towarzystwo nie rokuje nadziei na przyszłość, skoro potem z powrotem je odkupił, gdy kurs spadł do paru centów? Odpowiedź brzmi: nikt, a już z pewnością nie Komisja. Jutro przyślę ci wyczerpujący raport w tej sprawie, Williamie, z wyjaśnieniem wszystkich prawnych konsekwencji powstałej sytuacji.

– Dziękuję ci, Thaddeus – powiedział uradowany wiadomością William.

Następnego dnia rano o godzinie dziewiątej William znalazł na swoim biurku raport i przeczytawszy go uważnie, zwołał raz jeszcze posiedzenie rady nadzorczej. Członkowie rady przyjęli plan działania Williama. Thaddeus Cohen otrzymał polecenie przygotowania oględnie sformułowanego oświadczenia dla prasy, które rozesłano do gazet jeszcze tego samego wieczoru. Następnego dnia rano w „Wall Street Journal" ukazała się na pierwszej stronie następująca notatka:

„Pan William Kane, prezes banku Lestera, uważa, że ma podstawy do przypuszczeń, iż jedynym celem podjętej w listopadzie 1952 roku przez Guaranty Investment Corporation decyzji skierowania do sprzedaży akcji Interstate Airways, towarzystwa mającego finansowe gwarancje banku Lestera, było osiągnięcie zysków niezgodnych z prawem.

Ustalono, że Guaranty Investment Corporation rzuciła na rynek akcje Interstate Airways wartości jednego miliona dolarów z chwilą otwarcia giełdy w poniedziałek dwunastego maja 1952 roku. Sześć godzin później zaoferowano do sprzedaży akcje za kolejny milion dolarów. Następnego dnia, trzynastego maja 1952 roku, w momencie otwarcia giełdy Guaranty Investment Corporation wydała zlecenie

sprzedaży dalszych akcji na sumę jeszcze jednego miliona dolarów. Spowodowało to spadek kursu akcji do rekordowo niskiego poziomu. Kiedy dochodzenie przeprowadzone przez Komisję do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy wykazało, że ze strony banku Lestera ani też Interstate Airways nie było żadnych działań niezgodnych z przepisami, zainteresowanie akcjami po tak obniżonej cenie natychmiast wzrosło. Guaranty Investment Corporation zaczęła szybko skupować akcje Interstate po jak najniższej cenie. Korporacja kontynuowała wykup dopóty, dopóki nie zgromadziła na powrót zapasu akcji wartości trzech milionów dolarów, którego wcześniej się pozbyła.

Prezes i rada nadzorcza banku Lestera przesłali kopie odpowiednich dokumentów do Wydziału Zwalczania Przestępstw Finansowych przy Komisji do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy, z wnioskiem o wszczęcie odpowiedniego dochodzenia".

W artykule zamieszczonym poniżej oświadczenia podano w pełnym brzemieniu punkt 10b-5 regulaminu Komisji do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy, zwracając przy tym uwagę na fakt, że jest to akurat taki właśnie przypadek, na jaki tylko czekał prezydent Truman; zamieszczona pod spodem karykatura pokazywała Harry'ego S. Trumana, który przyłapuje biznesmena na gorącym uczynku, z ręką w słoiku z ciasteczkami.

William uśmiechnął się, czytając artykuł, przekonany, że więcej nie usłyszy o Ablu Rosnovskim.

Abel Rosnovski zmarszczył czoło i milczał, gdy Henry Osborne czytał mu oświadczenie. Abel spojrzał na niego, bębniąc nerwowo palcami w blat biurka.

– Chłopcy w Waszyngtonie uparli się, aby zbadać tę sprawę do końca – powiedział Osborne.

– Słuchaj, Henry, dobrze wiesz, że nie sprzedałem akcji Interstate Airways, żeby zgarnąć na giełdzie trochę łatwej forsy – powiedział Abel. – Zysk z tej operacji nie miał dla mnie żadnego znaczenia.

– Ja o tym wiem – odparł Henry – ale spróbuj przekonać senacką komisję finansową, że „Baron z Chicago" nie zrobił tego dla korzyści finansowych, tylko po to, żeby załatwić osobiste porachunki z niejakim Williamem Kane'em. Zrób to, a ośmieszysz się w całej Ameryce.

– Niech to szlag – powiedział Abel. – Co więc, do cholery, mam robić?

– Hm, przede wszystkim musisz jak trusia przeczekać, aż burza ucichnie. Módl się, aby szybko wybuchł jakiś większy skandal, na którym Truman mógłby się wyładować, albo żeby politycy gorąco zajęli się kampanią wyborczą i nie mieli głowy domagać się przeprowadzenia dochodzenia w tej sprawie. Jeśli dopisze ci szczęście, to może nowa administracja machnie na to ręką. Przede wszystkim jednak nie kupuj więcej żadnych akcji firm związanych z bankiem Lestera, bo inaczej w najlepszym razie zapłacisz wysoką grzywnę. Ja tymczasem postaram się coś wskórać u demokratów w Waszyngtonie.

– Przypomnij ludziom z biura Harry'ego Trumana, że dałem pięćdziesiąt tysięcy dolarów na kampanię wyborczą i że zamierzam to samo uczynić dla Adlaia Stevensona.

– Już to zrobiłem – powiedział Henry. – Prawdę mówiąc, na twoim miejscu dałbym pięćdziesiąt tysięcy również republikanom.

– Ci faceci robią z igły widły – powiedział Abel. – Kane narobi z tego powodu szumu, jeśli tylko mu się podłożymy. – Palce Abla nie przestawały bębnić w blat biurka.

31

Z kolejnego kwartalnego raportu Thaddeusa Cohena William dowiedział się, że Abel Rosnovski zaniechał przeprowadzania jakichkolwiek transakcji akcjami towarzystw powiązanych z bankiem Lestera. Wyglądało na to, że skoncentrował się na wznoszeniu nowych hoteli w Europie. Cohen był zdania, że Rosnovski przyczaił się i czeka, aż Komisja do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy podejmie decyzję w sprawie Interstate Airways.

Przedstawiciele Komisji złożyli Williamowi kilka wizyt w banku. Rozmawiał z nimi zupełnie otwarcie, ale oni nie napomknęli ani słowem o postępach w prowadzonym przez siebie dochodzeniu. Komisja zakończyła w końcu śledztwo i podziękowała Williamowi za współpracę. I na tym cała sprawa się skończyła.

W miarę zbliżania się terminu wyborów prezydenckich Truman coraz bardziej koncentrował uwagę na rozbiciu przemysłowego koncernu Du Ponta i William zaczął się obawiać, że na historię z Ablem Rosnovskim machnięto ręką. Odnosił wrażenie, że Henry Osborne pociągnął za odpowiednie sznurki w Kongresie. Przypomniał sobie, iż Cohen podkreślił kiedyś grubą kreską informację o podarowaniu przez Hotele Baron pięćdziesięciu tysięcy dolarów na kampanię wyborczą Harry'ego Trumana, a teraz ze zdziwieniem wyczytał w jego najnowszym raporcie wiadomość, że Rosnovski przeznaczył podobną sumę na kampanię Adlaia Stevensona, kandydata demokratów na urząd prezydenta, i tyle samo

na fundusz wyborczy Eisenhowera. Tę informację Cohen również podkreślił.

William, któremu nigdy nie przyszłoby do głowy, aby udzielać poparcia kandydatowi na urząd publiczny nie będącemu republikaninem, chciał, aby generał Eisenhower, który uzyskał nominację już w pierwszym głosowaniu na Konwencji Partii Republikańskiej w Chicago, pokonał Adlaia Stevensona, choć zdawał sobie sprawę, że administracja republikańska nie będzie równie usilnie zabiegać o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie nielegalnego obrotu akcjami jak demokraci.

Kiedy 4 listopada 1952 roku generał Dwight D. Eisenhower został trzydziestym czwartym prezydentem Stanów Zjednoczonych – okazało się, że naród rzeczywiście lubi Ike'a – William uznał, że Ablowi Rosnovskiemu się upiecze, ale miał nadzieję, że ta nauczka zniechęci go przynajmniej do wścibiania w przyszłości nosa w sprawy banku Lestera. Pewną pociechą dla Williama było to, że Henry Osborne utracił miejsce w Kongresie na rzecz kandydata Partii Republikańskiej. Rydwan Eisenhowera okazał się szybszy, a rywal Osborne'a wskoczył właśnie do niego. Thaddeus Cohen odnosił wrażenie, że Henry Osborne nie wywiera już tak silnego wpływu na Abla Rosnovskiego jak przedtem. W Chicago krążyły plotki, że od czasu rozwodu z bogatą żoną Osborne zadłużył się ponownie u Rosnovskiego i znowu wpadł w nałóg hazardu.

William już dawno nie był tak zadowolony z życia i tak odprężony jak teraz i z nadzieją myślał o oczekującej kraj erze dobrobytu i pokoju, jaką zapowiedział Eisenhower w przemówieniu z okazji objęcia urzędu prezydenta.

Z upływem kolejnych lat jego prezydentury groźby Rosnovskiego coraz bardziej zacierały się w pamięci Williama i odsuwały w przeszłość. Nawet poinformował Thaddeusa Cohena, że jest pewien, iż nie usłyszą już więcej o Ablu Rosnovskim. Adwokat nie skomentował tego stwierdzenia. Nikt nie pytał go o zdanie.

William skoncentrował teraz całą swoją uwagę na banku, pragnąc nie tylko poszerzyć zakres jego działalności, lecz także ugruntować jego dobrą reputację, coraz bardziej świadom, że robi to nie tyle dla siebie, ile dla syna. Niektórzy pracownicy banku zaczęli już mówić o nim „nasz staruszek".

– Kiedyś musiało to nastąpić – pocieszała go Kate.

– Ale dlaczego nie spotkało to ciebie? – zapytał William. Kate spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Teraz już wiem, w jaki sposób udało ci się ubić tyle dobrych interesów z próżnymi mężczyznami.

William się zaśmiał.

– I z jedną piękną kobietą – dodał.

Ponieważ do dwudziestych pierwszych urodzin Richarda brakowało już tylko roku, William przejrzał raz jeszcze postanowienia swego testamentu. Zapisał mianowicie pięć milionów dolarów Kate i po dwa miliony każdej z córek, natomiast całą resztę rodzinnej fortuny przeznaczył dla Richarda, zauważając z żalem, jak dużo pochłonie podatek spadkowy. Poza tym zapisał milion dolarów na Uniwersytet Harvarda.

Richard nie zmarnował czterech lat studiów na Harvardzie. Już na początku ostatniego roku widać było, że ma duże szansę na ukończenie studiów *summa cum laude*, poza tym grał na wiolonczeli w orkiestrze uniwersyteckiej i był miotaczem w drużynie

baseballowej, której poziom podziwiał nawet William. Kate uwielbiała zadawać mężowi retoryczne pytanie: ilu studentów spędza sobotnie popołudnia, grając w drużynie baseballowej Harvardu przeciwko Yale, a niedzielne wieczory, grając na wiolonczeli w kwartecie smyczkowym w uniwersyteckiej auli koncertowej imienia Lowella?

Ostatni rok studiów minął szybko i kiedy Richard opuszczał mury Harvardu uzbrojony w dyplom magistra matematyki, wiolonczelę i kij do baseballu, jedyną rzeczą, jakiej jeszcze potrzebował przed wstąpieniem do szkoły biznesu po drugiej stronie Charles River, były solidne wakacje. Poleciał na Barbados z dziewczyną, panną Mary Bigelow, o której istnieniu jego rodzice szczęśliwie nie mieli pojęcia. Mary Bigelow była absolwentką Vassar, gdzie między innymi studiowała muzykę, i kiedy dwa miesiące później wrócili ze skórą ciemną jak u mieszkańców Barbados, Richard przywiózł Mary do domu, aby przedstawić ją rodzicom. William zaaprobował pannę Bigelow; w końcu była bliską krewną Alana Lloyda.

Richard wrócił do Harvard Business School pierwszego października 1955 roku na studia podyplomowe. Zamieszkał w Czerwonym Domu. Wyrzucił wszystkie trzcinowe meble Williama i zdjął tapety, które Matthew Lester uznał kiedyś za bardzo nowoczesne, w saloniku położył dywan „od ściany do ściany", w jadalni ustawił duży dębowy stół, w kuchni zmywarkę do naczyń, a w sypialni zainstalował prawie na stałe pannę Bigelow.

32

Abel wrócił z wycieczki do Stambułu w październiku 1952 roku, czyli natychmiast, jak tylko otrzymał wiadomość o śmierci Davida Maxtona na atak serca. Wraz z George'em i Florentyną wziął udział w pogrzebie, który odbył się w Chicago. Po pogrzebie powiedział wdowie, pani Maxton, że do końca życia może gościć w jego hotelach na całym świecie, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota. Pani Maxton nie rozumiała, dlaczego Abel zdobył się na tak wspaniałomyślny gest.

Kiedy następnego dnia Abel wrócił do Nowego Jorku, z radością przeczytał czekającą na niego na biurku w gabinecie na czterdziestym drugim piętrze wiadomość od Henry'ego Osborne'a, że sprawa przycichła. Według Henry'ego istniało małe prawdopodobieństwo, aby nowa administracja Eisenhowera naciskała na kontynuowanie dochodzenia w sprawie akcji Interstate Airways, zwłaszcza że od prawie roku ich kurs wyraźnie się ustabilizował. Nie wydarzyło się nic, co by na nowo obudziło zainteresowanie opinii publicznej skandalem. Wiceprezydent Richard M. Nixon zdawał się bardziej pochłonięty polowaniem na hipotetycznych komunistów, których nie zdążył wytropić Joe McCarthy.

Przez następne dwa lata Abel koncentrował swe wysiłki na budowie nowych hoteli w Europie. W 1953 roku dokonał otwarcia nowego Barona w Paryżu, a pod koniec 1954 roku – w Londynie. W różnych stadiach zaawansowania znajdowały się dalsze hotele w Brukseli, Rzymie, Amsterdamie, Genewie, Bonn, Edynburgu, Cannes

i Sztokholmie, powstające w ramach obliczonego na dziesięć lat programu rozwojowego.

Abel był tak zapracowany, że niewiele miał czasu na śledzenie nieprzerwanego pasma sukcesów Williama w interesach. Nie próbował więcej kupować akcji banku Lestera czy przezeń kontrolowanych towarzystw, choć nie wyzbywał się tych, które miał, licząc na to, że kiedyś znów nadarzy mu się okazja i zada Kane'owi cios, po którym tamten tak łatwo się już nie pozbiera. Przyrzekł sobie, że następnym razem będzie uważał, żeby niechcący nie przekroczyć prawa.

Podczas coraz częstszych wyjazdów Abla za granicę sprawami Hoteli Baron zawiadywał George i Abel miał nadzieję, że Florentyna wejdzie do rady nadzorczej zaraz po ukończeniu Radcliffe, co miało nastąpić w czerwcu 1955 roku. Już teraz postanowił, że powinna wziąć w swoje ręce zarządzanie sklepami hotelowymi i koordynować ich zaopatrzenie, gdyż ich sieć stawała się powoli jakby odrębnym koncernem.

Pomysł wielce przypadł do gustu Florentynie, która jednak upierała się, że wpierw, zanim podejmie pracę w Hotelach Baron, powinna zdobyć trochę doświadczenia gdzie indziej. Nie uważała, aby jej wrodzone talenty organizacyjne, wyczucie koloru, dobry smak mogły zastąpić doświadczenie. Abel doradzał jej praktykę w Szwajcarii pod okiem monsieur Maurice'a w słynnej École Hôtelière w Lozannie, na co Florentyna żachnęła się i oświadczyła ojcu, że chciałaby wpierw popracować dwa lata w jakimś sklepie w Nowym Jorku i dopiero potem pomyśleć o pokierowaniu sklepami hotelowymi. Miała ambicję stać się kimś, kogo będzie warto zatrudnić.

– …Nie tylko dlatego, że jestem córką własnego ojca – jak oświadczyła Ablowi, który chętnie się z nią zgodził.

– Sklep w Nowym Jorku? Zaraz to załatwimy – powiedział. – Zadzwonię do Waltera Hovinga u Tiffany'ego i zaczniesz od kierowniczego stanowiska.

– Nie – odparła Florentyna, zdradzając upór odziedziczony po ojcu. – Jaki będzie sklepowy odpowiednik młodszego kelnera w hotelu Plaza?

– Sprzedawczyni w domu towarowym – powiedział Abel, śmiejąc się.

– Właśnie o to mi chodzi – oświadczyła.

Abel przestał się śmiać.

– Mówisz poważnie? Z dyplomem z Radcliffe w kieszeni, doświadczeniem i wiedzą, jaką wyniosłaś z podróży do Europy, chcesz zostać zwykłą, anonimową ekspedientką?

– To, że byłeś kiedyś nikomu nieznanym kelnerem w hotelu Plaza, jakoś ci nie przeszkodziło w stworzeniu jednej z największych w świecie sieci hoteli – zareplikowała Florentyna.

Abel wiedział, kiedy przegrywa. Wystarczyło mu spojrzeć w stalowoszare oczy pięknej córki, aby zrozumieć, że podjęła już decyzję i ani prośby, ani groźby nie zmienią raz powziętego postanowienia.

Po ukończeniu Radcliffe Florentyna spędziła z ojcem miesiąc w Europie, doglądając budowy najnowszych hoteli. Osobiście dokonała otwarcia hotelu Baron w Brukseli, przy okazji podbiła serce młodego francuskojęzycznego przystojnego dyrektora nowego hotelu, z którego Abel pokpiwał, twierdząc, że jedzie od niego czosnkiem.

Musiała dać mu kosza trzy dni później, kiedy chciał ją pocałować, lecz nigdy nie przyznała się ojcu, że to czosnek ją odstręczył.

Florentyna wróciła z ojcem do Nowego Jorku i natychmiast złożyła podanie o przyjęcie na wakującą posadę (jak szumnie określono to w ogłoszeniu) „pomocnicy ekspedientki" w domu towarowym Bloomingdale'a. Wypełniając formularz, podała, że nazywa się Jessie Kovats, żeby uniknąć komentarzy, których by jej nie szczędzono, gdyby się rozeszło, że jest córką „Barona z Chicago".

Mimo protestów ojca wyprowadziła się też ze swojego apartamentu w nowojorskim Baronie i zaczęła się rozglądać za jakimś własnym kątem. Abel znów ustąpił i kupił Florentynie małe, ale eleganckie mieszkanie na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy w pobliżu East River, traktując to jako prezent na jej dwudzieste drugie urodziny.

Florentyna szybko się zadomowiła w Nowym Jorku i prowadziła tam bogate życie towarzyskie, ale już dawno postanowiła nie zdradzać się przed przyjaciółkami, że zamierza pracować u Bloomingdale'a. Bała się, że zechcą ją tam odwiedzić i już po paru dniach cały sekret się wyda i nikt nie będzie traktował jej jak zwykłej praktykantki.

Kiedy przyjaciele próbowali się czegoś dowiedzieć, mówiła tylko, że pomaga prowadzić sklepy w hotelach ojca. Ta odpowiedź w zupełności zaspokajała ich ciekawość.

Jessie Kovats – upłynęło trochę czasu, zanim przyzwyczaiła się do tego imienia i nazwiska – zaczęła praktykę od działu kosmetyków. Już po sześciu miesiącach umiałaby prowadzić własny sklep z kosmetykami. Dziewczyny w domu towarowym Bloomingdale'a dobierały się parami, co Florentyna natychmiast wykorzystała,

upatrzywszy sobie za partnerkę najbardziej leniwą dziewczynę w całym dziale. Taki układ odpowiadał obu dziewczętom, gdyż koleżanką Florentyny była szałowa, ale ograniczona blondynka imieniem Maisie, którą interesowały tylko dwie rzeczy w życiu: chwila, kiedy wskazówka na zegarze wskaże szóstą po południu, oraz mężczyźni. Pierwsze zdarzało się raz dziennie, drugie pochłaniało ją dzień i noc.

Obie dziewczyny wkrótce bardzo się zżyły, choć nie zostały przyjaciółkami. Florentyna dowiedziała się od koleżanki wielu ciekawych rzeczy, a zwłaszcza tego, w jaki sposób wymigiwać się od pracy, nie pozwalając się przyłapać kierownikowi piętra i jak dać się poderwać mężczyźnie.

Stoisko z kosmetykami już po sześciu miesiącach zaczęło przynosić większe zyski, mimo że Maisie więcej czasu spędzała na wypróbowywaniu produktów niż ich sprzedaży. Często samo malowanie paznokci zabierało jej dwie godziny. Natomiast Florentyna miała wrodzony dryg do handlu, coś, czego nie można się wyuczyć w szkole wieczorowej. Ta smykałka oraz bystrość dziewczyny sprawiły, że jej pracodawcom już po kilku tygodniach się zdawało, iż jest ich pracownicą od wielu lat.

Partnerski układ z Maisie idealnie odpowiadał Florentynie i kiedy przeniesiono ją do działu „Sukienek na lepszą okazję", Maisie przeszła tam wraz z nią. Mogła teraz spędzać całe dnie na przymierzaniu nowych sukienek, podczas gdy Florentyna zajęta była ich sprzedawaniem. Maisie przyciągała mężczyzn – a wraz z nimi ich żony czy narzeczone – niezależnie od tego, w jakim pracowała dziale; wystarczało, że tylko na nich spojrzała. Kiedy już zostali zwabieni, Florentyna wkraczała do akcji i zawsze udało się jej coś sprzedać.

Wydawało się, że ta metoda nie zda egzaminu w dziale „Sukienek na lepszą okazję", jednak Florentyna zawsze zdołała wmusić coś ofiarom Maisie, tylko niektórym udawało się umknąć, nie otworzywszy portfela.

W ciągu następnych sześciu miesięcy zyski znów się zwiększyły i kierownik piętra doszedł do wniosku, że najwidoczniej obu dziewczynom doskonale się razem pracuje. Florentyna nie powiedziała nic, co mogłoby wyprowadzić go z tego przekonania. Podczas gdy inne sprzedawczynie nieustannie się skarżyły, że koleżanki nie przykładają się do pracy, Florentyna zawsze wychwalała Maisie jako idealną partnerkę, która ją nauczyła, na czym polega praca w wielkim domu towarowym. Nie wspomniała jednak o cennych radach Maisie, jak sobie radzić ze zbyt natarczywymi mężczyznami.

Za największe wyróżnienie, jakie może spotkać ekspedientkę w domu towarowym Bloomingdale'a, poczytuje się postawienie za jednym z kontuarów na wprost wejścia od Alei Lexington. Jest wtedy pierwszą osobą, którą widzi klient wchodzący głównymi drzwiami. Pracę przy tym kontuarze traktuje się jako swego rodzaju awans i ów przywilej rzadko spotyka dziewczynę, która przepracowała w sklepie mniej niż pięć lat. Maisie pracowała tam od siedemnastego roku życia, całe pięć lat, a Florentyna dopiero dwanaście miesięcy. Ponieważ jednak doskonale sobie radziły, kierownik postanowił je wypróbować i przeniósł obie do działu papierniczego na parterze. Maisie nie umiała skorzystać z przeniesienia do nowego działu, czytanie bowiem nie było jej pasją, nie mówiąc już o pisaniu. Po roku przebywania z Maisie Florentyna wcale nie była pewna, czy potrafi czytać i pisać. Jednakże nowe stanowisko bardzo cieszyło Maisie,

gdyż uwielbiała skupiać na sobie uwagę. Tak więc dziewczyny nadal trwały w idealnej harmonii.

Abel przyznał się George'owi, że wśliznął się kiedyś chyłkiem do Bloomingdale'a, aby zobaczyć Florentynę przy pracy, i musiał przyznać, że robota pali jej się w rękach. Zapewnił swego zastępcę, że nie może się doczekać, kiedy Florentyna ukończy dwuletnie przeszkolenie u Bloomingdale'a i będzie ją mógł w końcu zatrudnić u siebie. Obaj uzgodnili, że po odejściu z Bloomingdale'a Florentyna otrzyma stanowisko jednego z wiceprezesów Hoteli Baron i obejmie zarząd nad hotelowymi sklepami. Jak zauważono to już u Bloomingdale'a, nie wypadła sroce spod ogona i Abel ani przez chwilę nie wątpił, że bez trudu podoła obowiązkom, które dla niej przewidział.

Ostatnie sześć miesięcy u Bloomingdale'a Florentyna przepracowała na parterze, mając pod sobą sześć stoisk. Była teraz zastępczynią kierowniczki, a do jej obowiązków należało uzupełnianie zapasów na półkach, nadzorowanie pracy kasjerek i szesnastu ekspedientek. Kierownictwo Bloomingdale'a już teraz uznało Jessie Kovats za idealną kandydatkę na kierowniczkę działu zaopatrzenia.

Florentyna nie poinformowała jeszcze swoich pracodawców, że wkrótce się z nimi pożegna, aby objąć stanowisko wiceprezesa w należącej do ojca grupie Hoteli Baron. Podczas ostatnich sześciu miesięcy coraz częściej się zastanawiała, co się stanie po jej odejściu z biedną Maisie, której do głowy nie przyszło, że Jessie nie będzie pracować u Bloomingdale'a do końca życia – bo czy nie taki los był sądzony każdej z nich? Florentyna pomyślała nawet, że mogłaby jej zaproponować pracę w którymś ze sklepów w nowojorskim hotelu

Baron. Jeśli wchodziła w rachubę praca za ladą, gdzie mężczyźni wydawali pieniądze, Maisie była cennym atutem.

Pewnego popołudnia Maisie, która obsługiwała właśnie klienta – pracowała teraz w stoisku z rękawiczkami, szalikami i filcowymi kapeluszami – odciągnęła Florentynę na bok i wskazała jej młodego mężczyznę, który przerzucał rękawiczki.

– Jak ci się podoba? – spytała, chichocząc.

Florentyna zerknęła na najnowszy obiekt pożądania Maisie z typowym dla siebie brakiem zainteresowania, lecz tym razem musiała przyznać w duchu, że jest to ktoś naprawdę atrakcyjny i nawet poczuła jakby ukłucie zazdrości.

– Oni zawsze chcą tylko jednego, Maisie.

– Wiem – odparła Maisie – i ten może to mieć.

– Jestem pewna, że rad by to usłyszał – powiedziała Florentyna ze śmiechem i odwróciła się do klientki, która zaczęła się już niecierpliwić, że Maisie nie dostrzega jej obecności. Maisie skorzystała z okazji i pośpieszyła do młodego mężczyzny cierpiącego na brak rękawiczek. Florentyna obserwowała ich oboje kątem oka. Bawiło ją, że on nerwowo spoglądał w jej kierunku, upewniając się, że szefowa Maisie jej nie śledzi. Maisie przez chwilę się z nim podroczyła i młody człowiek odszedł z parą ciemnoniebieskich skórzanych rękawiczek.

– I jak, czy sprostał twoim oczekiwaniom? – spytała Florentyna, zdając sobie sprawę, że trochę zazdrości Maisie jej nowej zdobyczy.

– Nie – odparła dziewczyna. – Ale jestem pewna, że tu jeszcze wróci – dodała, szczerząc zęby w uśmiechu.

Przeczucia Maisie sprawdziły się, gdyż następnego dnia klient zjawił się znów, zaczął grzebać w stercie rękawiczek i miał jeszcze

bardziej zakłopotaną minę niż poprzednim razem.

– Lepiej idź i obsłuż go – powiedziała Florentyna.

Maisie posłusznie spełniła polecenie. Florentyna omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem, kiedy po paru minutach młody człowiek odchodził z następną parą ciemnoniebieskich rękawiczek.

– Dwie pary – obwieściła Florentyna. – Myślę, że mogę powiedzieć w imieniu firmy, że ten facet zasłużył sobie na ciebie.

– Ale dziś też się ze mną nie umówił – poskarżyła się Maisie.

– Co? – zapytała Florentyna, udając niedowierzanie. – A więc to pewnie fetyszysta, zbzikowany na punkcie rękawiczek.

– Jestem bardzo zawiedziona – oznajmiła Maisie – gdyż uważam, że jest jak marzenie…

– Owszem, niczego sobie – przyznała Florentyna.

Kiedy na drugi dzień młody człowiek zjawił się przy stoisku, Maisie rzuciła się ku niemu, opuszczając jakąś starszą damę w środku zdania. Florentyna szybko ją zastąpiła, znowu śledząc Maisie kątem oka. Tym razem oboje zdawali się pogrążeni w rozmowie; po pewnym czasie młody mężczyzna odszedł z jeszcze jedną parą ciemnoniebieskich rękawiczek.

– No, teraz dopięłaś swego – próbowała odgadnąć Florentyna.

– Tak, chyba tak – odparła Maisie – ale jeszcze nie zaproponował mi randki.

Florentyna nie mogła w to uwierzyć.

– Słuchaj – powiedziała zdesperowana Maisie – czy mogłabyś go obsłużyć, jeśli jutro znów przyjdzie? Myślę, że boi się zapytać mnie wprost. Może łatwiej byłoby mu to zrobić przez ciebie?

Florentyna zaśmiała się.

– Mam być Violą dla twego Orsina?

– Kim? – zapytała Maisie.

– Nieważne – odpowiedziała Florentyna. – Ciekawa jestem, czy uda mi się sprzedać mu jeszcze jedną parę rękawiczek.

Czego jak czego, ale uporu mu nie brakuje, pomyślała Florentyna, kiedy następnego dnia dokładnie o tej samej porze młody człowiek zjawił się u wejścia i od razu skierował się do stoiska z rękawiczkami. Maisie szturchnęła Florentynę łokciem w bok, ta zaś uznała, że pora trochę się zabawić.

– Dzień dobry panu.

– O, dzień dobry – powiedział młody człowiek z zaskoczoną, a może rozczarowaną miną.

– Czym mogę panu służyć? – zapytała Florentyna.

– Dziękuję, ja nie… To znaczy tak, potrzebuję rękawiczek – powiedział bez przekonania.

– Proszę bardzo. Czy odpowiadałyby panu ciemnoniebieskie? Skórkowe? Na pewno mamy pański rozmiar… chyba że już wszystkie wyprzedaliśmy.

Młody człowiek przyglądał się jej podejrzliwie, gdy wręczała mu rękawiczki. Przymierzył je. Były trochę za duże. Florentyna podała mu inną parę, ale te z kolei były za ciasne. Spłoszony spojrzał w kierunku Maisie, jakby szukając natchnienia, ale w tej chwili otaczał ją gęsty tłumek klientów wyłącznie płci męskiej. Jednak Maisie wcale nie traciła głowy, znalazła nawet czas, aby się do niego uśmiechnąć. Młodzieniec odpowiedział jej nerwowym uśmiechem. Florentyna podała mu jeszcze jedną parę rękawiczek. Te leżały jak ulał.

– Myślę, że właśnie tego pan szukał – rzekła Florentyna.

– Nie, niezupełnie – odparł zakłopotany klient.

Florentyna doszła do wniosku, że pora już zlitować się nad biedakiem, i zniżając głos, powiedziała:

– Pójdę na odsiecz Maisie. Dlaczego się pan z nią nie umówił? Jestem pewna, że się zgodzi.

– Ależ nie – powiedział młody człowiek. – Pani nie rozumie. To nie z nią chciałbym się umówić, ale z panią.

Florentyna zaniemówiła. Młody człowiek zebrał się na odwagę.

– Czy mógłbym panią zaprosić na kolację dziś wieczór? – zapytał.

Usłyszała, jak mówi:

– Tak.

– Czy mogę przyjechać po panią do domu?

– Nie – odpowiedziała, trochę zbyt stanowczo. Nie pragnęła bynajmniej, aby ktoś po nią przychodził do jej mieszkania, gdyż zaraz by się wydało, że nie jest zwykłą ekspedientką. – Spotkajmy się w restauracji – dodała szybko.

– Która by pani odpowiadała?

Florentyna myślała pośpiesznie, usiłując przypomnieć sobie jakiś niezbyt wyszukany lokal.

– Może „U Allena” na rogu Siedemdziesiątej Trzeciej i Trzeciej? – podsunął.

– Tak, świetnie – powiedziała Florentyna, myśląc o tym, o ile zręczniej w takiej sytuacji zachowałaby się Maisie.

– Może być około ósmej?

– Około ósmej – zgodziła się Florentyna. Młody człowiek odszedł z uśmiechem na ustach. Florentyna patrzyła za nim, aż zniknął na ulicy, i nagle do niej dotarło, że tym razem nie kupił rękawiczek.

Florentyna długo deliberowała, jaką sukienkę wybrać na tę okazję. Nie chciała, aby z daleka było widać, że to model Bergdorfa Goodmana. Miała trochę rzeczy kupionych specjalnie do pracy u Bloomingdale'a, ale była to odzież do noszenia w dzień, a nie na wieczór. Skoro mężczyzna – o Boże, nawet nie zna jego imienia – który się z nią umówił, jest przekonany, że ma randkę z ekspedientką, to nie powinna go wyprowadzać z błędu. Zauważyła, że cieszy się na spotkanie bardziej, niżby należało.

Wyszła z domu przy Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy trochę przed ósmą i czekała parę minut, zanim złapała wolną taksówkę.

– Do „Allena" proszę – rzuciła kierowcy.

– Na Trzeciej?

– Tak.

– Już się robi.

Dotarła do restauracji parę minut spóźniona. Zaczęła się rozglądać za młodym człowiekiem. Stał przy barze, machając do niej ręką. Miał teraz na sobie szare flanelowe spodnie i niebieski blezer. Bardzo w stylu studenta renomowanej uczelni, pomyślała Florentyna, ale trzeba przyznać, że przystojny.

– Przepraszam za spóźnienie – zaczęła rozmowę.

– Nie szkodzi. Ważne, że pani przyszła.

– Myślał pan, że nie przyjdę? – zapytała.

– Nie byłem pewien. – Uśmiechnął się. – Przepraszam, ale nie wiem, jak pani na imię.

– Jessie Kovats – powiedziała Florentyna postanowiwszy nie zdradzać, kim jest. – A panu?

– Richard Kane – powiedział młody człowiek, wyciągając do niej rękę.

Podała mu swoją, a on przytrzymał ją trochę dłużej, niż się tego spodziewała.

– A co pan robi, kiedy nie kupuje pan rękawiczek u Bloomingdale'a? – zakpiła.

– Studiuję w Harvard Business School.

– Dziwię się, że nie uczą tam, iż ludzie mają zazwyczaj tylko jedną parę rąk.

Roześmiał się, a potem uśmiechnął się do niej z taką swobodą i tak miło, że pożałowała, iż nie może mu powiedzieć, że być może już się kiedyś spotkali w Cambridge, kiedy studiowała w Radcliffe.

– Zamówimy coś? – zapytał, i ująwszy Florentynę za ramię, poprowadził ją w kierunku stolika.

Spojrzała na menu wypisane kredą na czarnej tablicy.

– Mielony à la Salisbury? – zaproponowała.

– Co po imieniu? Hamburger, choć nazwisko zmieni… – wyrecytował Richard.

Zaśmiali się oboje śmiechem ludzi, którzy jeszcze się nie znają, ale tego pragną. Zauważyła, że jest zdziwiony, iż rozpoznała w jego dowcipie kwestię z *Romea i Julii*.

Florentyna rzadko kiedy tak dobrze bawiła się w czyimś towarzystwie. Richard rozprawiał o Nowym Jorku, teatrze, muzyce – najwidoczniej jego największej pasji – z takim wdziękiem i urokiem, że czuła się przy nim zupełnie swobodnie. Może sobie myślał, że jest zwykłą ekspedientką, ale traktował ją, jakby pochodziła z najwyższych sfer. Richard miał nadzieję, że nie okazał zbytniego zdziwienia, gdy się okazało, że ona podziela jego zainteresowania,

kiedy bowiem poprosił, aby powiedziała mu coś o sobie, odparła tylko tyle, że jest Polką i mieszka w Nowym Jorku z rodzicami. Im dłużej byli z sobą, tym trudniej przychodziło Florentynie utrzymać się w roli ekspedientki. Pomyślała jednak, że może i tak się więcej nie zobaczą, i nie będzie to miało większego znaczenia.

Kiedy kolacja dobiegła końca i żadne z nich nie było już w stanie wypić więcej kawy, wyszli od „Allena" i Richard zaczął się rozglądać za taksówką, wszystkie jednak, jakie się pojawiały na horyzoncie, były zajęte.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał.

– Na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy – odpowiedziała machinalnie.

– Więc przespacerujemy się – powiedział Richard, biorąc Florentynę za rękę.

Uśmiechnęła się przyzwalająco. Szli, przystając przed wystawami, śmiejąc się w głos i uśmiechając się do siebie. Żadne nie zauważało pustych taksówek, które teraz ich mijały. Prawie godzinę zajęło im przejście szesnastu przecznic i niewiele brakowało, a Florentyna powiedziałaby mu prawdę. Kiedy dotarli do Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, zatrzymała się przed małym starym domem czynszowym o kilkaset jardów od swego mieszkania.

– Tu mieszkają moi rodzice – oświadczyła. Przez chwilę jakby się zawahał, a potem puścił jej rękę.

– Mam nadzieję, że jeszcze się ze mną spotkasz – powiedział.

– Bardzo chętnie – powiedziała Florentyna uprzejmym, zdawkowym tonem.

– Jutro? – zapytał nieśmiało Richard.

– Jutro?

– Tak. Może byśmy poszli do „Błękitnego Anioła” posłuchać Bobby’ego Shorta? – znów ujął jej dłoń. – Byłoby to trochę bardziej romantyczne niż kolacja „U Allena”.

Przez moment Florentyna poczuła się zbita z tropu, gdyż jej plany wobec Richarda nie przewidywały, że będzie jakieś jutro.

– Ale jeśli nie chcesz, to nie – dodał, zanim ochłonęła.

– Bardzo chcę – powiedziała cicho.

– Jem kolację z ojcem i potem mógłbym wpaść do ciebie o dziesiątej.

– Nie, nie – powiedziała Florentyna. – Spotkajmy się na miejscu, to tylko dwie przecznice stąd.

– Zatem o dziesiątej – nachylił się i pocałował ją delikatnie w policzek. – Dobranoc, Jessie – powiedział i zniknął w mroku ulicy.

Florentyna szła powoli do domu, żałując, że tyle mu o sobie nakłamała. Jednak, pomyślała, za parę dni może być po wszystkim. W głębi duszy miała jednak nadzieję, że tak nie będzie.

Maisie, wciąż jeszcze nadąsana, przez większą część następnego dnia wypytywała ją o Richarda. Florentyna bezskutecznie usiłowała zmienić temat.

Wyszła tego dnia tuż po zamknięciu domu towarowego. W ciągu prawie dwu lat, jakie przepracowała u Bloomingdale’a, zdarzyło się pierwszy raz, że wymknęła się do domu przed Maisie. Długo się kąpała, włożyła najładniejszą sukienkę stosowną dla ekspedientki i udała się spacerkiem do „Błękitnego Anioła”. Richard czekał już na nią przed szatnią. Wziął ją za rękę, kiedy wchodzili do sali, w której rozbrzmiewały słowa piosenki śpiewanej przez Bobby’ego Shorta.

Czy mówisz mi prawdę?
Czy jestem tylko jednym z twoich kłamstw?

Na widok Florentyny Bobby Short pozdrowił ją gestem. Florentyna udała, że nie widzi. Bobby Short występował dwa albo trzy razy w nowojorskim Baronie i Florentynie nie przyszło do głowy, że mógłby ją zapamiętać. Richard był zaintrygowany, ale po chwili doszedł do wniosku, że pieśniarz witał kogoś innego. Kiedy zajmowali stolik w dyskretnie oświetlonej sali, Florentyna usiadła tyłem do pianina, żeby nie dopuścić do powtórzenia się sytuacji.

Richard zamówił butelkę wina, nie wypuszczając jej ręki, a potem zapytał, jak jej minął dzień. Nie chciała o tym mówić; chciała mu powiedzieć prawdę.

– Richard, jest coś, co muszę ci...

– Cześć, Richard – przy ich stoliku wyrósł wysoki, przystojny mężczyzna.

– Cześć, Steve. Poznajcie się, Steve Mellon, Jessie Kovats. Steven i ja studiowaliśmy razem w Harvardzie.

Florentyna przysłuchiwała się, jak gawędzili o drużynie New York Yankees, o słabej stronie Eisenhowera – jego grze w golfa, o tym, dlaczego Yale schodzi na psy. W końcu Steve odszedł, żegnając ją uprzejmym: „Miło było cię poznać, Jessie".

I tak właściwy moment minął.

Richard zaczął jej opowiadać o swoich planach po ukończeniu szkoły biznesu, o tym, że pragnie wrócić do Nowego Jorku i podjąć pracę w banku Lestera, którym kieruje jego ojciec. Słyszała już kiedyś tę nazwę, ale nie pamiętała w związku z czym. Nie wiedziała dlaczego, ale nie dawało jej to spokoju. Spędzili z sobą długi wieczór; śmiali się,

jedli, rozmawiali, słuchali piosenek Bobby'ego Shorta i cały czas trzymali się za ręce. Kiedy szli do domu, Richard przystanął na rogu Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i po raz pierwszy ją pocałował. Nie pamiętała, żeby kiedyś pierwszy pocałunek aż tak ją upoił. Kiedy, wróciwszy do rzeczywistości Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, pożegnała się z nim, zostawiając go wraz ze swoimi kłamstewkami, uświadomiła sobie, że tym razem nie wspomniał o jutrze. Była odrobinkę rozczarowana, że tak miała się zakończyć ta przygoda.

Aż ją zaskoczyło, jak bardzo się ucieszyła, kiedy w poniedziałek Richard zatelefonował do niej do pracy i zapytał, czy nie spotkałaby się z nim w piątek.

Skończyło się na tym, że spędzili razem prawie cały weekend; poszli na koncert, do kina – zdążyli nawet obejrzeć mecz z udziałem New York Knicks. Później Florentyna uzmysłowiła sobie, że naopowiadała Richardowi na temat swego pochodzenia tyle niewinnych kłamstw, że zaczęło się jej już wszystko mylić. Parę razy zaprzeczała własnym słowom, co wprawiło Richarda w niemałe zdumienie. Zabrnęła tak daleko, że snucie kolejnej opowieści, aczkolwiek prawdziwej, było ponad jej siły. Kiedy w niedzielę wieczorem Richard wrócił na uczelnię, Florentyna usiłowała sama siebie przekonać, że kiedy ich znajomość się zakończy, jej mistyfikacje i tak nie będą miały żadnego znaczenia. Lecz Richard telefonował dzień w dzień i kilka następnych weekendów spędzili razem; powoli zaczęło do niej docierać, że ta przygoda tak szybko nie przeminie. Stwierdziła, że jest w Richardzie zakochana. Kiedy w końcu przyznała się do tego przed sobą, zrozumiała, że przy najbliższej okazji musi mu wyznać prawdę.

33

Cały przedpołudniowy wykład Richard przesiedział zatopiony w marzeniach. Tak bardzo stracił głowę dla tej dziewczyny, że nie potrafił skoncentrować uwagi na „Kryzysie roku dwudziestego dziewiątego". Nie miał pojęcia, jak powiedzieć ojcu, że zamierza poślubić polską dziewczynę, która pracuje w stoisku z chusteczkami, rękawiczkami i filcowymi kapeluszami u Bloomingdale'a. Richard nie mógł zrozumieć, dlaczego Jessie, dziewczyna niewątpliwie inteligentna, nie ma większych życiowych ambicji; był przekonany, że gdyby dano jej taką szansę jak jemu, na pewno nie skończyłaby jako sprzedawczyni w domu towarowym Bloomingdale'a. Zdecydował, że rodzice będą musieli się pogodzić z jego wyborem, gdyż podczas najbliższego weekendu zamierza poprosić Jessie o rękę.

W każdy piątkowy wieczór po powrocie do domu rodziców w Nowym Jorku Richard nabrał zwyczaju wychodzenia na miasto po jakiś drobiazg do Bloomingdale'a, przeważnie bezużyteczną błahostkę, w tym tylko celu, aby dać Jessie znać, że jest już w mieście; zdążył obdarować rękawiczkami wszystkich swoich krewnych i powinowatych. Tego piątku powiedział matce, że wychodzi po żyletki.

– Nie ma potrzeby, synku, możesz przecież używać żyletek ojca – powiedziała.

– Nie, nie, to drobiazg – odparł. – Wyjdę i kupię sobie kilka, zresztą ojciec używa nożyków innej firmy – dodał nieprzekonująco. – Wrócę za parę minut.

Osiem przecznic do Bloomingdale'a pokonał prawie biegiem i do sklepu wszedł w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem. Wiedział, że zobaczy się z Jessie o pół do ósmej, ale nie potrafił odmówić sobie przyjemności pogawędzenia z nią choć przez chwilę. Steve kiedyś mu powiedział, że miłość jest dla frajerów. Tego ranka przy goleniu Richard napisał na zaparowanej tafli lustra: „Jestem frajerem". Kiedy dopadł stoiska Jessie, jej już tam nie było. Maisie stała na boku, piłując paznokcie. Zapytał ją, czy Jessie jest może jeszcze gdzieś w pobliżu. Maisie spojrzała na niego, jak gdyby oderwał ją od najważniejszej czynności tego dnia.

– Nie, poszła już do domu, dosłownie przed paroma sekundami. Na pewno jest jeszcze niedaleko. Myślałam, że macie się dziś wieczorem spotkać.

Richard bez słowa wybiegł na Lexington Avenue. Rozglądał się za Jessie wśród tłumu wracających z pracy przechodniów. Wypatrzył ją po drugiej stronie ulicy, zmierzała w kierunku Piątej Alei. Ponieważ najwyraźniej nie szła w kierunku domu, podążył za nią z lekkim poczuciem winy. Kiedy doszła do księgarni Scribnera przy Czterdziestej Ósmej ulicy, zatrzymał się i zobaczył, jak wchodzi do środka. Jeśli chciała coś do poczytania, to z pewnością mogłaby znaleźć odpowiednią książkę u Bloomingdale'a. Zastanawiało go to. Zajrzał przez okno wystawowe i zobaczył, jak Jessie rozmawia ze sprzedawcą, który zostawił ją na chwilę samą, po czym wrócił z dwiema książkami. Udało mu się z daleka odcyfrować tytuły: „Społeczeństwo dobrobytu" Johna Kennetha Galbraitha i „Dzisiejsza Rosja od środka" Johna Gunthera. Jessie podpisała rachunek, co zdziwiło Richarda – i wyszła. W porę odskoczył za róg.

– Kim ona jest? – zapytał głośno sam siebie, patrząc, jak Jessie wchodzi do sklepu Bendela. Portier przywitał ją z uszanowaniem, w sposób, który świadczył o tym, że Jessie jest stałą klientką sklepu. Richard znów śledził ją przez szybę, widząc, jak ekspedientki krzątają się wokół Jessie z większą niż zazwyczaj atencją. Jakaś starsza pani podeszła z pakunkiem, którego Jessie najwidoczniej się nie spodziewała. Rozwinęła opakowanie i wyjęła zdumiewająco skromną, niezwykle piękną wieczorową suknię. Florentyna uśmiechnęła się i pokiwała potakująco głową, kiedy ekspedientka wkładała suknię do biało-brązowego pudełka. Z ułożenia ust Jessie odgadł, że powiedziała słowo „dziękuję", po czym skierowała się ku wyjściu, nie podpisawszy nawet żadnego rachunku. Richard był tak zahipnotyzowany tą sceną, że niewiele brakowało, a zderzyłby się z Florentyną, która wybiegła ze sklepu i wskoczyła do taksówki. On też złapał taksówkę i kazał kierowcy jechać za nią. Kiedy samochód minął dom, przed którym zazwyczaj się rozstawali, Richard poczuł się nieswojo. Nic dziwnego, że nigdy nie zapraszała go do środka. Taksówka przejechała jeszcze sto jardów i zatrzymała się przed nowiutkim budynkiem mieszkalnym z portierem w liberii, który otworzył przed Jessie drzwi. Z mieszaniną złości i zdziwienia Richard wyskoczył z taksówki i ruszył w kierunku drzwi, za którymi zniknęła.

– Należy się dziewięćdziesiąt pięć centów, koleś – zawołał za nim taksówkarz.

– Ach, przepraszam – powiedział Richard i wcisnął mu w rękę pięć dolarów, nie czekając na resztę.

– Dziękuję – ucieszył się kierowca. – Niektórzy mają dziś szczęśliwy dzień.

Richard dopadł drzwi budynku i zdążył dogonić Florentynę. Stała przy drzwiach windy, które właśnie się rozsunęły i oniemiała patrzyła na niego.

– Kim ty właściwie jesteś? – zażądał wyjaśnienia.

– Ri... Richard – zająknęła się. – Miałam właśnie zamiar powiedzieć ci wszystko dziś wieczór. Jakoś nigdy nie mogłam znaleźć odpowiedniego momentu.

– Już w to wierzę, że miałaś zamiar – powiedział, podążając za Florentyną do jej mieszkania. – Przez trzy miesiące karmiłaś mnie kłamstwami. Najwyższy czas, abym się dowiedział prawdy.

Florentyna nigdy przedtem nie widziała Richarda rozgniewanego i podejrzewała, że zdarza mu się to bardzo rzadko. Przecisnął się obok niej dosyć bezceremonialnie i zaczął bacznie lustrować mieszkanie. Z hallu wchodziło się do obszernego salonu wyłożonego pięknym wschodnim dywanem. Wspaniały antyczny zegar stał naprzeciw podręcznego stolika, a na nim, w wazonie, świeże kwiaty. Pokój był pięknie urządzony, nawet w porównaniu z wnętrzami w jego własnym domu.

– Niezłe mieszkanko jak na ekspedientkę z domu towarowego – powiedział Richard. – Ciekaw jestem, który z kochanków płaci za to wszystko?

Florentyna wymierzyła mu tak siarczysty policzek, że ją samą zapiekła dłoń.

– Jak śmiesz? – powiedziała. – Wynoś się z mojego domu. Usłyszawszy własne słowa, rozpłakała się. Nie chciała, aby odszedł – ani teraz, ani kiedykolwiek. Richard przytulił ją do siebie.

– O Boże, strasznie cię przepraszam – powiedział. – Jak mogłem coś takiego powiedzieć. Proszę, wybacz mi. To dlatego, że tak bardzo

cię kocham i myślałem, że dobrze cię znam, a teraz widzę, że nie wiem o tobie nic.

– Ja też cię kocham, Richard, i przepraszam za policzek. Nie chciałam cię oszukiwać, ale ja naprawdę nie mam nikogo innego. Zapewniam cię. – Głos jej się załamał.

– Zasłużyłem sobie na to – powiedział i pocałował ją.

Obejmując się nawzajem, opadli na kanapę i przez chwilę tak trwali w bezruchu. Delikatnie gładził jej włosy, aż łzy przestały płynąć jej po policzkach. Pomóż mi się rozebrać, chciała mu powiedzieć, ale nie zrobiła tego, wsunęła natomiast palce w szczelinę między dwoma guzikami jego koszuli. Wyglądało na to, że Richard nie ma ochoty wykonać następnego ruchu.

– Chcesz się ze mną przespać? – zapytała cicho.

– Nie – odparł. – Chcę czuwać z tobą do samego rana.

Bez słowa rozebrali się i zaczęli się kochać, czule i nieśmiało, bojąc się skrzywdzić nawzajem, rozpaczliwie starając się sprawić jedno drugiemu przyjemność. Potem Florentyna położyła głowę na jego ramieniu i zaczęli rozmawiać.

– Kocham cię – powiedział Richard – odkąd tylko cię poznałem. Czy wyjdziesz za mnie? Bo naprawdę nie obchodzi mnie ani trochę, kim jesteś, Jessie. Wiem tylko, że muszę być z tobą do końca życia.

– Ja też chcę cię poślubić, ale wpierw muszę powiedzieć ci prawdę.

Florentyna naciągnęła marynarkę Richarda na ich nagie ciała i powiedziała mu o sobie wszystko, wyjaśniając na zakończenie, w jaki sposób doszło do tego, że podjęła pracę u Bloomingdale'a. Kiedy skończyła swą opowieść, Richard nie powiedział nic.

– Czy już przestałeś mnie kochać? – spytała. – Teraz, gdy już wiesz, kim naprawdę jestem?

– Najdroższa – powiedział Richard bardzo cicho. – Mój ojciec nienawidzi twojego ojca.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Właśnie to. Jedyny raz, kiedy byłem świadkiem, jak przy nim wymówiono jego nazwisko, dostał ataku szału, twierdząc, że jedynym celem w życiu twego ojca jest doprowadzenie rodziny Kane'ów do ruiny.

– Ale dlaczego? – zapytała zaszokowana Florentyna. – Nigdy nie słyszałam o twoim ojcu. Czy oni w ogóle się znają?

Teraz przyszła kolej na Richarda, aby opowiedzieć Florentynie to wszystko, czego dowiedział się od matki o waśni między jego i jej ojcem.

– O Boże – powiedziała. – To musi mieć jakiś związek z przypadkiem „nielojalności", o jakim wspominał ojciec, kiedy po dwudziestu pięciu latach zmienił bank. Co my teraz poczniemy?

– Powiemy im prawdę – powiedział Richard – że poznaliśmy się zupełnie przypadkowo, pokochaliśmy się, a teraz chcemy się pobrać i nikt ani nic nas nie powstrzyma.

– Poczekajmy parę tygodni – powiedziała Florentyna.

– Dlaczego? – spytał Richard. – Czy myślisz, że twój ojciec mógłby cię odwieść od poślubienia mnie?

– Nie, Richardzie – powiedziała, przytulając znów czule głowę do jego ramienia. – Nigdy, najdroższy, ale spróbujmy najpierw się przekonać, czy nie udałoby się im tego zakomunikować w jakiś oględny sposób, nim postawimy ich przed faktem dokonanym. Zresztą, może nie będą się aż tak bardzo sprzeciwiać, jak ci się

wydaje. W końcu od całej tej historii z liniami lotniczymi minęło, jak mówisz, już prawie pięć lat.

– Zapewniam cię, że się sprzeciwią. Mój ojciec byłby wściekły, gdyby nas razem zobaczył, a co dopiero, gdyby się dowiedział, że chcemy się pobrać.

– Więc tym bardziej powinniśmy trochę odczekać, zanim im cokolwiek powiemy. Zyskamy czas na zastanowienie się, jak to najlepiej przeprowadzić.

Pocałował ją jeszcze raz.

– Kocham cię, Jessie.

– Florentyno.

– To jeszcze jedna nowość, do której będę się musiał przyzwyczaić – powiedział. – Kocham cię, Florentyno.

W ciągu następnych czterech tygodni Florentyna i Richard starali się dowiedzieć jak najwięcej o źródłach nienawiści między swoimi ojcami. Florentyna zadawała matce i George'owi Novakowi różne ostrożnie sformułowane pytania, natomiast Richard zapoznał się z zawartością odpowiedniej kartoteki w biurze ojca. Ogrom nienawiści, jaką żywili do siebie ich ojcowie, przeraził ich. Z każdym nowym odkryciem coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że to niemożliwe, aby rodzice przyjęli spokojnie wiadomość o łączącym ich uczuciu. Przez następne cztery tygodnie starali się spędzać razem każdą wolną chwilę. Richard był zawsze czuły i opiekuńczy, nic nie było dla niego zbyt trudne. Robił wszystko, aby Florentyna choć na chwilę mogła zapomnieć o walce, która – wiedzieli o tym oboje – ich czeka. Chodzili do teatru, na lodowisko, a w niedzielę na długie spacery do Central Parku, aby jak zawsze wylądować w końcu w

łóżku, na długo przed zapadnięciem zmroku. Florentyna towarzyszyła Richardowi nawet na meczach z udziałem New York Yankees, choć „nie miała pojęcia, o co chodzi" i bywała z nim na koncertach w Nowojorskiej Filharmonii, które „uwielbiała". Nie chciała uwierzyć, że Richard gra na wiolonczeli, dopóki nie dał dla niej specjalnego recitalu. Biła mu gorące brawa, gdy skończył grać swoją ulubioną sonatę Brahmsa, nie zauważywszy nawet, że cały czas wpatrzony był w jej szare oczy.

– Musimy im to powiedzieć – rzekł, odkładając smyczek na pulpit i biorąc ją w ramiona.

– Wiem, że musimy. Po prostu nie chciałabym sprawić ojcu przykrości.

Teraz jemu wypadło powiedzieć:

– Wiem.

Unikała jego wzroku.

– W przyszłym tygodniu tatuś wraca z Waszyngtonu.

– A więc zrobimy to w przyszły piątek – powiedział Richard i tak mocno ją przytulił, że z trudem łapała oddech.

W poniedziałek rano Richard wrócił na uczelnię. Co wieczór rozmawiali przez telefon, nie upadając na duchu, nieodwołalnie zdecydowani, że nic nie zdoła ich powstrzymać.

W piątek Richard przyjechał do Nowego Jorku wcześniej niż zazwyczaj i spędził godzinę sam na sam z Florentyną, która poprosiła w pracy o wolne popołudnie. Kiedy zbliżyli się do skrzyżowania Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Park Avenue i zatrzymali się przed migającym czerwonym światłem dla pieszych, Richard odwrócił się ku Florentynie i raz jeszcze poprosił ją o rękę. Wyjął z kieszeni pudełeczko obciągnięte czerwoną skórką, otworzył je i włożył

Florentynie na serdeczny palec pierścionek – szafir okolony brylantami, tak piękny, że Florentynie łzy stanęły w oczach; pasował idealnie. Przechodnie przyglądali się im zdziwionym wzrokiem, kiedy tak stali na rogu ulicy przytuleni do siebie, nie zwracając uwagi na pulsujące zielone światło, dające wolne przejście pieszym. W końcu posłuchali nakazu sygnalizatora, ale wpierw pocałowali się jeszcze raz przed rozstaniem i rozeszli się w przeciwne strony, stawić czoło rodzicom. Postanowili, że spotkają się znów w mieszkaniu Florentyny, jak tylko tę ciężką próbę będą mieć już za sobą. Florentyna próbowała uśmiechać się przez łzy.

Szła w stronę hotelu Baron, co pewien czas spoglądając na pierścionek. Był jakiś taki nowy i obcy na palcu i wydawało się jej, że wszyscy przechodnie patrzą nie tylko na piękny szafir, lecz i na nią. Prezentował się wspaniale obok jej starego, stylowego, najbardziej lubianego dotąd pierścionka. Była zaskoczona, kiedy Richard włożył go jej na palec. Przejęta konfliktem między ojcami zapomniała o pierścionkach i wszystkich ceremoniałach, jakie zazwyczaj towarzyszą zaręczonym. Dotknęła okolonego brylantami szafiru i poczuła przypływ odwagi, choć zarazem zdawała sobie sprawę, że im bliżej jest hotelu, tym bardziej zwalnia kroku.

W recepcji powiedziano jej, że ojciec jest w swoim apartamencie na ostatnim piętrze wraz z George'em Novakiem. Recepcjonista zatelefonował do Abla i powiedział mu, że Florentyna jest w drodze na górę. Winda dotarła na czterdzieste drugie piętro o wiele za szybko w odczuciu Florentyny, która z ociąganiem opuściła jej zaciszne wnętrze. Stanęła na zielonym dywanie i usłyszała szelest zasuwających się za nią drzwi windy. Była sama na korytarzu; chwilę

odczekała, a potem zapukała cicho do drzwi apartamentu ojca. Abel natychmiast jej otworzył.

– Florentyna! Co za miła niespodzianka. Wejdź, córeczko. Nie spodziewałem się ciebie dzisiaj.

George Novak stał przy oknie, wyglądając na Park Avenue. Odwrócił się, aby powitać swoją córkę chrzestną. Florentyna spojrzała na niego błagalnym wzrokiem, dając mu do zrozumienia, że chciałaby zostać z ojcem sama. Wiedziała, że gdyby został, straciłaby całą odwagę. Wyjdź, wyjdź, wyjdź, myślała intensywnie. George natychmiast wyczuł jej niepokój.

– Muszę wracać do swych zajęć, Ablu. Dziś wieczorem instaluje się u nas ten cholerny maharadża.

– Powiedz mu, żeby zaparkował swoje słonie u konkurencji – zażartował Abel. – Skoro jest tu Florentyna, zostań z nami i wypij jeszcze jednego drinka.

George spojrzał na Florentynę.

– Nie, dziękuję, Ablu, muszę już iść. Ten mastodont zajął całe trzydzieste trzecie piętro. Spodziewa się, że powita go z honorami co najmniej wiceprezes. Dobranoc, Florentyno – powiedział i pocałował ją w policzek, po czym lekko poklepał po ramieniu, tak jakby wiedział, że Florentyna potrzebuje otuchy. Zostawił ich samych i nagle Florentyna pożałowała, że wyszedł.

– Co słychać u Bloomingdale'a? – zapytał Abel, z czułością wichrząc włosy Florentyny. – Czy już im powiedziałaś, że wkrótce stracą najlepszą kierowniczkę piętra, jaką mieli od lat? Pewnie się zdziwią, kiedy się dowiedzą, że następnym zadaniem Jessie Kovats będzie dokonanie uroczystego otwarcia Barona w Cannes. – Roześmiał się głośno.

– Zamierzam wyjść za mąż, tatusiu – powiedziała Florentyna, nieśmiało wyciągając przed siebie lewą rękę. Nie bardzo wiedziała, co mogłaby jeszcze dodać, więc po prostu czekała na jego reakcję.

– Decyzja dosyć nagła, nieprawdaż? – spytał Abel, który przyjął tę wiadomość z niemałym zaskoczeniem.

– Wcale nie, tatusiu. Chodzimy z sobą od dłuższego czasu.

– Czy znam tego chłopca? Widziałem go kiedyś?

– Nie, nie widziałeś, tatusiu.

– Skąd on jest? Jakie jest jego pochodzenie? Czy jest Polakiem? Dlaczego trzymałaś to dotąd w takiej tajemnicy, Florentyno?

– Nie jest Polakiem, tatusiu. Jest synem bankiera.

Abel zbladł, ujął kieliszek i jednym haustem go opróżnił. Florentyna dokładnie wiedziała, jakie myśli kłębią mu się w głowie, kiedy nalewał sobie nowego drinka, postanowiła więc wyrzucić z siebie szybko całą prawdę.

– On się nazywa Richard Kane, tatusiu.

Abel gwałtownie obrócił się ku niej twarzą.

– Czy to syn Williama Kane'a? – zapytał ostro.

– Tak, tatusiu – odpowiedziała Florentyna.

– Ty mogłabyś choćby pomyśleć o poślubieniu syna Williama Kane'a? Czy ty wiesz, co ten człowiek mi zrobił? Winien jest śmierci mojego najbliższego przyjaciela. Tak, to przez niego Davis Leroy popełnił samobójstwo. Ale to mu nie wystarczało. Chciał doprowadzić mnie do bankructwa. Gdyby David Maxton nie przyszedł mi z pomocą w ostatniej chwili, Kane byłby mi odebrał hotele i bez wahania je zlicytował. I kim byłbym dziś, gdyby Williamowi Kane'owi udało się dopiąć swego? Mogłabyś wówczas

mówić o dużym szczęściu, gdyby udało ci się złapać posadę ekspedientki u Bloomingdale'a. Czy pomyślałaś o tym, Florentyno?

– Tak, tatusiu, przez ostatnie parę tygodni nie myślałam o niczym innym. Richard i ja jesteśmy przerażeni nienawiścią, jaka was zżera. Richard w tej chwili również rozmawia ze swym ojcem.

– Jeśli chcesz, mogę ci powiedzieć, jaka będzie reakcja Williama Kane'a – powiedział Abel. – Dostanie szału. Ten człowiek nigdy się nie zgodzi, aby jego wychuchany synalek, potomek kasty „bostońskich braminów", poślubił taką dziewczynę jak ty, więc lepiej szybko zapomnij o tym szalonym pomyśle.

Podniósł głos prawie do krzyku.

– Nie mogę zapomnieć, ojcze – powiedziała spokojnym głosem Florentyna. – Kochamy się i chcemy twojego błogosławieństwa, a nie gniewu.

– A teraz słuchaj, Florentyno – powiedział Abel, który aż poczerwieniał z wściekłości. – Pamiętaj, żebyś więcej nie spotykała się z tym chłopakiem. Zabraniam ci. Słyszysz mnie?

– Tak, słyszę. Ale będę się z nim spotykać. Nie pozwolę się rozdzielić z Richardem dlatego, że nienawidzisz jego ojca.

Zdała sobie sprawę, że kurczowo ściska w palcach pierścionek i cała lekko drży.

– To niemożliwe – powiedział Abel. – Nigdy nie dopuszczę do tego małżeństwa. Żeby moja córka opuściła mnie dla syna tego drania Kane'a? Mówię ci, nie wyjdziesz za niego.

– Nie opuszczam cię, ojcze. Gdybym miała taki zamiar, uciekłabym z nim, ale nie potrafiłabym tego zrobić za twymi plecami. Skończyłam już dwadzieścia jeden lat i poślubię Richarda. Mam zamiar spędzić z nim całe życie. Proszę cię, tatusiu, pomóż nam.

Gdybyś zgodził się go poznać, tobyś zrozumiał, dlaczego czuję do niego to, co czuję.

– Nigdy nie przekroczy progu mego domu. Nie chcę znać żadnego z dzieci Williama Kane'a. Nigdy. Rozumiesz?

– A więc muszę cię opuścić, ojcze.

– Jeśli mnie opuścisz, Florentyno, aby wyjść za młodego Kane'a, nie dam ci ani grosza. Ani jednego grosza, rozumiesz? – głos Abla złagodniał. – Bądź rozsądna, dziewczyno. Zapomnisz o nim. Jesteś młoda, a na świecie są całe tabuny innych mężczyzn, którzy daliby wiele, aby cię poślubić.

– Nie potrzebuję tabunów mężczyzn – powiedziała Florentyna. – Spotkałam mężczyznę, którego pragnę poślubić, i to nie jego wina, że jest synem swego ojca. Żadne z nas nie wybierało sobie ojca.

– Jeśli moja rodzina ci nie odpowiada, to idź precz! – rzucił Abel. – I przysięgam, że nie pozwolę wymawiać w mojej obecności twojego imienia. – Odwrócił się do niej plecami i patrzył w okno. – Ostrzegam cię po raz ostatni, Florentyno, nie wychodź za tego chłopaka.

– My się pobierzemy, tatusiu. Choć jesteśmy już oboje w wieku, w którym zgoda rodziców nie jest konieczna, jednak prosimy cię o nią.

Abel przestał spoglądać w okno i podszedł do niej.

– Jesteś w ciąży? Czy o to chodzi? Czy musisz wyjść za mąż?

– Nie, ojcze.

– Czy spałaś z nim? – zapytał ostro.

Pytanie to zaszokowało Florentynę, ale nie zawahała się.

– Tak – odparła. – Wiele razy.

Abel uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Końcem srebrnej bransolety zahaczył o kącik ust i Florentyna omal nie upadła. Po brodzie pociekła jej krew. Odwróciła się na pięcie i płacząc, wybiegła z pokoju. Zasłaniając ręką zakrwawioną twarz, z całej siły nacisnęła guzik windy. Drzwi rozsunęły się i wyszedł z nich George. Wchodząc do windy, Florentyna mimochodem zarejestrowała jego zdumioną minę. Roztrzęsiona naciskała raz po raz guzik parteru. Kiedy George wpatrywał się w jej zapłakaną twarz, drzwi windy powoli się zasunęły.

Znalazłszy się na ulicy, Florentyna zatrzymała taksówkę i pojechała do swojego mieszkania. W drodze przytykała papierową chusteczkę do rozciętej wargi. Richard czekał już pod markizą przy wejściu do domu. Stał ze spuszczoną głową i miał żałosną minę.

Wyskoczyła z taksówki i podbiegła do niego. Kiedy znaleźli się na górze, otworzyła drzwi, a potem, gdy byli już w środku, szybko je zamknęła. Owładnęło nią błogie uczucie bezpieczeństwa.

– Kocham cię, Richard.

– Ja też cię kocham – powiedział i objął ją.

– Nie muszę cię pytać, jak zareagował twój ojciec – powiedziała Florentyna, kurczowo tuląc się do niego.

– Jeszcze nigdy nie widziałem go tak wściekłego – powiedział Richard. – Nazwał twojego ojca kłamcą i oszustem, polskim nuworyszem. Spytał mnie, dlaczego nie chcę poślubić kogoś z naszych sfer.

– Co mu na to odpowiedziałeś?

– Powiedziałem mu, że kogoś tak niezwykłego jak ty nie można zastąpić panienką z dobrej rodziny z naszej klasy. To rozwścieczyło go do reszty.

Kiedy Richard mówił, Florentyna ani na chwilę nie przestawała tulić się do niego.

– Następnie zagroził, że jeśli się z tobą ożenię, nie da mi ani grosza – ciągnął Richard. – Kiedy oni zrozumieją, że mamy w nosie ich pieniądze? Próbowałem szukać oparcia u matki, ale nawet ona nie potrafiła go ułagodzić. Kazał jej wyjść z pokoju. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby tak potraktował matkę. Zaczęła płakać, co sprawiło, że jeszcze bardziej się zawziąłem. Wyszedłem z pokoju, nie czekając, aż ojciec skończy mówić. Oby tylko nie próbował wyładować swojej złości na Virginii i Lucy. A jak tobie poszło?

– Ojciec mnie uderzył – powiedziała Florentyna prawie szeptem. – Po raz pierwszy w życiu. Myślę, że mógłby cię zabić, gdyby nas razem spotkał. Kochany, musimy się stąd wynieść, zanim on cię tu dopadnie, a z pewnością tu najpierw będzie nas szukał. Tak bardzo się boję.

– Nie masz się czego bać, Florentyno. Jeszcze dziś wieczór wyjedziemy, i to jak najdalej stąd. Do diabła z naszymi ojcami.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby się spakować?

– Wcale nie będę się pakował – powiedział Richard. – Nie mogę już wrócić do domu. Ty tylko się spakuj i zaraz możemy jechać. Mam przy sobie około stu dolarów. Jak ci się podoba pomysł poślubienia faceta, który ma wszystkiego sto dolarów?

– Myślę, że ekspedientka z domu towarowego nie może liczyć na więcej. I pomyśleć, że marzyłam kiedyś, żeby zostać utrzymanką. Mam nadzieję, że nie spodziewałeś się posagu – powiedziała, zaglądając do torebki. – Cóż, mam dwieście dwanaście dolarów i kartę kredytową American Express, tak więc będzie mi pan winien

pięćdziesiąt sześć dolarów, panie Kane, ale myślę, że zgodzę się na spłaty w wysokości jednego dolara rocznie.

W ciągu pół godziny Florentyna się spakowała. Następnie usiadła przy biurku, skreśliła parę słów i włożyła karteczkę do koperty, którą położyła na nocnym stoliku przy swoim łóżku.

Richard przywołał taksówkę. Florentyna ucieszyła się, że Richard doskonale radzi sobie w sytuacjach kryzysowych, i na myśl o tym od razu poczuła się lepiej.

– Idlewild – powiedział do taksówkarza, umieszczając trzy walizki Florentyny w bagażniku.

Kiedy znaleźli się na lotnisku, wykupił bilety na lot do San Francisco; wybrali to miasto tylko dlatego, że wydawało się im najodleglejszym punktem na mapie Stanów Zjednoczonych.

O siódmej trzydzieści wieczorem samolot Super Constellation 1049 należący do American Airlines wystartował do siedmiogodzinnego lotu w kierunku San Francisco.

Richard pomógł Florentynie zapiąć pas. Uśmiechnęła się do niego.

– Czy pan wie, jak bardzo pana kocham, panie Kane?

– Myślę, że tak, pani Kane – odpowiedział.

34

Abel i George przybyli do domu na Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, gdzie mieszkała Florentyna, parę minut po jej odjeździe z Richardem na lotnisko. Abla zdążyły już dopaść wyrzuty sumienia i żałował, że uderzył córkę. Wolał nie myśleć o tym, jak wyglądałoby jego życie bez jedynego dziecka przy boku. Sądził, że jeśli tylko uda mu się ją odnaleźć, zanim będzie za późno, zdoła jej łagodnie wyperswadować małżeństwo z synem Williama Kane'a. Gotów był ofiarować jej wszystko, aby tylko nie dopuścić do tego związku.

Stanęli przed drzwiami i George nacisnął guzik dzwonka. Nikt nie odpowiadał. George ponownie nacisnął dzwonek i odczekali jeszcze chwilę, zanim Abel posłużył się kluczem, który Florentyna zostawiła mu kiedyś na wszelki wypadek. Przeszukali mieszkanie, nie spodziewając się zresztą jej tam znaleźć.

– Chyba już wyjechała – powiedział George, dołączając do Abla w sypialni.

– Tak, ale dokąd? – spytał Abel i w tym momencie dostrzegł na stoliku zaadresowaną do siebie kopertę. Przypomniał mu się inny list pozostawiony dla niego przy nierozścielonym łóżku.

Rozdarł kopertę.

Kochany Tatusiu!

Wybacz mi, proszę, tę ucieczkę, ale kocham Richarda i nie zostawię go dlatego, że nienawidzisz jego ojca. Wkrótce się

pobierzemy i cokolwiek byś zrobił, i tak nas nie powstrzymasz. Jeśli kiedykolwiek spróbujesz wyrządzić mu krzywdę, skrzywdzisz i mnie. Nie zamierzamy wrócić do Nowego Jorku dopóty, dopóki nie zakończysz tej bezsensownej wojny między naszą rodziną a Kane'ami. Kocham Cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić, i zawsze będę Ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Pokładam w Bogu nadzieję, że nie oznacza to zerwania między nami, ale póki nie zmienisz zdania – „szukaj wiatru w polu" – i pamiętaj, że „co minęło, nie wróci".

Twoja kochająca córka Florentyna

Abel opadł ciężko na łóżko i podał list George'owi, który przeczytał go i bezradnie zapytał:

– Czy mógłbym ci jakoś pomóc?

– Tak, George. Chcę, aby moja córka wróciła do mnie, nawet za cenę bezpośredniej rozmowy z tym draniem Kane'em. Jedno jest pewne: on zrobi wszystko, żeby nie dopuścić do tego małżeństwa. Połącz mnie z nim.

Trwało trochę, zanim George zdobył zastrzeżony numer telefonu Williama Kane'a. Pełniący nocną służbę strażnik w banku Lestera podał go George'owi dopiero wtedy, gdy ten oświadczył, że chodzi o niecierpiącą zwłoki sprawę rodzinną. Abel siedział w milczeniu na łóżku z listem Florentyny w ręku, wspominając jak kiedyś, gdy jego córka była małą dziewczynką, nauczył ją starego polskiego porzekadła, które teraz mu zacytowała. Kiedy George połączył się z rezydencją Kane'ów, w słuchawce odezwał się męski głos.

– Czy mógłbym rozmawiać z panem Williamem Kane'em? – zapytał George.

– Czy mogę wiedzieć, kto chce z nim rozmawiać? – spytał z niezmąconym spokojem ów głos.

– Abel Rosnovski – powiedział George.

– Dowiem się, czy pan Kane jest w domu.

– Myślę, że to był kamerdyner Kane'a. Poszedł go szukać – powiedział George, przekazując słuchawkę Ablowi. Abel czekał bębniąc palcami w blat nocnego stolika.

– William Kane przy telefonie.

– Mówi Abel Rosnovski.

– Czyżby? – głos Williama był lodowaty. – Może więc powie mi pan, kiedy wpadł pan na pomysł, żeby napuścić swoją córkę na mojego syna? Niechybnie wtedy, gdy tak srodze zawiódł się pan, próbując doprowadzić do upadku mój bank, nieprawda?

– Nie bądź pan takim cholernym... – Abel opanował się w porę. – Zależy mi na tym, aby nie doszło do tego małżeństwa, równie mocno jak panu. Nigdy nie usiłowałem odebrać panu syna. Dopiero dzisiaj dowiedziałem się o jego istnieniu. Kocham córkę bardziej, niż pana nienawidzę, i nie chcę jej utracić. Czy nie moglibyśmy się spotkać i obmyślić czegoś wspólnie?

– Nie – powiedział William. – Takie samo pytanie postawiłem panu kiedyś w przeszłości, i powiedział mi pan bardzo wyraźnie, gdzie i kiedy spotka się pan ze mną. Mogę poczekać, gdyż jestem pewien, że to pan znajdzie się tam pierwszy, a nie ja.

– Czy jest sens grzebać w przeszłości, panie Kane? Jeśli pan wie, gdzie oni są, to może udałoby się nam ich powstrzymać. Przecież pan również tego pragnie. Chyba że jest pan tak diabelnie dumny, że woli pan stać bezczynnie i przyglądać się, jak pański syn żeni się z moją córką, niż pomóc...

W słuchawce rozległ się trzask, kiedy Abel wymawiał słowo „pomóc”.

Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał. George odwiózł go z powrotem do Barona.

Przez całą noc i następny dzień Abel zastanawiał się, w jaki sposób odnaleźć Florentynę. Zatelefonował nawet do Zosi, która przyznała, że córka opowiedziała jej wszystko o Richardzie Kanie.

– Wygląda na to, że to miły chłopak – dodała jadowicie.

– Czy wiesz, gdzie teraz są? – spytał Abel niecierpliwie.

– Tak.

– Gdzie?

– Zgadnij. – Znów usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Abel zamieszczał ogłoszenia w prasie, nadawał komunikaty przez radio. Próbował zaangażować w poszukiwania policję, ale ta mogła jedynie ogłosić apel, gdyż Florentyna była pełnoletnia. Córka nie reagowała. Wreszcie musiał spojrzeć prawdzie w oczy i uznać, że nawet jeśli ją odszuka, będzie już żoną Kane’a.

Wielokrotnie odczytywał list Florentyny i postanowił, że nigdy w żaden sposób nie będzie próbował zaszkodzić temu chłopcu. Ale z ojcem – to zupełnie inna sprawa. On, Abel Rosnovski, upokorzył się i błagał go, a ten drań nie chciał nawet słuchać. Abel poprzysiągł sobie, że kiedy nadarzy się pierwsza okazja, wykończy Williama Kane’a – i to raz na zawsze. George był wprost przerażony natężeniem nienawiści, jaką pałał Abel.

– Czy mam odwołać twoją podróż do Europy? – zapytał. Abel zupełnie zapomniał, że miał towarzyszyć Florentynie w podróży do Europy, dokąd się wybierała pod koniec miesiąca po zakończeniu dwuletniego stażu u Bloomingdale’a. Miała dokonać otwarcia hoteli

w Edynburgu i Cannes. Teraz było mu obojętne, kto tego dokona, i przestała go obchodzić cała ta ceremonia.

– Nie mogę odwołać tej podróży – odparł Abel. – Będę musiał sam pojechać i zainaugurować działalność tych hoteli, ale kiedy mnie tu nie będzie, postaraj się dowiedzieć dokładnie, gdzie jest Florentyna, tak żeby o tym nie wiedziała. Nie chcę, żeby myślała, że ją śledzę; nigdy by mi tego nie wybaczyła. Najlepiej byłoby wybadać Zosię, ale bądź ostrożny, bo ona z pewnością będzie chciała wykorzystać sytuację. Nie ulega wątpliwości, że powiedziała Florentynie wszystko, co tylko wiedziała o mojej sprawie z Kane'em.

– Czy chcesz, żeby Osborne coś zadziałał z tymi akcjami banku Kane'a?

– Na razie nie. To nie jest odpowiedni moment na wykończenie Kane'a. Kiedy się do tego zabiorę, chcę mieć pewność, że tym razem załatwię go raz na zawsze. Na razie zostaw Kane'a w spokoju. Zawsze mogę się do niego dobrać. Zajmij się odnalezieniem Florentyny.

George obiecał, że znajdzie ją do powrotu Abla z Europy.

Trzy tygodnie później Abel dokonał uroczystego otwarcia hotelu Baron w Edynburgu. Hotel, usytuowany na wzgórzu dominującym nad Atenami Północy, prezentował się wspaniale. Kiedy otwierał nowy hotel, zawsze najbardziej irytował się drobnymi niedociągnięciami, dlatego po przyjeździe przeprowadzał wpierw szczegółową inspekcję nowego obiektu. Mogło się okazać, że przy dotknięciu kontaktu „łapie prąd", ponieważ pokoje wyłożone są dywanami z nylonu; że wezwana dzwonkiem pokojówka pojawia się dopiero po czterdziestu minutach; albo że łóżka są za małe dla trochę wyższych czy grubszych gości. Prasa nie omieszkała wspomnieć, że

otwarcia hotelu miała dokonać Florentyna Rosnovski, córka „Barona z Chicago”. Jeden z redaktorów rubryki towarzyskiej w „Sunday Express” napomknął o rodzinnym konflikcie i doniósł, że Abel nie był w tak dobrym humorze ani tak pełen wigoru jak zawsze. Abel trochę nieprzekonywająco zaprzeczał, za radą swojego rzecznika prasowego, dowodząc, że przekroczył pięćdziesiątkę – i już figle mu nie w głowie. Prasa nie dała się jednak zwieść i następnego dnia w „Daily Mail” ukazało się zdjęcie znalezionej na śmietniku tabliczki z brązu z wyrytym na niej napisem:

HOTEL BARON W EDYNBURGU
OTWARCIA DOKONAŁA
17 PAŹDZIERNIKA 1957
FLORENTYNA ROSNOVSKI

Abel poleciał następnie do Cannes. Jeszcze jeden wspaniały hotel, tym razem z widokiem na Morze Śródziemne. Ale i tu nie mógł zapomnieć o Florentynie. Jeszcze jedna nie wykorzystana tabliczka, tym razem w języku francuskim. Otwieranie nowych hoteli bez Florentyny nie miało uroku. Abla zaczęła prześladować myśl, że może do końca życia nie zobaczy już swojej córki. By zagłuszyć samotność, sypiał na przemian to z kobietami wysoko ceniącymi swe wdzięki, to z całkiem tanimi dziwkami. Ale na nic to się nie zdawało. Syn Williama Kane’a zagarnął teraz dla siebie jedyną osobę, którą naprawdę kochał. Francja zupełnie przestała go cieszyć i natychmiast po załatwieniu tutejszych spraw Abel poleciał do Bonn, aby doprowadzić do końca rozmowy w sprawie terenu pod budowę swego pierwszego hotelu w Niemczech. Pozostawał w stałym kontakcie telefonicznym z George’em, ale Florentyna przepadła jak kamień w

wodę, a poza tym otrzymał bardzo niepokojące wiadomości na temat Henry'ego Osborne'a.

– Znowu wpakował się w potworne długi u bukmacherów – powiedział George.

– Ostatnim razem przestrzegałem go, że nie zamierzam więcej go wykupywać – powiedział Abel. – Odkąd utracił fotel w Kongresie, stał się zupełnie bezużyteczny. Chyba będę musiał zająć się tym po powrocie.

– Zaczyna grozić – powiedział George.

– To nic nowego. Nigdy się tym specjalnie nie przejmowałem – powiedział Abel. – Powiedz mu, że jeśli czegoś chce, to musi poczekać do mojego powrotu.

– Kiedy można się ciebie spodziewać? – spytał George.

– Za trzy, najwyżej cztery tygodnie. Chcę obejrzeć parcele budowlane w Turcji i Egipcie. Hilton już tam zaczął budować, chcę się dowiedzieć, dlaczego. Aha, George, ludzie oblatani w świecie mówią, że z chwilą, kiedy wyląduję na Bliskim Wschodzie, to jakbym przepadł i nie będziesz mógł się ze mną skontaktować... Ci cholerni Arabowie nie wpadli jeszcze na to, w jaki sposób nawzajem się odszukiwać, a co dopiero mówić o gościach zagranicznych. Tak więc zostawiam wszystko na twojej głowie, dopóki się nie odezwę.

Ponad trzy tygodnie zajęło Ablowi szukanie terenów pod budowę hoteli w kilku krajach arabskich. Doradców miał bez liku; większość z nich podawała się za książęta i każdy zapewniał Abla, że jest wielce wpływowy jako najbliższy przyjaciel, a właściwie daleki krewny najważniejszego ministra. Jednak zawsze okazywało się, że albo minister był nie ten co trzeba, albo pokrewieństwo zbyt dalekie. Po dwudziestotrzydniowej wędrówce w kurzu, piasku i upale, tam, gdzie

nie brakowało wody sodowej, ale nie było whisky, Abel doszedł do jednego tylko pewnego wniosku: że jeśli prognozy jego doradców co do złóż naftowych na Bliskim Wschodzie okażą się trafne, to państwa nad Zatoką Perską będą w przyszłości potrzebować bardzo wielu nowych hoteli i musi poczynić odpowiednie przygotowania, jeśli nie chce dać się wyprzedzić innym.

Udało mu się znaleźć kilka odpowiednich terenów dzięki pomocy owych książątek, nie miał jednak dość czasu, aby zbadać, który z nich rzeczywiście ma koneksje w sferach rządowych. Był przeciwny dawaniu łapówek tylko wtedy, gdy trafiały w niewłaściwe ręce. W Stanach Henry Osborne przynajmniej wiedział, do którego z oficjeli należy uderzyć. W Bahrajnie Abel otworzył niewielkie biuro, dając swemu przedstawicielowi jasno do zrozumienia, że Hotele Baron poszukują terenów budowlanych w całym świecie arabskim, a nie książąt ani też dalekich kuzynów ministrów.

Następnie poleciał do Stambułu, gdzie prawie natychmiast znalazł świetnie położoną parcelę nad Bosforem, zaledwie sto jardów od ambasady brytyjskiej. Wpadł w zadumę, stojąc na świeżo nabytym skrawku ziemi, wracając myślą do czasów, kiedy po raz pierwszy znalazł się w tych stronach. Kurczowo zacisnął lewą dłoń na przegubie prawej ręki. Słyszał w wyobraźni wrzask tłumu – wspomnienie to wciąż napawało go przerażeniem, choć minęło już ponad trzydzieści lat.

Porządnie już zmęczony swoimi podróżami poleciał wreszcie z powrotem do Nowego Jorku. Podczas dłużącego się lotu prawie cały czas myślał o Florentynie i o tym, czy George ją odnalazł. Jak zawsze, George był na swoim miejscu, czekał na niego przy wyjściu z odprawy celnej. Jego wyraz twarzy nic Ablowi nie mówił.

– Jakie wiadomości? – zapytał Abel, sadowiąc się na tylnym siedzeniu cadillaca, podczas gdy szofer ładował walizki do bagażnika.

– I dobre, i złe – powiedział George, naciskając guzik przy bocznym oknie. Szklana tafla wysunęła się z obudowy, oddzielając ich od kabiny kierowcy. – Florentyna utrzymuje kontakt z matką. Wynajmuje niewielkie mieszkanko w San Francisco.

– Wyszła za mąż? – spytał Abel.

– Tak – odparł George.

Przez chwilę milczeli obaj.

– A co robi młody Kane?

– Dostał posadę w banku. Podobno w wielu miejscach mu odmówiono, gdy rozeszła się pogłoska, że nie ukończył Harvard Business School i nie ma poparcia ojca. Niewielu ludzi zaryzykuje i go zatrudni, jeśli mogłyby na tym ucierpieć interesy, jakie ich łączą z bankiem jego ojca. W końcu dostał posadę głównego kasjera w Bank of America, o wiele poniżej swoich kwalifikacji.

– A Florentyna?

– Pracuje jako zastępczyni kierownika w magazynie z odzieżą „Modne szaty Kolumba", w okolicy parku Golden Gate. Wiem też, że próbowała uzyskać pożyczkę w kilku bankach.

– Dlaczego? Czy ma jakieś kłopoty? – z niepokojem zapytał Abel.

– Nie. Szuka kapitału na otwarcie własnego sklepu.

– Ile chce pożyczyć?

– Tylko trzydzieści cztery tysiące dolarów na wydzierżawienie niewielkiego budynku w Nob Hill.

Abel zamyślił się nad słowami George'a. Bębnił swoimi krótkimi palcami po szybie samochodu.

– Dopilnuj, żeby dostała te pieniądze, George. Zrób tak, żeby wyglądało to na zwyczajną bankową pożyczkę i postaraj się, by Florentyna nie połapała się, że za tym stoję. – Nie przestawał bębnić palcami. – To musi na zawsze zostać między nami, George.

– Możesz na mnie polegać, Ablu.

– I informuj mnie na bieżąco o każdym jej kroku, choćby wydawał ci się bez znaczenia.

– A o nim?

– On mnie nie obchodzi. A jaka jest ta zła wiadomość?

– Znów kłopoty z Henrym Osborne'em. Wygląda na to, że wszystkim naokoło winien jest pieniądze. Podejrzewam, że w tej chwili jesteś jedynym źródłem jego dochodów. Ostatnio w zawoalowany sposób napomyka, że dawałeś łapówki, kiedy organizowaliśmy firmę. Mówi, że przechowuje wszystkie dokumenty od pierwszych dni znajomości z tobą, kiedy, jak twierdzi, załatwił ci wypłatę korzystnego odszkodowania po pożarze starego Richmonda w Chicago, i ma teraz twoje dossier grube na dziesięć centymetrów.

– Z Henrym pogadam sobie jutro rano – powiedział Abel. Przez resztę drogi na Manhattan George relacjonował Ablowi inne sprawy dotyczące interesów, które przedstawiały się pomyślnie z jednym wyjątkiem, a mianowicie przejęcia hotelu w Lagos przez tamtejsze władze po kolejnym zamachu stanu w tym kraju. Tym Abel nie przejął się ani trochę.

Następnego dnia rano spotkał się z Henrym Osborne'em. Henry postarzał się i wyglądał na zmęczonego. Jego kiedyś gładka, przystojna twarz była teraz pomarszczona. Nie wspomniał ani słowem o grubej na dziesięć centymetrów kartotece.

– Potrzebuję trochę pieniędzy, aby wydobyć się z tarapatów – powiedział. – Ostatnio nie bardzo dopisywało mi szczęście.

– Znowu, Henry? W twoim wieku powinieneś już znać siebie na tyle, żeby wiedzieć, że z kobietami i na wyścigach zawsze przegrywasz. Ile potrzebujesz tym razem?

– Urządzałoby mnie dziesięć tysięcy – powiedział Henry.

– Dziesięć tysięcy – Abel wymówił te słowa z głęboką odrazą. – Co ty sobie wyobrażasz? Że jestem kopalnią złota? Ostatnim razem wystarczyło ci pięć tysięcy.

– Mamy inflację – powiedział Henry, usiłując obrócić to w żart.

– To już ostatni raz, rozumiesz? – rzekł Abel, wyjmując książeczkę czekową. – Jeśli znowu przyjdziesz do mnie żebrać, Henry, usunę cię z rady nadzorczej i nie dostaniesz więcej ani grosza.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem, Ablu. Przysięgam, że już więcej nie będę cię nagabywał, nigdy więcej. – Henry wyjął cygaro „Romeo y Julliyta” z nawilżacza stojącego przed Ablem i zapalił.

– Dziękuję, Ablu, nigdy nie pożałujesz tej decyzji.

Wyszedł z pokoju, wypuszczając kłęby dymu z cygara i minął się w progu z George’em. George poczekał, aż zamkną się za nim drzwi.

– Jak ci poszło z Osborne’em?

– Uległem ostatni raz – powiedział Abel. – Nie wiem dlaczego. Kosztowało mnie to dziesięć tysięcy.

– Chryste, czuję się jak brat marnotrawnego syna – powiedział George. – Bo on znowu wróci. Mogę się z tobą założyć.

– Lepiej dla niego byłoby, żeby tego nie zrobił – powiedział Abel – ponieważ ja już z nim skończyłem. Nawet jeśli coś dla mnie zrobił w przeszłości, to teraz jesteśmy kwita. Jakie są ostatnie wiadomości o Florentynie?

– U niej wszystko w porządku, a jeśli idzie o Zosię, to miałeś rację. Co miesiąc podróżuje na Zachodnie Wybrzeże, żeby ich odwiedzić.

– Cholerny babsztyl – powiedział Abel.

– Pani Kane również była u nich parę razy – dodał George.

– A sam Kane?

– Ani trochę nie zmiękł.

– Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni – powiedział Abel.

– Przetarłem Florentynie drogę w Crocker National Bank w San Francisco – ciągnął George. – Niecały tydzień temu zgłosiła się do nich z prośbą o pożyczkę. Będzie przekonana, że zawiera z nimi umowę na zwykłą pożyczkę bankową, bez żadnych szczególnych względów. Będzie nawet płacić o pół procent więcej niż zazwyczaj, więc się nie połapie, w czym rzecz. I nigdy się nie dowie, że to ty gwarantowałeś tę pożyczkę.

– Dzięki, George, spisałeś się na medal. Stawiam dziesięć dolarów, że spłaci tę pożyczkę w ciągu dwóch lat i nie przyjdzie po nową.

– Mogę przyjąć zakład pięć do jednego – powiedział George.

– Dlaczego nie założysz się z Henrym? On jest większym jeleniem.

Abel roześmiał się.

– Informuj mnie o wszystkim, co dotyczy Florentyny, George, absolutnie o wszystkim.

35

William miał pewność, że informowany jest dokładnie o wszystkim, kiedy wczytywał się w kwartalny raport Thaddeusa Cohena, i tylko jedno go niepokoiło. Dlaczego Abel Rosnovski wciąż nie robił użytku ze swego znacznego udziału w banku Lestera? William nie mógł zapomnieć, że Abel nadal ma w ręku sześć procent udziałów banku i że gdyby udało mu się wykupić jeszcze dwa, mógłby wykorzystać artykuł siódmy statutu banku Lestera. Mało prawdopodobne, by Rosnovski wciąż jeszcze obawiał się Komisji do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy, zwłaszcza że administracja Eisenhowera zaczęła już drugą kadencję w Białym Domu i jak dotąd nie wykazywała najmniejszego zainteresowania kontynuowaniem śledztwa.

William przyjął z niemałą przyjemnością wiadomość, że Henry Osborne znów wpadł w tarapaty finansowe i że Rosnovski nadal wykupuje go z długów. Ciekaw był, jak długo to potrwa i co też Osborne może mieć na Rosnovskiego. Czy możliwe, iż Rosnovski ma tak wiele własnych kłopotów, że trudno mu zaprzątać sobie głowę Williamem Kane'em? Raport Cohena obrazował postępy przy budowie ośmiu nowych hoteli, jakie w różnych stronach świata wznosił Rosnovski. Londyński hotel Baron przynosił straty, Baron w Lagos wypadł z planu; poza tym interesy Rosnovskiego szły doskonale. William jeszcze raz przeczytał załączony wycinek z „Sunday Express", donoszący, że Florentyna Rosnovski nie dokonała otwarcia hotelu Baron w Edynburgu, i pomyślał o swym synu. Potem

zamknął teczkę z raportem i schował ją do sejfu przekonany, że nie zawiera nic godnego uwagi. Szofer zawiózł go do domu.

William żałował, że się uniósł w czasie tamtej rozmowy z Richardem. Aczkolwiek nie chciał mieć córki Rosnovskiego w swojej rodzinie, to jednak żałował, że w sposób tak nieodwołalny zerwał więzy ze swoim jedynym synem. Kate wstawiała się za Richardem i między nią a Williamem doszło na tym tle do długiego i ostrego sporu – tak wyjątkowego w ich małżeńskim pożyciu – który wciąż pozostawał nierozwikłany. Kate próbowała wszelkich sposobów – od łagodnej perswazji po łzy – ale nic nie skutkowało. William pozostawał niewzruszony. Virginia i Lucy też tęskniły za bratem.

– Nie ma komu oceniać moich obrazów – powiedziała Virginia.

– Raczej z nich pokpiwać – zauważyła Kate.

Virginia próbowała się uśmiechnąć.

Lucy często zamykała się w łazience, odkręcała kran i pisała w sekrecie listy do Richarda, który nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego były tak zawilgocone. W obecności Williama nikt nie ośmielał się wymówić imienia Richarda, ale sytuacja powodowała smutny dysonans w rodzinie.

William starał się spędzać więcej czasu w banku, pracował od rana do nocy w nadziei, że to pomoże. Ale nie pomagało. Bank wysysał z niego całą energię akurat wtedy, gdy odpoczynek najbardziej był mu potrzebny. Mianował w ciągu ostatnich dwóch lat sześciu nowych wicedyrektorów, mając nadzieję, że odciążą go trochę od pracy. Stało się wręcz odwrotnie. Przyczynili mu jej jeszcze więcej, musiał podejmować jeszcze więcej decyzji; najbystrzejszy z nich, Jake Thomas, wydawał się najpoważniejszym kandydatem na objęcie stanowiska po Williamie, gdyby Richard nie odszedł od córki

Rosnovskiego. Choć zyski banku rosły z każdym rokiem, William stwierdził, że nie bawi go już robienie pieniędzy jako cel sam w sobie. Być może znalazł się teraz w podobnej sytuacji jak kiedyś Charles Lester: nie miał syna, któremu mógłby pozostawić swój majątek i prezesurę, gdyż wykreślił go ze swego życia, zmienił testament i odebrał Richardowi jego część rodzinnego majątku.

W roku, w którym przypadły ich srebrne gody, William postanowił zabrać Kate i dziewczynki na długie wakacje do Europy w nadziei, że pomoże im to trochę zapomnieć o Richardzie. Polecieli do Londynu boeingiem 707 i zatrzymali się u Ritza. Hotel przypomniał Williamowi i Kate wiele szczęśliwych chwil, które przeżyli w czasie swej pierwszej wyprawy do Europy. Odbyli sentymentalną podróż do Oksfordu i pokazali Virginii i Lucy to uniwersyteckie miasto, a potem wybrali się do Stratfordu, aby obejrzeć *Ryszarda III* Szekspira z Laurence'em Olivierem w roli tytułowej. Na pewno woleliby króla o innym imieniu.

W drodze powrotnej ze Stratfordu wstąpili do kościoła w Henley-on-Thames, gdzie William i Kate brali ślub. I tym razem zatrzymaliby się w „Zajeździe pod Dzwonem", ale znów był tylko jeden wolny pokój. Kiedy wracali do Londynu, w samochodzie rozgorzał spór między Williamem a Kate o to, czy ślubu udzielił im wielebny Tukesbury czy Dukesbury. Nie osiągnęli w tej w sprawie jednomyślności do końca podróży. Zgodzili się tylko co do jednego: nowy dach kościoła trzyma się dobrze.

Gdy tej nocy William kładł się spać, pocałował Kate delikatnie.

– Te pięćset funtów to była moja najlepsza inwestycja w życiu – powiedział.

Tydzień później, obejrzawszy wszystkie zabytki w Anglii, jakie szanujący się amerykański turysta obejrzeć powinien, a także wiele takich, których zazwyczaj nie zwiedza, polecieli wszyscy do Włoch. W Rzymie dziewczynki piły zbyt dużo marnego włoskiego wina i w dzień urodzin Virginii pochorowały się, William zaś, który podczas pobytu we Włoszech jadł mnóstwo smacznego makaronu, przytył trzy kilogramy. Wszyscy byliby o wiele szczęśliwsi, gdyby mogli rozmawiać na zakazany temat, czyli o Richardzie. Tej nocy Virginia płakała i Kate próbowała ją pocieszyć.

– Dlaczego nikt nie powie tatusiowi, że są ważniejsze sprawy niż duma? – pytała wciąż Virginia.

Kate nie umiała na to odpowiedzieć.

Kiedy wrócili do Nowego Jorku, William czuł się wypoczęty i z zapałem rzucił się w wir pracy. W ciągu siedmiu dni pozbył się owych trzech kilogramów.

Po paru miesiącach Williamowi znów zaczęła dokuczać monotonia pracy w banku. Jednak zapomniał o niej natychmiast, gdy Virginia, która właśnie ukończyła naukę w Sweetbriar, oświadczyła, że zamierza wyjść za mąż za studenta wydziału prawa Uniwersytetu Virginia. Wiadomość ta wstrząsnęła Williamem.

– Ona jest przecież za młoda – powiedział.

– Virginia ma dwadzieścia dwa lata – zaprotestowała Kate. – Nie jest już dzieckiem, Williamie. Ciekawa jestem, jak będziesz czuł się w roli dziadka? – spytała i natychmiast tego pożałowała.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał William wyraźnie przestraszony. – Chyba Virginia nie jest w ciąży?

– O Boże, ależ nie – odparła Kate, a potem cichszym już głosem, jak osoba, która sama się z czymś zdradziła, dodała: – Richardowi i

Florentynie urodziło się dziecko.

– Skąd wiesz?

– Richard przysłał mi list z tą dobrą nowiną – odparła Kate. – Czy już nie czas, abyś mu wybaczył, Williamie?

– Nie. Nigdy – powiedział William i wściekły wyszedł z pokoju.

Kate westchnęła ciężko: nie zapytał nawet, czy urodził się chłopiec czy dziewczynka.

Ślub Virginii odbył się w kościele Świętej Trójcy w Bostonie w piękne wiosenne popołudnie pod koniec marca następnego roku. William w pełni zaakceptował Davida Telforda, młodego prawnika, z którym Virginia postanowiła połączyć się na całe życie. Virginia chciała, aby Richard był mistrzem ślubnej ceremonii, i Kate błagała Williama, aby zaprosił go na ślub, ale on stanowczo odmówił. Pragnąłby tego, ale wiedział, że Richard nie zechce przyjechać bez córki Rosnovskiego. W dniu ślubu Richard przysłał siostrze prezent i telegram. William nie pozwolił na odczytanie telegramu podczas przyjęcia weselnego.

Księga szósta

36

Abel siedział sam w swoim biurze na czterdziestym drugim piętrze nowojorskiego Barona i czekał na człowieka zajmującego się zbieraniem funduszy na kampanię wyborczą Kennedy'ego. Gość był spóźniony już dwadzieścia minut i Abel nerwowo bębnił palcami w blat biurka, kiedy do pokoju weszła sekretarka.

– Przyszedł pan Vincent Hogan, proszę pana.

Abel poderwał się ze swego fotela.

– Bardzo proszę, panie Hogan – powiedział, klepnąwszy młodego, przystojnego człowieka w plecy. – Jak się pan miewa?

– Doskonale, panie Rosnovski. Przepraszam, że trochę się spóźniłem – powiedział z wyraźnie bostońskim akcentem.

– Nawet nie zauważyłem – odparł Abel. – Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję. Staram się nie pić, jeśli tego samego dnia mam rozmawiać z wieloma osobami.

– I słusznie. Ale jeśli pan pozwoli, ja się napiję – powiedział Abel. – Nie planuję dzisiaj spotkań z wieloma osobami.

Hogan zaśmiał się jak ktoś, kto wie, że tego dnia skazany jest na słuchanie czyichś żarcików. Abel nalał sobie whisky.

– Ale czym mogę panu służyć, panie Hogan?

– No więc, proszę pana, przychodzę do pana w nadziei, że raz jeszcze udzieli pan naszej partii swego poparcia.

– Jak pan wie, zawsze stałem po stronie demokratów. Popierałem Franklina D. Roosevelta, Harry'ego Trumana i Adlaia Stevensona,

choć z tego, co mówił Adlai, nie rozumiałem nawet połowy.

Obaj mężczyźni wybuchnęli sztucznym śmiechem.

– Pomagałem również mojemu staremu przyjacielowi Dickowi Daleyowi w Chicago i popieram stale młodego Eda Muskiego, wie pan, syna polskiego imigranta, od czasu jego kampanii w 1954 roku, kiedy kandydował na stanowisko gubernatora stanu Maine.

– Zawsze do tej pory był pan lojalnym zwolennikiem partii, nie da się temu zaprzeczyć – powiedział Vincent Hogan tonem, który wskazywał na to, że upłynął już czas przewidziany zwyczajowo na zdawkowe uprzejmości. – Wiemy także, że demokraci, a szczególnie kongresmen Henry Osborne, odwdzięczyli się panu w ten czy inny sposób. Ale nie będę teraz wracał do tamtej przykrej, drobnej zresztą sprawy.

– To już dla mnie odległa przeszłość – powiedział Abel. – I bez znaczenia.

– Tak też uważam – powiedział Hogan. – I choć tylko nieliczni spośród multimilionerów, którzy sami doszli do swych pieniędzy, okazali się ludźmi bez skazy, gdyby się bliżej przyjrzeć prowadzonym przez nich interesom, to pan chyba właśnie najlepiej rozumie, że musimy być szczególnie ostrożni. Nasz kandydat, jak pan się domyśla, nie może sobie pozwolić na najmniejsze nawet ryzyko teraz, gdy wybory są tak blisko. Nixon byłby uszczęśliwiony, gdyby na tym etapie walki przedwyborczej wybuchł jakiś skandal.

– Rozumiemy się doskonale, panie Hogan. Skoro już to sobie wyjaśniliśmy, jakiej sumy oczekuje pan ode mnie na kampanię wyborczą?

– Liczy się dla mnie każdy grosik – Hogan wymawiał te słowa wolno i z naciskiem. – Nixon zdołał zapewnić sobie znaczne poparcie

w całym kraju i będziemy musieli nieźle się napocić, aby wprowadzić do Białego Domu naszego człowieka.

– No cóż, udzielę poparcia Kennedy'emu – powiedział Abel – jeśli on udzieli go mnie. To jasne jak słońce.

– On to zrobi z największą przyjemnością, panie Rosnovski. Wiemy wszyscy doskonale, że jest pan filarem polskiej społeczności, a senatorowi Kennedy'emu znana jest dobrze zdecydowana postawa, jaką zajął pan w obronie swoich rodaków nadal przebywających w obozach niewolniczej pracy za żelazną kurtyną, nie mówiąc już o pańskiej wiernej służbie dla naszego kraju w czasie wojny. Upoważniono mnie do zakomunikowania panu, że nasz kandydat wyraził zgodę na dokonanie otwarcia pańskiego nowego hotelu w Los Angeles podczas swej podróży w ramach kampanii wyborczej.

– To się nazywa dobra wiadomość – powiedział Abel.

– Kandydat pamięta również, że pragnie pan, aby Stany Zjednoczone przyznały Polsce klauzulę najwyższego uprzywilejowania.

– Chyba zasłużyliśmy sobie na to swoim wkładem w zwycięstwo w ostatniej wojnie – powiedział Abel i zrobił krótką pauzę. – A jeśli idzie o tę inną drobną sprawę? – spytał.

– Senator Kennedy zapoznaje się właśnie z opinią środowisk polsko-amerykańskich i jak dotąd nie napotkaliśmy sprzeciwu. Oczywiście ostateczną decyzję będzie mógł podjąć dopiero po swoim wyborze.

– Naturalnie. Czy dwieście tysięcy dolarów pomogłoby podjąć tę decyzję? – zapytał Abel.

Vincent Hogan nie powiedział nic.

– A więc niech będzie dwieście pięćdziesiąt tysięcy – powiedział Abel. – Pieniądze znajdą się w sztabie kampanii wyborczej najpóźniej pod koniec tego tygodnia. Daję panu na to moje słowo, panie Hogan.

Sprawa została załatwiona, targu dobito. Abel wstał.

– Proszę przekazać senatorowi Kennedy'emu moje najlepsze życzenia i to, że oczywiście mam nadzieję, iż będzie następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nie cierpię Nixona od czasu, gdy tak haniebnie potraktował Helen Gahagan Douglas, a poza tym z osobistych powodów nie chciałbym, żeby Henry Cabot Lodge został wiceprezydentem.

– Z przyjemnością przekażę pańskie słowa – powiedział Hogan – i dziękuję panu za wytrwałość w popieraniu Partii Demokratycznej, a szczególnie naszego kandydata. – Bostończyk wyciągnął prawicę.

Abel uścisnął ją.

– Proszę o mnie nie zapominać, panie Hogan. Nie rozstaję się z sumami tego rzędu, nie licząc na zyski z lokaty.

– Doskonale pana rozumiem – odparł Vincent Hogan.

Abel odprowadził gościa do windy i z uśmiechem na twarzy wrócił do biura. Znowu zaczął bębnić palcami w blat biurka. Zjawiła się przywołana sekretarka.

– Niech pani poprosi do mnie pana Novaka – powiedział.

Chwilę później George przyszedł ze swego biura.

– Myślę, że mi się udało, George.

– Moje gratulacje. Bardzo się cieszę. Jeśli Kennedy zostanie prezydentem, spełni się jedno z twoich największych marzeń, Ablu. Florentyna będzie z ciebie dumna.

Abel uśmiechnął się, słysząc jej imię.

– Czy wiesz co to małe półdiablę wymyśliło? – powiedział, śmiejąc się. – Czytałeś, co pisał o niej w zeszłym tygodniu „Los Angeles Times”?

George zaprzeczył ruchem głowy, na co Abel podał mu gazetę. Jedna ze wzmianek zakreślona była czerwonym atramentem.

George zaczął czytać na głos:

– „Florentyna Kane otwiera swój trzeci sklep w Los Angeles. Ma już dwa w San Francisco i przed końcem roku chciałaby otworzyć jeszcze jeden, w San Diego. Jej sklepy, noszące nazwę »Florentyna« szybko stają się dla mieszkańców Kalifornii tym, czym dla Paryża są magazyny Balanciagi”.

George roześmiał się, odkładając gazetę.

– Ona chyba napisała to sama – powiedział Abel. – Nie mogę się doczekać otwarcia „Florentyn” w Nowym Jorku. Założę się, że to jej się uda w ciągu najbliższych pięciu, góra dziesięciu lat. Czy chcesz się znów ze mną założyć, George?

– Pamiętasz chyba Ablu, że nie przyjąłem tamtego zakładu, bo inaczej byłbym dziś biedniejszy o dziesięć dolarów.

Abel spojrzał na niego i spytał cichszym już głosem:

– Czy sądzisz, że ona przyjechałaby na otwarcie przez senatora Kennedy’ego nowego Barona w Los Angeles? Czy myślisz, że to możliwe?

– Tylko wtedy, gdybyś zaprosił też młodego Kane’a.

– Nigdy – odparł Abel. – Ten młody Kane to zero. Czytałem twój ostatni raport, George. Odszedł z Bank of America, aby pracować u Florentyny; nie potrafił nawet utrzymać się na dobrej posadzie, musiał podeprzeć się jej osobistym sukcesem.

– Zapamiętałeś z lektury tylko to, co zgadza się z twoją teorią, Ablu. Wiesz, że było inaczej. Napisałem to wyraźnie. Młody Kane zajmuje się finansami firmy, a Florentyna prowadzeniem sklepów, i wygląda na to, że jest to idealna spółka. Nie zapominaj, że jeden z największych banków proponował Kane'owi objęcie oddziału europejskiego, ale Florentyna uprosiła go, aby zaczął pracować razem z nią, kiedy stwierdziła, że sama już nie jest w stanie kierować sprawami finansowymi swojej firmy. Musisz, Ablu, pogodzić się z tym, że ich małżeństwo jest nadzwyczaj udane. Wiem, że trudno ci się przełamać, ale powiedz, dlaczego nie spuścisz z tonu i nie spotkasz się z tym chłopcem?

– Jesteś moim najbliższym przyjacielem, George. Nikt inny nie ośmieliłby się rozmawiać ze mną w taki sposób. Nikt nie wie lepiej niż ty, dlaczego nie mogę tego zrobić. Nie zrobię tego, dopóki ten drań Kane nie okaże chęci wyjścia mi naprzeciw. Nie będę się przed nim czołgał, żeby mógł się napawać moim widokiem u swych stóp. Dopóki on żyje, nie ustąpię.

– A jeśli umrzesz pierwszy? Jesteście dokładnie w tym samym wieku, Ablu.

– Wtedy przegram, a Florentyna wszystko po mnie odziedziczy.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że nie dostanie nic. Miałeś zmienić testament na korzyść swego wnuka.

– Nie potrafiłem się przemóc, George. Kiedy trzeba było podpisać dokument, po prostu nie potrafiłem się przemóc. Do diabła, George, przecież ten cholerny wnuczek i tak w końcu zgarnie obie fortuny.

Abel wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki, przetasował kilka starych fotografii Florentyny i wyciągnął spośród nich nowe zdjęcie swego wnuka, które podał George'owi.

– Ładny chłopak – powiedział George.

– Bez dwóch zdań – potwierdził Abel. – Wykapana matka.

George zaśmiał się.

– Ty się nigdy nie poddajesz, Ablu.

– Jak myślisz, jak na niego wołają w domu?

– O co ci chodzi? – zapytał George. – Przecież dobrze wiesz, jak mu na imię.

– Chodzi mi o to, jak go na co dzień nazywają w domu.

– Skąd miałbym wiedzieć? – zdziwił się George.

– Dowiedz się – powiedział Abel. – Zależy mi.

– Ale jak mam to zrobić? – obruszył się George. – Czy mam posłać kogoś, żeby szedł za nimi, jak pchają wózek w parku Golden Gate? Wyraźnie mi poleciłeś, że Florentyna nie może się nigdy dowiedzieć, że wciąż jeszcze interesujesz się nią czy młodym Kane'em.

– To mi przypomina, że mam jeszcze do załatwienia pewną drobną sprawę dotyczącą jego ojca – powiedział Abel.

– Co zamierzasz uczynić w sprawie udziałów w banku Lestera? – spytał George. – Bo Peter Parfitt zaczyna się ostatnio coraz bardziej skłaniać do sprzedaży swoich dwu procent, a ja bym się bał powierzyć negocjowanie tej sprawy Henry'emu. Jeśli ci dwaj się do tego zabiorą, wszyscy na tym skorzystają oprócz ciebie.

– Nie zamierzam robić niczego w tej sprawie. Choć tak nienawidzę Kane'a, to jednak nie chcę z nim zadzierać, dopóki nie będę miał pewności, że Kennedy wygra wybory. Dlatego na razie nie tykam tej sprawy. Jeśli Kennedy przepadnie w wyborach, kupię te dwa procent od Parfitta i przeprowadzę nasz plan, który już

omawialiśmy. I nie martw się już Henrym. Odsunąłem go od sprawy Kane'a. Od tej pory będę zajmował się tym osobiście.

– Nie mogę się nim nie martwić, Ablu. Wiem, że znów zadłużył się u połowy chicagowskich bukmacherów i wcale bym się nie zdziwił, gdyby lada chwila przybył na gościnne występy do Nowego Jorku.

– Henry nie pojawi się tutaj. Ostatnim razem postawiłem sprawę jasno: że nie dostanie ode mnie więcej ani grosza. A jeśli rzeczywiście znów poprosi o wsparcie, to wyleci z rady nadzorczej i straci jedyne źródło dochodów.

– To martwi mnie jeszcze bardziej – powiedział George. – Bo co będzie, jeśli zwróci się o pieniądze do Kane'a?

– Niemożliwe, George. Henry jest jedynym człowiekiem na świecie, który nienawidzi Kane'a bardziej niż ja, i to nie bez powodu.

– Skąd możesz być tego pewien?

– Matka Williama Kane'a była drugą żoną Henry'ego – powiedział Abel – a młody William, zaledwie wówczas szesnastoletni, wyrzucił go z jego własnego domu.

– Nie do wiary, jak zdobyłeś tę informację?

– Nie ma rzeczy, której bym nie wiedział o Williamie Kanie – powiedział Abel. – Jak też o Henrym. O Kanie wiem absolutnie wszystko; począwszy od takiej ciekawostki, że urodziliśmy się tego samego dnia, i gotów byłbym założyć się o moją zdrową nogę, że on wie absolutnie wszystko o mnie, tak więc na razie musimy zachować ostrożność. Ale nie bój się, że Henry nas zakapuje. Wolałby umrzeć, niż musieć się przyznać, że naprawdę nazywa się Vittorio Togna i siedział kiedyś w więzieniu.

– A to dopiero! Czy on zdaje sobie sprawę, że ty to wszystko wiesz?

– Nie. Zachowałem to dla siebie, George, pamiętając o jednym: jeśli uważasz, że ktoś mógłby ci kiedyś zagrozić, to powinieneś mieć w rękawie co najmniej jednego asa. Nie ufałem Henry'emu jeszcze od czasu, gdy zaproponował mi wyłudzenie pieniędzy od towarzystwa ubezpieczeniowego Great Western Casualty, będąc jego pracownikiem, choć muszę przyznać, że w przeszłości nieraz bardzo mi się przydał, i jestem pewny, że nie sprawi mi kłopotu również w przyszłości, bowiem bez pensji z rady nadzorczej zostałby z dnia na dzień bez źródła utrzymania. Toteż zapomnij o Henrym i zajmijmy się dla odmiany czymś bardziej krzepiącym. Kiedy najpóźniej powinna zakończyć się budowa Barona w Los Angeles?

– W połowie września – odparł George.

– Świetnie. Na sześć tygodni przed wyborami. Kiedy Kennedy dokona uroczystego otwarcia, ta wiadomość ukaże się na pierwszych stronach gazet w całym kraju.

37

Kiedy William wrócił do Nowego Jorku z konferencji bankierów w Waszyngtonie, znalazł na biurku wiadomość, żeby natychmiast skontaktował się z Thaddeusem Cohenem. Nie rozmawiał z nim od dłuższego już czasu, gdyż Abel Rosnovski nie przysparzał mu kłopotów od tamtej niefortunnej rozmowy telefonicznej w przededniu ślubu Richarda i Florentyny prawie trzy lata temu. Kolejne kwartalne raporty zawierały jedynie powtarzające się stwierdzenie, że Rosnovski nie próbuje ani sprzedawać, ani kupować akcji banku Lestera. Niemniej jednak William nieco zaniepokojony zatelefonował natychmiast do Thaddeusa Cohena. Adwokat powiedział mu, że przypadkowo natrafił na pewne informacje, których jednak nie chciałby wyjawiać przez telefon. William poprosił go, aby jak najszybciej przyszedł do niego do banku.

Thaddeus Cohen zjawił się czterdzieści minut później. William wysłuchał go uważnie, nie przerywając.

Kiedy Cohen skończył przekazywać mu swoje rewelacje, William powiedział:

– Twój ojciec nigdy by nie zaproponował tak podstępnych metod.

– Twój również – odparł Thaddeus Cohen – ale oni nie mieli do czynienia z ludźmi pokroju Abla Rosnovskiego.

– Dlaczego uważasz, że twój plan się powiedzie?

– Przypomnij sobie sprawę Bernarda Goldfine'a i Shermana Adamsa; chodziło jedynie o rachunki hotelowe na sumę tysiąca sześciuset czterdziestu dwu dolarów i płaszcze z wełny wielbłądziej, a

jednak prezydent znalazł się w diabelnie kłopotliwej sytuacji, kiedy oskarżono Adamsa, że pozwolił, aby potraktowano go w sposób wyjątkowy jako bliskiego współpracownika prezydenta. Wiemy, że Rosnovski mierzy znacznie wyżej. Z wyżyn będzie nam go na pewno łatwiej strącić.

– Gem, set i mecz. Ile będzie mnie to kosztować?

– Maksymalnie dwadzieścia pięć tysięcy, ale może mi się uda załatwić to mniejszym kosztem.

– Skąd możesz mieć pewność, że Rosnovski nie dowie się, że za tym stoję?

– Posłużę się kimś trzecim, kto nie będzie nawet znał twojego nazwiska i spełni rolę pośrednika.

– A jeśliby ci się to powiodło, co dalej według ciebie powinniśmy zrobić?

– Prześlesz szczegółowe informacje do biura senatora Kennedy'ego i gwarantuję, że raz na zawsze zniweczy to wszelkie ambitne plany Abla Rosnovskiego, gdyż z chwilą utraty twarzy będzie skończony i nie będzie miał możliwości powołania się na artykuł siódmy statutu banku, nawet gdyby udało mu się uzyskać owe osiem procent udziałów banku Lestera.

– Być może, jeśli Kennedy zostanie prezydentem – powiedział William. – Ale co się stanie, jeśli wybory wygra Nixon? Według sondaży opinii publicznej ma znaczną przewagę, a ja oczywiście daję mu większe szansę niż Kennedy'emu. Czy wyobrażasz sobie, że Amerykanie mogliby wpuścić do Białego Domu katolika? Bo ja nie. Ale z drugiej strony przyznaję, że dwadzieścia pięć tysięcy to niewygórowana cena, jeśli jest choćby najmniejsza szansa, że tym

posunięciem zdołam wykończyć ostatecznie Abla Rosnovskiego i zapewnić sobie bezpieczną pozycję w banku.

– Jeśli Kennedy zostanie prezydentem… – William wysunął szufladę biurka, wyjął grubą książeczkę czekową oznaczoną nadrukiem „konto prywatne” i wypisał na czeku cyfry: dwa, pięć, zero, zero, zero.

38

Zapowiedź Abla, że ceremonia otwarcia hotelu Baron z udziałem Kennedy'ego znajdzie się na pierwszych stronach wszystkich gazet, nie całkiem się spełniła. Chociaż kandydat na prezydenta rzeczywiście dokonał otwarcia hotelu, to jednak tego samego dnia musiał się zjawić jeszcze w kilkunastu innych miejscach w Los Angeles, a wieczorem wziąć udział w telewizyjnej debacie z Nixonem. Niemniej jednak ceremonia znalazła dosyć szerokie odbicie w prasie całego kraju, a Vincent Hogan dyskretnie zapewnił Abla, że Kennedy nie zapomniał również o tamtej drugiej drobnej sprawie. Sklep Florentyny znajdował się zaledwie kilkadziesiąt jardów od hotelu, ale ojciec i córka nie spotkali się.

Kiedy napłynęły wyniki głosowania ze stanu Illinois i można było już mieć pewność, że John F. Kennedy zostanie trzydziestym piątym prezydentem Stanów Zjednoczonych, Abel wypił za zdrowie burmistrza Daleya i świętował zwycięstwo wraz z innymi w kwaterze głównej Partii Demokratycznej przy Times Square. Wrócił do domu dopiero przed piątą rano i położył się spać.

– Niech mnie kule biją, George, mam co świętować – oświadczył. – Będę następnym... – Zasnął, nie dokończywszy zdania.

George uśmiechnął się, układając Abla do snu.

William śledził wyniki głosowania w zaciszu gabinetu przy Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Gdy podano wyniki ze stanu Illinois, potwierdzone dopiero następnego dnia o dziesiątej rano

(William nigdy nie ufał burmistrzowi Daleyowi), Walter Cronkite oświadczył, że sprawa jest już przesądzona. Wtedy William sięgnął po słuchawkę i wybrał domowy numer Thaddeusa Cohena.

Powiedział tylko:

– Lokata tych dwudziestu pięciu tysięcy dolarów okazała się mądrym posunięciem, Thaddeus. Teraz musimy się tylko postarać, aby Rosnovski nie upajał się za długo swoim szczęściem. Jednak nie rób nic, póki nie pojedzie w tę swoją podróż do Turcji. – William odłożył słuchawkę i poszedł spać. Był zawiedziony, że Richardowi Nixonowi nie udało się pokonać Kennedy'ego i że jego daleki kuzyn Henry Cabot Lodge nie zostanie wiceprezydentem, ale nie ma tego złego, co by...

Kiedy Abel otrzymał zaproszenie na jeden z bankietów wydawanych przez prezydenta Kennedy'ego w Waszyngtonie, pomyślał sobie, że jest tylko jedna osoba na świecie, z którą chciałby dzielić ów zaszczyt. Przedyskutował pomysł z George'em i musiał przyznać przyjacielowi rację, że Florentyna zgodziłaby się towarzyszyć mu jedynie wówczas, gdyby widziała w tym szansę na zakończenie konfliktu z ojcem Richarda. Zrozumiał więc, że będzie musiał pójść sam.

Aby wziąć udział w uroczystościach w Waszyngtonie, Abel musiał opóźnić o parę dni wyjazd do Europy i na Bliski Wschód. Nie mógł sobie pozwolić na rezygnację z udziału w ceremonii objęcia urzędu przez nowego prezydenta, ale zawsze mógł przesunąć datę otwarcia hotelu Baron w Stambule.

Kazał sobie uszyć nowy, tradycyjny w kroju granatowy garnitur specjalnie na tę okazję, a na uroczysty dzień wprowadził się do

apartamentu prezydenckiego w waszyngtońskim Baronie. Z przyjemnością patrzył na energicznego, młodego prezydenta wygłaszającego swoje inauguracyjne przemówienie, pełne nadziei i obietnic na przyszłość.

– Zwracam się do nowego pokolenia Amerykanów, urodzonych w tym stuleciu – Abel z trudem mieścił się w tym przedziale – doświadczonego przez wojnę – to z pewnością odnosiło się do niego – zmuszonego do życia w czasach trudnego i gorzkiego pokoju – to oczywiście również. – Nie pytaj, co kraj może uczynić dla ciebie. Pytaj, co ty możesz zrobić dla kraju.

Wszyscy powstali jak jeden mąż, nikt nie zwracał uwagi na padający śnieg, który nie zdołał przytłumić wrażenia, jakie wywarła na słuchających błyskotliwa przemowa Johna F. Kennedy'ego.

Abel wrócił do Barona w doskonałym nastroju. Wziął prysznic, a następnie włożył koszulę z białą muszką i frak, również uszyty specjalnie na tę okazję. Przyjrzawszy się swojej pękatej sylwetce w lustrze, musiał sam przed sobą przyznać, że nie prezentuje się jak model z wytwornego żurnalu mody męskiej. Jego krawiec robił, co mógł, zważywszy na okoliczności, i nie skarżył się, że musiał uszyć trzy nowe, coraz to obszerniejsze garnitury w ciągu ostatnich trzech lat. Florentyna rugałaby go za to „zbędne sadełko", jak zwykła mawiać, i dla niej na pewno coś by z tym zrobił. Dlaczego ciągle powraca myślami do Florentyny? Sprawdził medale na swej piersi. Najpierw Medal Polskich Weteranów Wojny, następnie odznaczenia za służbę na pustyni i w Europie, a potem „sztućcowe" medale, jak je zwał, za wybitne zasługi dla żołnierskiego podniebienia.

W sumie tego wieczoru odbyło się w Waszyngtonie siedem balów inauguracyjnych, a zaproszenie, które otrzymał Abel, zawiodło go do

Arsenału. Usadowiono go przy stole polskich demokratów z Nowego Jorku i Chicago. Mieli co świętować. Edmund Muskie wszedł do Senatu, a ponadto dziesięciu polskich demokratów zostało wybranych do Kongresu. Nikt nie wspominał o dwóch tam wybranych polskich republikanach. Abel spędził miły wieczór w towarzystwie dwóch starych przyjaciół, którzy tak jak on należeli do założycieli Kongresu Polonii Amerykańskiej. Obaj pytali go o Florentynę.

Uroczysty obiad przerwało wejście Johna F. Kennedy'ego i jego pięknej żony Jacqueline. Przebywali wśród gości około piętnastu minut, pogawędzili ze starannie wybranymi w tym celu osobami, po czym pojechali dalej. Choć Abel nie zdołał zamienić słowa z prezydentem, mimo że opuścił swój stół i zajął strategicznie korzystną pozycję na tarasie, którym przechodził prezydent, to jednak udało mu się porozmawiać chwilkę z Vincentem Hoganem, gdy wraz ze świtą Kennedy'ego opuszczał właśnie bal.

– Pan Rosnovski! Co za niespodziewane spotkanie!

Abel chętnie wyjaśniłby młodemu człowiekowi, że jeśli idzie o niego, to nic, co robi, nie jest dziełem przypadku, ale nie było to miejsce ani pora na takie rozmowy. Hogan wziął Abla pod rękę i pociągnął go szybko za grubą marmurową kolumnę.

– Nie mogę teraz panu więcej powiedzieć, gdyż muszę dotrzymać towarzystwa prezydentowi, ale myślę, że w najbliższej przyszłości może pan spodziewać się od nas telefonu. W tej chwili, jak pan rozumie, prezydent musi odbyć mnóstwo różnych rozmów.

– Naturalnie – powiedział Abel.

– Ale mam nadzieję – ciągnął Hogan – że ostateczna decyzja w pańskiej sprawie zapadnie z końcem marca lub na początku kwietnia.

Pozwolę sobie jako pierwszy złożyć panu serdeczne gratulacje, panie Rosnovski. Jestem przekonany, że będzie pan dobrze służył prezydentowi.

Abel odprowadził spojrzeniem Hogana, który puścił się pędem za prezydencką świtą sadowiącą się już w limuzynach.

– Wyglądasz na zadowolonego z siebie – powiedział jeden z jego polskich przyjaciół, gdy Abel wrócił do swego stołu i usiadł, aby zabrać się do twardego jak kamień befsztyka; czegoś takiego nie odważono by się podać w hotelu Baron. – Czyżby Kennedy zaproponował ci stanowisko sekretarza stanu?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Jeszcze nie – odparł Abel. – Ale powiedział mi, że wyposażenie Białego Domu nie dorównuje wnętrzom moich hoteli.

Abel odleciał z powrotem do Nowego Jorku rankiem następnego dnia, odwiedziwszy przedtem polską kaplicę Matki Boskiej Częstochowskiej w Narodowym Sanktuarium. Wizyta ta sprawiła, że pomyślał o obu Florentynach. Na lotnisku w Waszyngtonie panował okropny chaos i Abel znalazł się z powrotem w nowojorskim hotelu Baron trzy godziny później, niż planował. George się przysiadł, aby zjeść z nim kolację, i kiedy Abel zamówił dużą butelkę Dom Perignon, George zrozumiał, że wszystko poszło dobrze.

– Musimy to oblać – powiedział Abel. – Rozmawiałem z Hoganem na bankiecie, moja nominacja zostanie zatwierdzona w ciągu najbliższych tygodni. Oficjalny komunikat zostanie ogłoszony wkrótce po moim powrocie z Bliskiego Wschodu.

– Gratuluję, Ablu. Zasłużyłeś sobie na ten zaszczyt jak nikt inny.

– Dziękuję ci, George. Zapewniam cię, że nagroda spotka cię nie w niebie, ale jeszcze tu, na ziemi, gdyż skoro tylko decyzja zostanie

oficjalnie ogłoszona, mianuję cię tymczasowym prezesem Hoteli Baron na okres mojej nieobecności.

George wypił jeszcze jeden kieliszek szampana. Opróżnili już prawie pół butelki.

– Jak myślisz, czy długo nie będzie cię tym razem, Ablu?

– Tylko trzy tygodnie. Muszę sprawdzić, czy ci Arabowie bezczelnie mnie nie okradają, a potem polecę do Turcji na otwarcie Barona w Stambule. Po drodze zahaczę pewnie o Londyn i Paryż.

George napełnił znów kieliszki szampanem.

Abel musiał przedłużyć pobyt w Londynie o trzy dni, gdyż zatrzymały go sprawy tamtejszego hotelu Baron, którego dyrektor zwalał wszystkie trudności na brytyjskie związki zawodowe. Hotel w Londynie był jednym z niewielu nieudanych przedsięwzięć Abla, choć nigdy nie potrafił on dociec, dlaczego akurat ten hotel przynosi straty. Mógłby go właściwie zamknąć, ale Hotele Barona nie mogły zrezygnować z obecności w stolicy Anglii, tak więc Abel wyrzucił kolejnego dyrektora i mianował nowego.

W Paryżu sytuacja była zaskakująco odmienna. Tutejszy Baron był jednym z najlepszych europejskich hoteli Abla, który przyznał się kiedyś Florentynie – z podobną niechęcią, z jaką rodzice przyznają, że bardziej lubią któreś ze swych dzieci – że paryski Baron jest jego oczkiem w głowie. Stwierdził, że na Bulwarze Raspail wszystko działa doskonale i spędziwszy w Paryżu tylko dwa dni, poleciał dalej, na Bliski Wschód.

Abel miał teraz pięć terenów budowlanych w państwach nad Zatoką Perską, ale w stadium budowy znajdował się tylko Baron w Rijadzie. Gdyby Abel był młodszy, zostałby na Bliskim Wschodzie na

kilka lat, aby wczuć się w mentalność Arabów. Ale nie cierpiał pustyni, upałów i ciągłej niepewności, kiedy można zamówić whisky. Pomyślał sobie, że chyba się starzeje, bo nie mógł również znieść tubylców. Kontakty z nimi pozostawił jednemu z młodych zastępców-wiceprezesów, któremu zapowiedział, że będzie mógł wrócić i kierować znowu niewiernymi w Ameryce wtedy, gdy on, Abel, nabierze przekonania, że potrafi sobie poradzić z prawowiernymi wyznawcami Proroka na Bliskim Wschodzie.

Zostawił więc swojego biednego zastępcę w najbogatszym piekielnym kotle świata i odleciał do Turcji.

Abel odwiedzał Turcję kilkakrotnie w ciągu ostatnich paru lat, aby doglądać prac przy budowie Barona w Stambule. Dla niego Konstantynopol, bo pod tą nazwą zapamiętał to miasto, zawsze będzie mieć szczególne znaczenie. Bardzo się cieszył, że będzie mógł otworzyć hotel w kraju, z którego wyruszył ku nowemu życiu w Ameryce.

Kiedy rozpakował walizkę w kolejnym w tej podróży apartamencie prezydenckim, dowiedział się, że czeka już na niego piętnaście różnych listów, na które trzeba będzie odpowiedzieć. Przed otwarciem kolejnego hotelu zawsze nadchodziło trochę zaproszeń: jakby za sprawą magicznej różdżki zjawiała się na scenie cała czereda pieczeniarzy, dających w ten sposób znać o swoim istnieniu, chętnych zawsze uczestniczyć w ceremonii otwarcia czegokolwiek, jeśli towarzyszył temu bankiet. Tym razem jednak dwa spośród zaproszeń mile zaskoczyły Abla, ponieważ pochodziły od ludzi, których żadną miarą nie można było określić mianem pieczeniarzy; zapraszali go ambasadorowie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Zaproszenie do starej ambasady brytyjskiej było

szczególnie kuszące, gdyż od czterdziestu lat jego noga nie postała w tym budynku.

Tego wieczoru Abel był gościem sir Bernarda Burrowsa, ambasadora Jej Królewskiej Mości w Turcji. Ku swemu zdziwieniu Abel stwierdził, że posadzono go po prawej stronie żony ambasadora, a nigdy jeszcze w żadnej ambasadzie nie spotkał go taki zaszczyt. Kiedy kolacja dobiegła końca, Abel miał okazję zaobserwować osobliwy angielski zwyczaj, wedle którego damy opuszczają pokój, a panowie zostają, aby wypalić cygaro i napić się porto albo brandy. Sir Bernard zaprosił Abla do swojego gabinetu w towarzystwie ambasadora amerykańskiego Fletchera Warrena. Sir Bernard stroił sobie żarty z amerykańskiego ambasadora, że dał się ubiec i pozwolił mu pierwszemu zaprosić „Barona z Chicago".

– Brytyjczycy zawsze byli zarozumiałym narodem – powiedział Amerykanin, zapalając grube kubańskie cygaro.

– Jedno można powiedzieć o Amerykanach – rzekł na to sir Bernard – niechętnie przyznają się do porażki, kiedy zostali pokonani w uczciwej walce.

Abel przysłuchiwał się przekomarzaniom dwóch ambasadorów, zastanawiając się, czemu zaproszono go do tego ekskluzywnego towarzystwa. Sir Bernard nalał Ablowi kieliszek porto z dobrego rocznika, a amerykański ambasador wzniósł toast.

– Za zdrowie Abla Rosnovskiego – powiedział.

Sir Bernard również uniósł kieliszek.

– Jeśli dobrze rozumiem, można już składać gratulacje – powiedział.

Abel się zaczerwienił i w popłochu spojrzał na Fletchera Warrena, szukając u niego ratunku.

– Och, chyba to był falstart, Fletcher? – Sir Bernard zwrócił się do amerykańskiego ambasadora. – Powiedziałeś mi, stary, że to publiczna tajemnica.

– Prawie że – przyznał Fletcher Warren. – Ale swoją drogą Brytyjczycy nigdy nie potrafią długo zachować tajemnicy.

– Czy to dlatego potrzebowaliście tyle czasu, aby odkryć, że prowadzimy wojnę z Niemcami? – odparował sir Bernard.

– A następnie włączyć się do działań i zapewnić zwycięstwo?

– A sobie chwałę – odpowiedział sir Bernard.

Amerykański ambasador się roześmiał.

– O ile wiem, oficjalny komunikat zostanie wydany w najbliższych dniach.

Obaj mężczyźni spoglądali na Abla, który milczał.

– Czy zatem mogę jako pierwszy złożyć panu gratulacje, ekscelencjo? – zapytał sir Bernard. – Życzę panu powodzenia na nowym stanowisku.

Abel zaczerwienił się, słysząc wypowiedziane na głos słowo, które tak często w ostatnich miesiącach wymawiał szeptem przy goleniu do swego odbicia w lustrze.

– Musi pan przywyknąć do tego, że ludzie będą zwracać się do pana „ekscelencjo” – ciągnął ambasador – i do wielu jeszcze gorszych rzeczy, zwłaszcza do tych przeklętych niezliczonych przyjęć, w których będzie pan musiał brać udział. Jeśli ma pan teraz kłopoty z nadwagą, to jest to nic w porównaniu z tym, co pana czeka po zakończeniu misji. Niewykluczone, że będzie pan jeszcze wdzięczny

losowi za zimną wojnę. Tylko ona może wpłynąć na ograniczenie nazbyt wybujałego życia towarzyskiego dyplomatów.

Ambasador amerykański uśmiechnął się.

– Brawo, panie Ablu. Ja również życzę panu wielu sukcesów. Kiedy ostatnio był pan w Polsce? – zapytał.

– Odwiedzałem kraj tylko raz, na krótko, parę lat temu – powiedział Abel. – Od tamtej pory marzyłem, aby znów tam wrócić.

– No cóż, będzie to triumfalny powrót – powiedział Fletcher Warren. – Czy zna pan naszą ambasadę w Warszawie?

– Niestety, nie – przyznał Abel.

– Niczego sobie gmach – włączył się sir Bernard. – Zważywszy, że wy, Jankesi, zdołaliście zakotwiczyć się na dobre w Europie dopiero po drugiej wojnie światowej. Ale kuchnię mają fatalną. Mam nadzieję, że zrobi pan coś w tej sprawie, panie Rosnovski. Chyba nie obejdzie się bez wybudowania kolejnego Barona w Warszawie. Tego przynajmniej będą oczekiwać od starego Polaka, który jest ambasadorem.

Abel był w euforii, śmiał się i delektował kiepskimi żartami sir Bernarda. Zauważył, że wypił więcej porto niż zazwyczaj, i czuł sympatię do siebie i do całego świata. Teraz, gdy jego nominacja wydawała się już prawie pewna, nie mógł się doczekać chwili, kiedy wróci do Ameryki i podzieli się tą wiadomością z Florentyną. Będzie z niego bardzo dumna. Postanowił, że zaraz po powrocie do Nowego Jorku poleci dalej, do San Francisco, aby pogodzić się z Florentyną. Zawsze bardzo tego pragnął, a teraz miał po temu pretekst. Jakoś się zmusi, żeby polubić tego młodego Kane'a. Musi przestać myśleć o nim jako o „tym młodym Kanie". Jak on ma na imię? Richard? Tak, Richard. Gdy już to postanowił, poczuł nagłą ulgę.

Kiedy trzej panowie wrócili do głównej sali i do pań, Abel dotknął lekko ramienia brytyjskiego ambasadora.

– Muszę się już pożegnać, ekscelencjo.

– Wraca pan do swego Barona – powiedział sir Bernard. – Jeśli pan pozwoli, odprowadzę pana do samochodu, drogi kolego.

Ambasadorowa pożegnała się z nim przy drzwiach.

– Dobranoc, lady Burrows, i dziękuję za wspaniały wieczór.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, że nie powinnam o tym wiedzieć, panie Rosnovski, niemniej pozwolę sobie pogratulować panu pańskiej nominacji. Na pewno jest pan dumny, że wraca pan do rodzinnego kraju jako najwyższy rangą przedstawiciel swojej nowej ojczyzny.

– Tak, jestem dumny – odparł szczerze Abel.

Sir Bernard zszedł razem z nim po marmurowych schodach i odprowadził go do czekającego na podjeździe samochodu. Szofer otworzył drzwi.

– Dobranoc, Rosnovski – powiedział sir Bernard – i życzę powodzenia w Warszawie. Mam nadzieję, że smakował panu pierwszy w życiu posiłek w brytyjskiej ambasadzie.

– Właściwie to drugi, sir Bernardzie.

– Byłeś tu już, przyjacielu? Sprawdzaliśmy w księdze pamiątkowej, ale nie znaleźliśmy twojego nazwiska.

– Oczywiście – odparł Abel. – Tyle że kiedy pierwszy raz jadłem obiad w ambasadzie brytyjskiej, odbyło się to w kuchni. Nie sądzę, aby prowadzili tam księgę gości, ale wówczas był to najlepszy posiłek, jaki jadłem od wielu lat.

Abel uśmiechnął się, zajmując miejsce na tylnym siedzeniu samochodu. Zauważył, że sir Bernard nie był pewien, czy brać go serio czy nie. Przez całą powrotną drogę do Barona bębnił palcami w boczną szybę samochodu i nucił pod nosem. Najchętniej wróciłby do Nowego Jorku już nazajutrz, ale nie mógł odmówić zaproszenia na jutrzejszą kolację u Fletchera Warrena w ambasadzie amerykańskiej. Przyszłemu ambasadorowi raczej nie wypadałoby tak postąpić, mój przyjacielu – Abel jakby słyszał słowa sir Bernarda.

Kolacja u amerykańskiego ambasadora również była udana. Nakłoniono Abla, aby zdradził zgromadzonym gościom, jakie losy zawiodły go do kuchni brytyjskiej ambasady. Kiedy opowiedział swoją historię, na twarzach słuchających pojawił się wyraz podziwu zmieszanego z zaskoczeniem. Nie był pewien, czy wielu spośród słuchaczy uwierzyło w jego opowieść o tym, jak omal nie postradał ręki, niemniej wszyscy podziwiali srebrną bransoletę i tego wieczoru tytułowali go „ekscelencjo".

Następnego dnia Abel wcześnie wstał, aby zdążyć na samolot do Ameryki. DC8 wylądował w Belgradzie, gdzie przetrzymano samolot szesnaście godzin, podobno z powodu kłopotów z podwoziem, jak poinformowano Abla. Siedział w poczekalni lotniska, pijąc tamtejszą lurę zwaną kawą. Kontrast między brytyjską ambasadą a barem szybkiej obsługi w kraju rządzonym przez komunistów nie mógł ujść uwagi Abla. Nareszcie samolot wystartował, ale w Amsterdamie znów odlot się opóźniał. Tym razem musiał się przesiąść do innego samolotu.

Po prawie trzydziestu sześciu godzinach podróży Abel znalazł się w końcu na lotnisku Idlewild. Był tak zmęczony, że ledwie trzymał się na nogach. Kiedy opuszczał komorę celną, stwierdził nagle, że otacza

go chmara reporterów. Zaczęły trzaskać migawki i błyskać flesze aparatów. Natychmiast przywołał uśmiech na twarz. Widocznie ogłoszono już komunikat, pomyślał. Sprawa nabrała oficjalnego charakteru. Wyprostował się najbardziej jak mógł i szedł powolnym, dostojnym krokiem, starając się nie utykać. Nie dostrzegł nigdzie George'a, a fotoreporterzy rozpychali się bezceremonialnie, polując na dobre ujęcie.

Wreszcie zobaczył go. George stał na skraju ciżby i był blady jak śmierć. Serce Abla zatrzepotało gwałtownie, kiedy mijał barierkę, i jakiś dziennikarz, który zamiast spytać, jak się czuje pierwszy Amerykanin polskiego pochodzenia, który został ambasadorem w Warszawie, krzyknął:

– Czy ma pan coś na swoją obronę?

Flesze aparatów fotograficznych nie przestawały błyskać, Abla zarzucono gradem pytań.

– Czy oskarżenia pod pańskim adresem są prawdziwe?

– Ile właściwie zapłacił pan kongresmenowi Osborne'owi?

– Czy zaprzecza pan oskarżeniom?

– Czy wrócił pan do kraju, aby stawić się na procesie?

Zapisywali odpowiedzi Abla, choć wcale ich nie udzielał.

– Zabierz mnie stąd! – zawołał do George'a ponad głowami reporterów.

George przedarł się przez tłum do Abla, a następnie, osłaniając go sobą, przecisnął się z nim z powrotem i wepchnął go do czekającego cadillaca. Pod obstrzałem błyskających fleszów Abel schylił się i ukrył twarz w dłoniach, a George krzyknął do szofera, żeby ruszał.

– Do Barona, proszę pana?

– Nie, do mieszkania panny Rosnovskiej na Pięćdziesiątej Siódmej.

– Dlaczego? – spytał Abel.

– W Baronie roi się od dziennikarzy – wyjaśnił George.

– Nic nie rozumiem – powiedział Abel. – W Stambule fetowano mnie, jakbym był już ambasadorem, a teraz, kiedy wracam do kraju, okazuje się, że jestem przestępcą. Co, u diabła, się tu dzieje, George?

– Czy chcesz dowiedzieć się tego ode mnie, czy wolisz poczekać na rozmowę z adwokatem? – zapytał George.

– Kogo mi znalazłeś?

– Będzie cię reprezentował H. Trafford Jilks, najlepszy obrońca w Ameryce.

– I najdroższy.

– Myślałem, że w takiej sytuacji nie będziesz się przejmował kosztami.

– Masz rację, George. Przepraszam. Gdzie on jest?

– Widziałem się z nim w sądzie, ale powiedział, że przyjedzie do nas natychmiast, jak tylko załatwi swoje sprawy.

– Nie mogę tak długo czekać, George. Na miłość boską, zorientuj mnie w sytuacji, powiedz mi choćby najgorsze.

George zrobił głęboki wdech.

– Wydano nakaz aresztowania ciebie.

– O co, u diabła, mnie oskarżają?

– O przekupywanie wysokich urzędników państwowych.

– Nigdy w życiu nie miałem bezpośrednio do czynienia z żadnym urzędnikiem państwowym – zaprotestował Abel.

– Ale Henry Osborne owszem. I wydaje się, że wszystko, co robił, robił w twoim imieniu albo na twoje polecenie.

– O Boże – jęknął Abel. – Nie powinienem był zatrudniać tego człowieka. Tylko to, że obaj nienawidziliśmy Kane'a, zamroczyło mi mózg. Ale wciąż nie mogę uwierzyć, że Henry coś wyśpiewał, bo w ten sposób sam by się pogrążył.

– Ale Henry zniknął – powiedział George. – I nagle, w tajemniczy sposób, wszystkie jego długi zostały uregulowane.

– William Kane – powiedział Abel, cedząc słowa.

– Nie znaleźliśmy niczego, co by na to wskazywało – oponował George. – Nie ma żadnych dowodów na to, że William Kane w ogóle ma z tym coś wspólnego.

– Po co komu dowody? Lepiej mi powiedz, jak władze dowiedziały się o tym wszystkim?

– Tego nie wiemy – przyznał George. – Zdaje się, że do Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie nadeszła od anonimowego nadawcy paczka z jego dossier.

– Oczywiście wysłana z Nowego Jorku – powiedział Abel.

– Nie, z Chicago.

Abel milczał przez chwilę. W końcu rzekł:

– Henry nie mógł im dostarczyć dowodów. To nie miałoby sensu.

– Skąd ta pewność? – zapytał George.

– Ponieważ powiedziałeś, że wszystkie jego długi zostały pokryte, a Departament Sprawiedliwości wybuliłby taką forsę tylko wtedy, gdyby chodziło o przyłapanie Ala Capone. Henry musiał sprzedać swoją kartotekę komuś innemu. Ale komu? Jednego możemy być pewni, że nigdy by nie przekazał żadnych informacji bezpośrednio Kane'owi.

– Bezpośrednio? – spytał George.

– Bezpośrednio – powtórzył z namysłem Abel. – A może nie sprzedał ich bezpośrednio? Może Kane posłużył się pośrednikiem do przeprowadzenia transakcji, jeśli już wiedział, że Henry tonie w długach i grożą mu bukmacherzy.

– Rzeczywiście mogło tak być. Wcale nie trzeba pomocy wytrawnego detektywa, aby odkryć, w jak wielkie finansowe tarapaty wpadł Henry. Wiedział o nich każdy bywalec chicagowskich barów, ale nie wyciągaj z tego pochopnych wniosków. Poczekajmy, co powie twój adwokat.

Cadillac zatrzymał się przed dawnym mieszkaniem Florentyny, które Abel utrzymywał w idealnym porządku w nadziei, że pewnego dnia córka może wróci. George otworzył drzwi i weszli do środka, gdzie czekał już na nich H. Trafford Jilks. Kiedy usiedli w fotelach, George nalał Ablowi dużą whisky. Ten wypił ją jednym haustem i podał pustą szklaneczkę z powrotem George'owi, który ponownie ją napełnił.

– Niech pan zaczyna od najgorszego, panie mecenasie. Chcę mieć to już za sobą.

– Bardzo panu współczuję, panie Rosnovski – zaczął adwokat. – Pan Novak wspomniał mi o Warszawie.

– To mam już z głowy, możemy zapomnieć o „ekscelencji". Założę się, że gdyby zagadnął pan o mnie Hogana, ten nie mógłby sobie nawet przypomnieć mego nazwiska. No dobrze, mecenasie Jilks, jak wygląda moja sytuacja?

– Akt oskarżenia przeciwko panu obejmuje siedemnaście przypadków przekupstwa oraz usiłowanie wpłynięcia na decyzje wyższych urzędników państwowych w czternastu

stanach. Uzgodniłem wstępnie w Departamencie Sprawiedliwości, że zostanie pan aresztowany w tym mieszkaniu jutro o dziesiątej rano, a oni nie sprzeciwią się zwolnieniu pana z aresztu za kaucją.

– Jakże miło – powiedział Abel. – A co, jeśli uda im się dowieść zarzutów?

– Och, może paru dowiodą bez trudu – powiedział beztrosko H. Trafford Jilks – ale dopóki Henry Osborne nie wystawi nosa ze swojej dziupli, będzie im bardzo trudno przykleić panu większość z nich. Musi pan jednak pogodzić się z faktem, panie Rosnovski, że niezależnie od tego, czy zostanie pan skazany czy nie, najgorsze zło i tak już się stało.

– Nie musi mi pan tego mówić – powiedział Abel, spoglądając z daleka na przedstawiające go duże zdjęcie na pierwszej stronie „Daily News". – Więc niech się pan dowie, panie Jilks, kto, u diabła, kupił od Henry'ego Osborne'a tę jego kartotekę. Proszę wynająć tylu ludzi, ile będzie trzeba. Koszty nie grają roli. Ale niech pan się tego dowie, i to szybko, bo jeśli się okaże, że to był William Kane, rozprawię się z nim teraz raz na zawsze.

– Niech pan się nie pakuje w nowe kłopoty. Nie dość panu tych, w których już pan tkwi? – powiedział H. Trafford Jilks.

– Nie ma strachu – odparł Abel. – Wykończę Kane'a w sposób jak najbardziej zgodny z prawem.

– Proszę posłuchać. Na razie niech pan zapomni o Williamie Kanie, a zacznie myśleć o czekającej pana rozprawie, gdyż będzie to najważniejsze wydarzenie w pańskim życiu, jeśli nie chce pan spędzić następnych dziesięciu lat w więzieniu. Ponieważ dzisiaj nic już nie zwojujemy, niech pan pójdzie do łóżka i trochę się prześpi. Ja w tym czasie zredaguję krótkie oświadczenie dla prasy zaprzeczające

postawionym panu zarzutom i zawierające zapowiedź, że przedstawimy wyjaśnienia, które pozwolą panu odzyskać dobre imię.

– Czy to możliwe? – zapytał George z nadzieją.

– Nie – odparł Jilks – ale da mi to trochę cennego czasu na zastanowienie się. Jeśli pan Rosnovski po przejrzeniu listy osób zamieszanych w tę sprawę powie mi, że nigdy nie zetknął się z nimi osobiście, wcale nie będę zdziwiony. Całkiem możliwe, że Henry Osborne występował zawsze w roli pośrednika, nie wprowadzając pana Rosnovskiego w żadne szczegóły. Jeśli tak, to będę miał za zadanie udowodnić, że Osborne jako członek rady nadzorczej Hoteli Baron przekraczał swoje kompetencje. Ale niech pan pamięta, panie Rosnovski: jeśli kontaktował się pan z którąkolwiek z tych osób, to, na miłość boską, proszę mi o tym powiedzieć, bo zapewniam pana, że Departament Sprawiedliwości wezwie tego człowieka na świadka oskarżenia. Ale o to zaczniemy się martwić jutro. Teraz niech pan idzie do łóżka i choć trochę się prześpi. Z pewnością jest pan wyczerpany po podróży. Przyjdę do pana z samego rana.

O ósmej trzydzieści rano Abel został po cichu aresztowany w mieszkaniu córki przez szeryfa sądu okręgowego, który zawiózł go do gmachu sądu okręgu południowego Nowego Jorku. Widok kolorowych dekoracji w oknach wystawowych z okazji dnia świętego Walentego wzmógł jeszcze u Abla poczucie osamotnienia. Jilks sądził, że zaaranżował wszystko na tyle dyskretnie, iż prasa niczego nie wywęszy, jednak kiedy Abel dotarł do gmachu sądu, znów otoczyła go chmara fotografów i reporterów. Przemknął pod wrogim obstrzałem ubezpieczany z przodu przez George'a, a z tyłu przez Jilksa. Potem siedzieli, milcząc, w poczekalni przy sali rozpraw i czekali na wezwanie.

Kiedy wreszcie ich poproszono, przedstawienie aktu oskarżenia trwało tylko trzy minuty i – dziwna rzecz – nie wzbudziło większych emocji. Urzędnik sądowy odczytał akt oskarżenia, H. Trafford Jilks odpowiedział w imieniu klienta „niewinny" na każdy z kolejnych zarzutów i zwrócił się o zwolnienie go z aresztu za kaucją. Oskarżyciel publiczny, zgodnie z obietnicą, nie zgłosił sprzeciwu. Jilks poprosił sędziego Prescotta o przynajmniej trzy miesiące na przygotowanie obrony. Sędzia ustalił datę rozprawy na siedemnastego maja i – z pozorną obojętnością – przeszedł do następnej sprawy na wokandzie.

Abel był znów wolny – i znów znalazł się pod obstrzałem reporterskich fleszów i pytań dziennikarzy. George dopilnował, żeby u stóp schodów czekał samochód z otwartymi drzwiami i uruchomionym silnikiem. Szofer musiał dokonywać cudów zręczności, aby umknąć nachalnym reporterom, którzy nie mieli zamiaru się poddać. Skręcił w stronę mieszkania Florentyny dopiero wtedy, gdy miał pewność, że pozbył się natrętów. Podczas całej tej ucieczki Abel nie odezwał się ani słowem. Gdy dotarli na miejsce, odwrócił się do George'a i położył mu dłoń na ramieniu.

– Słuchaj, George, będziesz musiał sam kierować hotelami przez co najmniej trzy miesiące, kiedy ja będę zajęty przygotowywaniem obrony wraz z Jilksem. Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał robić tego także później – powiedział, zmuszając się do śmiechu.

– Jasne, że nie. Pan Jilks wyciągnie cię z tego, zobaczysz, Ablu. – George pochwycił swoją teczkę i dotknął ramienia przyjaciela. – Głowa do góry – powiedział i wyszedł.

– Nie wiem, co bym zrobił bez George'a – powiedział Abel do adwokata, kiedy usiedli w salonie. – Przypłynęliśmy tu razem prawie czterdzieści lat temu i od tamtych czasów niejedno razem

przeszliśmy. Teraz wygląda na to, że czeka nas całe mnóstwo mocnych wrażeń, więc zabierajmy się do roboty, mecenasie. Czy trafił pan na ślad Henry'ego Osborne'a?

– Nie, ale szuka go sześciu moich ludzi i, o ile wiem, co najmniej dalszych sześciu wyznaczonych przez Departament Sprawiedliwości, możemy więc być pewni, że odszukamy go choćby pod ziemią, co wcale nie znaczy, że mamy zamiar dać się ubiec tamtym…

– A jeśli idzie o człowieka, któremu Osborne sprzedał informacje?

– Mam kilku zaufanych ludzi w Chicago, którym kazałem to sprawdzić.

– Dobrze – powiedział Abel. – Przejrzyjmy teraz listę nazwisk, którą zostawił mi pan wczoraj.

Trafford Jilks zaczął od czytania aktu oskarżenia, a następnie przedyskutował z Ablem każdy z zarzutów.

Po prawie trzech tygodniach regularnych spotkań, kiedy Jilks ostatecznie się przekonał, że Abel nie ma już nic więcej do powiedzenia, zostawił swego klienta w spokoju. W tym czasie nie natrafiono na żaden ślad Henry'ego Osborne'a – nie udało się go odnaleźć ani ludziom Trafforda Jilksa, ani tym z Departamentu Sprawiedliwości. Ludzie Jilksa nie wpadli też na trop osoby, której Henry sprzedał informacje, i zaczynali już wątpić, czy przypuszczenia Abla są słuszne.

W miarę przybliżania się terminu rozprawy Abel coraz poważniej liczył się z tym, że skończy w więzieniu. Miał już pięćdziesiąt pięć lat i czuł lęk i wstyd na myśl, że ostatnie lata swego życia może spędzić podobnie, jak spędził parę pierwszych. Jilks powiedział mu wyraźnie, że jeśli władze zechcą postawić na swoim, to znajdą w kartotece Osborne'a dostatecznie dużo dowodów, aby posłać go za kratki na

wiele lat. Niesprawiedliwość losu – bo tak to odczuwał – oburzała Abla. Wykroczenia, jakie Osborne popełnił w jego imieniu, były poważne, ale i dość powszechne; Abel wątpił, czy w ogóle możliwe było uruchomienie jakiegokolwiek nowego interesu bądź zrobienie większych pieniędzy bez tego rodzaju gratyfikacji i łapówek, o jakich z nieprzyzwoitą dokładnością mówiły dokumenty, nad którymi ślęczał Trafford Jilks. Abel z goryczą pomyślał o gładkim, beztroskim obliczu młodego Williama Kane'a, przez te wszystkie lata siedzącego w banku na stosie odziedziczonych pieniędzy, których najpewniej podejrzane pochodzenie okryła patyna szacowności kilku pokoleń przodków. Potem Abel dostał wzruszający list od Florentyny wraz z paroma zdjęciami jej synka. Pisała, że nadal kocha i szanuje ojca, i wierzy w jego niewinność.

Na trzy dni przed wyznaczoną datą rozprawy Departament Sprawiedliwości odnalazł Henry'ego Osborne'a w Nowym Orleanie. Przypuszczalnie nigdy by na niego nie trafiono, gdyby nie wylądował w miejscowym szpitalu ze złamanymi obiema nogami. Jakiś gorliwy policjant wywąchał, że Henry dostał za swoje za wymigiwanie się od płacenia karcianych długów. W Nowym Orleanie tego nie lubią. Policjant był nie w ciemię bity i jeszcze tego samego dnia, kiedy w szpitalu założono Osborne'owi gips, Departament Sprawiedliwości przetransportował go na wózku na lotnisko i ulokował w samolocie Eastern Airlines lecącym do Nowego Jorku.

Następnego dnia postawiono Osborne'a w stan oskarżenia, zarzucając mu udział w przestępstwie finansowym, przy czym sąd nie zgodził się na zwolnienie z aresztu za kaucją. H. Trafford Jilks zwrócił się do sądu o zezwolenie na zadanie oskarżonemu kilku pytań. Otrzymał zgodę, ale rozmowa z Osborne'em niewiele mu dała. Było

oczywiste, że Osborne dogadał się już z oskarżycielem publicznym, godząc się zeznawać przeciwko Ablowi w zamian za przyrzeczenie łagodniejszego potraktowania przez sąd.

– Bez wątpienia zarzuty pod adresem pana Osborne'a okażą się nadzwyczaj łagodne – z przekąsem skomentował sytuację adwokat.

– Ma wygraną w kieszeni – rzekł Abel. – Ja dostanę cięgi, a on się wymiga. Teraz już nigdy się nie dowiemy, komu sprzedał tę cholerną teczkę.

– Nie, tutaj pan się myli. O tym akurat rozmawiał ze mną bardzo chętnie – powiedział Jilks. – Powiedział mi, że to nie był William Kane. Jemu nie sprzedałby tych dokumentów za żadną cenę. Zapłacił mu za nie gotówką pewien człowiek z Chicago, niejaki Harry Smith, ale, nie uwierzy pan, Harry Smith to zmyślone nazwisko. Jest w Chicago kilkudziesięciu Harrych Smithów, lecz ani jeden nie odpowiada opisowi podanemu przez Osborne'a.

– Odszukaj go pan – powiedział Abel. – I to jeszcze przed rozprawą.

– Już się tym zajęliśmy – powiedział Jilks. – Jeśli ten facet jest w Chicago, przyszpilimy go jeszcze w tym tygodniu. Osborne dodał też, że ten rzekomy Harry Smith zapewniał go, iż wykorzysta dokumenty tylko do celów prywatnych. Nie zamierzał ujawniać ich treści jakimkolwiek czynnikom oficjalnym.

– To po co były mu potrzebne? – zapytał Abel.

– Mogło chodzić tylko o szantaż. Dlatego właśnie Henry Osborne zniknął, aby nie wpaść w pańskie ręce. Jeśli się zastanowić, panie Rosnovski, to niewykluczone, że Henry Osborne mówi prawdę. Ostatecznie ujawnione fakty bardzo poważnie go obciążają i z pewnością był równie przerażony jak pan, kiedy się dowiedział, że

dokumenty trafiły do Departamentu Sprawiedliwości. Nic dziwnego, że siedział jak mysz pod miotłą, a kiedy w końcu wpadł, zgodził się zostać świadkiem oskarżenia.

– Wie pan – powiedział Abel – zatrudniłem tego człowieka wyłącznie z tego powodu, że nienawidził Williama Kane'a równie mocno jak ja. A teraz Kane załatwił nas obu.

– Brak dowodów na to, że pan Kane maczał w tym palce – powiedział Jilks.

– Nie potrzebuję dowodów.

Na wniosek oskarżyciela publicznego rozprawę odroczono ze względu na konieczność dokładniejszego przesłuchania Henry'ego Osborne'a jako głównego świadka oskarżenia. Trafford Jilks ostro zaprotestował, informując sąd, że stan zdrowia jego klienta, który nie jest już młodym człowiekiem, pogarsza się z powodu stresu spowodowanego przez fałszywe oskarżenie. Sędzia Prescott nie wzruszył się prośbą adwokata Abla i uwzględnił wniosek oskarżyciela publicznego, odraczając sprawę o cztery tygodnie.

Ten miesiąc dłużył się Ablowi niemiłosiernie i na dwa dni przed sprawą pogodził się on już z myślą, że zostanie uznany winnym i dostanie duży wyrok. I wtedy wynajęty przez Jilksa chicagowski detektyw odnalazł człowieka nazwiskiem Harry Smith, który okazał się prywatnym detektywem. Posłużył się zmyślonym imieniem i nazwiskiem, stosując się ściśle do instrukcji swojego klienta, firmy adwokackiej z Nowego Jorku. Kosztem tysiąca dolarów i kolejnych dwudziestu czterech godzin Jilks zdołał wyciągnąć z Harry'ego Smitha, że tym klientem była kancelaria adwokacka Cohen, Cohen i Yablons.

– Adwokat Kane’a – powiedział Abel, kiedy tylko usłyszał nazwę firmy.

– Czy jest pan pewien? – zapytał Jilks. – Z tego, co wiem o Williamie Kanie, wydawałoby się, że jest on ostatnią osobą, która zwróciłaby się o pomoc do firmy żydowskiej.

– Dawno temu, kiedy odkupywałem hotele od banku Kane’a, papierkową robotą zajmował się facet o nazwisku Thomas Cohen. Z jakichś powodów bank zaangażował do przeprowadzenia transakcji dwóch adwokatów.

– Co chcesz, żebym zrobił? – zapytał Abla George.

– Nic – wtrącił się Jilks. – Nie chciałbym żadnych dodatkowych kłopotów przed rozprawą. Rozumie pan, panie Rosnovski?

– Tak, rozumiem – odparł Abel. – Kane’em zajmę się po procesie. A teraz niech pan mnie posłucha uważnie, panie Jilks. Musi pan natychmiast pójść jeszcze raz do Henry’ego Osborne’a i powiedzieć mu, że Harry Smith sprzedał dokumenty Williamowi Kane’owi oraz że Kane wykorzystał je, aby się zemścić na nas obu. I niech pan podkreśli słowa „na nas obu”. Zapewniam pana, że gdy Osborne się o tym dowie, nawet nie otworzy ust na rozprawie, niezależnie od tego, co naobiecywał Departamentowi Sprawiedliwości. Henry Osborne jest jedynym człowiekiem na świecie, który nienawidzi Kane’a może bardziej niż ja.

– Skoro pan sobie życzy – powiedział Jilks, najwyraźniej bez przekonania – ale czuję się w obowiązku panu przypomnieć, że Henry Osborne zdecydowanie zrzuca całą winę na pana i jak dotąd nie wykazał najmniejszej ochoty, aby się z nami dogadać.

– Ręczę panu, że jak tylko się dowie, że w sprawę zamieszany jest William Kane, zmieni zdanie.

H. Trafford Jilks otrzymał zgodę na dziesięciominutowe widzenie z Henrym Osborne'em w jego celi jeszcze tego wieczoru. Osborne wysłuchał go, ale nie odezwał się ani słowem. Jilks był pewien, że otrzymana wiadomość nie zrobiła żadnego wrażenia na głównym świadku oskarżenia, i postanowił, że poczeka do rana z powiadomieniem o tym Abla Rosnovskiego. Wolał, żeby jego klient się wyspał przed jutrzejszą rozprawą.

Na cztery godziny przed rozprawą strażnik, który przyniósł więźniowi śniadanie, stwierdził, że Henry Osborne powiesił się na swoim krawacie w barwach Uniwersytetu Harvarda.

Rozprawa zaczęła się bez udziału głównego świadka oskarżenia, które złożyło wniosek o ponowne odroczenie rozprawy. Jednak po wysłuchaniu kolejnego płomiennego wywodu obrońcy H. Trafforda Jilksa o stanie zdrowia jego klienta, sędzia Prescott oddalił wniosek. Opinia publiczna śledziła z wielkim zainteresowaniem przebieg procesu „Barona z Chicago" w telewizji i prasie, Abel zaś, ku swemu przerażeniu, stwierdził, że na galerii dla publiczności siedzi Zosia, której tarapaty, w jakich znalazł się były mąż, zdawały się sprawiać wielką frajdę. Po dziewięciu dniach rozprawy prokurator doszedł do wniosku, że oskarżenie nie dysponuje wystarczającymi dowodami winy, i postanowił zaproponować H. Traffordowi Jilksowi zawarcie ugody. Sprawę odroczono i Jilks przedstawił Ablowi pokrótce ofertę oskarżenia.

– Wycofają wszystkie główne zarzuty o przekupstwo, jeśli przyzna się pan do dwóch drobniejszych wykroczeń sprowadzających się do próby wywarcia wpływu na urzędnika państwowego w sposób niezgodny z prawem.

– Jakie mam według pana szansę wygrania procesu, gdybym odrzucił ich ofertę?

– Pół na pół, jak sądzę – powiedział Jilks.

– A gdyby mi się to nie udało?

– Sędzia Prescott to twardziel. Dałby panu co najmniej sześć lat.

– A jeśli przyznam się do tych dwóch drobniejszych wykroczeń, to co mnie czeka?

– Wysoka grzywna. Byłbym zdziwiony, gdyby coś jeszcze do tego dołożyli – powiedział Jilks.

Abel zamyślił się, rozważając przez chwilę przedstawione mu możliwości.

– Przyznam się do winy. Skończymy z tym wreszcie.

Oskarżyciel publiczny powiadomił sędziego, że wycofuje piętnaście z listy zarzutów przedstawionych Ablowi Rosnovskiemu. H. Trafford Jilks podniósł się ze swego miejsca i oświadczył Wysokiemu Sądowi, że jego klient zmienił zdanie i przyznaje się do winy, potwierdzając dwa zarzuty dotyczące wykroczeń mniejszego kalibru. Zwolniono ławę przysięgłych, po czym sędzia Prescott wygłosił do Abla bardzo surową przemowę, w której pouczył go, że prawo do prowadzenia interesów nie upoważnia nikogo do zjednywania sobie urzędników państwowych niecnymi sposobami. Przekupstwo jest przestępstwem tym większym, że dopuszcza się go człowiek inteligentny i kompetentny, który nie ma potrzeby zniżać się do czegoś podobnego. W innych krajach, zauważył sędzia z naciskiem – sprawiając, że Abel raz jeszcze poczuł się, jak dopiero co przybyły imigrant – łapownictwo stanowi być może powszechnie akceptowaną praktykę dnia codziennego, lecz w Stanach Zjednoczonych jest zupełnie inaczej. Sędzia Prescott skazał

Abla na sześć miesięcy więzienia z zawieszeniem, grzywnę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów oraz zwrot kosztów sądowych.

George odwiózł Abla do Barona. Siedzieli w jego apartamencie na ostatnim piętrze dobrze ponad godzinę, popijając whisky, zanim Abel w końcu się odezwał.

– George, skontaktuj się z Peterem Parfittem i daj mu milion za te jego dwa procent udziałów w banku Lestera, tak jak żądał, a gdy tylko będę miał w ręku osiem procent, natychmiast odwołam się do artykułu siódmego statutu banku i załatwię Williama Kane'a na oczach jego własnej rady nadzorczej.

George skinął głową ze smutkiem.

Kilka dni później Departament Stanu ogłosił, że Polsce przyznano klauzulę największego uprzywilejowania w wymianie handlowej ze Stanami Zjednoczonymi oraz że następnym ambasadorem w Warszawie zostanie John Moors Cabot.

39

Ponurego lutowego wieczoru William usiadł w swoim fotelu i przeczytał od nowa raport Thaddeusa Cohena. Henry Osborne ujawnił wszystkie informacje, jakich Kane potrzebował, aby wykończyć Abla Rosnovskiego, zainkasował dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i zniknął z pola widzenia. Zupełnie w jego stylu, pomyślał William, odkładając mocno wymiętą teczkę z kopiami dokumentów dotyczących Rosnovskiego. Oryginały Thaddeus Cohen wysłał parę dni wcześniej do Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie.

Kiedy Abel Rosnovski wrócił z Turcji i następnie został aresztowany, William oczekiwał z jego strony odwetu, przypuszczał, że rzuci natychmiast na rynek wszystkie swoje akcje Interstate Airways. Tym razem był na to dobrze przygotowany. Uprzedził już swojego maklera, że akcje Interstate mogą w każdej chwili, bez żadnego ostrzeżenia, znaleźć się w dużej ilości na wolnym rynku. Jego instrukcje były wyraźne: należy je natychmiast wykupić, aby cena nie spadła. Dla uniknięcia nieprzyjemnych komentarzy w banku postanowił wyłożyć pieniądze ze swego rodzinnego majątku, traktując to jako doraźny środek zaradczy. Rozesłał również list okólny do wszystkich akcjonariuszy banku Lestera, zwracając się do nich z prośbą, aby nie sprzedawali akcji Interstate bez porozumienia się z nim.

W miarę jak upływały kolejne tygodnie i Abel Rosnovski nie dawał o sobie znać, William zaczynał coraz bardziej wierzyć, że Thaddeus Cohen miał rację, twierdząc, iż nic nie zdoła naprowadzić

Abla na jego ślad. Rosnovski niezawodnie całą winą obarczy Henry'ego Osborne'a.

Thaddeus Cohen był przekonany, że dzięki obciążającym dowodom Osborne'a Abel Rosnovski wyląduje na długie lata w więzieniu i nigdy już nie będzie miał okazji skorzystać z artykułu siódmego i zagrozić w jakikolwiek sposób bankowi czy osobiście Williamowi Kane'owi. William miał też nadzieję, że gdy zapadnie wyrok, Richard opamięta się i wróci do domu. Bez wątpienia ostatnie rewelacje dotyczące tej rodziny wzbudzą w nim głęboką niechęć do córki Rosnovskiego i uzmysłowią mu, że ojciec miał rację, nie godząc się na to małżeństwo.

William przyjąłby Richarda z otwartymi ramionami. W radzie nadzorczej po przejściu na emeryturę Tony'ego Simmonsa i śmierci Teda Leacha wakowały teraz dwa stanowiska. Gdyby Richard nie wrócił do Nowego Jorku przed ukończeniem przez Williama sześćdziesiątego piątego roku życia, co nastąpi za dziesięć lat, wówczas po raz pierwszy od więcej niż stu lat w radzie nadzorczej banku nie zasiadałby żaden Kane. Cohen donosił w swoim raporcie, że Richard przeprowadził całą serię udanych transakcji przejęcia sklepów, na których zależało Florentynie. Przecież jednak szansa na stanowisko dyrektora generalnego i prezesa rady nadzorczej będzie dla niego bardziej kusząca niż trzymanie się spódniczki córki Rosnovskiego.

Co jeszcze rodziło niepokój Williama, to całkiem nowy, nie budzący jego entuzjazmu gatunek ludzi, którzy od pewnego czasu obsadzili kierownicze stanowiska w banku. Jake Thomas, nowy wiceprezes, był najpoważniejszym pretendentem do stanowiska prezesa po Williamie. Co z tego, że ukończył Princeton i to

zaszczytnie, bo jako członek Korporacji Studenckiej Phi Beta Kappa, skoro jest powierzchowny, myślał William, i zżera go ambicja. To bynajmniej nie materiał na następnego prezesa rady nadzorczej banku Lestera. William będzie musiał wytrwać tutaj do sześćdziesiątego piątego roku życia i postarać się przekonać Richarda, żeby przeszedł do banku, zanim nadejdzie ten moment. William doskonale zdawał sobie sprawę, że Kate zgodziłaby się na wszystko, aby tylko syn wrócił na łono rodziny, ale on sam z upływem lat coraz bardziej opierał się podszeptom zdrowego rozsądku. Dzięki Bogu, małżeństwo Virginii jest udane, a teraz córka spodziewa się dziecka. Gdyby Richard odmówił powrotu do domu i porzucenia córki Rosnovskiego, William zawsze może zostawić wszystko Virginii – żeby tylko urodziła wnuka.

William siedział przy swoim biurku w banku, kiedy dosięgnął go pierwszy atak serca. Niezbyt poważny. Lekarze oznajmili mu, że jeśli trochę wypocznie, to pożyje jeszcze i dwadzieścia lat. William powiedział swemu lekarzowi, jeszcze jednemu z tych młodych efekciarzy – o, jakże brak mu było Andrew MacKenziego – że wystarczy mu tylko dziesięć, aby mógł dotrwać do końca kadencji jako szef banku Lestera.

Na kilka tygodni, jakie miał spędzić w domu na rekonwalescencji, William niechętnie powierzył kierowanie bankiem Jake'owi Thomasowi, ale natychmiast po powrocie przejął znowu swoje kompetencje, obawiając się, że podczas jego nieobecności Jake mógł za bardzo ugruntować swoją pozycję. Od czasu do czasu Kate zdobywała się na odwagę i błagała Williama, aby pozwolił jej rozmówić się osobiście z Richardem, ale William trwał w swoim

uporze i wciąż powtarzał: „Richard wie, że może wrócić do domu, kiedy tylko zechce. Musi tylko zerwać z tą intrygantką”.

W dniu, w którym Henry Osborne popełnił samobójstwo, William dostał drugiego ataku serca. Kate spędziła przy jego łóżku całą noc, lękając się, że William umrze, ale trzymał go przy życiu proces przeciwko Ablowi Rosnovskiemu. William śledził przebieg procesu z baczną uwagą i pojmował, że samobójstwo Osborne’a może jedynie polepszyć pozycję Rosnovskiego. Kiedy w końcu Rosnovski wyszedł z całej historii zaledwie z wyrokiem sześciu miesięcy więzienia w zawieszeniu i grzywną w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, łagodny wymiar kary wcale nie był dla Williama niespodzianką. Nietrudno było odgadnąć, że Departament Sprawiedliwości musiał dojść do porozumienia z błyskotliwym adwokatem Rosnovskiego. William natomiast ze zdziwieniem zauważył, że ma jakieś niejasne poczucie winy, a nawet odczuwa ulgę, że Abel Rosnovski nie poszedł do więzienia.

Kiedy proces się zakończył, Williamowi było obojętne, czy Rosnovski rzuci na rynek wszystkie swoje akcje Interstate Airways czy nie. Był na to przygotowany. Ale nic się nie działo i z biegiem czasu William coraz rzadziej zaprzątał sobie głowę „Baronem z Chicago”, myśląc tylko o Richardzie, którego teraz rozpaczliwie pragnął znowu ujrzeć. „Starość i lęk przed śmiercią przynoszą nagłą odmianę uczuć” – przeczytał gdzieś kiedyś. Pewnego wrześniowego ranka powiedział Kate o swoim życzeniu. Nie zapytała go, skąd ta odmiana: wystarczyło jej, że William pragnie zobaczyć swego jedynego syna.

– Natychmiast zatelefonuję do Richarda w San Francisco i zaproszę ich oboje – powiedziała Kate i była mile zaskoczona, że

słowo „oboje” nie wywołało sprzeciwu męża.

– Doskonale – powiedział cichym głosem William. – Powiedz mu, że chcę go zobaczyć raz jeszcze przed śmiercią.

– Nie bądź niemądry, kochanie. Lekarz powiedział, że jeśli będziesz na siebie uważał, będziesz żył jeszcze co najmniej dwadzieścia lat.

– Chcę tylko dożyć końca mojej prezesury w banku i doczekać chwili, kiedy Richard zajmie moje miejsce w radzie nadzorczej. To mi wystarczy. Może poleciałabyś znów na Zachodnie Wybrzeże i przekazała Richardowi moją prośbę osobiście, Kate?

– Co rozumiesz przez „znów”? – zapytała zaniepokojona.

William uśmiechnął się.

– Wiem, że byłaś kilka razy w San Francisco, kochanie. Przez ostatnie parę lat, jak tylko wyjeżdżałem gdzieś w interesach, mówiłaś, że skorzystasz z okazji i odwiedzisz w tym czasie matkę. Ale kiedy matka umarła w zeszłym roku, twoje wymówki straciły wszelkie prawdopodobieństwo. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu ośmiu lat i myślę, że dobrze cię znam. Wyglądasz równie pięknie jak w dniu, kiedy cię poznałem, kochanie, ale nie sądzę, abyś w wieku pięćdziesięciu czterech lat znalazła sobie kochanka. Tak więc nietrudno mi było odgadnąć, że odwiedzasz Richarda.

– Tak, widywałam się z nim – powiedziała Kate. – Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, że się tego domyślasz?

– W głębi duszy byłem temu rad – powiedział William. – Niemiła była mi myśl, że mógłby utracić kontakt z nami obojgiem. Jak mu się wiedzie?

– Obojgu wiedzie się dobrze, a teraz masz nie tylko wnuka, ale i wnuczkę.

– Nie tylko wnuka, ale i wnuczkę – powtórzył William.

– Tak, ma na imię Annabel – oznajmiła Kate.

– A mój wnuk? – po raz pierwszy zapytał o jego imię.

Kiedy Kate mu powiedziała, uśmiechnął się. Tylko w połowie go okłamała.

– Dobrze – powiedział. – Leć do San Francisco i zobacz, co się da zrobić. Powiedz mu, że go kocham.

– Pamiętał, że kiedyś wypowiedział te słowa inny stary człowiek, który miał wkrótce utracić syna.

Kate od wielu już lat nie czuła się tak szczęśliwa jak tego wieczoru. Zatelefonowała do Richarda, aby mu powiedzieć, że przyleci do nich w przyszłym tygodniu i przywiezie ze sobą dobre wieści.

Kiedy trzy tygodnie później Kate wróciła do Nowego Jorku, William z przyjemnością usłyszał, że Richard i Florentyna będą mogli ich odwiedzić pod koniec listopada, gdyż dopiero wtedy będą mogli oboje wyjechać z San Francisco. Kate przywiozła z sobą dużo ciekawych opowieści o tym, jak dobrze powodzi się im obojgu, że młody William Kane jest wierną kopią swego dziadka i że Richard z Florentyną nie posiadają się z radości na myśl o wizycie w Nowym Jorku.

William słuchał z przejęciem i również czuł się szczęśliwy i pogodzony z sobą. Albowiem zaczął się już bać, że jeśli Richard szybko nie wróci, to nie wróci nigdy, a wówczas prezesura rady nadzorczej banku sama wpadnie w ręce Jake'owi Thomasowi jak dojrzałe jabłko. William wolał nawet o tym nie myśleć.

Następnego poniedziałku William udał się do pracy w doskonałym nastroju po długiej nieobecności; wrócił do zdrowia po

drugim ataku serca i znów czuł, że ma po co żyć.

– Musi pan teraz bardziej na siebie uważać – zalecił mu młody zdolny lekarz, ale William postanowił ugruntować na nowo swoją pozycję prezesa rady nadzorczej i dyrektora generalnego banku, aby łatwiej mu było utorować drogę dla jedynego syna. Kiedy wszedł do banku, przywitał go portier, który powiedział mu, że szuka go Jake Thomas i że próbował złapać go telefonicznie w domu. William podziękował najstarszemu pracownikowi banku, jedynej osobie, która pracowała w banku Lestera dłużej niż on sam.

– Na pewno nic aż tak pilnego, żeby nie można było z tym poczekać – powiedział.

– Tak, proszę pana.

William skierował się bez pośpiechu do swego gabinetu. Kiedy otworzył drzwi, ujrzał tam trzech członków rady nadzorczej konferujących już z Jakiem Thomasem, który rozsiadł się w jego fotelu.

– Nie było mnie tu chyba zbyt długo – powiedział William, śmiejąc się. – Nie jestem już prezesem rady nadzorczej?

– Jesteś, jesteś, Williamie. Witaj z powrotem – powiedział Jake Thomas, zwalniając pośpiesznie prezesowski fotel.

William absolutnie nie mógł przyzwyczaić się do tego, że Jake Thomas zwraca się do niego po imieniu. To nowe pokolenie zachowuje się zbyt swobodnie. Znają się zaledwie parę lat, a poza tym ten facet nie przekroczył nawet czterdziestki.

– Mamy jakieś kłopoty? – zapytał.

– Abel Rosnovski – powiedział Jake Thomas beznamiętnym tonem.

William poczuł w dołku nagły ucisk, który przyprawił go o mdłości, i opadł na najbliżej stojący fotel.

– Czego chce tym razem? – zapytał znękanym głosem. – Dlaczego nie pozwoli mi w spokoju dożyć końca moich dni?

Jake Thomas wstał i podszedł do Williama.

– Zamierza powołać się na artykuł siódmy i zwołać posiedzenie rady nadzorczej z udziałem swego pełnomocnika tylko po to, aby pozbawić cię stanowiska.

– Nie może tego zrobić. Nie ma wymaganych ośmiu procent udziałów, a statut banku precyzuje wyraźnie, że prezes musi zostać natychmiast powiadomiony, jeśli ktokolwiek z zewnątrz wchodzi w posiadanie ośmiu procent akcji.

– On twierdzi, że będzie je miał do jutra rana.

– Nie, nie – powiedział William. – Mam baczenie na wszystkie nasze akcje. Nikt nie sprzeda ich Rosnovskiemu. Nikt.

– Peter Parfitt – rzucił Jake Thomas.

– Nie – powiedział William, uśmiechając się triumfująco. – Przed rokiem kupiłem jego udziały przez trzecią osobę.

Jake Thomas wyglądał na zaskoczonego i na chwilę zapadła głęboka cisza. William pierwszy raz naprawdę zdał sobie sprawę, jak bardzo Thomas pragnął zostać prezesem rady nadzorczej banku.

– No cóż – powiedział Jake Thomas. – Musimy jednak brać pod uwagę jego zapewnienie, że do jutra będzie dysponował ośmioma procentami, co dałoby mu prawo mianowania trzech członków rady nadzorczej i blokowania do trzech miesięcy decyzji w ważniejszych kwestiach. To przywilej, który sam wprowadziłeś do statutu, chcąc w ten sposób umocnić własną pozycję. Zamierza również obwieścić swoją decyzję w ogłoszeniach prasowych na terenie całego kraju. Na

dodatek grozi, że jeśli jego plany spotkają się ze sprzeciwem, doprowadzi do przejęcia banku Lestera przez Hotele Baron*. Dał jasno do zrozumienia, że gotów jest zrezygnować ze swych zamierzeń tylko pod jednym warunkiem.

– Jakim? – zapytał William.

– Jeśli zgłosisz rezygnację ze stanowiska prezesa rady nadzorczej banku – odparł Jake Thomas.

– To szantaż! – William podniósł głos prawie do krzyku.

– Być może, ale jeśli nie zgłosisz rezygnacji do poniedziałku do południa, Rosnovski ma zamiar ogłosić swoją decyzję wszystkim udziałowcom. Zarezerwował już sobie miejsce w czterdziestu gazetach i czasopismach.

– Ten człowiek oszalał – powiedział William. Wyjął chusteczkę z kieszonki marynarki i otarł pot z czoła.

– To jeszcze nie wszystko – dodał Jake Thomas. – Postawił warunek, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat na twoje miejsce w radzie nadzorczej nie może przyjść żaden inny Kane oraz że swojej rezygnacji nie możesz tłumaczyć złym stanem zdrowia ani też nie wolno ci podać jakiejkolwiek przyczyny nagłego odejścia.

Thomas podał Williamowi obszerny dokument z nadrukiem „Hotele Baron".

– Zwariował – powiedział William, przebiegłszy szybko wzrokiem tekst.

– W każdym razie zwołałem na jutro posiedzenie rady nadzorczej – powiedział Jake Thomas. – Na dziesiątą. Myślę, Williamie, że powinniśmy szczegółowo przedyskutować jego żądania.

Trzej członkowie rady nadzorczej zostawili Williama samego w biurze i nikt go nie odwiedził w ciągu dnia. William siedział przy

biurku, próbując skontaktować się z niektórymi z pozostałych członków rady. Udało mu się zamienić parę słów zaledwie z jednym czy dwoma, ale i tak nie był pewien, czy może liczyć na ich poparcie. Zrozumiał, że posiedzenie może okazać się dla niego bardzo trudne, lecz dopóki nikt inny nie był w posiadaniu ośmiu procent udziałów, mógł się czuć nie zagrożony. Zaczął więc obmyślać strategię działania, która pozwoli mu utrzymać pełną kontrolę nad radą nadzorczą. Przejrzał list akcjonariuszy banku: o ile mu było wiadomo, żaden z nich nie zamierzał pozbywać się swych akcji. Zaśmiał się w duchu. Plany Abla Rosnovskiego spalą na panewce. Wrócił tego dnia do domu wcześniej, powiedział Kate, aby odwołała planowaną wizytę Richarda, i udał się do swego gabinetu, gdzie zabrał się do obmyślania posunięć, dzięki którym ostatecznie pokona Abla Rosnovskiego. Położył się spać dopiero o trzeciej nad ranem, ale wiedział już, co trzeba zrobić. Należy usunąć Jake'a Thomasa z rady nadzorczej, aby Richard mógł zająć jego miejsce.

Następnego dnia rano William przyszedł wcześnie do banku i pewien zwycięstwa czekał na rozpoczęcie posiedzenia rady nadzorczej w swoim gabinecie, przeglądając notatki. Miał wrażenie, że jego plan uwzględnia wszystkie możliwości. Za pięć dziesiąta zgłosiła się jego sekretarka.

– Dzwoni jakiś pan Rosnovski, chciałby z panem rozmawiać.

– Kto?

– Pan Rosnovski.

– Pan Rosnovski – William powtórzył nazwisko z niedowierzaniem. – Proszę łączyć – powiedział z drżeniem w głosie.

– Tak, proszę pana.

– Pan Kane?

Lekki obcy akcent, którego William nigdy nie zdołał zapomnieć.

– Tak, czego pan znowu ode mnie chce?

– Zgodnie ze statutem banku pragnę pana poinformować, że posiadam obecnie osiem procent udziałów banku Lestera i zgodnie z artykułem siódmym zamierzam skorzystać z przysługujących mi praw, jeżeli do godziny dwunastej w poniedziałek nie spełni pan moich żądań.

– Jak pan zdobył te dwa procent? – wykrztusił William.

W słuchawce rozległ się głuchy trzask. Szybko przebiegł wzrokiem listę udziałowców, próbując odgadnąć, kto go zdradził. Wciąż jeszcze dygotał, kiedy znów zadzwonił telefon.

– Szefie, za chwilę zacznie się posiedzenie rady nadzorczej.

Z wybiciem godziny dziesiątej William wkroczył do sali posiedzeń. Przyglądając się twarzom osób zasiadających wokół stołu, zdał sobie nagle sprawę, jak niewielu z młodszych członków rady zdążył dobrze poznać. Ostatnim razem, kiedy stawał do walki w tej sali, nie znał nikogo i wygrał. Uśmiechnął się do siebie pełen wiary, że uda mu się jeszcze raz pokonać Abla Rosnovskiego i podniósł się z fotela, aby zabrać głos.

– Panowie, zwołaliśmy dzisiejsze posiedzenie, gdyż pan Abel Rosnovski, właściciel Hoteli Baron, zgłosił pod adresem banku pewne żądania. Ten człowiek, człowiek z przeszłością kryminalisty, miał czelność zagrozić, że wykorzysta ośmioprocentowe udziały mojego banku, aby narazić nas na kłopoty, a jeśli jego taktyka zawiedzie, będzie próbował przejąć nasz bank, jeżeli nie złożę rezygnacji ze stanowiska dyrektora tego banku i prezesa rady nadzorczej bez podania przyczyny. Jak wam wszystkim wiadomo, do emerytury pozostało mi zaledwie dziesięć lat i gdybym odszedł z

banku wcześniej, w kręgach finansowych zostałoby to zinterpretowane z gruntu niewłaściwie. – William spojrzał na swoje notatki i postanowił zagrać swoją atutową kartą. – Gotów jestem, panowie, oddać do dyspozycji banku wszystkie swoje udziały oraz dodatkowo dziesięć milionów dolarów z prywatnych środków, aby umożliwić w ten sposób bankowi kontrolowanie wszystkich posunięć pana Rosnovskiego i zabezpieczyć bank przed ewentualnymi stratami finansowymi. Myślę, że w tej sytuacji mogę liczyć na pełne poparcie ze strony panów w mojej batalii przeciwko Rosnovskiemu. Jestem przekonany, że nie należycie panowie do ludzi, którzy łatwo się poddają ordynarnemu szantażowi.

W sali zapadło milczenie. William był już pewien, że wygrał, ale wtedy Jake Thomas zapytał, czy rada nadzorcza mogłaby zadać Williamowi parę pytań na temat jego stosunków z Ablem Rosnovskim. Prośba ta zaskoczyła Williama, ale zgodził się bez wahania. Jake Thomas nie był mu straszny.

– Toczycie ze sobą wojnę podjazdową – powiedział Jake Thomas – od ponad trzydziestu lat. Czy wierzysz w to, że jeśli przyjmiemy twój plan działania, będzie to ostatni jej akt?

– A cóż ten człowiek mógłby jeszcze zrobić? Co mógłby zrobić? – wyjąkał William i rozejrzał się po zebranych, szukając poparcia.

– Nie możemy tego wiedzieć, dopóki tego nie zrobi, ale z ośmioma procentami udziałów w ręku ma równie dużo do powiedzenia jak pan – powiedział nowy sekretarz towarzystwa, nienależący do ulubieńców Williama, gdyż za dużo mówił. – A wiemy tylko tyle, że żaden z was nie potrafi zaprzestać tej prywatnej wojny. Chociaż zaoferował pan dziesięć milionów dolarów na zabezpieczenie finansowe banku, to przecież gdyby Rosnovski miał wciąż hamować

najistotniejsze decyzje banku, zwoływać *per procura* nadzwyczajne posiedzenia rady nadzorczej, inicjować próby przejęcia banku przez instytucje finansowe, nie licząc się z reputacją banku, to niechybnie wywołałoby to panikę wśród naszych klientów. Bank i towarzystwa przez niego kontrolowane, wobec których mamy pewne obowiązki, znalazłyby się, w najlepszym razie, w kłopotliwej sytuacji, a w najgorszym mogłyby nawet upaść.

– Ależ nie, mając do dyspozycji moje zasoby finansowe możemy śmiało stawić czoło Rosnovskiemu – powiedział William.

– Pytanie, na które musimy sobie dziś odpowiedzieć – ciągnął sekretarz towarzystwa – brzmi: czy rada nadzorcza uważa, że wskazane byłoby stawić czoło panu Rosnovskiemu? Być może na dłuższą metę przyniosłoby to nam straty.

– Nie będzie strat, jeśli koszty pokryję ze swoich środków – powiedział William.

– To możliwe – powiedział Jake Thomas – ale rozmawiamy tu nie tylko o pieniądzach; bank czekają o wiele poważniejsze problemy. Teraz, gdy Rosnovski jest w stanie odwołać się do artykułu siódmego, może bawić się z nami jak kot z myszką. Mogłoby dojść do tego, że bank zajmowałby się wyłącznie uprzedzaniem kolejnych posunięć Abla Rosnovskiego.

Jake Thomas odczekał, aż jego słowa wywrą odpowiednie wrażenie. William milczał. Thomas spojrzał na Williama i ciągnął dalej:

– Teraz, panie prezesie, muszę zadać panu bardzo ważne pytanie natury osobistej, pytanie, które nurtuje wszystkich zebranych przy tym stole, i mam nadzieję, że odpowie pan na nie zupełnie szczerze, choćby nawet miało to być dla pana nieprzyjemne.

William podniósł wzrok ciekaw, jakie też może to być pytanie. O czym oni wszyscy rozmawiali za jego plecami? Cóż ten Jake Thomas sobie wyobraża, że kim jest? William czuł, że traci panowanie nad sytuacją.

– Odpowiem na każde pytanie rady nadzorczej – powiedział. – Niczego i nikogo się nie obawiam – dodał, spoglądając znacząco na Jake'a Thomasa.

– Dziękuję – powiedział Jake Thomas. – Panie prezesie, czy miał pan coś wspólnego z przekazaniem Departamentowi Sprawiedliwości w Waszyngtonie dokumentów, które przyczyniły się do aresztowania i oskarżenia o przestępstwo finansowe Abla Rosnovskiego, wiedząc równocześnie, że jest on jednym z głównych udziałowców naszego banku?

– Czy on to panu powiedział? – chciał wiedzieć William.

– Tak, twierdzi, że był pan jedyną osobą odpowiedzialną za jego aresztowanie.

Przez chwilę William milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią. Spojrzał w swoje notatki, ale nie okazały się pomocne. Nie spodziewał się tego pytania, ale przecież w ciągu ponad dwudziestu trzech lat zasiadania w radzie nadzorczej nigdy nie posłużył się kłamstwem. Nie mógł teraz zacząć kłamać.

– Tak, zrobiłem to – przyznał się. – Informacje te trafiły do moich rąk i uznałem, że moim obowiązkiem jest przekazanie ich Departamentowi Sprawiedliwości.

– W jaki sposób trafiły one do pana?

William milczał.

– Myślę, że wszyscy znamy odpowiedź na to pytanie, panie prezesie – powiedział Jake Thomas. – Co więcej, zawiadomił pan

władze, nie uprzedziwszy o tym rady nadzorczej, narażając nas tym samym na poważne niebezpieczeństwo. Z chęci dokonania prywatnej zemsty wystawił pan na szwank zawodowe interesy nas wszystkich, naszą reputację, wszystko, czym stoi ten bank.

– Ależ Rosnovski chciał mnie zrujnować – powiedział William, zdając sobie sprawę, że teraz krzyczy.

– I dlatego, aby zrujnować Rosnovskiego, zaryzykował pan pozycję i reputację banku.

– To jest mój bank – rzucił William.

– Nie, to nie jest pański bank – powiedział Jake Thomas. – Ma pan osiem procent udziałów, tak jak Rosnovski, i w obecnej chwili jest pan prezesem rady nadzorczej i dyrektorem generalnym banku, ale bank nie jest pana własnością i nie może pan wykorzystywać go, jak panu przyjdzie fantazja, bez porozumienia się z pozostałymi członkami rady nadzorczej.

– Wobec tego będę zmuszony zwrócić się do rady o wyrażenie mi votum zaufania – powiedział William. – Będę panów prosił o udzielenie mi poparcia przeciwko Rosnovskiemu.

– Głosowanie nad votum zaufania nie dotyczyłoby tej kwestii – powiedział sekretarz towarzystwa. – Dotyczyłoby tylko tego, czy w obecnej sytuacji jest pan właściwym człowiekiem do kierowania tym bankiem. Czy pan tego nie rozumie, panie prezesie?

– Niech tak będzie – powiedział William, odwracając wzrok. – Rada nadzorcza musi zdecydować, czy pragnie, abym po ponad ćwierćwieczu służenia temu bankowi zakończył swoją karierę w hańbie, i czy uważa za stosowne ulec pogróżkom kryminalisty.

Jake Thomas kiwnął głową sekretarzowi towarzystwa i do wszystkich członków rady powędrowały karteczki do głosowania. Dla

Williama było jasne, że wszystko zostało uzgodnione przed posiedzeniem. Ogarnął wzrokiem stłoczonych wokół stołu dwudziestu dziewięciu mężczyzn; niektórych z nich prawie wcale nie znał. Słyszał kiedyś, że grupka młodszych członków rady nadzorczej otwarcie popiera Partię Demokratyczną i Johna Kennedy'ego. Niektórzy patrzyli na niego; inni nie. Z pewnością jednak go poprą; nie pozwolą, aby Rosnovski go pokonał. Nie teraz. Proszę, pozwólcie mi dotrwać do końca kadencji, zwracał się do nich w myślach, potem odejdę, spokojnie, bez szumu – ale nie w ten sposób.

Przyglądał się, jak członkowie rady oddają sekretarzowi karteczki do głosowania. Ten rozwijał je powoli. W sali zaległa cisza, a oczy wszystkich zwrócone były na sekretarza, który otwierał kilka ostatnich już karteczek odnotowując starannie na kawałku papieru każde „tak" i „nie" w dwu kolumnach. William zauważył, że jedna z kolumn jest wyraźnie dłuższa niż druga, ale pogarszający się z wiekiem wzrok nie pozwalał mu na odcyfrowanie która. Nie mógł się pogodzić z myślą, że nadszedł dzień, w którym w jego własnym pokoju konferencyjnym jego własna rada nadzorcza będzie wybierać między nim a Ablem Rosnovskim.

Sekretarz coś mówił. William nie wierzył własnym uszom. Stosunkiem siedemnastu do dwunastu głosów rada wyraziła wobec niego votum nieufności. Z trudem podniósł się ze swego fotela. W decydującej bitwie Abel Rosnovski go pokonał. Nikt nie odezwał się ani słowem, kiedy William opuszczał salę posiedzeń. Wrócił do swojego prezesowskiego gabinetu, zabrał płaszcz, przystając tylko na moment, aby spojrzeć po raz ostatni na portret Charlesa Lestera, a potem poszedł wolno długim korytarzem do głównego wyjścia.

– Miło znów pana widzieć, panie prezesie. Do widzenia panu – powiedział portier.

William uświadomił sobie, że nigdy go już nie zobaczy. Odwrócił się i uścisnął rękę człowieka, który dwadzieścia trzy lata wcześniej wskazał mu drogę do sali posiedzeń rady nadzorczej.

Nieco zaskoczony portier powiedział:

– Dobranoc panu, panie prezesie – przyglądając się, jak William zajmuje miejsce na tylnym siedzeniu swojego samochodu.

Szofer zawiózł go do domu; kiedy William znalazł się na Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy, zasłabł na progu. Szofer i Kate pomogli mu wejść do środka. Kate zobaczyła, że William płacze, i objęła go za szyję.

– Co ci jest, Williamie? Co się stało?

– Wyrzucono mnie z mojego własnego banku – szlochał. – Moja własna rada nadzorcza nie ma już do mnie zaufania. W decydującej chwili poparła Abla Rosnovskiego.

Kate położyła go do łóżka i siedziała przy nim całą noc. William leżał z otwartymi oczyma pogrążony w milczeniu.

Informacja zamieszczona w poniedziałkowym „Wall Street Journal” była bardzo lakoniczna: „William Kane, prezes rady nadzorczej i dyrektor generalny banku Lestera, złożył rezygnację po wczorajszym posiedzeniu rady nadzorczej”.

Nie podano, że przyczyną jego niespodziewanego odejścia jest choroba czy jakaś inna ważna okoliczność, nie wspomniano też, czy miejsce po nim w radzie nadzorczej zajmie syn. William był przekonany, że po Wall Street rozniosą się najróżniejsze pogłoski i że

będzie się podejrzewać najgorsze. Siedział w łóżku i nic go już więcej na tym świecie nie obchodziło.

Abel przeczytał informację o rezygnacji Williama Kane'a w „Wall Street Journal" tego samego dnia. Podniósł słuchawkę, wykręcił numer banku Lestera i poprosił o połączenie z nowym prezesem. W chwilę potem odezwał się w słuchawce głos Jake'a Thomasa.

– Dzień dobry panu, panie Rosnovski.

– Dzień dobry. Dzwonię, aby potwierdzić, że jeszcze dziś rano zaoferuję pańskiemu bankowi wszystkie swoje akcje Interstate Airways po cenie rynkowej, panu osobiście zaś sprzedam swój ośmioprocentowy udział w banku Lestera za dwa miliony dolarów.

– Dziękuję panu. Jest pan nadzwyczaj hojny.

– Nie musi mi pan dziękować, panie prezesie. Na tyle przecież się umówiliśmy, kiedy odstępował mi pan swój dwuprocentowy udział w banku Lestera.

---

* W oryg. *reverse takeover*, operacja, w wyniku której firma przejęta sprawuje kontrolę nad powstałą w ten sposób spółką (przyp. tłum.).

Księga siódma

40

Abel był zdziwiony, że odniesienie ostatecznego zwycięstwa sprawiło mu tak niewielką satysfakcję.

George starał się go namówić, aby pojechał do Warszawy obejrzeć działki pod budowę przyszłego hotelu Barona, ale Abel nie miał ochoty. Z wiekiem coraz bardziej się lękał, że mógłby umrzeć gdzieś za granicą i nigdy nie zobaczyć Florentyny, i całymi miesiącami nie interesował się wcale, co się dzieje z jego hotelami. Kiedy dwudziestego drugiego listopada 1963 roku zamordowano Johna F. Kennedy'ego, Abel wpadł w jeszcze większą depresję i lękał się o losy Ameryki. W końcu George zdołał go przekonać, że podróż za granicę mu nie zaszkodzi i że być może, kiedy wróci, sprawy będą przedstawiały się trochę lepiej.

Abel poleciał do Warszawy, gdzie w wielkiej tajemnicy podpisał z władzami kontrakt na budowę pierwszego Barona w kraju komunistycznym. Jego doskonała znajomość polskiego robiła wrażenie na warszawiakach, Abel zaś był dumny, że udało mu się ubiec za żelazną kurtyną sieć hotelową Holiday Inn i Intercontinental. Nie mógł jednak zapomnieć o tamtej sprawie... Tym bardziej gdy Lyndon Johnson mianował Johna Gronowskiego pierwszym amerykańskim ambasadorem polskiego pochodzenia w Warszawie. Ale teraz nic już nie sprawiało mu satysfakcji. Pokonał Kane'a, ale utracił córkę, zastanawiał się, czy tamten człowiek cierpi podobnie z powodu swego syna. Po opuszczeniu Warszawy krążył po świecie, zatrzymując się w swoich hotelach, przyglądając się

wznoszeniu nowych. Dokonał otwarcia pierwszego Barona w Kapsztadzie w Republice Południowej Afryki, a następnie poleciał do Niemiec na inaugurację nowego hotelu w Düsseldorfie.

Potem zamieszkał na sześć miesięcy w swoim ulubionym Baronie w Paryżu, gdzie całymi dniami włóczył się ulicami miasta, a wieczorami chodził do Opery, chcąc w ten sposób przypomnieć sobie szczęśliwe dni z Florentyną.

W końcu wyjechał z Paryża i wrócił do Stanów Zjednoczonych po tym długim dobrowolnym wygnaniu. Kiedy po wylądowaniu na lotnisku J. F. Kennedy'ego, schodził metalowymi schodkami z pokładu boeinga 707 linii Air France przygarbiony, w czarnym kapeluszu na łysej głowie, nikt go nie rozpoznał. Tylko George, wierny George, który mocno się przez ten czas postarzał, przyszedł go powitać. Podczas przejazdu do nowojorskiego Barona George, jak to było w zwyczaju, referował mu sprawy firmy. Wyglądało na to, że zyski stale rosną, a to za sprawą energicznych młodych dyrektorów dzielnie sobie poczynających we wszystkich ważniejszych krajach świata. Siedemdziesiąt dwa hotele, zatrudniające dwadzieścia dwa tysiące osób personelu. Ale Abel nie bardzo go słuchał. Ciekaw był jedynie wiadomości dotyczących Florentyny.

– Miewa się dobrze – powiedział George – i z początkiem przyszłego roku przenosi się do Nowego Jorku.

– Dlaczego? – spytał Abel, nagle ożywiony.

– Otwiera jeden ze swych sklepów na Piątej Alei.

– Na Piątej Alei?

– Jedenastą „Florentynę" – wyjaśnił George.

– Widziałeś się z nią?

– Tak – przyznał się.

– Czy jest zdrowa, szczęśliwa?

– Oboje są zdrowi i szczęśliwi, doskonale im się powodzi. Powinieneś być z nich dumny, Ablu. Masz wnuka jak się patrzy, a twoja wnuczka jest śliczną dziewczynką. Wykapana Florentyna, kiedy miała tyle lat.

– Czy chciałaby się ze mną zobaczyć? – spytał Abel.

– A czy ty gotów jesteś zobaczyć się z jej mężem?

– Nie, George. Nigdy się z nim nie spotkam, a w każdym razie dopóki żyje jego ojciec.

– A co będzie, jeśli umrzesz pierwszy?

– Nie wierz wszystkiemu, co mówi Biblia.

Abel i George jechali do hotelu w milczeniu. Tego wieczoru Abel zjadł kolację w swoim pokoju samotnie.

Przez następne sześć miesięcy nie wysunął nosa ze swego apartamentu na ostatnim piętrze.

41

Kiedy w marcu 1967 roku Florentyna Kane otwierała swój nowy butik na Piątej Alei, zjawił się tam „cały Nowy Jork” – z wyjątkiem Williama Kane’a i Abla Rosnovskiego.

Kate i Lucy zostawiły mruczącego coś pod nosem ojca w łóżku i udały się na otwarcie „Florentyny”.

George pożegnał się z Ablem i zostawił go samego w apartamencie, udając się na uroczystość. Próbował go namówić, żeby z nim poszedł. Abel odburknął, że Florentyna otwarła już bez niego dziesięć sklepów i jeden więcej nie zrobi wielkiej różnicy. George powiedział mu, że jest starym upartym osłem i pojechał na Piątą Aleję sam. Kiedy znalazł się w sklepie, imponującym, nowocześnie urządzonym butiku z puszystymi dywanami i nowoczesnymi szwedzkimi meblami – przypominało mu to styl działania Abla – zobaczył Florentynę w długiej błękitnej sukni ze słynną już teraz literą „F” na stojącym kołnierzyku. Podała mu kieliszek szampana i przedstawiła go Kate i Lucy Kane, które gawędziły z Zosią. Kate i Lucy były w doskonałym humorze i zaskoczyły George’a pytaniem o Abla Rosnovskiego.

– Powiedziałem mu, że jest starym, upartym osłem, skoro odmawia sobie pójścia na takie miłe przyjęcie. Czy pan Kane jest z paniami?

Pogodna odpowiedź Kate bardzo uradowała George’a.

William, wydając gniewne pomruki po przejrzeniu artykułu w „New York Timesie", wzmianki o Johnsonie osłabiającym siłę ciosów w Wietnamie, złożył gazetę i wygramolił się z łóżka. Zaczął się bez pośpiechu ubierać, a skończywszy, przyjrzał się sobie w lustrze. Wyglądał jak bankier. Skrzywił się. A jak inaczej mógłby wyglądać? Włożył ciężki, czarny płaszcz, na głowę stary kapelusz, do ręki wziął czarną laskę ze srebrną gałką, którą podarował mu Rupert Cork-Smith, i w końcu jakoś wydostał się na ulicę. Po raz pierwszy samodzielnie od prawie trzech lat, od czasu ostatniego ataku serca. Pokojówka była zdziwiona, widząc, że wychodzi z domu bez opieki.

Wiosenny wieczór był nadzwyczaj ciepły, lecz Williamowi, który dawno nie wychodził z domu, było zimno. Dobrnięcie na róg Piątej Alei i Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy zajęło mu wiele czasu i kiedy wreszcie tam się znalazł, tłum przed „Florentyną" był tak gęsty, że nie czuł się na siłach, aby się przezeń przedrzeć. Stanął przy krawężniku, obserwując ludzi, którzy wyraźnie znakomicie się bawili. Młodzież, zadowolona i ożywiona, przepychała się do pięknego, nowego sklepu Florentyny. Niektóre dziewczęta były ubrane w minispódniczki, według najnowszej londyńskiej mody. Co następnie? – pomyślał William, i w tym momencie ujrzał syna rozmawiającego z Kate. Wyrósł na bardzo przystojnego mężczyznę – wysoki, pewny siebie, swobodny; emanował powagą i bardzo przypominał Williamowi ojca. W całym tym zgiełku i kłębowisku William nie bardzo mógł się połapać, która z kobiet jest Florentyną. Stał tam przez prawie godzinę, z przyjemnością obserwując przychodzących i wychodzących ze sklepu ludzi, nie mogąc odżałować straconych lat, których przez swój upór rozmyślnie się pozbawił.

Po Piątej Alei zaczął hulać coraz zimniejszy wiatr. William zapomniał już, jak zimny potrafi być marcowy wiatr. Podniósł kołnierz palta. Musi wracać do domu, ponieważ oni wszyscy będą dziś wieczorem u niego na kolacji i po raz pierwszy zobaczy Florentynę i wnuki. Chłopca i małą Annabel, i ich ojca, swego ukochanego syna. Powiedział Kate, że był wielkim głupcem, i prosił, żeby mu wybaczyła. Pamiętał tylko, że powiedziała: „Zawsze będę cię kochać". Florentyna napisała do niego. Jakże wielkoduszna była w tym swoim liście, wyrozumiała, niepomna przeszłości. Zakończyła list słowami: „Nie mogę się doczekać chwili, kiedy się poznamy".

Musi już wracać. Kate by się gniewała, gdyby się dowiedziała, że wyszedł z domu sam, w taką zimną, wietrzną pogodę. Ale przecież nie mógł nie zobaczyć otwarcia sklepu. Wieczorem będzie miał ich wszystkich przy sobie, ale teraz musi już iść, niech bawią się dobrze sami. Przy kolacji opowiedzą mu, jak było. Nie przyzna się, że tam przyszedł, pozostanie to na zawsze jego tajemnicą.

Odwrócił się, aby ruszyć w kierunku domu, i ujrzał o parę jardów od siebie mężczyznę w czarnym płaszczu, w kapeluszu nasuniętym głęboko na oczy, z szalikiem wokół szyi. Jemu również było zimno. Nie jest to pogoda dla starszych panów, pomyślał. I nagle zobaczył na przegubie mężczyzny wystającą spod mankietu koszuli srebrną bransoletę. W nagłym przebłysku pamięci obrazy ułożyły się pierwszy raz we właściwym porządku: najpierw hotel Plaza, potem Boston, następnie Niemcy i teraz Piąta Aleja. Mężczyzna odwrócił się i zaczął ku niemu iść. Widać stał tam od dłuższego czasu, gdyż twarz miał czerwoną od wiatru. Wpatrywał się w Williama tymi swoimi uderzająco niebieskimi oczyma. Dzieliło ich teraz już tylko parę kroków. Kiedy się mijali, William uchylił lekko kapelusza. Starszy

pan odwzajemnił gest uszanowania i obaj, nie zatrzymując się, poszli dalej, każdy w swoją stronę. Muszę znaleźć się w domu przed nimi, myślał William. Co za szczęście zobaczyć Richarda i wnuki, znów będzie po co żyć. Musi poznać Florentynę, prosić ją o przebaczenie i wierzyć, że ona zrozumie to, czego teraz on sam nie bardzo potrafił zrozumieć. Wszyscy naokoło mówią, że to taka wspaniała dziewczyna.

Kiedy znalazł się przed domem na Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy, wyłuskał z kieszeni klucz i otworzył frontowe drzwi. Trzeba zapalić wszystkie światła, powiedział do pokojówki, i rozpalić w kominku, aby było przytulniej. Był bardzo kontent i bardzo, bardzo zmęczony.

– Zaciągnij zasłony – polecił – i zapal świece na stole w pokoju jadalnym. Będzie dziś co świętować.

William nie mógł doczekać się ich powrotu. Usiadł przy rozpalonym kominku w swoim wysłużonym fotelu obitym skórą w wiśniowym kolorze i delektował się myślą o nadchodzącym wieczorze. Dumał o wnukach, które znajdą się u jego kolan, o latach, które bezpowrotnie utracił. Ciekawe, kiedy wnuczek wymówił po raz pierwszy słowo „trzy”? Może uda się pogrzebać przeszłość i zasłużyć jeszcze na przebaczenie? Po zimnej wietrznej pogodzie pokój wydawał się taki ciepły i przytulny, ale wyprawa warta była wysiłku.

Parę minut później na dole zapanował wielki zgiełk i do pokoju Williama weszła pokojówka, aby oznajmić, że przyszedł syn. Jest w hallu, z matką, żoną i dwójką najśliczniejszych dzieci, jakie widziała w całym swoim życiu. Co rzekłszy pobiegła do kuchni przypilnować, aby kolacja była gotowa na czas. Pan Kane życzył sobie, aby wszystko tego wieczoru było bez zarzutu. Richard wszedł do pokoju ojca razem z Florentyną, której twarz zdradzała radosne podniecenie.

– Ojcze – powiedział Richard. – Chciałbym ci przedstawić moją żonę.

William Lowell Kane odwróciłby się, żeby ich przywitać, ale nie mógł tego uczynić. Był martwy.

42

Abel umieścił kopertę na stoliku przy łóżku. Jeszcze nie był ubrany. Ostatnio rzadko wstawał przed dwunastą. Usiłował zdjąć tacę ze śniadaniem z kolan i położyć ją na podłodze. Próba pochylenia się okazała się zbyt trudna dla jego zesztywniałych kości. W rezultacie taca z hukiem wylądowała na podłodze. Jak zawsze, gdy próbował tego dokonać. Zresztą, cóż go to obchodziło. Znów wziął do ręki kopertę i po raz drugi przeczytał dołączoną do listu karteczkę.

Świętej pamięci Curtis Fenton, w swoim czasie dyrektor Continental Trust przy ulicy La Salle w Chicago, powierzył nam zadanie przesłania na pańskie ręce załączonego listu w wypadku zaistnienia pewnych okoliczności. Prosimy uprzejmie o potwierdzenie otrzymania listu własnoręcznym podpisem na załączonej kopii, którą prosimy odesłać w dołączonej ofrankowanej i zaadresowanej kopercie.

– Cholerne mecenasy – mruknął Abel i rozerwał kopertę.

Wielce Szanowny Panie Rosnovski!

List ten znajdował się po pieczą moich adwokatów aż do dzisiaj z przyczyn, które po jego przeczytaniu staną się dla Pana zrozumiałe.

Kiedy w roku 1951 zlikwidował Pan wszystkie swoje konta w Continental Trust po prawie dwudziestu latach korzystania z usług naszego banku, byłem oczywiście bardzo zmartwiony i

zatroskany. Martwiło mnie nie tylko to, iż utraciłem jednego z najpoważniejszych klientów banku, co skądinąd było nade bolesne; bardziej przykra była świadomość, że uważa Pan, iż postępowałem wobec Niego nieuczciwie. Nie mógł Pan jednak wiedzieć wówczas o tym, że osoba, która udzielała Panu finansowego poparcia, wyraźnie sobie zastrzegła, że nie wolno mi ujawniać Panu pewnych faktów.

Kiedy w roku 1929 złożył mi Pan wizytę w banku, poprosił Pan o finansową pomoc w spłacie długu zaciągniętego przez pana Davisa Leroya, aby móc przejąć hotele tworzące wówczas grupę Richmond. Nie mogłem znaleźć nikogo takiego, mimo iż sam zwracałem się do kilku poważnych finansistów. Zaangażowałem się w to osobiście, gdyż wyczuwałem, że ma Pan szczególny dryg do profesji, jaką Pan sobie obrał. Na starość miałem ogromną satysfakcję, widząc, że moje przeczucia były słuszne. Mógłbym tu dodać, że czułem się też trochę współodpowiedzialny za Pańskie dalsze losy, jako że doradziłem Panu kiedyś nabycie dwudziestu pięciu procent udziałów Hoteli Richmond od mojej klientki panny Amy Leroy, nie zdając sobie sprawy z trudnej sytuacji finansowej, w jakiej znajdował się wówczas pan Leroy. Ale wróćmy do tematu.

Wciąż nie miałem dla Pana protektora i straciłem już nadzieję, że kogoś znajdę, kiedy zjawił się Pan u mnie owego poniedziałkowego poranka. Ciekaw jestem, czy pamięta Pan ten dzień. Zaledwie na pół godziny przed Pańską zapowiedzianą wizytą otrzymałem telefon od pewnego finansisty, który gotów był wyłożyć potrzebną sumę i który jak ja mocno wierzył w Pańskie możliwości. Jedynym warunkiem,

jaki postawił – o czym Pana wówczas poinformowałem – było żądanie anonimowości ze względu na ewentualność konfliktu jego interesów zawodowych i osobistych. Zaproponowane przez niego warunki umożliwiające Panu przejęcie w przyszłości kontroli nad Hotelami Richmond uznałem wtedy za niezwykle wspaniałomyślne, a Pan ze swej strony zrobił z nich właściwy użytek. Pański dobroczyńca był ogromnie rad, kiedy się okazało, że dzięki swej wielkiej pracowitości jest Pan rzeczywiście w stanie spłacić w terminie zaciągnięty dług.

Po 1951 roku straciłem z obu panami kontakt, ale kiedy po odejściu z banku byłem już na emeryturze, przeczytałem w gazetach o przygnębiającym wydarzeniu, dotyczącym Pańskiego dobroczyńcy, co skłoniło mnie do napisania tego listu na wypadek, gdybym umarł wcześniej niż któryś z panów.

Piszę to nie po to, aby wykazać, że moje intencje w całej tej sprawie były bez zarzutu, lecz dlatego, iż nie chciałbym, aby pozostawał Pan nadal w mylnym przekonaniu, że to pan David Maxton, właściciel hotelu Stevens, udzielił panu finansowego poparcia. Pan Maxton miał dla Pana wiele podziwu, ale nigdy nie zwrócił się do naszego banku z taką propozycją. Owym dżentelmenem, który dzięki swej zdolności przewidywania i osobistej hojności sprawił, że Hotele Baron stały się rzeczywistością, był pan William Lowell Kane, dyrektor nowojorskiego banku Lestera.

Usilnie prosiłem pana Kane'a, aby wyjawił Panu fakt swego osobistego zaangażowania, lecz on się nie zgodził, odmówił złamania klauzuli aktu powierniczego stanowiącej, że żaden beneficjent nigdy nie może się dowiedzieć, iż pieniądze, jakie

otrzymał, pochodzą z majątku rodzinnego Kane'ów. Kiedy Pan spłacił pożyczkę, pan Kane zaś dowiedział się później o powiązaniach Henry'ego Osborne'a z Hotelami Baron, z jeszcze większą mocą obstawał przy tym, aby nigdy nie wyjawić Panu prawdy.

Zostawiłem polecenie, aby list ten zniszczono, gdyby Pan umarł wcześniej od pana Kane'a. Wówczas otrzyma on list, z którego się dowie, że nigdy nie został Pan powiadomiony o jego hojności.

Niezależnie od tego, który z panów otrzyma mój list, poczytuję sobie za zaszczyt, że obu panom mogłem służyć swoją osobą.

Pozostaję jak zawsze z głębokim poważaniem,
Curtis Fenton

Abel podniósł słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu.

– Niech George zaraz tu przyjdzie – polecił. – Musi pomóc mi się ubrać.

43

Na pogrzeb Williama Lowella Kane'a przyszło dużo ludzi. Richard z Florentyną stał po jednej stronie Kate, Virginia i Lucy po drugiej. Babkę Kane zadowoliłby dobór towarzystwa. Stawiło się trzech senatorów, pięciu kongresmenów, dwóch biskupów, prezesi wielu największych banków oraz wydawca „Wall Street Journal". Obecny był Jake Thomas i wszyscy członkowie rady nadzorczej banku Lestera; stali z głowami pochylonymi w modlitwie do Boga, w którego William w istocie nigdy nie wierzył.

Nikt nie zwrócił uwagi na dwóch starszych panów stojących w oddaleniu, również z pochylonymi głowami, którzy robili wrażenie, jakby nie należeli do tego towarzystwa. Spóźnili się parę minut i szybko odeszli, gdy tylko nabożeństwo dobiegło końca. Oddalający się pospiesznie starszy niski mężczyzna zwrócił uwagę Florentyny, gdyż sposób, w jaki utykał, był jej znajomy. Powiedziała o tym Richardowi. Nie podzielili się swoim przypuszczeniem z Kate Kane.

Kilka dni później wyższy z owych dwóch starszych mężczyzn odwiedził Florentynę w jej sklepie przy Piątej Alei. Słyszał, że wraca do San Francisco, i chciał przedtem o coś ją poprosić. Wysłuchała go uważnie i z radością zgodziła się spełnić jego życzenie.

Richard i Florentyna Kane przybyli do Hotelu Baron po południu następnego dnia. George Novak czekał, aby zaprowadzić ich do apartamentu na czterdziestym drugim piętrze. Po dziesięciu latach Florentyna z trudem poznała ojca, który siedział teraz podparty w łóżku, z półokrągłymi okularami na czubku nosa, nadal nie uznający

poduszek, ale wciąż z tym swoim buńczucznym uśmiechem na twarzy. Rozmawiali o dawnych, szczęśliwszych czasach, trochę się śmiali, dużo płakali.

– Musisz nam wybaczyć, Richard – powiedział Abel. – Polacy to sentymentalna nacja.

– Wiem, moje dzieci są na pół Polakami – odparł Richard. Wieczorem zjedli wspólną kolację, wyśmienitą pieczeń cielęcą, odpowiednie danie na powrót córki marnotrawnej, jak wyraził się Abel.

Mówił o przyszłości i o tym, jak wyobraża sobie dalszy rozwój firmy.

– Powinniśmy mieć „Florentynę" w każdym z naszych hoteli – powiedział.

Florentyna roześmiała się i przyznała mu rację.

Opowiedział Richardowi o tym, jak przeżył śmierć jego ojca, czym wobec niego zawinił w ciągu wielu lat, że nigdy ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, iż mógł on być owym anonimowym dobroczyńcą, a na koniec wyznał, jak bardzo żałuje, że nie może mu już podziękować.

– On by pana zrozumiał – powiedział Richard.

– A wiecie, że spotkaliśmy się w dniu jego śmierci? – rzekł Abel.

Florentyna i Richard spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– A tak – zapewnił ich. – Minęliśmy się na Piątej Alei, przyszedł, żeby zobaczyć otwarcie sklepu. Mijając mnie, uchylił lekko kapelusza. To bardzo wiele, naprawdę bardzo wiele.

Abel miał do Florentyny tylko jedną prośbę. Chciał, aby wraz z Richardem towarzyszyła mu w podróży do Warszawy, gdzie za dziewięć miesięcy miało odbyć się uroczyste otwarcie Barona.

– Wyobrażacie to sobie? – pytał, znów pełen animuszu, bębniąc palcami w blat nocnego stolika. – Baron w Warszawie! Otwarcia tego akurat hotelu może dokonać jedynie prezes Hoteli Baron.

Przez kilka następnych miesięcy Kane'owie odwiedzali Abla regularnie i Florentyna znów bardzo zbliżyła się do swego ojca. Abel zaczął podziwiać Richarda i cenić jego zdrowy rozsądek, który był przeciwwagą dla wybujałych ambicji Florentyny. Ubóstwiał wnuka. A mała Annabel była – jak to się dziś okropnie mówi? – otóż mała Annabel była „wprost fantastyczna". Chyba nigdy jeszcze w życiu Abel nie był tak bardzo szczęśliwy. Zaczął układać drobiazgowe plany triumfalnego powrotu do Polski i cieszył się na uroczystą inaugurację warszawskiego Barona.

Ceremonia otwarcia warszawskiego Barona, w obecności prezesa, odbyła się sześć miesięcy później, niż pierwotnie planowano. Opóźnienia w realizacji kontraktów budowlanych bywają w Warszawie czymś równie zwyczajnym jak wszędzie indziej na świecie.

W swoim inauguracyjnym przemówieniu prezes Hoteli Baron, pani Florentyna Kane, powiedziała zgromadzonym gościom, że duma, jaką napawa ją ten piękny hotel, przemieszana jest z uczuciem żalu, że jej ojciec nie dożył tej chwili i nie może sam dokonać otwarcia warszawskiego Barona.

Abel zostawił wszystko Florentynie, nie licząc jednego, jedynego niewielkiego zapisu. W testamencie określono ów dar jako ciężką, grawerowaną bransoletę, rzecz rzadką, lecz nieokreślonej wartości, z wyrytymi słowami: „Baron Abel Rosnovski".

Obdarowanym był jego wnuk, William Abel Kane.

Tytuł oryginału
Kane and Abel

Copyright © Jeffrey Archer 1979
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2012

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Rozdziały 1–17 przełożyła Danuta Sękalska
Rozdziały 18–43 przełożył Wiesław Mleczko

Opracowanie graficzne serii, projekt i opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce
Zbigniew Mielnik
Zdjęcie Autora
© Terry O'Neil

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego: *Kane i Abel*, wyd. III poprawione (dodruk), Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-125-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 061-867-81-40;
fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com